

R O B E R T

MAŁECKI

Zanim świat stanie nad przepaścią,
człowiek zbliża się do niej każdego dnia

WIATROŁOMY



ROBERT
MAŁECKI

WIATROŁOMY

Wydawnictwo Literackie

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

Prolog

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18
19
20
21
22
23
24
25
26
27
28
29
30
31
32
33
34
35
36
37
38
39
40
41
42
43
44

45
46
47
48
49
50
51
52
53
54
55
56
57
58
59
60
61
62
63
64
65
66
67
68
69
70
71

72

Epilog

Posłowie

Podziękowania

Opieka redakcyjna: EWELINA KOROSTYŃSKA
Redakcja: ANNA MILEWSKA
Korekta: ANNA DOBOSZ, MARIA ROLA, AGNIESZKA STĘPLEWSKA
Projekt okładki i stron tytułowych: TOMASZ MAJEWSKI
Zdjęcia wykorzystane na okładce
Photo by Olena Sergienko on Unsplash
Photo by Joanna Nix-Walkup on Unsplash
Redaktor techniczny: ROBERT GĘBUŚ

© Copyright by Robert Małecki
© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2022

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-07802-0

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
tel. (+48 12) 619 27 70
fax. (+48 12) 430 00 96
bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)

*Wszystkim, którzy dzień po dniu wygrywają
z uzależnieniem.
Jesteście prawdziwymi bohaterami.*

Hello darkness, my old friend,
I've come to talk with you again...

PAUL SIMON, The Sound of Silence

PROLOG

Blade ciało niemowlęcia przez całą noc pływało w starym ocynkowanym wiadrze pełnym roztworu formaliny.

Mężczyzna, który wcześniej wysunął wiadro spod stołu w kuchni i zdjął pokrywę, z trudem powstrzymał falę łez. Gryzące opary uderzyły go w nozdrza, gdy płyn zafalował i obmył łuk drobnych pleców z nieznacznie zarysowanymi łopatkami. Jasne włosy dziecka, niczym aureola, ułożyły się promieniście wokół główki.

Zagryzł zęby na zaciśniętej pięści i modlił się, żeby z jego gardła nie wydobył się dziki, nieokiełznany ryk. Nie mógł obudzić żony, która spała za zamkniętymi drzwiami w pokoju na końcu korytarza.

Powiódł tam wzrokiem i przez jego twarz przebiegł cień lęku.

Dwa dni temu w oknie sypialni powiesił gruby koc, a następnie zaciągnął ciężkie zasłony. Lipcowe słońce, które rozjaśniało niedawno wytapetowane wnętrze z dużym łóżkiem i białym drewnianym kojcem dziecięcym pod ścianą, nagle zgasło, ale duchota nie ustępowała.

Otarł pot z czoła i w mroku, do którego jeszcze się nie przyzwyczyił, poszukał wzrokiem zarysu sylwetki żony. Leżała pod kocem z podkurczonymi nogami i złączonymi dłońmi. Wydawało mu się, że ma otwarte oczy pozbawione zdrowego blasku i wzrok wbity w ścianę, w konkretny punkt. Na tym swoistym ekranie jej mózg niczym zacinający się projektor slajdów wyświetlał zapewne jeden obraz.

Twarz dziecka.

Był tego pewien, bo suche, spierzchnięte usta żony szeptały słowa kołysanki:

– Z popielnika na Wojtusia iskiereczka mruga... – wypowiadała je wolno, machinalnie i bez żadnych emocji. Na próżno szukał w nich ciepłej barwy, troskliwej nuty, która jeszcze nie tak dawno pobrzmiwała w jej głosie, gdy nachylała się nad łóżeczkiem.

Kochał ją najbardziej na świecie.

Kochał ich dziecko.

I wciąż nie mógł uwierzyć w to, co się stało.

To nie mieściło mu się w głowie.

Dlatego wpatrując się w zawartość starego wiadra, uznał, że musi dokończyć to, co zaczął. Że ani żona, ani on sam nie zniosą widoku białej trumienki, nie przeżyją tego momentu, w którym trzeba będzie złożyć ją do grobu, a potem eksplodującego w ich głowach huku, gdy czarna garść ziemi opadnie głucho na drewniane wieko.

Ich synek na to nie zasłużył.

Przegonił czarne myśli i otarł łzy.

Musiał się zabrać do roboty.

Przynajmniej tyle mógł zrobić. Czuł, że jest mu to winny. Za to, że ciągle nie było go w domu. Może gdyby nie wpadał tu tylko jako gość, wszystko ułożyłoby się inaczej i dalej byłiby szczęśliwą rodziną.

Myślał o tym, wpatrując się w wiadro.

Akurat w radiowej Trójce puszczone niedawny premierowy utwór Erica Claptona Tears in Heaven. Słyszał go już wcześniej wiele razy, każda rozgłośnia nadawała ten przebój. Muzyk trzącał rytmicznie struny i wyśpiewywał przejmujące frazy, podobno o śmierci swojego dziecka, do akompaniamentu molowych akordów, pełnych smutku i tęsknoty.

Nie mógł słuchać tej piosenki.

Wyłączył starego, trzeszczącego kasprzaka i w uszach zadźwięczała mu świdrująca cisza. Żałobne milczenie.

Rusz się, nakazał sobie.

Nad żeliwnym zlewem wyplukał ślój z szerokim otworem, osuszył z zewnątrz ścierką, a następnie przechylił, by ostatecznie krople wody skapnęły do odpływu.

Odstawił go na stare gazety, które ułożył na mocno już zużytej ceracie, okrywającej drewniany stół. Sięgnął po brązową szklaną butlę, a potem spojrział za okno.

Na pordezewiałą huśtawkę, z której obłaziła farba.

Na drewnianą piaskownicę.

I na trzepak, za którym stała wiata śmietnikowa.

Miał tam spędzać czas ze swoim synem. Chciał nauczyć go bujać się na huśtawce. Pokazać mu, jak grać w kapsle. A później nauczyłby go jeździć na rowerze i robić wymyk na trzepaku.

Ale może sam siebie okłamywał.

Może, skoro nie miał nawet czasu chodzić z nim na spacer, nie zauważyłby, kiedy syn by urósł i zaczął zamykać się w swoim pokoju, stroniąc od rodziców.

Sam przecież też taki był.

Poza tym od kolegów z pracy słyszał nie raz, że dorastanie ich dzieci było błyskiem na niebie, ledwie zauważalnym mgnieniem. Wielu z nich ciężko pracowało, łapało fuchy, łączyło etaty, żeby odnaleźć się w rzeczywistości, którą zafundował im Balcerowicz. Trzy lata po tym, jak Solidarność przejęła władzę w kraju, gdy wojska rosyjskie wciąż opuszczały jednostki rozlokowane na terenie Polski, on sam liczył, że będzie lepiej, że jego dziecko wychowa się w dobrobycie.

Targał nim bolesny żal, że wszystko poszło nie tak.

Mieli się budować, obiecał jej to, gdy zaszła w ciążę. Tylko że krótko po tym, jak w kraju rządzili Wałęsa z Mazowieckim, ceny materiałów budowlanych, które i tak trudno było dostać, wystrzeliły jak szalone. Dlatego zdążyli jedynie pobudować piwnicę, zalać strop. Potem postawili jeszcze kilka cegieł w narożnikach budynku i robota stanęła. Obiecał jej, że wiosną ruszą na nowo z pracami, ale to były mrzonki. Resztę pieniędzy przeznaczyci na remont mieszkania.

Na budowę mieli jeszcze czas.

To miał być dom dla syna.

Ponownie poczuł słony smak w ustach.

Oblizwał wargi mokre od łez, po czym odkręcił butlę z formaliną i przelał płyn do słoja, wypełniając go w niewielkiej części. Dolał wody destylowanej i zamieszał. Ostrożnie dźwignął wiadro z podłogi i ustawił je obok szkła.

Smród chemikaliów już nie był tak uciążliwy i przestał podrażniać drogi oddechowe.

Wzbierała w nim gorz, która wypełniła usta, ale nie mógł sobie pozwolić na chwilę słabości.

Gdzieś kiedyś usłyszał, że każdy preparat, zanim zostanie zamknięty w szczelnym słoju z gumową nakrętką i zalakowany, powinien się dobrze odmoczyć w roztworze wodnym formaldehydu.

Zrobił więc wszystko, jak należało.

Tak przynajmniej sądził.

Przełknął ślinę i nabrał tchu, żeby dać odpór kolejnej fali wzruszenia.

Wsunął dłonie do chłodnej cieczy i dotknął drobnego ciała.

Łzy mu się cisnęły pod powieki i nagle coś chwyciło go za szyję, mocno zawężając światło tchawicy.

Wstrzymał dech.

Chwycił dziecięcą głowę, palcami sięgnął za zuchwę, a następnie delikatnie wyciągnął drobne ciało z chemikaliów, plecami do siebie. Odczekał, aż szemrzące strugi spłyną do wiadra. Ostatnie spadające krople tworzyły drobne okręgi, rozchodzące się do ścian blaszanego naczynia. Obserwował zwisające bezwładnie nóżki. Błade jak papier.

Jedna z kończyn wyginała się nienaturalnie na zewnątrz.

Boleśnie zagryzł wargę.

Przeniósł ciało niemowlęcia nad słoje i zaczął je powoli opuszczać.

Drobne stopy dotknęły rantu szklanego naczynia, a potem zanurzyły się w formalinie. Przypatrywał się temu uważnie. Obie stópki z pomarszczoną skórą podeszew wyraźnie się powiększyły. Wiedział, że to złudzenie optyczne.

Opuszczał powoli zwłoki, aż przestał czuć ich wagę.

Spojrzał na pływające w słoju dziecko, po czym dolał wody destylowanej i jeszcze trochę formaliny, by całe ciało znalazło się pod powierzchnią roztworu chemicznego. Wtedy nałożył nakrętkę na gwint i zakręcił, wykorzystując kuchenną ścierkę. Napiął mięśnie i wykrzywił usta z wysiłku.

Raz jeszcze wytarł szkło, a następnie zalakował rant nakrętki wczepiony w szklany gwint.

Formalinę z wiadra wylał do sedesu i spuścił wodę. Naczynie opłukał nad zlewem i postawił przy drzwiach wyjściowych. Puste butelki po chemikaliach owinął w szmaty, by nie obijały się o siebie i nie brzęczały, a potem ułożył je ostrożnie w koszu na śmieci wyłożonym gazetą.

Kiedy wszystko posprzątał, usiadł z powrotem przy stole i objął dłońmi przezroczyste szkło. Obracał słoje kilka razy, by w końcu przyjrzeć się twarzy ukochanego syna, przymkniętym powiekom i pulchnym policzkom.

Wtedy zobaczył jeszcze raz to, na co w ogóle nie chciał patrzeć, co wypierał ze świadomości.

Dwie ciemnofioletowe plamy na klatce piersiowej. Podłużne, symetrycznie rozłożone po obu stronach mostka. Drobniejsze cętki w tym samym kolorze, po cztery, znajdowały się na plecach, pod łopatkami.

Dopiero potem dostrzegł fragment naderwanego naskórka w okolicy żuchwy, który zwisał swobodnie. W tym miejscu utworzyło się niewielkie różowe znamię. Był pewien, że twarz dziecka, piękna twarz jego syna, nie miała wcześniej tej skazy.

Poczuł się winny, jakby sprawił dziecku ból, chociaż przecież ono nic już nie czuło.

Ta drobna rana jątrzyła się wyłącznie w jego ojcowskim sercu.

– Przepraszam... – wyszeptał, a następnie pocałował słoik i objął go rękoma. Oparł czoło o zimne szkło i wrócił pamięcią do chwil, gdy obserwował spokojny sen swojego dziecka. Zawsze wtedy, gdy wracał z pracy.

Tak teraz musi o tym myśleć.

Że jego synek śpi.

A potem obraz zaczął mu się rozmywać, jakby patrzył przez szybę wystawioną na strugi deszczu.

Tyle że deszcz nie padał tu od dawna.

Bo tamtego lata, tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku, słońce grzało pełną mocą, powietrze drgało jak w konwulsjach, a ziemia wyschła na pieprz.

Coś się skończyło, ale coś miało się zacząć.

Maria Herman nie odczuwała strachu przed siłami natury, patrząc na ciągnące się po horyzont hektary połamanych drzew i szeroką drogę zniszczenia, którą wydeptało niedawne tornado.

Wciąż bardziej bała się ludzi.

Niemal każdego dnia policyjnej służby docierało do niej, że zarabia na życie dzięki temu, że człowiek nadal jest człowiekowi wilkiem. Że jest zdolny do zabijania.

Dzień po dniu zanurzała się w niewyjaśnionych zbrodniach i doskonale wiedziała, że trudno o coś bardziej kruchego i delikatnego niż ludzkie życie. Ktoś, chyba Blaise Pascal, trafnie przyrównał je do trzciny na wietrze, chociaż metafora francuskiego filozofa miała znacznie głębszy sens i odnosiła się do miejsca człowieka we wszechświecie. Gdyby jednak spłyć to porównanie, równie dobrze zamiast o trzcinie można byłoby mówić o lesie rosnącym na drodze trąby powietrznej.

To tylko kwestia skali.

Zaciągnęła się papierosem, a chwilę później dym w kolorze gęstych chmur sunących po niebie rozwiął się i zniknął.

Przymrużyła oczy i wodziła wzrokiem po starych brzozech i smukłych sosnach, połamanych jak zapalki.

Wrzesień przyniósł zimne noce i nieprzyjemne deszcze. Wiatr gnał po wiatrołomach, szarpiąc koronami drzew, które zamiast piąć się w górę, ku niebu, w agonii chłostały ziemię.

Przytrzymując papieros w ustach, policjantka próbowała zapiąć kurtkę na suwak, ale zapomniała, że zamek się popsuł. Odpuściła. Opatuliła się szczelniej połami kurtki i oparła o karoserię wysłużonej toyoty corolli w wersji kombi, nieoznakowanego radiowozu. Spojrzała na Olgierda Borewicza.

Ksywa „Zero Siedem” przylgnęła do niego na komendzie ze względu na nazwisko, które zapisało się złotą czcionką w PRL-owskiej popkulturze. W niczym jednak nie przypominał swego serialowego odpowiednika.

Rozmawiał z leśnikiem ubranym w oliwkową kurtkę. Mężczyzna trzymał w dłoniach żółty kask ochronny. Borewicz pokiwał ze zrozumieniem łysą głową. Jedną rękę oparł na biodrze, w drugiej trzymał energetyka, którego kupił na stacji w Bydgoszczy, zanim skręcili w wylotówkę na Olsztyn. Popijał go z kolorowej puszki. Widoczna otyłość brzuszna i dieta Olgierda zwiastowały konieczność rychłego, długotrwałego leczenia.

Przypatrywała się tym dwóm mężczyznom rozmawiającym na skraju drogi asfaltowej, mniej więcej w połowie pięćdziesięciometrowego pasa, który z precyzją chirurgicznego skalpela wyznaczyło tornado. Las po bokach wydawał się nietknięty, ale pośrodku sterczały złowrogo rozszczerzone kikuty złamanych i poprzewracanych drzew.

W pewnej odległości od szosy ciężkie maszyny chwytały szerokimi głowicami powalone pnie, a wiatr niósł w stronę policjantki jazgot pił mechanicznych i zapach świeżo ciętego drewna. Maria Herman czuła się tak, jakby odwiedziła tartak.

Pocięte bale lądowały na długich, wysokich stosach. Przy jednym z nich ramiona harwestera, zacisnąwszy się na kilku kłodach, uniosły je z lekkością, po czym przetransportowały nad naczepę samochodu ciężarowego z wysokimi, czerwonymi kłonicami. Wtedy chwytak się rozwarł i drewno z głuchym łoskotem uderzyło o pokład pojazdu.

Herman i Borewicz znajdowali się dwa kilometry przed węzłem autostradowym w Nowych Marzach. Gdy tylko opuścili Komendę Wojewódzką Policji w Bydgoszczy i pokój zespołu do spraw przestępstw niewykrytych, szumnie nazywanego w mediach Archiwum X, Olgierd poprosił ją, żeby zatrzymali się w miejscu, w którym trąba powietrzna wyrządziła ogromne szkody. Wydawał się nienaturalnie podniecony perspektywą obserwowania skutków nawalnicy, podczas gdy jej to w ogóle nie interesowało. Ale nie oponowała, przynajmniej mogła w spokoju zapalić. Milczała też, gdy Olgierd z emfazą opowiadał o polskiej alei tornad, dwóch miejscach najczęstszego występowania tych zjawisk. Jedno obejmowało północną część województwa kujawsko-pomorskiego i szerokim pasem ciągnęło się aż do Gdańska, po czym biegło wzdłuż wybrzeża na zachód. Drugie z kolei mieściło się w trójkącie wyznaczonym przez Warszawę, Opole i Rzeszów.

Zero Siedem, niezrażony tym, że rzadko się odzywała, ciągnął dalej swój wywód o mierzalności siły tornad, prędkości wiatru, o szerokości leja trąby powietrznej i superkomórkach burzowych, nazywanych fabrykami tych niszczycielskich sił przyrody. Przetrwiała wykład, bo od roku uczyła się cierpliwości. Uczyła się słuchać, zwracać uwagę na innych, ich emocje i potrzeby.

Kiedy zbliżyli się do zniszczonego lasu, Borewicz zwolnił i zagwizdał z przejęciem, po czym zjechał na pobocze. Wysiadł i z niedowierzaniem przyglądał się szkodom wyrządzonym przez żywioł. Natychmiast zapomniał o Herman, co przyjęła z ulgą. Niemniej odniosła wrażenie, że jego zainteresowanie skutkami tornada ma jakieś inne źródło. Jakby to była jedyna forma ucieczki od nieznanego jej stresu, który pożerał Zero Siedem.

Przyglądała mu się uważnie od kilku tygodni. Kiedy siedzieli razem w gabinecie, biurko w biurko, ukradkiem obserwowała, jak nerwowo skubie skórki przy paznokciach, zagryza wargi, błędzi wzrokiem po podłodze albo drżącą dłonią sięga po komórkę leżącą na blacie.

Martwiła się o niego.

Odprowadziła go wzrokiem, gdy przebiegł na drugą stronę szosy do zaparkowanego tam zielonego pick-upa Straży Leśnej i zaczął kierowcę, który akurat wysiadł z wozu.

Postanowiła rozprostować kości i zapaliła papierosa. Chciała cieszyć się względną ciszą. Względna, bo szumiały opony i silniki samochodów przejeżdżających krajową „piątką”, z oddali dobiegał jazgot pił, a także pokrzykiwania dzieci, na które nakładał się szmer rozmów dorosłych. Niestety, wraz ze swoim partnerem z Archiwum X nie byli tu jedynymi obserwatorami. Kilka aut parkowało na poboczach po obu stronach szosy. Część osób robiła rodzinne zdjęcia na tle szerokiego pasa zniszczeń. Uśmiechy na twarzach były równie szerokie.

Kiedy Herman skończyła palić drugiego chesterfielda, zobaczyła, że Olgierd żegna się uściskiem dłoni z wysokim leśnikiem. Odwrócił się od mężczyzny, rozejrzał, odczekał, aż droga będzie wolna, i wreszcie przebiegł przez jezdnię.

Zasapał się.

– Wyobrażasz sobie? – rzucił podniecony w jej stronę. – Tysiąc dwieście hektarów połamanych drzew! Coś nieprawdopodobnego. I to wszystko w dziesięć minut!

– Ktoś zginął? – Zmarszczyła czoło.

– Co? – Olgierd wyglądał na zdezorientowanego. – Nie. Chyba nie. To znaczy nie wiem, nie o tym gadałem z leśnikiem – zamotał się. – W każdym razie nic nie mówił o ofiarach. Gdzieś dalej pozrywało dachy, rozpadła się stodoła, ale to chyba wszystko. Nie licząc lasu, oczywiście – odparł i natychmiast wrócił do głównego wątku. – Mówił, że na ziemi leży około dwustu pięćdziesięciu tysięcy metrów sześciennych drewna. Żeby to uprzętnąć, będą potrzebowali co najmniej roku albo i więcej...

Herman już go nie słuchała. Dostrzegła w oddali radiowóz na sygnale, który szybko się do nich zbliżał. Kiedy ich minął, podmuch potargał jej posiwiałe włosy.

– A poza tym wiesz, co jest najciekawsze? Że w każdym żywiole możemy się przeglądać jak w lustrze – dodał.

Nie zrozumiała, o co mu chodzi.

Dopił napój z puszką, po czym postawił ją na asfalcie i rozpląszczył sportowym butem, wywołując nieprzyjemny zgrzyt.

Komisarz Maria Herman powiodła wzrokiem za policyjną kiał, która kilkaset metrów dalej wyhamowała i skręciła w las. W tę część sosnowych borów, którą żywioł łaskawie oszczędził.

Borewicz schylił się po aluminiowy odpadek i usiadł za kierownicą.

– To co, jedziemy? – spytał, wychylając się na zewnątrz. W dłoniach wciąż trzymał zdeptaną puszkę, która przypominała nierówny kolorowy dysk. Wsunął go do bocznej kieszeni w drzwiach.

Policjantka zaciągnęła się raz i drugi, po czym rzuciła peta pod nogi i roztarła go na asfalcie podeszwą zniszczonego czarnego botka. Matowa skóra cholewki, spękana na zgięciach, łuszczyła się i odginała. Przy nowych czerwonych sneakersach Borewicza buty Herman wyglądały jak obuwie majstra z podrzędnej budowy.

Usiadła obok, podczas gdy podkomisarz pocierał energicznie dłonie.

– Wiesz, którądy jechać? – spytała, a za odpowiedź miało jej wystarczyć skinienie. Zapięła pas.

Kilka kilometrów dalej, na rondzie w Dolnej Grupie, odbili na Grudziądz i prosta droga wprowadziła ich na pordzewiały most imienia Bronisława Malinowskiego. Powojenna konstrukcja łukowa, bliźniaczo podobna do mostów w Toruniu i bydgoskim Fordonie, wymagała remontu. Przeprawa była wąska, bo oprócz drogi mieściła pojedynczą nitkę torów kolejowych.

Kiedy zbliżyli się do miasta, Herman zwróciła uwagę na znajdujące się po lewej stronie wysokie ceglane spichrze ze spadzistymi dachami i wysokimi przyporami, które niczym żebra chroniły wnętrze Grudziądza. Chciała zobaczyć je z bliska, ale nie wiedziała, czy znajdzie na to czas.

Czerwone światło zatrzymało ich na skrzyżowaniu i wtedy policjantka usłyszała dzwonek telefonu. Prosta melodia wysłużonej nokii 6310i. Nie była miłośniczką aparatów retro, ale od roku miała powód, by korzystać ze starej komórki, będącej jedyną pamiątką po zmarłym ojcu.

Skręcili w remontowaną Chełmińską, gdzie po lewej straszyły ruiny dawnych zakładów mięsnych. Mieli najpierw pojechać do komendy policji, zostawić dokumenty, które Borewicz zabrał ze sobą z sekretariatu.

Wyczuła na sobie spojrzenie kolegi.

– Nie odbierzesz? – zdziwił się.

Westchnęła. Bała się nieznanym numerów. Zazwyczaj oznaczały kłopoty.

W końcu wcisnęła przycisk oznaczony zieloną słuchawką.

– Halo? – rzuciła.

– Pani komisarz Maria Herman? – rozległ się monotony głos starszej kobiety.

– Tak, to ja. O co chodzi?

– Lucyna Witberg z tej strony. Nie znamy się – zastrzegła, ale Herman wiedziała już, że ma do czynienia z matką, której w lipcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku porwano dziecko. Niemal dwumiesięczne niemowlę. W tej sprawie przyjechali do Grudziądza. – Była pani umówiona z moim mężem, Andrzejem Witbergiem.

– To prawda – odparła policjantka. Borewicz zerknął na nią i zmarszczył czoło, jakby chciał zapytać, kto dzwoni i czego chce.

– Obawiam się, że to niemożliwe – usłyszała Herman w głośniku. Miała wrażenie, że rozmawia z flegmatycznym botem.

– Dlaczego? – zdziwiła się. – Przecież zależało mu na tym spotkaniu. Poza tym jesteśmy już w mieście – dodała, taksując wzrokiem niewysokie kamienice wzdłuż drogi. Jechali wolno w długim sznurze aut, bo dwa pasy jezdní zwały się do jednego. Środkiem biegło remontowane torowisko tramwajowe. Terkot maszyny rozłupującej asfalt zagłuszał głos w telefonie.

– Chodzi o to... – kontynuowała kobieta – że mojego męża nie ma...

– Ale przecież umówił się z nami! – Herman weszła jej w słowo, nie kryjąc złości.

– Nie dała mi pani dokończyć – skarciła ją rozmówczyni. – Mojego męża, proszę pani, nie ma od wczoraj.

– Co to znaczy? Wyjechał? – skrzywiła się policjantka.

– Nie. Zaginął – westchnęła Lucyna Witberg i jej głos się załamał. – Tak jak moje ukochane dziecko.

Poprzedniego wieczora Lucyna Witberg siedziała w sypialni na taborecie przy białej toalecie z niewielkim lustrem i wpatrywała się w swoje podkrążone oczy.

Machinalnie rozczesywała przed snem długie włosy, które opadały na jej lewe ramię. Pofarbowała je niedawno na blond. Jedną ręką przytrzymywała ich końcówki, a palce drugiej dłoni zaciskały się na przetartej drewnianej rękojeści szczotki.

– Wychodzę z psem! – Usłyszała głos męża dobiegający z dołu i chrobot psich pazurów na kaflach, a zaraz potem drzwi wyjściowe zatrzęsły się głośno.

Toaletka zadrżała. Przez kilka sekund Lucyna widziała swoje odbicie niczym zakłócenia w telewizyjnej transmisji. Lekko poruszony, rozmyty obraz.

Odłożyła szczotkę i zgasiła lampkę. W ciemnościach wsunęła się pod zimną kołdrę. Przyjęła pozycję embrionalną i dygotała przez chwilę, dopóki jej ciało nie oddało ciepła i nie wygrzało pościeli.

Chciała jak najszybciej zasnąć i nie czekać na powrót męża i Kluski, siedmioletniego żółtego labradora. Obiecała sobie, że nie będzie już rozmawiać z Andrzejem, bo to i tak nie miało sensu. Musiałaby mu wykrzyczeć w twarz, że tak nie można, że wszystko powinno się zmienić, że ona już dłużej tego nie wytrzyma.

Kilka godzin wcześniej się pokłócili. Jak zawsze – o to samo. Rozdrapywali na nowo wciąż tę samą ranę, zadawali sobie ból, jakby bez tego mogli zapomnieć o tamtym lipcowym piątku przed laty, kiedy ktoś porwał ich ukochanego dwumiesięcznego Filipka.

Ich jedyne dziecko.

Poszewka poduszki wchłonęła kilka łez, a Lucyna mimowolnie wróciła pamięcią do traumatycznych zdarzeń. Chociaż tak wiele się zmieniło, tamten strach nosiła w sobie codziennie.

Z biegiem lat wyraźne obrazy, które pojawiały się pod powiekami, traciły kolory, blakły, rozmywały się jak świeża akwarela polana wodą. Z trudem już oddzielała prawdę od ułudy. Niemniej kilku rzeczy była pewna.

Filip był nadzwyczaj spokojnym dzieckiem. Łapczywie ssał pierś i potem długo spał, a Lucyna wykorzystywała ten czas na niesienie ulgi bolącym sutkom. Kładła się na łóżku obok syna, odkrywała dekolt i robiła letnie okłady z szaławii lub nagietka. Wpatrywała się wtedy w pulchną buźkę chłopczyka, a kiedy się przebudzał, obserwowała jego ciemnoniebieskie oczy i podawała mu palec, na którym zaciskał piąstkę.

Któregoś dnia, uśmiechając się do niego, śpiewała dziecięcą piosenkę o Wojtusiu, na którego mrugała iskierka z popielnika, jej synek zaś wykrzywił pełne usta, jakby sprawiła mu w ten sposób radość. A potem była już pewna, że chłopczyk się cieszy, ilekroć się nad nim pochylała. Drobnymi paluszkami próbował sięgać do jej ust i nosa, a ona łapała go za rączki i obsypywała je pocałunkami, po czym czubkiem nosa łaskotała go w brzusek. Chichotał rozkosznie.

Kochała swojego syna.

Chłopczyk był spełnieniem jej życiowych marzeń. Chciała mieć kochającego męża, dwójkę dzieci i dom z ogrodem, w którym biegałby pies. Wówczas, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim, do pełni szczęścia brakowało jej jeszcze jednego dziecka i czworonoga. Kiedy kąpała małego Filipka, myślała o ponownym zajściu w ciążę, żeby potem już nie wracać do uciążliwego prania tetrowych pieluch i ich ciągłego prasowania. Mieć to z głowy raz, a dobrze. Chociaż już wtedy jej małżeństwo miało za sobą poważne tąpnięcia i kobieta coraz częściej obawiała się, że skończy się rozwodem. Jednak trauma, która ich dotknęła, o dziwo scaliła ich związek. Lucyna Witberg o to zadbała.

Tamtego dnia, w piątek dziesiątego lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku, krótko po godzinie osiemnastej jej mąż, Andrzej Witberg, zamknął komis samochodowy. I tak jak niemal w każdy weekend – wyjechał do Monachium, by sprowadzić kolejne auta na sprzedaż.

Została w domu sama z dzieckiem. W porze obiadowej, kiedy słońce schowało się za chmurami, postawiła wózek z Filipkiem w ogrodzie w cieniu jabłoni i kończyła pracę w kuchni. Co jakiś czas wychodziła na taras i nasłuchiwała, czy synek się nie obudził, ale ponieważ spał w najlepsze, wracała do domu. Za trzecim razem podeszła do wózka i spojrzała na dziecko. Zaciśnięte piąstki spoczywały obok głowy, oczy pozostawały zamknięte. Usta poruszały się rytmicznie. Chciała go pocałować, ale zrezygnowała, bo mały mógł się obudzić. A ponieważ znowu się przejaśniło, uznała, że zostawi wózek w ogrodzie jeszcze na kwadrans.

Szczęśliwa wróciła do domu.

Kiedy szła korytarzem w kierunku kuchni, odniosła wrażenie, że wiatr zawiął mocniej, bo drzwi tarasowe zaskrzypiały głośniejsze niż poprzednio. Ale nie przejęła się tym za bardzo. Musiała tylko pamiętać, by przy najbliższej okazji poprosić Andrzeja o naoliwienie zawiasów.

I wtedy kątem oka dostrzegła ruch po prawej stronie. Nie zdążyła się jednak odwrócić, bo silne uderzenie w głowę rzuciło ją na kolana i pociemniało jej przed oczami. Bezwładnie osunęła się na podłogę.

Tylko tyle zapamiętała.

Ocknęła się oszołomiona i przerażona jednocześnie, chociaż nie krwawiła. Pod gęstymi włosami wyczuła na potylicy dużego guza, który bolał przy najdelikatniejszym nawet

dotyku. Kręciło jej się w głowie, świat wirował. Wszystko widziała jak w kalejdoskopie – obrazy nakładały się na siebie i rozjeżdżały. Ciśnienie rozsadzało czaszkę. W końcu się podniosła i ruszyła chwiejnym krokiem w stronę ogrodu. Gdy z tarasu zeszła na trawę, ziemia rozkołysała się niczym ocean w trakcie sztormu. Przystanęła i rozłożyła ręce, żeby złapać równowagę, po czym z sercem tłukącym się w klatce piersiowej podeszła do wózka.

I wtedy zabrakło jej tchu.

Sekundę później w niebo wzbił się przeraźliwy wrzask.

Lucyna Witberg zadrżała. Dramatyczne wspomnienie sprzed niemal trzydziestu lat często nawiedzało ją nocami, odbierając dech. Podczas napadów lęku się dusiła. Serce jej łomotało, jakby za każdym razem przeżywała na nowo tamten lipcowy piątek.

Zadbała o regulację oddechu i wyciszenie myśli. W końcu powieki zaczęły się robić coraz cięższe. Ale stopy wciąż były zimne jak bryłki lodu. Podciągnęła kołdrę pod brodę sennym gestem.

Nasłuchiwała.

Nic, tylko szum deszczu, miarowe stukanie kropeł o parapet.

Z tej ciszy wyłowiła jeszcze tykanie zabytkowego zegara, stojącego na komodzie w korytarzu.

Uniosła powieki raz i drugi. I ponownie odmierzała czas.

Tyk, tyk.

Sekunda za sekundą.

Zgrzyt klucza w zamku sprawił, że oderwała głowę od poduszki, ale po nim nie nastąpił odgłos otwieranych drzwi.

Przekleła cholerne omamy.

Mąż zawsze się odzywał, gdy wracał ze spaceru. Poza tym słyszałyby charakterystyczne kroki Kluski, chrobot pazurów o podłogę.

Gdzieś w oddali ujadał pies. Ale być może to także było jedynie wytworem jej wyobraźni. Ściągnęła brwi i lekko uniosła głowę, żeby wsłuchać się w pozorną ciszę. Ciszę, która niosła ukojenie.

Tyk, tyk.

Wreszcie poczuła ciepło, które otuliło ją delikatnie, a dźwięk zegara ukołysał do snu.

Tyk, tyk.

Drgnęła.

Machinalnie odwróciła głowę w kierunku dekodera telewizji satelitarnej i starała się skupić wzrok na wyświetlaczu elektronicznego zegarka, ale cyfry rozmywały jej się przed

oczami. W końcu je odczytała. Było siedemnaście po piątej.

A więc musiała przespać kilka godzin. Dałaby sobie rękę uciąć, że ocknęła się krótko po tym, jak przyłożyła głowę do poduszki.

Ciszę mącił nieustający szum deszczu.

Pościel po tej części łóżka, na której spał mąż, pozostała nietknięta.

Lucyna odsunęła kołdrę, odszukała stopami kapcie i szybko zeszła na parter, po drodze wkładając szlafrok.

– Andrzej? – rzuciła niepewnie. Miała nadzieję, że usłyszy chrapanie dochodzące z salonu, mąż mógł się tam położyć. Ale przecież zawsze, gdy schodziła na dół, Kluska ruszał w jej kierunku ze swojego posłania i machał ogonem.

Andrzej nie spał ani na sofie, ani w fotelu. Posłanie psa było puste.

Złapała poły szlafroka i podciągnęła do samej szyi. Wycofała się z salonu. I wtedy to usłyszała. Cichy dźwięk.

Stuk, stuk, stuk.

Dochodził od strony drzwi wejściowych.

Z lękiem przeszła na korytarz. Przekręciła zamek, po czym uchyliła drzwi, wpuszczając do domu powiew chłodnego wiatru, który oplótł jej nagie łydki z pełzającymi po nich granatowymi żyłakami.

Usłyszała metaliczny dźwięk, jakby coś spadło na kafle.

Lucyna Witberg wyszła na zadaszony ganek.

Deszcz ciął jednostajnie z ukosa, szemrząc u wylotu rynny. Furtka była otwarta i przy silniejszym powiewie stukała o odbojnik zainstalowany w kostce brukowej.

Stuk, stuk, stuk.

– Andrzej? – rzuciła w przestrzeń, ale odpowiedział jej tylko miarowy szum spadających kropel.

Mrowienie, które poczuła na plecach, rozeszło się po całym ciele. Z trudem przełknęła ślinę.

Lucyna Witberg cofnęła się do domu. Poszła na górę po telefon i drżącą ręką wybrała numer męża, ale nie udało jej się nawiązać połączenia. Sygnał był ciągły, a jednak Andrzej nie odbierał. Spróbowała kolejny raz i kolejny, wysłała kilka esemesów.

Cisza.

Ubrała się, włożyła kurtkę przeciwdeszczową i sięgnęła po latarkę. Rzuciła owal światła na brązowe kafle w przedpokoju, żeby sprawdzić, czy lampka działa, i chwilę później wyszła z powrotem na ganek.

Natychmiast się tam zatrzymała.

Na mrozoodpornych płytkach leżała ubłocona smycz.

3

– Pani Lucyno, nie pomaga nam pani – Herman spojrzała współczująco na kobietę. Witberg miała niewielką nadwagę. Spięte długie włosy w kolorze księżycowego blondu nie nosiły śladu odrostów.

Gospodyni bezradnie wzruszyła ramionami. W jej zmęczonych oczach malowała się troska.

– Nic więcej nie wiem – stwierdziła. – To samo powiedziałam na tutejszej komendzie – zastrzegła i złożyła dłonie na podolku.

Kiedy pół godziny wcześniej podjechali pod jej dom, dwie młode osoby, kobieta i mężczyzna, pielęgnowały ogród. On ładował do grubego czarnego worka zagrabione na trawie kopce ściętych gałęzi tuż rosnących wzdłuż płotu. Ona z kolei kuciała przy rododendronie i obrywała zeschnięte liście. Oboje mieli na sobie polary z wyszytym na plecach napisem „Serwis Ogrodniczy”.

Przed garażem stał granatowy dostawczak z odsuniętymi bocznymi drzwiami. Wewnątrz furgonu Herman zauważyła spalinową podkaszarkę i jakieś większe urządzenie z wysuniętym kołem, wyposażone w tylną oś z czarnymi zębami, które służyły prawdopodobnie do spulchniania gleby. Obok stały kosze z drobnym sprzętem i kanistry. W głębi leżały pozwijane węże ogrodowe i szmaty.

Zadzwonili do drzwi.

Policjantka wymieniła uśmiech z pracownicą w polarze. Opodal kobiety stała taca z brudnymi talerzykami, prawdopodobnie po cieście, oraz pustymi kubkami po kawie, o czym świadczyły brunatne zacieki.

Lucyna Witberg zaprosiła policjantów do środka, a następnie poszła do kuchni po herbatę. Maria Herman rozejrzała się po pokoju dziennym. Zero Siedem przyglądał się przez okno sąsiedniemu domowi z krużgankami i dwukondygnacyjną basztą.

– Mają ludzie wyobraźnię – zagadnął, ale Herman nie podjęła tematu.

Zatrzymała się przy komodzie, na której obok zadbanego fikusa o lśniących, jakby nawoskowanych liściach stało kilka zdjęć oprawionych w kolorowe ramki. Na jednym z nich Maria rozpoznała młodą Lucynę w letniej sukience, z ciemnymi włosami ledwie sięgającymi ramion. Siedziała z niemowlakiem na rękach w wiklinowym fotelu ustawionym na tarasie, a w tle widać było jabłoń. Słońce padało wprost na młodą matkę, mrużyła oczy, ale niewątpliwie się uśmiechała.

Fotografia z lat dziewięćdziesiątych nie była ostra. Nasylenie kolorów też pozostawiało wiele do życzenia.

Ciąg skojarzeń sprawił, że Maria oczami wyobraźni ujrzała rodzinne zdjęcia z albumu ojca, które przeglądała z nim przy różnych okazjach. Ona jako nastolatka, kiedy właśnie zdała egzaminy do czwartego liceum w Toruniu i czuła się panią życia. Ona z ojcem na tle wzburzonego morza. Ona z ojcem w górach, których wierzchołki niknęły we mgle. Ona z ojcem w Mikołajkach, a za ich plecami wiatr napina białe żagle łodzi.

Zawsze z ojcem, wszędzie z nim.

Ale kiedy ponad rok temu zmarł, matka zabrała albumy ze sobą i Herman pozostały jedynie te obrazy, które miała w pamięci.

Nie mogła się teraz rozkleić, więc przygryzła wargę, a następnie przyjrzała się kolejnym fotografiom schowanym za szkłem. Na jednej z nich Lucynę obejmował mąż. Na następnej młoda matka pchała niebieski wózek w białą kratkę i patrzyła prosto w obiektyw.

Zdjęcia pełne uśmiechu i radości.

Za fotografiami stała gruba świeczka w kolorze kawy z mlekiem, a obok leżały zapalki. Knot świeczki był biały, a stearyna wokół wierzchołka gładka jak lustro.

W końcu gospodyni przyniosła herbatę i usiadła na pufie. Minęło trochę czasu, zanim była w stanie cokolwiek im powiedzieć. Najpierw się rozplakała i długo wycierała chusteczką kąciaki oczu i nos.

Herman spojrzęła na Olgierda, a ten tylko przewrócił oczami. W tym momencie zadzwonił jego telefon, więc przeprosił i wyszedł na korytarz. Mimo to Maria słyszała, że rozmawia z żoną, która niedawno urodziła mu córkę, Amelię Borewicz. Zero Siódemkę, jak sam ją nazywał.

– Podsumujmy – zaproponowała komisarz, która siedziała z wyprostowanymi plecami na skraju sofy. – W minioną sobotę pani mąż wyszedł z psem na wieczorny spacer.

Kobieta skinęła głową.

– O której godzinie? – dopytała Herman.

– Około dwudziestej drugiej.

– Zawsze tak późno wychodzi?

– Zdarza się.

– Puszczą psa luzem? – Nawiązała w ten sposób do odnalezionej przez Witberg smyczy.

– Nie, nigdy. Kluska ma czarne szelki zapinane na rzep i to do nich mąż przyczepia smycz. Ale nasz pies nigdy nie ucieka, zawsze idzie obok pana. Jest bardzo posłuszny.

– Jak pani sądzi, w jaki sposób smycz znalazła się przy drzwiach?

– Nie wiem. Najpierw pomyślałam, że być może któryś z sąsiadów znalazł ją gdzieś na drodze i powiesił na klamce drzwi wejściowych, ale rozmawiałam ze wszystkimi i wiem, że

ani tamtego wieczora, ani rano nie ruszali się z domów. Nie widzieli mojego męża i Kluski.

Kąciki wąskich, nieco sinych ust Witberg ciążyły ku dołowi.

– Czy pani mąż zabrał telefon? – spytała policjantka.

– Tak. Mówiłam już to wszystko na komendzie – odparła zrezygnowana.

– Rozumiem. Przykro mi, że znowu musi pani przez to przechodzić, ale to może być ważne.

– Wiem, dlatego z wami rozmawiam, chociaż nie ukrywam, że brakuje mi już sił. Martwię się o niego. Choruje na cukrzycę, a nie ma przy sobie pena do zastrzyków. Kupiłam mu nowy, bo poprzedni gdzieś zgubił – wyjaśniła, po czym dodała: – Dzwoniłam do niego z samego rana, ale wygląda na to, że jego telefon się rozładował. Wczoraj włączała się tylko poczta głosowa. Nie wiem też, co się stało z Kluską, przecież nigdy nie uciekał, nawet jak furtka była otwarta. – Zamrugowała szybko powiekami, jakby chciała powstrzymać napór łez.

Herman potaknęła ze zrozumieniem.

Wzmianka o cukrzycy przypomniała jej, że Andrzej Witberg studiował kiedyś medycynę w Gdańsku. Podobno zrezygnował po trudnej anatomii, miał dość oglądania ludzkich zwłok i starych preparatów w formalinie. Potem dostał się na leśnictwo w warszawskiej Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Policjantka zamierzała porozmawiać z nim o powodach tej zmiany, ale – z przyczyn obiektywnych – musiała to odłożyć na potem.

– Jaka wtedy była pogoda? – Postanowiła zmienić temat.

– Padało.

– Mocno?

Kobieta zaprzeczyła.

– Nie zdziwiło pani, że mąż zabrał psa na spacer w taką pogodę?

– Jemu to nie przeszkadzało.

– Pani mężowi?

– Tak. Psu zresztą też nie.

Borewicz wrócił do salonu i stanął za fotelem.

– Niech pan usiądzie – poprosiła gospodyni, wskazując na wolne miejsce.

– Dziękuję, nasiedziałem się w samochodzie.

Herman zwróciła uwagę, że policjant wciąż trzyma aparat w rękach i obraca nim nerwowo, więc uniosła brwi.

– Muszę coś załatwić – rzucił zafrasowany. – To nie potrwa długo. Pilna sprawa. – I ponownie wycofał się na korytarz.

Chwilę później usłyszała odgłos zamykanych drzwi, a szyby w salonie lekko zadrżały.

– Czy tego dnia, kiedy pani mąż nie wrócił do domu, wydarzyło się coś nietypowego? Coś, na co wcześniej nie zwróciła pani uwagi?

Zanim Lucyna Witberg odpowiedziała, rozejrzała się w zamyśleniu po pokoju i zatrzymała wzrok na fotografiach.

– Nie. A przynajmniej niczego takiego sobie nie przypominam – uznała.

– Może odgłos samochodu?

– Samochodu? Nie. Nasze auto stoi w garażu.

– Ale może ktoś przyjechał po pani męża?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

Obie zamilkły na kilka minut. Herman postanowiła pierwsza przerwać ciszę.

– Dzwoniła pani do schroniska dla zwierząt?

– Tak, wysłałam im nawet zdjęcie Kluski. Mają mnie poinformować, gdyby ktoś przyprowadził labradora.

– Mam nadzieję, że się odnajdzie.

– Oby – westchnęła gospodyni i wbiła wzrok w psie legowisko. – Kluska ma wszczepiony czip z moimi danymi. Każdy weterynarz potrafiłby je odczytać.

– Miejmy nadzieję, że tak się stanie – Herman próbowała ją wesprzeć uśmiechem, ale kobieta wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Może – odparła i ponownie zapadła cisza, którą gospodyni wykorzystała na wydmuchanie nosa. Zmięła chusteczkę i przytrzymała ją w dłoni.

– Pani nie chciała, żeby policja raz jeszcze przyjrzała się sprawie zaginięcia pani syna, prawda? – zauważyła komisarz.

Kobieta ocknęła się.

– Byłam przeciwna angażowaniu się mojego męża w tę sprawę. A o policji to ja, proszę pani, wolę nic nie mówić, bo jeszcze bym panią obraziła. Od początku mamili nas obietnicami, ciągle twierdzili, że pracują nad sprawą, ale nic nie zrobili! Zupełnie nic! – Witberg zacisnęła pięści w bezsilnej złości.

Herman postanowiła nie odnosić się do jej słów.

– Gdyby nie działania pani męża, gdyby nie jego upór, niewykluczone, że dokumentacja ze śledztwa w sprawie porwania pani dziecka wciąż by się kurzyła w archiwum – stwierdziła po chwili.

– Zdaję sobie z tego sprawę, ale pani mnie nie rozumie – oznajmiła gospodyni.

Herman zauważyła, że kobiecie zadrzała broda.

– Dla niego nic się nie liczyło. Ani ja, ani bliższa i dalsza rodzina. Na nic nie zwracał uwagi. Schudł kilkanaście kilogramów, nie chciał iść do lekarza. Przestał o siebie dbać.

– Kiedy to się zaczęło?

Kobieta zastanowiła się nad odpowiedzią. Wbiła wzrok w podłogę i otworzyła usta.

– Andrzej ma różne fazy. Czasami rzuca się w wir pracy i zapomina o bożym świecie. Ale gdy nastawał lipiec albo zbliżały się imieniny Filipka, wtedy bywało z nim gorzej.

– Kiedy przypadają imieniny pani dziecka?

– Dziś – odparła twardo. – Trzynastego września.

Herman z trudem wytrzymała jej spojrzenie. Nie sprawdziła tej daty, w zasadzie w ogóle nie brała jej pod uwagę, kiedy przeglądała akta sprawy. Jakie to mogłoby mieć znaczenie? Żadnego. Ale może miało dla Andrzeja Witberga? Czy za tą datą krył się powód jego zaginięcia?

– Dzwoniła pani do kogoś z rodziny?

– Oczywiście. Nigdzie go nie ma. Ani u bliskich, ani u znajomych, ani w szpitalach w regionie, przytułkach i schroniskach. Nic, cisza. Przepadł jak kamień w wodę.

– Nasi koledzy z grudziądzkiej jednostki na pewno robią, co mogą – zapewniła. – Proszę być dobrej myśli.

Kobieta machnęła energicznie ręką i nabrała powietrza w płuca.

– Niech mi pani da spokój z tą cholerną policją – prychnęła.

– Czy mąż mówił, że zaprosił nas na spotkanie? – kontynuowała Herman, niezrażona.

– Tak.

– Kiedy?

– Dwa dni temu, w sobotę.

– Czyli w dniu zaginięcia.

– Tak, przed południem.

Rzeczywiście, Herman około jedenastej rozmawiała telefonicznie z Andrzejem Witbergiem i potwierdziła datę spotkania w Grudziądzu. Chciała to zrobić w piątek, ale zapomniała.

– Czekał na nasz przyjazd – dodała, a Witberg wzruszyła ramionami.

– Powiedział, że przyjedzie policyjne Archiwum X z Bydgoszczy i że ktoś na nowo zajrzy w akta sprawy. W kalendarzu ściennym zaznaczył ten dzień czarnym flamastrem i dopisał godzinę oraz pani numer telefonu. Perspektywa waszego przyjazdu całkowicie go pochłonęła. Bardzo się o to pokłóciliśmy.

– Dlaczego? – Do Marii Herman powoli docierało, że Andrzej Witberg, wbrew temu, co mówił, nie o wszystkim informował żonę.

– Oboje kochaliśmy Filipka, był spełnieniem naszych marzeń, ale nikt go nam już nie zwróci. – Po policzkach kobiety spłynęły łzy. Herman miała wrażenie, że jeżą jej się włosy na głowie. – Dużo czasu minęło, zanim się z tym pogodziłam.

– A pani mąż nie pogodził się z tym nigdy, prawda?

Kobieta pokiwała głową, po czym zapytała:

– Czytała pani akta?

– Wielokrotnie – odparła komisarz, bo znała je niemal na pamięć.

– Więc natrafiła pani na informację o grupie Toboły.

– To prawda.

– Oni nie przebierali w środkach. Ludzkie życie nic dla nich nie znaczyło. Liczyły się wyłącznie pieniądze.

– A państwo zapłacili niemały okup – przypomniała Herman.

– I nic to nie dało. – Wspomnienia musiały ciążyć Lucynie Witberg, bo wyglądała tak, jakby ta rozmowa pozbawiła ją sił.

– Co mogło się wydarzyć pani zdaniem?

Kobieta otarła policzki wierzchem dłoni.

– Sądzę, że... Że mój synek zmarł. – Zadrżała jej dolna warga. – Że już nie żył, kiedy Toboła tydzień po porwaniu zażądał od nas okupu. Może doszło do wypadku, może Filipek się zadławił? W każdym razie już nie żył, a Toboła nas wykorzystał. I jestem przekonana, że mój mąż to wie, ale udaje sam przed sobą, że jest inaczej. Nie może sobie darować, że dał się oszukać Tobole. Myślę, że w tym tkwi szkopał.

Herman przyglądała się rozmówczyni, która ponownie zawiesiła wzrok na komodzie ze zdjęciami.

Cisza świdrowała w uszach.

– Wie pani, dlaczego zajęliśmy się na nowo tą sprawą?

– Bo liczycie na to, że odnajdziecie zbrodniarza, który odpowiada za śmierć mojego dziecka i posadzicie go za kraty. Ale zostało wam niewiele czasu – kobieta zaczęła się lekko kiwać.

Przedawnienie, pomyślała Herman i kolejny raz zastanowiła się nad sensem tego pojęcia i jego normatywności w prawie karnym. Zakłada się, że po znacznym upływie czasu przestępstwo zaciera się w świadomości społecznej. Podobnie jak poczucie krzywdy u pokrzywdzonego. Chociaż to akurat wydawało się Marii bardzo kontrowersyjnym przekonaniem. Brała też pod uwagę to, że po latach zacierają się zdarzenia w pamięci świadków, przez co dowody w postaci zeznań stawały się mało wiarygodne. Niemniej przedawnienie karalności, które następuje z powodu niezalezienia sprawcy czynu, w zasadzie sprowadza się do tego, że czyn i jego konsekwencje – oczywiście tylko w sensie prawnym – w ogóle nie wystąpiły. Czasami jeden dzień decyduje o tym, czy sprawiedliwości stanie się zadość, czy też sprawca uniknie kary.

Herman pamiętała z okresu studiów dywagacje na zajęciach z filozofii prawa, które odwoływały się częściej do norm etycznych aniżeli do zapisów w kodeksach. Chodziło między innymi o to, co należałoby zrobić w sytuacji braku ustawowego przedawnienia, jeśli po ponad trzydziestu latach od popełnienia zbrodni schwytyany sprawca okazałby się

niedoleżnym starcem z zaawansowanymi zmianami otępiennymi. Czy kara nałożona na przestępcę, który nie ma świadomości jej odbywania, nadal spełnia swoją funkcję, czy pozostaje jedynie zorganizowaną w ramach prawa formą przemocy i opresji?

Herman wspominała studenckie czasy i gorące dyskusje na takie właśnie tematy, które prowadzili ze znajomymi w toruńskich pubach. Próbowali być mądrzejsi od swoich wykładowców i całkowicie oddani ideałom. Z czasem jednak praktyka zawodowa temperowała ich wyraziste poglądy.

Policjantka z trwogą uzmysłowiła sobie, że gdyby odnalazła zabójcę dziecka Lucyny Witberg, ale spóźniłaby się z jego wskazaniem i nastąpiłoby przedawnienie karalności, nie umiałaby spojrzeć jej w twarz.

Gospodyni, ubrana w dzinsy i czerwony polar, nieznacznie kiwała się na pufie, jakby to ona została porwana przed laty i cierpiała na chorobę sierocą.

– Ma pani rację. Przedawnienie to jeden z głównych powodów – potwierdziła Herman. – Ale nie jedyny.

Witberg drgnęła i przekrzywiwszy głowę, skupiła wzrok na policjantce.

– Nie?

– Na początku lat dziewięćdziesiątych działalność grup przestępczych rozwijała się niebezpiecznie szybko. Napady, porwania dla okupu i haracze, a także sutenerstwo, hazard i narkotyki. To był ich główny zakres działania, a policja i przepisy prawa nie nadążały za rzeczywistością. Nie mówiąc już o korupcji, także w naszych szeregach – wyznała Maria.

– Pierwszy raz słyszę, żeby przedstawiciel policji kłał swoje gniazdo – zauważyła z uznaniem kobieta, a Herman poczuła, że mówiąc o korupcji, zawiązuje nić porozumienia z Lucyną Witberg.

– Jest tylko jedno ale – zauważyła komisarz.

– Jakie?

– W tamtych latach policjanci skupili się w zasadzie wyłącznie na jednej wersji śledczej. Tej, która uznawała, że za porwaniem dziecka stoi gang Toboły. Ci, którzy przejęli teczkę dotyczącą porwania pani dziecka, nie znaleźli alternatywnych rozwiązań. Mówiłam o tym pani mężowi.

– Do czego pani zmierza? – zainteresowała się Witberg.

– Do tego, że gang Toboły nigdy wcześniej ani później nie porwał żadnego dziecka – wyjaśniła Herman.

– Po tym, co się stało, być może się opamiętali.

– Nie sądzę. To znaczy, nie o to chodzi – poprawiła się policjantka.

– Nie? W takim razie o co?

– O to, że porwanie niemowlęcia zawsze jest obarczone dużym ryzykiem – odparła, gdy w wejściu do salonu stanął Borewicz.

– Co pani sugeruje? – zaskoczona Witberg spojrzała jej w oczy.

– Tylko to, że Tobała być może nie miał z tym nic wspólnego.

4

– Jak mogłaś jej to powiedzieć? – Zero Siedem próbował zapiąć pas, ale nie mógł trafić zaczepem do slotu. – No, co jest, kurwa!

W końcu, gdy w oknie kuchennym domu Witbergów poruszyła się firana, usłyszeli metaliczny klik. Borewicz mruknął coś niezrozumiale, a potem uruchomił silnik. Wrzucił ze zgrzytem jedynkę i mocno nimi szarpnęło. Opony wżerały się w gruntową nawierzchnię, pełną dziur wypełnionych deszczówką. Trzeszczały plastiki, coś łupnęło w bagażniku, ale kierowca się tym nie przejął.

– Po jaką cholerę wygadywałaś te głupoty? – Zacisnęła ręce na kierownicy.

– Rozmawialiśmy już o tym.

– I chuj, że rozmawialiśmy. Prawda jest taka, że gówno wiemy. – Gestykułował nerwowo, puszczając kierownicę. – Może Toboła porwał dzieciaka, a może nie. Nie wiesz tego i tyle. Nie mamy żadnej pewności! Żadnej, kurwa, pewności, rozumiesz? To tylko hipoteza. Nie musiałaś jej o tym mówić. Po co wywoływać demony?

– O co tak naprawdę się wściekasz, co? – Odwróciła się do niego, zirytowana połajankami.

– Równie dobrze mogłaś jej powiedzieć, że będziemy przesłuchiwali sanitariuszy z karetki, którzy ratowali Witberga. – Napięcie nie schodziło z twarzy policjanta.

Ale przynajmniej wreszcie zamilkł.

Wyjechali na drogę asfaltową, a nieco dalej Borewicz skręcił w zjazd na średnicówkę. Zamierzali dostać się do komendy szybszą trasą. Nie dojechali tam wcześniej, bo kiedy Herman odebrała połączenie od Lucyny Witberg, zdecydowali, że najpierw pojedą do niej na Irysową.

– Nie obstawiaj wyników tej sprawy jak w bukmacherce. Po prostu tego nie rób. To ci może zaszkodzić – ostrzegł Borewicz.

Poczuła, że zalewa ją fala wściekłości. Zrobiło jej się gorąco i musiała odciągnąć wełniany golf od szyi, żeby nabrać powietrza. Potem zacisnęła pięści. Chciała zmieszać Borewicza z błotem, ale w porę ugryzła się w język. Panuj nad emocjami, nakazała sobie, jeśli wezmą nad tobą górę, będziesz w dupie. Nie mogła dać mu się sprowokować, bo wtedy już zawsze uderzałby w jej najczulszy punkt.

Odczekała kilka chwil, wpatrując się w krajobraz za boczną szybą i licząc uderzenia serca.

– Nie obstawiam – odparła w końcu.

– Dokładnie to robisz. – Postukał palcem wskazującym w udo. – Obstawiasz, że nie było tak, jak jest zapisane w papierach, i przyjmujesz za pewnik, że wiesz, co zrobił Toboła,

a czego nie zrobił! Otóż, kurwa, nie wiesz, co zrobił ten chory kutas. Nie wiesz i już!

Herman wodziła wzrokiem po ciemniejszej zieleni drzew oddalonych od jezdni i jaskrawszym odcieniu łąk, powypalanych gdzieniegdzie przez niedawne upały.

– Wypierał się tego porwania za każdym razem – przypomniła.

– Ale jakoś tak się złożyło, że sąd go za nie skazał, prawda?

– Dobrze wiesz, jak działały wtedy policja, prokuratura i sądy. Przylepili mu tego niemowlaka, żeby mieć porządek w papierach, ład w statystykach i sukces w mediach. Mało było takich przykładów w historii? – broniła się.

– Znasz te akta czy nie, do cholery? – skrzywił się.

– Spędziłam z nimi więcej czasu niż ty – odgryzła się i oboje zamilkli.

Mimowolnie wróciła pamięcią do opasłych teczek zawierających dokumenty ze śledztwa.

Zgłoszenie o porwaniu niemowlęcia przyjęto dziesiątego lipca. Dokładnie tego samego dnia, w którym Hanna Suchocka jako pierwsza kobieta w historii Rzeczypospolitej stanęła na czele rządu.

Do komendy policji, która wówczas znajdowała się przy Piłsudskiego, zgłosiła się zapłakana matka. Poinformowała dyżurnego o napaści w jej domu i porwaniu dziecka. Kobietę przywiózł do komendy polonezem jej sąsiad, Antoni Wyrwicki, a jego żona została w domu Witbergów. Mąż Lucyny był wówczas w drodze do Niemiec i nikt nie miał z nim kontaktu. Wrócił dwa dni później, w niedzielę, późnym popołudniem.

Rok wcześniej Andrzej Witberg odszedł z Nadleśnictwa Jamy i założył firmę. Uruchomił komis samochodowy z warsztatem przy Szosie Toruńskiej. Wracał późno z pracy. Niemal w każdy weekend jeździł do kuzyna do byłej RFN i sprowadzał stamtąd używane samochody, a potem także sprzęt hi-fi, telewizory, miniwieże, magnetowidy i drobne AGD. Na polskim rynku wszystko szło jak leci. Cokolwiek przywiózł, znikало z placu i półek w pawilonie, w którym prezentował sprzęt elektroniczny. Później ściągał samochody na zamówienie. Notował wytyczne kupca w zielonym zeszycie, który żona kupiła mu w sklepie z dewocjonaliami i artykułami papierniczymi przy Kościelnej naprzeciwko fary. Nakreśliła na kartkach tabelę zgodnie z jego wymogami. Marka, model, pojemność, kolor, cena od–do oraz sporo miejsca na uwagi. Herman pamiętała ten notes, przeglądała go wiele razy, gdy sprawdzali, czy któryś z klientów Witberga mógł stać za porwaniem dziecka. Witberg był skrupulatny, notował w tym kajecie wszystkie uwagi kupujących, które zgłaszali w dniu odbioru samochodu, również tych niezadowolonych, a także szczegóły rozliczenia i ewentualne upusty od ustalonej ceny.

Szło mu nieźle.

Andrzej Witberg na handlu miesięcznie potrafił zarobić więcej niż w nadleśnictwie przez cały rok. A kiedy jego żona zaszła w ciążę, kupił dom na Irysowej. To ona zeznała, że w tamtym okresie mąż przywoził gotówkę – złotówki i marki niemieckie – upchaną

w reklamówkach Marlboro. Wjeżdżał oplem asconą na teren działki i ukryty za krzakami wnosił kasę do korytarza. Część chował do sejfu, a część w specjalnie przygotowanych skrytkach. Nie trzymali pieniędzy w banku, a w każdym razie nie wszystkie, bo Witberg stale nimi obracał.

Z zeznań Lucyny Witberg wynikało ponadto, że kobieta dobrze wspominała te czasy – chociaż inflacja galopowała, ceny rosły z tygodnia na tydzień, ona opływała w dostatki.

Jednak Andrzej nagle się zmienił. Wciąż wracał późno do domu, często wpadał w gniew i szybko się irtował. Którejś nocy trząśł się i szcząkał zębami. Wtedy po raz pierwszy powiedział jej o tym, że do komisju przyjechali ludzie Toboły.

Alfred Tobołkowski, o którym w Grudziądzu krążyły legendy, miał prosty przepis na sukces. Zarabiał na tym, że wiedział, komu żyje się dobrze. Zatrudnił kilku mięśniaków i psuł krew restauratorom w centrum, a potem dobrał się do właścicieli komisów samochodowych, kantorów i stacji benzynowych. Trudnił się sutenerstwem, a jego żona podobno prowadziła burdel przy trasie na Dolną Grupę. Ludzie Toboły oferowali „ochronę” przed gangiem z Gdańska, który w dążeniu do osiągnięcia zysków nie przebierał w środkach.

Ta „ochrona” Toboły oczywiście kosztowała i Andrzej nieopatrznie odrzucił propozycję. Wtedy mężczyźni się ukłonili i odjechali.

Następnego dnia, krótko po szesnastej, kiedy plac ze lśniącymi w słońcu samochodami odwiedzały całe rodziny, pod bramą komisju zaparkowało czarne bmw. Wysiadło z niego trzech bandytów z kijami bejsbolowymi w rękach. Huk tłuczonych szyb i blach granatowego mercedesa, dopiero co ściągniętego z Niemiec dla prominentnego polityka z Bydgoszczy, sprawił, że Andrzej pobladł.

Akcja trwała krótko, akurat tyle, żeby wszyscy klienci zdążyli w popłochu opuścić plac. Kiedy samochód został doszczętnie zdemolowany, jeden z bandytów obiecał Andrzejowi, że za tydzień wróca do autokomisju z kanistrami benzyny. Przypomnieli mu, że znają adres jego domu. A także imię jego dziecka.

Witbergowie zgłosili to na policję, ale obawiali się, że macki Toboły sięgają wszędzie, również – a może w szczególności – komendy. W tamtych latach policja rzadko podejmowała równorzędną walkę z gangami. Funkcjonariusze nie mieli odpowiednich narzędzi, byli przepracowani, słabo opłacani, a drobna przestępczość szalała.

Dlatego Andrzej po rozmowie z żoną zrozumiał, że jeśli chce nadal żyć i zarabiać, musi Tobole odpalić część zarobku.

Tylko że nie uratował w ten sposób syna.

– Okej, nie przepracowywałem się ostatnio, to fakt – przyznał Borewicz, przecierając twarz dłonią.

Zjeżdżali właśnie z wiaduktu w pobliżu galerii handlowej z carrefourem, przy której po obszernym parkingu hulał wiatr.

– I nie powinienem podnosić głosu – dodał.

Maria zrozumiała, że to ma jej wystarczyć za przeprosiny. Od chwili narodzin Amelii Borewicz chodził na rzesach, z przemęczenia nieraz zasypiał w biurze nad papierami. W pracy się nie oszczędzał, w domu też czekały go obowiązki.

Nie usprawiedliwiała go, ale przynajmniej starała się zrozumieć. Nie dosypiał, jadał byle co. W ciągu kilku ostatnich miesięcy sporo przybrał na wadze. Zrobił się drażliwy. Nie pamiętała go takiego.

– Znowu żona? – spytała, a kolega skinął głową. – O co poszło tym razem? Mała broi?

Borewicz nadał policzki, po czym wypuścił powietrze.

– Na to wygląda – odezwał się, kiedy mijali castoramę.

Skręcili w prawo i snuli się wzdłuż budynków zajmowanych przez hurtownie. Nieco dalej minęli halę sportową MKS-u Start.

– Ale wiesz, że jej też jest ciężko? – Herman wzięła stronę Kingi.

– Tylko na to czekałem, kurwa – jęknął. – Na tę waszą babską solidarność...

– Niedawno urodziła. Potrzebuje twojej pomocy i zainteresowania. Całe dni jest w zasadzie sama z córką. To potrafi wykończyć – zapewniła, chociaż co ona mogła o tym wiedzieć? Nie miała rodziny, nigdy nie była w ciąży.

– No, jeśli chcesz mnie dalej wkurwiać, to brawo! Dobrze ci idzie – zezłościł się.

Herman machnęła ręką i odwróciła twarz do bocznej szyby.

Jej wzrok padł na wielki billboard ze zdjęciem Mateusza Borka, sprawozdawcy sportowego i gwiazdy mediów, reklamującego z uśmiechem zakłady bukmacherskie.

Policjantka drgnęła i oblał ją zimny pot.

Zacisnęła dłoń na plastikowym uchwycie przy drzwiach, przymknęła oczy.

Pod powiekami zaczęły jej wirować liczby rozdzielone od siebie dwukropkiem. Dziesiątki, setki, tysiące wirujących zestawów liczb. Wyniki meczów sportowych.

Ocknęła się, dopiero gdy Borewicz zatrzymał wóz i zgrzytnęła dźwignia hamulca ręcznego.

Znajdowali się na parkingu Komendy Miejskiej Policji w Grudziądzu.

– Maria?

Herman czekała na Borewicza przy samochodzie. Odpaliła chesterfielda, po czym przymknęła oczy i wystawiła twarz do słońca, korzystając z krótkiego przejaśnienia. Kolejne chmury nadciągały ze wschodu.

Na dźwięk swojego imienia odwróciła głowę.

W drzwiach znajdujących się na tyłach komendy, dużego czterokondygnacyjnego gmachu ze spadzistym dachem, przypominającego dawne wojskowe zabudowania, których pełno było wokół, uśmiechał się inspektor Mariusz Jeziorski. Nie poznała go bez munduru. Czarne dzinsy, wyglansowane półbuty. Golf w tym samym kolorze ukrywał się pod dobrze skrojoną szarą marynarką. Szczupły, wysoki mężczyzna wsunął plastikową teczkę pod pachę i zrobił kilka kroków w jej stronę.

Zgasiła peta i odkleiła się od toyoty corolli.

– Góra z górą! – rzucił komendant z życzliwym zainteresowaniem, chowając do kieszeni maseczkę, którą zdążył ściągnąć po wyjściu z budynku.

– Cześć, Mariusz – odparła niepewnie, a w jej głowie uruchomiła się cała lawina pytań. – Prowadzę starą sprawę na twoim terenie.

– Racja, przecież przeszedł do Archiwum X. Słyszałem, słyszałem. No, pani komisarz Herman, gratuluję! – Przytulił ją po przyjacielsku z szerokim uśmiechem. – Awans zawsze w cenie – dodał, po czym przyjrzał jej się z nieukrywaną serdecznością. – Kurczę, zaprosiłbym cię na kawę, ale mam zaraz nasiadówę w ratuszu. No chyba że poczekaasz?

Przemilczała gratulacje i to, że przeniesienie do zespołu spraw niewykrytych uznał za awans.

– Nie dam rady. – Unikała jego wzroku. – Czekam na kolegę i zawijamy się do Bydgoszczy.

– Cholera, szkoda. A co to za sprawa? – spytał, ale zanim zdążyła otworzyć usta, odezwał się znowu: – A zresztą nie mów! Opowiesz mi na spokojnie, jak mnie odwiedzisz. – Wyjął z kieszeni kluczyki do auta. – Bo rozumiem, że teraz będziesz wpadała tu częściej, co?

– Niewykluczone.

– No to czekam! Tylko zadzwoń wcześniej. – Zrobił dwa kroki w stronę nowoczesnego granatowego opla i auto zamrugało awaryjnymi. Zgrzytnęły głucho zamki.

– Niewykluczone – powtórzyła cicho, a on uniósł rękę na pożegnanie, po czym szarpnął kławkę.

Odetchnęła i ponownie skierowała twarz do słońca. Nie zarejestrowała jednak głucho trzaśnięcia drzwi ani warkotu uruchamianego silnika. Zamiast tego usłyszała kroki na splekanym betonie i zgrzyt piachu pod podszwami.

Uniosła jedną powiekę.

– Słuchaj, a jak twoja matka? – Jeziorski przyglądał jej się z uwagą.

– Matka? – Poczula skurcz mięśni grzbietu. – W jakim sensie?

– No, jak się czuje po tej operacji?

– Jakiej operacji? – Zaskoczył ją. Drżącymi palcami wyciągnęła z paczki papierosa i zapaliła.

– W zeszłym roku zbierałaś dla niej kasę na zabieg usunięcia zaćmy. – Zabębnił palcami o kolorową teczkę.

Herman odwróciła głowę i ponownie nabrała dymu w płuca. Serce przyspieszyło i dudniło w klatce piersiowej.

Znowu stała przed okienkiem zakładów bukmacherskich i pewna swoich typowań płaciła grubym plikiem setek, obstawiając wynik zbliżających się meczów w angielskiej Premiership czy hiszpańskiej Primera División. Widziała okrągłą twarz kasjera, mężczyzny z lisią twarzą i spiczastą brodą, który beznamytnie przeliczał banknoty brudnymi paluchami, po czym drukował kwit i przesuwiał go po blacie w jej stronę. A wieczorem Herman wpadała w rodzaj transu, otępienia, kiedy krążyła niespokojnie po pokoju jak lew po klatce, obserwując relację z meczu piłki nożnej. Obgryzała paznokcie do krwi i czuła drżenie wszystkich mięśni i każdego organu. W przerwie, zgrzana od emocji, potrafiła obstawiać kolejne wyniki, tym razem w internecie, na smartfonie.

Jednak od roku była czysta. Trzeźwiała, chodziła na terapię dla anonimowych hazardzistów. Od roku, dzień po dniu, walczyła o to, by być wolną i nie zagrać. Nie dać się porwać emocjom, które targwały nią wcześniej i często wypluwały na świat oszołomioną, splukaną, bezbronną, z poczuciem krzywdy wyrządzonej sobie i bliskim. Nie poznawała siebie. Coraz częściej nie chciała też siebie znać. Bo kiedy hazard miał nad nią władzę, odmieniała zaimek „ja” przez wszystkie przypadki. Ja to, mnie tamto, ze mną, o mnie, ciągle ja i tylko ja. Dlatego musiała nauczyć się walczyć z własnym egocentryzmem, z przekonaniem, że świat zawęży się wyłącznie do niej i do jej pola widzenia.

Wtedy była dla siebie prawdziwym zagrożeniem. Uzależnienie sprawiło, że nosiła w sobie metodyczną samozagładę, niczym ciężę z gwałtu, nowotwór złośliwy z przerzutami lub ciało obce zaszyte w pośpiechu przez roztargnionego chirurga. Ale tej skazy, której być może nie było widać na pierwszy rzut oka, nie mogła się pozbyć zwinnym ruchem skalpela.

Spojrzała komendantowi w oczy, a potem spuściła wzrok.

– Nie było żadnej operacji. – Ściągnęła brwi. Poczuli się jak ostatnia szmata. Wstyd zalał ją nagłą falą i przytłoczył. Policzki zapłonęły i nabrała ochoty, by uciec z tego miejsca, byle dalej od Jeziorskiego.

– To znaczy? – Mężczyzna nie krył zdziwienia. – Przelałem kasę na twoje konto. Mówiłaś, że trwa zbiórka na komendzie, że...

– Zwrócę ci ją – weszła mu w słowo. – Pożyczyłam, bo jestem hazardzistką. Na pewno doszły ci słuchy. – Kątem oka zobaczyła, że Jeziorski rozłożył ręce ze zdziwienia.

– No tak, ale mówiłaś, że matka...

– Mariusz, to moja wina. – Założyła przedramiona na klatce piersiowej i podniosła dłoń z papierosem do ust tylko po to, żeby ukryć jej drżenie. Wstyd nie odpływał. Pograżała się w nim, czując, że nie ma prawa tu być. Jakby była gorszym człowiekiem od szefa

grudziądzkiej policji. Mimo to ośmieliła się spojrzeć mu wreszcie w twarz. – Oszukałam cię. Jestem hazardzistką. Ale chodzę na terapię, leczę się. Na pewno oddam ci te pieniądze.

Jeziorski nie wiedział, co powiedzieć.

– Wstyd mi, naprawdę – dodała Herman, lecz na komendancie nie zrobiło to wrażenia. Stał przez chwilę oniemiały.

– Dałem się oszukać. – Uśmiechnął się smutno, po czym ruszył w stronę samochodu.

– Mariusz? – rzuciła za nim.

Przystanął i gwałtownie podniósł rękę, dając znak, by zamilkła. Odwrócił się powoli.

– Nie dopraszałem się o zwrot pieniędzy, bo było mi głupio, wiesz? Było mi głupio! Myślałem, że może operacja się nie udała, że trzeba jeszcze raz... Zresztą, cholera wie...

– Naprawdę mi przykro. Ale oddam – powtórzyła obietnicę, a komendant z rezygnacją machnął ręką. – A skoro już się widzimy, to chciałam cię zapytać... – próbowała zmienić niewygodny temat i poruszyć sprawę Witbergów, ale nie dokończyła, bo mężczyzna wsiadł do opla i trzasnął drzwiami.

Granatowy sedan wycofał się po cichu z miejsca parkingowego, po czym silnik zaskoczył i auto ruszyło przed siebie. Jeziorski minął ją, nie odwracając głowy, jakby mijał słup.

W tym momencie w drzwiach komendy zobaczyła Olgierda.

Przeszedł kilka kroków. Zdziwiła się, że nie skierował się do drzwi kierowcy, tylko podszedł do niej.

– Coś ty taka blada? – zainteresował się. – Już wiesz?

– O czym?

– Widziałem z okna sekretariatu, że gadałaś z Jeziorskim – wskazał na opla, który skręcił i zniknął za narożnikiem budynku. – Pewnie już ci wszystko powiedział, co?

– Ale o czym, do cholery? – warknęła.

– No, o Witbergu.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Olgierd wypuścił powietrze, przetarł łysinę, rozejrzał się po dużym placu parkingowym, rozciągającym się za siatką ogrodzeniową, po czym zatrzymał wzrok na Herman.

– Andrzej Witberg nie żyje.

5

– Poczekaj. Jeszcze raz – poprosiła, kiedy włączyli się do ruchu na Chełmińskiej i zaczęli lawirować między biało-czerwonymi pacholkami drogowymi. – Co on tam robił? – zapytała bardziej siebie niż Borewicza.

– Może muchy łapał. Skąd mam to, kurwa, wiedzieć?

– Taki kawał od domu? Akurat tam, gdzie niedawno przechodziło tornado? – Herman trudno było w to uwierzyć.

– Leśnicy go znaleźli. I to w zasadzie przypadkowo. Gdyby nie skutki trąby powietrznej, to kto wie, ile czasu by zleciało, zanim ktoś by się natknął na jego zwłoki.

Policjantka przypomniała sobie radiowóz na sygnale, który minął ich, gdy przyglądali się skutkom żywiołu w Nowych Marzach.

– Kiedy go znaleźli? – dopytała, przyglądając się dwóm pracownikom firmy drogowej, którzy w pomarańczowych kamizelkach odblaskowych siedzieli na rancie wykopu i popijali wodę z plastikowych butelek.

– Podobno kilka godzin temu, przed siódmą. Nasi zabezpieczyli teren, chociaż w zasadzie niewiele tam było do zabezpieczania. W każdym razie porobili zdjęcia i szkice sytuacyjne i przyjrzeni się ciału. Zdaniem lekarza z nocnej opieki nie budziło podejrzeń. Drobne rany przyżyciowe, kilka zadrapań, jakieś tam otarcia i dwa niewielkie siniaki.

– Sińce.

– Co?

– Siniaki to grzyby. Denat miał sińce.

Borewicz machnął ręką.

– W każdym razie – kontynuował – stężenie pośmiertne wykształcone i utrzymane, widoczne plamy opadowe. Żadnych znamion zbrodni. Dlatego wsadzili chłopca w czarny wór i wysłali do grudziądzkiej chłodni, gdzie będzie czekał na sekcję.

– Znamy czas zgonu?

– Żartujesz, tak? Przecież wiesz, jak wieczornik podchodzi do trupa. Dotknie ciała, żeby sprawdzić, czy zimne, uniesie koszulę, żeby zerknąć na plamy opadowe, i to wszystko. Zwłok oczywiście nie odwrócił, pewnie się bał, żeby nie przełamać stężenia pośmiertnego. I to akurat dobrze. Ale o dokładnym czasie zgonu zapomnij. Nie potrafił tego określić. – Olgierd zrobił dłuższą pauzę i skupił się na prowadzeniu toyoty. – A w ogóle to leśnicy myśleli, że gość jest ofiarą tornada, no wiesz, że wir go porwał i wyrzucił kilkadziesiąt

metrów dalej. Podobno znane są takie przypadki, ale, co ciekawe, ludzie w zasadzie wychodzą z takich sytuacji bez szwanku.

– Jest tam ktoś jeszcze?

– Z naszych?

– No, a o kogo pytam, do cholery? – zirytowała się.

– Chyba nie. Rozpytali leśnika, który znalazł ciało Witberga, potem gadali z miejscowymi z pobliskich gospodarstw, ale nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. Standard.

– A pies?

– Ani śladu.

Wjechali na szczyt wiaduktu ze skrzyżowaniem ze światłami i Borewicz zjechał na lewy pas, ten z torowiskiem tramwajowym. Wrzucił kierunkowskaz, rozległo się miarowe tykanie. Dalej, po lewej, wyrastała galeria handlowa Alfa z kolorowymi reklamami na fasadzie. Po prawej zaś, za drogą odprowadzającą ruch z mostu w stronę obwodnicy, rozciągały się zabytkowe zabudowania jakiejś przedwojennej fabryki.

– Dali znać jego żonie? – Herman przypomniała sobie o kobiecie, która niecierpliwie czekała na wieści o mężu.

– Nie mam pojęcia. Nie pytałem.

Policjantka sięgnęła po komórkę i odszukała numer Lucyny Witberg, ale rozsądek zwyciężył. Wiedziała, że nie przekazuje się takich informacji przez telefon.

– Co o tym myślisz? – rzuciła w kierunku Olgierda.

Stojący przed nimi dostawczak z brudną granatową plandeką ruszył ze skrzyżowania. Borewicz podążył jego śladem, włączając wycieraczki, które zagarniały z szyby brudną mgiełkę podrywaną z asfaltu.

– A bo ja wiem? – Zamyślił się.

– Pojedziemy tam i się rozejrzemy – zdecydowała, a Zero Siedem zaakceptował to skinieniem głowy.

Przez most i długą prostą do Dolnej Grupy przejechali zatopieni w myślach. Dopiero kiedy Borewicz zjechał z ronda, obierając kierunek na Nowe Marzy, potarł nos i odezwał się do Herman:

– Jeśli założymy, że za porwaniem niemowlaka Witbergów nie stoi Toboła, to w takim razie kto? – spytał.

Zaskoczył ją. Nie spodziewała się, że po kłótni na ten temat Olgierd będzie miał ochotę na luźne rozważania dotyczące wersji śledczych. Ale nie zdążyła odpowiedzieć, bo Borewicz dodał:

– Opieka nad Amelką, te wszystkie nieprzespane noce i stan Kingi, to jej ciągle marudzenie, sprawiły, że zawałem przygotowania do tej sprawy – wyznał, skupiając się na

drodze. Jechali wolno tuż za cysterną i Olgierd szukał okazji, żeby ją wyprzedzić, ale spory ruch pojazdów jadących z przeciwka skutecznie mu to uniemożliwił. W końcu odpuścił i oparł głowę na zagłówku. – Nie chcę się usprawiedliwiać, nie o to chodzi, ale prawda jest taka, że powinienem lepiej znać materiały ze śledztwa.

Herman przyjęła to wyjaśnienie.

– Gdybym wiedziała, kto za tym stoi, sprawa byłaby już rozwiązana – wróciła do niedawnego pytania kolegi. – W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym gang Toboły objawił się po raz pierwszy. Ludzie Alfreda zdemolowali Ratuszową, a jej właściciela skatowali i nagiego przywiązali nocą do pomnika Mikołaja Kopernika w pobliżu kościoła pod wezwaniem Świętego Franciszka Ksawerego. Kojarzysz ten niewielki skwer?

– Tak, to w pobliżu ratusza, nie?

Potwierdziła.

– Potem brutalne napady w zasadzie ustały, bo tą jedną robotą, dzięki mediom, które nagłośniły sprawę, Toboła utorował sobie drogę do innych. Ludzie zaczęli się go bać i bez wahania płacili mu haracz. A on rozszerzał działalność na inne branże i szybko się bogacił. Zastanawiałam się więc, po jaką cholereę rok później miałby porywać niemowlę. Po prostu wydaje mi się to głupie.

– Zażądał okupu.

– Jego ludzie – poprawiła kolegę. – Ale tak, to prawda. Niemniej zrobili to dopiero tydzień po porwaniu. Strasznie długo zwlekali. W gazetach i w telewizji niemal codziennie publikowano zdjęcia płaczących Witbergów i pustego wózka.

– Chodzi ci o to, że Toboła skorzystał z okazji? – Borewicz zredukował bieg, wdepnął gaz do oporu i zabrał się do wyprzedzania cysterny. Zza wzniesienia naprzeciwko wyłoniła się biała osobówka i mrugała ostrzegawczo długimi światłami.

Marii serce podeszło do gardła i wcisnęła się w fotel, a Borewicz przysunął się do kierownicy. Silnik wył na wysokich obrotach. Służbowa toyota zjechała na swój pas w ostatniej chwili i wozem aż zakolysało.

Maria nabrała powietrza. Nie zamierzała komentować manewru.

– Tak, mam wrażenie, że Toboła albo któryś z jego ludzi po prostu podszył się pod porywacza – wróciła do rozmowy.

– A co by to oznaczało? Że ktoś porwał dziecko nie dla okupu?

Herman pokiwała głową.

– Mogło chodzić o handel ludźmi. Ale Toboła i jego żołnierze byli za głupi na taki interes. To byli gangsterzy w dresach z kreszu, prości przestępcy, nastawieni na mordobicie i szybkie pranie kasy.

– W takim razie kto?

Wiatr rozbijał się o karoserię pędzącej toyoty i szumiał głośno przy bocznych szybach.

– Zwolnij, bo przejedziemy.

Borewicz zdjął nogę z pedału gazu. Samochód zaczął wytracać prędkość. Kawalek dalej po obu stronach jezdni zobaczyli kilkudziesięciometrowe wyrwy w ścianach sosnowego lasu.

Minęli przestrzeń wypełnioną powalonymi drzewami i pracujące tam maszyny oraz grupę pilarzy ręcznych. Kilkaset metrów dalej Herman wskazała kierowcy drogę, tę, w którą kilka godzin wcześniej, jak zapamiętała, skręcił radiowóz.

Potoczyli się po nierównościach w głąb ciemnego lasu.

– Jeśli nie Toboła, to kto?

– Nie mam pojęcia.

– A co mówią pierwsze strony akt?

– Masz na myśli starą policyjną zasadę, że sprawca zawsze znajduje się w dokumentach ze śledztwa? – spytała.

– W Archiwum X często tak bywa, nie?

– Jeśli mam być szczerą, to nie mam zaufania do starszych kolegów, którzy sporządzali wtedy dokumentację. Sam wiesz, jak to wszystko wyglądało.

Zgodził się z nią.

Wysoka trawa porastająca środek leśnego duktu tarła głośno o podwozie corolli, a pnie mijanych drzew zdawały się na wyciągnięcie ręki.

– Dobra. Przypomnij, co było dalej – poprosił Zero Siedem.

– Po tygodniu od porwania pojawiło się pierwsze żądanie okupu. Lucyna Witberg znalazła w skrzynce na listy dużą kopertę. Wewnątrz była kartka z kilkoma prostymi zdaniami złożonymi z wyciętych z gazet i przyklejonych liter. Dziecko jest zdrowe. Jeśli ma żyć, nie idź na policję. Dowiemy się. Nikomu nic nie mów. Przygotuj sto milionów. Czeka.

– Pamiętam te sto milionów – rzucił Olgierd.

– To mniej więcej równowartość trzech rocznych pensji szarego obywatela trzeciej RP.

– No, czyli dla Witberga to nie była jakaś niedostępna kwota – skomentował i odbił w prawo na rozwidleniu dróg. Nieco dalej las zaczął się przerzedzać i w kabinie pojaśniało.

– Jak miał komis, to musiał obracać większą kasą.

– Dlatego zgodnie z żądaniami, po pierwsze, nie poinformował policji, a po drugie, spakował szmal do torby i czekał na sygnał.

– Odezwali się po kolejnych trzech tygodniach, nie?

– I to już budzi poważne wątpliwości – zaznaczyła.

– Że tak długo czekali?

– No tak, bo mam wrażenie, że po prostu badali, co się w tej sprawie wydarzy.

Borewicz podrapał się po szyi.

– Ma to sens. Kontynuuj – poprosił.

– No więc pojawił się sygnał. To było w niedzielę dziewiątego sierpnia. Padało. List, który leżał przyciśnięty kamieniem na zadaszonym ganku, trochę się zmoczył. Tym razem Witbergowie otrzymali zdjęcie dziecięcej piąstki leżącej na „Gazecie Pomorskiej” z datą trzeciego sierpnia. Nie udało się ustalić, czy rączka rzeczywiście należała do Filipa, niemniej kiedy Lucyna Witberg zobaczyła tę fotografię, zemdlała. Oprócz zdjęcia w kopercie był list z informacją, że Andrzej Witberg ma przyjechać po pierwszej w nocy na Górę Klęczkowską. Metoda ta sama, gazetowe wycinanki i klej biurowy.

– Gdzie ta Góra Klęczkowska?

– Krajowa pięćdziesiątka piątka, droga na Toruń. Tuż za Grudziądzem jest tam taki wysoki stromy podjazd w kierunku Klęczkowa, a do tego dwa bardzo ciasne zakręty. Kiedyś tam było sporo wypadków. Dziś jedzie się wygodnie, bo droga przeszła remont kilka lat temu, kiedy budowano autostradę, która przecina górę od wschodu. Ale w latach dziewięćdziesiątych na tych nierównościach można było sobie zęby wybić.

– Dobra, coś tam pamiętam. Witberg miał się spotkać na dole z porywaczami i dać im kasę, nie?

– Tak. Tamtego dnia u podnóża Klęczkowskiej było oberwanie chmury. – Herman przypomniła sobie szczegóły z akt sprawy. – Kiedy podjechał asconą na miejsce, wokół było ciemno jak w dupie, żadnych latarni, żadnych samochodów. Zgodnie z instrukcją Witberg zatrzymał się na poboczu przy znaku ostrzegawczym przed ostrym zakrętem. Kilkanaście minut później zauważył światła samochodu zjeżdżającego wolno z Góry Klęczkowskiej. Witberg uważnie mu się przyjrzał i odruchowo położył rękę na uchwytach torby z pieniędzmi, która leżała na fotelu pasażera. Kiedy biały polonez przejechał obok niego, zamaskowany mężczyzna z tylnego siedzenia pokazał mu przez szybę dziecko w beciku. Ale to były sekundy, wóz pokonał jeszcze kilkanaście metrów i zniknął za plecami Witberga. Potem wszystko działo się tak szybko, że Witberg miał problem z ustaleniem przebiegu zdarzeń. W każdym razie zeznał, że samochód się zatrzymał i wyskoczył z niego mężczyzna. Witberg nie miał pojęcia, czy z dzieckiem na rękach, czy bez. Nieco dalej, od strony Grudziądza, migaly już światła policyjnego koguta i przez głucho bębnienie deszczu o dach oraz przez szum silnika przebijał się głośny sygnał syreny. Witberga sparaliżował strach, bo przecież nie informował policji.

– To jej sprawka, nie? Jego żony? – przerwał jej Olgierd, ale Herman nie zareagowała i dalej snuła opowieść.

– Tamci zorientowali się, że to zasadzka, więc polonez zawrócił i znów przejechał obok Witberga, tym razem szybko. Witberg chciał jechać za nim, ale wtedy nagle do ascony doskoczył zamaskowany bandzior w kurtce przeciwdeszczowej. Gwałtownie otworzył drzwi auta i wymierzył do Witberga z pistoletu. Kazał mu oddać torbę, ale Witberg się szarpał, bo był przypięty pasem, co ograniczało mu zakres ruchów. W końcu tamten

nacisnął spust. Pocisk przebił udo. Napastnik się pochylił i wyrwał torbę, po czym zniknął w ciemnościach. Kilka chwil później policjanci zatrzymali się przy Witbergu, ale ten zemdłał. Wezwali karetkę i ruszyli w teren, bo Witberg majaczył stale o białym wozie. Po porywaczach nie było już śladu – Herman dokończyła relację, gdy dotarli do asfaltowej drogi prowadzącej do kilku gospodarstw. – I tak, masz rację, to Lucyna powiadomiła policję krótko po tym, jak mąż wyjechał z domu. Odchodziła od zmysłów. Bała się o niego, bała się o dziecko.

– Mógł ją zabrać ze sobą.

– Pewnie tak, ale takie rozważania dziś nie mają już sensu – zakończyła dyskusję.

– No to jednak wygląda to na robotę grupy przestępczej – dodał Zero Siedem, przyglądając się mijanym domom. Na jednym z nich część dachu okrywała czarna folia. Szeleściła przy powiewach wiatru. W pobliżu zabudowań leżała sterta zniszczonych dachówek ceramicznych i połamanych desek.

– Niekoniecznie. – Herman przyjrzała się kikutom drzew, które mieli kilkaset metrów przed sobą. – Po pierwsze, Witberg nie był w stanie rozpoznać, czy to jego dziecko bandyta pokazał mu przez szybę. To były sekundy, maluch był ubrany, na głowie miał chustę albo czapkę, Witberg nie umiał tego określić. A potem się okazało, że jednemu z ludzi Toboły, Jarosławowi „Bicu” Bickiewiczowi, w marcu dziewięćdziesiątego drugiego urodziły się trojaczki. Nie jest wykluczone, że Bicu siedział w polonezie z jednym ze swoich dzieci.

– A co mówił Toboła?

– Wszyscy, którzy po kolei wpadali w łapy policji, zaprzeczali, że porwali dziecko Witbergów. Tobołę testowali na tę okoliczność na wykrywaczu kłamstw w dwa tysiące czwartym. Wyniki jasno wskazywały, że nie miał żadnej wiedzy na ten temat, co nie przeszkodziło skazać go za porwanie.

– To już wiemy. A jak brzmi twoja wersja?

– Wydawało mi się bardzo prawdopodobne, że Bicu bez wiedzy Toboły podszył się pod porywacza, który sprzedał dziecko na zachód, i wykorzystał Witberga. Po prostu chciał dorobić na boku. Poza tym, kiedy odsiadywał wyrok w Rawiczu, jeden z jego kompanów spod celi zeznał później policji, że Bicu chwalił się, jak to wydymał Witbergów na kasę.

Podjechali do zniszczonego lasu. Ku ich zaskoczeniu zza sterty czarnych desek, które mogły być kiedyś stodołą, wyłoniła się oznakowana policyjna kia.

– O, jednak ktoś tu jeszcze jest – stwierdziła Herman.

Olgierd skręcił w drogę biegnącą wzdłuż ocalałego lasu. Sosny zdawały się drapać nisko wiszące gęste chmury. – Coś jeszcze ciekawego zapamiętałaś z początku akt?

Podjechali do radiowozu. Siedzący w nim policjanci obserwowali ich uważnie.

– Zwróciłeś uwagę na lalkę?

Rozmowę przerwały im przytłumione pierwsze takty Livin' on a Prayer Bon Jovi. Olgierd wyjął z kieszeni kurtki komórkę i przewrócił oczami.

Kinga.

– Boże, znowu – jęknął, po czym wyciszył dźwięk, ale nie odrzucił połączenia. – Jaką lalkę?
– Odwrócił się do Marii.

– W dniu zgłoszenia porwania policjanci, którzy przyjechali na miejsce, przeszukali teren w pobliżu domu Witbergów. – Herman kątem oka zauważyła, że Kinga jeszcze się nie rozłączyła. – W rowie przy Paderewskiego, po prawej stronie jezdni w kierunku Tarpna i centrum, znaleziono uszkodzoną lalkę. Dużą. Nie miała jednej nogi i ręki.

– Czemu zwrócili na nią uwagę?

– Dobre pytanie.

Olgierd spojrział na nią i westchnął.

– Bo była czysta i pachniała mydłem – dodała, a on odebrał połączenie.

6

– To tutaj? – Maria Herman przyjrzała się miejscu wyznaczonemu biało-niebieską taśmą z napisem „Policja”, obwiazaną wokół kilku ocalałych drzew, których nie obaliło tornado. Trawa wokół była wydeptana.

– Tutaj – odparł aspirant Sądecki, młody policjant z zapadniętymi policzkami i ostro zarysowaną szczęką. Kurtka marszczyła się na jego klatce piersiowej.

– Podobno ciało odnalazł leśnik, tak? – zapytała.

– Starszy strażnik leśny Marek Goniec. Przejeżdżał wtedy, przyznał, że zachciało mu się na jedynekę, prawda, i...

– Czyli że co? Poszedł się odlać? – przerwała mu.

– No właśnie to miałem na myśli, pani komisarz. No i się odlał, prawda, po czym zauważył jakieś szmaty, myślał, że ktoś wyrzucił śmieci, stare ciuchy, prawda, ale okazało się, że to ciało tego Watborga.

– Witberga – poprawiła.

– Przepraszam, Witberga. – Facet trząśł się z zimna. Zgrabiałe dłonie wsunął w kieszenie.

– Wy zabezpieczaliście teren? – Zmrużyła oczy przed wiatrem i przyjrzała się twarzy policjanta z wyraźnie zaznaczonymi łukami brwiowymi i oczami ukrytymi pod wydatnym czołem. Potem przeniosła wzrok na kierowcę, który siedział w radiowozie i rozmawiał przez telefon. W toyocie to samo robił Olgierd. Oparł głowę na zagłówku i zamknął oczy. Usta mu się nie zamykały. Co chwila stukał dłonią w górny łuk kierownicy.

– Tak, my tu byliśmy pierwsi.

– A co tu jeszcze robicie?

– Mieliśmy czekać na was. Polecenie od dyżurnego.

Dobra robota, Olgierd, pomyślała.

– Świetnie. To w zasadzie możecie się zbierać. Tylko powiedz mi, gdzie konkretnie leżał denat i w jakiej pozycji znaleźliście ciało.

– Leżał tu, na plecach. Lewe przedramię przykrywało twarz, a dłoń, prawda, spoczywała w trawie. Głowę miał przy tamtej sośnie, a nogi tu – wskazał palcem na drzewo, obok którego stali.

– Jakież widoczne rany?

– Nie. Jakiś taki siny był. Tak mi się przynajmniej wydawało.

– Był ubrany?

– Tak. Dżinsy, kurtka i koszula, wszystko mokre od deszczu, prawda, buty trekkingowe, trochę upačkane zaschniętym błotem.

Upačkane? Maria zdziwiła się, że ktoś jeszcze używa tego słowa.

– A cokolwiek, co mogłoby świadczyć o obecności dużego psa? Labradora. Jakies psie tropy wokół? – dopytywała.

– Nie, nic z tych rzeczy.

– Miał coś przy sobie?

– Tak, dokumenty w wewnętrznej kieszeni kurtki, w etui prawo jazdy, karta płatnicza, prawda, dwieście złotych, telefon i coś tam jeszcze. Poza tym w kieszeni spodni miał czarną bilonówkę, pękatą od monet. W tylnej rachunek z biedronki sprzed kilku dni. Wszystko jest w protokole z oględzin.

Pokiwała głową.

– Dobra, dziękuję – rzuciła. – Jeszcze tylko jedno – dodała, gdy aspirant chciał się odmeldować i schować do samochodu. – Kto tam mieszka? – Uniosła brodę w kierunku gospodarstw znajdujących się niemal naprzeciw siebie, oddzielonych wiejską drogą.

– Tutaj – aspirant wskazał na bliższe zabudowania – rodzina Majcherków, a tam dalej Sokołowscy.

– Widzieli coś?

– Nie. Ani nic nie słyszeli. Ciąła, prawda, nie było widać nawet z drogi. Trzeba było zrobić kilka kroków w głąb lasu, żeby je dostrzec.

Herman raz jeszcze przyjrzała się miejscu i przyznała policjantowi rację. Od strony asfaltówki skraj lasu porastały liściaste krzaki, wysokie na ponad metr.

– Kto prowadzi śledztwo?

– Podkomisarz Sławomir Jaroń. Dać pani numer?

Herman skorzystała z oferty i wbiła numer do starej nokii.

– O, cholera, ale zabytek. Musiał być drogi, co? – uśmiechnął się chudy aspirant.

Herman z automatu pomyślała o tym, ile pieniędzy otrzymałaby, gdyby sprzedała telefon, i ile zakładów sportowych obstawiłaby dzięki temu.

Tak zachowywała się dawniej, gdy spieniężała wszystko tylko po to, by zagrać. By znowu wejść w świat emocji, które sprawiały, że chciało jej się żyć. Dzięki hazardowi zniknęły problemy w pracy, problemy z pieniędzmi, kłótnie z matką i wstyd wobec wyrozumiałego, naiwnie kochającego ojca. Jej nałóg zacierał wszystkie kłamstwa.

Idylla.

Wzdrygnęła się.

Czuła się coraz silniejsza w walce z uzależnieniem, ale takie automatyzmy, głęboko zakorzenione, przerażały ją. Wciąż siedziała na czynnym wulkanie.

– Skąd go pani ma? Nie chciałaby pani sprzedać?

Kiedy zdecydowała się leczyć, wołała nie kusić losu smartfonem z dostępem do internetu. Mogła pozakładać blokady na odpowiednie strony z grami hazardowymi i zakładami bukmacherskimi, ale w taki sam prosty sposób mogła te blokady usunąć. Wciąż sobie nie ufała.

– To pamiątka po ojcu – ucięła dyskusję i nie spuszczała wzroku z policjanta, który speszony, w końcu się odwrócił i odszedł bez słowa.

Prosta melodia przerwała ciszę. Telefon, który trzymała w zziębniętej dłoni, ożył. Kojarzyła ten numer.

– Halo? – rzuciła, osłaniając aparat od wiatru.

– Mój mąż nie żyje. I teraz nie mam dziecka, nie mam męża ani nawet psa. I mam wrażenie, że to wszystko przez was. Przez waszą nieudolność. Przez tych pani głupich kolegów. Straciłam ukochane osoby, a wy nie zrobiliście w tej sprawie nic. Słyszysz pani?

– Tak, słyszę...

– Jesteście do niczego. Cała cholerna policja. Jesteście do ni-cze-go! – sylabizowała kobieta, a następnie dodała głośniejszym głosem: – Nienawidzę was!

Rozłączyła się, a Maria Herman osłupiała. Przez chwilę stała z telefonem przy uchu, kompletnie nie rozumiejąc, co zaszło.

– Żyjesz? – spytał Olgierd, który wyszedł w końcu z samochodu.

Zrelacjonowała mu rozmowę z Lucyną Witberg. Policjant postawił kołnierz kurtki i zmrużył oczy od natarczywego wiatru.

– Wszystkiemu jesteśmy winni? – zdziwił się.

– Na to wygląda – zamyśliła się. – A co u ciebie?

Machnął ręką.

– Szkoda gadać. Powinienem wracać do domu i załatwić Kindze psychologa. Nie radzi sobie z dzieckiem i ciągle powtarza, że nie chce jej się żyć. Jej matka nie radzi sobie z Kingą i ciągle się o nią boi. A ja się boję o córkę. Galimatias jak skurwysyn.

– Raczej depresja poporodowa.

– Może. Zresztą kto to, kurwa, wie? – Wzruszył ramionami. – Dawniej jakoś matki sobie ze wszystkim radziły, a teraz, kurwa, wszystkie jakieś nadwrażliwe, nieprzystosowane.

Wsiedli do samochodu i wracali tą samą drogą. Żadne z nich się nie odzywało, tylko trawa ponownie drapała podwozie, gdy zjechali w leśny dukt. Na rozwidleniu Olgierd musiał pomylić drogę, bo po kilkuset metrach zauważyli przed sobą bramę zbitą ze zmurszałych desek. Kilka z nich odpadło, część się przekrzywiła. Dalej rozciągała się niewielka leśna polana, na której stała stara chałupa z czarnych bali. Z niskiego komina, wystającego nad ciemnym od wilgoci gontem, unosił się gęsty dym. Przy niewielkiej

dobudówce siwy mężczyzna rąbał drewno. Sprawnym ruchem kotwiczył ostrze siekiery w polanie, po czym unosił wraz z polanem nad głowę i siłą inercji rozbijał je na starym pniaku obrośniętym mchem. Szczapy spadały na boki i układały się w niewielkie stosy.

Kiedy dojechali do płotu, mężczyzna odwrócił się w ich stronę. Olgierd wrzucił wsteczny i toyota ruszyła, ale Herman klepnęła go w udo.

– Zatrzymaj się – poleciła.

– Co? – bąknął zdezorientowany i wyjaśnił: – Popieprzyłem drogę, musimy zawrócić.

– Stój! – Wskazała brodą na faceta, który wrócił do rąbania drewna. Posiwiął wąs układał się w podkowę i sięgał linii brody.

– No co? Znasz go? – Olgierd położył dłoń na lewarku zmiany biegów.

– Tak – odparła po dłuższej chwili, a potem zerknęła na Borewicza, który przyglądał się mężczyźnie o posturze drwala. Ten, jak na zawołanie, znów odwrócił się w ich stronę. Długie, siwe strąki włosów zwisały mu do ramion. Odłożył siekiere, nabrał powietrza w płuca i sięgnął do kieszeni ocieplacza po paczkę papierosów. Zapalił jednego i na moment dym przysłonił mu twarz.

– O, kurwa – wyszeptał Borewicz, a Herman miała wrażenie, że Alfred Tobołkowski vel Toboła krzywo się do nich uśmiechnął.

Marian Kurek skończył myć naczynia i wytarł dłonie w wilgotny ręcznik. We wrześniu, kiedy spółdzielnia mieszkaniowa nie puszczała jeszcze ciepła do kaloryferów, w mieszkaniu na dziewiątym piętrze nic nie chciało schnąć. Za oknami szalał zimny wiatr i w gwałtownych porywach napierał na szyby. Mężczyzna odwiesił ręcznik na chłodny grzejnik i wyszedł z niewielkiej dziupli, która służyła mu za kuchnię. Mieściły się w niej dwie szafki stojące, z których jedna dźwigała stary zlewozmywak, niewielka lodówka, dwie wąskie szafki powieszony na ścianie i kwadratowy stół, nieco większy niż plansza do szachów. Przy nim stały dwa taborety, a obok stare krzesło.

Jedynym plusem mieszkania w środkowym wieżowcu z wielkiej płyty, wśród trzech wybudowanych w PRL-u na wzniesieniu przy ulicy Kalinkowej, był widok na szeroką Wisłę i rozciągające się po horyzont pola uprawne po drugiej stronie rzeki.

Ten obraz zawsze go uspokajał.

Kupił tę kawalerkę po rozwodzie, krótko po tym, jak Kuba, młodszy syn, wyjechał na studia do Bydgoszczy. Starszy skończył poznańską polibudę i osiadł na stałe w stolicy Wielkopolski.

Kurkowie rozstali się w zgodzie. Po prostu żyli razem dla swoich dzieci, a kiedy te dorosły i wyprowadziły się z Grudziądza, raptem zdali sobie sprawę, że pękła między nimi niewidzialna nić. Miłość wyparowała, a na to, by być ze sobą z przyzwyczajenia, Kurek nie miał najmniejszej ochoty. Wziął winę na siebie i zostawił byłej żonie sześćdziesięciopięciometrowe mieszkanie na Rządu. Dokładał się jej do rachunków. Ustalił cykliczny przelew na pięćset złotych i dzień po wypłynięciu emerytury na konto kasa zniknęła, lecząc go z poczucia winy, że jako mąż nie sprostał zadaniu.

Oboje uznali, że mieszkanie warto zatrzymać, bo może się kiedyś przydać Darkowi albo Kubie, gdyby któryś z nich zdecydował się wrócić do Grudziądza. A jeśli nie wrócą, będzie można je sprzedać, kupić Helenie kawalerkę, a resztę pieniędzy dać chłopakom. Chociaż tyle mogli dla nich zrobić.

Za swoje mieszkanie Kurek zapłacił śmieszne jak na obecne czasy pieniądze. Tysiąc złotych za metr kwadratowy. Takie były ceny na początku dwa tysiące trzeciego roku. W sumie wydał więc dwadzieścia cztery tysiące złotych. Wyremontował lokum własnym sumptem, położył gładzie, przykleił kafle w łazience i na podłodze w kuchni, a na koniec pomalował ściany kanarkową farbą. Zawiesił nawet karnisze, ale nigdy nie kupił ani zasłon, ani firan, bo gdy wczesnym rankiem wstawał do toalety, lubił zawiesić oko na płynącej w dole ciemnej rzece.

Wieczorem, szczególnie latem, słońce dawało mu popalić, ale gdy zachodziło, otwierał szeroko okna i przyjemny chłód z wyższych warstw powietrza wnikał do mieszkania.

Dało się żyć.

Kurek rozsiadł się wygodnie na taniej wersalce z Ikei i zerknął na zegarek zawieszony na ścianie w kuchni. Do spotkania miał jeszcze dwie godziny.

Ucieszył się.

Z okrągłego stolika ściągnął „Gazetę Pomorską” i położył ją sobie na kolanach. Sięgnął po talerz z kanapkami z serkiem chrzanowym i szynką i rozpoczął codzienną prasówkę.

Gazetę kupował wyłącznie z przyzwyczajenia. Z roku na rok była coraz chudsza. W zasadzie wszystko, co się w niej znajdowało, znał już z dzienników telewizyjnych, wiadomości z lokalnej kablówki lub z internetu, na którego przeglądanie poświęcał sporo czasu.

Przeskanował wzrokiem tekst o planowanym remoncie bieżni i rozbiegów do skoków w dal, wzwyż i o tyczce na terenie Stadionu Centralnego imienia Bronisława Malinowskiego. W momencie gdy przeniósł wzrok na tekst o sprzątaniu skutków tornada, które rozszalało się za Wisłą, smartfon leżący przy jego udzie zadzwonił.

Przeżuł kęs kanapki, odłożył ją na talerz i wytarł dłonie.

Zerknął na ekran i w końcu zaciekawiony odebrał połączenie.

– No, cześć, Sławuś, co cię stało, że dzwonisz do emeryta o tak wczesnej porze? – spytał.

– Znajdziesz dla mnie chwilę? – usłyszał głos podkomisarza Sławomira Jaronia, szefa grudziądzkich kryminalnych, który zaczynał karierę pod okiem Kurka.

– No pewnie, dawaj.

– Nie, to nie na telefon – rzekł wyraźnie pobudzony Jaroń. – Wpadnę po południu, bo właśnie wracam z Nowych Marz.

– Za dwie godziny mam spotkanie i, cholera, nie wiem, ile potrwa – zmartwił się emeryt.

– A skoro tak, postaram się zajrzeć wcześniej.

Młodszy kolega się rozłączył, a Kurek odłożył gazetę.

Wstał i podszedł do okna.

Wiatr marszczył tafłę rzeki, która płynęła spokojnym, majestatycznym tempem.

Nowe Marzy? – pomyślał.

– Może chodzi o tornado? – zastanowił się na głos.

Dokończył drugie śniadanie i pozmywał, bo nienawidził brudnych garów piętrzących się w zlewie. A następnie, wpatrzony w Wisłę, odczekał, aż zagwizdże czajnik, i przygotował sobie kawę inkę, do której dolał odrobinę mleka. Zaniósł kubek do pokoju i ustawił obok klawiatury.

Uruchomił starego peceta.

Coś zgrzytnęło i ekran ciężkiego monitora kineskopowego się rozświecił.

Kurek odczekał chwilę, aż kolory nabiorą właściwych odcieni, łyknął kawy i otworzył folder na pulpicie.

Odszukał właściwy plik.

Po chwili miał przed oczami brzeg wirtualnej białej kartki. Zjechał niżej i dopiero wtedy pojawił się napis wykonany pogrubionym klasycznym fontem.

„Marian Kurek. Tajemnica porwania dziecka Witbergów. Reportaż byłego policjanta służby kryminalnej, kierownika grupy operacyjno-śledczej o kryptonimie Wózek”.

Zatarł ręce i zabrał się do pisania.

– Co jest? Zgubiliście się? – rzucił w ich stronę mężczyzna i podszedł wolno do płotu.

Kołnierz koszuli flanelowej, na którą miał założony ocieplacz, lepił mu się do szyi wilgotnej od potu. Podobnie jak długie siwe włosy. Skrzyżował muskularne przedramiona i oparł je o bramę. Na jednym z nich widniał sztylet, na drugim niedźwiedź. Atramentowe więzienne tatuaże, dalekie od współczesnych dzieł sztuki. W jego ustach, które okalał bujny, nieprzystrzyżony wąs, sięgający z obu stron do linii brody, tkwił papieros. Kiedy Tobała poruszał wargami, rozżarzona końcówka kreśliła w powietrzu nieregularne kształty.

– No, czego wam trzeba? – dodał przyjaźnie.

Herman i Borewicz podeszli bliżej.

Po sposobie mówienia i ruchach Tobały policjantka zorientowała się, że mają do czynienia z silną osobowością. Mężczyzna, który przez sporą część swojego życia był panem tego świata, rządził silną ręką, miał pod sobą oddanych gangsterów gotowych iść za nim w ogień, nigdy nie pozbył się władczych cech. Nawet w więzieniu, w którym odsiedział niemal dwadzieścia trzy lata.

Herman pamiętała z akt śledztwa, że kiedy Tobała zakończył odbywanie kary w Rawiczu nieco ponad dwa lata temu, przeniósł się do Wrocławia i zatrudnił w ręcznej myjni samochodowej. Prowadził ją kuzyn Tobały. Maria była przekonana, że dawny gangster nie wrócił na stare śmieci. Kiedy na początku lat dziewięćdziesiątych rozkręcał w Grudziądzu swoje nieczne biznesy, był zameldowany na ulicy Nauczycielskiej dwanaście, na osiedlu Lotnisko. W mieszkaniu w czteroklatkowym bloku z płyty, ustawionym frontem do tamtejszej podstawówki, żyła tylko jego schorowana matka. Tobała wraz z żoną i dwiema córkami zajmował willę ogrodzoną wysokim betonowym płotem, wybudowaną w pobliżu skrzyżowania na Lisie Kąty i tamtejsze lotnisko sportowe. Niecałe dziesięć kilometrów od miejsca zameldowania.

– Pan Alfred Tobałkowski? – Herman sięgnęła po blachę i podniosła ją na wysokość jego wzroku. Podała swoje nazwisko, stopień i przydział do jednostki.

Nie dał po sobie poznać, że zrobiło to na nim jakiegokolwiek wrażenie. Spojrzał jedynie na Borewicza, który poszedł w ślady starszej stopniem policjantki, ale zrobił to mniej ostentacyjnie.

– Podkomisarz Olgierd Borewicz, Komenda Wojewódzka Policji w Bydgoszczy.

Tym razem Tobała uniósł brwi.

– Uuu, zero-siedem, zgłoś się! – Zarechotał. – Co was sprowadza, moi mili?

– Możemy zamienić z panem kilka słów? – Herman wolała wziąć ciężar rozmowy na siebie.

– A co innego robimy? – zapytał, zaciągnąwszy się papierosem.

– Nie zaprosi nas pan do środka?

Cmoknął i przymknął jedno oko.

– Aż tak dobrze to my się nie znamy, droga pani komisarz. A ja z nieznanymi żadnych przyjaźni nie zawieram.

Herman pokiwała głową.

– Jesteśmy pierwsi? – spytała.

– W jakim sensie? – nie krył zaskoczenia.

Wymieniła spojrzenie z Borewiczem, który wsunął dłonie w kieszenie.

– Chodzi o to, czy byli już dziś u pana koledzy z grudziądzkiej policji – wyjaśnił partner.

Toboła zaprzeczył, a kiedy powiew wiatru poruszył jego włosami, Herman poczuła smród przepoconych ubrań i długo niemytego ciała.

Mężczyzna splunął gęstą śliną pod nogi i zgasił peta o rant starej dechy, po czym rzucił go w wysoką trawę. Brud wżarł się w skórę jego dłoni i zostawił czarne obwódki wokół zdeformowanych, mocno poobgryzanych paznokci.

– A jest jakiś konkretny powód? – Zmarszczył czoło.

– Dziś rano w pobliżu miejsca, przez które przeszło tornado, niedaleko stąd, znaleziono ciało mężczyzny. – Herman opatuliła się szczelniej kurtką.

– No i? Podejrzewacie, że stary gangster, który odsiedział już swoje i jest biedny jak mysz kościelna, ma z tym coś wspólnego, tak?

Zapadła niezręczna cisza. Borewicz przygryzł wargę.

– Od dawna pan tutaj mieszka? – zainteresowała się policjantka, wodząc wzrokiem po ogrodzonym terenie.

– Półtora roku. Dzierżawię tę rudere od nadleśnictwa.

– Nie jest pan tu zameldowany – zgadywała Herman.

– Ano nie. Ale to chyba nie podlega pod paragrafy, co?

Znowu nie odpowiedziała na jego pytanie.

– Nieźle odludzie. – Policjantka się rozejrzała. – Ktoś tu pana czasami odwiedza? Może chociaż najbliższa rodzina?

Zaprzeczył ruchem głowy i sięgnął do kieszeni po paczkę papierosów nieznannej jej marki, z nazwą wypisaną cyrylicą. Wyciągnął rękę w ich stronę, ale Borewicz dał mu znak, że nie pali. Z kolei Herman sięgnęła po swojego chesterfielda i zanim Toboła skończył obmacywać kieszenie w poszukiwaniu zapalek, podsunęła mu ogień z zapalniczki. Płomień tańczył na

wietrze, ale mężczyzna, założywszy za uszy strąki przetłuszczonych włosów, zdołał odpalić fajkę.

– Ani rodzina, ani znajomi? Może chociaż starzy kumple? – drążyła.

– Nie. Ale gdybym szukał wrażeń, mieszkałbym w Grudziądzu.

– A córki? Nigdy nie chciały odwiedzić ojca?

Tym razem przyjrzał jej się uważnie.

– Z tego, co wiem, Ada, pod nazwiskiem panięńskim matki, robi polityczną karierę. A Monika załapała się do pracy w warszawskiej korpo – Herman postanowiła dać mu czytelny sygnał, że dużo wie o jego rodzinie.

– Nie poświęcałem im zbyt dużo czasu, kiedy były małe. Potem siedziałem w pierdłu. A to nie miejsce dla grzecznych dziewczynek. – Rozciągnął usta w sztucznym uśmiechu, ale komisarz zauważyła błysk w jego oczach. – Powiedzmy, że kochają mnie na odległość.

Czuły punkt, pomyślała, ale nie zamierzała na razie wykorzystywać tej wiedzy.

– Nie zapyta pan, czyje ciało odkryto w lesie? – wtrącił się policjant, jakby znudziła go ich rozmowa.

Toboła zaciągnął się, po czym spojrzał im kolejno w oczy.

– Nie pytają ci, co wiedzą – odparł.

Uchylił skrzydło bramy i wpuścił ich na swój teren, ale kazał zaczekać. Zaoferował kawę, oboje jednak odmówili. Pokiwał głową ze zrozumieniem i odszedł w kierunku drzwi, mruczając, że on się jednak napije.

Herman wykorzystała jego nieobecność i rozejrzała się po ogrodzonym podwórku. W pobliżu bramy, tam gdzie trawa była mocno wydeptana, nie dostrzegła żadnych śladów opon samochodowych. W głębi działki leśnej zresztą też nie. Garażu tu nie było, ale zastanawiała się, czy Tobała nie ma przypadkiem motocykla albo chociaż roweru.

– Czego szukasz? – wyszeptał Borewicz.

Wzruszyła ramionami i spojrzała w okna domu, a kiedy nie dostrzegła w nich żadnego ruchu, przeszła do niewielkiej drewnutni przylegającej do budynku. Pordzewiałe narzędzia stały oparte o ścianę. Kłębowisko zakurzonych węży ogrodowych wciśnięto w róg pomieszczenia. Wzdłuż długiej ściany pięły się równo poukładane szczapy drewna. Zajmowały połowę schowka. Naprzeciwko znajdował się regał zбитy z desek i płyt OSB, zastawiony między innymi kilkoma starymi baniakami na olej.

Herman usłyszała trzask łamanej gałęzi i odwróciła się zaniepokojona. Po Borewiczu nie było śladu. Cofnęła się kilka kroków i zerknęła w kierunku pniaka i dalej, w stronę samochodu. Brama jednak była zamknięta, a w toycie, o ile dobrze widziała, bo w przedniej szybie odbijały się korony drzew i część nieba, nikt nie siedział.

Nadstawiła uszu, ale słyszała tylko pulsujący szum własnej tłoczonej krwi.

Znieruchomiała, zaschło jej w ustach.

Nie miała przy sobie broni. Raz jeszcze zerknęła do wnętrza drewnutni, żeby przyjrzeć się narzędziom. Zrobiła krok w tamtą stronę.

– Dziwnie tu – usłyszała szept kolegi i serce podeszło jej do gardła.

Musiał obejść cały dom, bo wyjrzał zza otwartych drzwi drewnutni.

– Żadnego innego budynku, a teren wielki. Trawa wszędzie po kolana. Kawałek dalej za domem stoi stara zadaszona studnia – mówił, podczas gdy Herman weszła do schowka, żeby nie patrzeć na niego i nie dać po sobie poznać, że ją wystraszył. Z trudem przełknęła ślinę, po czym zwilżyła językiem usta.

Odsapnęła, udając, że z bliska przygląda się pordzewiałej pile ręcznej.

– Ciekawe, czy nie ma tu przypadkiem kilku ziemianek z ukrytymi włazami – kontynuował Borewicz.

Chciała go zapytać, co ma na myśli, ale wtedy usłyszała odgłos kroków.

– O, tu jesteście – odezwał się Toboła, a Herman stanęła obok Borewicza i schowała dłonie w kieszenie.

Mężczyzna zaciskał grube palce na uchu wielkiego niebieskiego kubka. Nitki pary pięły się w górę.

Zapachniało kawą.

– No więc? – podjęła. – Co to znaczy, że pan wiedział, czyje ciało policjanci odnaleźli dzisiaj rano?

– A co ma znaczyć? – bąknął. – Nic. Wiem i już.

Herman ostentacyjnie rozejrzała się po terenie.

– Skoro zaszył się pan w tej głuszy, rozumiem, że nie po to, byśmy ciągali pana po komisariatach i komendach, prawda? Byśmy przypomnieli lokalnej społeczności, że Toboła wrócił.

Były gangster rozciągnął usta w uśmiechu.

– Najpierw należałoby ustalić tutejszy adres. – Wskazał kciukiem za plecy. – A potem możecie sobie słać te papierki, którymi, jeśli mam być szczery, wytrę sobie dupę i puszcę je na wietrze albo napalę w piecu. Ale próbujcie, próbujcie – zachęcił radośnie, po czym siorbnął kawę.

Odstawił kubek na parapet i znowu oklepał kieszenie w poszukiwaniu papierosów. Tym razem ich nie poczęstował. Zapalił i przyglądał im się w skupieniu, a wąskie smugi dymu co jakiś czas przysłaniały mu widok.

Herman zrozumiała, że popełniła błąd. Zastraszanie przestępcy, człowieka, który przez całe lata żył z terroryzowania innych, miało się z celem.

Olgierd położył ręce na biodrach i wypiął brzuch niczym kobieta w ciąży.

– No to może zagramy w otwarte karty, co? Wpuścił nas pan na działkę, a to znaczy, że ma pan dla nas jakieś informacje – stwierdził. – Czyżby to pan odnalazł te zwłoki?

Toboła uniósł kubek.

– Nie. – Siorbnął. – Ale skłamałbym, gdybym powiedział, że się was nie spodziewałem.

Herman mimowolnie ściągnęła brwi.

Z głębi lasu dobiegł odległy basowy ryk.

Policjanci odwrócili głowy w kierunku źródła niesamowitego dźwięku.

– Byk jelenia. Musi być duży – podpowiedział Toboła. – W tym roku dość wcześnie rozpoczynają rykowisko. Ich odgłosy ludzie myślą z rykiem niedźwiedzia – wyjaśnił. – Ciężko spać, cholera. Potrafią się drzeć do samego rana.

Kiedy zwierzę się uspokoiło i las wypełniła względna cisza, Herman wróciła do poprzedniego wątku.

– Co to znaczy, że pan się nas spodziewał? – spytała.

Toboła złapał papierosa kciukiem i palcem wskazującym i wyjął go z ust.

– Jedyną osobą, która mnie tu odwiedzała, był Andrzej Witberg. – Zmrużył oczy.

Herman poczuła nieprzyjemne mrowienie, które rozpełzało się wzdłuż kręgosłupa.

– Że jak? – Borewicz nie krył zdziwienia.

– To, co słyszałeś, kolego – odparł Toboła i swobodnie się odwrócił do pniaka, przy którym wcześniej rąbał drwa. – Andrzej czasem mi pomagał. Ostatnio załatwił mi drewno na opał, wcześniej wsparł jakimś groszem.

– Jak to możliwe? Dlaczego? – Herman niemal weszła mu w słowo.

– Dlaczego to robił? – doprecyzował, a policjantka skinęła głową. – Bo w końcu chłop poszedł po rozum do głowy i przestał wierzyć w to, co przez lata wkładaliście mu do głowy. Że mogłem stać za porwaniem jego syna.

– W jakich okolicznościach spotkaliście się ponownie? – Herman wsunęła palec w dziurę w kieszeni kurtki i dotknęła watoliny.

Toboła znowu sięgnął po kubek i zanurzył wąsy w ciemnym napoju. Potem potarł płatek ucha i zaciągnął się papierosem.

– Ot, przypadek, nie ma o czym gadać.

Policjantka nie chciała, by Borewicz drażył temat, więc od razu dopytała:

– Kiedy ostatni raz był u pana?

– Ostatni? – Zamyślił się. – Przedwczoraj.

– W sobotę?

Zamknął jedno oko i się skrzywił.

– Nie, sorry. To był piątek.

– O której godzinie?

– Ja, proszę pięknej panienci, czasu nie liczę. – Pokazał jej dwa nagie nadgarstki.

– Rano, po południu czy wieczorem? – Tym razem Herman nie zamierzała odpuścić.

– Raczej przed południem. W każdym razie jakoś tak.

– To był wasz ostatni kontakt? – Borewicz przestąpił z nogi na nogę i wtedy usłyszeli dźwięk jego telefonu. Policjant wyjął aparat z kieszeni kurtki, a Herman kątem oka zerknęła, kto dzwoni.

„Kinia”.

Odrzucił połączenie i nerwowym ruchem wcisnął telefon z powrotem do kieszeni.

– Tak. Nie widziałem go później.

– O czym rozmawialiście?

– Jak zawsze o tym samym – mówiąc, wskazał papierosem najpierw na Borewicza, a potem na Herman – ale przede wszystkim o waszym przyjeździe.

- To znaczy?
- Zapowiedział, że dziś przyjedzie tu razem z wami.

Marian Kurek zapisał zmiany w tekście i zamknął plik, zadowolony, że udało mu się zwiększyć objętość reportażu o pięć tysięcy znaków ze spacjami.

Wyłączył komputer i zabrał zeszyt z notatkami. Zdążył położyć go na stole, gdy domofon odezwał się trzema krótkimi sygnałami. Doskonale wiedział, kto stoi przy klatce schodowej, więc podniósł słuchawkę i bez słowa wcisnął przycisk zwalniający blokadę.

Kiedy usłyszał szum nadjeżdżającej windy i charakterystyczny metaliczny dźwięk, otworzył drzwi i wychylił się na korytarz.

– No, wchodź, Sławuś, wchodź. Śmiało – rzucił. – Kawkę ci zrobię, co?

– Nie, dzięki, piłem już – odparł Jaroń.

Do kawalerki wszedł czterdziestolatek, wysoki i szczupły. Garbił się, nosił duże okulary i cesał się na bok niczym prymus ze szkolnej ławki.

– Czego się napijesz? – zapytał gospodarz.

– Nie rób sobie kłopotu, zresztą i tak zaraz muszę lecieć, mam nasiadówkę z szeryfem.

Kurek wskazał mu miejsce na wersalce, a sam przyniósł sobie z kuchni krzesło, które chwiało się nieco pod jego ciężarem.

– No to opowiadaj – zachęcił emerytowany gliniarz.

Jaroń oparł łokcie na sterczących w górę kolanach i podparł brodę na rękach.

– Obawiam się, że szambo wyjebało.

– To znaczy?

– Dziś przed południem leśnicy znaleźli zwłoki Andrzeja Witberga.

Kurek zagwizdał z przejęciem.

Rozmawiał z Witbergiem kilka dni temu. Spotkał się z nim w Fado, gustownej kawiarni przy Mikołaja Reja blisko rynku i grudziądzkich spichrzy. Przy wejściu do lokalu wisiały kolorowe parasolki.

Witberg nie wydawał się wtedy ani spięty, ani zaniepokojony. Zazwyczaj gdy Kurek chciał z nim pogadać, mężczyzna wołał spotkać się poza domem. Eksglina spytał go kiedyś o to i dowiedział się, że żona zabrania Witbergowi rozmawiać z policją. W zasadzie jej się nie dziwił. Kobieta i matka zarazem miała prawo czuć się zawiedziona działaniami śledczych. Była przekonana, że w dziewięćdziesiątym drugim część policjantów siedziała w kieszeni Toboły i przez to żadne dowody ani ustalenia w sprawie porwania jej syna nie ujrzały światła dziennego. Marian Kurek, szef grupy operacyjno-śledczej, młodszy o niemal

trzydzieści lat i wówczas jeszcze bez grama nadwagi, która na emeryturze odbijała się bólem bioder i kolana, robił, co mógł, by znaleźć nowe tropy w tej trudnej sprawie. Tamto śledztwo, a raczej brak rozwiązania, tkwiło w nim jak zadra. Uważał je za swoją zawodową porażkę. Nawet jego była żona Helena mówiła, że Kurek zmienił się od czasu, gdy dziesiątego lipca oficer dyżurny, którego głos usłyszał w krótkofalówce, poinformował go, że ma pojechać na Irysową i wysłuchać roztrzęsionej kobiety „paplającej coś o porwanym srajtku”.

Potem przyglądał się tej sprawie aż do końca swojej pracy w policji. Wielokrotnie brał udział w nagraniach telewizyjnych, gdy tylko dziennikarze, najczęściej z okazji rocznic urodzin chłopca, powracali do tego medialnego tematu. Dwukrotnie wystąpił u boku Michała Fajbusiewicza w „Magazynie Kryminalnym 997”. Brał udział w nagraniach podcasterów, youtuberów i innej maści miłośników modnego ostatnio trendu true crime. Opowiadał o kulisach śledztwa. Bywał także na festiwalach literatury kryminalnej w Pile, Poznaniu i we Wrocławiu. I wtedy zrozumiał, że czas przestać tylko gadać o sprawie Witbergów, że czas napisać reportaż kryminalny. Miał już podpisaną umowę z wydawcą, która gwarantowała mu sporą zaliczkę, jeśli odda tekst w terminie, upływającym z końcem roku. Książka miała ukazać się w trzydziestą rocznicę porwania. Kurek snuł już plany zakupu dobrego laptopa. Pisanie dobrze mu szło, a nierozwiązanych spraw kryminalnych w samym Grudziądzu było co najmniej kilka. Najciekawsza z nich, zaraz po Witbergach, dotyczyła zaginięcia Aleksandry Walczak, dziennikarki „Nowości”, która przepadła bez wieści w marcu dwa tysiące czwartego roku. Kurek znał ją bardzo dobrze. I chociaż śledztwo zgodnie z procedurą prowadziła toruńska policja, bo samochód redaktorki został odnaleziony przy Dworcu Głównym PKP w Toruniu, to policjant współpracował z tamtejszymi śledczymi.

- Gdzie znaleźli ciało Witberga? – stary gliniarz powrócił do rzeczywistości.
- W lesie w okolicy Nowych Marz, tam gdzie niedawno przeszło tornado. Podobno wyszedł przedwczoraj wieczorem z domu, zabrał psa na spacer i już nie wrócił.
- Jaka to odległość?
- Do tego lasu? Około dwudziestu pięciu kilometrów.
- To niemożliwe, żeby wybrał się na taki spacer – prychnął Kurek.
- Może ktoś go podrzucił? – domniemywał Jaroń.
- Co mu było?
- Ze wstępnych oględzin wynika, że odniósł niegroźne przyżyciowe obrażenia. Kilka drobnych zadrapań, nic, co wskazywałoby na obronę własną.
- Tylko tyle?
- Kłopot w tym, że ciało na miejscu zdarzenia oglądał lekarz pogotowia tuż przed końcem swojej zmiany. A wiesz, jak to jest, jak mu się wtedy śpieszy do domu albo do

kolejnej roboty. Podniósł koszulę denata, zmierzył temperaturę, zerknął na plamy opadowe i dawaj ciało do worka. Nawet karty zgonu gnojek nie wypisał. – Jaroń nabrał powietrza. – Dlatego zadzwoniłem do Zakładu Medycyny Sądowej w Bydgoszczy i uprosiłem, by przyjrzeni się zwłokom. Na szczęście trafiłem na lekarza, który pamiętał sprawę porwania niemowlaka.

Kurek wyprostował nogę i pomasował bolące kolano.

– A co, jeśli rzeczywiście do zgonu doszło bez udziału osób trzecich? Może to kwestia choroby? O ile dobrze pamiętam, leczył się na cukrzycę, nie?

– Niewykluczone, ale nawet jeśli, to co by tam robił?

– Jego żona kojarzy to miejsce?

– A skąd. Jest przekonana, że ktoś go tam wywiózł.

– Wywiózł? W sensie, że porwał? – nie dowierzał Kurek.

– Chyba właśnie o to jej chodziło.

– Ciekawe... – zamyślił się Kurek. – Sprawdziliście, kto mieszka w okolicy?

– Tak. Zero trafień. Kilka nazwisk, co prawda, przewinęło się w starej sprawie, ale to wyłącznie przypadkowa zbieżność. Żadnych związków z tamtymi osobami.

Kurek wiedział, kogo Jaroń ma na myśli. Chodziło o kobiety, które w okresie poprzedzającym porwanie oseska straciły swoje dzieci. Pomysł porwania niemowlaka jako motyw zrehabilitowania własnej straty podsunął im jeden ze starszych gliniarzy spoza grupy operacyjnej, ale jak się później okazało, facet wpadł na współpracę z Tobiłą. Było jasne, że ta wersja śledcza powstała tylko po to, by odsunąć podejrzenia od grupy przestępczej. Mimo to Kurek, wierząc w winę Tobiły, poszedł tamtym tropem. Nie chciał popełnić grzechu zaniechania. Przyjrzał się wówczas okolicznościom śmierci dzieci, która nastąpiła nie wcześniej niż dwa miesiące przed porwaniem Filipa Witberga, ale jednocześnie założył, że sam zgon nieletnich to za mało. Ktoś, kto porwał młodego, musiał znać Witbergów lub przynajmniej wiedzieć, gdzie mieszkają, oraz orientować się, że Lucyna Witberg spodziewała się dziecka i właśnie je urodziła.

Kurek przeanalizował trzy przypadki śmierci dzieci. Pierwsze z nich, ośmioletnie, zmarło w szpitalu na skutek sepsy, która zaatakowała organizm po zbyt późno przeprowadzonej operacji wyrostka. Rodzice chłopca mieszkali w Mniszku. Żadne z nich nie znało Witbergów. Drugie dziecko, czteroletnia dziewczynka, zginęło razem z matką w wypadku samochodowym na drodze z Kwidzyna do Grudziądza. Ojciec, jedyny, który przeżył uderzenie w drzewo, leżał w śpiączce i wypisano go ze szpitala długo po dziesiątym lipca.

Trzecie dziecko, niemowlę płci żeńskiej, zmarło samoistnie w łóżeczku. Młodzi rodzice, Ewa i Marcin Malinowscy, mieszkali w blokach w Tarpnie, a więc około półtora kilometra od Irysowej, i to zaalarmowało Kurka. Policjanci mieli ich na oku przez kilka miesięcy, rozmawiali z sąsiadami, w końcu odwiedzili pogrążonych w żałobie młodych ludzi.

Wkrótce się okazało, że młoda matka drugi raz zaszła w ciążę. W domu nie było żadnego innego dziecka.

Niemniej ten wątek był stale obecny w rozważaniach Kurka. Tym bardziej że pamiętał o zepsutej lalce znalezionej nieopodal domu Witbergów. Pokazał ją Malinowskiemu, ale zeznali, że to nie była zabawka ich córki. Im więcej lat upłynęło od początku tego śledztwa, tym częściej myślał o tym, że lalka mogła być kluczem do rozwikłania zagadki. Ale może było tak tylko dlatego, że latem dziewięćdziesiątego drugiego w przypiływie skrajnego wyczerpania jeden z dowodów w sprawie uznał za nieistotny?

Wówczas jego następcy, którzy ślęczyli nad aktami sprawy w kolejnych latach, mogliby wykazać Kurkowi, że popełnił fatalny błąd.

Czasami mu się to śniło.

Wycelowany w niego palec jakiegoś krzykacza, młodego policyjnego śledczego, który wrzeszczy coś o niedbalstwie, nieróbstwie i lenistwie.

Pocił się wtedy strasznie i ciężko mu było wstać z łóżka.

Kurek westchnął i przeczesał posiwiałe włosy, których linia z roku na rok coraz bardziej zbliżała się do czubka głowy.

– Co zamierzasz? – odezwał się do Jaronia.

– Puściłem tam naszego psa, ale ślad szybko się urywa, bo kiedy Witberg wyszedł z domu, lało już od kilku godzin. Poza tym wysłałem dwóch chłopaków do Straży Miejskiej, żeby przejrzyli zapisy monitoringu. Jedno jest pewne, Witberg nie pojechał tam swoim wozem. Raz, że ten stoi w garażu, a kluczyki zostały w domu, dwa, że samochód nie pojawia się w oku kamer zainstalowanych przy moście. Brałem też pod uwagę, że Witberg dojechał na miejsce, a potem ktoś odstawił wóz do garażu i puścił psa. Ale to niemożliwe. Wóz miałby mokre i brudne opony, a tymczasem podwozie jest zupełnie czyste i suche.

– W pobliżu domu Witbergów monitoringu brak, co? – zainteresował się Kurek.

– Najbliższa kamera jest w Tarpnie. Przeglądamy materiał wizyjny, może zobaczymy Witberga z psem. Na razie jednak nie mam takich informacji. – Jaroń zerknął na zegarek. – No nic, na mnie już czas.

– A kamera przy biedronce niedaleko Irysowej?

– Trochę potrwa, zanim udostępnią nam dane – stwierdził Jaroń i westchnął. – Analizujemy też połączenia i dane lokalizacyjne telefonu Witberga. To powinno pomóc.

Kurek przygryzł wewnętrzną część policzka i odpłynął myślami do ostatniej rozmowy z Witbergiem.

– Mówię ci o tym wszystkim – kontynuował policjant – bo znasz stare akta na pamięć. Może był tam jakiś ślad związany z Nowymi Marzami?

– Co? – Emerytowany gliniarz ocknął się z zamyślenia.

– Tylko rzucam hasło.

– A tak. Jasne, pomyślę. – Emeryt wydał wargi i zerknął na zegar na ścianie w kuchni. – Miałem się dziś zobaczyć z policjantami z iksa z Bydgoszczy. Spóźniają się, więc nawet nie wiem, czy to spotkanie jest aktualne.

– Wznowili sprawę Witbergów? Akurat w takim momencie? – Jaroń spochmurniał. Gdy wstał, górował wzrostem nad korpulentnym Kurkiem.

– Trzeba przyznać, że mają wyczucie. – Gospodarz się uśmiechnął. – Ciekawe, czy już wiedzą o Witbergu.

– Nie mam pojęcia, nie było mnie od rana w firmie. W każdym razie, skoro się z nimi spotykasz, to ich wybadaj, okej? – poprosił.

– Prędzej czy później sam ich wybadasz. Jak tylko dowiedzą się o Witbergu, zgłoszą się do ciebie.

Jaroń pokiwał głową i wyciągnął dłoń na pożegnanie. Kurek ją uściskał.

– No to w kontakcie – rzucił obecny szef kryminalnych i wyszedł.

Gospodarz wstał i skrzywił się z bólu. Noga ugięła się samoistnie, musiał przytrzymać się ściany.

Wtedy zadzwonił telefon. Z powrotem usiadł na chyboczącym się krześle i sięgnął po aparat. – Halo?

– Pan Marian Kurek? – usłyszał znajomy kobiecy głos, ale nie umiał określić, do kogo należy.

– A kto pyta?

– Lucyna Witberg z tej strony.

– A, to pani – odparł. – W czym mogę pomóc?

– Mam nadzieję, że to ja mogę pomóc panu – powiedziała.

– Nie rozumiem.

– To niech mnie pan uważnie posłucha – poradziła kobieta.

Za trzecim razem, kiedy wyciszony telefon długo wibrował w kieszeni, Olgierd zerknął na Herman i zrobił dwa kroki do tyłu. Złamał się. Odebrał połączenie i odwrócił się od policjantki oraz byłego gangstera.

– Co tym razem? – rzucił do słuchawki, siłąc się na spokój.

Kinga westchnęła.

– Chciałam tylko usłyszeć twój głos – powiedziała tonem wypranym z emocji. Dawniej być może nabrałby się na to i chociaż uśmiechnął. Tym razem jednak rozejrzał się i pokręcił z niedowierzaniem głową. Dlaczego mu to robiła?

– No to usłyszałaś. Muszę kończyć – odparł.

– Jesteś z nią, prawda? – spytała.

Nabrał powietrza.

– Jak Amelka? – próbował zmienić przebieg tej rozmowy, bo stale dzwoniła z tą samą pretensją, nakręcona jak katarynka.

– Dobrze. Cały czas śpi. Najadła się i zasnęła. W zasadzie albo je, albo śpi.

Przymknął oczy, żeby pod powiekami zobaczyć obraz małej, przy której dziś się obudził. Leżała między małżonkami, zaciskając piąstki spoczywające obok główki.

– Jesteś z nią, prawda? – powtórzyła Kinga, rozwiewając to wspomnienie. – Zamiast być ze mną, stale jesteś z nią.

Policjant spojrział przez ramię na Herman i Tobołę. Wciąż rozmawiali, a z każdym słowem wypowiedzianym przez Alfreda Tobołkowskiego Olgierd Borewicz oddalał się od śledztwa, w które do tej pory nie zdołał się porządnie zaangażować.

Herman siedziała od roku w policyjnym Archiwum X, zajmąwszy miejsce Ryszarda Tulei, który z powodu nowotworu jelita grubego musiał zrezygnować z etatu. Na jego miejsce powinni dać kogoś z wyrobioną policyjną intuicją, mającego na koncie przynajmniej kilka trudnych spraw. Borewicz zachęcał szefa, żeby ściągnął z Chełmży komisarza Bernarda Grossa. Tymczasem komendant wojewódzki zatrudnił Marię Herman, która dwanaście miesięcy wcześniej nie widziała świata poza zakładami bukmacherskimi. Zawalała obowiązki służbowe i groził jej dyscyplinarny wyłot ze służby. Pracowała wtedy w Komendzie Miejskiej Policji w Toruniu i musiała mieć dobre układy z szefem, skoro długo tolerował jej wybryki, a następnie załatwił przeniesienie.

Borewicz wiedział, że Herman zadłużyła się na lata świetlne. Rodzinny dom na Wrzosach, w którym mieszkała z rodzicami, zamierzał zająć komornik. Któregoś dnia

zapukał do drzwi i przedstawił rodzicom Marii, jak się sprawy mają. Matka wpadła w szal i zwyzywała córkę od kurew. Ojciec, który kochał Marię nad życie i w zasadzie zawsze ją chronił, nie był w stanie wydobyć z siebie słowa. Zdołał jedynie jak w transie wstać od stołu i odprowadzić komornika do drzwi. Przekręcił zamki, a kiedy szedł z powrotem do salonu, potknął się w progu i upadł. I nigdy już nie wstał.

Herman opowiedziała o tym wszystkim Borewiczowi podczas ich pierwszej wspólnie prowadzonej sprawy z dwa tysiące ósmego roku, która dotyczyła zaginięcia szesnastolatki z Żyglądu, niewielkiej wsi położonej przy ówczesnej drodze krajowej numer jeden. Sprawy nie rozwiązali, ale dużo czasu spędzili razem w samochodzie. Mnóstwo przegadanych godzin.

Śmierć ojca, jak mówiła Herman, była dla niej prawdziwym doświadczeniem hazardowego dna. Zrozumiała wtedy, że straciła nie tylko jedyną osobę, która bez względu na wszystko zawsze była po jej stronie. Straciła również miejsce do życia, swoje łóżko i cztery ściany, na które składało się całe piętro domu na Wrzosach, z własną kuchnią i łazienką. Nie miała żadnych pieniędzy ani oszczędności. Wszystko przegrała. I – pozbawiona wsparcia kochającego ojca – po raz pierwszy odczuła paraliżujący strach, który chwycił ją w swoje lodowate szpony.

Po śmierci ojca, dzień po pogrzebie, gdy matka wyrzuciła ją z domu, Maria Herman zdała sobie sprawę, że nie poradzi sobie sama w tej sytuacji. Musiała poprosić o pomoc. Ale wokół niej nie było nikogo.

Olgiert, o dziwo, lubił słuchać jej opowieści. Co zresztą sprawiło, że polubił też samą Herman i chociaż nigdy jej tego nie powiedział, uważał ją za bohaterkę. Dźwignąć się z upadku, z uzależnienia, w którym człowiek jest swoim największym wrogiem, brał za oznakę niezwykłej siły i hartu ducha.

Sam nie umiał walczyć z nałogiem, który w jego przypadku odpowiadał za nadwagę. Nie mógł uwolnić się od słodyczy. Często żartował na ten temat, ale kiedy poznał Herman, zrozumiał, że gdyby słodycze zastąpić wódką albo hazardem, nie miałby najmniejszych szans na wyzwolenie się z uzależnienia. Po prostu był za słaby i zbyt łatwo ulegał pokusom.

Zdecydowanie zbyt łatwo.

– Halo, słyszysz mnie? – Kinga przywołała go do rzeczywistości. – Jesteś z tą głupią Marią, prawda?

– Pracuję z nią.

– Spędzasz więcej czasu z tą szmatą niż ze mną. Niż ze swoją córką.

– Taką mam pracę.

– To może czas coś zmienić, Oluś. Mógłbyś robić coś innego, tu na miejscu, w Bydgoszczy, siedzieć przy komputerze... Byłbyś blisko mnie. Mógłbyś pracować u moich rodziców.

– Rozmawialiśmy już o tym – twardo wszedł jej w słowo.

– Chciałabym, żebyś był bliżej nas, żebyś spędzał z nami więcej czasu – poprosiła płaczącym tonem.

– Muszę kończyć – odparł, bo nie zamierzał kolejny raz klócić się o to samo.

– Oluś, kochanie...

– Muszę kończyć – powtórzył, ściskając telefon z całej siły. Miał ochotę rzucić nim o najbliższe drzewo.

– Zostaw ją i wróć do nas. Proszę! Bardzo proszę. – Zapłakała albo tylko udawała.

Powinien już dawno przerwać połączenie, ale nie chciał pogarszać sytuacji.

– Odpocznij – rzucił.

– Jak ja jej nienawidzę! – w słuchawce rozległ się krzyk. – Nienawidzę tej pierdolonej kurwy, tej hazardzistki jebanej!

Czuł, że wewnątrz cały drży.

Z trudem trafił palcem w obrazek czerwonej słuchawki.

Przełknął ślinę i wrócił do Toboły i Herman, ale nie zarejestrował, o czym rozmawiali, ponieważ wciąż jeszcze słyszał w głowie głos Kingi. W dodatku telefon znowu zaczął wibrować. Olgierd nawet nie wyjął go z kieszeni.

Stał oszołomiony. Serce tłukło mu się w klatce piersiowej, szum tłoczonych krwi tężał w uszach.

– No nic, dzięki za rozmowę. Wpadniemy jeszcze do pana – stwierdziła Herman i dała znak Olgierdowi, by poszedł za nią.

Spojrzał na Tobołę, który splunął skrawkiem tytoniu i przygryzł wargę.

– Zapraszam – rzucił, gdy byli już przy toyocie. – Nigdzie się stąd nie ruszam.

Olgierd ruszył za Herman.

„Nienawidzę tej pierdolonej hazardzistki”.

W jego głowie wciąż brzmiało echo krzyku Kingi.

– Zamieniam się w słuch – odparł Kurek i nie zwracając uwagi na prąd, który przeszył mu kolano, stanął przy oknie. Ciężar ciała oparł na drugiej nodze i patrzył daleko przed siebie, tam gdzie ciemnozielone lasy stykały się z sinoszarym niebem.

Pierwsze krople deszczu przykleiły się do szyby, a po chwili ciemne kleksy zaczęły zdobić parapet upstrzony jaskółczymi odchodami przypominającymi zaschnięte szare strupy.

– Mój mąż nie żyje, ale domyślam się, że pan już o tym wie, prawda? – usłyszał w słuchawce głos Lucyny Witberg.

– Od dawna nie pracuję w policji – uniknął odpowiedzi na pytanie.

– Czyli jednak pan wie – uznała kobieta, a on nie skomentował.

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia – powiedział za to, przyglądając się samochodowi, który wjechał właśnie na plac parkingowy między ścianami szczytowymi dwóch wieżowców i ustawił się przodem do okien. Po chwili reflektory zgasły, ale nikt nie wysiadł z wozu.

– Chciałam pana zapytać, czy mój mąż spotykał się z panem potajemnie.

– Potajemnie? W jakim sensie? – Kurek zastanowił się nad kondycją psychiczną kobiety. Odniosł wrażenie, że wdowa rozmawia z nim, jakby jej mąż nie umarł. Ale może emeryt nie brał pod uwagę, że Lucyna Witberg jest pod wpływem silnych leków. A może wyparła śmierć męża?

– Najprostszym możliwym.

– Niby skąd miałbym to wiedzieć? Spotykał się ze mną, owszem, ale nie mówił mi, czy robi to w tajemnicy przed panią – skłamał i zamilkł. – Zazwyczaj zresztą spotykaliśmy się na jego prośbę. Czyżby nie pozwalała mu pani się ze mną widywać?

Przez chwilę słyszał w słuchawce jej oddech, a następnie odezwała się spokojnym głosem:

– Nie o to chodzi, ale słyszę, że próbuje się pan wykręcać, a ja obiecałam, że panu pomogę. I mimo pana nastawienia nadal jestem skłonna to zrobić.

– Nie wiem, czy dobrze rozumiem – w głosie Kurka słychać było wahanie.

– Już wyjaśniam – odparła, a jej głos wypogodniał. – Chodzi o to, że mój mąż od lat gromadził wszelkie materiały dotyczące porwania Filipka. I w tych materiałach była pewna teczka.

Kurek przygryzł wargi.

Świat za oknem stracił kontury. Krople na szybie łączyły się i zygzakami spływały na parapet.

- Jaka teczka? – zdołał wydusić pytanie.
- Z pana nazwiskiem na okładce – wyjaśniła kobieta.

– Co mówiłaś? – Olgierd próbował skupić się na drodze, ale Herman wiedziała, że myślami jest daleko stąd.

– Zastanawiam się, kiedy Toboła nas okłamał – rzuciła, gdy ponownie jechali remontowaną Chełmińską.

Dalsza droga z Nowych Marz upłynęła im w milczeniu. Policjantka obserwowała Zero Siedem kątem oka i widziała sine sieci żył na jego rękach niczym długie glisty. Wiły się tuż pod skórą, jakby za wszelką cenę chciały ją przebić i wydostać się na zewnątrz. Borewicz zaciskał palce na kierownicy, aż pobierały mu knykcie.

Coś złego działo się w jego życiu prywatnym. Obawiała się, że strach o zdrowie psychiczne żony, ale też o zdrowie i życie córki odbierze mu zdolność racjonalnego myślenia i zaprzepaści jego udział w śledztwie. Nie pytała go o to, bo wiedziała, że wszystkiemu zaprzeczy.

Musiała dać mu czas.

Obserwowała pofałdowany krajobraz przez boczną szybę, las naprzemiennie oddawał pola kwartałom uprawnym oraz rozszanym tu i ówdzie nielicznym domostwom. Dopiero gdy zbliżali do Dolnej Grupy, widok za szybą się zmienił. Przy drodze pojawiły się warsztaty, hurtownie, a z ogrodzeń zwieszały się banery reklamowe, którymi szarpał wiatr. Falowały więc z łoskotem, częściowo pozrywane po niedawnej nawałnicy, jakby próbowały się uwolnić i odfrunąć w dal.

Deszcz zabębnił o maskę, gdy wjechali do Grudziądza.

– Być może wszystko, co powiedział Toboła, to jedno wielkie kłamstwo – odparł Olgierd długo po tym, jak wybrzmiało jej pytanie.

– Z wyjątkiem tego, że Witberg go odwiedzał.

Borewicz nieznacznie skinął głową.

– Pewnie tak. Ale nadal nie mamy pewności, że facet rzeczywiście zrobił to wszystko, o czym gadał Toboła – zastrzegł. – No i pytanie, dlaczego Witberg miałby powiedzieć eksgangsterowi, że go wspólnie odwiedzimy?

– Nie mam pojęcia – odrzekła.

– Nic ci na ten temat nie mówił, kiedy się z tobą umawiał na spotkanie?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Wciąż się zastanawiam, co Witberg zamierzał w ten sposób udowodnić – dodała.

– Niewykluczone, że akurat w tej sprawie Toboła kłamie. Może przy okazji śmierci Witberga próbuje się wybielić?

– Też o tym pomyślałam. Facet świetnie się odnajduje w każdej sytuacji – odparła Herman. – Cały czas panował nad emocjami. Chociaż równie dobrze mógł się przygotować, jeśli faktycznie się nas spodziewał.

– Pytanie, skąd wiedział o śmierci Witberga.

– Myślisz, że to on go wyprawił na tamten świat?

– Poczekajmy na wyniki sekcji i analizę połączeń Witberga oraz miejsc, w których jego aparat logował się do beteesów. To powinno rozjaśnić nam w głowach.

Ma rację, pomyślała Herman i zamilkła.

Miejski krajobraz przesuwiał się za boczną szybą. Kamienice, sklepy, niska starsza kobieta z ciężkimi siatkami, które niemal tarły o ziemię, mężczyzna na rowerze, dwóch chłopców dźwigających kolorowe tornistry. Wszyscy uciekali przed deszczem.

Przy kościele, na rondzie wytyczonym przez plastikowe bariery, białe i czerwone, odbili w prawo w kierunku Kalinkowej. Droga asfaltowa, biegnąca wzdłuż budynków pamiętających zapewne późne lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte, wspinała się ku wzniesieniu, skarpie wiślanej, na której prężyły się trzy jednakowe wieżowce. Każdy z nich miał po dwie klatki.

– Gdzie teraz? – spytał Borewicz, przełączając wycieraczki na najszybszy tryb.

Wskazała mu zjazd przy środkowym wieżowcu, tym najbliższym jezdni.

Spękany beton prowadził ich na parking z drugiej strony wysokiego budynku. Borewicz zaparkował przodem do wieżowca, w pobliżu niewielkiego białego hyundaia.

Herman nachyliła się do deski rozdzielczej i spojrzała w górę na okna i balkony. Nie miała pojęcia, które mieszkanie zajmuje Marian Kurek, były szef grupy operacyjno-śledczej.

Ulewa przybrała jeszcze na sile i łoskot deszczu o blachę się wzmógł. Strugi zalewały szybę, sprawiając, że świat za oknem zaczął tracić kontury.

– Mogę pójść sama. – Zauważyła, że Olgierd zastygł w bezruchu, patrząc przed siebie.

Zgasił silnik.

– Nie. Przecież sam podsunąłem ci tę sprawę. Idziemy razem – zapewnił i odpiął pas.

– Moje nazwisko na okładce? – zainteresował się Kurek, kładąc rękę po lewej stronie klatki piersiowej. Pod palcami wyczuwał dudnienie serca. – Zna pani zawartość tej teczki?

– Tej teczki u mnie w domu już nie ma – sprytnie uniknęła odpowiedzi na pytanie.

Mężczyzna zrobił kilka kroków do tyłu i opadł na wersalkę, która jęknęła pod jego ciężarem.

– Może pani mąż przed wyjściem z domu gdzieś ją ukrył? Może się zorientował, że pani przegląda zgromadzone przez niego dokumenty. – Otarł pot z czoła.

– Nie sądzę. Raczej wydaje mi się, że ktoś tu był.

– Kiedy?

– W noc, w którą zaginął mój mąż – wyjaśniła. – Leżałam już w łóżku, czekałam, aż Andrzej wróci z Kluską ze spaceru, chciałam z nim porozmawiać. O tym, że się tak angażuje ostatnio w sprawę Filipka. Mój mąż jakby nabrał rozpędu, jakby widział na horyzoncie szansę na rozwiązanie zagadki porwania naszego synka... – zawiesiła głos na moment. – Ale nie o tym chciałam mówić. Chodzi mi o to, że czekałam na niego i wtedy usłyszałam zgrzyt zamka.

– Jest pani pewna?

– Nie... Chyba nie powinnam tak tego ująć. Wie pan, zasypiałam już, ale im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonana, że tak właśnie było. Że ten dźwięk był rzeczywisty.

– Mówiła pani o tym policji?

– Nie wiem, nie pamiętam.

– Niech pani kontynuuje. Co się wydarzyło później?

Ciemne chmury przysłaniały niebo, mrok wlewał się przez okna do wnętrza kawalerki.

– Nie mam pojęcia, bo zasnęłam.

– Sądzi pani, że ktoś mógł wejść do domu i zabrać materiały męża? – Przyglądał się strugom deszczu chłostającym okna.

– Nie wiem. Mówię tylko, co usłyszałam przed snem – wyjaśniła. – Jeśli ktoś tu był, to nie zostawił po sobie żadnych śladów. A wtedy padał deszcz, więc to dziwne.

– Ma pani jakiś pomysł, kto mógłby stać za kradzieżą tych teczek?

– Żadnego. Myślałam, że to pan pomoże mi w rozwiązaniu tej zagadki.

– Dlaczego ja?

– Bo teczkę ze swoim nazwiskiem zapewne będzie chciał pan szybko odzyskać.

Kiedy Herman zobaczyła Mariana Kurka, uznała, że ma aparycję dziadka z niemieckiej reklamy karmelków.

Korpulentny, z owalną twarzą i mięsistymi ustami skorymi do uśmiechu. Herman pamiętała go w młodszej wersji, sprzed niemal trzydziestu lat. Nie spotkali się nigdy w pracy, ale przygotowując się do śledztwa, obejrzała „Magazyn Kryminalny 997”, w którym Kurek wystąpił dwukrotnie. Pierwszy program wyemitowano we wrześniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku. Zapamiętała młodego, szczupłego podkomisarza. Dobrze się prezentował w policyjnym mundurze. Już wówczas miał głębokie zakola, ale grzywka ciemnych włosów starannie je maskowała. Miał w sobie spokój, opanowanie i perfekcję, a te cechy powodowały, że Kurek zyskiwał sympatię widza i jego zaufanie. Herman zapamiętała to, wpatrując się w ekran. Miała go za dobrego fachowca, którego służba w policji przypadła na trudne czasy, kiedy ta formacja, mówiąc oględnie, nie cieszyła się zaufaniem społecznym. Liczne przypadki korupcji i przenikanie funkcjonariuszy do grup przestępczych były wówczas smutną codziennością. Mimo to Kurek przeszedł pozytywnie weryfikację resortową. Musiał być zdolny albo mieć dobre układy w policji, skoro tak szybko został szefem grupy operacyjno-śledczej do zbadania sprawy pod kryptonimem „Wózek”.

Drugi raz Kurek wystąpił w telewizji dwanaście lat później. Wówczas widać było, że policjant, ubrany w granatowy golf i niebieskie džinsy, wyraźnie przytył. Materiał swetra opinał się na brzuchu, twarz się zaokrągliła, pojawił się drugi podbródek. Mężczyzna zmienił fryzurę. Włosy miał krótkie, wystrzyżone niemal przy samej skórze głowy, na której odznaczały się głębokie zakola.

Marian Kurek otworzył drzwi swojej kawalerki i zaprosił ich gestem do środka. Herman przeprosiła za spóźnienie, co zbył machnięciem ręki.

– Emerycy czasu nie liczą – uśmiechnął się dobrotliwie.

Poradził, żeby zajęli wersalkę, co też uczynili. zaproponował coś do picia, ale kiedy odmówili, po prostu usiadł na krześle. Krótkotrwały grymas bólu przemknął przez jego twarz, odruchowo pomasaował kolano.

– Więc wrócili państwo do sprawy porwania Filipa Witberga, tak? – zwrócił się do Borewicza, ale ten milczał.

– To główny powód naszej wizyty – zapewniła policjantka. – Przyjechaliśmy do Grudziądza przede wszystkim po to, żeby spotkać się z Andrzejem Witbergiem – Herman

obserwowała twarz emerytowanego gliniarza. Ten jednak nie zdradził się żadnym grymasem. – On bardzo na to spotkanie nalegał.

– A teraz nie żyje – powiedział Kurek, czym ich zaskoczył.

– Wieści szybko się rozchodzą – Maria założyła nogę na nogę.

– Niemal całe życie zawodowe poświęciłem na rozwiązanie tej sprawy. – Uniósł palec wskazujący. – W tutejszym garnizonie dobrze wiedzą, że wciąż mogę im się przydać.

Herman przemilczała sprawę zdradzania szczegółów śledztwa, bo akurat Kurka wołała mieć po swojej stronie.

– Nie wątpię – odparła, podczas gdy milczący Olgierd wstał i podszedł do okna. Bez pytania uchylił wąskie skrzydło. Szum deszczu stał się wyraźniejszy, a zimne powietrze zawirowało w pokoju. Zero Siedem niemal dotykał nosem szyby.

Herman próbowała ukryć zaskoczenie zachowaniem kolegi. Ewidentnie coś go gniołło.

Złączyła dłonie i ściągnęła łopatki.

– Zostawmy na razie na boku akta sprawy – zaproponowała i albo jej się zdawało, albo Kurek odetchnął. – Kiedy ostatni raz widział się pan z Andrzejem Witbergiem?

Ekspolicjant lustrował ją wzrokiem.

– Kilka dni temu – odrzekł z wahaniem.

– A konkretnie?

Wbił wzrok w ścianę i postukał palcem w usta.

– Chyba w czwartek. Albo w środę. W każdym razie przed południem.

– Byliście sami?

– Tak.

– Czyja to była inicjatywa? – Borewicz uniósł głowę i zapatrzył się w dal.

– Moja.

– Gdzie się spotkaliście? – ciągnął podkomisarz, nie odwracając się.

– W kawiarni. Fado, w pobliżu spichrzy.

– Był jakiś konkretny powód waszego spotkania? – wtrąciła się Herman i Kurek automatycznie przeniósł na nią wzrok.

– Raczej nie.

– Więc po diabła to spotkanie? – Olgierd zamknął okno i wrócił na wersalkę.

Kurek spojrzał w niebo.

– Żyłem tą sprawą przez lata i fakt, że jej nie rozwiązałem, nie daje mi spokoju.

– Witberg chętnie przyjął pana propozycję? – Herman zachciało się palić. Oblizwała suche usta, po czym wsunęła dłoń do kieszeni kurtki i wymacała paczkę papierosów.

– Gdyby nie chciał się spotkać, nie zmusiłbym go do tego.

- O czym rozmawialiście? – spytał Borewicz.
- To było kurtuazyjne spotkanie. Opowiedziałem mu o tym, że piszę książkę.
- Książkę? – wtrąciła Herman.
- Reportaż o porwaniu.
- Na trzydziestą rocznicę? – zgadła policjantka.
- Tak.
- I jak zareagował?
- Normalnie. Powiedziałem mu, że opiszę to, co jest w materiałach ze śledztwa.
- Czy to samo mówił pan jego żonie? – Herman zmieniła temat.
- Nie. Nie spotykałem się z panią Lucyną. Nie życzyła sobie tego, a poza tym nie była zbyt szczęśliwa, że jej mąż ze mną rozmawia. Wiedziałem to od niego.
- Postępował pan wbrew jej woli.
- Nigdy mnie o nic nie prosiła. – Wyrównał pilota od telewizora względem rantu złożonej gazety. – Widywałem się z Witbergiem od czasu do czasu, w zasadzie głównie wtedy, gdy jego żona wyjeżdżała do sanatorium.
- Skąd pan o tym wiedział? – Borewicz skrzyżował ramiona.
- Kiedy dzwoniłem do Witberga i proponowałem termin wizyty, zdarzało się, że go przesuwał, podając ten właśnie powód.
- Czy podczas waszego spotkania powiedział panu coś interesującego, coś, co pana autentycznie zaskoczyło? – zapytała Herman.
- Nie. W zasadzie głównie to ja mówiłem.
- O książce?
- Tak. Po to się spotkaliśmy.
- W jakim był nastroju?
- Normalnym. Dobrym – poprawił się Kurek i małe mieszkanie wypełniła cisza.
- Wróćmy do śmierci Witberga – zaproponowała Herman po chwili. – Ma pan jakiś pomysł, co ojciec porwanego przed laty niemowlaka mógł robić po drugiej stronie Wisły, w okolicach Nowych Marz?
- Emerytowany gliniarz wydał wargi.
- Raczej nie – pokręcił głową. – Z tego, co pamiętam, żaden wątek śledztwa nie dotyczył tamtego rejonu. Nie mieszkał tam nikt związany ze sprawą.
- Olgiert wymienił spojrzenia z Herman.
- Jest coś, o czym nie wiem? – zainteresował się Kurek.
- Być może.

– Nie powiecie mi? – Wyglądał na rozczarowanego. Wstał i włączył światło, które zalało pokój i sprawiło, że rząd okien zmienił się w lustro. Herman widziała w szybie zafrasowane odbicie twarzy Olgierda, a po lewej siebie i Kurka, który otarł pot z czoła.

– A pan może wesprzeć nas jakąś wiedzą? – zainteresowała się Maria Herman.

Kurek z powrotem usiadł na krześle. Wyprostował prawą nogę i zaczął masować ją w okolicach stawu kolanowego.

– Wiedzą to raczej nie, bo wszystko, co wiem, jest w aktach. Ale mogę podzielić się z wami pewnym detalem, który sprawia, że po latach wciąż myślę o tej sprawie.

Olgierd wrócił na sofę i usiadł obok Herman.

– Co to takiego? – spytał, gdy odezwała się jego komórka. Odrzucił połączenie. – No więc?

– Lalka. Zwróciliście na nią uwagę?

– Chodzi o to, że pachniała mydłem?

– Tak, o to też. Ale mnie interesuje, skąd ona się tam wzięła.

– Może zwyczajnie ktoś ją wyrzucił, bo była zepsuta? – domniemał Zero Siedem.

Kurek pokręcił głową i wbił wzrok w podłogę.

– Możliwe, ale to nie daje mi spokoju. Przydrożny rów został posprzątaný przez mieszkańców osiedla krótko po zakończeniu roku szkolnego. Ot, taka sąsiedzka inicjatywa. Skrzyknęli się i zrobili coś dobrego – powiedział, nie zmieniając pozycji.

– Taką lalkę trudno przegapić – zauważyła Maria.

– Niewykluczone, że ktoś ją wyrzucił z samochodu – dodał Olgierd.

– Tak, ma pan rację. To też jakaś opcja. Ale coś tu nie gra. Lalka była czysta i rzeczywiście pachniała świeżym mydłem. Cały czas się zastanawiałem, po jaką cholerę ktoś zadał sobie tyle trudu i umył zepsutą lalkę.

– Zaraz, chwila. Skąd wiadomo, że była zepsuta? – zaproponował Zero Siedem. – Być może już po wyrzuceniu ktoś, chociażby jakiś dzieciak z okolicy, oderwał jej rękę i nogę.

Kurek zaprzeczył ruchem głowy.

– Wtedy lalka byłaby czysta w środku. A tymczasem przez otwory mocujące nogi i ręce już wcześniej dostało się sporo brudu i kurzu. Więc wygląda to tak, jakby przeleżała jakiś czas na śmietniku albo w piwnicy, a dopiero potem ktoś ją umył. Tylko z zewnątrz. Wyszorował wręcz.

– Czy sąsiedzi Witbergów mieli wtedy małe dzieci? – wtrąciła się Herman.

– Nie. To znaczy na pewno nie było małych dzieci w bezpośrednim sąsiedztwie – odparł Kurek. – Nijak nie mogliśmy połączyć tej lalki ze sprawą.

– I dobrze, bo być może w ogóle nie należało tego robić – stwierdził Borewicz znudzonym głosem.

– Ucieszyłbym się i odetchnął, gdyby tak właśnie było. Gdyby się okazało, że to zwykły śmieć, który przypadkowo znalazł się opodal domu Witbergów. Bo niech mi pan wierzy albo nie, ale ta lalka długo spędzała mi sen z powiek. – Kurek uśmiechnął się smutno i rozłożył ręce w geście bezradności. – Pewnie już nigdy nie poznamy prawdy o niej.

– Niekoniecznie – zauważyła Herman i ściągnęła na siebie wzrok obu mężczyzn. – Jeśli tylko założymy, że Tobała i jego ludzie nie mają z tym nic wspólnego.

Zero Siedem przewrócił oczami, a Kurek się pochylił.

– Co pani ma na myśli? – spytał.

– Wózek – rzuciła.

– Słucham?

– Od kiedy przeczytałam akta sprawy i poznałam kryptonim akcji, nie mogę się opędzić od jednej natrętnej myśli.

– Jakiej? – czoło Kurka przecinały głębokie zmarszczki.

Znudzony Borewicz spojrzał na nią, wypychając językiem policzek, i pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Że lalka i wózek mają ze sobą wiele wspólnego – dokończyła. – Szkoda, że nie poszłicie tym tropem. Podobno ludzie chętnie kupowali wózki dziecięce i właśnie ten konkretny model lalki.

Zero Siedem prychnął, a Kurek podrapał się po szyi.

– Sprawdziła to pani?

– Nie musiałam – odparła. – Kiedy byłam mała, dostałam od ojca identyczną lalkę.

Zagwizdał czajnik.

Kurek zaparzył dwie kawy dla gości i inkę dla siebie.

Kulejąc, przeniósł kubki z kuchni do pokoju i ustawił je na stoliku przed wersalką.

– Dobra, to jeszcze raz – powiedział, przecierając twarz dłonią. – Co pani sugeruje?

– To tylko jedna z możliwych hipotez, której chciałabym się bliżej przyjrzeć – Herman sięgnęła po kawę i upiła niewielki łyk gorzkiego naparu.

– Niech pani mówi – poprosił zaintrygowany gospodarz i wyprostował prawą nogę.

Miała wrażenie, że w oczach Kurka dostrzegła błysk. Możliwe, że poczuł się tak, jakby się cofnął o kilkadziesiąt lat i ponownie znalazł w pokoju śledczych wśród falujących szarych wstęg papierosowego dymu.

Zero Siedem chwycił kubek i podszedł do okna, po którym spływały strugi deszczu.

– Moim zdaniem do tego porwania ktoś się bardzo dobrze przygotował. I to właśnie sprawiło, że dla potencjalnych świadków zdarzenia stał się przezroczysty. Niewidzialny – doprecyzowała Herman.

– W jakim sensie? – Kurek ściągnął brwi.

– Pchał przed sobą wózek dziecięcy – po tych słowach zapanowała dłuższa chwila ciszy.

– Z lalką – uzupełnił stary policjant, a Zero Siedem spojrzał na Herman. Tym razem nie zauważyła grymasu powątpiewania na jego twarzy.

– Tak, z lalką – powtórzyła policjantka. – Tak to mogło wyglądać, bo nie budziłoby niczych podejrzeń. Ot, po prostu rodzic na spacerze z dzieckiem.

– Ale przecież ktoś mógł zobaczyć, że w wózku zamiast niemowlaka jest zabawka.

– Wystarczyło przykryć ją kocykiem, założyć czapkę i postawić zadaszenie gondoli jako ochronę przed słońcem. Wtedy trzeba byłoby wsadzić głowę do wózka, żeby dostrzec w nim lalkę.

– Poczekaj, bo nie wiem, czy dobrze rozumiem. – Zero Siedem łyknął kawy. – Chodzi ci o to, że ktoś udawał szczęśliwego rodzica na spacerze z dzieckiem, a następnie porwał niemowlaka Witbergów i zastąpił nim lalkę?

– Tak – rzuciła. – Braliście to pod uwagę? – Spojrzała na zaskoczonego Kurka. Miał powiększone źrenice i lekko uchylone usta.

– Jak pani doskonale wie, bo to wynika z akt, nie poszliśmy tropem lalki. Uznaliśmy, że leżała zbyt daleko od domu Witbergów.

– Jak daleko? – dopytał Borewicz.

– Ponad kilometr – wyjaśnił gospodarz.

Olgierd odwrócił się do Herman.

– W takim razie jest tylko jedno rozwiązanie. Porywacz celowo wyrzucił lalkę daleko od domu Witbergów, żeby nie powiązano zabawki ze śledztwem – zauważył.

– Pamięta pan, czy wśród świadków była kobieta z dzieckiem w wózku? – zainteresowała się Maria i spojrzała na Kurka.

– Kobieta? – zdziwił się emeryt.

– Facet z wózkiem w tamtych czasach to była rzadkość – stwierdziła. – Sądzę, że za wszystkim stoi kobieta.

– Ale Lucyna Witberg została ogłuszona – przypomniał eksgliniarz.

– Więc poszukiwania powinny ograniczyć się do wysokiej, silnej kobiety – podsumowała Maria.

Kurek wstał, podszedł do okna i stanął obok Borewicza. Ale nie wyglądał na zewnątrz. Oparł się o parapet i wbił wzrok w podłogę.

Fragment nieba, który Herman widziała z kanapy, wypełniały ciemne chmury.

Borewicz dopił kawę kilkoma łykami i odstawił kubek. Usiadł obok partnerki.

– Mamy dla pana jeszcze jedną informację – rzekł, spoglądając najpierw na Herman. Domyśliła się, że może mu chodzić o Tobołę, i dyskretnie pokręciła głową. – Chętnie się nią

podzielimy, ale chcielibyśmy wyciągnąć od pana coś, czego nie ma w aktach.

Kurek stężał, po czym się wyprostował i odwrócił w ich stronę.

– Czego nie ma w aktach? – zdziwił się. – Wszystko tam jest.

– Być może, ale interesuje mnie pana ogląd tej sprawy po latach, z perspektywy policyjnego wygi. A tego już w aktach nie znajdziemy – zauważył Borewicz. – Czym pan by się dziś zajął, gdyby ponownie przyznano panu tę sprawę?

– Lalką – odparł bez wahania. – Dlatego tak mnie zainteresowała pani koncepcja – spojrzał na Herman.

– A oprócz lalki? – drążył Olgierd.

Kurek z powrotem usiadł na krześle, zamieszał inkę, oblizał łyżeczkę i odłożył ją na bok. Wypił łyk kawy, a następnie pomasaował kolano.

– Nic mi nie przychodzi do głowy – przyznał, wzruszając ramionami.

– A sprawa sanitariuszy?

Herman była mile zaskoczona pytaniem Olgierda. Pamiętała ten wątek z akt.

– Sanitariuszy? – skrzywił się Kurek. – Tych, którzy uratowali życie Witbergowi po postrzale uda?

– Tak – rzucił Olgierd.

Do Witberga wysłano erkę, karetkę z trzyosobową obsadą: lekarzem oraz dwoma sanitariuszami, jeden z nich był kierowcą. I to właśnie on kilka dni po zdarzeniu zrezygnował z pracy i przesiadł się do taksówki, bo – jak twierdził – zwolniła się wówczas licencja. Drugi ratownik poszedł na krótki urlop, podobno po zatruciu pokarmowym.

– Sprawdzaliśmy ich. To akurat znajdziecie w papierach.

– Rozmawiał pan z nimi? – spytał Borewicz.

– Następnego dnia zostali przesłuchani na komendzie w charakterze świadków. Potem gadałem z nimi chyba jeszcze raz albo dwa razy. Nie pamiętam dokładnie kiedy. W każdym razie w żaden sposób nie byli związani ze sprawą.

– Powiedzieli coś interesującego? – Olgierd nie odpuszczał, a Herman ucieszyło zaangażowanie partnera. Odciągało go od domowych problemów.

– Nie – Kurek pokręcił głową. – Ani ratownicy, ani lekarz. Wezwali ich policjanci, którzy w porę dotarli do opla ascony Witberga. Zresztą z tego, co pamiętam, jeden z ratowników był w tej karetce przypadkowo, bo kolega poprosił go o zamianę dyżurów. Tamtego dnia musiał odebrać chore dziecko z kolonii nad morzem.

– Czyli pana zdaniem możemy ich sobie odpuścić, tak? Pytam, bo jutro mamy się z nimi spotkać – dodał Borewicz, a kiedy rozległo się ciche buczenie, wsunął rękę do kieszeni, w której chował telefon. Nieprzyjemny dźwięk ustał.

– Moim zdaniem to strata czasu – Kurek napił się inki.

– Dziękuję – stwierdził Zero Siedem. – W takim razie na nas chyba już pora. – Klepnął się w uda i spojrzał na Herman, która nie miała więcej pytań.

Wstała pierwsza. Po niej to samo zrobił Olgierd, a wreszcie z krzesła dźwignął się gospodarz. Oparł dłonie na stole i podniósł się, pojękując.

– A co chcieliście mi powiedzieć? Jaką informację miał pan dla mnie?

Olgierd, który stał już przy drzwiach, spojrzał pytająco na Herman. Przygryzła wargę, ale ostatecznie skinęła głową.

– Alfred Toboła – zaczął wolno Borewicz – wrócił jakiś czas temu w okolice Grudziądza.

Starszy mężczyzna przełknął ślinę, grdyka pośrodku szerokiej szyi zrobiła szybki ruch w górę i opadła na swoje miejsce. Emeryt odkaszlnął w zaciśniętą pięść.

– Wiedział pan o tym? – Podkomisarz chwycił za klamkę.

– Nie.

– Kto by się tego spodziewał, prawda? – spytał Olgierd i po chwili wyszedł na korytarz.

Kiedy Herman przechodziła obok Kurka do drzwi wyjściowych, wpatrywał się w podłogę.

– Pani komisarz? – zapytał szeptem, gdy dotarła do progu.

– Tak?

– Gdzie mieszka Toboła?

Herman usłyszała narastający szum zbliżającej się windy i odgłos kroków na klatce schodowej.

– A dlaczego to pana interesuje? – spojrzała na Kurka.

– To ja wsadziłem go za kraty – wyznał, jakby to usprawiedliwiało ciekawość.

Stalowe drzwi windy jęknęły krótko.

– Maria, idziesz? – usłyszała głos Zero Siedem, ale nie odpowiedziała koledze. Zwróciła się natomiast do Kurka.

– Toboła żyje w leśnej samotni niedaleko Nowych Marz. W pobliżu miejsca, w którym odnaleziono ciało Witberga – dodała i wtedy w szeroko otwartych oczach emerytowanego policjanta zauważyła narastające zaskoczenie. – Do widzenia – rzuciła i wyszła z kawalerki.

Kurek nie zdołał się z nią pożegnać.

Chmury kłębiaste uciekały na północ.

Maria Herman wyszła na balkon, z którego niemal na wyciągnięcie ręki miała wierzchołki koron schorowanych kasztanowców i ich przedwcześnie pożółkłe, pozwijane do wewnątrz zmartwiałe liście.

Dzień dogasał, oddając pole zapadającemu zmierzchowi.

Zapaliła papierosa i oparła się przedramionami o barierkę.

Borewicz wynajął dla nich niedrogi apartament na trzecim piętrze kamienicy przy Rapackiego, znajdującej się na zapleczu zajezdni tramwajowej i blisko dworca PKS. W niewielkim mieszkaniu przerobionym na potrzeby turystów znajdowały się wykończony na biało aneks kuchenny, mała łazienka z prysznicem i pokój dzienny z szafą, komodą pod telewizor, wersalką i okrągłym stołem z kilkoma krzesłami.

Z góry widziała, jak Olgierd wychodzi z klatki schodowej i omija kałuże. Z toyoty zaparkowanej wzdłuż drogi wyjął karimatę i śpiwór. Kiedy zatrzasnął klapę bagażnika, telefon Herman się rozdzwonił.

Zaciągnęła się dymem i zanim spojrzała na ekran starej nokii, stres, jak zwykle w takich przypadkach, dał o sobie znać. Radziła sobie z nim coraz lepiej. Ale wciąż się bała, że pojawią się kolejni wierzyciele, których będzie musiała dopisać do swojej listy. Zrobiła tak kilka minut temu, gdy po wejściu do apartamentu sięgnęła do plecaka po notes i zapisała w nim nazwisko Mariusza Jeziorskiego, komendanta tutejszej policji. W rubryce obok dopisała kwotę. Dwa tysiące złotych.

Zastanowiła się, kiedy mu to odda. Jak długo przyjdzie jej spłacać wszystkie zobowiązania. Czy starczy jej życia. I ile to jej życie będzie warte, skoro nie miała za co go przeżyć.

Wyjęła aparat i odetchnęła.

– Aśka? – rzuciła do słuchawki.

– Cześć, słońce – odezwała się przyjaciółka. – Nie przeszkadzam?

Zgasła peta o barierkę. Kilka spalających się skrawków, niczym iskry, porwał powiew wiatru.

Joanna Mitras uratowała jej życie.

Herman od dawna przeżywała kryzys wiary, ale tego jednego była pewna. Wierzyła w to, że Aśka pojawiła się na jej drodze dzięki sile wyższej. Maria nie chodziła do kościoła, zresztą pycha i grzechy kleru skutecznie jej blokowały drogę do świątyni. Nie umiała wierzyć

w Boga, przestała się do niego modlić, odkąd jej jedyną świątynią stał się hazard. I kiedy już zaczęła stawiać pierwsze kroki w trzeźwieniu, a grupa anonimowych hazardzistów udawała się co jakiś czas na nabożeństwa do kościoła akademickiego w Rynku Staromiejskim w Toruniu, ona odmawiała. Początkowo poszła z nimi z czystej ciekawości, czy udział w mszach sprawi, że zasiane przez dziadków ziarno wiary wykiełkuje w niej ponownie. Obawiała się jednak, że łupiny dawno się zeschły. Siadała w ławce i nawet próbowała się skupić na słowach przystojnego czterdziestoletniego ojca Tobiasza, duszpasterza uzależnionych, ale jej myśli dryfowały gdzieś daleko. Był to dla niej czas rozważań o tym, jak potoczyłoby się jej życie, gdyby nie Joanna.

Dokładnie dwa dni po pogrzebie ojca Maria Herman siedziała w wynajętym dla niej przez matkę pokoju na toruńskim Podgórzu i płakała.

Z bezsilności i tęsknoty za ojcem.

Jego śmierć była niesprawiedliwa. Jeśli istniał jakikolwiek bóg, który kazał nazywać siebie sprawiedliwym, to powinien zabrać ją, Marię Herman, hazardzistkę i manipulantkę. W ten sposób zrobiłby dla świata coś dobrego. Uwolniłby od niej ludzi, którzy tak wiele przez nią wycierpieli. Także jej ojca.

Herman nie mogła znieść myśli, że w zasadzie to ona go zabiła.

Wtedy zadzwonił telefon. Po raz kolejny, bo wcześniej połączenia z tego samego, nieznanego jej numeru nie odebrała. Nie miała na to siły. Co chwilę wydzwaniali komornik i ludzie, którym winna była pieniądze. Nie umiała już kłamać, gubiła się w labiryncie łgarstw, więc kończyło się na krzyku i wyzwiskach, których wysłuchiwała w spokoju, a potem się rozłączała. Czuła się kompletnie zagubiona i jedyny ratunek widziała w śmierci. W tym, że znowu zobaczy swojego ojca. Siwego mężczyznę z burzą włosów i krzaczastymi brwiami, w którego oczach zawsze odnajdywała spokój i wewnętrzną radość.

Nie pamiętała, dlaczego odebrała tamten telefon.

– Cześć, jestem Aśka, hazardzistka – usłyszała przyjemny kobiecy głos. – Od dziesięciu lat nie gram i chciałabym ci powiedzieć, jak możesz sobie pomóc.

– Skąd masz ten numer? – Herman otarła policzki.

– Czekam na ciebie na parkingu przed biedronką. Wyjdź, to porozmawiamy.

– Skąd masz mój numer? – powtórzyła, próbując zapanować nad nerwami.

– Od twojego ojca. Niedawno spotkał się ze mną i prosił, żebym z tobą porozmawiała.

– No to się, kurwa, spóźniłaś – warknęła Herman i wycodziła przez zęby: – Mój ojciec nie żyje!

W słuchawce zapadła cisza.

– Słyszysz? Mój ojciec nie żyje! – powtórzyła policjantka, a po chwili ponownie usłyszała głos nieznanajomej:

– Bardzo mi przykro. Nie wiedziałam o tym. Przyjmij wyrazy współczucia. – Kobieta zachowała spokój. – Ale to nie ja się spóźniłam, Mario. Po prostu nie odbierasz ode mnie telefonów.

Światło z apartamentu nagle wylało się na balkon.

Zaskoczona Herman odwróciła się z telefonem przy uchu i zobaczyła Borewicza, który właśnie odkładał na wersalkę karimatę i śpiwór. Następnie postawił na okrągłym stole karton zawierający kilka teczek ze śledztwa, po czym sięgnął po pilota i włączył telewizję.

– Co u ciebie? – odezwała się Mitras w słuchawce, a Herman wyobraziła sobie, że przyjaciółka uśmiecha się do niej z salonu, z miejsca, w którym stał Borewicz. Atrakcyjna sześćdziesięcioletnia szatynka z posiwiałymi krótkimi włosami zaczesanymi do góry i prostokątną twarzą, której klasyczne rysy nadawały subtelne piękno. Herman lubiła patrzeć w jej błyszczące piwne oczy, ukryte za dużymi okularami w białych oprawkach.

– Dziś nie zagrałam – odparła podkomisarz.

– Brawo. Wierzę w ciebie – zapewniła Joanna, a Herman poczuła się tak jak zawsze, kiedy się spotykały lub rozmawiały: że oto właśnie odnalazła starszą siostrę, o której zupełnie irracjonalnie marzyła w dzieciństwie. – Jesteś w Grudziądzu, słońce? Dobrze pamiętam?

– Tak, zostanę tu do jutra. Co się stało?

– Mogę cię prosić o przysługę?

– No pewnie.

– Wyślę ci esemesem numer do Jakuba, młodego mężczyzny, który potrzebuje pomocy.

Herman przełknęła ślinę i niewielki kamień wpadł do jej żołądka. Zrozumiała, do czego zmierza przyjaciółka.

– Nie dam rady, nie gram dopiero od roku, to wciąż za mało. Dobrze wiesz, że jeszcze się do tego nie nadaję.

– Musisz mu pomóc, słońce – odparła Mitras, jakby wątpliwości Herman w ogóle do niej nie dotarły. – Zadzwoń do niego i zrób wszystko, żeby się z nim spotkać i porozmawiać. Nie odkładaj tego na jutro. Tylko o to cię proszę.

– Aśka, nie dam rady – oklepała kieszenie kurtki w poszukiwaniu papierosa. Poczula, że mimo wieczornego chłodu jej dłonie robią się wilgotne.

– Kochanie, on czeka na pomoc. Tak jak kiedyś ty czekałaś. Dasz radę. Po prostu z nim pogadaj. Buźka. – Mitras się rozłączyła.

Herman sięgnęła po ostatniego papierosa z paczki i zapaliła go trzęsącymi się dłońmi.

Eseses przyszedł, gdy zaciągnęła się po raz drugi.

W pozornej ciszy, która nastąpiła wraz z nocą, Marian Kurek słyszał wyraźny świst swojego oddechu.

Ciemność wkraplała się przez szyby do jego mieszkania i wypełniała kawalerkę, a on bezwiednie wodził wzrokiem po czarnych kształtach mebli.

Od dłuższego czasu leżał na wersalce przykryty kocem i walczył z kłębowiskiem natrętnych myśli. W głównej mierze dotyczyły one Alfreda Tobałkowskiego i jego niespodziewanego powrotu w okolice Grudziądza. Staremu policjantowi się to nie spodobało. Uzmysłował sobie jednak, że skoro Tobała mieszka w lesie już kilkanaście miesięcy i jak dotąd nie wykazał żadnej chęci skontaktowania się z byłym policjantem, do tego spotkania w ogóle nie musi dojść. W każdym razie Kurek nie odbierał żadnych sygnałów, które mogłyby świadczyć o tym, że Tobała krąży wokół swojego dawnego wroga jak sęp nad ofiarą.

A może – obawiał się stary gliniarz – lata spędzone na emeryturze stępiły jego policyjny zmysł? Bo trudno mu było uwierzyć, że śmierć Andrzeja Witberga i odnalezienie jego ciała w bezpośredniej okolicy miejsca zamieszkania byłego gangstera nie mają wspólnego mianownika. Na domiar złego pojawiła się sprawa teczki z nazwiskiem emerytowanego policjanta, która dziwnym trafem znalazła się w domu Witbergów.

Tylko idiota uznałby to za przypadek i zwykłe zrzędzenie losu. Lata pracy w wydziale kryminalnym wyleczyły go z naiwności.

Kurek nabrał powietrza. Dreszcz przebiegł mu przez klatkę piersiową.

Tkwiał w nim uśpiony strach, który właśnie zaczął się budzić do życia. Pożerał go od wewnątrz i paraliżował. Ale co w tej sytuacji mógł zrobić?

Po pierwsze, zobaczyć się z Lucyną Witberg. Wybadać, co wie na temat zawartości teczki.

Po drugie, powinien kontynuować reportaże. Traktować pisanie jak terapię – aby uspokoić myśli, ale także po to, by odnaleźć w tej sprawie wątki, które po latach mogą go bezpośrednio dotyczyć.

Co w tej sprawie przegapił, czego nie dopilnował? Co było bronią obosieczną?

Kurek martwił się tym, że nie znajdował odpowiedzi na postawione pytania. Mógł otworzyć duży zeszyt, chwycić ulubionego niebieskiego energela marki Pentel, który zawsze lekko sunął po gładkim papierze w kratkę, i szukać tych odpowiedzi w historii z dziewięćdziesiątego drugiego roku.

Dziś jednak Kurek nie byłby w stanie napisać słowa. Stres skutecznie odbierał mu umiejętność analitycznego myślenia i prawidłowego wyciągania wniosków. Musiał poukładać sobie w głowie wszystko, co zdarzyło się w ciągu dnia. I co sprawiło, że dalsze opisywanie działań operacyjnych w sprawie porwania dziecka Witbergów prawdopodobnie będzie musiał odłożyć na jakiś czas. Przynajmniej do momentu, w którym zrozumie, co po niemal trzydziestu latach połączyło Tobię z Andrzejem Witbergiem. Co takiego się stało, że ci dwaj mężczyźni się spotkali? Skąd Witberg miał teczkę z materiałami dotyczącymi Kurka i z jakiego powodu zniknęła ona z domu przy Irysowej? Czy to oznaczało, że jest teraz w rękach Tobię? Czy to znak, że Kurek powinien wkrótce spodziewać się kontaktu ze strony gangstera?

Stary gliniarz czuł w kościach, że to wielce prawdopodobne rozwiązanie.

Obawiał się, że kolejne dni przyniosą nowe, niecodzienne zdarzenia. Liczył tylko na to, że zamiast gmatwać tę sprawę, będą wskazówkami do jej wyjaśnienia.

Kurek odrzucił koc i usiadł na wersalce.

– Ale się narobiło – westchnął, po czym dźwignął ciało i poszedł do toalety, żeby się wysikać.

Kiedy wrócił, przebrał się w piżamę i posłał łóżko.

Czekała go bezsenna noc. Będzie musiał podjąć ważną decyzję. Rozważyć, czy czekać na sygnał od Tobię, czy też go ubiec.

Teczka, pomyślał, po czym odezwał się szeptem:

– Skurwiel ma moją teczkę.

– Wychodzisz? Teraz? – spytał Olgierd, oderwawszy wzrok od starych akt.

Herman przeszła do przedpokoju.

– Niedługo wrócę – odparła.

– Mam się o ciebie martwić?

– Martw się o siebie – odburknęła.

Mimo to wstał i zgarnął z oparcia krzesła czarny polar. Z kieszeni spodni wyjął klucze od toyoty.

– Co robisz? – spytała zaskoczona, gdy zobaczyła, że Borewicz się ubiera.

– Podrzucę cię.

– Lepiej studiuj akta – spiorunowała Olgierda wzrokiem. Mężczyzna podparł rękami biodra i przygryzł wargę.

– Po prostu nie chciałbym, żebyś wróciła do grania.

Z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Niby dlaczego miałabym to zrobić?

– Jesteś zestresowana. Znowu górę biorą nad tobą emocje. Wtedy najłatwiej o powrót do starych zwyczajów.

– Gównu wiesz – rzuciła, chociaż Olgierd miał rację. Kiedy nauczyła się diagnozować swój stan emocjonalny, doskonale rozumiała, że momenty wzburzenia, powrotu do emocjonalności z czasów hazardowego haju, są niezwykle groźne. Często właśnie wtedy pokusa niczym wąż syczała jej do ucha, by pozwoliła sobie zapomnieć o problemach i znów poczuła adrenalinę, która uwalniała się, kiedy Herman obstawiała wyniki sportowe. Gdy próbowała racjonalnie podchodzić do analizy szans i zagrożeń, zapominając o logice, która musiała przegrać każde starcie z grami losowymi, skoro ich wynik zależał wyłącznie od przypadku.

Uporządkuj myśli, działaj racjonalnie, upomniała się.

– Po prostu nie rób tego – poprosił Olgierd, zdejmując polar.

– Nie mam najmniejszego zamiaru – stwierdziła, wychodząc na ciemną klatkę schodową, w której unosił się smród kociego moczu.

Wymacała włącznik i zeszła krętymi schodami na chłodny parter, gdzie popchnęła ciężkie drewniane drzwi.

Nocny wiatr owionął jej twarz i szarpał rozpiętą kurtkę. Przyciągnęła jej poły do siebie i trzymała w zaciśniętych dłoniach. Chodnik prowadził ją wzdłuż jezdni ze starym asfaltem, spod którego wyzierała kostka bazaltowa, mieniąca się – w pomarańczowym świetle ulicznych latarni – wieloma odcieniami brązu. Policjantka mijiała zaniedbane kamienice i nielicznych mieszkańców, spóźnionych do domu lub wychodzących z psami. Za jezdnią i szpalerem kasztanowców rozciągały się rozrzucone tu i ówdzie zabudowania, w większości słabo oświetlone lub pograżone w ciemnościach.

Do centrum miasta miała kilkaset metrów prostej drogi, którą w pewnym momencie, za intermarché i przy stacji Circle K, przecinała ruchliwa za dnia arteria.

Herman kupiła na stacji niebieskie chesterfieldy, wsunęła papierosa do ust i mrużąc oczy przed wiatrem, przeszła na drugą stronę opustoszałej o tej porze ulicy Piłsudskiego.

Z Kubą, hazardzistą, którego życie za sprawą uzależnienia zmieniło się w koszmar, umówiła się w pobliżu Zespołu Szkół Gastronomiczno-Hotelarskich.

– Duży budynek z czerwonej cegły. Naprzeciwko jest pomnik Pileckiego. Będę tam za pół godziny – powiedział, po czym zakończył rozmowę.

Herman dotarła do postumentu, idąc plantami, szerokim deptakiem z niewysokimi drzewami po obu stronach, wytyczonym między ulicą Curie-Skłodowskiej a aleją 23 Stycznia, z których ta pierwsza dotykała granicy centrum miasta i kamienicznej zabudowy.

Kilka ławek zajętych było przez młodych mężczyzn w dresach, którzy popijali piwo z puszek, kupione zapewne w najbliższej żabce.

Mijała ich bez strachu, bo zdawała sobie sprawę, że w wysłużonej kurtce i starych butach wygląda jak kobieta wymagająca stałego wsparcia socjalnego.

W pobliżu, przy pomniku rotmistrza Pileckiego, awansowanego pośmiertnie na pułkownika, usiadła na zimnej ławce i zapaliła drugiego papierosa.

Zrobiło się chłodno, więc objęła się ramionami.

Chłopak się spóźnił, ale nie przejmowała się tym. Układała sobie w głowie to, co zamierzała mu powiedzieć. Nie mogła udzielać żadnych rad. Powinna skupić się wyłącznie na przekazaniu świadectwa, a tym samym pokazaniu drogi, którą trzydziestodwulatek mógłby podążać, jeśli tylko będzie gotowy. Jeśli starczy mu sił. Bała się jednak, że zacznie jej zależeć na wyciągnięciu mężczyzny z bagna, w którym się znalazł. Tymczasem nie wolno jej angażować się emocjonalnie w sprawy, które w żaden sposób nie zależą od niej. Droga trzeźwienia jest dla tych, którzy świadomie chcą nią podążać. Którzy rozumieją, jakie spustoszenie powoduje hazard w ich zdrowiu, psychice, ale przede wszystkim w zwykłym, codziennym życiu.

Ona, Maria Herman, nie będzie miała żadnego wpływu na decyzję Kuby.

A jednak poczuła na sobie ciężar odpowiedzialności za losy mężczyzny, którego w ogóle nie знаła. Stres spinał jej mięśnie, pot perlił się między łopatkami i w dole pleców.

Odpuść, pomyślała, rzucając peta pod podeszwę buta.

Powinna się pozbyć tego balastu, który w przypadku przegranej Kuby w najlepszym razie potarmosi ją emocjonalnie, ale w najgorszym – może pociągnąć w dół.

Stara nokia zaczęła wygrywać prostą melodię; zamyślona Herman sięgnęła po komórkę. Spodziewała się połączenia od młodego hazardzisty, ale okazało się, że to nie on próbuje się do niej dodzwonić.

Na ekranie wyświetliło się nazwisko jej byłego faceta.

Arek Groch.

Przyglądała się w myślach wielkiemu, misiowatemu policjantowi z burzą loków na głowie, któremu kilka lat temu rozbiła rodzinę, a jego samego naraziła na spore straty finansowe.

Czego chciał od niej pięćdziesięcioletni szef sztabu policji w toruńskiej komendzie? Domyślała się, że znowu chodzi o zwrot kasy.

Gdyby odrzuciła połączenie, oznaczałoby to powrót do utrwalonych, złych zachowań sprzed okresu trzeźwienia. Z czymkolwiek więc dzwonił, musiała wziąć to na klatę.

Obok przeszła para młodych ludzi trzymająca się za ręce. W oddali przejechał samochód. Herman nabrała powietrza i odebrała połączenie.

– Cześć, mała, tu Groch. Gdzie jesteś? – usłyszała tubalny głos Arka, pozbawiony natarczywości i złych emocji, tak częstych u jej rozmówców.

– W Grudziądzu. A co?

– Chodzi o twoją matkę.

Herman odkleiła się od niewygodnego oparcia drewnianej ławki.

– To znaczy?

– Zadzwoiła do mnie przed godziną, mówiła nieskładnie, w zasadzie bełkotała, jak ktoś, kto przechodzi udar. Zadałem jej kilka pytań, żeby, no wiesz, być z nią w stałym kontakcie, a jednocześnie odezwałem się z drugiego aparatu do dyżurnego, który zorganizował wspólną akcję ze strażakami i pogotowiem. Miałem twoją matkę na linii, kiedy dostali się do jej mieszkania.

– No i? – Serce podeszło jej do gardła.

– Nie wygląda to dobrze. To znaczy trafiła na OIOM, ale rokowania są złe.

– To rzeczywiście był udar? – zaniepokoiła się jeszcze bardziej.

– Niestety. Dość rozległy. Właśnie skończyłem rozmawiać z kolegą, lekarzem dyżurnym, który nie ma dobrych wieści.

– Czyli?

W głośniku przez chwilę słychać było tylko szum oddechu.

– Przykro mi, mała – westchnął Groch. – Obawiam się, że... No, wiesz.

Wiedziała.

Czuła to w drzeniu swojego ciała.

– Wygląda na to, że twoja matka umiera – dokończył.

Olgierd Borewicz otworzył drzwi balkonowe i pokój wypełnił szum tarmoszonych przez wiatr liści kasztanowców, podobny do szemrania deszczu.

Gdzieś zza ściany dobiegały odgłosy z telewizora, które przypominały relację sportową egzaltowanego sprawozdawcy. Mecz albo transmisja z zawodów lekkoatletycznych. Tak mu się przynajmniej zdawało.

Potrzebował odpoczynku od wertowania starych akt i wczytywania się w dokumentację sprawy Witbergów. Przewracał kolejne pożółkłe strony, wypełnione na przemian pismem odręcznym i maszynowym. Wpatrywał się w zdjęcia, opisy i plany sytuacyjne, dotyczące zarówno ogrodu, jak i domu Witbergów, ze szczególnym uwzględnieniem miejsca pozostawienia wózka w dziesiątym dniu lipca dziewięćdziesiątego drugiego roku oraz punktu przekazania okupu u podnóża Góry Klęczkowskiej. Wpatrywał się w zakreślony niebieskim flamastrem prostokąt, który pokazywał ustawienie opła ascony Witberga. A potem z powrotem analizował rysunki ogrodu przy Irysowej i trzy przestrzenie zaznaczone na granicy działki, w których osoba postronna bez przeszkód mogła prowadzić obserwację terenu i wózka z dzieckiem, znajdującego się w cieniu jabłoni.

W opinii ówczesnych śledczych, z Kurkiem na czele, porywacz patrzył wprost na dom z obszernym betonowym tarasem, stojąc przy węższym boku działki. Roślinność po stronie ogrodu, głównie krzewy liściaste i nieco oddalone od płotu drzewa, mogły zasłonić potencjalnego porywacza.

Zdaniem Zero Siedem to założenie mogło być jednak błędne. Pomyślał o tym w kontekście tezy Herman, według której porwania dokonała osoba w żaden sposób niezwiązana z gangiem Toboły.

Wrócił do niewielkiego stołu i zebrał z niego materiały. Rozłożył je na podłodze i usiadł na niej, opierając się o wersalkę.

Jeżeli za tym przestępstwem stała kobieta, musiała zawczasu dobrze poznać okolice ulicy Irysowej. Powinna się orientować, do której części ogrodzenia podejść, by nikt jej nie zauważył ani z terenu działki, ani z domu. Istniało przecież ryzyko, że Lucyna Witberg zapamięta kogoś, kto kręcił się tuż za płotem. Tymczasem w zeznaniach matki porwanego niemowlęcia nie było na ten temat słowa.

Porywaczka musiała się skutecznie ukryć.

Borewicz przyjrzał się kserokopiom fotografii z akt, które przedstawiały rzuty każdego boku działki. Porozkładał je na starym rysunku, tak by zbudować w wyobraźni odpowiedni

obraz tego terenu sprzed wielu lat.

Na zdjęciu zrobionym z tyłu ogrodu była wyłącznie roślinność, która całkowicie zasłaniała dwukondygnacyjny dom Witbergów.

Pokonanie takiej przeszkody mogło nastęrczać sporych trudności. Wysoka siatka ogrodzeniowa, którą widział na zdjęciu, nie ułatwiała zadania. Zapewne ugięła się pod ciężarem. Ale nawet jeśli porywaczka przedostała się w ten sposób do ogrodu, to powrót tą samą drogą z dzieckiem na rękach wydawał się nierealny. W opinii Borewicza nawet wysportowany mężczyzna miałby z tym nie lada problem.

Ludzie Kurka od początku zakładali, że za porwaniem dzieciaka stała grupa przestępcza. Uznali, że porywaczy było trzech, z czego prawdopodobnie dwóch przedostało się do ogrodu. Jeden wszedł do domu i ogłuszył Lucynę Witberg, a drugi zabrał dziecko z wózka i podał je trzeciemu mężczyźnie, który czekał przy płocie.

„Potem porywacze musieli oddalić się do białego poloneza” – raportował szef grupy operacyjnej w notatce uzupełniającej wersję śledczą. Kurek sporządził ją krótko po tym, jak Andrzej Witberg pojawił się u podnóża Góry Klęczkowskiej i stracił pieniądze, ale nie odzyskał dziecka. Mamrotał tylko o białym polonezie i dziecku w kabinie samochodu.

Borewicz przyjrzał się drugiej fotografii, zrobionej z ogrodu sąsiadów.

Zgodnie z opisem przyjęta perspektywa ukazywała długi bok działki. Dobrze widoczne były zarówno taras, jak i część zadbanego trawnika. Natomiast miejsce, w którym stał wózek, przysłaniały rośnie krzewy.

Policjant, podobnie jak ówczesni śledczy, uznał, że skoro sąsiedzi byli w domu, żaden porywacz nie ryzykowałby próby przejścia przez ich ogród. Ta wersja wydawała się najmniej rozsądna.

Trzecie zdjęcie ukazywało przeciwległy bok, ale fotograf, żeby zrobić ujęcie granicy działki, musiał ustawić się na polu, które wówczas graniczyło z nieruchomością Witbergów. Obecnie teren w całości zajmowały domy jednorodzinne.

Zero Siedem postawił palec na zdjęciu dokładnie w miejscu, w którym widoczna była wschodnia elewacja domu z jednym wąskim oknem. Jak zdążył się zorientować z analizy rzutu obu kondygnacji, doświetlało ono klatkę schodową. Szary tynk typu baranek, nakładany pewnie brzożową miotłą, na nim ciemne zacieki. Dwa z nich wykwiwały przy narożnikach blaszanego parapetu; trzeci, rdzawy, zwieszał się z wysoka, dokładnie z tego miejsca, w którym fragment rynny wydawał się lekko ugięty w stosunku do zainstalowanej linii odwodnienia dachu. Na samym szczycie budynku widoczny był fragment wielkiego talerza telewizji satelitarnej z nieco wyblakłym niebieskim napisem Astra 1A. Obok, na zwykłej antenie, siedziały dwa gołębie, zainteresowane tym, co robi fotograf.

Borewicz przyglądał się elewacji domu i miejscu całkowicie pozbawionym roślinności. Czy to tu zaczął się sprawca?

Przeniósł wzrok na zdjęcie przedstawiające front domu oraz ogrodzenie z drutu zbrojonego i prostokątnych arkuszy blachy. Hit w tamtych czasach.

Miał przed sobą cztery duże okna dzielone niesymetrycznie. Za każdym znajdowały się pokój lub sypialnia. A skoro tak, to kobieta, która zamierzała zabrać dziecko, mogła wejść na teren ogrodu od frontu, przez furtkę, której Witberg nie zamykała na klucz. Borewicz pomyślał, że porywaczka nie wybrałaby chodnika po prawej stronie, który prowadził do wejścia do domu znajdującego się od strony sąsiadów. Raczej wolałaby się dostać do ogrodu i tarasu, wybierając ścieżkę po lewej, bo tam w elewacji było tylko jedno okno. Bez problemu mogła przejść wzdłuż budynku i z narożnika obserwować wózek i taras. A jednocześnie pozostałaby niezauważona.

Borewicz wyprostował plecy i zamrugął. Spojrzał na okna, w których odbijało się wnętrze apartamentu z fragmentem jego łysej głowy oraz lampą zwisającą z sufitu.

Wpatrywał się w ten obraz, bezwiednie przenosząc wzrok z jednego elementu wyposażenia na drugi, i myślał o tym, że Herman ze swoją skrupulatnością, ale też nieszablonowym podejściem, a przede wszystkim z otwartą głową nadaje się do tej roboty lepiej niż on.

Borewicz dobrze wiedział, że obniżył loty.

I nie chodziło wyłącznie o dużo młodszą i chorobliwie zazdrosną żonę, której miał dość. Aczkolwiek umiejętność życia z nią opanował do perfekcji. Wiedział, że Kinga po kryjomu przegląda jego esemesy i spisuje numery połączeń, a także zerka na maile wysłane z telefonu. Niewykluczone, że wgrała mu aplikację szpiegowską. Mógłby zakłócić jej działanie, gdyby tylko pogadał ze specami od informatyki z komendy, ale wolał tego nie robić. Nic tak nie usypiało czujności żony jak to, że jego aparat był czysty. Bo Zero Siedem nie popełniał głupich błędów.

W tym momencie przypomniał sobie o drugim telefonie ukrytym w plecaku. Sprawdził go, schodząc do samochodu po śpiwór i karimatę, ale jeszcze wtedy nie miał żadnych nieodebranych połączeń ani nieodczytanych wiadomości. Trochę go to zmartwiło, bo nastawił się na rozrywkę.

Spojrzał na zegarek. Było parę minut przed północą.

Już czas, pomyślał.

Kilka dni temu, kiedy zaproponował Herman starą sprawę z Grudziądza, odezwał się do znajomego, którego Kinga nigdy nie poznała, z pewną propozycją. I dowiedział się, że sprawy zmierzają do szczęśliwego finału.

Olgierd wyszperał telefon i tym razem znalazł esemesa. Odczytał wiadomość i poczuł przyjemne mrowienie w trzewiach, źródło rozchodzącego się ciepła.

Wybrał numer i czekał na połączenie.

– No wreszcie – zaśmiał się Łysy, a jego głos zagłuszały dźwięki głośnej muzyki.

– Nie czekacie na mnie? – zaniepokoił się Olgierd.

– Esemesa wysłałem ci godzinę temu. Więc do kogo masz pretensje? – Znajomy się roześmiał. – Zbieraj dupsko, to może zdążysz na to, co najważniejsze!

– Zaraz będę – odparł Zero Siedem i się rozłączył.

Przymknął oczy i na myśl o tym, co go czeka, oblizał palce. Wsunął dłoń pod koszulkę i wilgotnymi opuszkami podrażnił sutki. Stwardniały szybko. Zaczerpnąwszy spory haust powietrza, przygryzł wargę i odchylił głowę, przywołując wspomnienia z niedawnej akcji w Toruniu.

Ciało przeszły przyjemne impulsy, ale przerwał pieścizoty i powoli otworzył oczy.

Z kieszeni plecaka wyjął blister sildenafilu, przepisanego w podwójnej dawce przez znajomego lekarza, i połknął dwie tabletki.

Popił je wyjętym z lodówki red bullem i spojrzął na zegarek.

Pół godziny, pomyślał, za pół godziny lek zacznie działać.

Landrynkowy gazowany napój, słodki jak diabli, podrażnił podniebienie i spłynął do żołądka. Wkrótce podkomisarz poczuł się pełen energii. Wstał, pozbierał materiały i odłożył je na stół.

Nie zgasił światła.

Poszedł do łazienki, rozebrał się i wziął długi prysznic. Kiedy wycierał ciało białym ręcznikiem, przeklinał duże lustro, w którym dostrzegł swój spory brzuch i wałki tłuszczu nad biodrami zachodzące na plecy.

Włożył bokserki i biały T-shirt, obficie spryskał pachy antyperspirantem.

Wrócił do pokoju, żeby wciągnąć dzinsy i zabrać plecak, ale wtedy zobaczył, że kserokopia jednego ze zdjęć, zamiast na stole, leży na parkiecie, częściowo wsunięta pod wersalkę.

Podniósł ją.

Przedstawiała elewację domu z jednym oknem.

W szybie odbijały się złote kłosa pszenicy i fragment błękitnego nieba z kilkoma białymi chmurami.

W dziewięćdziesiątym drugim lipiec był wyjątkowo gorący i słoneczny. Rolnikom doskwierała susza. Borewicz sprawdził to kilka tygodni temu, kiedy po raz pierwszy zabrał się do wertowania akt sprawy Witbergów.

Raz jeszcze spojrzął na zdjęcie domu i okolicznej bujnej zieleni i zatrzymał wzrok na ciemnej plamie w okolicy okna.

Drukarka najwyraźniej zarejestrowała w pliku jakiś kształt i odwzorowała go na papierze.

Nie był pewien, na co patrzy. Poza tym zdjęcie było stare, wykonane analogową metodą naświetlania kliszy. Wysokiej jakości skan nie był w stanie wyostrzyć tego obrazu.

Borewicz pochylił się nad fotosem i zmrużył oczy, co jednak wcale nie pomogło. Oświetlenie pokoju pozostawiało wiele do życzenia i Olgierd nie był w stanie rozróżnić detali na wydruku.

Odłożył kartkę i wyjął z torby laptopa.

Kiedy uruchomił sprzęt, zaczął niecierpliwie przeszukiwać foldery, aż w końcu trafił na właściwy. Kliknął w wybrany obrazek, a następnie za pomocą wirtualnej lupy powiększył go i przesunął po ekranie, aż w końcu obraz odbity w oknie domu Witbergów stał się dużo wyraźniejszy.

Borewicz przełknął ślinę.

Czarny kształt nabrał wyrazistości.

– Ja pierdolę – wyszeptał i unióś wysoko brwi.

Patrzył na to, co wcześniej wydawało mu się zwykłą plamą.

Na zarys sylwetki mężczyzny pchającego dziecięcy wózek.

– Przyjechać po ciebie? – zaoferował Groch.

– Nie, dzięki. Przecież jest covid, nie wpuszczą mnie na oddział. – Kiedy Herman usłyszała o zagrożeniu życia matki, w pierwszej chwili chciała gnać do Torunia. Ale nic by tam nie wskórała. Więc co za różnica, gdzie była.

– Racja. Pomyślałem tylko, że w razie czego może wolałabyś być na miejscu.

– Dzięki, ale chyba nie.

– Nadal się do siebie nie odzywacie? – zapytał, a kiedy Maria nie odpowiedziała, dodał: – No tak, to wszystko wyjaśnia. Rozumiem.

Była jednak pewna, że niczego nie rozumiał. Nie wiedział, jak to jest stracić matkę za życia, zawieść zaufanie najbliższej osoby, która świadomie odtrąciła swoje dziecko i nie chciała go znać. Herman, chociaż doskonale zdawała sobie sprawę ze swoich win, uznawała gest matki za nieludzki i niesprawiedliwy. Stale opowiadała o tym swojej psychoterapeutce, mówiła o swoim bólu, który nie znajdował ukojenia, a wręcz tężał w niej z wiekiem i narastał. Psycholożka wielokrotnie pytała policjantkę, co w tej sytuacji przyniosłoby jej ulgę, a ta za każdym razem przywoływała jedno słowo. Wybaczenie. Domagała się od matki wybaczenia.

– Dlaczego? – pytała terapeutka.

– Bo jest matką. Matki kochają swoje dzieci i dużo im wybaczą.

– To jedyny powód?

– A czy może być inny? – buntowała się Herman.

– Nie wiem. – Młoda dziewczyna z ciemnymi włosami spiętymi w koński ogon i dużymi okularami, które wystawały poza obrys jej twarzy, siedziała w fotelu ze złączonymi kolanami i dłońmi na podolku. Miała na sobie szarą sukienkę sięgającą do kostek i granatowe, lśniące botki. – Ale wróćmy do sedna. Dlaczego pani tak sądzi?

– Że matka mnie nienawidzi? – zapytała Herman.

– Tak.

– Mam wrażenie, że całe życie szukała pretekstu, by obudzić w sobie tę nienawiść. Śmierć mojego ojca pozwoliła jej zerwać ze mną kontakt.

– Skoro nie ma pani wpływu na decyzje własnej matki, pozostaje pani zaakceptować tę sytuację.

– Niby jak? – spytała Herman, wpatrując się w zdarte czubki swoich znoszonych butów. Cofnęła je pod oparcie siedziska.

– Jest coś, co mogłoby pani pomóc. To być może nie zlikwiduje bólu, ale stanie się on mniej dotkliwy – uznała kobieta.

– Co takiego?

Psychoterapeutka przyglądała jej się uważnie.

– Najpierw niech pani sama sobie wybaczy.

– Chcesz numer do lekarza? Do tego mojego kolegi? – Głos Grocha wyrwał ją z zamyślenia.

– Chętnie. Wyślesz mi esemesem?

– Jasne, zaraz to zrobię. A co u ciebie? Jak sobie radzisz?

– W miarę – odparła, ale wiedziała, co chciał usłyszeć, więc dodała: – Jestem czysta. Nie gram. Stopniowo spłacam długi.

– To dobrze – powiedział.

– A u ciebie jak?

Usłyszała jego oddech, spokojny i regularny.

– Wróciłem do rodziny – oznajmił. – Kilka miesięcy temu zesłaliśmy się z Bašką. Dała mi drugą szansę i nie zamierzam tego spierdolić.

Herman nie odpowiedziała, ale się ucieszyła, bo Groch był dobrym facetem. Czasami żałowała, że wdali się w romans. Stało się to, zanim wpadła w hazardowe bagno. A później, z każdym kolejnym tygodniem, im głębiej się w nim zatapiała, tym mniej widziała szans na przetrwanie tego związku. I nie chodziło tylko o to, że omotała Arka, kiedy pokazała mu, jak wiele może zarobić na grach hazardowych. Jak świetnie się na nich zna. Jak szybko jest w stanie pomnożyć majątek. To nic, że pokazała mu dowód wygranej, której nie miała w kieszeni, bo kilka godzin później sześćdziesiąt tysięcy złotych przerznęła z kretelem. Niemniej to wystarczyło, by „pożyczył” jej dwadzieścia tysięcy odłożone na studia starszego syna. Przegrała je szybciej niż swoją wygraną, ale obiecała mu, znowu powołując się na swoje doświadczenie, że się odkuje przy najbliższej okazji, więc dołożył jeszcze dychę. Namiętny seks potrafił wtedy zdziałać cuda, ale był dla niej wówczas wyłącznie drogą do wyznaczonego celu. Po prostu sprzedawała mu się jak dziwka. A kiedy Groch zakręcił kurek z pieniędzmi i zaczął domagać się zwrotu kasy, przestali ze sobą sypiać. Zresztą seks w cugu hazardowym wymagał poświęceń i starań, dbania o swoje ciało, włosy i skórę, na co nie miała ani czasu, ani ochoty. Poza tym zbliżenie zapewniało jedynie chwilową przyjemność. Woląла wulkan emocji, który towarzyszył obstawianiu wyników meczów Ligi Mistrzów, a potem wszystkiego, co dawało się obstawić. Ten euforyczny stan potrafił trwać całe godziny, bywało, że i przez całą noc. Potrzeby seksualne realizowała wówczas przez masturbację, która przynosiła rozładowanie napięcia. Znała swoje ciało, umiała się

doprowadzić do orgazmu także wtedy, gdy Groch tuż obok głośno chrapał i przewracał się na drugi bok.

– No nic, będę kończył – rzucił gliniarz. – Gdybyś potrzebowała pomocy, wal jak w dym.

– A twoja żona? – spytała skonsternowana.

– Ale o co pytasz?

– Co ona na to, że chcesz mi pomagać?

– Nie zamierzam jej o tym mówić, mała. Nie jestem samobójcą – przyznał bez skrępowania.

– Przecież to tak, jakbyś ją oszukiwał. Jeśli się o tym dowie, to może być wasz koniec.

– Ej, mała, co ty pierdolisz? Komplikujesz proste sprawy. Jak coś, to po prostu dzwoń, okej? – uciął.

– Dzięki, Grochu – odpowiedziała po chwili.

– W kontakcie. I daj znać, co z matką, jak już się czegoś dowiesz.

– Dam znać.

– A, poczekaj. Jeszcze jedno. Masz już dla mnie jakąś kasę? Zdążyłaś coś odłożyć?

– Nie mam, ale obiecuję, że...

– Nie o to chodzi, mała. Pytam, bo może będziesz musiała... No wiesz, mam na myśli pogrzeb, gdyby to rzeczywiście poszło w złym kierunku... W każdym razie mógłbym ci coś tam pożyczyć, jeśli będziesz potrzebowała.

– Grochu... – Głos ugrzązł jej w gardle, zapiekły ją oczy.

– No dobra, dobra, tylko mi tu nie bec do słuchawki. W każdym razie wal prosto do Grocha, mała.

Herman nie zdołała już wydusić z siebie pożegnania. Schowała telefon do kieszeni i wtedy usłyszała kroki. Odwróciła się w stronę mężczyzny, który podszedł do ławki. Na głowie miał kaptur, ale i tak dostrzegła wymizerowaną twarz z zapadniętymi policzkami i wyraźnie zarysowaną szczęką. Ruchy miał gwałtowne, nerwowe.

– Pani Maria? – spytał i przysiadł się, gdy potwierdziła. – Kuba Porajski – przedstawił się, a ona podała mu swoje nazwisko.

– Mówmy sobie po imieniu – zaproponowała. Chłopak skinął głową.

Wyciągnęła w jego stronę paczkę chesterfieldów. Najpierw odmówił, ale zaraz potem kiwnął ręką, żeby jednak dała mu jednego. Kiedy to zrobiła, sięgnęła po zapalniczkę. Płomień oświetlił trupią twarz Porajskiego i wylupiające, zaczerwienione oczy. Widziała w nich paralizujący lęk, który odbiera chęć do życia. Który wynika ze świadomości znalezienia się w labiryncie bez wyjścia i bez szans pomocy z zewnątrz. To jak wpaść w sidła, które samemu się na siebie zastawiło.

Chłopakowi drżała ręka, kiedy łapczywie się zaciągał. Palił tak, jakby jego czas dobiegał końca. W pamięci Herman odtworzyła się scena z Krótkiego filmu o zabijaniu Krzysztofa Kieślowskiego. Przyszło jej do głowy, że Kuba jest jak grany przez Mirosława Bakę chłopak skazany za zabójstwo taksówkarza na karę śmierci, któremu tuż przed wykonaniem wyroku podano ostatniego papierosa.

Policjantka zdała sobie sprawę, że ten młody mężczyzna także usłyszał wyrok śmierci, podobnie jak ona rok temu. Że w zasadzie sam go sobie odczytał.

Bo przed nieleczonym hazardzistą otwiera się tylko jedna perspektywa.

Perspektywa wykopania własnego grobu.

Ale na szczęście Kuba odrzucił łopatę. A Herman miała mu wskazać drogę, którą wyjdzie bezpiecznie z cmentarza.

Tylko tyle.

– Przejdziemy się? – zaproponowała, żeby ułatwić mu tę rozmowę, ale też dlatego, że nocny wiatr niósł chłód z północy.

Porajski podniósł się energicznie i ruszył w prawo, w kierunku prostopadłej jezdni przecinającej deptak.

Kiedy w milczeniu przeszli na drugą stronę, Herman zauważyła po prawej solidne, wysokie mury miejskiej twierdzy.

Zeszli w ich stronę po granitowych schodach i policjantka odniosła wrażenie, że znaleźli się w miejscu dawnej fosy, bo naprzeciwko murów wznosiła się skarpa obsiana trawą, której szczyt wydawał się tak samo wysoki jak historyczna zabudowa.

Porajski kroczył nerwowo w kierunku ginącego w mroku ceglanego łuku, jakby przeszła średniowiecznego mostu unoszącego się nad deptakiem. Herman miała obawy, że nie powinna zapuszczać się w tę gęstą ciemność, mimo to jednak próbowała nadążyć za mężczyzną.

– Może zwolnisz, co? – poprosiła i Porajski przystanął z rękoma w kieszeniach dresowych spodni. Spuścił głowę, którą wciąż przysłaniał kaptur. Czekał na nią przy ławce w plamie pomarańczowego światła ulicznej latarni. Wąski, krótki cień kładł się niczym wskazówka, która odpadła od tarczy zegara.

Podeszła do mężczyzny i się zatrzymała.

– Nie udało mi się – powiedział Kuba, a jego rozbiegany wzrok zatańczył po kostce brukowej.

Chłód wciskał się pod poły kurtki i Herman zadrżała.

– Co ci się nie udało?

Porajski gwałtownym ruchem ściągnął kaptur i uniósł wysoko brodę.

Przystawił palec wskazujący do miejsca na szyi, przez które biegła pozioma czerwona pręga.

– Znaleźli mnie i odcięli w ostatniej chwili – powiedział. – Mam w głowie chaos, rozumiesz? Chaos, kurwa! Kompletny gnój mam we łbie. Wszystko mi tam chlupoce – postukał się kilkukrotnie w czaszkę pokrytą cienką skórą i odszedł.

– Stój! – krzyknęła i kazała mu wrócić. – Siadaj, kurwa!

Posłusznie wykonał polecenie. Noga podskakiwała mu rytmicznie.

– Nie wyciągnę cię z tego gówna i nie odwiode od próby samobójczej. I nie zamierzam ci pierdolić, że od czasu, kiedy przestałam grać, moje życie jest usłane różami i piękne jak zachód słońca nad morzem. Mam długów po kokardę i generalnie przejebane – rzuciła na jednym wydechu i zdała sobie sprawę, że misternie układana wypowiedź, cały przekaz, który miała wcześniej dla Porajskiego, rozpadł się jak domek z kart. – Więc nie pokazuj mi swojej bruzdy wisielczej, bo to nie robi na mnie żadnego wrażenia.

Porajski zamarł.

– I na wszelki wypadek nie próbuj się nad sobą uzalać – dokończyła myśl. – Rozumiesz?

Skinął głową.

Ruszyła przed siebie w kierunku średniowiecznego mostu, ale musiała się odwrócić, bo zorientowała się, że Porajski do niej nie dołączył.

– No rusz dupę – kiwnęła na niego i dopiero wtedy podniósł się z ławki.

Mury i skarpa zbliżyły się do siebie, zawężając drogę. Po chwili znaleźli się w ceglany tunelu.

Przeszli pod ciężkim, średniowiecznym mostem. W oddali Herman zauważyła świetlne punkty, uliczne latarnie.

Odetchnęła.

– Każde z nas przeszło swoje piekło – stwierdziła spokojnie. – A jedyny znak równości, jaki można między nimi postawić, sprowadza się do tego, że to piekło zbudowaliśmy sobie sami. Nikt nas tam nie zaciągnął siłą. Nikt nie kazał nam grać.

Porajski słuchał, ale Herman przestała zwracać na niego uwagę. Jakby sama sobie przypominała to, co uzmysłowiła jej Aśka Mitras, kobieta, która wyciągnęła do niej pomocną dłoń i nadal stała obok, by obserwować jej drogę wyjścia z nałogu.

– Hazard był moją ucieczką od świata, od problemów, z którymi nie chciałam się mierzyć. Od relacji z matką, z którą nie znajdowałam wspólnego języka i która nigdy nie okazywała mi miłości. Zawsze trzymała mnie na dystans jak niechcianego psa. – Herman przełknęła gulę rosnącą w gardle. – Całe życie starałam się ją zadowolić, sprawić, żeby mnie pochwaliła, przytuliła, posadziła na kolanach, żeby mnie pogłaskała i uśmiechnęła się do mnie. Żeby była jak matki moich koleżanek, ciepłe, troskliwe i kochające. Ale w zamian

otrzymywała jedynie chłodne spojrzenie i przykazanie, żeby jej nie przeszkadzać. Choć nigdy nie pracowała zawodowo.

Minęli skwer z fontanną z pomnikiem flisaka, który trzymając długie wiosło, walczył z rwącym nurtem rzeki, i udali się w kierunku nadwiślańskich błoni. Wiatr rozpędzał się w wolnej przestrzeni i Herman opatuliła się szczelniej kurtką.

Zatrzymali się na parkingu w pobliżu Bramy Wodnej, stanowiącej fragment miejskich murów. Prowadził do niej długi kamienny podjazd, dawniej łączący miasto z portem. W gotyckiej bramie tkwiła brona z uchyloną furtą. Po lewej od zabytku rozciągał się kompleks wysokich spichrzy, podświetlonych w większości na pomarańczowo.

– Rosłam w przekonaniu, że matka mnie nie kocha, że jestem dla niej życiowym balastem. Na szczęście ojciec miał w sobie niewyczerpalne pokłady miłości. Tyle tylko, że zmarł, kiedy komornik powiedział mi o licytacji naszego domu. – Herman otarła mokre oczy. – I to było najgłębsze dno, jakiego dotknęłam.

Porajski pokiwał głową, wpatrując się w swoje buty.

– Zrozumiałam, że sama nie dam sobie rady, że hazard całkowicie przejął nade mną kontrolę. Wtedy pojawiła się Joanna. Opowiedziała mi swoją historię i zaprosiła na spotkanie Anonimowych Hazardzistów. Mówiła mi, że macie tu taką grupę wsparcia. Byłeś już na terapii?

– Nie. – Znowu nie patrzył jej w oczy.

– Kuba? – odezwała się, a kiedy nie zareagował, powtórzyła jego imię raz jeszcze i dopiero wtedy ich spojrzenia na krótką chwilę się spotkały. – Nikt cię tam nie zaprowadzi. Ale jeśli chcesz, żeby twoja bruzda się zagoiła, jeśli chcesz wrócić do życia, to nie ma innej drogi. – Uzmysłowiła sobie, że nie powinna udzielać mu rad. – Dla mnie to była jedyna szansa, żeby stanąć twarzą w twarz z uzależnieniem i uznać, że nie poradzę sobie z nim sama.

Mężczyzna przestąpił z nogi na nogę.

– Nie poradzę sobie – dygotał.

Miała w sobie sporo współczucia, ale nie lubiła panikarzy. Nie mogła jednak wykluczyć, że kiedy była na dnie, też tak dramatyzowała.

– Nie wszyscy sobie radzą – przyznała. – Zdarza się, że po terapii ludzie wracają do nałogu. To tylko świadczy o tym, jaka to groźna choroba. Ty i ja pozostaniemy nieuleczalnie chorzy. Ale mamy wybór. Możemy się skupić na tu i teraz i powiedzieć sobie: dziś nie zagram. – Choć Herman nie grała od dwunastu miesięcy, fakt nieuleczalności jej choroby wciąż budził w niej lęk. Obawiała się chwili słabości i powrotu do realnych lub wirtualnych kiosków bukmacherów. Wciąż sobie nie ufała. Czy to samo odczuwali inni? Była przekonana, że tak. Pamiętała z terapii, że wybieganie w przyszłość, zapewnianie siebie samego, że nigdy więcej nie popełni się dawnych błędów, było dalece na wyrost. Liczył się tylko ten dzień, który mijał.

Zerknęła na zegarek.

Doba kończyła się za kilkanaście minut i wyglądało na to, że rzeczywiście tę dobę, przynajmniej pod tym względem, zaliczy do udanych.

Ruszyła w kierunku błoni i podświetlonych spichrzy. Zimny wiatr napierał na plecy i musiała stawiać mu lekki opór. Wisła płynęła spokojnie, a czarna linia drzew na drugim brzegu odcinała się wyraźnie od jaśniejszego nieboskłonu.

Po chwili Porajski zrównał z nią krok, a Herman po raz kolejny przypomniawszy sobie, że musi powstrzymać się od udzielania mu rad. Chciała coś dodać, ale straciła wątek, bo Kuba zadał jej pytanie:

- Pani jest policjantką, tak?
- Mów mi Maria – przypomniawszy mu. – Tak, jestem policjantką.
- Z tutejszej komendy?
- Nie, a jakie to ma znaczenie?

Kuba milczał.

Szli dalej, a ona dała mu czas, żeby się przed nią otworzył. Omiotła wzrokiem drobne okna wysokich spichrzy, których dachy muskały ciemne skłębione chmury. Długi kompleks oświetlonych budynków z cegły, płonący intensywnym pomarańczowym kolorem, przytłaczał ją swoim ogromem. Czuła się wobec niego tak samo krucha jak wobec swojego uzależnienia.

Doszli do luki między budynkami, w której zbudowano schody. Pięły się wysoko w kierunku pomnika i podświetlonego barokowego ratusza z wieżą zakończoną patynowanym spiczastym hełmem.

Herman weszła na schody, Porajski wspinał się za nią.

- Dlaczego nic nie mówisz? – spytała w końcu.
- Boję się.
- Nie musisz się mnie bać.
- Nie chodzi o ciebie – odparł, gdy znaleźli się na szerokim granitowym spoczniku.
- A o kogo? – zdziwiła się.

Znowu nie odpowiedział.

Im wyżej wchodzili, tym silniej wiatr zdawał się ich chłostać. Kiedy znaleźli się na szczycie, oczom Herman ukazał się gotycki kościół farny, znajdujący się naprzeciwko ratusza. Przeszli kilka kroków po kostce bazaltowej w kierunku pomnika z brązu, który policjantka widziała z dołu.

– Ułan z dziewczyną – odparł Porajski. – Wszyscy mają tu hopla na punkcie ułanów, bo jakaś szkoła tu była czy coś.

Centrum Wyszkożenia Kawalerii, przypomniła sobie Herman i przyjrzała się figurom. Żołnierz przyciągał do siebie młodą kobietę i było w tym geście dużo dynamicznego piękna. Czegoś, co sprawiało, że w refleksach ulicznych latarni te figury jakby rzeczywiście się poruszały.

– Dokąd teraz? – spytała, a Porajski wzruszył ramionami.

Wybrała więc drogę prowadzącą w dół przy spichrzach i pomyślała, że wyjdą Bramą Wodną, a potem wróci tą samą trasą na grudziądzkie planty, do miejsca, w którym się spotkali. Stamtąd miałyby prostą drogę do apartamentu.

Zapaliła papierosa i poczęstowała hazardzistę. Skusił się.

Nałóg nałogowi nierówny, znała tę maksymę. W trudnych chwilach na terapii, kiedy jeszcze nikogo nie znała, papieros pomagał w nawiązywaniu relacji. Miała nadzieję, że teraz też tak będzie.

– No więc, kogo się boisz? – wróciła do tematu, gdy ich kroki zaczęły dudnić w wąskim przejściu między wysokim murem otaczającym świątynię a ścianą spichrzy.

Zagryzł wargę.

– Pytałem, czy jesteś policjantką, bo chyba potrzebuję pomocy.

– Co masz na myśli? – przystanęła.

Kuba też się zatrzymał i zaciągnął się dymem. W jego rozbieganym wzroku czaił się strach.

– Załatwisz mi ochronę?

Zero Siedem zatrzymał toyotę na starych betonowych płytach drogowych, pomiędzy którymi wyrastała trawa. Pordzewiałe skrzydła bramy, oświetlone przez reflektory, zostały spięte linką z szyfrem.

Zaciągnął ręczny i wysiadłszy z samochodu, obejrzał się za siebie. Nadstawił uszu.

Wody jeziora nazywanego przez mieszkańców Rudnikami, marszczone natarczym wiatrem, obmywały z chlupotem piaszczystą plażę. Trudno było mu usłyszeć coś więcej.

Borewicz postawił kołnierz kurtki i podszedł do bramy. W górze kiwały się korony sosen.

Kod otrzymał esemesem chwilę po tym, jak skończył rozmawiać z Łysym. Bez problemu rozpiął linkę i pchnął skrzydła bramy, które zgrzytnęły, opierając się o spękana betonową nawierzchnię.

Wprowadził toyotę, po czym zamknął wrota.

Ośrodek Wczasowy Biały Żagiel pamiętał czasy schyłkowego Gierka. Olgierd usiadł za kierownicą i wolno przejechał drogą wyłożoną trylinką, zapuszczając się w las. Minął pogrążony w ciemnościach budynek, który służył kiedyś zapewne za stołówkę lub wczasową świetlicę. Elewację obito drewnianymi płytami zniszczonymi przez lata. W dużych oknach, zainstalowanych blisko siebie, wisiały zasłony. Po lewej, w nieco nowszym budynku, mieściła się zamknięta na głucho recepcja.

Dobrze znał ten teren, który nieco dalej zajmowały rozrzucone po lesie drewniane domki. Każdy z nich nosił nazwę jadalnego grzyba. Kiedy minął Kurkę i Borowika, przejechał kolejną bramę, tym razem otwartą na oścież. Nieco dalej, w głębi sosnowego boru, wyrastała nowoczesna willa, złożona z dużych prostopadłościanów ustawionych pod kątem prostym, z których jeden opierał się na drugim.

Podjechał bliżej i tym razem wysoka brama z kutego żelaza odsunęła się automatycznie.

Na parterze światło wylewało się przez przeszklone ściany na równo przystrzyżoną trawę i zaparkowane opodal drogie samochody. We wnętrzu kręciło się sporo osób. Kilkoro z nich siedziało w salonie, reszta zajmowała obszerną kuchnię.

Piętro z kolei tonęło w ciemnościach.

Wiedział, co to znaczy.

Nabrał powietrza. Odetchnął.

Sildenafil, lek, który poprawiał ukrwienie penisa, zaczął działać. Rozpoznał to po lekkim bólu w okolicach zatok czołowych.

Sięgnął do plecaka po perfumy Diora i spryskał nimi szyję.

Zamknął wóz i wtedy dobiegły go przytłumione kubańskie rytmy. Te same, które dudniły w tle w trakcie rozmowy z Łysym.

Ruszył po białych kamiennych płytach rozłożonych w trawie i po chwili pociągnął uchwyt w czarnych matowych drzwiach.

Muzyka uderzyła go falą wyrazistych dźwięków; poczuł, jak serce zaczyna mu bić do rytmu.

Gdy stanął w holu, mijająca go kobieta w czarnej mini i masce przykrywającej górną część twarzy uśmiechnęła się do niego zalotnie i przesunęła dłoń po jego klatce piersiowej. Nie zatrzymując się, skierowała kroki do kuchni. Nie mógł oderwać wzroku od jej rozkołysanych bioder, szczupłych nóg i czerwonych szpilek.

Odwrócił się i rozejrzał w poszukiwaniu Łysego. Ten, z kieliszkiem szampana w dłoni, rozmawiał z dwoma facetami w marynarkach. Wszyscy nosili maski, ale Łysego poznał po jaskrawo zielonym garniturze i czarnych włosach do ramion. Kiedy kolega go dostrzegł, uniósł brodę i rozciągnął usta w uśmiechu. Przeprosił rozmówców, a oni przywitali się z Zero Siedem lekkim skinieniem, na które policjant odpowiedział takim samym gestem.

– No, jesteś wreszcie – stwierdził Łysy, rozkładając ramiona. – Chodź, bo seans już trwa. – Wskazał dyskretnie palcem na sufit.

Zero Siedem powiesił kurtkę na wieszaku przy wejściu i poszedł za znajomym. Wspięli się po marmurowych schodach na piętro, gdzie jedyne światło sączyło się z opraw zainstalowanych tuż przy podłodze.

Łysy zatrzymał się przed drzwiami i położył rękę na klamce.

– Zanim stąd wyjedziesz, chciałbym pogadać – rzekł przyjaźnie.

Policjant nie odpowiedział. Czuł, że jego serce przyspiesza, a adrenalina buzuje w żyłach.

W pomieszczeniu było dziwnie cicho, chociaż Borewicz nie mógł wykluczyć, że to szum tłoczony w uszach krwi stępił jego zmysł słuchu.

– Jasne, pogadamy – obiecał, gdy znajomy uchylił drzwi. Metr dalej wisiała czarna kotara niczym teatralna kurtyna.

– Będę czekał. – Łysy poklepał go przyjacielsko w ramię i Zero Siedem zrobił krok do przodu. – Tylko nie zapomnij o masce. – Wskazał na półki po prawej.

Borewicz sięgnął po maskę, po czym odchylił ciężki materiał i znalazł się przed parawanem, szerokim mniej więcej na dwa metry i tak samo wysokim. W tej samej chwili drzwi za jego plecami przylgnęły cicho do framugi. Zerknął przez ramię w tamtą stronę, a potem przeniósł wzrok na przepierzenie.

Materiał prześwitywał i Olgierdowi zdawało się, że widzi za nim monstrum o nieokreślonym kształcie, poruszające się jak w konwulsjach.

Założył maskę.

Ściany i przestronne okna salonu jak zawsze przysłonięte były ciężkimi kotarami. Przed nimi ustawiono rzędy krzeseł, na których spoczywały ubrania.

Borewicz przełknął ślinę i spojrzął wreszcie na środek pokoju. Na wielkie okrągłe czerwone łoże, które powoli się obracało.

Nastrojowe światło wyławiało z mroku splątane nagie ciała kobiet i mężczyzn. Olgierdowi wydawało się, że tworzą jeden organizm. Przyglądał mu się chwilę – małym i dużym piersiom, jędrnej skórze pośladków i pomarszczonym brzuchom, wygolonym kroczo, sterczącym penisom i jądrom kołyszącym się wraz z ruchem silnych męskich bioder.

W powietrzu wyczuł przyjemnie odurzającą woń ciał rozpalonych seksem.

Do jego uszu dotarły ciche pojękiwania i pomrukiwania. Z tła dobiegała rockowa muzyka.

Przeciągnął językiem po górnej wardze, poczuł napływ krwi do krocza. Podeszedł do najbliższego wolnego krzesła i szybko się rozebrał.

Nagi zbliżył się do obracającego się łoża, które musiało mieć co najmniej trzy metry średnicy. Dostrzegł wolną przestrzeń między czarnoskórym dryblasem, który pieścił językiem niewielką szatynkę z uniesionymi nogami, a tapirowaną puszystą blondynką dosiadającą tęgiego brodacza.

Wszedł na łóżko i pogładził ją po udzie. Spojrzała na niego, oblizwała usta i przyciągnęła jego twarz do swoich piersi. Zaczął więc drażnić jej nabrzmiały sutek czubkiem języka, a potem, kiedy podniecenie wzięło nad nim górę i odcięło go od rzeczywistości, jakby na jego oczy opadły te wszystkie ciężkie kotary, naprzemiennie ssał obie piersi, przygryzał brodawki. Kobieta stękała głośno, a Borewicz poczuł, że jego penis znalazł się w czyichś ustach.

Zdusił jęk i zmusił się do uchylenia powiek.

Między jego udami tkwiła lśniąca głowa czarnoskórego mężczyzny.

Dwie godziny później Zero Siedem stał na niewielkim patio i czekał na Łysego, który zegnał ostatnich gości. Warkot uruchamianych silników niósł się po lesie, po czym cichł i do uszu Borewicza powracał tężejący szum wiatru.

Muzyka ucichła.

Borewicz usiadł na wygodnym fotelu z ratanu w pobliżu białej ściany i wdychał powietrze przesiąknięte zapachem runa leśnego, ciężkie i lepkie zarazem, ale niezwykle przyjemne i orzeźwiające. W ustach miał jeszcze posmak ciał zupełnie obcych mu osób.

Wewnątrz domu świeciło się światło i z miejsca, które zajmował, po skosie miał wgląd w to, co działo się w kuchni. Ufarbowana na rudo młoda kobieta dopiła czerwone wino i czknęła głośno. Słaniała się na chudych nogach, a kiedy się odwróciła, Borewicz przekonał się, że musiała wcześniej długo płakać. Łzy rozmazały jej makijaż. Maskę odsunęła na czoło.

Niezdarnie obciągnęła mini, ale niewiele to dało. Sukienka kończyła się tuż za krągłymi pośladkami.

Ich oczy się spotkały, ale dziewczyna pierwsza odwróciła głowę, gdy w polu widzenia Borewicza pojawił się młody mężczyzna.

– O, jest mój kochany mężulek! – zawołała z sarkazmem, po czym wysunęła brodę i wycodziła: – Dobrze ci było, kiedy ruchałeś tę starą, grubą kurwę?

Facet bez słowa podał jej płaszcz, a ona zamachnęła się, żeby go uderzyć. Zatrzymał dłoń, zanim dosięgnęła jego policzka.

– Uspokój się – syknął. – Nie zaciągnąłem cię tu siłą, ale chyba było ci dobrze, nie? Głośno jęczałaś, kiedy posuwał cię czarnuch.

Tym razem wymierzyła mu siarczysty policzek, aż głowa mężczyzny odskoczyła.

– Ty skurwielu! – ryknęła i zanosła się od płaczu.

Chwyił ją za nadgarstek i wykręcił jej rękę, aż się okręciła i usiadła na podłodze. Wtedy pociągnął ją mocno do siebie jak szmacianą lalkę.

Borewicz chciał zareagować, ale nie wiedział jak. Przygryzł paznokieć i przez jakiś czas stał jak sparaliżowany. Wiedział, że powinien pomóc kobiecie i w końcu zdecydował się wejść do domu, choć drżały mu nogi.

Mężczyzna nie słyszał jego kroków i nadal ciągnął kobietę po śliskiej kamiennej podłodze. Łkała bezradnie, poddana jego woli.

– Ej! – krzyknął policjant.

Facet z włosami ułożonymi w niedużego irokeza i z kilkuniedniowym zarostem wokół ust otworzył szeroko oczy. Dotarło do niego, że on i jego żona nie są ostatnimi gośćmi w willi nad jeziorem. Najpierw Zero Siedem zobaczył w jego oczach zaskoczenie, ale chwilę później nieznajomy wykrzywił twarz w gniewie i wycelował w podkomisarza palec wskazujący.

– Nie wpierdalaj się! – Odwrócił się i jeszcze gwałtowniej pociągnął kobietę, która krzyknęła głośno.

Borewicz bał się konfrontacji i ani drgnął. Na szczęście Łysy pojawił się w drzwiach domu.

– Ej, ej, ej! Nie robimy tu nikomu krzywdy! – podbiegł do pary młodych ludzi i jednocześnie dał dyskretnie znak Zero Siedem, żeby się wycofał.

Kobieta rozcierała uwolniony wąty nadgarstek. Siedziała bezwładnie na podłodze z podkurczonymi nogami. Borewicz dostrzegł czerwone stringi, a także dziurę w pończosze na wysokości piszczeli, która odsłaniała niewielką ranę.

– Pozwól mi tu zostać, proszę – wybełkotała do Łysego. – On zrobi mi krzywdę. – Zerknęła przez ramię w kierunku oprawcy.

– Spokojnie, kochanie, wszystko będzie dobrze – obiecał i pomógł jej wstać. Potem skinął na partnera kobiety, żeby wyszedł z domu. Oczekał chwilę, przytulił dziewczynę i pogłaskał ją po plecach. Popłakiwała cicho na jego ramieniu, a kiedy się uspokoiła, podniosła głowę. Łysy poprawił jej włosy i otarł łzy, a potem cmoknął po ojcowsku w czoło. – Twój mąż będzie już grzeczny, obiecuję.

Pociągnęła nosem i pokiwała głową.

Wyprowadził ją na zewnątrz.

Borewicz, zachowując dystans, podszedł w kierunku oszklonego wyjścia i patrzył, jak kolega odprowadza kobietę do samochodu. Kiedy wsiadła, odczekał, aż ostatni wóz wycofa się z miejsca parkingowego. Światła reflektorów omiotły nienagannie utrzymany ogród i wyższe partie drzew w pobliskim lesie. Volvo xc90 minęło bramę, a Borewicz zapamiętał numery tablic rejestracyjnych.

– Co to za debil? – spytał, gdy Łysy wrócił na werandę, ale kumpel minął go bez słowa. Nigdy nie zdradzał prawdziwych imion i nazwisk uczestników zabawy.

Zero Siedem wszedł za nim do domu i zamknął drzwi. Przeszli do salonu z przeszklonym dachem. Niespotykana cisza wypełniła wnętrze nowoczesnego budynku. W wielu miejscach stały kieliszki z niedopitym alkoholem i brudne talerze.

– Ten kutas nie powinien tu przyjeżdżać – uznał Borewicz, wciąż jeszcze odczuwając skutki skoku adrenaliny. Ależ dałby gówniarzowi wycisk!

– Gdybym był tak rygorystyczny jak ty, dziś waliłbyś konia w łazience – stwierdził Łysy, siadając w fotelu wykończonym granatowym aksamitem.

Borewicz uznał, że dalsza dyskusja nie ma sensu.

– O czym chciałeś ze mną pogadać? – spytał.

Mężczyzna zarzucił do tyłu farbowane włosy.

– O jednym sztywnym.

– Sztywnym? – skrzywił się Zero Siedem. – Możesz jaśniej?

– Mogę. – Łysy zdjął czysty kieliszek ze stojącej obok tacy i nalał sobie wina. – Chodzi o gościa, któremu dawno temu porwano dziecko.

Kiedy Maria Herman weszła do apartamentu, wyczuła męskie perfumy unoszące się w powietrzu.

Nie zapaliła światła, żeby nie obudzić Borewicza.

Poczekala, aż jej oczy przyzwyczają się do ciemności, i kiedy rozpoznawała już kształty mebli, stawiając ciche kroki, weszła do salonu i spostrzegła plecak stojący na sofie, a obok niego zrolowaną karimatę.

Stuknęła włącznik światła, które ją oślepiło.

Skonsternowana rozejrzała się po pokoju.

Była w nim sama.

Na okrągłym stole leżały zgromadzone materiały ze śledztwa. Luźne kartki i zdjęcia, ułożone w nieładzie jedne na drugich.

Przyjrzała się wydrukowanej fotografii, która leżała na wierzchu. Przedstawiała elewację domu Witbergów, tę z jednym oknem.

Odłożyła zdjęcie, po czym wyszła na balkon i zapaliła papierosa. Będąc na dole, nie zwróciła uwagi na puste miejsce na jezdni, w którym Olgierd wcześniej zaparkował toyotę.

Wyjęła telefon i zadzwoniła do niego.

Nie odbierał.

Wypaliła papierosa, zgasiła go o balustradę, a peta rzuciła na dół.

Smuzka dymu uleciała z jej ust. Herman wróciła do pokoju, przełożyła plecak i karimatę na podłogę, po czym uniosła część wersalki i wyjęła pościel. Umyła się, a następnie położyła się do łóżka i sięgnęła po notes, w którym odnotowywała zaciągnięte i spłacone długi.

Zerknęła na wpis, który niedawno zrobiła.

Dwa tysiące złotych dla komendanta Jeziorskiego.

To łącznie dawało czterdzieści siedem tysięcy trzysta pięćdziesiąt złotych do oddania, nie licząc tego, co każdego miesiąca zabierał jej komornik.

Zamknęła zeszyt i chciała prosić siłę wyższą, by był to jej ostatni dług, by nic więcej nie musiała dopisywać do listy.

– To był dobry dzień. Dziś nie zagrałam – wyszeptała, po czym zgasiła światło i przykryła się kołdrą.

Długo gapiła się w sufit, rozmyślając najpierw o tym, gdzie jest Borewicz i dlaczego nie odbiera telefonu. Położyła aparat obok poduszki, licząc na to, że partner wkrótce oddzwoni.

Potem jej myśli poszybowały do centrum miasta i do spotkania z Kubą Porajskim, hazardzistą, który chciał zerwać z nałogiem, ale nie było to jego jedyne zmartwienie.

– Dlaczego potrzebujesz ochrony? – spytała.

– Bo oni mnie zabiją.

– Jacy oni?

– Ci, którym wiszę kasę.

– Kto to jest?

– Bandyci. Zwykli bandyci. Grozili rodzinie, wpierdolili ojcu.

Szli dalej w kierunku Bramy Wodnej i dotarli do ostatniego kwartału w ramach dawnego miasta, przy którym znajdowała się jedna kamienica. Resztę gruntu przeznaczono na parking.

– Zapolują na mnie, jestem tego pewien. – Rozejrzał się nerwowo. – Musisz mi dać ochronę.

– Policja to nie firma ochroniarska – odparła twardo, żeby nie drażyli już tego tematu. – Pomagają tylko w szczególnych przypadkach – oświadczyła i nie wdawała się w szczegóły procedury przyznawania ochrony świadkom i pokrzywdzonym.

– To co mam, kurwa, zrobić?

– Masz pracę?

Skinął głową.

– Komornik zabiera ci pensję?

– Jeszcze nie, ale to pewnie kwestia czasu. Wziąłem parę chwilówek i żadnej nie spłaciłem.

– To dogadaj się szybko z tymi, którzy chcą cię dopaść, i zacznij ich spłacać, choćby drobnymi kwotami. To samo zrób z chwilówkami. Negocjuj terminy spłat.

– Nie pójdą na to – machnął ręką.

– Nie dowiesz się, jeśli nie spróbujesz. – Zbliżyli się do narożnika wyznaczonego przez ściany spichrzy i okazały budynek muzeum miejskiego. W narożniku znajdowała się Brama Wodna. – Musisz im powiedzieć o chorobie i o tym, że podjąłeś leczenie.

– A kogo to, kurwa, obchodzi? Oni mają to w dupie.

– Przede wszystkim porozmawiaj z tymi, którzy ci grożą. – Zignorowała jego narzekania, ale zorientowała się, że zaczęła udzielać mu rad. Robiła to niemal z namaszczeniem, jakby od tego zależało jej życie, a nie jego.

– To nie są ludzie, z którymi da się negocjować – odparł Porajski, gdy przeszli pod brona w bramie i zaczęli schodzić w kierunku skweru z fontanną z flisakiem.

– Są notowani na policji? – zapytała.

– Nie wiem.

– Znasz ich nazwiska?

– Tylko jedno.

– No to mów.

– Tomasz Bickiewicz.

Herman przystanęła, a Porajski zrobił to po kilku krokach.

– Bickiewicz? – upewniła się.

– Tak.

– Młody?

– Yhy.

– Ma ojca Jarosława? – Pamiętała, że mężczyzna o tym nazwisku był jednym z bliskich współpracowników Toboły. To on w dniu przekazania okupu siedział na kanapie w polonezie i miał pokazać Witbergowi dziecko, unieść je do szyby tylnych drzwi.

– Niby skąd mam to wiedzieć? – parsknął.

– A wiesz przynajmniej, gdzie mieszka ten cały Bickiewicz?

– Za Wisłą, w Czapelkach – odparł, a Herman z trudem przełknęła ślinę.

Przejeżdżali tam dziś z Olgierdem, kiedy zostawili za sobą leśną chatę Toboły.

Dźwięk telefonu wyrwał Herman z zamyślenia.

W apartamencie było ciemno. Zmrużyła oczy, żeby przyrzeć się rozświetlonemu ekranowi.

Borewicz.

– Halo? – rzuciła.

– To ja.

– Sprawdzalam tylko, czy wszystko u ciebie okej – wyjaśniła.

– Nie do końca.

– To znaczy?

– Pogadamy, jak wrócę. – odparł. – Spałeś już?

– Nie.

Zero Siedem milczał, ale słyszała jego oddech.

Oparła się na łokciach i włączyła lampkę.

– Olgierd?

– Będę za pięć minut.

Grudziądz nocą, jak wiele podobnych miast, wydawał się opuszczony.

Borewicz toczył się drogą, która rozdzieliła się na dwie, biorąc w środek starą stację CPN, od lat znajdującą się pod banderą białego orła, spadkobiercy PRL-owskiego koncernu.

Podkomisarz pomasował spięty kark i oparł głowę na zagłówek. Odbicia ulicznych lamp ześlizgiwały się z obłóci maski jego samochodu, gdy przejeżdżał obok komendy. Środkiem drogi biegły tory tramwajowe z wyslizganymi grzbietami. Borewicz lawirował między pacholkami ustawionymi na czas remontu jednej z głównych ulic miasta.

Oddychał miarowo, był zaspokojony i rozluźniony. Napięcie, które towarzyszyło mu od rana, minęło i Zero Siedem powinien poczuć się senny. A jednak na przyjemnych wspomnieniach tego, co wydarzyło się w nocy, pojawiły się drobne rysy. Drobne, ale wyraźne. To one były powodem rozdrażnienia, które przeganiało senność.

Kiedy pół godziny temu opuścił teren ośrodka Biały Żagiel, trafił na patrol policji. Oznakowany hyundai stał na bocznej drodze, na zapleczu hurtowni Eurocash. Policjant, który przysiadł na masce samochodu, dźwignął ciało i odwrócił się w stronę nadjeżdżającego Borewicza. Wyszedł na środek jezdni. Zamachał włączoną latarką sygnalizacyjną, a potem czerwony pasek światła wskazał Zero Siedem miejsce obok radiowozu.

Podkomisarz jęknął, ale zredukował bieg i wolno przejechał obok umundurowanego funkcjonariusza. Zatrzymał się przed maską hyundaia, w którym na siedzeniu pasażera siedział drugi gliniarz. Rozmawiał przez telefon komórkowy i nawet nie spojrzał w jego stronę.

Borewicz dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że nie zatrzymała go drogówka. Miał przed sobą policjanta ogniwa patrolowo-interwencyjnego.

Opuścił szybę i czekał. Młody gliniarz nachylił się do okna i zasalutował.

– Młodszy aspirant Jędrzej Paluch, Komenda Miejska Policji w Grudziądzu. Dobry wieczór, panie kierowco.

– Dobry wieczór.

– Można zapytać, co pan tu robi o tej porze? – zapytał mężczyzna o dziecięcej twarzy z zupełnie gładką, lśniącą skórą.

– A jaki jest powód tej kontroli? – Borewicz sięgnął do kieszeni po legitymację i pokazał ją mundurowemu.

Paluch uniósł cienkie brwi.

– Przepraszam, panie komisarzu, nie wiedziałem...

– No bo skąd miałeś wiedzieć – przerwał mu Borewicz. – Prowadzę działania na waszym terenie, komendant Mariusz Jeziorski został o nich poinformowany przez kierownictwo Komendy Wojewódzkiej w Bydgoszczy. Możesz to od razu sprawdzić, kontaktując się z dyżurnym komendy.

– Tak zrobię. Proszę mi tylko przypomnieć nazwisko, panie komisarzu.

– Borewicz.

– Borewicz? Tak jak tamten aktor? Przepraszam, że pytam, ale jest pan z nim jakoś spokrewniony? – Paluch się uśmiechnął, a Borewicz w pierwszej chwili zamierzał rzucić kąśliwy komentarz o różnicy między fikcją a rzeczywistością, lecz zamiast tego wypchnął językiem policzek.

– Aktor nazywał się Bronisław Cieślak – stwierdził, nie zaszczycając mężczyzny spojrzeniem. – Zmarł w maju. Borewicz, drogi kolego, to było nazwisko bohatera serialu.

Aspirant, niezadowolony z odpowiedzi, ściągnął brwi. Podeszedł do policyjnej kijanki i usiadł na fotelu pasażera. Jedną stopę zostawił na zewnątrz i lustrował toyotę. Zero Siedem wiedział, że młody gliniarz odczytuje numery rejestracyjne samochodu.

Zatrzeszczało radio. Olgierd nie słyszał słów policjanta skierowanych do dyżurnego, ale bardzo wyraźnie dotarła do niego odpowiedź:

– Sto jeden do sto dwanaście. Na odprawie w zadaniach doraźnych była informacja, żeby nie ruszać tej toyoty, bo trwa realizacja zadań KWP w Bydgoszczy na naszym terenie. Spałeś wtedy czy jak? Bez odbioru.

Paluch coś odrzekł, po czym radio zamilkło, a młody funkcjonariusz wygramolił się z radiowozu. Podeszedł do bocznych drzwi.

– Panie komisarzu, nie przeszkadzam i życzę dobrej nocy.

Olgierd skinął głową.

– A co wy tu robicie? – spytał.

– Realizujemy działania wyznaczone przez oficera dyżurnego komendy miejskiej policji.

– Znam procedury. Pytam, co tu robicie, na tym zadupiu?

– Przykro mi, nie mogę mówić o szczegółach.

– Zatrzymywaliście inne samochody? – Borewicz próbował wyciągnąć z młodego jakiegokolwiek informacje.

– Panie komisarzu, nie jestem uprawniony...

– Przestań pierdolić, mów jak człowiek – warknął.

Policjant się wyprostował.

– Jeszcze raz dziękuję, panie komisarzu, może pan jechać. – Skinął głową, po czym machnął włączoną latarką sygnalizacyjną.

Zero Siedem podciągnął szybę.

– Głupi skurwiel – szepnął.

Odjechał, zerkając we wsteczne lusterko, w którym dostrzegł, że gliniarz ponownie wyszedł na środek jezdni i odprowadzał wzrokiem toyotę.

Borewicz zastanowił się, czy nie powinien zadzwonić do Łysego, żeby poinformować go o patrolu policji, ale się powstrzymał. Z willi w lesie wszyscy już wyjechali. Gdyby ktokolwiek z nich został zatrzymany, Łysy na pewno dałby mu znać.

Otarł wilgotne czoło.

Wiedział, że patrol nie pojawił się tam bez powodu. I chociaż to, co działo się w willi, nie podlegało pod żadne paragrafy, ot, po prostu wysoko postawieni ludzie anonimowo korzystali ze swobodnego seksu i wymiany partnerów, obecność policji zmartwiła go.

– Cholera – jęknął.

Sprawy zaczęły się komplikować na dwóch frontach.

Kiedy Zero Siedem minął wiadukt ze zjazdem w stronę mostu, a krzykliwe kolory reklam na elewacji galerii handlowej zaczęły go drażnić, przypomniał sobie niedawną rozmowę z Łysym.

Rozsiedli się wygodnie na fotelach w salonie oświetlonym nastrojowym światłem i Borewicz patrzył przez dużą połąć okien dachowych na ciemną zasłonę chmur, majestatycznie przesuwających się po niebie.

– Chodzi ci o Witberga? – odezwał się w końcu.

– Przyjechałeś tu w jego sprawie, nie? – Łysy odpowiedział pytaniem na pytanie. – Ściągnął was tutaj.

Borewicz przygryzł wargę.

– No i? – zapytał.

Krzysztof Glacowski, zwany Łysym, przez lata był gliniarzem. Przejął sprawę Witbergów po Kurku, ale w żaden sposób nie popchnął śledztwa do przodu. Niewiele też o tej sprawie mówił, dopóki Zero Siedem nie sięgnął na zakurzoną półkę po akta śledztwa. Polował na coś w Grudziądzu, żeby na spokojnie skorzystać ze swingers party w tym mieście. Chociaż raz chciał być na miejscu, a nie przemierzać nocami kujawsko-pomorskie po to, by dotrzeć zmęczony na imprezę. To dlatego podsunął sprawę Witbergów Marii Herman, a ona przestudiowała materiały i bez wahania podjęła się współpracy. Olgierd się ucieszył. Nie wierzył, że po niemal trzydziestu latach uda im się wnieść coś nowego do śledztwa, wciąż byli daleko w polu, ale pewne poszlaki zaczynały rysować się na horyzoncie i przybierać konkretne kształty. Zaskoczyło go to.

A teraz zaskoczył go Łysy.

Poznali się dawno temu na szkoleniu dla kadry oficerskiej w Legionowie. Zakwaterowano ich razem i szybko się zorientowali, że nadają na tych samych falach.

Wieczorne popijawy, które Łysy urządzał, zbliżyły ich jeszcze bardziej. Na tyle, że w drodze powrotnej po zakończeniu kursu zatrzymali się na weekend w Białobrzegach pod Płockiem, w pobliżu Wisły. Łysy przekonywał, że to dobra miejscówka. Jechali dwoma samochodami, Zero Siedem prowadził swoją starą skodę fabię śladem fordą Glacowskiego i widział, że tamten w tym czasie kilkakrotnie dzwonił z komórki. Jeszcze wtedy Borewicz sądził, że Łysy kontaktował się z żoną. Ale wieczorem się okazało, że nie o żonę chodziło, tylko o trzy dziewczyny z Płocka. Spędzili wtedy niezapomniany weekend, niemal nie wychodząc z łóżek. Olgierd wiedział, że kiedyś przyjdzie mu spłacić dług. Że Łysy będzie tego oczekiwał. Dlatego przed odjazdem nachylił się do otwartych drzwi fordą. Glacowski, który właśnie uruchamiał silnik, spojrzał zaskoczony na kolegę.

– To, co? Teraz moja kolej, nie? – rzucił Borewicz, bębniąc palcami w dach.

– Nie – odparł tamten i spojrzał przez przednią szybę na płynącą po równinie Wisłę. – Nie ma takiej potrzeby.

– Jak to? – Borewicz zmarszczył brwi.

– Normalnie – Łysy wyciągnął dłoń.

Zero Siedem ją uścisnął i uśmiechnęli się do siebie. Potem zatrzasnął drzwi samochodu kolegi i wrócił do swojego auta.

Nigdy już nie spotkał tamtych kobiet. Niemniej po tygodniu zadzwonił do Łysego z propozycją wspólnej zabawy, ale kolega, ku jego zaskoczeniu, ponownie odmówił.

Borewicz machnął ręką i zapomniał o Łysym.

Niespełna dwa lata temu, kiedy wychodził z Komendy Wojewódzkiej Policji w Bydgoszczy, zadzwonił telefon. W słuchawce usłyszał głos grudziądzkiego gliniarza, który dawno temu przeszedł na resortową emeryturę.

– Wyglądasz na cholernie zmęczonego – rzucił uradowany Glacowski. – Czas na relaks, oficerze. Stoję na parkingu.

I faktycznie, Łysy opierał się o maskę służbowej toyoty Borewicza na zacienionym przez drzewa placu po drugiej stronie jezdni. Dalej rozciągał się teren stadionu żużlowego bydgoskiej Polonii. W trakcie sezonu huk silników sprawiał, że w garnizonie brzęczały szyby.

Borewicz liczył na to, że Glacowski zaprosi go na imprezę. Zadzwonił nawet do Justyny, z którą wtedy był, że nie wróci do domu, bo zatrzymały go służbowe obowiązki. Wspomniał coś o groźnej akcji. Przyzwyczała się do tego, że Olgierda często nie ma w domu. Prosiła tylko, żeby na siebie uważał, więc szczęśliwy ciągnął się za fordem Glacowskiego aż do Grudziądza.

I tak trafił do willi w lesie.

Ale nikogo w niej nie było.

Wyjechał stamtąd nad ranem, lecz kiedy przekraczał bramę, wiedział już, że wkrótce tam wróci. Że będzie tam często wracał, bo wspólnie z Łysym uzgodnili zasady współpracy przy organizacji imprez dla VIP-ów z kujawsko-pomorskiego. Kolega zabezpieczał stronę formalną i organizacyjną przedsięwzięcia oraz ekskluzywne miejsca. Nad bezpiecznym przebiegiem, gwarantującym anonimowość, miał czuwać Zero Siedem. I robił to na tyle dobrze, że jak dotąd nikt się nie zawiódł.

– Chciałbym, żebyś zostawił tego Witberga w spokoju – odezwał się Łysy, przerywając Borewiczowi pasmo wspomnień.

– Bo?

– To prośba z góry – uniósł palec w kierunku oszklonego sufitu.

Borewicz nie znał mocodawców Łysego, którzy wyłożyli pieniądze na organizację swingers party. Mógł się tylko domyślać, że sędziowie, prokuratorzy, adwokaci, wysokiej rangi oficerowie i biznesmeni, a także politycy i sportowcy nie oglądali się na kasę, kiedy szło o spełnianie własnych zachcianek. A także zachcianek żon. Płacili słono, lecz nie za gustowne miejsce uciech i inne wygody. Wydawali krocie głównie ze względu na gwarancję, że nic nie wyjdzie poza te cztery ściany. Zero skandali obyczajowych, a więc zero nagrań ukrytą kamerą.

Nieformalny klub, który gromadził wybrańców z kujawsko-pomorskiego, nie rozszerzał się na nowych członków. Ich liczba raczej się nie zmieniała. Z rzadka dochodziło do nieznacznych przetasowań.

Olgiard mógł się domyślać, że podobne kluby w ramach jednej naczelnej organizacji działają na terenie całej Polski. Bezpieczny biznes. Żadnego sutenerstwa, zero narkotyków, zero alkoholu dla kierowców, którym przy wejściu rozdawano silikonowe czarne opaski. I żadnych taksówek. Chodziło o zachowanie w tajemnicy miejsc wynajmowanych przez Łysego.

Borewicz jednak nie mógł pojąć, co ludzie zarabiający na tej działalności mają wspólnego z Witbergiem.

– Nasze śledztwo nie obejmuje śmierci Witberga. Zajmujemy się wyłącznie porwaniem jego dziecka – wyjaśnił Łysemu, ale zdawał sobie sprawę, że stary lis nie kupi takiego wyjaśnienia.

– Nie chodzi o Witberga – były gliniarz spojrzął badawczo na Zero Siedem. – W gruncie rzeczy chodzi właśnie o tę starą sprawę.

W głowie policjanta rozbłysła lampka ostrzegawcza. Nie miał pojęcia, jaki cel przyświecał zwierzchnikom Łysego.

– A co z lokalsami? – Zero Siedem wolałby do niczego się nie zobowiązywać.

– Lokalsów zostaw mnie. Poradzę sobie.

– Znasz podkomisarza Sławomira Jaronia?

– Wiem, o kim mowa. To powinno wystarczyć. Tubylcy to nie twoje zmartwienie. Zajmij się swoją działką.

Nie odpowiedział, tylko skinął głową.

– Więc jak będzie? – zagadnął Łysy, lecz Borewicz wciąż milczał.

Zastanawiał się, czy powiedzieć koledze o powrocie Toboły w okolice Grudziądza, ale uznał, że powinien zostawić sobie jakieś asy w rękawie.

– Kim oni są? – spytał, mając na myśli mocodawców.

– Znasz reguły gry – kolega zgrabnie uniknął odpowiedzi.

– A jeśli mi się to nie uda?

– Obawiam się, że nikt nie bierze takiej opcji pod uwagę. Zawsze byłeś niezawodny. Ufamy ci.

Olgierd czuł, że pochwała jest na wyrost i padła tylko po to, żeby nie zapomniał, czym jest lojalność.

– Dlaczego im na tym zależy? – spróbował raz jeszcze, chociaż zdawał sobie sprawę, że zadawanie pytań jest mizerną próbą uniknięcia deklaracji.

Tym razem Glacowski się nie odezwał.

– Jeśli Witberg zmarł z przyczyn naturalnych, a wszystko na to wskazuje, to nie ma problemu. Sprawy nie było – dodał Zero Siedem.

Łysy zaśmiał się sztucznie.

– Nie pierdol mi tu głodnych kawałków. Po prostu masz odpuścić sobie tę sprawę, czy to jasne?

– Dobrze wiesz, że nie jestem szefem zespołu. To nie będzie takie proste – odparł.

– Z babą sobie nie poradzisz? Z jakąś głupią hazardzistką? – zakpił Glacowski.

Olgierd drgnął.

Nie mówił Łysemu, z kim współpracuje w ramach śledztwa z Archiwum X. Gość musiał mieć dobre kontakty w komendzie wojewódzkiej. Olgierd zrozumiał, że wspominając o Herman, Łysy daje mu znak, że wyprzedza go o kilka kroków.

– Może trzeba ją nawrócić do grania, co? – zasugerował Glacowski zupełnie poważnie. – Może to jest sposób, żeby utrać jej kulasy? Pomyśl o tym, w przeciwnym razie ta cipa wlezie ci na głowę.

– Poradzę sobie – zapewnił Borewicz, chociaż wiedział, że znienawidziłby siebie, gdyby przyłożył rękę do powrotu Herman do uzależnienia. Podziwiał koleżankę za siłę, która powstrzymywała ją od ponownego przekroczenia mrocznych bram nałogu.

Poza tym uważał, że jego i Herman łączy nietypowa więź. Specyficzny rodzaj zażyłości, pozbawiony jakiegokolwiek podtekstu seksualnego, co sprawiało, że w oczach Borewicza ta

relacja miała prawdziwą wartość. Dlatego nie zamierzał tego psuć.

Klepnął w podłokietniki i wstał.

– Na mnie już czas – powiedział i skierował się do wyjścia.

– Zero Siedem!

– No?

– Jeszcze nie skończyliśmy – Łysy nie ruszył się z fotela, nawet na niego nie spojrzał.

Borewicz poczuł się jak na komendzie, gdy starszy stopniem funkcjonariusz okazywał mu swoją władzę. Zacisnął zęby i zrobił kilka kroków w kierunku Łysego.

– Jeszcze dwie sprawy – dodał Głacowski. – Zapomnij o tym młodym i jego dziewczynie. Nie widziałeś go, okej? Laska się upiła, a jak wytrzeźwieje i wyleczy kaca moralnego, to zrozumie, że tylko wolny seks daje prawdziwą radość. Jeszcze będzie prosiła o więcej i wtedy wyruchasz ją sobie ku uciesze jej i męża.

– A ta trzecia sprawa? – Borewicz się niecierpliwił.

Przyjrzał się twarzy Łysego. Szef musiał odwiedzić klinikę chirurgii plastycznej. Skóra na twarzy i czole była równomiernie naciągnięta i jędrna, ale u nasady szyi układała się w charakterystyczne drobne fałdy.

– Doszły mnie słuchy, że w sieci pojawił się film z ostatniej ruchanki w Toruniu. – Łysy oparł głowę na zagłówek i przymknął oczy.

Borewicz poczuł się tak, jakby został spoliczkowany.

– To niemożliwe – ściągnął brwi. Czuł w skroniach uderzenia pulsu. – Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej?

– Nie chciałem ci przerywać intensywnej zabawy. – Łysy się uśmiechnął i wokół jego oczu pojawiły się drobne zmarszczki. – Ten, kto go wrzucił, rozmył twarze uczestników, ale to i tak niedopuszczalne.

– Masz link do tego materiału? Podejrzewasz kogoś?

Łysy wzruszył ramionami i napił się wina.

– Kiedy kolejne spotkanie? – dopytywał Borewicz.

– Dam ci znać. Tylko módl się, żeby nie pojawiło się żadne nagranie z dzisiejszej nocy.

Olgierd zacisnął szczęki.

– Masz dwa pilne tematy. Nie spierdol żadnego z nich.

– Wywiązuję się ze swoich obowiązków.

– Do tej pory tak było. Ale może przez to, że uczestniczysz w tym całym rżnięciu, tracisz łeb, co?

– Poradzę sobie.

– Nie chciałbym nadstawiać za ciebie karku – ostrzegł kolega. – Ale jeśli nie opanujesz sytuacji, to obawiam się, że...

Olgierd poczuł, jak zimna strużka potu spływa mu wolno wzdłuż kręgosłupa.
– Poradzę sobie – powtórzył głośniejszym głosem, po czym odwrócił się energicznie i wyszedł.

Przemierzając nocą grudziądzkie ulice, myślał o tym, co usłyszał od Łysego.

Zerknął na ekran telefonu i zobaczył, że ma nieodebrane połączenia od Herman. Zapomniał, że zanim wszedł do willi, wyciszył telefon i zostawił go w samochodzie. W trakcie zabawy nikt nie mógł mieć przy sobie aparatu. Zazwyczaj zostawiało się je w wiklinowych koszach, ustawionych po obu stronach schodów prowadzących na górę. Jak zatem komuś udało się przemycić kamerkę i nagrać część orgii? Musiał znaleźć odpowiedź na to pytanie.

Łysy wciąż jeszcze nie przesłał mu linku do serwisu porno, więc Olgierd wysłał mu Messengerem znak zapytania i czekał na odpowiedź, ale ta nie nadchodziła.

Borewicz połączył się z Herman, a po krótkiej rozmowie wjechał w ulicę Rapackiego i zaparkował pod kamienicą, w której zarezerwował nocleg.

Na ostatnim piętrze budynku światło w oknach układało się na zewnątrz miękko poświata.

Olgierd zatrzasnął drzwi toyoty i przeszedł przez jezdnię w kierunku klatki schodowej. Chłód owinął mu się wokół szyi.

Następnego ranka Maria Herman wypaliła na balkonie pierwszego papierosa w tym dniu.

Gdy krótko po wschodzie słońca szarpnęła podwójne drzwi balkonowe, których ramy zastukotały o siebie, Olgierd stęknął i przewrócił się na drugi bok. Wyszła na zewnątrz we flanelowej piżamie w niebieską kratę, narzucając kurtkę na plecy.

Patrzyła w dal, na częściowo niezagospodarowane tereny w okolicach dworca PKS, skąd wyjechał w trasę zielony autobus, i myślała o matce. O życiu kobiety, która nigdy nie kochała swojego dziecka albo w żaden sposób nie umiała tej miłości okazać. Być może teraz jej matka umierała, a ona, Maria Herman, powinna odczuwać głęboki niepokój o jej los, a mimo to czuła jedynie zmęczenie po zarwanej nocy.

Zaciągnęła się.

Silny wiatr odpłynął nocą wraz z ciemnymi chmurami i pozostawił po sobie odsłoniętą połąć wypłowiałego nieba. Jednak z każdą godziną wrześniego poranka nabierało ono prawdziwie błękitnego odcienia.

Wróciła myślami do nocnej rozmowy z Grochem. Wiedziała, że życie matki może dobiec końca. Nie widziały się od roku. Kobieta nie odbierała telefonów, nie wpuszczała jej do mieszkania. Nie spędziły razem żadnych świąt. Herman zdawała sobie sprawę ze swoich przewin w dorosłym życiu i łatwiej byłoby jej zrozumieć chłód matki wobec dorosłej kobiety, która zniszczyła nie tylko swoje życie. Ale czym zawiniła jej jako dziecko? Jaką winę ponosiła jako kilkulatka? Zabrała matce młodość? Odbierała jej męża i wolność? Przysporzyła obowiązków?

Pamiętała dotyk zimnych dłoni matki, kiedy ta z byle powodu zaciągała małą Marię do kąta, a potem jeszcze groziła jej przed nosem kościstym palcem.

Przymknęła powieki i wystawiła twarz na chłodne powiewy poranka.

Roztrząsała to stale od lat, niepokodzona z chłodem matki wyzutej z instynktu macierzyńskiego.

Herman pomyślała, że przedzwoni do szpitala. Ale wciąż było za wcześnie.

Skończyła palić i długo wpatrywała się w horyzont, zanim wróciła do środka.

Olgierd wyskoczył do pobliskiego intermarché po świeże bułki i masło osekłkowe, a także żółty ser, szynkę i jogurty pitne. Zjedli w milczeniu. Herman pozmywała i zaparzyła dwie kawy po turecku, które zaniósła do salonu. Borewicz trzymał w dłoni zdjęcie elewacji domu Witbergów.

– I co o tym myślisz? – Podniósł wydruk i zerknął przez ramię na Herman.

Podawała mu kubek i oboje usiedli przy stole.

W nocy, kiedy wszedł do mieszkania, uruchomił laptopa i pokazał jej powiększoną fotografię, skupiając się na tym, co było widoczne w odbiciu w oknie. Długo dyskutowali na ten temat, po czym Herman podzieliła się z partnerem informacją o Kubie Porajskim, hazardziście prześladowanym przez Tomasza Bickiewicza, i o miejscu zamieszkania tego ostatniego, co ewidentnie zaskoczyło Zero Siedem.

Herman odebrała mu wydruk fotografii i raz jeszcze przyjrzała się obrazowi świata odbitego w szybie.

– To może być przypadkowa osoba – stwierdziła.

– Facet na spacerze z wózkiem? – nie dawał wiary.

– A jeśli to kobieta? Powiększenie nie daje żadnej pewności. Mamy jedynie kształt, z którego nie wyciągniemy żadnych wniosków. Ani na temat płci osoby, ani na temat wózka.

– Wcale nie twierdzę, że oto objawił nam się sprawca porwania – zmartwił się Olgierd i popił kawę. – Niemniej to wszystko układa się w całość.

– Co konkretnie?

– Twoja teoria o lalce, która udaje dziecko w wózku, a także to, że wózek był potrzebny do uprowadzenia dziecka. Wątpię jednak, by stała za tym kobieta. Musiałaby wynieść dziecko z ogrodu, korzystając z furtki od frontu, bo moim zdaniem nie przeszłaby z nim sama przez płot. I nie chodzi nawet o gęste zarośla rosnące wzdłuż granic działki, ale o to, że aby przejść przez siatkę ogrodzeniową, potrzebujesz dwóch wolnych rąk.

– W takim razie facet też nie przeskoczyłby płotu z dzieckiem na rękach – zauważyła Herman i wskazała palcem na zdjęcie, gdzie elewacja domu była ledwie przysłonięta niskimi krzewami. – A tu roślin jest mniej.

– Ale wysoki chłop mógłby przynajmniej wspiąć się na siatkę, przewiesić się przez nią na tyle, by odłożyć dziecko do wózka stojącego przy płocie i dopiero potem bezpiecznie przeskoczyć przez ogrodzenie.

– Okej, przyjmijmy, że tak właśnie było. Co nam to daje? – Herman odchyliła się na krześle.

– Nadal niewiele. – Zero Siedem się zasepił i podrapał się po brzuchu. Miał na sobie niebieskie dzinsy i T-shirt z nadrukiem okładki pierwszej płyty zespołu Dire Straits, przedstawiającej lot srebrnej gitary elektryczno-akustycznej na tle błękitnego nieba.

– Sądziysz, że ten facet wrócił pod dom Witbergów akurat wtedy, gdy kręcili się tam policjanci?

– A co w tym dziwnego? Nie pierwszy raz nasza robota przyciąga ciekawskich. Poza tym w tłumie łatwiej pozostać niezauważonym.

– Nie bał się? Skoro przyszedł z wózkiem, pewnie miał w nim porwanego Filipa, nie?

– Pewnie tak, bo z pustym wózkiem głupio chodzić, a lalkę wyrzucił wcześniej. Ale wiesz, jakby się nad tym zastanowić, to wbrew pozorom gość mógł się czuć bezpieczny. Przecież policjanci nie zaglądali wszystkim do wózków, nie? Co by to dało? Musieliby każdego dzieciaka pokazywać Witbergom. Pomijam już, że to niedorzeczne, ale w dodatku wiązałoby się ze sporym ryzykiem, a nawet skandalem. Wystarczyłoby, że Lucyna Witberg, ciągle będąc w szoku, uznałaby którekolwiek dziecko za własne. Wtedy dopiero gliniarze mieliby przesrane, nie?

Herman pokiwała głową.

– Szczególnie że wówczas badania genetyczne były poza budżetem resortu – dodał Olgierd.

– Dobra, założmy na chwilę, że masz rację. Tylko nadal nie wiem, po co ten facet miałby wracać na Irysową – powątpiewała.

– A po cholere robią to inni przestępcy?

Oboje znali odpowiedź na to pytanie.

– Przede wszystkim po to, żeby się poczuć bezpiecznie. Żeby udowodnić sobie, że przebywanie blisko policji w żaden sposób im nie zagraża. Wydaje im się, że dzięki temu odczarowują rzeczywistość. Skoro policja się nimi nie interesuje, to znaczy, że są poza gronem podejrzanych – przypomniała. – Ale gdyby tak było, jak mówisz, gdyby tylko o to chodziło, to wydaje mi się, że facet nie zabrałby ze sobą ani wózka, ani tym bardziej dziecka. Poszedłby tam sam.

– Dlaczego? – zaproponował Zero Siedem i sięgnął po długopis leżący na blacie. – Tylko w ten sposób mógł się przekonać, że może swobodnie chodzić z dzieckiem na spacer. Że nikt go nie zatrzyma. W tym moim zdaniem tkwi sekret.

Herman dopiła kawę i sięgnąwszy po papierosa, zaczęła ugniatać go w palcach.

– Dobra, pójdźmy tym tropem – zaproponowała, bo wpadł jej do głowy pewien pomysł. – Facet porywa dziecko i chodzi z nim na spacer.

– Wiem, brzmi chujowo – zgodził się Olgierd. – Mało realne jak na tamte czasy.

– Niekoniecznie. To znaczy, nawet nie o to mi chodzi. – Zamyśliła się i spojrzała przez balkon na smugę kondensacyjną, którą utworzył odrzutowiec lecący na zachód. – Zastanawia mnie jedno – Herman myślała na głos. – Gdyby było tak, jak mówisz, czy ten gość nie powinien iść na spacer z kobietą? Jeszcze mniej rzucałby się w oczy.

– Po pierwsze, nie wiemy, czy nie szli oboje, może tylko on się załapał w odbiciu w szybie. A po drugie, co by to zmieniło?

Herman skinęła głową.

– Postać faceta na fotografii nie jest ucięta i nie możemy wykluczyć, że jednak idzie sam – zauważyła.

– No dobra, ale do czego pijesz? – Olgierd podrapał się za uchem. – Że co? Że to jakiś desperat? Szaleniec?

Herman się skrzywiła.

– Nie, no skąd. Przecież wtedy policjanci odnaleźliby ciało dzieciaka krótko po porwaniu. Szaleniec raczej nie zadbałby o noworodka, nie umiałby go karmić, przewijać ani uspokajać, gdy mały płakał. Dlatego w tym przypadku, o ile dobrze łączymy fakty, a więc lalkę i wózek oraz męzczyzną porywacza, otrzymamy obraz człowieka w pełni władz umysłowych, faceta, który świadomie zrealizował cel i wprowadził wszystkich w błąd. A jeśli do tego kolejnego dnia pojawia się wraz z porwanym dzieckiem pod domem zrozpaczonych rodziców, w którym roi się od glin, to pewnie tylko po to, żeby potwierdzić, że ani jemu, ani dziecku nic nie grozi. Że nikt mu tego dziecka nie odbierze.

– W ten sposób tracimy z oczu wizję porwania w celu handlu dziećmi.

– Ale zyskujemy coś więcej – zauważyła, wsunąwszy papierosa do ust.

– Co takiego?

– Po co facetowi dziecko? – zapytała.

Zero Siedem uniósł brwi, a Herman podeszła do drzwi balkonowych, lecz nie wyszła na zewnątrz. Z cichym zgrzytem okręcała kółko zapalniczki.

Spojrzała na partnera, który zdawał się pogrążony w myślach. Bawił się długopisem trzymany w palcach obu dłoni. Okręcał go i pstrykał chromowanym klipsem. A kiedy znieruchomiał, podniósł wzrok na Marię.

– Zrobił to dla niej? – spytał. – Dla swojej żony?

– Właśnie, Zero Siedem. Tak to widzę.

– Ale dlaczego? – zapytał, i wtedy rozdzwonił się jego telefon. Zerknął na ekran i przewrócił oczami.

Odrzucił połączenie i raz jeszcze przyjrzał się partnerce.

– No więc dlaczego? – ponowił pytanie.

– Może być tylko jeden powód.

Olgierdowi zabłyśły oczy. Odezwał się po chwili:

– Bo straciła swoje dziecko? Poroniła?

Herman skinęła głową i wyszła na spękane kafle balkonu. Linie pęknięć układały się pod jej butami niczym pajęczyna. W centralnej części było ich więcej, jakby spadło tu coś ciężkiego.

Zapaliła papierosa, osłaniając płomień dłonią.

Kątem oka zauważyła, że Olgierd stanął w drzwiach balkonowych.

– Gdyby tak było, to Filip Witberg... – zawiesił głos.

– No właśnie. Być może żyje wśród nas – stwierdziła.

Bogdan Kąkol miał głupią żonę.

Kurek wiedział o tym od dawna, dlatego kiedy zadzwonił do drzwi ich mieszkania, mieszczącego się w dawnych powojkowych budynkach przy ulicy Hallera i w bezpośrednim sąsiedztwie Jednostki Wojskowej nr 1109, ucieszył się, że to ona mu otworzyła.

W latach dziewięćdziesiątych bywał tu częstym gościem. Kąkol był jego pierwszym zastępcą w grupie operacyjno-śledczej, która miała zbadać sprawę porwania małego Filipa Witberga. Niczym szczególnym się nie wyróżniał, ani wzrostem, ani wyglądem, ani nawet fryzurą. Ot, był przeciętnym mężczyzną, jakich pełno na ulicach. Takim, o którym można by powiedzieć, że jest przezroczysty. Kurek, gdyby miał opisać Kąkole człowiekowi od portretów pamięciowych, miałby problem, na co zwrócić rysownikowi uwagę. Jedynymi znakami rozpoznawczymi kolegi były blisko osadzone oczy i nogi prostowane na becze.

Niemniej Kurek pamiętał częste w tamtych czasach wizyty u Kąkole. Zresztą obaj się odwiedzali. Długo rozmawiali o prowadzonych śledztwach, a jeszcze częściej rozmowy zakrapiali wyborową i zagryzali kiszonymi ogórkami lub śledziem. Pili dużo, spali mało. Robota ich wykańczała.

Okna kuchni i niewielkiego pokoju mieszkania Bogdana wychodziły na park Miejski w Grudziądzu, znajdujący się po drugiej stronie szerokiej dwupasmowej arterii, mniej więcej na wysokości schowanego za drzewami stadionu żużlowego. Chociaż nie było go widać, w okresie rozgrywek sportowych huk wyżyłowanych silników, wkręcanych na najwyższe obroty, niósł się w parku ze zdwojoną mocą i był nie do zniesienia.

– Cześć, Zdziśka. Bogdan jest? – spytał, gdy tęgawa kobieta otarła dłonie o kuchenny fartuch przewiązany na biodrach.

– Nie ma, na rybki poszedł. A ciebie co tu przywiało po tylu latach? – skrzywiła się.

Fakt, nie widział się z Kąkolem całe wieki.

Ich drogi rozeszły się w końcu lat dziewięćdziesiątych, gdy Alfred Tobołkowski trafił do aresztu, a gang Toboły przynajmniej formalnie przestał istnieć. Wtedy okazało się, że nowo powstałe Biuro Spraw Wewnętrznych policji z oddziałem w Bydgoszczy wzięło Kąkole pod lupę w związku z nieprawidłowościami, które wykryto w sprawie Witbergów. Huczała o tym cała tutejsza komenda. Mimo to kolega Kurka nie został wydalony ze służby. Wywinął się wymiarowi sprawiedliwości, pisząc raport o zwolnienie ze służby z powodu złego stanu zdrowia. I niemal natychmiast rozpoczął karierę jako szef firmy ochroniarskiej.

Pełno takich firm pojawiało się wtedy na rynku; rekrutowały ekspolicjantów po przejściach albo tych, którzy przeszli na wcześniejszą emeryturę. Kąkolowi wiodło się znakomicie. Podobno kupił córce dom w Mniszku, a synowi mieszkanie na Strzemięcinie. Zatrudniał ich w firmie i dbał o wysokie wypłaty, aż w końcu dzieciaki przejęły interes ojca.

– Chciałem pogadać o starych czasach – rzucił. – Gdzie go znajdę?

– Jak go znam, to pewnie gdzieś pod cytadelą – odparła i dopiero wtedy nabrała podejrzeń. – Ale umawiałeś się z nim? Bo Bodziu strasznie nie lubi, jak mu ktoś przeszkadza.

Zastanowił się, czy kobieta nie uprzedzi męża telefonicznie, że Kurek był u niego w mieszkaniu.

– To daj mi numer do niego. Zadzwonię wieczorem i się zapowiem.

Miała opory, ale po chwili zostawiła go przy otwartych drzwiach i wróciła ze swoim aparatem. Przewidywała dziewięć cyfr.

Zamówił taksówkę i wybrał się do Zaułka nad Wisłą. Kołysało na drodze gruntowej pod spichrzami, ale kawałek dalej trasa wydawała się lepsza. Trakt utwardzono zniszczonymi płytami z betonu, które niknęły w bujnej zieleni.

Minęli stanicę wędkarską, zielony barak ulokowany na skarpie po prawej, a następnie przejechali długim tunelem utworzonym przez drzewa i krzewy porastające zarówno brzeg rzeki, jak i stromą, wysoką skarpę. Taksówkarz milczał, radio odtwarzało muzykę klubową, której Kurek ani nie lubił, ani nie rozumiał. Ale może nie chodzi o to, by ją rozumieć. Wpatrywał się więc w drogę. Czasami oślepiała go oświetlona słońcem tafla rzeki, którą dało się dostrzec pomiędzy bujną roślinnością.

Gdy dotarli do zabudowań Zaułka, oferującego organizację wszelkich imprez rodzinnych, Kurek zapłacił kierowcy gotówką, po czym wysiadł i przeszedł się w stronę główek, czyli ostróg wiślanych zbudowanych prostopadle do koryta Wisły, których rolą było hamowanie erozji brzegu. Na kilku z nich siedzieli samotni wędkarze, podobni do siebie w swoim skupieniu, czujni i zapatrzeni w spławiki. Kurek podszedł do jednego z nich i zapytał o byłego kolegę, wymieniając imię i nazwisko.

– Ten stary ochroniarz? – upewnił się facet z długą siwą brodą. Głowę przysłaniał mu zielony kapelusz materiałowy z oklapniętym rondem. Siedział na rozkładanym krześle w kamizelce z wieloma kieszeniami i w grubym zielonym polarze wystającym spod bezrękawnika. – Jest tam, bliżej błoni. O ile mu się nie znudziło, bo dziś rybka nie chce brać.

Kurek życzył mu dobrego dnia i spacerowym tempem poszedł w kierunku miasta. Kąkola dostrzegł kawałek dalej. Pakował właśnie swój sprzęt i składał taboret wędkarski. Marian wszedł na szeroką główkę, bliżej ładu obrosniętą krzakami, a dalej zupełnie nagą, nierówną i pełną kamieni. Zatrzymał się i omiótł wzrokiem szeroką rzekę, a także odległą równinę na przeciwległym brzegu.

Potem spojrział na kucającego Kąkola.

W przezroczystym wiadrze moczyły się cztery okazałe okonie z charakterystycznymi ciemnymi pręgami sięgającymi brzucha.

– Niezły wynik – pochwalił Kurek i dopiero wtedy zaskoczony Kąkol dostrzegł starego znajomego. Bez słowa wrócił jednak do składania wędki. Schował ją do ortalionowego futerału, zapiął rzepami. Dźwignął ciało, zarzucił plecak na ramię, a następnie sięgnął po wiadro.

– Nudzisz się w domu czy co? – odezwał się wreszcie. – Emerytura ci nie służy?

– Wręcz przeciwnie – Kurek się uśmiechnął, ale Kąkol przeszedł obok, nawet na niego nie spoglądając. Stary gliniarz odwrócił się za nim i krzyknął:

– Musimy pogadać!

Kąkol zatrzymał się i uniósł głowę.

– Gównu musimy. Przestałem słuchać twoich zaszranich rozkazów wieki temu. Całuj mnie w dupę, konusie jeden.

– Nasz stary znajomy wrócił! – rzucił Kurek, zanim kolega zdążył ruszyć dalej. Mężczyzna się zawahał, po czym poprawił plecak na ramieniu.

– Co ty pieprzysz?

Kurek przyglądał się Bogdanowi; zaskoczenie rysujące się na jego twarzy uznał za autentyczne.

– Toboła wrócił, a Andrzej Witberg nie żyje – oznajmił. – Jego ciało znaleziono niedaleko domu Toboły.

Kąkol zrobił krok w kierunku rzeki, po czym kucnął i wypuścił ryby. Spokojna tafla wody zakotłowała się gwałtownie, ale już po chwili wszystko wróciło do normy. Spore okręgi drobnych fal rozeszły się i wygasły na powierzchni.

– Więc jak będzie? – Kurek zmrużył oczy i oparł dłonie na biodrach.

– Z czym? – warknął Kąkol.

– Pogadamy?

– Odpierdol się.

Kąkol wszedł na ścieżkę i zniknął za nadbrzeżną bujną roślinnością.

Stary gliniarz westchnął i ruszył śladem dawnego znajomego. Zrównał z nim krok, co wcale nie było takie proste, bo kolano wciąż dawało o sobie znać. Starał się utrzymać narzucone przez Kąkola szybkie tempo. Słońce przeświecało przez gęste korony drzew, jasne ruchome cętki tańczyły na splekanych betonowych płytach.

– Skąd to wszystko wiesz? – zapytał Bogdan, gdy kilka minut później znaleźli się na drodze między stromą zalesioną skarpą a odsłoniętą rzeką. Zmierzali w kierunku błoni nadwiślańskich i znajdujących się tam spichrzy.

- Po prostu lubię trzymać rękę na pulsie.
- Kto załatwił Witberga? – mruknął Kąkol.
- Na twoim miejscu zadałbym inne pytanie.

Emerytowany ochroniarz się zatrzymał.

- Jakże?

Kurek popatrzył w matowe oczy dawnego znajomego.

- Który z nas będzie następny.

Krótko po dwunastej zapukali do drzwi domu Witbergów.

Pod matowymi oczami Lucyny Witberg zagnieździły się sine półksiężyce. Wdowa ubrała się w granatowe dzinsy i sweter w serek, który odsłaniał dekolt ze złotym wisiorkiem w kształcie litery F.

Olgierd przepuścił Marię Herman, po czym wszedł za nią do przedpokoju, skąd prowadziły schody na piętro.

W salonie promienie słoneczne wpadające przez okno rysowały jasne trapezy na ciemnych panelach.

Olgierd ustalił z Herman, że tym razem to on pierwszy będzie zadawał pytania.

– Dziękujemy, że zechciała pani poświęcić nam kilka minut. Nie zabierzemy dużo czasu – obiecał.

Witberg pokiwała smutno głową i Zero Siedem pomyślał, że poprzedniego dnia, kiedy dowiedziała się o śmierci męża i zadzwoniła do Herman, była pod wpływem leków uspokajających, po których tego ranka w organizmie nie został już żaden ślad. Teraz wyglądała tak, jakby informacja o śmierci męża w końcu przebiła się do jej świadomości.

Olgierd zajął miejsce na sofie obok Herman, bliżej fotela, na którym siedziała Lucyna Witberg. Odsunięta w cień, z dala od promieni słonecznych, wyglądała właśnie tak – jakby przeniosła się w strefę mroku.

Na stole, który znajdował się między nimi, leżała dziergana serweta. Pośrodku stał kryształowy wazon z tulipanami. Woda nieco zmętniała, a jeden z czerwonych płatków leżał zmarszczony na blacie.

Olgierd zwilżył usta.

– Chciałbym prosić, żeby spróbowała sobie pani przypomnieć, co mąż robił w minioną sobotę przed południem.

Witberg zrobiła zdziwioną minę i uniosła brwi.

– W sobotę? – powtórzyła.

– Chodzi o godziny przedpołudniowe.

– W sobotę... – Zamyśliła się i przyłożyła dłoń do skroni. – Rano poszedł do biedronki po zakupy, potem pojechał na spacer do centrum. Lubił chodzić nad Wisłę, szczególnie odkąd wyremontowano marinę i ulicę Portową. Miał taką trasę od mostu w kierunku spichrzy.

– Spotykał się z kimś?

– Słucham? – Lucyna Witberg ocknęła się z zamyślenia.

– Pytałem, czy w tym czasie z kimś się widywał.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– A jak długo go nie było?

– Może dwie albo i trzy godziny. Wrócił na rosół. Z wyprzedzeniem dałam mu znać esemesem, że obiad zaraz będzie gotowy. Że może wracać.

– Czy tego dnia wybrał się do centrum samochodem? – spytał.

Herman zgodnie z ustaleniami milczała. Siedziała na rancie sofy ze splecionymi dłońmi, skupiona na ich rozmowie.

– Nie. Rzadko nim jeździł. Samochód praktycznie cały czas stoi w garażu – spojrzała na ścianę w salonie, która graniczyła z tym pomieszczeniem.

– Dlaczego?

– Miał coraz większe kłopoty ze wzrokiem, czasami dochodziły do tego zaburzenia równowagi. Coś z błędnikiem.

– Leczył się?

Kobieta pokiwała głową.

– Prywatnie u doktor Kłosińskiej. Ma gabinet na Brzeźnej.

Olgierd dostrzegł kątem oka, że Herman wyjęła z plecaka notes i zapisała nazwisko lekarki.

– Zaleciła mu jakieś leki?

– Tak, ale nie pamiętam, co to było. Andrzej brał je krótko; twierdził, że szkodziły mu na żołądek.

– A nie zauważyła pani, że mąż wydawał ostatnio więcej pieniędzy niż normalnie?

– Ale na co? Na leki? – Witberg spojrzała na Herman, jakby szukała u niej pomocy, po czym przeniosła wzrok na Borewicza. – Do czego pan zmierza?

– Mieli państwo wspólność majątkową, prawda?

– Tak.

– I wspólne konto.

– Tak. Mąż je obsługiwał. Ja się nie nadaję do tej elektroniki ani do tych wszystkich kart bankomatowych. On robił zakupy i wypłacał pieniądze, jeśli ich potrzebowałam.

– Sprawdzała pani stan konta?

– Nie – odparła zaskoczona.

– A czy mogłaby pani prześledzić wypłaty z ostatnich miesięcy?

– Jezu. Ale o co chodzi? – Ściągnęła brwi i zaczęła obracać w palcach złoty wisiołek.

– Chcemy sprawdzić, czy pani mąż pomagał finansowo pewnemu mężczyźnie.

– Mężczyźnie? – ożywiła się. – Mój mąż miałby pomagać jakiemuś mężczyźnie? – powtórzyła, jakby nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. – Komu konkretnie?

Herman odchrząknęła, a Olgierd skinął głową, dając jej znać, że może się włączyć do rozmowy.

– Ciało pani męża zostało odnalezione w pobliżu miejsca zamieszkania Alfreda Tobiłkowskiego – oznajmiła Herman. – Sądzymy, że pani mąż od jakiegoś czasu pozostawał z nim w kontakcie.

– Co?! – Zaskoczona wdowa wyprostowała plecy i wyraźnie się usztywniła. – Chyba zwariowaliście! Jak to: pozostawał z nim w kontakcie? Mój mąż miałby zadawać się z tą kanalią?

– Wygląda na to, że w sobotę przed południem zamiast nad rzekę pani mąż wybrał się do Tobiły. Tobiła po odsiedzeniu wyroku i po pobycie we Wrocławiu jakiś czas temu wrócił w okolice Grudziądza. Wynajmuje stary dom w pobliżu Nowych Marz. Co więcej, w poniedziałek pani mąż zamierzał nas tam zabrać – stwierdził Borewicz, być może niepotrzebnie przyjmując za pewnik to, czego dowiedzieli się od Tobiły. Stary lis mógł przecież kłamać. Mógł wymyślić bajkę na poczekaniu. – Czy wiedziała pani o planach męża?

Wyraźnie podenerwowana, zaprzeczyła gwałtownym ruchem głowy.

– To niemożliwe! Mój mąż nienawdził tego bandyty!

– Zdaję sobie sprawę, że trudno w to uwierzyć.

– Macie na to jakieś dowody?

– Niewykluczone, że wkrótce je zdobędziemy – odparła Herman.

– Dlatego tak ważne jest to, co powie nam pani o mężu, o jego zachowaniu w ostatnich miesiącach. I o tym, co myślał o porwaniu syna – dodał Borewicz.

Przyłożyła palce do ust i Olgierd miał wrażenie, że jej dłoń zadrżała.

– Boże... – wyszeptała, bezmyślnie wodząc wzrokiem po salonie. – Mój mąż twierdził, że jest coraz bliżej prawdy – podjęła po chwili.

– To znaczy?

– Odniosłam wrażenie, że Jędrzek chciał mi powiedzieć, że... – Wbiła wzrok w lśniąca panele.

– Tak? – zachęcił ją Zero Siedem.

– Że nasz syn żyje. – Spojrzała mu prosto w oczy.

– Co to znaczy, że odniosła pani takie wrażenie? – spytała Herman.

– Któregoś dnia zapytał mnie, co bym zrobiła, gdyby w drzwiach stanął nasz dorosły syn. Gdyby ot, tak po prostu, wszedł do domu i powiedział: cześć, mamó. Czybym go rozpoznała,

czy mogłabym go pokochać. – Kobieta zmarszczyła czoło i przełknęła ślinę. Po jej policzkach potoczyły się łzy.

– I co mu pani odpowiedziała?

– Żeby nigdy więcej mnie o to nie pytał. – Jej słowa zawisły w ciszy.

Policjant zerknął na Herman, która siedząc nieruchomo, nie odwracała wzroku od wdowy.

– Rozumiem – odezwał się Borewicz po chwili.

– Obawiam się, że nic pan nie rozumie – oświadczyła stanowczo Lucyna Witberg. – Nikt nie jest w stanie tego zrozumieć z wyjątkiem innych kobiet, które przeszły podobne piekło.

Borewicz potarł policzki szorstkie od zarostu.

Pomyślał o swojej córce. O Zero Siódemce.

Zastanowił się, jak sam przeżyłby stratę dziecka. Niewiedzę, co się z nim dzieje, czy jest zdrowe, czy w ogóle żyje. Czy mógłby normalnie żyć, tak jak przyszło żyć Witbergom. A może po takim ciosie od losu, po traumie, która trawi serca, tak jak rak trawi tkanki, życie ogranicza się do smutnej wegetacji? Olgierd nie miał pojęcia, czy byłby w stanie usiąść do posiłku albo wyjść do pracy, nie wiedząc, jaki los spotkał jego córkę. Miał wrażenie, że jeśli po takim zdarzeniu istnieje jakiekolwiek życie, to upływa ono w cieniu, toczy się jakby równoległe do życia innych ludzi i taką też może mieć wartość. Przyszło mu do głowy jedno słowo: przeczekanie. Życie jako forma przetrwalnikowa, którego jedynym celem jest oczekiwanie na śmierć. Bo tylko śmierć może się okazać prawdziwym wybawieniem.

Poczuł wibracje telefonu i sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki po aparat.

Kinga.

Przygryzł wargę i odrzucił połączenie, ale wiedział, że żona tak łatwo się nie podda i po tej próbie kontaktu nastąpi lawina kolejnych. Dlatego uznał, że powinien się streszczać i oddać pałeczkę Herman.

– Pani Lucyno – odezwał się, kiedy cisza niebezpiecznie się przedłużała. – Chciałbym wrócić na chwilę do tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku. A dokładniej do tych kilku dni bezpośrednio po porwaniu.

Pokiwała głową na znak, że się zgadza.

– Proszę mi powiedzieć – kontynuował Zero Siedem – czy w pobliżu domu nie dostrzegła pani wówczas osób z wózkiem?

– Niepełnosprawnych?

– Nie, przepraszam, wyraziłem się nieprecyzyjnie. Chodzi mi o spacerowiczów z dziećmi w wózkach.

– A co to ma do rzeczy? – przyjrzała się im obojgu, a ponieważ milczeli, dodała: – Szczerze mówiąc, tamten czas pamiętam jak przez mgłę. Mam pustkę w głowie. – Westchnęła. –

Obawiam się, że nie będę w stanie wam pomóc.

Olgierd podniósł się z kanapy, czym ściągnął na siebie wzrok Herman.

– Ale dlaczego pan o to pyta? Jaki to ma związek z porwaniem? – zagadnęła Witberg.

– Po prostu weryfikujemy różne wersje śledcze – odparł i ponownie poczuł wibrację telefonu. – Pani pozwoli, że wyjdę na zewnątrz, czekam na ważny telefon – skłamał.

Skinęła głową, a Olgierd ruszył w kierunku przedpokoju.

Kiedy się tam znalazł, Maria Herman odchrząknęła i wzięła na siebie ciężar rozmowy.

– Czy zna pani młodego mężczyznę, który się nazywa Kuba Porajski?

– Przepraszam, jak nazwisko?

– Jakub Porajski – powtórzyła wyraźniej.

Borewicz położył dłoń na klamce, ale nie otworzył drzwi, mimo że telefon wciąż wibrował.

W nocy Herman opowiedziała mu o nałogowym hazardziście, z którym spotkała się w centrum miasta. Mężczyzna obawiał się przemocy ze strony Bickiewicza. To nazwisko zapadło im w pamięć.

– Pierwsze słyszę – odparła kobieta.

Olgierd odetchnął, a następnie wyszedł na zewnątrz.

Miał dwa nieodebrane połączenia od Kingi, ale najpierw zadzwonił do Komendy Wojewódzkiej Policji w Bydgoszczy.

– Halo?

– Cześć, Romano, Zero Siedem z tej strony.

– O, pan porucznik! Jak mogę pomóc zacnemu stróżowi prawa? – zażartował kolega, nawiązując do stopnia milicjanta z serialu.

Olgierd minął furtkę i wyszedł na ulicę. Odszedł nieco dalej, tak żeby spojrzeć na tę ścianę domu Witbergów, w której znajdowało się jedno okno.

– Sprawę mam – rzucił. – Potrzebuję na cito informacji o właścicielu volvo xc90 – stwierdził, a kiedy kolega sięgnął po długopis, Olgierd przedyskutował mu numer rejestracyjny pojazdu.

– O, grudziądzkie blachy. Po cholere ci ta wiedza?

– Prowadzę z Herman starą sprawę w Grudziądzu. Cholernie ważną sprawę.

– I to ma związek z waszym śledztwem?

– Inaczej bym ci nie truł dupy – zapewnił i rozejrzał się po ulicy, przy której wyrosło osiedle domów jednorodzinnych. Nie był w stanie określić, gdzie konkretnie stał mężczyzna z wózkiem, który odbijał się w szybie, gdy robiono fotografię. Nie mógł też przyjrzeć się elewacji domu z tego samego miejsca, z którego wykonał zdjęcie policyjny fotograf, bo stał tam teraz dom sąsiadów Witbergów.

– No dobra, sprawdzę i dam znać – obiecał analityk policyjny.

Olgiert podziękował i od razu połączył się z żoną, po czym ruszył przed siebie w kierunku biedronki. Uznał, że to dobry moment na drugie śniadanie.

Słyszał wolny sygnał.

– Amelka, dzwoni twój ojciec – Kinga odezwała się chłodno w słuchawce. – Nie przyjedzie do ciebie, bo jest bardzo zajęty. Prawda, Oluś, że jesteś zajęty?

– Daj spokój – poprosił. – Po co to robisz?

– Co robię?

– Dobrze wiesz.

– A ty dlaczego to robisz? – odbiła piłeczkę.

– Niby co takiego?

– Zadajesz się z tą wstrętną babą. Nie wracasz na noc do domu jak przyzwoity człowiek.

– Kinga... – westchnął.

Parking przed biedronką nie był zastawiony. Ucieszył się, bo nie lubił stać w długich kolejkach. W drodze do sklepu minęła go szczupła blondynka w krótkiej spódniczce i kusej kurtce odsłaniającej pełne biodra. Borewicz z przyjemnością zawiesił oko na jej krągłych pośladkach i masywnych udach. Zwolnił, żeby dłużej cieszyć się tym widokiem.

– Musisz zmienić wydział – zaczęła Kinga starą śpiewkę.

Westchnął i odczekał kilka sekund dla lepszego efektu.

– Pomyślę – rzucił przekonująco, bo nie chciał tego dłużej słuchać. Poza tym uznał, że musi myśleć rozsądnie.

Kinga miała dzianych starych handlujących stałą, którą sprowadzali z różnych zakątków Azji i sprzedawali na wszystkich kontynentach. Oferowali mu robotę, ale odmówił. Borewicz miał zarabiać dwanaście tysięcy złotych na rękę i zostać szefem działu importu. Gdyby się zgodził, odciąłby się od wyjazdów i udziału w imprezach organizowanych przez Łysego. Dlatego mydlił im oczy doktoratem z kryminologii i chęcią pracy na uczelni po przejściu na resortową emeryturę, a jednocześnie kosił na boku przyzwoity szmal. W pewnym sensie więc był również biznesmenem i zawsze miał pieniądze na drobne wydatki, na kupno Kindze świecidełek i kwiatów, na które była łasa. Nie przewidział tylko patologicznej zazdrości, która rozwinęła się u niej w okresie ciąży, a po porożu nabrała gigantycznych rozmiarów.

Uznał, że nauczy się z tym żyć i będzie gasił wywoływane przez nią pożary, bo szybko przyzwyczał się do pieniędzy, a raczej do wygod, które mu zapewniały. Poza tym podpisał intercyzę, to był warunek teściów, więc gdyby ich małżeństwo się skończyło tylko dlatego, że Kinga by tego chciała, zostałby w zasadzie na lodzie. Nie tylko bez dachu nad głową, ale i bez samochodu, bo nowe subaru forester, zarejestrowane na żonę, zostałyby w podziemiach apartamentowca.

Uznał więc, że za wszelką cenę musi być z Kingą. Nauczy się ją obłaskawiać, zmieni taktykę.

– Jak Amelka? – rzucił, ale okazało się, że coś im przerwało rozmowę. W słuchawce zapadła cisza. Próbował się dodzwonić do żony, niemniej wyglądało na to, że padła jej bateria w telefonie.

Wszedł na parking skrótom, przyglądając się dziewczynie, która zatrzymała się w pobliżu wjazdu i sięgnęła po aparat.

Olgierd wyciągnął z kieszeni maseczkę i zasłonił usta. Wszedł do marketu i szybkim krokiem zapuścił się między regały, mijając nielicznych o tej porze klientów. Wziął dwie drożdżówki w osobnych torebkach, po czym zahaczył o półki z napojami. Wsunął pod pachę litrowego energetyka w butelce dla siebie i lekko gazowaną wodę dla Herman. Na taśmie przy kasie położył jeszcze dwa kit katy. Dla siebie. Zapłacił i już miał wychodzić, gdy przez szybę dostrzegł blondynkę. Wciąż stała w tym samym miejscu, w pobliżu wjazdu na parking, i wpatrywała się w telefon. Dotąd nie widział jej twarzy, ale teraz, mimo że kobieta założyła duże okulary przeciwsłoneczne, uznał, że widział ją na swingers party. A konkretnie: pieprzył się z nią oraz z kilkoma innymi kobietami i facetami. A może była tylko podobna do tamtej kobiety, której twarz częściowo zakrywała maska?

Myślał o tym, gdy za jego plecami przeszła staruszka ze starą pękatą siatką, która niemal szorowała po podłodze.

Drzwi się rozsunęły.

Borewicz nie wyszedł na zewnątrz. Położył zakupy na sporym parapecie przy sklepowej witrynie i wgryzł się w słodką bułkę z przyjemnie chłodnym budyniem. Przeżuwał ją, delektując się smakiem i nie spuszczać oczu z blondynki. Kiedy zjadł drożdżówkę, na plac przed sklepem wjechała nowoczesna honda cr-v. Kierowca zrobił kółko i zatrzymał się tuż obok młodej kobiety. Ta szarpnęła drzwi i usiadła na fotelu pasażera. Samochód od razu odjechał.

Olgierd wziął kilka łyków energetyka. Smakował jak oranżada w schyłkowym okresie PRL-u, którą dość dobrze pamiętał. Pił ją w bydgoskim Fordonie, gdzie spędził całe dzieciństwo.

Wyszedł ze sklepu i wyrzucił do kosza torebkę zmiętą w kulkę.

Wolnym krokiem przeszedł przez parking, próbując zlokalizować kamery monitoringu zainstalowane w ciemnych osłonach na latarniach. Dostrzegł dwie. Jedna, ta na końcu placu parkingowego, zdawała się obejmować niemal całą wykostkowaną przestrzeń, a druga skierowana była wprost na drzwi wejściowe do marketu.

Wrócił na Irysową.

Przed domem, w pobliżu toyoty, Herman, paląc papierosa, wydeptywała gruntową drogę.

Zastanawiał się, dlaczego jego żona uważa Marię za kobietę, która mogłaby mu się spodobać. Komisarz nie dorównywała młodej Kindze. Po pierwsze, była za chuda, po drugie, paliła te śmierdzące chesterfieldy, a po trzecie, w ogóle nie dbała o wygląd. Olgierd nie pamiętał, żeby kiedykolwiek pociągnęła oko kreską, pomalowała paznokcie albo ufarbowała posiwiałe włosy, zazwyczaj związane w prosty kucyk. I trudno było to zrzucić jedynie na brak pieniędzy. Miał wrażenie, że gdyby Marii zależało na wyglądzie, zrobiłaby cokolwiek z tego, co wymienił w myślach. Ale ona nie zaprzętała sobie głowy takimi rzeczami.

– Już? – spytał, gdy podszedł do samochodu. Dopiero wtedy zauważył, że na twarzy Herman maluje się niepokój. Jej ruchy były krótkie, zwarte, podszyte nerwowością. – Tak szybko skończyłaś?

– Szef dzwonił.

– Winnicki?

– Nie, główny. Staliński.

– No i?

– Podobno niedawno zakończyła się sekcja zwłok Witberga – zaciągnęła się i rzuciła peta pod nogi.

Olgierd podał jej wodę i drożdżówkę.

– To dla mnie?

Skinął głową.

– Dzięki – rzekła i wysunęła słodką bułkę z torebki, żeby odgryźć porządny kęs.

Borewicz sięgnął do kieszeni po kluczyki od wozu.

– No i co z tą sekcją, do cholery? – ponaglił partnerkę.

– Jesteśmy w dupie – stwierdziła z pełnymi ustami. – Witberg został zabity.

Marian Kurek przejechał dłonią po lepiałym się blacie.

Pub Tratwa, do którego dotarł razem z Kąkolem, mieścił się w podziemiach neogotyckiego budynku na rogu wybrukowanej Portowej i alei 23 Stycznia, tuż nad brzegiem Wisły. Wewnątrz panował półmrok i Kurek musiał wyteżać wzrok oraz ostrożnie stawiać kroki.

Zeszli po stalowych schodach i minęli otwarte szałety, z których śmierdziało uryną i dochodził szum wody. Woda przelewała się wartko z rezerwuaru do pożółkłego sedesu z rdzawymi naciekami.

Zanim usiedli na zbitych paletach przerobionych na ławki, Kurek podszedł do kontuaru i wtedy z zaplecza wyszedł mężczyzna w chuście na głowie i z zaplecionymi warkoczykami na brodzie. Stary gliniarz zapłacił za dwa specjale, po czym zabrał butelki i zajął miejsce pod niewielkim oknem.

Kąkol pociągnął solidny łyk i odstawił butelkę na bok.

– Nie mam powodu się bać – uśmiechnął się do Kurka, który też napił się piwa, a kiedy zimny napój spłynął mu do żołądka, odezwał się:

– Tobała próbował się z tobą kontaktować?

– Nie.

– Jesteś pewien?

Bogdan pokiwał głową.

– Nie miałeś ostatnio żadnych głuchych telefonów? Podejrzanych listów?

Kąkol zaśmiał się, ujawniając braki w uzębieniu.

– O co ci chodzi, Kurku, co?

Marian ponownie sięgnął po piwo, dając sobie czas.

– Naprawdę myślisz, że się boję Tobały? – prychnął Kąkol, zerkając w stronę pustego baru.

– Współpracowałeś z nim.

– Gówno tam! – warknął.

– Daj spokój, Kąkol. Swoje wiem.

Mężczyzna zacisnął pięści i ściszył głos.

– To chuja wiesz. – Kilka kropel śliny wystrzeliło z jego ust. – Nigdy się nie sprułem. Tobała szukał na kogoś haka, a ponieważ nie dobrał się do twojej dupy, wybrał sobie inny

cel. Tak ciężko pojąć, że od początku próbował nas skłócić? Ubabrał mnie gównem, żeby śledztwo się posypało i nigdy nie udało się odnaleźć dzieciaka.

– Chcesz powiedzieć, że cię wrobił? – Kurek uśmiechnął się pobłaźliwie.

– A o czym, kurwa, mówię? – Bogdan skrzywił się ze złością.

Marian przetaił szyjkę butelki i znowu pociągnął łyk. Tym razem niewielki. Piwo przestało mu smakować. Odsunął specjała na bok.

– Dlatego nie boję się Toboły – kontynuował Kąkol. – Owszem, nasrał mi w papiery, ale stanąłem na nogi.

– W takim razie może chciałbyś mu się odwdziżyć? – Kurek przymknął oko.

– Co?

– To, co słyszałeś.

Kąkol wziął kilka łyków piwa, po czym otarł usta wierzchem dłoni i spojrzał w górę w kierunku okna. Westchnął i otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale się powstrzymał. Po chwili jednak zebrał się w sobie.

– Moja wnuczka lubi, kiedy na dobranoc czytam jej bajki, nie takie klasyczne, jak nam czytali, bo teraz dzieciaki mają takie nowoczesne, ale przesłanie zawsze jest takie samo. Zło dobrem zwyciężaj. Więc czytam jej te różne opowiadania, aż zaśnie, potem przykrywam ją kołdrą i gaszę lampę. Starszy wnuk nauczył się wbijać robaki na haczyk i zarzucać wędkę. Świetnie mu idzie, więc na urodziny, które ma w przyszłym tygodniu, kupiłem mu jego wymarzony kijek z kołowrotkiem i osprzętem. W weekendy chodzimy sobie na główki i wpatrujemy się w splawiki. – Przeniósł wzrok na Kurka. – I ty myślisz, że na stare lata, kiedy pogodziłem się z losem, zacznę wojować z jakimś pierdolonym bandytą?

Kurek odchrząknął, żeby zabrać głos, ale Kąkol uniósł dłoń.

– Fakt, facet zjebał mi życie zawodowe – ciągnął. – Ale mimo że nawet ty, mój najlepszy przyjaciel, odwróciłeś się ode mnie, stanąłem na nogi. Stworzyłem firmę, zatrudniam swoje dzieciaki i zajeżdżam im płacę. Miałbym teraz ryzykować, że to wszystko stracę, żeby pomóc ci się zemścić na Tobole?

Kurek sposepniał.

– I co mu zrobisz, Kurku? Zabijesz go? Sprawisz, że zniknie, tak jak zniknęło dziecko Witbergów?

Stary gliniarz popatrzył na byłego kumpla, ale nie wiedział, co powiedzieć. Nie interesował się jego losem, nie wiedział, czy Kąkol mówi prawdę, czy Toboła faktycznie mu to zrobił. Nie brał takiego rozwiązania pod uwagę. Mózg pracuje po linii najmniejszego oporu, zadowala się najprostszymi rozwiązaniami. Kurek o tym wiedział i dlatego w swojej pracy zawodowej często zadawał kłam temu twierdzeniu. Robota detektywistyczna, dedukcja wymagała od niego umiejętności skutecznego przełamania schematów

myślowych i podążania innymi, mniej utartymi ścieżkami. Dlaczego więc wtedy tak łatwo uznał, że Kąkol jest winny?

Wydawało mu się oczywiste, że Tobała musiał mieć więcej wtyk na komendzie.

Dał się ograć jak dziecko. Bo jeśli Bogdan Kąkol nie był człowiekiem Tobały, to musiał nim być ktoś, kto cieszył się zaufaniem Kurka.

Emerytowany policjant odchrząknął.

– Jeśli nie ty, to kto?

– Teraz się tym interesujesz? Serio? – Brwi Kąkola się zbiegły.

– Powiedz kto.

– A niby skąd mam wiedzieć? To był twój zespół.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu. Kurek skubał siekaczami dolną wargę.

Kiedy Bogdan dopił piwo, Marian zamówił kolejne. Barman przyniósł butelkę do stolika.

– Mów, co się stało? – spytał dawny kolega.

– Powiedziałem już – bronił się Kurek. – Witberg nie żyje.

– Nie o to chodzi. Pytam, co się stało, że chcesz się zająć Tobałą?

Kurek z uniesionymi brwiami wodził palcem po wilgotnych kółkach, które zimne butelki zostawiły na surowym drewnie.

– Sądzisz, że zbierał na nas teczki? – spytał.

– Nie rozumiem.

– Zastanawiam się, czy Tobała miał nas pod lupą po to, by w każdej chwili móc nas zastraszyć, wywlec brudy.

– Nie wiem, bo mnie nie uprzedzał, tylko od razu pierdolnął z całej siły.

– Jak to?

– Tak to. Nigdy nie zamieniłem z nim ani słowa, rozumiesz? Nigdy się do mnie nie odezwał, nie próbował mnie szantażować. Ale swoją robotę wykonał. Fabrykował dokumenty i chował do teczki.

– Więc może to nie jego robota.

– A no pewno, że nie jego. Ktoś od nas musiał mu w tym pomagać.

Kurek poczuł narastające ciśnienie w głowie. Łupało mu pod czaszką.

– To by oznaczało, że teczka na ciebie powstała w komendzie.

Kąkol zaniósł się śmiechem, który szybko przerodził się w ostry kaszel.

– Tytan intelektu – rzucił, kiedy się uspokoił. – W końcu na to wpadłeś.

– Co wiemy o śmierci Witberga? – Borewicz wycofał wóz i opuścił osiedle. Spojrzał w lusterko wsteczne, nad gruntową drogą unosił się pył.

– Zacznijmy od tego, że patomorfolog z grudziądzkiego szpitala, przeprowadzając wstępne oględziny zwłok, zajrzał Witbergowi w oczy i natychmiast odszedł od stołu sekcyjnego, żeby skontaktować się z prokuraturą – odpowiedziała Herman.

– A co? Odkrył wybroczyny podspójówkowe? – Borewicz zerknął na nią z ukosa.

– Oczywiście. Charakterystyczne dla uduszenia. Potem wszystko potoczyło się już gładko. Zwłoki przetransportowano do Zakładu Medycyny Sądowej w Bydgoszczy, a prokurator przyspieszył sekcję. Chyba zdawał sobie sprawę, że chodzi o tego Witberga.

– I co? Tak łatwo mu poszło? Przecież tam są kolejki jak przed koncertem Dawida Podsiadły – powątpiewał Olgierd.

– Też mnie to zdziwiło, ale widocznie ktoś komuś zrobił przysługę i tyle – wzruszyła ramionami. – W każdym razie medyk sądowy nie ma wątpliwości, że doszło do uduszenia, ale co ciekawe, na szyi i tkankach podskórnych nie znalazł żadnych śladów zagardlenia, żadnych otarć naskórka. Nic, zupełnie czysto.

– Ej, w takim razie coś tu mocno śmierdzi – uznał Borewicz. – Może zatruli go wcześniej gazem?

– Raczej nie, chociaż na wyniki toksykologii będziemy musieli poczekać. Lekarz twierdzi, że mogli go udusić za pomocą worka foliowego, który mu zakleili na szyi taśmą klejącą. Pod pewnymi warunkami to bardzo prosty, a jednocześnie trudny do wykrycia sposób pozbawienia życia.

– No bez jaj! Przecież medyk zauważyłby ślady tej cholernej taśmy.

– I tu dochodzimy do kolejnego problemu. Zanim Witberga przerwucili do Bydgoszczy, technik z prosektorium w grudziądzkim szpitalu przyszedł rano do roboty i umył dokładnie zwłoki. Bo po prostu tak robi przed każdą sekcją.

– Kurwa, nie wierzę. To brzmi jak jakiś chory żart – Zero Siedem jęknął i trzasnął otwartą dłoń w kierownicę. – Ale nawet jeśli Witbergowi wsadzili wór na głowę, to chłop chyba się bronił, nie?

– Tylko jeśli był przytomny – Herman zawiesiła głos, a Borewicz pokręcił z niedowierzaniem głową, po czym skapitulował i przez chwilę milczeli oboje.

– Wiemy coś jeszcze? – Policjant wpatrywał się w drogę, która uciekała im spod kół.

– Niestety niewiele. Raport jest u Sławomira Jaronia, szefa grudziądzkich kryminalnych. A nasz szef ustalił z tutejszym komendantem, że mamy współpracować.

– My czy oni?

Herman stwierdziła, że wbrew pozorom pytanie jest trafne. Zawsze po takich deklaracjach spodziewała się poważnych kłopotów.

– Najlepiej, gdyby oni chcieli z nami – uśmiechnęła się, ale Olgierda to wcale nie rozbawiło. Zaciskał dłonie na kierownicy, aż pobieleły mu knykcie.

– To co teraz? Jedziemy na komendę? Bo jeśli tak, to musiałbym przełożyć spotkanie z sanitariuszami.

– Nie ma takiej potrzeby. Jaroń podobno wciąż jest w terenie. Obiecał, że da znać, jak wróci do firmy.

Maria zauważyła, że Olgierd wyjął z kieszeni telefon, ale nie skorzystał z uchwytu przymocowanego do przedniej szyby, tylko położył aparat między nogami. Raz patrzył na drogę, raz na ekran komórki.

– Co sądzisz o Witbergowej? – zagadnęła go, żeby oderwał się od trosk.

– A co mam sądzić?

– Pamiętasz, jak zareagowała, gdy zapytałam ją, czy jej mąż pozostawał w kontakcie z Tobołą?

Zmarszczył czoło.

– No i?

– W ogóle nie była zaskoczona, że Toboła wrócił w okolice Grudziądza.

Zero Siedem wzruszył ramionami.

– Może większe wrażenie zrobiło na niej to, że mąż mógł kontaktować się z bandytą? – domniemywał.

– Nie wiem, nie sądzę. Toboła to dla niej samo zło. Powinna jakoś zareagować, a tymczasem odpuściła i w ogóle nie wróciła do tej sprawy.

– I co zamierzasz zrobić z tą wiedzą? – Borewicz spojrzał przelotnie na partnerkę. Maria wydeła wargi.

– Jeszcze nie wiem. Tak jak nie wiem, co miało oznaczać to, że poprosiła męża, żeby nigdy więcej nie mówił, że ich syn żyje.

– Jezu, nie przesadzaj. Ludzie różnie radzą sobie z traumą – skomentował Borewicz i zapadła cisza. Herman przerwała ją po pewnym czasie.

– Dziwne – uznała.

Wjechali do miasta od strony Tarpna, gdzie mijali przydrożne domy jednorodzinne z banerami reklamowymi wywieszonymi na płotach. Bliżej centrum zabudowa jednorodzinna została wyparta przez bloki i kilka wieżowców.

Herman wybrała numer do lekarza, który otrzymała od Grocha, ale było zajęte. Odczekała chwilę i ponownie zadzwoniła, z takim samym skutkiem.

Minęli kościół z niską wieżą i gładko przejechali przez rondo w pobliżu ciągu nieremontowanych kamienic.

Wciąż myślała o matce.

– Do kogo dzwoniłaś? – zainteresował się Olgierd.

– Moja matka jest w szpitalu, w ciężkim stanie.

– Jasna cholera. Kiedy to się stało?

– Podobno wczoraj. Kolega załatwił mi kontakt do lekarza...

– I przez cały ranek nic nie powiedziałaś? – zdziwił się.

Wzruszyła ramionami.

– Może cię tam podwieźć, co? – zaproponował, ale Herman pokręciła głową.

– Wiesz, jakie mam relacje z matką.

– Wiem, ale to chyba wszystko zmienia, nie?

Milczała.

– Jakie są rokowania?

– Podobno złe.

– Cholera – westchnął i oboje zamilkli. – Ale tak często bywa, nie?

– Co takiego?

– No, że kochający się małżonkowie umierają krótko po sobie.

– Możliwe – stwierdziła i raz jeszcze wybrała numer lekarza.

Tym razem sygnał był ciągły. Herman przycisnęła aparat do ucha, żeby lepiej słyszeć.

– Halo – usłyszała zmęczony męski głos.

Przedstawiła się, powołała na znajomość z Grochem i powiedziała, w jakiej sprawie dzwoni.

– A, to pani. Dzień dobry – doktor miał lekko świszczący oddech. – Niestety, nie mam dla pani dobrych wiadomości.

Herman złapała się na tym, że wstrzymała oddech. Jej palce były zimne jak sople lodu.

– Prawdę mówiąc, od wczoraj spodziewamy się najgorszego – dodał mężczyzna.

– Czy ona jest przytomna?

– Nie. Po zabiegu neurochirurgicznym została wprowadzona w stan śpiączki farmakologicznej i pozostaje podłączona do respiratora.

– Mówiła coś? – Przejechali przez tory i minęli pętlę tramwajową po prawej.

– Nie rozumiem.

– Czy zanim została zaintubowana, powiedziała cokolwiek?

– Tak.

Herman czekała, a mężczyzna westchnął, jakby dał sobie czas, by ubrać myśl w odpowiednie słowa.

– Na tyle, na ile byłem w stanie ją zrozumieć, prosiła, żeby nie informować pani o jej stanie zdrowia. Powiedziała: nie dzwońcie do mojej córki.

Coś ścisnęło ją za nerki, mocno i gwałtownie, aż zabrakło jej tchu. Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Jakie są szanse, że wyzdrowieje? – zapytała tylko po to, by uciec od ciężaru informacji, którą przekazał jej lekarz.

– Proszę pani, jeszcze raz podkreślam, że jej stan jest naprawdę ciężki – odparł lekarz wymijająco.

Herman spojrzała bezwiednie na Borewicza, który lekko uniósł brodę i z ruchu jego warg odczytała pytanie:

– Co się dzieje?

Nie odpowiedziała; odwróciła głowę i patrzyła przed siebie przez przednią szybę. Asfalt zamienił się w bruk, plastiki zatrzęszczały.

– Czy numer, który mi się wyświetlił, to pani numer prywatny?

– Tak – potwierdziła.

– W takim razie zadzwonię do pani, jeśli... jeśli coś się zmieni – dokończył.

Coś się zmieni, powtórzyła w myślach. Nietrudno było zrozumieć, co lekarz miał na myśli.

– Dziękuję panu bardzo, doktorze. Do usłyszenia – odparła i się rozłączyła.

Droga stała się węższa, staromiejskie kamienice niemal zaglądały sobie w okna. Między nimi, na wzniesieniu, pojawił się tramwaj, który jechał wprost na nich. Olgierd, zgodnie z nakazem skrętu przy niewielkim rynku, zjechał w lewo.

– No i? – spytał.

Przekazała mu, co powiedział lekarz.

– Powinnaś do niej pojechać – uznał Borewicz. – Chociażby po to, żeby się pożegnać.

– A jeśli ona by tego nie chciała?

– Skoro jest w śpiączce, to trzeba zadać inne pytanie.

– Jakie?

– Czego ty byś chciała?

Przemieszczali się Starorynkową, która wiodła w górę. Na samym jej końcu znajdowała się frontowa elewacja kościoła otynkowanego na kremowo. Nad jego dachem, nieco dalej, pięła się w górę wieża ratuszowa. Zapamiętała jej kształt i patynowany hełm z nocnego spaceru z Porajskim po starówce.

– Przez całe życie marzyłam tylko o jednym. Żeby mieć matkę, która mnie kocha – powiedziała, ściskając telefon w dłoniach.

Olgierd przepuścił kobietę z wózkiem i samochód jadący od strony rynku, po czym przeciął tory i toyota wjechała na trójkątny plac Miłośników Astronomii z pomnikiem Mikołaja Kopernika.

– Maria, twoja matka umiera – zauważył Olgierd, rozglądając się za miejscem parkingowym.

– Wiem. Ale ja umarłam dla niej dawno temu – odparła gorzko. – Czasami mam wrażenie, że już w chwili poczęcia.

Okna mieszkania, w którym się znaleźli, wychodziły na rynek i ogródki piwne ustawione wzdłuż wschodniej pierzei staromiejskiego placu. Obszerne parasole z napisem Coca-Cola, ustawione blisko siebie, zapewniały dużo cienia. Jednak mimo godzin popołudniowych większość stolików pozostawała pusta.

Gwar miasta dobiegał przez uchylone drzwi balkonowe i Herman zachciało się wyjść na ten balkon i zapalić papierosa. Zapytała o zgodę właściciela mieszkania, Jędrzeja Borsika, byłego sanitariusza, który nocą w lipcu dziewięćdziesiątego drugiego siedział w karetkce pędzącej w kierunku Góry Klęczkowskiej.

Niewysoki mężczyzna z zadbaną siwą brodą zgodził się bez wahania, tym bardziej że wpuścił ich, przerywając w drugim pokoju wideorozmowę z synem, który przebywał na Islandii. Nie zakończył połączenia, dlatego zaprosił ich do salonu i obiecał, że wkrótce wróci. Zdążył jeszcze podać policjantce kryształową popielniczkę, która stała nieużywana w witrynie kredensu.

Mężczyzna zniknął za ścianą. Wtedy Borewicz wbił wzrok w ekran swojego smartfona, a Herman przeszła na balkon i zapaliła chesterfielda. Gorzkawy smak tytoniu wypełnił jej usta. Czowała, że z każdą kolejną porcją dymu wciągniętego do płuc coraz bardziej schodzi z niej nieznośne napięcie.

Pamiętała zdjęcie Borsika z akt i pomyślała, że czas łagodnie z nim się obszedł. Chociaż niewątpliwie się zestarzał, jego twarz nadal budziła sympatię. Miał spokojne bładoniebieskie oczy, ukryte za przezroczystymi oprawkami okularów, i uśmiech pełen wiary w człowieka.

Strzepnęła popiół do naczynia.

Przypatrywała się rynkowi i ludziom, którzy przemierzali bruk na skos. W pewnej chwili, takie odniosła wrażenie, zobaczyła Kubę Porajskiego. Poznała go po czarnych dresach i bluzie z kapturem, która przysłaniała wychudzoną twarz. Stał po przekątnej w pobliżu parkingu i rozmawiał z wyższym od siebie mężczyzną, który sięgnął po portfel i podał Porajskiemu kilka banknotów. Hazardzista schował pieniądze do kieszeni i pożegnał się ze znajomym, który usiadł za kierownicą niedużego dostawczaka. Porajski zmierzał w kierunku ogródka piwnego znajdującego się pod balkonem, na którym stała Herman. Nie zauważył jej. Odbił do narożnika rynku i policjantka straciła go z oczu.

Zgasiła papierosa i weszła do pokoju w chwili, gdy Borsik przyniósł kawę.

– Przepraszam, muszę na chwilę wyjść – rzuciła. Borewicz, rozparty w fotelu, spojrzął na nią przelotnie, ale się nie odezwał. Borsik wydawał się zdezorientowany.

– Zaraz wracam – zapewniła go i wąskim, długim korytarzem dotarła do drzwi wyjściowych.

– Pamięta pan, jaka obsada karetki zabezpieczała wyjazd do postrzelonego Andrzeja Witberga w lipcu dziewięćdziesiątego drugiego roku? – Zero Siedem sporo czasu poświęcił na rozmowę z Borsikiem o pogodzie i niedawnym tornado, lecz w końcu uznał, że nie będzie dłużej czekał na powrót Herman.

Borsik usiadł na pufie i pokiwał głową. Sięgnął po herbatę, którą sobie zaparzył, i wyłowił z niej torebkę ekspresówki. Pogładził się po siwej, równo ściętej brodzie.

– Jechał z nami doktor Maciej Biernawski i drugi sanitariusz Wacław Kowalski.

Olgiert pamiętał te nazwiska z akt.

– Jak przebiegała akcja?

– Wie pan, tyle czasu już minęło od tamtych zdarzeń, ale jakoś, cholera, zapomnieć o nich nie mogę. Raz, że to była noc, dwa, że lało i wiało jak jasny gwint, a trzy, że o porwaniu tego małego, jemu chyba Filipek było, całe miasto w kółko gadało. A w zasadzie cały kraj – odparł Borsik.

– Od razu wiedzieliście, kogo ratujecie?

– Nie, z początku musieliśmy zatamować krwotok po postrzale. Ale potem, kiedy sytuacja wydawała się opanowana i chłop leżał już na noszach, zaczął coś bredzić o dziecku, porwaniu i białym polonezie. Dopiero wtedy zrozumiałem, z kim mamy do czynienia. Skojarzyłem twarz Witberga z jego zdjęciami z gazet.

Borewicz rozejrzał się po ścianach. Na jednej z nich wisiały dwa obrazy oprawione w eleganckie ramy. Jedno z dzieł, przedstawiające portret ciemnoskórej kobiety, której oczy tonęły w cieniu kapelusza z szerokim rondem, miało źle naciągnięte płótno. Promienie słońca załamywały się na pofałdowanym materiale. Pod obrazem na zabytkowej komodzie tykał cicho stary miniaturowy zegar kominkowy.

Z drugiej ściany spoglądały na Borewicza uśmiechnięte dzieci. Każde z nich miało za sobą morskie fale.

Borsik powiódł wzrokiem za spojrzeniem policjanta.

– Moje wnuki kochane – rzekł z dumą i się uśmiechnął. – Dzieci syna, z którym rozmawiałem.

– Fajna gromadka – pochwalił Borewicz.

– Widuję ich jedynie przez internet, taki jestem nowoczesny dziadek – niby żartował, ale Zero Siedem wyczuł w jego głosie nutę smutku.

– Żyją na Islandii?

– Tak.

– Gdzie konkretnie?

– W Keflavíku.

– Był pan u nich?

Borsik zaprzeczył ruchem głowy.

– Już mnie syn nieraz zapraszał, ale sam pan wie, jak to jest. Najpierw mi się nie chciało, a teraz ta pandemia.

– Ile syn ma lat?

– Czterdzieści cztery. Ale ma sporo młodszą żonę. Fajna z niej babka i świetnie gotuje. Elinborg ma na imię.

– Od dawna tam mieszka?

– Poleciał pod koniec dziewięćdziesiątego dziewiątego roku.

Borewicz z trudem oderwał wzrok od radosnych dzieci.

– Czy tamtej nocy, kiedy wyruszyliście do zgłoszenia o postrzale, wydarzyło się coś dziwnego? – Zero Siedem wrócił do sprawy Witbergów.

– Dziwnego? W jakim sensie? Bo już samo to, że gość dostał kulkę w udo pod Górą Klęczkowską, do tego w taką ulewę, wydaje mi się dziwne do potęgi.

– Chodzi mi raczej o coś nietypowego, niespodziewanego, cokolwiek, co zwróciło pana uwagę.

Mężczyzna wydał wargi.

– Niczego takiego sobie nie przypominam – stwierdził po chwili.

– Często wraca pan myślami do dni, które nastąpiły po tamtym dyżurze?

– Chodzi panu o moje odejście z pracy?

– Wiem, że już wielokrotnie był pan o to pytany przez policję, niemniej będę wdzięczny, jeśli pan odpowie.

– Ale co konkretnie mam powiedzieć? – zaniepokojony Borsik rozłożył ręce.

– Przesiadł się pan na taryfę?

– Nadal was to dziwi? – zmarszczył czoło.

– Proszę, żeby odpowiedział pan na pytanie.

– To krzywdzące. Nawet po tylu latach – obruszył się i odczekał chwilę. – Powtarzałem to po stokroć, że zwolniła się licencja. Pan Kurek, policjant, który kiedyś prowadził tę sprawę, podobno przesłuchiwał tego taksówkarza, co przeszedł na emeryturę i dzięki któremu dostałem się do zrzeczenia.

– Dlaczego chciał pan zmienić pracę?

– A dlaczego nie? Mój świętej pamięci ojciec był taksówkarzem i bardzo sobie chwalił ten zawód. Chciał mi załatwić tę robotę, ale to nie było takie proste. Bez znajomości w urzędzie niewiele można było zdziałać. Mówiąc krótko, licencje były obstawione. Dlatego zapisałem się w kolejkę i czekałem, aż nadejdzie odpowiedni moment.

– I tak szybko się pan zdecydował?

– Nie mogłem inaczej. Za mną czekali następni, chętnych było wielu. – Splótł dłonie. – Dlaczego to stale wraca, dlaczego ciągle mnie o to pytacie? Jaki ta sprawa ma związek z postrzeleniem Witberga?

– Nie mogę o tym mówić ze względu na dobro śledztwa.

– No tak, takiej odpowiedzi mogłem się spodziewać – odparł zrezygnowany gospodarz. – W każdym razie, żeby pan sobie nie myślał, że to było tak, że licencja się zwolniła, a ja rzuciłem pracę w pogotowiu.

– A jak było?

– Suchocki, ten emeryt, o zamiarze zdjęcia gapy z dachu poinformował mojego ojca ze sporym wyprzedzeniem. W sumie kilka miesięcy, może pół roku. Więc wymówienie w pogotowiu złożyłem dużo wcześniej, zgodnie z prawem. To moje odejście po prostu zbiegło się w czasie z wyjazdem do Witberga.

– W takim razie wszystko jasne – westchnął Borewicz. – No cóż, gdyby jednak pan sobie coś przypomniał, cokolwiek, co mogłoby rzucić światło na tamte wydarzenia, będę czekał na sygnał... – Zero Siedem wstał i sięgnął do kieszeni po wizytówkę. Potem, skinąwszy głową, ruszył w kierunku korytarza.

– Widzieliście się z Wackiem Kowalskim? Bo ja już dawno nie miałem okazji – odezwał się Borsik, idąc za Borewiczem w kierunku drzwi.

– Właśnie do niego jedziemy. – Policjant zerknął na zegarek i zdał sobie sprawę, że są już z Herman mocno spóźnieni.

– Niech go pan pozdrowi od starego kumpla i powie mu, żeby mnie odwiedził, bo nie widzieliśmy się całe lata.

– Da się to zrobić – uśmiechnął się Zero Siedem.

Borsik złapał się za siwą brodę i zaczął ją przeczesać palcami.

– To już będzie z dziesięć lat. Albo i lepiej. W zasadzie, od kiedy zachorował.

– A pan jeździ jeszcze na taryfie?

– Nie, skądże znowu. To stare dzieje. I zarobek już też nie ten, co kiedyś. Teraz te ubery i bolty psują rynek, kierowcy jeżdżą, nie znając miasta, tylko mapę satelitarną włączy jeden z drugim. Dlatego cieszę się, że od dawna jestem na emeryturze.

– I dobrze się panu wiedzie. – Borewicz raz jeszcze omiół wzrokiem nienagannie utrzymane mieszkanie w kamienicy. Czyste, odmalowane ściany, eleganckie drzwi

wewnętrzne z litego drewna bejcowanego na szaro, ze szprosami wykonanymi z chromowanych listew.

– Mieszkam tu sam z żoną, bidulka ma jeszcze osiem miesięcy pracy przed sobą i potem też dołączy do emeryckiego grona. W ZUS-ie robi, przy Wybickiego. Zresztą zaraz powinna być w domu, pewnie po zakupy jeszcze poszła. Ale nie możemy narzekać. Póki zdrowie jest, póty wszystko gra. Syn nam trochę pomaga, dał pieniądze na remont. Ale nie da się ukryć, że inwestuje w swoje, bo kto, jak nie on, miałby otrzymać to mieszkanie? Do grobu ścian i podłóg przecież nie weźmiemy – zaśmiał się.

– Dziękuję za kawę. – Olgierd wyszedł na klatkę schodową.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Do widzenia – uśmiechnął się gospodarz i zamknął drzwi.

Ale kiedy dociskał je do framugi, podkomisarz odniósł wrażenie, że uśmiech starszego mężczyzny szybko zgasł.

Kurek opadł na wersalkę i wpatrywał się w chmury, próbując dostrzec w nich znajome kształty. Na próżno. Dziś wyjątkowo nie widział w nich żadnych podobieństw do rzeczy, które znał.

Obserwował więc, jak odpływały nad pola uprawne, i wyrównywał oddech po długim spacerze z centrum na Kalinkową.

Koszula lepiała mu się do pleców. Powinien ją ściągnąć, ale nie miał siły.

Obawiał się, że Kąkol ma rację. Toboła mógł fabrykować dowody współpracy policjantów z jego ekipą. Miał ich stale na widelcu. Musiał mieć też dobre rozeznanie, czym każdy z nich się zajmował w tym śledztwie. W ten sposób mógł realnie wpływać na działania podejmowane przez policję. Tylko jedno się nie zgadzało. Kąkol twierdził, że ani żaden człowiek Toboły, ani on sam się z nim nie kontaktował. Dlaczego zatem Biuro Spraw Wewnętrznych Policji wyłączyło Kąkola ze służby kilka lat po tym, jak Toboła trafił do aresztu, a następnie do więzienia? Kurkowi nie dawało to spokoju. Sprawa dotycząca przestępstw popełnionych przez gang Toboły szła wtedy swoim rytmem, a oni, kryminalni, nie popchnęli śledztwa dotyczącego zaginionego niemowlaka ani o krok. Dlaczego więc Tobole zależało na utraceniu Kąkola? Dlaczego nie zrobili tego wcześniej? Bogdan nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. A ono rodziło kolejne. Który z przekupionych śledczych, w sytuacji gdy Toboła trafił do więzienia, pozostał lojalny wobec gangstera? Kto słuchał jego poleceń zza krat?

Kurek potarł zarost.

Ten scenariusz, niestety, nie był nieprawdopodobny.

Toboła nawet wtedy pozostawał niebezpieczny. Zbyt dużo wiedział i zbyt dużo mógł powiedzieć. A przecież kiedy go schwytali, uparcie milczał, więc ci, którzy wcześniej siedzieli mu w kieszeni, mieli kolejny powód, by pozostać lojalni wobec dawnego szefa.

Niemniej Kurek odnosił wrażenie, że coś się tu nie zgadza.

Dlaczego tak długo to trwało? Dlaczego utracili Kąkola dopiero w dziewięćdziesiątym dziewiątym?

Stary gliniarz uznał, że powinien raz jeszcze przejrzeć dokładnie dokumentację.

Zanim przeszedł na emeryturę, udało mu się skserować akta, przynajmniej te obejmujące pierwsze lata śledztwa. Materiały zebrane później nie wносиły do sprawy nic nowego. Kurek nie pamiętał tylko, czy udało mu się powielić dokumenty z końcówki lat dziewięćdziesiątych, kiedy to Kąkol odwiesił mundur.

Kilka segregatorów, obejmujących pierwszy rok od porwania Filipa Witberga, trzymał na regale obok komputera. Reszta wciąż zalegała w piwnicy. Miał świadomość, że ich przejrzanie będzie czasochłonne, ale notatki, które sporządzi, przydadzą mu się do pisania reportażu.

Dźwignął się z sofy, z wieszaka na klucze zdjął ten od piwnicy i zjechał na parter.

Do kawalerki wrócił po kilkudziesięciu minutach z jednym zakurzonym kartonem, do którego załadował kilka segregatorów.

Zalał inkę, dodał do niej mleka i wrócił na sofę. Włączył telewizor, żeby ktoś do niego cicho gadał, a sam skupił się na przeglądaniu dokumentów.

Sięgnął po segregator z materiałami z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku, kiedy to Bogdan Kąkol został oskarżony o współpracę z Tobiłą.

Z formalnego punktu widzenia śledztwo dotyczące zaginięcia niemowlaka zostało umorzone przez prokuraturę krótko po tym, jak Tobiła i część jego żołnierzy trafili do więzienia. Oskarżenie herszta grupy o udział w porwaniu dziecka w tym konkretnym wątku sprawy opierało się na dowodach poszlakowych. Kiedy zatrzymano Tobiłę oraz jego ludzi i przeprowadzono przeszukanie w ich mieszkaniach, okazało się, że w domu Alfreda Tobiłkowskiego odnaleziono tę samą odblaskową zdjęciową, które Andrzej Witberg otrzymał od porywaczy z żądaniem okupu. Były na nim widoczne rączka dziecka i fragment „Gazety Pomorskiej” z sierpnia dziewięćdziesiątego drugiego roku. Samo zdjęcie nie mogło uchodzić nawet za dowód poszlakowy, ale w domu Jarosława Bickiewicza, pseudonim Bicu, prawej ręki Tobiły, odnaleziono z kolei czapkę dziecięcą. Andrzej Witberg rozpoznał ją jako tę, którą jego syn miał na głowie w chwili, gdy Bickiewicz pokazał mu Filipka przez szybę w bocznych drzwiach białego poloneza. Co ważniejsze, tę czapkę rozpoznała też matka chłopca, mimo że Bicu zarzekał się, że tamtego dnia, kiedy przyjechał po okup, miał w rękach jedno ze swoich trojaczków. Tymczasem żona gangstera, która kilka dni po aresztowaniu Bickiewicza złożyła pozew o rozwód, wyznała policjantom, że w dniu odebrania okupu przez jej męża była wraz z trójką dzieci u rodziców w Mielnie. Te zeznania wraz z zabezpieczonymi dowodami poszlakowymi okazały się kluczowe. Niestety, w żaden sposób nie przyczyniło się to do rozwiązania tajemniczego porwania dziecka.

Dlatego prokurator zdecydował o umorzeniu śledztwa. Niemniej nie oznaczało to wcale odłożenia akt na półkę.

Każdego roku policjanci kryminalni mieli obowiązek odnawiać kontakty z poszczególnymi świadkami, ponawiać pytania lub – w przypadku uzyskania wiarygodnych informacji zmieniających obraz sytuacji – przeprowadzać przesłuchania i uzupełniać akta o protokoły lub notatki. Sprawa, zarówno dla kontrolerów z Komendy Wojewódzkiej Policji, jak i dla prokuratury, była zbyt ważna, by mogli ją sobie odpuścić. Czasami kontrolerzy, jeśli rzeczywiście mieli czas wczytać się w akta, wskazywali śledczym dalsze kroki, które powinni podjąć na rzecz ewentualnego wznowienia śledztwa. Kłopot

w tym, że podejmowane działania nie przynosiły żadnych rezultatów, a teczka pęczniała od nic niewartych dokumentów.

Marian Kurek napił się przestygniętej inki, a następnie przełożył kilka kolejnych poślisków kserówek w segregatorze, zanim w końcu na coś trafił.

W dziewięćdziesiątym dziewiątym Bogdan Kąkol, którego Kurek wyznaczył zapewne do tej niewdzięcznej roli, dwukrotnie musiał zajrzeć do akt i zostawić w nich swój ślad.

Za pierwszym razem, w styczniu tamtego roku, na polecenie prokuratora, który skontrolował akta, policja miała przepytac sąsiadkę Alfreda Tobołkowskiego w sprawie porwania dziecka. Kobieta zeznawała krótko po aresztowaniu Toboły, ale nie powiedziała nic, co przydałoby się policjantom kryminalnym w śledztwie dotyczącym porwania dziecka. Według prokuratora jedno zdanie, które wówczas wygłosiła do protokołu, mogło jednak budzić wątpliwości.

Kurek przystawił palec w miejscu cytatu i odczytał w myślach: „Którejś nocy, to musiało być latem, obudził mnie płacz dziecka”.

Sąsiadka gangstera nie była jednak w stanie podać konkretnej daty tego zdarzenia. Pierwotnie mówiła o czerwcu, potem uznała, że to jednak mógł być lipiec. Z kolei córka sąsiadki wyjaśniła, że matka spała latem przy otwartym oknie, a ponieważ opiekowała się trzema bezdomnymi kotami, uznano, że to one mogły ją obudzić. Starsza kobieta upierała się, że umie odróżnić dźwięki wydawane przez koty od płaczu niemowlęcia, i była gotowa przysiąc, że słyszała kwilące dziecko, a następnie trzask drzwiczek samochodowych i warkot silnika.

Kąkol chciał przesłuchać ją ponownie, ale kobieta miała zaawansowaną chorobę otępienną i nie nadawała się do rozmowy. Policjant sporządził notatkę i dodał ją do akt, niejako zamykając ten wątek.

Drugi kontroler, tym razem z komendy wojewódzkiej, nakazał ponowne przesłuchanie żony Bickiewicza, Magdaleny. W opinii policjanta należało rozważyć scenariusz, że któreś z trojaczków Bickiewiczów straciło życie w niewyjaśnionych okolicznościach i dlatego prawa ręka Toboły zdecydowała się porwać dziecko Witbergów.

Odkąd sprawa trojaczków wyszła na jaw, dowiedzieli się, że żona gangstera urodziła samych chłopców, identyczne bliźnięta i zupełnie do nich niepodobnego trzeciego chłopca.

Kurek westchnął i przyjrzał się dokumentacji. Poślinił palec, żeby przełożyć kartkę.

Bogdan Kąkol spotkał się z Magdaleną Bickiewicz w jej domu w Czapelkach, gdzie na wspólnej działce znajdował się także stary dom jej teściów. Kąkol specjalnie pojechał tam po południu, żeby chłopcy wrócili już ze szkoły. Przyjrzał się im, ale nie był w stanie zdecydować, czy w twarzy trzeciego syna Bickiewiczów odnalazł jakiegokolwiek podobieństwo do Lucyny lub Andrzeja Witbergów.

Kurek przeczytał uważnie raport Kąkole, a następnie zadzwonił do kolegi.

- Słucham – rzucił Bogdan.
- To ja – odparł Kurek. – Przypomnij mi, kiedy dokładnie wyleciałeś z roboty.
- Kurku, wydawało mi się, że już wszystko sobie powiedzieliśmy – odparł znużony Kąkol.
- Też tak myślałem. Ale siedzę nad dokumentacją Witbergów.
- Gównu mnie to obchodzi.
- Pamiętasz, kiedy cię utracili?
- Gównu mnie...
- Pamiętasz? – przerwał mu Kurek i w słuchawce nastąpiła chwilowa cisza.

Bogdan jęknął.

- W październiku, bo co?
- A wiesz, co robiłeś we wrześniu?
- Nie przeciągaj struny – ostrzegł kolega.

W tle Marian usłyszał głos Zdziśki, która bez skrupowania próbowała się dowiedzieć od męża, kto dzwoni, ale odburknął, żeby dała mu spokój.

- We wrześniu przesłuchałeś Magdalenę Bickiewicz – kontynuował Kurek.
- Możliwe – Kąkol wydawał się znudzony tą rozmową i chciał ją jak najszybciej zakończyć.
- Powiesz coś więcej?
- Marudzisz, Kurku, marudzisz – jęknął stary ochroniarz. – Z tego, co pamiętam, odwiedziłem ją w Czapelkach. Poprosiłem o zdjęcia chłopców z okresu niemowlęctwa.
- Nie ma tego w notatce – zdziwił się Kurek.
- Możliwe, że tego nie wpisałem.
- Dlaczego?
- No bo ona nie miała żadnych zdjęć.
- Jaja sobie robisz? – zdziwił się Kurek.
- Nie robię sobie jaj. Twierdziła, że zgubiły się w trakcie przeprowadzki. Chociaż w zasadzie należałoby powiedzieć, że nie tyle się zgubiły, ile ktoś je ukradł. To znaczy nie same zdjęcia, tylko karton, w którym znajdowały się aparat i kamera. Prawdopodobnie ktoś z przechodniów wykorzystał okazję. Karton był otwarty, sprzęt leżał na wierzchu – wyjaśnił Kąkol i się zaśmiał. – Ale wyobraź sobie, że ona, głupia pinda, zgłosiła to na policję. Wyobrażasz sobie? Sprzęt skradziony albo kupiony z gangsterki, a ta walczy o sprawiedliwość! Szczaliśmy z tego równo. Nie pamiętasz?

Nie pamiętał. Ten drobiazg musiał mu umknąć.

- I serio to zgłosiła? Sprawdziłeś?

– Tak. Tam trochę więcej sprzętu poszło. Pakowali się wieczorem, ona pilnowała synów na górze, a jej teść latał między mieszkaniem a samochodem. Zostawił uchyloną klapę i pobiegł na górę. Zorientowali się dopiero następnego dnia, kiedy Bickiewiczowa nie mogła znaleźć kamery.

– Może kłamała?

– Chodzi ci o fałszywe zgłoszenie kradzieży?

– Tak tylko głośno myślę. – Kurek odłożył segregator i podszedł do okna. Uchylił je i chłodny powiew pogłaskał go po twarzy.

Na drugim brzegu rzeki czerwony traktor, mały niczym zabawka, przemierzał wolno wiejską drogę, odwrotnie do kierunku, w którym płynęła Wisła.

– Ale jaki miałyby cel? – Kąkol nie krył wątpliwości.

– Ukrycie tego, o czym pisał kontroler z wojewódzkiej. Bo co, jeśli jedno z trojaczków zmarło? – Kurek wyjaśnił mu zwięźle, co prokurator miał na myśli.

– A, faktycznie. To dlatego w ogóle wypytywałem ją o te zdjęcia – przypomniał sobie Kąkol. – Aż żał, że nigdy nie poszliśmy tym tropem.

– To prawda – przyznał Kurek nie bez wstydu. Teraz ta opcja wydawała mu się oczywista. Szczególnie że rozpatrywał wątek porwania jako uzupełnienia straty po śmierci dziecka. Wytypował trzy rodziny, które zmierzyły się z taką tragedią, ale nie wziął pod uwagę najprostszego rozwiązania, które mieli podane na tacy. Pytanie, dlaczego tak się stało? Co ich zaślepilo?

– No dobra, zostawmy to na razie – poprosił Kurek, a ożywczy chłód wypełnił jego mieszkanie. – Pamiętasz, o czym rozmawialiście?

Usiadł na sofie i sięgnął po segregator.

– Gdybym wszystko pamiętał, miałbym łeb jak balon.

– W takim razie ci przypomnę. Poprosiłeś ją o zgodę na badania DNA jej dzieci i ustalenie ojcostwa – Kurek gapił się w dokumenty.

– No, faktycznie. Mogło tak być. I co z tego wynikło?

– Nic. Bo kłopot polega na tym, że odmówiła.

Herman dostrzegła Porajskiego w pobliżu narożnej kamienicy na skrzyżowaniu Długiej i Starorynkowej. Tory tramwajowe skręcały na plac Miłośników Astronomii, a hazardzista poszedł prosto, wybierając przedłużenie drogi.

Policjantka obserwowała go uważnie. Wzdłuż chodnika, po którym się poruszała, parkowały samochody, więc nawet gdyby nagle się odwrócił, pozostałaby niezauważona.

Porajski minął Dom Handlowy Centrum z charakterystyczną zieloną stolarką okienną. Szyby w oknach były zasłonięte przez krzykliwe reklamy. Młody mężczyzna ani razu się nie odwrócił, dzięki czemu Herman mogła swobodnie podążać jego śladem.

Gorzej, że nie rozumiała swojego zachowania. Nie miała pojęcia, dlaczego za nim poszła.

Myślała zero-jedynkowo, była przekonana, że skoro otrzymał pieniądze od znajomego, to pójdzie zagrać. Zadziałała impulsywnie i natychmiast skarciła się w duchu, bo po rocznej terapii powinna dać odpór wszelkim tego typu zapędom.

Zły znak, pomyślała.

Powinna umieć stawiać sobie wyraźne granice. Dlatego tak bardzo się wystraszyła. Poczula skurcz w żołądku i się skrzywiła. Jej zachowanie potwierdzało, że wciąż jest skłonna dać się porwać emocjom. Wciąż może zaprzepaścić to, co przez rok udało jej się osiągnąć.

Mimo to podążała za Porajskim.

Wiedziała, że zerwanie z nałogiem jest prywatną decyzją każdego gracza i nic jej do tego. Facet musi sam chcieć zatrzymać błędne koło, w którym się znalazł. Nic tu po niej.

Zadzwonił jej telefon.

– Cześć, słońce – odezwała się Joanna Mitras swoim radiowym głosem. – Jak wczorajsze spotkanie?

Herman zrelacjonowała przyjaciółce rozmowę z Porajskim, ale nie umiała się przyznać, że właśnie go śledzi. Mitras zrugalaby ją za to.

– Świetnie się sprawdziłaś. Od początku wiedziałam, że dasz radę – Herman usłyszała w słuchawce pochwałę, chociaż sama uważała, że w trakcie rozmowy z mężczyzną popełniła wiele błędów i nie uniknęła najgorszego. Nie powstrzymała się od udzielania rad. Zwierzyła się z tego Joannie Mitras i dodała:

– Najgorsze jednak jest to, że on nie wygląda na osobę, która przerwała grę i chce się leczyć – stwierdziła i dostrzegła, że Porajski skręca na końcu ulicy w lewo.

– Serio? – zaniepokoiła się przyjaciółka. – Miałam inne informacje.

– Wiesz, jak to jest. Być może pod presją rodziny przyznał, że chce wyjść z tego bagna, ale rzeczywistość brutalnie to weryfikuje.

– Może to tylko twoje wyobrażenia, co?

Herman przyspieszyła kroku i skręciła w ulicę Murową, krótką i wąską, praktycznie na jeden samochód. Na rogu po lewej znajdował się biały kontener ustawiony na kilku ceglach. Kiedy dostrzegła napisy na banerach reklamowych, wstrzymała oddech.

„Urządzenia logiczne”.

Pociemniało jej przed oczami. Chciała się wycofać, ale jednocześnie szła wolno przed siebie, jakby nogi jej nie słuchały. Przeszła na przód baraku. Tuż przy drzwiach wejściowych znajdowała się kamera.

Krew pulsowała w jej skroniach. Nagły skok ciśnienia sprawił, że gdzieś pod żebrami uderzyła w nią fala gorąca i Herman bała się, że jeśli tylko zrobi krok, kolana ugną się pod nią i upadnie na jezdnię, straci przytomność.

– Halo, słońce? Słyszysz mnie?

Herman przyciskała telefon do ucha, aż zabolą ją małżowina.

Wzięła głęboki wdech i powoli wypuściła powietrze. Potem powtórzyła to jeszcze dwukrotnie.

– Halo? – w głosie Mitras wyczuła zaniepokojenie.

Po Porajskim nie było śladu.

– Jestem, jestem – wyszeptała Herman.

Kontener był całkowicie pozbawiony okien.

– Więc może to tylko twoje wyobrażenia? – powtórzyła Mitras. – Możesz do niego zadzwonić?

– Mam go zapytać, czy gra?

– Nie. Zapytaj go, czy potrzebuje pomocy.

Herman drgnęła, bo drzwi kontenera się uchylily i dostrzegła w nich barczystego mężczyznę z ogoloną głową. Okrągła twarz obsypana była sterydowymi krostami.

– Jakiś problem? – burknął, unosząc zaczepnie brodę.

– Pani prokurator, pani pozwoli, że się odezwę za jakiś czas, bo właśnie jestem na miejscu – policjantka zablokowała i się rozłączyła. Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjęła policyjną legitymację i okazała ją napakowanemu facetowi. – Komisarz Maria Herman, Komenda Wojewódzka Policji w Bydgoszczy.

Mężczyzna zarechotał krótko, a ona próbowała zajrzeć do rozświetlonego wnętrza z automatami. Z miejsca, w którym stała, widziała jedynie kilka stanowisk, ale przy żadnym nie zauważyła chudego hazardzisty.

– No i chuj, że policja. Wsadź sobie w dupę tę blaszkę, jeśli lubisz takie zabawy. A teraz dobrze radzę: luzuj smycz i wypierdalaj! – Po czym posłał jej całusa i zamknął drzwi.

Herman przełknęła ślinę. Cofnęła się o kilka kroków do ściany kamienicy i wyrównała oddech. Wciąż kręciło jej się w głowie, pociemniało jej przed oczami.

– O! A co ty tu robisz? – usłyszała czyjś głos. – Dobrze się czujesz?

Słowa docierały do niej z oddali i sądziła, że wypowiada jej Borewicz, który zaniepokojony jej nieobecnością w końcu poszedł jej szukać.

Ale kiedy podniosła wzrok, zobaczyła chudą twarz młodego mężczyzny.

Przed nią stał Kuba Porajski.

W drodze do Wacława Kowalskiego, drugiego z sanitariuszy, z którym byli umówieni, Herman wydawała się spięta. Wyszła od Borsika i zniknęła na długo, a kiedy w końcu wróciła do zaparkowanego samochodu, Borewicz zauważył, że jest blada jak ściana. Drżały jej dłonie, gdy zapalała papierosa, i drobiła przy samochodzie.

Olgierd bębnił nerwowo palcami w kierownicę, ale powstrzymał się przed tyradą, którą wcześniej ułożył sobie w głowie, gdy tyle czasu jej nie było. Na szczęście Kowalski, do którego Zero Siedem zadzwonił, nie miał żadnych planów na popołudnie i oczekiwał ich w domu.

– Powiesz wreszcie, co się stało? – zainteresował się Olgierd, kiedy zostawili za sobą wąskie uliczki starówki i wracali tą samą drogą, którą wcześniej dostali się do centrum. Opony zaterkotały na kostce bazaltowej. Minęli więzienie dla kobiet, odgródzone wysokim murem, za którym znajdowała się dawna świątynia i budynek przyklasztorny z okratowanymi oknami. Zgodnie z nawigacją Zero Siedem powinien jechać prosto i po dwóch kilometrach skręcić w prawo, w kierunku ulicy Ossowskiego.

Herman opowiedziała mu o tym, jak poszła za Porajskim, bo zauważyła, że Kuba pożyczył pieniądze od rodziny.

– Ale nie zagrał, tak? Dobrze zrozumiałem?

– Tak.

– To w czym problem? – Dogonił stary tramwaj, który sunął po torowisku znajdującym się na ich pasie.

– W tym, że spanikowałam. Że znalazłam się blisko maszyn.

– Zaraz. Przecież nie grałaś na maszynach.

– Zdarzyło mi się kilka razy. Czasami grałam w sieci – odparła i zacisnęła dłonie. – Po prostu nie powinnam się tam znaleźć! Miałam napad paniki. To się mogło fatalnie skończyć.

Borewicz miał wrażenie, że jej chude ciało dygocze.

– A co z tym Porajskim? Skoro nie wlaźł do kontenera, to może przegrał tę kasę w zakładach bukmacherskich gdzieś opodal.

– Pokazał mi rachunek za leki, które kupił ojcu. Zresztą miał je przy sobie. To na leki pożyczył pieniądze od kuzyna. A w zasadzie to jego ojciec pożyczył. On miał tylko je odebrać i po drodze wejść do apteki.

Olgierda zupełnie to nie interesowało, ale ze względu na stan Herman udawał, że jest inaczej.

– I co? Zacznie się leczyć? – zapytał, hamując za tramwajem na przystanku w pobliżu neogotyckiego budynku z czerwonej cegły. Wokół niego dostrzegł sporo młodzieży.

– Zobaczymy – odparła bez przekonania.

Z wagonów wyskoczyło kilku chłopaków w joggerach i bluzach z kapturem. Skład ruszył dalej.

– Co u Borsika? – Herman widocznie wołała zmienić temat, a Olgierd nie protestował. Powiedział jej, że stary sanitariusz i taksówkarz powtórzył wszystko to, co od lat znajdowało się w aktach.

– Niewykluczone, że nic tu po nas – rzucił, żeby wysondować nastawienie Herman, ale nie odpowiedziała ani nie wykonała żadnego gestu. – Jeśli Kowalski też niczego nie wniesie do sprawy, nasze szanse zmaleją.

– A Witberg? – zapytała.

– Chodzi ci o jego zabójstwo?

Skinęła głową.

– Jasne, zweryfikujemy to, ale trudno uwierzyć, że zginął z powodu porwania dziecka przed trzydziestu laty. Musi być inny klucz do wyjaśnienia tej śmierci – zawyrokował.

– Mówisz poważnie? A Toboła? A młody Bickiewicz?

– Marne poszlaki – odparł. – To, że obaj mieszkają niedaleko miejsca, w którym odnaleziono zwłoki, może być przypadkiem. Poza tym ktoś mógł specjalnie podrzucić ciało właśnie tam.

– Musimy się temu przyjrzeć – uznała Herman.

Zamilkli na dalszą część drogi, a Olgierd dobrze wiedział, że koleżanka zdania nie zmieni. Zresztą miała rację. Powinni iść tym tropem, tyle tylko, że nie wiedział, jak to wyjaśni Łysemu. Postanowił dać sobie czas na znalezienie argumentów.

Wjechali w osiedle domów przy Ossowskiego. Większość budynków stanowiły PRL-owskie kostki. Część z nich przeszła modernizację, ale na niektórych elewacjach wciąż wisiał szary baranek, pamiętający zapewne Gierka.

Olgierd zjechał na chodnik i zaciągnął ręczny. Oboje wysiedli z wozu.

Słońce wyjrzało zza chmur i oświetliło stary, dwukondygnacyjny budynek z wejściem z boku.

Borewicz wcisnął guzik domofonu, przedstawił się i po chwili usłyszeli metaliczny dźwięk zwalnianej blokady. Herman pchnęła furtkę.

Drzwi wejściowe otworzyły się, zanim zdążyli dotrzeć do schodów.

Wacław Kowalski przywitał się i cofnął do wnętrza.

– Zapraszam, zapraszam. Śmiało – dodał.

Znaleźli się w wąskim i dość ciemnym korytarzu, ale gospodarz, mężczyzna z niestrzyżonym siwym wąsem, w którym odznaczało się pionowe żółte pasmo nad górną wargą, natychmiast zaprosił ich do salonu.

Parkiet skrzypiał pod ich butami.

Olgierd wyczuł smród papierosów i się nie mylił. Na gołej ławie, której fornir dawno stracił blask, stała ceramiczna popielniczka, a obok leżała wymięta paczka niebieskich cameli.

W telewizorze zawieszonym na ścianie premier wraz z ministrem zdrowia omawiali przygotowania resortu do nowej fali zakażeń koronawirusem. Olgierd się ucieszył, że gospodarz wyłączył odbiornik.

– Proszę, siadajcie państwo – Kowalski wskazał na wersalkę, a sam zajął fotel.

Olgierd zauważył, że gospodarz splótł dłonie i zacisnął je mocno, a zaraz potem sięgnął po papierosy i uniósł paczkę.

– Nie będzie wam przeszkadzało? – spytał, obrzucając ich spojrzeniem.

Borewicz chciał się odezwać, ale Herman była pierwsza.

– Ja też mogę?

Mężczyzna nachylił się, żeby ją poczęstować, ale pokazała mu, że ma swoje. Wyjęła z kieszeni chesterfielDY.

– Palenie w towarzystwie zawsze jest przyjemniejsze. – Kowalski wstał i podszedł do okna, przez które wpadały promienie słońca rozświetlające wytarte klepki parkietu. Uchylił wąskie skrzydło, po czym wrócił na fotel.

Olgierd zaczekał, aż oboje zapalą, i kiedy Kowalski rozsiadł się wygodnie, wypuszczając kłąb dymu, który zawisł nad stołem, uznał, że mogą zacząć rozmowę. Chciał pierwszy zadać pytanie, lecz gospodarz go ubiegł.

– Dlaczego po tylu latach wracacie do tej sprawy? Udało się odkryć coś nowego? – Przymrużył oczy. Papieros w jego ustach tkwił w miejscu, w którym znajdowała się zabarwiona tytoniem pręga na wąsach.

– Po prostu chcemy wyjaśnić, co się wtedy stało – Borewicz próbował uniknąć odpowiedzi na pytanie.

– Ale co ja mam do tego? Doskonale wiecie, że nikt z nas, z obsady karetki, nie był bezpośrednio związany z tą sprawą – były sanitariusz rozłożył ręce i kolejny raz się zaciągnął.

Herman odchrząknęła.

– Skupmy się zatem na nocy, kiedy to pan wraz z obsadą karetki pogotowia udzielaliście pomocy Andrzejowi Witbergowi, ofierze postrzału – poprosiła.

– Wszystko, co pamiętam, powiedziałem już dawno temu. I to powinno być w aktach – uznał Kowalski.

– Wróćmy do przebiegu zdarzeń z tamtej interwencji, dobrze? – naciskała Herman.

Mężczyzna wypchnął językiem dolną wargę.

– Wszystko od początku? – upewnił się, a policjantka skinęła głową.

Założył nogę na nogę i zaczął kręcić kółka stopą, z której zwisał znoszony skórzany kłapek.

Wysłuchali krótkiej, zwięzłej relacji, która rzeczywiście pokrywała się z wiedzą, jaką mieli z dokumentów. Kiedy Kowalski skończył, Borewicz przejął pałeczkę.

– Dziękuję, bardzo nam pan pomógł – powiedział, zwracając się do gospodarza. – Przy okazji, ma pan pozdrowienia od pana Jędrzeja Borsika.

– O, to miło. Nie widzieliśmy się całe lata – skomentował gospodarz.

– Pan Borsik krótko po tamtym zdarzeniu porzucił pracę sanitariusza i kierowcy w pogotowiu.

– No, faktycznie tak było. Od zawsze chciał zostać taksówkarzem, jak jego ojciec – odezwał się Kowalski.

– Widywaliście się później? – spytała Herman.

– Nie. – Odwrócił się do niej. – Zналиśmy się z pracy, owszem, ale nie byliśmy świetnymi kumplami, jeśli o to pani chodzi.

– Pan tamtej nocy w zasadzie znalazł się w karetce przypadkowo, prawda? – kontynuowała policjantka.

– Tak. Dwa dni wcześniej kolega poprosił mnie, żebym się z nim zamienił. Miał jakąś ważną sprawę. Zresztą często tak się zdarzało, że zamienialiśmy się dyżurami. Nikt nie robił z tego problemu, byleby karetka miała pełną obsadę.

– Jak nazywał się ten kolega?

– Witold Daszkiewicz. Już nie żyje – poinformował Kowalski. – Jakies siedem lat temu pokonał go nowotwór.

Herman zgasila papierosa w czystej popielniczce.

Dym falował w pokoju i gryzł Olgierda w gardło.

– Czy tamtej nocy wydarzyło się coś nietypowego? – zapytał.

– W jakim sensie?

– W jakimkolwiek.

– Nie, raczej nie. – Gospodarz się zamyślił. – To znaczy nic takiego nie pamiętam. Udzieliliśmy mężczyźnie pomocy, zawieźliśmy go do szpitala, który jeszcze wtedy znajdował się przy Szpitalnej, i tyle. Potem wróciliśmy do bazy, posprzątaaliśmy kabinę, odkaziliśmy wnętrze, odwaliliśmy papierologię i czekaliśmy na kolejne wezwania.

– A kiedy zorientował się pan, że udzieliliście pomocy człowiekowi, któremu porwano dziecko?

Niebieski sweter, który opinał brzuch gospodarza, zmarszczył się, gdy mężczyzna nachylił się, żeby zdusić peta w popielniczce.

– W zasadzie dowiedziałem się jakiś czas później, nie pamiętam już. Zresztą byłem wtedy młodym sanitariuszem, pierwszy raz miałem do czynienia z postrzałem, więc skupiłem się na pracy. Reszta niespecjalnie mnie obchodziła.

– Nie poznał pan Witberga? Na pewno jego wizerunek często publikowano w telewizji i gazetach w związku z porwaniem dziecka – Zero Siedem nie ustępował.

– Byłem zbyt przejęty. Nie wiedziałem, kogo ratujemy – zapewnił Kowalski. – Telewizję oglądałem rzadko. Jedynie mecze mistrzostw Europy w piłkę nożną, ale to było w czerwcu. Gazet nie kupowałem.

– Serio? – Olgierd zrobił zdziwioną minę i postanowił zablefować. – A pan Borsik twierdzi, że to pan rozpoznał Witberga.

Mężczyzna odkaszlnął w zaciśniętą pięść.

– Słucham?

– To jego słowa: Wacek rozpoznał Witberga.

– To chyba żart. Jędrzej nie mógł tak powiedzieć. – Kowalski uśmiechnął się nieśmiało.

– No jak to? Mogę do niego zadzwonić. – Olgierd sięgnął po telefon.

– Może pan, ale to nie ma sensu. Prawda jest taka, że to właśnie Borsik rozpoznał ofiarę – zapewnił Kowalski.

– Jest pan pewien?

– Tak.

– A kiedy panu o tym powiedział? – drażył Olgierd, rejestrując kątem oka, że Herman bacznie przygląda się Kowalskiemu.

– Chyba w drodze do szpitala – stwierdził mężczyzna.

– Ale przed chwilą powiedział pan, że dowiedział się o tym później.

– Nie wiem, to było dawno temu. Zresztą jakie to ma znaczenie? – Kowalski sięgnął po kolejnego papierosa, a kiedy go wyjął, odrzucił paczkę z takim impetem, że prześlizgnęła się po stole i zatrzymała dopiero na popielniczce. Potem zapalił i odchylił głowę na zagłówek, wypuszczając strużkę dymu w kierunku sufitu. – Wie pan, wtedy to ja miałem inne sprawy na głowie, mieliśmy małe dziecko, brałem wszystkie możliwe dyżury, dorabiałem, gdzie się dało, żeby jakoś żyć. Państwo jesteście młodzi i nie wiecie, nie pamiętacie pewnie, co wasi rodzice robili, żebyście mogli założyć spodnie na tyłek i mieli obiad na talerzu. Nie pamiętacie galopującej inflacji, zmiany cen z dnia na dzień. I może całe szczęście, że tego

nie pamiętacie, ale ja wiem, jak to wtedy wyglądało i jak trzeba było się narobić, żeby utrzymać rodzinę. – Ponownie się zaciągnął.

Herman wstała i podeszła do okna zasłoniętego firaną. Mężczyzna odprowadził ją wzrokiem, po czym spojrzał na Borewicza.

– Po udzieleniu pomocy Witbergowi poszedł pan na urlop. – Policjantka oparła ręce na biodrach i wpatrywała się w coś za oknem, czego Borewicz nie mógł zobaczyć z poziomu kanapy.

– Tak. Strułem się czymś na mieście, ale nie chciałem już brać kolejnego zwolnienia.

– Bo wcześniej złamał pan rękę, prawda?

– Niestety. To chyba wszystko przez ten zapieprz, gonienie za każdym groszem i to ciągle zmęczenie. – Zerknął w jej stronę.

– A co się dokładnie stało? – zainteresował się Borewicz, wsuwając ręce w kieszenie kurtki. Wyczuł w nich batony i od razu poczuł głód.

Mężczyzna wskazał palcem sufit.

– Malowałem pokój dla syna, ale nie tutaj, tylko w starym mieszkaniu przy Legionów. Rozstawiłem dwustronną drabinę i na jej szczycie, na dwóch szczeblach, postawiłem wiadro farby. Wlazłem na nią i malowałem ten cholerny sufit, ale zamiast ją sobie przestawić, zacząłem się wychylać, żeby sięgnąć jak najdalej, i straciłem równowagę.

– Długo był pan na zwolnieniu? – Herman w końcu odeszła od okna i wróciła na swoje miejsce.

– Nie pamiętam, chyba kilka tygodni. Krótco potem siedziałem w tej karetkę, tej, co jechała do postrzału – dodał.

– Mieszka pan sam? – Borewicz rozejrzał się po gołych ścianach.

– Jestem wdowcem, moja pierwsza żona, Krystyna, zmarła dawno temu, niedługo po urodzeniu syna.

– Co się stało? – spytała Herman.

– Któregoś dnia, gdy wróciłem z pracy, Kryśka zniknęła. – wyznał. – Oczywiście zgłosiłem to natychmiast na policję, ale w końcówce lat dziewięćdziesiątych takie zaginięcia nie robiły wrażenia na funkcjonariuszach. Kazali mi poczekać dwie doby i przyjść ponownie. W końcu uznano ją za zaginioną, ale w zasadzie nikt oprócz mnie i mojej rodziny jej nie szukał. Dopiero po kilku dniach ktoś znalazł ją w stanie agonalnym na skraju lasu, kilkanaście kilometrów na północ od Grudziądza. Leżała w rowie. – W oczach mężczyzny Borewicz dostrzegł łzy. – Zmarła w szpitalu następnego dnia.

Gospodarz ponownie zamrugał powiekami i pociągnął nosem. Jego nieprzystrzyżony wąs się poruszył.

– Co tak naprawdę się stało? – zainteresowała się Herman.

– Nie wiem, nie mam pojęcia – wzruszył ramionami. – Nigdy się tego nie dowiedziałem. I dlatego tak strasznie mnie to gnębi. – Dopalił papierosa i drżącą ręką zgasił peta w popielnicze.

– Ktoś ją napadł?

Zaprzeczył i zacisnął szczęki. Machnął ręką, jakby odpędzał stare demony.

Herman odpuściła, bo nie chciała, żeby mężczyzna całkiem się rozkleił.

– Powiedział pan, że to była pana pierwsza żona – odezwał się po chwili Zero Siedem.

– Tak. Potem ożeniłem się drugi raz. Ale to był krótki epizod. Rozwiedliśmy się po niecałym roku. Żona była alkoholiczką.

Borewicz zauważył, że Maria drgnęła.

– Dlatego się rozstaliście? – w jej pytaniu dało się wyczuć nutę złości.

Kowalski potaknął.

– Nie pomógł jej pan? – Herman ściągnęła brwi.

– Pomóc? A niby jak? – odparł zaczepnie. – Na początku się starałem, ale pijaczka zawsze będzie pijaczką. Zaciągnąłem ją na terapię i była chyba nawet na dwóch czy trzech spotkaniach. Z ostatniego wróciła, ledwie stojąc na nogach. Przestała pracować i przepijała moje pieniądze. Ale nie to było najgorsze, proszę pani. Jej obecność w domu miała zły wpływ na syna, który zwyczajnie się jej bał. Po alkoholu robiła się agresywna i nieraz, kiedy wracałem później, syn był cały w siniakach, rozumie pani? Biła moje małe dziecko, które straciło kochającą matkę. Zgotowałem synkowi piekło, a chciałem dać mu drugą mamę – zakończył.

– Kiedy się rozwiedliście? – drażyła Herman.

– O, bardzo dawno temu. Nawet nie pamiętam, ile to już lat. Musiałbym policzyć.

– A co ona robi?

– Co ona robi? – prychnął Kowalski. – Pije, proszę pani, degeneratka jedna.

– Gdzie mieszka?

– Nie mam pojęcia. Wynajmowała co rusz pokoje w różnych częściach miasta, ale kiedy nie płaciła, wylatywała stamtąd z hukiem.

Jeżeli Borewicz dobrze pamiętał, tych informacji nie było w aktach. Policjanci, którzy przyglądali się sprawie Witbergów na przestrzeni lat, nie poszli nigdy tropem sanitariuszy. Może i słusznie, bo sam miał wątpliwości, czy to odkrywanie kart zaprowadzi ich dokądkolwiek.

– Wróćmy do Andrzeja Witberga – zaproponował, bo rozmowa odbiegła od głównego nurtu. – Spotykał się pan z nim później?

– Z Witbergiem? – zdziwił się Kowalski.

Zero Siedem potwierdził, ale mężczyzna pokręcił głową.

– Nie, zresztą nie wiem, po co miałbym to robić.

– Być może chciał podziękować panu za uratowanie życia. – Borewicz zaszeleścił opakowaniem batonika, którego wciąż trzymał w kieszeni.

– Nie, nie było takiej sposobności, ale raz czy dwa minąłem go w centrum. Tyle tylko, że ja go rozpoznałem, a on mnie nie.

Olgierd spojrział na Herman i odchrząknął, dając jej znać, że nie ma więcej pytań.

– Ma pan duży dom – odezwała się komisarz.

– Syn wyprowadził się jakiś czas temu. Dobrze sobie radzi.

– A pan? – Herman się uśmiechnęła.

– Czy pani pytania na pewno dotyczą postrzału Witberga? – zdziwił się.

– Nie.

– Dobrze wiedzieć – skomentował, wyraźnie niezadowolony. – Przynajmniej jest pani szczerą.

– A jak brzmi odpowiedź na moje pytanie? – Herman nie ustępowała.

– Miałem w swoim życiu różne momenty, ale teraz nie narzekam. – Popatrzył najpierw na policjantkę, a potem na Borewicza, który dźwignął się z fotela.

– I oby tak dalej – rzekł Zero Siedem. – Dziękujemy za poświęcony czas.

Słońce nagrzało wnętrze toyoty i Borewicz opuścił szyby w przednich drzwiach, żeby przewietrzyć samochód.

Po zjedzeniu dwóch batonów – jednego zaproponował Herman, lecz ta odmówiła – zachciało mu się pić. Postanowił, że wstąpi do jakiegoś sklepu po drodze i kupi sobie zimnego energetyka.

Jechali na spotkanie ze Sławomirem Jaroniem w Komendzie Miejskiej Policji w Grudziądzu. Szum powietrza wpadającego do auta zagłuszał cicho nastawione radio. W końcu, kiedy klimatyzacja zaczęła działać i temperatura w kabinie nieco spadła, Olgierd zasunął szyby.

– I co sądzisz? – odezwał się do Herman.

Wzdłuż Piłsudskiego rosły drzewa uformowane w duże kule, a zaraz za pasem trawy i chodnikami wyłaniały się elewacje dawnych willi.

W odpowiedzi tylko wzruszyła ramionami.

Niezrażony jej milczeniem, przejął inicjatywę.

– Cholera, szczerze mówiąc, niespecjalnie wierzyłem w ten trop z sanitariuszami. Dobra, wiem – uniósł rękę w obronnym geście – sam to proponowałem, ale widać, że to miazga. Ani jeden, ani drugi w żaden sposób nie był związany z Witbergiem. Przypadek sprawił, że i Borsik, i Kowalski znaleźli się w jednej karetce i udzielali pomocy Witbergowi. Taki sam

przypadek rozdzielił ich później. Jeden zmienił robotę, drugi poszedł na urlop, bo się struł. To, co początkowo mogło wydawać się interesujące, rozbiło się o prozę życia.

Herman dalej milczała, o on skupił się na trasie.

Kiedy kilka kilometrów dalej droga rozszerzyła się do dwóch pasów, Olgierd rozejrzał się za sklepem. Tuż za Komendą Straży Pożarnej, którą minęli po prawej, skręcił w drogę prowadzącą na stadion Olimpii, ale niemal od razu zjechał na parking przy kauflandzie, markecie przylegającym do kompleksu sportowego.

– Wziąć ci coś? – Zgasił silnik i zaciągnął ręczny.

Sięgnęła do portfela i podała mu dwadzieścia złotych.

– Fajki – rzuciła. – Wiesz jakie.

Odebrał banknot i skierował się do wejścia.

Krążył po sklepie w poszukiwaniu napojów, gdy odezwał się jego telefon.

– A za resztę weź mi jeszcze drożdżówkę – poprosiła Maria.

– Z budyniem?

– Z czymkolwiek.

– Zrobi się.

Cofnął się do stoiska z pieczywem, wybrał ciastko dla Herman i wtedy telefon zadzwonił ponownie.

– Nie rozmnożę tych twoich dwóch dych – zażartował do słuchawki.

– Słucham? – odezwał się męski głos.

Borewicz rozpoznał go od razu.

– A, to ty – przywitał się, podchodząc do regału z napojami. – Masz dla mnie wieści o właścicielu volvo?

– A co myślałeś? Że dzwonię, bo się stęskniłem?

Olgierd wybrał dwie półlitrowe puszki monstera o różnych smakach i skierował się do kas.

– Dobra, nie przedłużajmy tej gry wstępnej. Mów, co masz – poprosił.

– Przygotuj coś do pisania. Volvo zostało wzięte w leasing na Przedsiębiorstwo Rozrywkowe Fortuna Grudziądz.

– Nic mi to nie mówi – stwierdził policjant, układając torebkę z drożdżówką i napoje na taśmie, która przesunęła towary w kierunku kasjerki. Przedramiona młodej kobiety pokrywały kolorowe tatuaże, a blond dredy, spięte w kite, wyglądały jak płatanina grubych kabli.

– Szczerze mówiąc, mnie też nic to nie mówiło, ale postanowiłem pogrzebać.

– No i?

- Kojarzysz kontenery z automatami hazardowymi?
- Chodzi ci o te reklamowane jako urządzenia logiczne?
- Dokładnie. Ich dystrybutor ma siedzibę pod Grudziądzem – dodał kolega.
- Gdzie konkretnie? – Borewicz palcem wskazał kasjerce paczkę niebieskich chesterfieldów i na migi dał jej znak, by dała dwie.
- W Czapelkach. W pobliżu Nowych Marz, tam gdzie niedawno przeszło tornado. Policjant się wzdrygnął.
- Serio? – Poczłł chłód pelzający w żołądku, jakby połknął bryłkę lodu.
- No serio. Facet nazywa się Tomasz Bickiewicz. Znasz gościa? Bo nie miałem czasu wrzucić go na bęben.
- Obawiam się, że wiem, o kim mówisz.
- Kto to? – zainteresował się analityk.
- Syn byłego gangstera.

Maria Herman kolejny raz w ciągu tego dnia myślała o ataku paniki, który nastąpił, kiedy zbliżyła się do kontenera z automatami do gry. Ocknęła się, dopiero gdy Borewicz szarpnął drzwi i usiadł energicznie za kierownicą.

Podał jej papierosy i drożdżówkę, a sam próbował otworzyć napój, jakby się paliło. Ulatniający się gaz syknął, a potem Olgierd przystawił puszkę do ust i jego przetyk zaczął głośno pracować. Zagulgotało jak w starych rurach w domu jej dziadków.

– Stało się coś? – spytała, zaintrygowana zachowaniem kolegi.

– Nie – odparł, łapiąc powietrze. – Po prostu pić mi się chciało.

Rozparł się wygodnie w fotelu, który zaskrzypiał pod jego ciężarem.

Herman schowała papierosy do kieszeni.

– Dałam ci kasę na jedną paczkę.

– Druga była w promocji.

– Ta, jasne – uśmiechnęła się smutno. – Ile ci dopłacić?

– Daj spokój.

– Serio?

Machnął ręką.

– W takim razie następnym razem ja idę po zakupy – oznajmiła. – Dzięki, Zero Siedem.

– Jak będziesz miała raka płuc, to nie będziesz taka skora do podziękowań. Pewnie mi jeszcze wpierdolisz. – Odstawił puszkę do cup holdera.

– Czuj się trupem – rzuciła, a on prychnął.

– Dead man walking! – Uruchomił wóz i wyjechali z parkingu.

Herman jadła łączywie drożdżówkę, drugą tego dnia, i zrywała się na siebie. Wiedziała, że powinna zdrowo się odżywiać, bo gdy się zrywa z nałogiem, należy zerwać również z nawykami, które mu towarzyszyły. A kiedy grała, jedzenie schodziło na dalszy plan. Wulkan emocji, adrenalina, która kotłowała się w żyłach – wszystko to skutecznie zagłuszało jej apetyt. Przynajmniej na czas gry. Ale kiedy euforia w końcu mijała, głód ze wzmoczoną siłą dopominał się o swoje. Umiała go oszukać. Najczęściej suchą bułką, makaronem z twarogiem i cukrem, chińską zupką. Czyli wszystkim, co było tanie, pozbawione smaku i niezdrowe. Ale zdarzało się, że jadła lepiej – wtedy gdy okradała lodówkę rodziców. Nocą schodziła do ich kuchni i podbierała kotlety mielone, schabowe, czasami odlewała talerz gęstej kartoflanki albo krupniku z kaszą na żołądkach. Ojciec

szybko się zorientował i kiedy matka wrzeszczała na Marię, zawsze brał winę na siebie. Za każdym razem twierdził, że to on podjadał wieczorową lub nocną porą, chociaż matka wiedziała, że mówi tak, by ochronić córkę.

Herman wróciła do rzeczywistości i wytarła usta. Okruszki po drożdżówce strzepnęła na gumowy dywanik.

Wciąż myślała o Lucynie Witberg i o tym, że kobieta w ogóle nie zainteresowała się powrotem Toboły w okolice Grudziądza. Przypomniała to Olgierdowi.

– Rany, ty znowu o tym? – zdziwił się.

– Pamiętasz jej zeznania? – uznała, że warto wrócić do drobnych nieścisłości, które znajdowały się w aktach.

– W sensie? – Przejechali skrzyżowanie przy McDonalddie i wjeżdżali na wiadukt.

– Twierdziła, że tuż przed porwaniem dziecka, kiedy wracała z ogrodu do kuchni, usłyszała skrzypienie drzwi tarasowych, czyli że ktoś je szarpnął i wszedł za nią do domu. Tylko że policjanci sprawdzili te drzwi, działały bez zarzutu. Zawiasy były naoliwione, więc nie mogła ich usłyszeć. Mówiła też, że otrzymała od napastnika cios w głowę i poleciała do przodu, ale gdyby tak było, to w miejscu, w którym stała, uderzyłaby się o stół. Miałaby jakieś sińce, guzy, zadrapania. A nie miała nic.

– Jest coś takiego jak stres. Mogła się po prostu pomylić. – Olgierd się uśmiechnął. – Przecież wtedy straciła dziecko.

Herman wiedziała, że Borewicz może mieć rację, mimo to cmoknęła z niezadowoleniem.

– A pamiętasz, jak powiedziała, że w noc zaginięcia męża usłyszała zgrzyt zamka? Że niby ktoś wszedł do domu. Może nawet jej mąż?

– No i?

– Zwalimy to na sen? – zakpiła.

– A tobie nic się nie śni? Żadne dźwięki? – odgryzł się Olgierd, ale Herman uznała, że jednak powinni przyjrzeć się Lucynie Witberg. Zanotowała to w pamięci, gdy Borewicz skręcił z głównej drogi w stronę parkingu za komendą i zatrzymał się przed szlabanem. Wcisnął przycisk domofonu, zamienił kilka słów z kobietą na portierni, po czym barierka się uniosła.

Zajęli wolne miejsce, na którym zaparkowali też poprzedniego dnia, i weszli do budynku. Herman szła za Olgierdem.

Jaroń już na nich czekał. Uścisnęli sobie ręce i przeszli w głąb korytarza do niewielkiej sali odpraw z widokiem na parking.

– Mamy jeszcze chwilę, bo komendant prosił, żebyśmy na niego zaczekali. – Policjant zerknął na zegarek, a potem zaczął przeglądać papiery, które zabrał ze sobą.

Olgierd przyniósł dwie kawy z automatu, dla Herman i dla siebie, po czym rozsiadł się na wygodnym krześle z ruchomymi niewielkimi pulpitami.

Czekali w ciszy.

Komendant pojawił się po kilku minutach i skinął obecnym głową, ale na Herman nawet nie spojrział.

Zasłużyła na taką karę. Na jego miejscu pewnie też nie chciałaby utrzymywać kontaktu wzrokowego z kimś, kto ją oszukał i oskubał z pieniędzy. Dziś miała w sobie więcej empatii niż kiedyś, ponieważ po terapii zaczęła przyglądać się swoim emocjom i zachowaniu. Umiała je racjonalnie oceniać i korygować.

Jeziorski usiadł w pobliżu drzwi. Biała koszula z wywiniętymi rękawami wyglądała na idealnie odprasowaną. Nogawki niebieskich dżinsów marszczyły się na brązowych półbutach.

– Rozumiem, że zdążyliście się już poznać – rzucił, spoglądając na Olgierda, a ten skinął głową. – Doskonale. W takim razie przejdźmy do rzeczy. Sprawa zabójstwa, bo po wnioskach z autopsji Witberga nie ma już co do tego wątpliwości, jest realizowana przez tutejszy wydział kryminalny. Państwa obecność – zwrócił się do Olgierda i Herman, która przyglądała się swoim dłoniom i pożółkłym od tytoniu paznokciom – wynika z realizacji innego śledztwa, którego punktem stycznym jest osoba denata. W tym zakresie przekażemy wam niezbędne informacje. Jednocześnie proszę was, żebyście nie prowadzili działań w tej sprawie na moim terenie. Czy to jasne?

Herman nie drgnęła, a Olgierd ponownie lekko skinął głową.

– Nie usłyszałem – Jeziorski podniósł głos.

– Kłopot w tym – odezwała się Herman – że doskonale zdajesz sobie sprawę, że zabójstwa Witberga nie da się wypreparować z naszych działań. To będzie powracało w kolejnych rozmowach ze świadkami zdarzeń z dziewięćdziesiątego drugiego.

Jeziorski wreszcie zaszczycił ją spojrzeniem.

– Powtórzę raz jeszcze. Śledztwo w tej sprawie prowadzi Komenda Miejska Policji w Grudziądzu. Koniec kropka. I do tego śledztwa nie wolno, powtarzam, nie wolno wam się wtrącać.

– Nie zamierzamy się wtrącać, ale musimy współpracować. To punkt zbieżny obu śledztw i nie wyobrażam sobie...

– Gównu mnie obchodzi, co sobie wyobrażasz, Herman – przerwał jej i zamilkł, jakby czekał na jej reakcję.

Komisarz poprawiła się na krześle i poczuła nagły wyrzut adrenaliny. Nabrała powietrza.

– Mariusz, powiedziałam, że oddam ci pieniądze, i zrobię to, więc nie odgrywaj się na mnie, bo zaszkożysz obu śledztwom – upomniała go.

Komendant otworzył szerzej oczy i napiął mięśnie.

– Nie udzieliłem ci głosu, więc się zamknij – rzucił. – To nie jest przedszkole, tylko komenda, a ja nie życzę sobie, by ktokolwiek mnie pouczał, jasne? A zwłaszcza ty!

Jaroń chuchnął w okulary, po czym zaczął je polerować wyciągniętą z kieszeni ściereczką z mikrofibry.

Olgiert zerknął na Marię i delikatnie pokręcił głową, żeby nie zaogniała sytuacji.

Przygryzła wargę.

– Rozmawiałem już o tym z komendantem wojewódzkim i przekazałem mu moje stanowisko – uprzedził Jeziorski. Nagle wydał jej się rozluźniony.

Herman i Olgiert popatrzyli na siebie. Tym razem ich zaskoczył.

– I to by było na tyle – uznał komendant. – A teraz podkomisarz Sławomir Jaroń przedstawi wam wyniki sekcji zwłok i odpowie na wasze pytania. – Jeziorski wstał i skierował się do drzwi, przy których zatrzymał się i teatralnie unióśł głowę do góry.

– A, jeszcze jedno – stwierdził, odwracając się z uśmiechem do zebranych. – Poinformowałem komendanta Stalińskiego o tym, że minionej nocy przy Drodze Jeziornej zatrzymano pana, panie podkomisarzu, do kontroli.

Maria zerknęła na Olgierta, który zacisnął dłoń na podłokietniku. Nie wspomniał jej o tym, ani słowa.

– W takim razie mam nadzieję, że zaznaczył pan, że to była nieuprawniona kontrola – odburknął jej partner. – Mógłbym złożyć raport na ten pański patrol.

Jeziorski ściągnął usta.

– Może zechce nam pan wyjaśnić, co pan robił w nocy na takim odludziu? – spytał komendant.

– Prowadziłem działania w ramach naszego śledztwa – odparł Borewicz.

– Doprawdy? – zakpił Jeziorski.

Widziała, że Olgiert oblizwał wargi koniuszkiem języka. Nie spuszczał oczu z komendanta.

Herman starała się zachować spokój, chociaż informacja nią wstrząsnęła.

Olgiert bywał skryty, ale w sprawie prowadzonego śledztwa nie mieli przed sobą tajemnic. Zrozumiała więc, że gdziekolwiek był, nie miało to żadnego związku ze sprawą Andrzeja Witberga.

– Jako przełożona Borewicza potwierdzam, że podkomisarz realizował działania w ramach śledztwa dotyczącego porwania Filipa Witberga, prowadzonego przez zespół do spraw przestępstw niewykrytych wydziału kryminalnego Komendy Wojewódzkiej Policji w Bydgoszczy – Herman dała się ponieść emocjom. – I nie widzę żadnego powodu, żeby udzielać ci jakichkolwiek dodatkowych wyjaśnień w tej sprawie. Co więcej, z przyjemnością zadzwonię do prokuratora Albińskiego z Prokuratury Okręgowej w Bydgoszczy i powiem mu, jak nieprzychylnie podchodzisz do naszej pracy. A on jest żywo zainteresowany rozwiązaniem zagadki porwania małego Witberga.

Komendant obrzucił ich nerwowym spojrzeniem, po czym wyszedł z sali, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Jaroń odchrząknął, a następnie sięgnął do teczki po kartki.

– Dobra, zaczynajmy, bo szkoda czasu. – Wstał i podał Herman kserokopię raportu z sekcji zwłok. – No więc mamy tu do czynienia... – zaczął Jaroń, ale Herman mu przerwała.

– Umiemy czytać – odezwała się ostrzej, niż zamierzała, ale krew wciąż buzowała w jej żyłach. – Lepiej niech nam pan powie to, czego w tym raporcie nie ma. Co udało się wam ustalić?

Jaroń przesunął palcem po grzbiecie nosa, żeby poprawić położenie okularów.

– Obawiam się, że na tym, co jest w raporcie z sekcji, musimy poprzestać. – Wysoki policjant usiadł z powrotem na miejscu.

Olgierd założył nogę na nogę i Herman kątem oka widziała, że kartkuje raport.

– Udało wam się przejrzeć nagrania z kamer na parkingu przy biedronce? – spytał.

– Tak.

– No i?

– No i nic. Na nagraniach nie ma ani Witberga, ani jego psa.

– A kamera w bankomacie?

– Wystąpiliśmy o zgodę do operatora, ale musimy zaczekać – odparł Jaroń.

– Da nam pan znać? – spytała Herman, ale mężczyzna pokręcił głową.

– Słyszała pani. Tylko niezbędne informacje, a ta nie wydaje się niezbędna.

– Uuu, czyli trafiliśmy na służbistę – zakpił Olgierd.

Jaroń zmierzył go wzrokiem.

– Sądzę, że wyczerpaliśmy tematy na dziś – powiedział grudziądzki funkcjonariusz, a kiedy oboje się nie odezwali, wstał i otworzył drzwi. – Odprowadzę was do wyjścia.

Kiedy zamknęli się w samochodzie i Olgierd chciał uruchomić silnik, Herman nie wytrzymała.

– Zero Siedem...?

– No?

– W co ty, kurwa, grasz?

Olgierd puścił kluczyk, który tkwił w stacyjce, i zamarł.

– W nic – odparł po chwili. – To była po prostu zwykła przejażdżka. Nie mogłem zasnąć, więc snułem się po mieście. Dobrze znam te tereny.

– Gdzie jest ta Droga Jeziorna?

– Przy Rudniku.

– W taką pogodę zachciało ci się przejażdżki nad jezioro?

– Lepsze to niż przewracanie się w łóżku z boku na bok. Łatwiej zebrać myśli. – Położył dłoń na dźwigni zmiany biegów i skubał nerwowo paznokciem splekaną osłonę z imitacji skóry.

Herman była przekonana, że kolega kłamał. A co, jeśli Olgierd ma kochankę?

Przypomniała sobie, że kiedy wróciła tamtej nocy do apartamentu, wyczuła woń męskich perfum. Przypadek?

Wiele razy słyszała opowieści o facetach, którzy – niegotowi do roli ojca, gdy dziecko wywróciło ich życie do góry nogami – uciekali z domowego chaosu w zdradę. W przypadku kobiety seks małżeński w oczywisty sposób schodził na dalszy plan, a jeśli się zdarzał, nie był już taki jak ten przed narodzinami dziecka. Seks z kobietą, która została matką, był po prostu innym przeżyciem. Mniej swobodnym, rzadko spontanicznym i często skupionym na ciszy za drzwiami, bo zawsze istniało ryzyko, że tę ciszę rozdrze płacz dziecka. W domu zmieniały się priorytety, jednak męskich potrzeb seksualnych nie można odstawić na bocznicy.

Ale może się myliła. Przypomniała sobie, że jeszcze w drodze do Grudziądza Olgierd wydawał jej się dziwnie rozkojarzony. Wzmianka Jeziorskiego o zatrzymaniu Borewicza do kontroli ewidentnie dotknęła jej partnera. Zdradzały go nerwowy krok i irytacja w głosie. A kiedy schodzili na dół po schodach, niemal zeskakiwał ze stopni, jakby szybko chciał się znaleźć jak najdalej od grudziądzkiej komendy. Uznała więc, że być może to nie telefony od Kingi wyprowadzały go z równowagi. Poza tym wyglądało na to, że tego dnia w ogóle się do niego nie odzywała albo dzwoniła zawsze wtedy, kiedy Herman nie było w pobliżu.

Komisarz życzyła sobie, żeby osobiste sprawy Olgierda nie wpływały na jego zaangażowanie w śledztwo. Nie było jej stać na kolejną porażkę po tym, jak nie rozwiązali sprawy zabójstwa dziewczyny w Żyglądzie.

Tym bardziej że w tym grudziądzkim śledztwie nic nie szło po ich myśli. Spotkania i rozmowy, które odbyli, nie wносиły nic nowego, stracili ewentualne punkty zaczepienia i zajmowali się swoimi prywatnymi problemami. Sama też zajęła myśli sprawą Porajskiego, chociaż dobrze wiedziała, że nie powinna spotkania z nim traktować jak misji. Jej rola była jasna, sprowadzała się do tego, by wskazać mu kierunek działań i dać świadectwo, że bez fachowej pomocy, bez terapii, przegra walkę z uzależnieniem. W dodatku stale myślała o matce.

Powinna odłożyć na bok własne problemy, odciąć się od nich grubą kreską i poświęcić wszystkie siły, zarówno własne, jak i Borewicza, na pracę nad sprawą Witbergów.

- Skupmy się na robocie, do cholery! – przerwała ciszę.
- Słucham? – skrzywił się, ewidentnie wytrącony z rozmyślań.
- Powiedziałam, że od tej pory mamy się, kurwa, skupić na Witbergu.
- No przecież po to tu przyjechaliśmy, nie?
- Od tej pory liczy się tylko to śledztwo. Czy to jasne? – warknęła.
- Jasne, jasne – uniósł ręce.

Gotowała się wewnątrz i musiała odczekać, aż odtaje ze złych emocji.

Borewicz sięgnął po energetyka i dopił go do końca. Zgniół puszkę i cisnął ją na gumowy dywanik za fotelem.

- Dokąd teraz? – spytał, gdy cisza zaczęła go uwierać.

Uruchomił silnik.

- Złożmy wizytę Bickiewiczom, a potem raz jeszcze nawiedzimy Tobołą.
- Bickiewiczom? – wydawał się zaskoczony. – Nie sędzę, żeby to był najlepszy pomysł. Co w ten sposób osiągniemy?
- Może wszystko, a może nic. Jak w całym tym śledztwie.
- Myślę, że to strata czasu.
- Ja tu dowodzę – przypomniała.
- Toboła jeszcze, ale Bickiewicz...
- Nie wkurwiał mnie, tylko ruszaj – ucięła i zabrała się do lektury protokołu z sekcji zwłok.

Skanowała go wzrokiem i wylawiała co ciekawsze informacje.

Marian Kurek przypomniał sobie wizytę w Czapelkach u Bickiewiczów. Odwiedził ich kilkanaście lat temu. Dwaj z trojaczków, Piotr i Paweł, byli jak dwie krople wody i miał kłopot z ich rozróżnieniem. Takie same rzadkie blond włosy opadały im na oczy i kręciły się nad uszami. Obaj mieli szeroki uśmiech i posturę młodego skandynawskiego drwala o szerokich barkach i mocnych przedramionach, odziedziczoną po ojcu. Z kolei ich brat Tomasz był podobny do matki, tak jak ona miała ciemne włosy. Przerósł ją, ale gdyby stanął obok Piotra i Pawła, różnica wzrostu byłaby widoczna jak na dłoni. Tamci byli wyżsi co najmniej o głowę. W stosunku do braci Tomek miał wątle ramiona. W zasadzie wyglądał jak ich młodszy brat.

Wówczas Kurek umówił się z Bickiewiczową na rutynowe spotkanie. Pojawił się u niej krótko po tym, gdy Bicu trafił do więzienia w Białogłęce, a ona dostała rozwód. Niemniej wciąż mieszkała po sąsiedzku z byłymi teściami i, o ile zdążył się zorientować, żyła z nimi w dobrej komitywie. Trojaczki zresztą także. To dało Kurkowi do myślenia i uznał, że rozwód Bickiewiczów dokonał się wyłącznie na papierze. Być może dzięki temu kobieta zyskała kasę z pomocy społecznej, bo jako niepracująca rozwódka z trójką dzieci kwalifikowała się do wsparcia systemowego.

Nie pamiętał jedynie powodu swojej ówczesnej wizyty, ale nie to było najważniejsze. Po prostu chciał sobie przypomnieć, jak wygląda Tomasz Bickiewicz. Czy dziś zauważyłby w nim jakiegokolwiek podobieństwo do Witbergów? Na samą myśl o tym poczuł szybsze bicie serca i ciepło na policzkach. Lucyna Witberg jako młoda matka miała ciemne, proste włosy. Ale czy kształt i rysy twarzy, obrys oczu, linia nosa lub cokolwiek innego mogłoby sugerować pokrewieństwo?

Zastanawiał się też, dlaczego Bickiewiczowa odmówiła wykonania testów DNA synów i ustalenia ojcostwa, o co zwrócił się do niej Bogdan Kąkol. Kurek nie był mocny w tej dziedzinie, ale pamiętał, że kiedyś trafił na opis kryminalnej sprawy z Niemiec, gdzie jeden z bliźniaków dwujajowych, nastolatek, brutalnie zgwałcił i zabił młodą lekarzkę z Hamburga, po czym rozpląnął się jak we mgle. Popełnił jednak błąd, bo wychodząc z domu ofiary, znajdującego się na południowych przedmieściach niemieckiej metropolii, został nagrany na kamerach monitoringu osiedlowego. Jego koszulka była poplamiona krwią. Tamtejsza policja zaangażowała wszystkich funkcjonariuszy, ale nie udało się złapać przestępcy. W trakcie oględzin zwłok zabezpieczono jego DNA i porównano je z DNA ze szczoteczki do zębów, który która została w domu sprawcy. Pech chciał, że matka pomyliła szczoteczki synów. Wtedy sprawa nabrała rozgłosu, bo okazało się, że bliźnięta urodzone tego samego

dnia miały dwóch różnych ojców. Taka sytuacja zdarza się pewnie niezwykle rzadko i były marne szanse, żeby powtórzyła się w Polsce. Poza tym niemiecka matka bliźniąt dwujajowych była przekonana, że ojcem dzieci jest jej mąż, a nie mąż i kochanek, z którym regularnie współżyła.

Czy Bickiewiczowa postępowała tak samo? Czy też zdradzała męża? Nawet jeśli, to być może w ogóle nie miała świadomości, że plemniki dwóch mężczyzn mogłyby doprowadzić do równoległego zapłodnienia jej komórek jajowych.

Dlaczego więc odmówiła wykonania testu?

Musiała mieć inny powód.

Kurek uznał, że powinien to sprawdzić.

A poza tym wpadł na jeszcze inne rozwiązanie.

– Ktoś jej to podpowiedział. Ktoś ją zachęcił, żeby odmówiła zrobienia testów – wyszeptał.

Wcześniej przygotował sobie tosty z serem i szynką. Kiedy przestygły, ugryzł kęs chrupiącego chleba. Ser przyjemnie się ciągnął, a zapach grubego kawałka podgrzanej kiełbasy jałowcowej pobudził jego apetyt.

– Tylko w jakim celu? Co chciał przez to osiągnąć? – powiedział głośno i popił tost ciepłą inką, po czym odstawił talerz i zatarł ręce.

Uznał, że prześledzi materiały zgromadzone w teczce i zweryfikuje, który z policjantów kręcących się wokół tej sprawy – ale już po aresztowaniu Toboły i jego ludzi – odwiedził Bickiewiczową lub rozmawiał z nią przez telefon.

Przez kilka godzin skrupulatnie przeglądał zgromadzone w domu materiały ze śledztwa, od czasu do czasu wczytywał się w inne wątki, mimo to nie znalazł tego, czego szukał.

Sięgnął po aparat i wybrał numer Jaronia.

– Sławuś – rzucił, kiedy szef kryminalnych odebrał połączenie – zerknij, proszę, w te magiczne systemy.

– AFIS czy KSIP?

– Mów po ludzku – obruszył się Kurek, który nie miał okazji korzystać z tych programów.

– Chodzi ci o daktyloskopię?

– Nie.

– A o co?

W wieżowcu po skosie, w mieszkaniu na dziewiątym piętrze młoda kobieta uchyliła okno i myła szybę. Kurek jej się przyglądał. Czasami widywał ją w sklepie. Mogła mieć niewiele ponad trzydzieści lat, ale bardzo mu się podobała. I czasami lubił patrzeć w jej okna. Tym bardziej że mieszkała sama.

– Marian? Jesteś tam?

Kurek odchrząknął.

– Jestem, jestem. Przepraszam. Chciałem, żebyś sprawdził, kto w dziewięćdziesiątym dziewiątym roku odwiedził Magdalenę Bickiewicz w sprawie Witbergów. To znaczy kto z nią wtedy gadał.

Jaroń cmoknął.

– Cholera, będzie z tym trochę kopania. Po co ci to?

– Do książki, kochany, do książki.

– Dobra, ale coś za coś – odparł Sławek i zawiesił głos.

– No wal, Sławuś, wal. Do Kurka jak w dym. Co ci tam chodzi po głowie?

– Czy ta dwójka z Bydzy zrobiła na tobie dobre wrażenie?

– Nie najgorsze. Znają się na rzeczy. A co?

– Popchnęli sprawę Witberga?

– Nie, na to się chyba nie zanosi, ale mieli jakieś interesujące intuicje. Tylko że wiesz... Nie łudźmy się. W tej sprawie nic już nie uda się ustalić.

Jaroń westchnął.

– Pewnie masz rację – usłyszał Kurek w słuchawce.

– No to jak, Sławuś, zerkniesz?

– Poszperam. A jak znajdę, to dam znać.

– Staruszek będzie ci bardzo wdzięczny. Wystąpisz w podziękowaniach na końcu książki i dostaniesz egzemplarz z autografem.

– A jeśli mnie wyleją za to, że zdradziłem tajemnice śledztwa, to podzielisz się tantiemami – zaśmiał się Jaroń.

– Zapewniam cię, nie chciałbyś być tak obrzydliwie bogaty – zażartował Kurek i się rozłączył.

Wrócił do analizy dokumentów i spędził nad tym ponad dwie godziny. Oderwał się od akt dopiero, gdy zadzwonił telefon.

– No, ty to jesteś ekspres, Sławuś – zażartował Kurek z nadzieją, że pozyska wkrótce ważną informację.

– Poprosiłem Aśkę Szmit, żeby zrobiła to za mnie, i wiesz co?

– No?

– Nic nie mamy.

– Nie rozumiem.

– Okazuje się, że Bickiewiczowa nie była przepytana w kontekście Witbergów. Nasiągali ją po komisariatach w sprawie przestępstw gangu, natomiast od czasu, kiedy zaprzeczyła, że jej mąż porwał dzieciaka, nic się nie wydarzyło. Po latach jedynie trzy osoby próbowały się z nią spotkać, ale udało się wyłącznie dwóm.

– Kąkolowi i mnie, tak?

– Tak.

– A kto miał mniej szczęścia?

– Mniej szczęścia to mało powiedziane. Na trzy próby nawiązania kontaktu z Bickiewiczową, zarówno telefonicznego, jak i osobistego, udało się tylko jedna, ale z notatki wynika, że nic nowego nie wniosła. Kobieta odmówiła rozmowy.

– No to powiedz mi, Sławuś, kto jest tym cholernym pechowcem?

– Krzysztof Glacowski – odparł Jaroń.

Marian Kurek podrapał się po głowie.

– Łysy?

– Łysy. We własnej osobie.

Przez całą drogę do Czapelek Olgierd starał się zachować spokój. Oddychał przez nos i co jakiś czas zwilżał językiem suche wargi. Starał się nawet bębnić palcami o kierownicę w rytm Always Somewhere Scorpionsów.

Sprawy delikatnie wymykały mu się spod kontroli, ale nic nie mógł na to poradzić. W życiu nie przyszłoby mu do głowy, że młody Bickiewicz, krewki gówniarz, który za nic miał swoją żonę, pojawi się na spotkaniu u Łysego i że spojrzą sobie w oczy bez masek. Borewicz był przekonany, że gdy tylko wysiądzie z samochodu, Bickiewicz go natychmiast rozpozna.

Z każdym pokonanym kilometrem drogi przez las Olgierd utwierdzał się w przekonaniu, że jest za późno, by uciec od tej konfrontacji. Mógł liczyć tylko na to, że gdy zapukają do drzwi, nikt im nie otworzy.

Zerknął na zegarek.

Niestety, to mało prawdopodobne – było późne popołudnie.

Słońce zniknęło za warstwą chmur i zrobiło się chłodniej. Ciemne obłoki w oddali wróżyły deszcz. Ale jak dotąd na przednią szybę toyoty nie spadła ani jedna kropla.

Wóz bujał się na nierównościach gruntowej drogi, kiedy zostawili za sobą las.

– To chyba tam – Herman wskazała palcem na zabudowania po prawej stronie.

Zero Siedem dostrzegł kilka niemalże jednakowych domów, pokrytych dachówką ceramiczną w kolorze antracytu, a za nimi halę ze ścian wykończonych blachą trapezową. Z tej perspektywy nie widział jednak wejścia do hali ani ewentualnego szyldu. Przed bramą, wzdłuż ogrodzenia, stał ciągnik siodłowy z naczepą, ale Borewicz nie widział nigdzie ani kierowcy, ani pracowników zakładu.

Skręcił w szeroką, wyjeżdżoną drogę, prowadzącą do przedsiębiorstwa. Minęli domy, którym z uwagą przyglądała się Herman, i zatrzymali się dopiero pod zamkniętą bramą, na sporym placu wyłożonym szarą kostką. Borewicz próbował znaleźć jakąkolwiek tablicę informacyjną z nazwą przedsiębiorstwa, szyld albo chociaż tabliczkę adresową, ale na próżno. Nawigacja jednak nie kłamała. Znajdowali się we właściwym miejscu.

Zza hali wyłonił się czarny podpalany pies w typie owczarka niemieckiego. Podbiegł w ich kierunku i zatrzymał się przed bramą. Obnażył kły, zjeżył sierść na karku, a potem zaczął na nich szczekać.

– Wygląda na zamknięte – zawyrokował Borewicz.

– Spójrz tam – Herman kiwnęła głową w kierunku pawilonu.

Po prawej stronie hali Borewicz zauważył dwa białe kontenery ustawione na przyczepach, przygotowane do wyjazdu.

– Wyglądają jak te do nielegalnego hazardu – dodała policjantka.

Patrzył na nią uważnie, gdy w skupieniu lustrowała teren.

Nie była blada, tak jak wtedy, gdy odjeżdżali z centrum Grudziądza, mimo to obawiał się, że nie będzie wiedział, co zrobić, gdy koleżanka dostanie kolejnego ataku paniki.

– Nie wiem, czy powinnaś tu być – spróbował innej taktyki. – Może lepiej się zawijajmy, co? Maria, wszystko okej? – spytał, ale nie kwapiła się do odpowiedzi.

– Mają tu monitoring – stwierdziła, przyglądając się kamerom zamkniętym w ciemnych osłonach, które zainstalowano przy wysokich lampach na terenie firmy. – Podjedźmy do któregoś domu. – Odwróciła się przez ramię, by spojrzeć przez tylną szybę.

Olgierd zerknął w lusterko wsteczne. Chciał sprawdzić, czy ich przyjazd wywołał jakiegokolwiek zainteresowanie ze strony mieszkańców pobliskich siedlisk, ale nic na to nie wskazywało.

Z niechęcią zawrócił i zaparkował toyotę obok drewnianego płotu. Kilka metrów za nim wyrastał piętrowy budynek z dwuspadowym dachem. Przysłaniały go smukłe świerki i zadbane, przyszczyżone krzewy. Przy oknach były otwarte drewniane okiennice.

Herman otworzyła drzwi i zamierzała wysiąść.

– Poczekaj – poprosił Borewicz. – Mamy jakiś plan?

– Zaraz się przekonasz – rzuciła i podeszła do furtki.

Widział ją przez przednią szybę. Przyspieszyło mu tętno. Zerknął w lusterko boczne i wsteczne, a potem się odwrócił, żeby zlustrować pozostałe domostwa.

Nigdzie żadnego ruchu.

Ale to także mu się nie spodobało.

Poczuł, że napinają mu się mięśnie grzbietu. Przestrzeń dookoła wyglądała tak, jakby coś niedobrego miało się za chwilę wydarzyć. Znał to uczucie, które pojawiała się w trakcie oglądania thrillerów lub horrorów. Ten rodzaj napięcia, kiedy wyczekuje się na złe zdarzenie, a ono wciąż nie nadchodzi. Owca

Wtedy usłyszał dźwięk telefonu.

Drgnął.

Nim sięgnął po aparat, coś poruszyło się w lusterku bocznym.

Zero Siedem zauważył, że w ich stronę zmierza Tomasz Bickiewicz, jakby właśnie zmaterializował się na drodze. Rozpoznał go po szczupłej sylwetce i włosach ułożonych w irokeza, a także ciemnym, równo przyszczyżonym zarostem wokół ust.

– Pani w jakiej sprawie? – mężczyzna rzucił do Herman, która stała przed maską.

Olgierd poczuł, że niewidzialna obręcz zaciska mu się na gardle.

A telefon cały czas dzwonił.

Herman odwróciła głowę w kierunku nadchodzącego młodego faceta.

Nieznajomy minął toyotę, w której Olgierd rozmawiał przez telefon ze spuszczoną głową, i powtórzył głośno pytanie:

– Pani w jakiej sprawie? Do kogo?

Zdażyła mu się przyjrzeć. Cerę miał gładką, jasnobrązową. Wypielegnowany zarost okalał usta. Herman pomyślała, że skądś zna tę twarz, ale nie wiedziała skąd. Czy gdzieś już go wcześniej spotkała? Minęła na ulicy w Grudziądzu?

Przedstawiła się i okazała legitymację.

– Policja? Tutaj? – Uśmiechnął się i wsunął ręce w kieszenie dzinsowych joggerów z dziurami na udach i kolanach. Czarne adidas ubrudził pył z drogi gruntowej.

– Szukam Tomasza Bickiewicza.

Nie odpowiedział od razu, przyglądał jej się badawczo spod przymrużonych powiek.

– To ja. O co chodzi? – Ton jego głosu zmienił się diametralnie. Nie usłyszała w tej wypowiedzi żadnej przyjemnej nuty.

– Nie zaprosi nas pan do środka?

Bickiewicz spojrział przez ramię na toyotę. Musiał dostrzec kierowcę, który odwrócił twarz do bocznej szyby.

– Niech mi pani powie, co panią sprowadza – zażądał.

– Czy nasi koledzy z grudziądzkiej jednostki rozmawiali już z panem? – Herman wolała się upewnić.

– Ze mną? Niby o czym? – uniósł brodę.

Policjantka przeniosła ciężar ciała z jednej nogi na drugą i rozejrzała się po posesjach należących do Bickiewiczów.

– Niedaleko stąd odnaleziono zwłoki mężczyzny. Słyszał pan o tym?

– Coś tam do mnie dotarło.

– Wie pan, kim była ofiara? – Specjalnie użyła tego słowa, żeby sprawdzić reakcję młodego mężczyzny.

– Ludzie mówią, że to Witberg. Ten, który dawno temu stracił syna.

– Znaliście się?

– Nie.

– Nie spotkaliście się nigdy? Nie rozmawialiście ze sobą?

– Nie.

– Witberg nie próbował się z panem skontaktować? Albo z pana braćmi? – drążyła Herman.

– Nic mi o tym nie wiadomo, zresztą nie wiem, w jakim celu miałyby to robić.

– Od kogo dowiedział się pan o jego śmierci? – zapytała.

– Od żony. Powiedziała mi o tym wczoraj wieczorem. Ale nie wiem, skąd o tym wie, pewnie ktoś w sklepie gadał. W każdym razie nie pytałem. A jakie to ma znaczenie?

– Zna pan historię swojego ojca i jego udziału w porwaniu dziecka Witberga?

Mężczyzna prychnął.

– To zna pan czy nie? – ponagliła go Herman.

Pokiwał głową.

– Obwiniali go o porwanie dziecka i ucieczkę z okupem – dodał.

– Pana ojciec kierował tą akcją – stwierdziła, chociaż sama nie wierzyła w taką wersję porwania.

– Nie odpowiadam za mojego nieżyjącego ojca – powiedział twardo. – Pytanie natomiast, co ta sprawa ma wspólnego ze mną?

– Wie pan, kto mieszka w pobliżu miejsca, w którym odnaleziono ciało Andrzeja Witberga?

– Majcherkowie i Sokołowscy. Mają tam gospodarstwa.

– A w starej leśniczówce?

– Nie mam pojęcia. – Odsunął rękaw kurtki z nadgarstka, na którym tkwił srebrny zegarek z klasyczną tarczą. Herman uznała, że musiał być drogi. Gdyby taki sprzęt oddała do lombardu, obstawiłaby sporo zakładów sportowych. – Trochę się spieszę.

Zganiła się za ten automatyzm myślowy, który zresztą wytrącił ją z rytmu. Ukryła dłonie w kieszeniach kurtki.

– Żona panu nie powiedziała?

– Stara leśniczówka długo stała pusta.

– Czyli jednak zauważył pan, że ktoś się tam wprowadził?

– Niech mnie pani nie łapie za słówka – warknął.

– Mieszka w niej Alfred Toboła. – Wpatrywała się w jego oczy, ale nie zauważyła w nich żadnego błysku.

– No i?

– Czym pan się zajmuje? – Herman zmieniła temat i wskazała brodą na niebieską halę.

– Produkuje, a w zasadzie składamy i wyposażamy kontenery pracownicze.

– Wyłącznie pracownicze?

– Przeważnie.

– W co wyposażacie?

– We wszystko, czego klient sobie zażyczy. Białe montaż do łazienek, aneksy kuchenne, wykładziny i stoły konferencyjne, czasami łóżka piętrowe.

– W urządzenia logiczne też?

Otworzył usta, ale szybko je zamknął.

– Przeszliśmy i przechodzimy mnóstwo kontroli. Nie robimy tu nic nielegalnego.

– Nie licząc tego, że przygotowujecie kontenery z automatami do gier hazardowych i pod inną nazwą udostępniacie je ludziom. Więc łamiecie prawo i czerpicie zyski z tej nielegalnej działalności. W konsekwencji musicie też pracować pieniądze.

Bickiewicz oparł ręce na biodrach i spuścił głowę, potrząsając nią z niedowierzaniem.

– Kontrole, o których mówię, to kontrole skarbowki i Państwowej Inspekcji Pracy. Przechodzimy przez nie gładko, mogę udostępnić pani wszystkie dokumenty w tej sprawie.

– Chętnie bym na nie zerknęła.

– Ale musi mieć pani nakaz – zastrzegł i uśmiechnął się tryumfująco. – A teraz pani wybacz, ale mam sporo pracy.

Odwrócił się i ruszył przed siebie.

– Jakoś tu pusto, a hala zamknięta – rzuciła za nim Herman.

Bickiewicz się zatrzymał i popatrzył na nią przez ramię.

– Mamy przerwę serwisową.

– Aaa, no tak. To wszystko wyjaśnia.

– Do widzenia.

– Mam jeszcze dwa pytania, ale jeśli woli pan odpowiedzieć na nie na komendzie w Bydgoszczy, to nie widzę problemu – Maria nie odpuszczała.

Herman obserwowała, jak mężczyzna się zatrzymuje i nabiera powietrza w płuca, jakby się wahał, czy chce dalej ciągnąć tę rozmowę. Mimo to podszedł wolno do policjantki.

– Gdzie pan był w miniony piątek wieczorem? – Zerknęła na Borewicza, który wciąż nie wysiadł z auta.

Syn gangstera powiódł za jej wzrokiem, a następnie uniósł brwi i wzruszył ramionami.

– W domu. Z żoną i synem.

– Co pan robił?

– To zależy o której. Po dziewiętnastej obejrzałem z synem bajkę, potem poszedłem go umyć i poczytałem mu do snu.

– A później?

– Pracowałem przy komputerze, a późnym wieczorem obejrzeliliśmy z żoną Ozark.

– Co to takiego?

– Serial kryminalny na Netflixie.

– O czym?

– Słucham? – zdziwił się, ale za chwilę rozciągnął usta w uśmiechu. – Mam pani streścić fabułę?

– Ktoś to może potwierdzić?

– Moja żona.

– A ktoś oprócz niej?

– Nie sądzę.

– Może pana bracia, Piotr lub Paweł. Mieszkają tu, prawda? – Spojrzała na dwa podobne do siebie domy wybudowane w głębi obszernej działki, po skosie od miejsca, w którym się znajdowali.

– W sumie racja. Mogą to potwierdzić. Samochód parkuję przy domu, a bez niego się stąd nie ruszam.

– Bracia są u siebie?

Pokręcił przecząco głową.

– To niech mi pan poda do nich numery telefonów. – Wyjęła z kieszeni kurtki notatnik i wsunęła weń długopis. W tym czasie Borewicz skończył rozmawiać i wpatrywał się w ekran smartfona. Dałaby mu znak, żeby wyszedł z samochodu, ale nie mogła tego zrobić, nie zwracając uwagi Tomasza Bickiewicza. A tego nie chciała.

Młody mężczyzna przedyktował jej ciąg cyfr.

– To do Pawła. Z kuchni ma widok na miejsce, w którym zostawiam volvo – wyjaśnił. – To wszystko?

– Nie. Obiecałam dwa pytania. – Herman stuknęła długopisem w okładkę notesu. Przełknęła ślinę. Wiedziała, że nie powinna tego robić.

– Jakub Porajski jest patologicznym hazardzistą, który właśnie podejmuje leczenie. Jest chory. I musi mieć możliwość spłacenia swoich długów w ratach.

Bickiewicz drgnął.

– Dlaczego miesza się pani w nie swoje sprawy?

– Mam swoje powody.

– Gównu mnie to obchodzi.

– Jeśli cokolwiek mu się stanie, będzie pan musiał mieć się na baczności.

– Grozi mi pani? Serio? I co mi pani robi?

– Sądzę, że wolałby pan tego nie wiedzieć – odparła i przygryzła policzek.

Bickiewicz ściągnął łopatkę i wziął spory haust powietrza.

– Wie pani, ile jest mi winien?

– Mam to w dupie. Chodzi tylko o to, żeby spłacał swój dług regularnie i w miarę swoich możliwości.

– A niby dlaczego?

– Dlatego że wciągnąłeś go w to bagno, kredytuując granie, kiedy zapewne był już goły. Dobrze wiedziałeś, co robisz. – Uznała, że tak to się właśnie odbyło, ten schemat często się powtarzał. – Perfidnie go wykorzystaneś, a teraz próbujesz szantażować, odgrywając się na jego rodzinie i na chorym ojcu, który nie jest odpowiedzialny za grzechy syna. Tak jak i ty nie jesteś odpowiedzialny za skurwysyństwo, które wyrządził gangster będący twoim ojcem. Rozumiesz?

– Porajski jest mi winien w chuj kasy. I dobrze pani radzę, niech się pani nie wpierdala w nasze prywatne sprawy – wycelował w nią palec.

Herman ucieszyła się, że wyprowadziła go z równowagi.

Stali tak przez chwilę, Bickiewicz przyglądał się jej przez dłuższy czas i oddychał jak rozjuszony byk.

– Coś jeszcze? – warknął.

– Zrozumiałeś?

– A jak nie, to co mi zrobisz?

Herman uśmiechnęła się lekko.

– Obyś nie musiał się tego dowiedzieć – wyszeptała, po czym minęła go i podeszła do bocznych drzwi służbowej toyoty.

Nie znał tego numeru, ale odebrał połączenie, bo spadło mu jak z nieba.

Przyłożył aparat do ucha w chwili, gdy Bickiewicz stanął obok Herman, mniej więcej dwa metry przed maską toyoty. Na szczęście był odwrócony do Borewicza plecami. Policjant na wszelki wypadek opuścił osłonę przeciwsłoneczną, chociaż wydawało się to ryzykownym zagranieniem. Chmury przykrywały przecież całe niebo.

– Halo – rzucił, zerkając spod mocno przymkniętych powiek w stronę Herman i Bickiewicza.

– To ja – odezwał się Łysy.

– Dzwonisz na mój prywatny – zwrócił mu uwagę Olgierd.

– Bo tamtego nie odbierasz.

– Mieliśmy być ostrożni.

– Ja jestem ostrożny – uznał Łysy. – Gorzej z tobą.

– Słuchaj, jeśli chodzi o ten filmik, powiedziałem ci, że wszystkim się zajmę. Sprawdzę, kto za nim stoi, i zrobię porządek. Ale żebyś mógł zabrać się do tej roboty, potrzebuję linku. Miałeś mi go przesłać.

– Właśnie to zrobiłem. Powinieneś mieć już na mailu.

– Okej, w takim razie dzięki. Będziemy w kontakcie – Borewicz chciał się rozłączyć.

– Oczywiście, że będziemy – Łysy się zaśmiał. – Ale to nie wszystko, o czym musimy pogadać. Zastopowałeś Herman?

Zero Siedem przetarł twarz wolną ręką.

– Nie, bo nie chcę, żeby się zorientowała, że...

– Nie pierdol mi tu głupot! – ryknął Łysy. – Masz ją zabrać z Grudziądza. Natychmiast. I żadnej miękkiej gry, rozumiesz? Jeśli chcesz nadal zarabiać kasę, po prostu bierz dupę w troki razem z tą pieprzoną hazardzistką i wypierdalaj z miasta. Dobrze ci radzę.

– Tutejsza policja i tak nie odpuści. Widziałem się z Jaroniem...

– Szanse na rozwiązanie zagadki Witbergów są równe zeru. I ty to wiesz, i ja to wiem – uznał Łysy. – A tutejszą policją się nie martw, jasne?

Olgierd nie spuszczał z oczu Bickiewicza i Herman. Nagle zauważył, że młody mężczyzna odwraca się w kierunku toyoty. Borewicz podniósł wolną rękę, żeby podrapać się po czole, po czym łagodnie przekręcił głowę w stronę bocznej szyby. Nie wiedział, jak długo powinien trwać w tej pozycji.

Im dłużej myślał o tym, o co prosił go nieformalny szef, tym bardziej się przekonywał, że wbrew pozorom Herman i on są bliżej prawdy, niż kiedykolwiek byli śledczy prowadzący tę sprawę. Miał jednak wrażenie, jakby oboje znajdowali się nocą na polanie, wokół której gromadzi się mgła. I nie bardzo wiedzieli, co dalej. Nie rozumieli, dlaczego ta prawda nie może wypłynąć na powierzchnię. Komu zagraża po tylu latach? Dla kogo jest niewygodna? Nie znali odpowiedzi na te pytania, ale przynajmniej czuli, że kiedy mgła opadnie, prawda o zdarzeniach z dziewięćdziesiątego drugiego roku będzie na wyciągnięcie ręki.

– Głuchy jesteś? – warknął Łysy. – Pytałem, czy to jasne?

– Jasne. Dziś wyjedziemy.

– I widzisz, Olo, to mi się podoba. Męska decyzja.

Borewicz wyczuł, że głos rozmówcy złagodniał.

– A co z dzisiejszą imprezą? – zapytał.

Ochota na niezobowiązujący seks odeszła mu bezpowrotnie. Niemniej odpowiadał za zabezpieczenie imprez i jeśli miał dalej czerpać z nich zyski, musiał więcej uwagi poświęcić temu, kto obchodzi zabezpieczenia i filmuje to, czego nie powinien. Musiał znaleźć winnego.

– Zaczynamy o dwudziestej drugiej. W tym samym miejscu.

Olgięrd zerknął w kierunku zegarka elektronicznego na ciekłokrystalicznym wyświetlaczu nad odtwarzaczem kaset.

– Nie wiem, czy się wyrobię – zastrzegł.

– Im szybciej stąd wyjedziesz, tym szybciej tu wrócisz. – Łysy zakończył połączenie.

Olgięrd kątem oka obserwował Herman i Bickiewicza. Dobiały go ich przytłumione głosy, ale nie wsłuchiwał się w rozmowę.

Zalogował się na pocztę. Odebrał maila i ściągnął plik.

Kiedy film się załadował, stuknął palcem w ekran i nagranie się uruchomiło.

Zbliżenie na penisa w pochwie i jego wolne, rytmiczne ruchy.

Dobiały go dźwięki. Muzyka w tle, na którą nakładały się pojękiwania i pomrukiwania, ale w ogóle go to nie podnieciło. Wpatrywał się uważnie w ekran. Obraz odjechał w prawo albo ktoś przesunął kamerę. Coś tu się nie zgadzało. Gdyby ktokolwiek tak zrobił, uczestnicy orgii zwróciliby uwagę na człowieka ze smartfonem.

Dopiero wtedy zrozumiał. To nie kamerzysta się przemieścił. Smartfon był ustawiony w jednym miejscu.

Borewicz musiał się pomylić. Tym razem obraz zaczął się wolno oddalać, a wielkie czerwone łóżko, na którym znajdowały się nagie ciała kobiet i mężczyzn, okręcało się wolno.

Olgięrd drgnął.

– O, kurwa – wyszeptał i poczuł nieprzyjemne mrowienie na karku.

Nagranie zakończyło się stopklatką.

Zobaczył swoją twarz przysłoniętą częściowo maską, z ustami zaciśniętymi na sutku dużej piersi. Pomiedzy swoimi nogami dostrzegł lśniąca głowę czarnoskórego mężczyzny.

Obejrzał film raz jeszcze. Trwał piętnaście sekund.

Borewicz przetarł dłonią usta i znieruchomiał.

Serce podeszło mu do gardła, odbierając dech.

Uspokój się, kurwa, nakazał sobie w myślach i przełknął ślinę.

Przeciągnął palcami po zaroście.

Uruchomił pocztę i zerknął w treść maila od Łysego.

Nie było żadnego linku, tylko załączony plik.

Bezwiednie przygryzł paznokieć kciuka, ponownie nakazując sobie spokój.

Po pierwsze, film został zarejestrowany zapewne na telefonie Łysego. To mogło oznaczać, że nagrania nikt inny nie widział. A skoro nie było linku, to – po drugie – prawdopodobnie plik nie został nigdzie ani nikomu udostępniony. Wreszcie, po trzecie, film zrobiono z ukrycia, prawdopodobnie zza parawanu. Borewicz założył, że Łysy wszedł za nim do pomieszczenia, w którym odbywała się orgia, odczekał chwilę, po czym włączył nagrywanie w telefonie na piętnaście sekund i zniknął stamtąd niezauważony.

Po co to zrobił?

Olgierd już wiedział.

Właśnie dostał ostrzeżenie.

Miał zabrać Herman z Grudziądza.

Myślał gorączkowo, jak to zrobić, i nagle coś przyszło mu do głowy. Łysy nie mógł tego filmu nigdzie upublicznić, bo gdyby to zrobił, sam straciłby najwięcej. Złamałby najważniejszą zasadę bezpieczeństwa potajemnych spotkań. A na to na pewno nie było go stać.

Skoro tak, Borewicz mógł odetchnąć. Założył, że jedna kopia filmu znajduje się na telefonie Łysego, a druga na jego własnej komórce. Usunął maila i skasował plik.

Nabrał powietrza w płuca i powoli je wypuścił. Serce wciąż mu dudniło, krew ścinała się w żyłach.

Otarł kciukiem pot perlący się na czole, gdy usłyszał esemes.

Obejrzałeś?, pytał Łysy.

Potwierdził i otrzymał nową wiadomość.

Już rozumiesz?

Miał zamiar odpisać, ale telefon ponownie zabrzączał.

Obaj nie chcemy, żeby Kinga to zobaczyła, prawda?

Zmroziło go to. Następna wiadomość przyszła po chwili.

Wyjedź z Grudziądza. Natychmiast.

Poczuł skurcz w żołądku. Z całej siły zagryzł zęby, a smartfon zacisnął w dłoni tak, jakby zamierzał go zgnieść.

Oddychał płytko.

Ale chwilę później przytłoczyła go zupełnie inna myśl. Skąd Łysy wie, że oni wciąż są w Grudziądzu?

Nagle szarpnięcie klamki w drzwiach przywołało go do rzeczywistości. Herman zajęła miejsce na fotelu obok.

– Co ty, kurwa, znowu odpierdalasz? – rzuciła gniewnie.

– Odbiło ci? Gadam z Bickiewiczem, a ty nawet nie wysiądziesz z samochodu?

Olgierd gapił się tępo przed siebie.

– Co powiedział? – odezwał się wreszcie.

– Gównno!

Borewicz jakby wpadł w stupor. W dłoniach ścisnął telefon.

Zapięła pas i odetchnęła.

– Stało się coś? – zaniepokoiła się w końcu.

– Kinga... – zaczął Olgierd.

– Co z nią? – Herman poczuła dreszcz w dole pleców.

– Muszę pilnie wrócić do domu.

– Ale co się stało? Coś z córką? – przeraziła się.

– Nie. To znaczy nie wiem. Po prostu muszę wracać – mówiąc to, wciąż wpatrywał się w pustą drogę przed nimi, która prowadziła wprost do lasu.

– Dasz radę prowadzić w takim stanie?

Żadnej reakcji.

– Zero Siedem?

W końcu nieznacznie pokiwał głową.

– Mogę ci jakoś pomóc? Powiesz mi coś więcej? – Gniew uleciał z niej bezpowrotnie i zamienił się w troskę.

– Sam nic nie wiem, gadała od rzeczy. Po prostu boję się o nią i o córkę. – Spojrzał na Herman błyszczącymi oczami.

– Okej, rozumiem. Skoro musisz wracać, to nie ma innej rady. Jedźmy. Tylko wysadź mnie w pobliżu domu Toboły.

– Wrócimy tu jeszcze. Nie pali się.

– Wiem, ale ja zostaję.

Borewicz pokiwał głową.

– Powiedział coś? – spytał.

– Kto?

– No Bickiewicz.

– Niespecjalnie.

– No to na co liczysz? – Uruchomił samochód. – Jesteśmy w czarnej dupie. Owszem, przyjechaliśmy z nadzieją na rozmowę z Witbergiem. Być może coś dla nas miał, ale ktoś wyprawił go na tamten świat. Jaroń nic nam nie chce powiedzieć, a Jeziorski wyraźnie dał nam do zrozumienia, żebyśmy nie wpierdalali im się w buty.

– Witberg jest kluczem – oznajmiła. – Coś dla nas miał. Musimy się dowiedzieć co.

Silnik terkotał, ale wciąż stali w miejscu. Przed nimi, kilkaset metrów dalej, droga uciekała w ciemny las.

– Ale co miał? Tobałę? – Zero Siedem powątpiewał.

– To mało? – zerknęła na niego.

Borewicz siedział nieruchomo.

– Mało – odrzekł. – Mało, bo eksgangster nic nie wniósł do śledztwa. Nawet nie wiemy, czy to prawda, co mówił, że Witberg mu pomagał. Nikt nam tego nie potwierdzi.

– A Lucyna Witberg?

– Chodzi ci o ewentualne wypłaty z konta?

– Chociażby.

– Ale dokąd nas to doprowadzi? – zapytał.

Nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie.

Stali w miejscu. Niemal w żadnym wątku tej sprawy nie zrobili kroku naprzód. Owszem, mieli jakieś poszlaki, chociażby zdjęcie, na którym w szybie domu Witbergów odbił się obraz mężczyzny z wózkami. Ale to wciąż za mało. Zero konkretów.

Herman spojrzała w boczne lusterko. Wiatr poderwał pył z drogi i zakręcił nim.

Nie wiedziała, co robić.

– Może masz rację – odparła zrezygnowana.

Olgiert odwrócił głowę w jej stronę.

– To co? Jedziemy do Bydgoszczy? – spytał.

Ścisnęła chłodne palce drugą dłonią. Wciąż się wahała. Jej rozważania przerwała prosta melodia.

Nokia się ożywiła.

– Halo?

Borewicz wrzucił jedynkę i toyota ruszyła.

– Sławek Jaroń z tej strony. Pani komisarz, dzwonię z prywatnego mojej żony. Ma pani chwilę?

– W jakiej sprawie? – rzuciła oschle.

Borewicz spytał, z kim rozmawia; Herman przysłoniła słuchawkę i odpowiedziała mu szeptem. Uniósł brwi do góry, robiąc zdziwioną minę.

– Chciałem wrócić na chwilę do naszego spotkania na komendzie – wyjawiał szef grudziądzkiego wydziału kryminalnego.

Zbliżali się do lasu.

– No to niech pan mówi.

– W dupie mam rozgrywki między naszymi szefami. Góra może sobie wojować, ale my, ludzie od prostej roboty, powinniśmy sobie pomagać. Rozsądnych ludzi do pracy w policji coraz mniej, wymagań coraz więcej i ciągle to cholerne pompowanie statystyk. Dobrze wiecie, o czym mówię. Za chwilę śledztwo mi utknie w martwym punkcie, a Jeziorski będzie mnie rozliczał z efektów. Pierdolę takie zabawy.

– Co pan proponuje?

– Sławek jestem. Mówmy sobie po imieniu, jeśli to nie problem.

– Ale o co ci chodzi? – zainteresowała się Herman.

– O to, żebyśmy zachowali się jak na kryminalnych przystało. Gramy do jednej bramki, więc wymieńmy się informacjami. Powinniśmy współpracować.

Komisarz była mile zaskoczona.

– Skoro dzwonisz z taką propozycją, rozumiem, że masz coś dla nas – stwierdziła.

– Mam. I zaraz wam powiem, ale najpierw chciałbym wiedzieć, na czym stoję.

Herman przeszła przez głowę myśl, czy propozycja Jaronia nie jest próbą wyciągnięcia od nich informacji. Kiedy spotkali się na komendzie, grudziądzki policjant nie był skłonny do współpracy. Ale może wynikało to nie ze złej woli, tylko z obawy, że ktoś go podsłucha i podkablkuje? Robota w policji wiązała się nie tylko z ryzykiem zewnętrznym. Rywalizacja wewnątrz garnizonu czasami wydawała jej się trudniejsza. A na pewno bardziej wyniszczająca. Oboje z Borewiczem dobrze o tym wiedzieli.

– Jesteśmy po tej samej stronie barykady – uznała komisarz.

– Okej, to świetnie. Bardzo mnie to cieszy – odparł Jaroń z wyraźną ulgą.

Nieoznakowany radiowóz zakołysał się na nierównościach leśnej drogi. W kabinie pociemniało.

– W takim razie musicie wiedzieć, że miejsce odnalezienia zwłok Witberga nie jest miejscem zabójstwa.

Herman zmarszczyła czoło.

– Wiadomo, gdzie został zabity? – spytała.

– Nie.

– No to skąd ten pomysł?

– Po pierwsze, jego ciuchy śmierdzą benzyną – zaczął wyliczać Jaroń. – Po drugie, potwierdzają to niewielkie tłuste plamy ze smarów i olejów na spodniach i kurtce.

Typujemy jakiś skład, garaż albo warsztat. Mógł być tam przetrzymywany i prawdopodobnie tam został zabity. Tyle ode mnie – zakończył Jaroń.

– Wiedzieliście o tym od początku, prawda? – spytała Herman, a Jaroń potwierdził.

Policjantka zastanowiła się nad uzyskaną informacją i niemal od razu przysła jej na myśl zamknięta hala należąca do młodego Bickiewicza. Podzieliła się tym skojarzeniem z Jaroniem, ale od razu zastrzegła:

– Tylko nie widzę motywu. Przynajmniej na razie.

– Hm... Trzeba przyjrzeć się temu Bickiewiczowi – uznał Jaroń. – Wyślę tam kogoś w przebraniu wodociągowca, może rzeczywiście mają tam jakiś warsztat, chociażby dla wózków widłowych, albo garaż dla swoich ciężarówek – dodał i się zawahał. – A swoją drogą, widzieliście tam coś podobnego?

– Nie, ale też nie obchodziliśmy tej hali, nie wiemy, jak wygląda z tyłu i z drugiej strony. Zakład wyglądał na zamknięty, a Bickiewicz wyjaśnił, że mają przerwę serwisową, co oznaczało tylko tyle, że pusto tam i cicho. Ani śladu pracowników.

– Cholera... – Jaroń się zamyślił. – Jaka odległość dzieli firmę Bickiewicza od miejsca znalezienia zwłok?

Maria Herman ponownie spojrzała na Olgierda.

– Killkaset metrów – odezwała się. – Nie wiem, może sześćset albo osiemset. Mogę sprawdzić dla pewności.

– Nie, nie ma takiej potrzeby, sam zaraz odpalę Google Maps – stwierdził. – No i wciąż liczę na współpracę. Mam nadzieję, że jeśli będziecie mieli coś ciekawego, to się odezwiecie.

– Na ten numer telefonu? – spytała komisarz.

– Tak. Najlepiej wieczorami. Wołałbym, żeby nikt nie słyszał w firmie, że z wami rozmawiam.

– Okej, jesteśmy umówieni – Herman podrapała się po szyi. – Ale skoro zamierzasz weryfikować odległości, byłoby dobrze, żebyś wiedział coś jeszcze.

– Co takiego? – zainteresował się.

– Słyszałeś o Tobole?

– O tym gangsterze?

– Tak.

– No tak, ale to stare dzieje.

– A wiesz, gdzie teraz mieszka? – spytała Herman. Jaroń zaprzeczył. – Niedaleko miejsca, w którym znaleziono Witberga. Od niego tam zdecydowanie bliżej niż z domu Bickiewicza. Twoi ludzie nie zajrzeli do starej leśniczówki?

– Kurwa – jęknął Jaroń. – Mogli zajrzeć, ale to są młodzi ludzie, nawet jeśli usłyszeli nazwisko Tobońkowski, mogli go nie skojarzyć, a notatki z rozpytań jeszcze do mnie nie

trafiły. Od dawna tam mieszka?

Herman zorientowała się, że zbliżają się do rozwidlenia drogi. Gdyby pojechali w lewo, dojechaliby do chaty, którą wynajmował Tobołkowski. Dała Borewiczowi znać, żeby się zatrzymał na poboczu, a on spełnił jej prośbę.

– Podobno niecałe dwa lata – odparła komisarz. – Mógłbyś sprawdzić, kto jest właścicielem tej leśniczówki i czy... – Zawiesiła głos, bo przypomniała sobie, że w drewnutni przylegającej do domu Toboły widziała regał ze starymi olejami i kanistrami. Natychmiast podzieliła się tą wiedzą z Jaroniem i dodała: – Tyle tylko że w tej drewnutni nie ma podłogi. Tam jest zwyczajna ubita ziemia. Gdyby Witberg tam leżał, musiałyby zostać jakieś ślady na jego ciuchach.

– Robi się coraz ciekawiej – w głosie grudziądzkiego policjanta wyczuła ekscytację. – Byliście w tym domu?

– W samym domu nie, ale na terenie tak. No i w tej drewnutni. Ale tak się składa, że jesteśmy w pobliżu leśniczówki. Mieliśmy do niej zajrzeć – zaczęła Herman. – Tylko że plany uległy drobnej modyfikacji. – Zerknęła na Borewicza. – Olgierd musi pilnie wracać do Bydgoszczy. Sprawy rodzinne – wyjaśniła.

– A ty do matki – dopowiedział Borewicz, zerkając w jej stronę, jakby chciał się upewnić, czy nie zmieniła decyzji.

– Maria, a ty zostajesz? – usłyszała głos Jaronia. – Bo jeśli tak, to podjechałbym po ciebie i moglibyśmy wybrać się razem do Toboły. Rozejrzelibyśmy się po jego domu.

– Ostatnio nie był taki gościnny. Gadaliśmy na zewnątrz – przyznała.

– Ale spróbować warto – dodał podkomisarz.

– Masz rację – zdecydowała Herman. – Zostanę.

– Świetnie – ucieszył się rozmówca. – Gdzie się umówimy?

– Jak miniesz Nowe Marzy, to dwa kilometry dalej zobaczysz wiatrołomy po tornadzie. Jeszcze kawałek dalej jest skręt do lasu. Tam będę czekała.

– Dobra, to wsiadam w samochód – oznajmił Jaroń, a Herman się rozłączyła.

Silnik pracował miarowo. Borewicz patrzył w dal, na drogę wiodącą przez coraz ciemniejszy las.

– Obawiam się, że to nie jest dobry pomysł – odezwał się.

– To najlepszy pomysł. Ty ugasisz pożar w domu, a ja zajmę się robotą.

Olgierd cmoknął niezadowolony.

– To nie powinno tak wyglądać, jesteśmy partnerami – przypomniał.

Herman zauważyła, że drży mu noga, a dłoń zacisnęła się na dźwigni zmiany biegów.

– Jedźmy już – poprosiła.

– Jesteśmy partnerami – powtórzył.

– Zero Siedem, zostaję, czy to jasne? Będę zdawać ci relację ze wszystkiego na bieżąco. Zdzwonimy się wieczorem.

Jednostajny warkot silnika wypełnił kabinę.

Herman wsunęła dłonie w kieszenie kurtki i natrafiła na paczkę papierosów. Borewicz zaczął działać jej na nerwy. Powinna zapalić, wtłoczyć dym do płuc, żeby ugasić załazek pęczniejącego w niej gniewu.

– Jedźmy – ponagliła, bo wiedziała, że jeśli kolejną minutę spędzą na poboczu drogi, to wysiądzie i do umówionego miejsca spotkania z Jaroniem pójdzie piechotą.

– Przedłużyć ci pobyt w apartamencie? – zapytał Olgierd.

– A możesz?

Skinął głową i pociągnął nosem.

– Chyba nie mam innego wyjścia – odparł i sięgnął po komórkę.

Kurek usłyszał w słuchawce przerywany sygnał, więc rozmowę telefoniczną z Krzysztofem Glacowskim musiał odłożyć na później.

Patrzył na wody Wisły, które majestatycznie uciekały w prawo, w kierunku centrum miasta, bo ten widok miał w sobie kojącą moc. Przyroda niosła spokój, który z wiekiem coraz bardziej zaczął doceniać. Żył w mieście, czuł się mieszczuchem, ale gdyby miał swój dom gdzieś tam, gdzie sięgał wzrokiem, po drugiej stronie rzeki, chyba by się w nim odnalazł.

Odkleił się od parapetu i usiadł na sofie. Spojrzał na spis połączeń w telefonie i zastanawiał się, czy nie wysłać esemesa Glacowskiemu, do którego od samego początku pracy w firmie przyłgnęła ksywa Łusy.

Odstąpił jednak od tego zamiaru. Po co miał go uprzedzać i dawać mu w ten sposób szansę na przygotowanie się do rozmowy? A może w ogóle powinien się do niego wybrać? Nie wiedział tylko, czy Glacowski wciąż jeszcze mieszka w wieżowcu przy Korczaka 6 na Strzemięcinie, skąd miał widok na kościół pod wezwaniem Maksymiliana Kolbego, przypominający skrzyżowanie dworca kolejowego z fabryką obuwia.

Adres dawnego śledczego mógłby próbować ustalić w kadrach. Oczywiście – wyłącznie nieoficjalnie.

Odszukał w komórce numer Marioli Skrzyneckiej, córki kolegi, której dawno temu załatwił robotę na komendzie. I dobrze się stało, bo potem Mariola odwdzieczyła się Kurkowi, gdy zaczął myśleć o emeryturze. Zadzwoniła do niego z poradą, kiedy powinien odejść z resortu, aby zyskać wyższe uposażenie. Dlatego ostatniego dnia pracy kupił wisielki, dobrał w delikatesach mielonego jacobsa i wpadł do niej do gabinetu, żeby podziękować. Posiedzieli, pogadali, ocierając lukier z ust, pośmiali się trochę. Znał ją przecież od dziecka, Mariola nazywała go wujkiem. Przyjaźniła się z jego synami i Kurek zastanawiał się nawet, czy ta szalona dziewczyna z burzą kasztanowych loków na głowie nie zostanie w przyszłości jego synową. Nie została, ale nie miałby nic przeciwko temu. Miała głowę na karku. Może nie była wybitną pięknoscią, ale zdecydowanie zyskiwała przy dłuższym poznaniu, bo zarażała pozytywną energią. Uśmiech nie schodził z jej kształtnych ust.

Zerknął na zegarek. Krótco przed piętnastą. Wóz albo przewóz, pomyślał.

Wybrawszy połączenie, czekał, wsłuchując się w długi sygnał.

– Wujek! – usłyszał radosny kobiecy głos w słuchawce.

– No cześć, Mariolka – odparł z wyraźną ulgą. – Dawno się nie widzieliśmy.

– A bo wiesz, wujek, jak jest. Z pracy do domu, z domu do pracy i tak w kółko, nie? Ale co ja mówię, przecież ty już zapomniałeś, jak to jest, szczęściarzu – zaśmiała się.

Opowiedział jej w kilku słowach o tym, jak spędza czas na emeryturze, co robią chłopcy, bo o nich też zapytała, a on zainteresował się, co słuchać u jej syna.

– Wszystko dobrze, Jędrzek rośnie jak na drożdżach.

– Ile już ma?

– Dwa lata.

– Dwa lata? – nie mógł w to uwierzyć.

– No czas leci, wujek.

– Jak cholera – dopowiedział i nastąpiła krótka chwila ciszy. – Nie przeszkadzam ci?

– Mów, wujek, w czym ci pomóc.

– Potrzebuję adresu Krzyśka Glacowskiego.

– Glacowski, Glacowski... – powtórzyła, a Kurek usłyszał w tle odgłos stukania w klawiaturę. – To ten z kryminalnych? Łysy? Chyba tak na niego wołali, nie?

– To on – potwierdził i czekał.

– Ostatni adres, jaki mam, to Wyczółkowskiego.

– Gdzie to? W Mniszku?

– Tak, w Mniszku, w pobliżu moich teściów – dodała, po czym przekazała mu numer posesji.

– Dzięki, Mariolka. Tylko wiesz... To tak między nami. Nikomu nie mów, że...

– Już zapomniałam! – przerwała mu ze śmiechem i się pożegnali.

Włożył kurtkę i zjechał windą na parter.

Taksówkarz próbował go zagadywać, ale Kurek nie miał ochoty na rozmowę. Dojechali więc na miejsce przy dźwiękach starych przebojów z radia. Alicja Majewska obiecywała, że odkryje miłość nieznaną, ale Kurek dawno już przestał wierzyć w porywy serca. Zaczął się nawet zastanawiać, czy piosenkarka, starsza przecież od niego, wyśpiewując ten tekst na koncertach, wciąż w niego wierzy tak samo jak wtedy, gdy zaśpiewała ten utwór po raz pierwszy.

Beżowy mercedes zatrzymał się przy starym bliźniaku, którego frontowa elewacja wyróżniała się werandami na parterze i loggiami na piętrze. Garaże znajdowały się w piwnicy i prowadziły do nich dwa strome zjazdy.

Kurek poprosił kierowcę, by zaczekał na niego chwilę, bo chciał sprawdzić, czy zastał kogoś z domowników.

Wysiadł z samochodu i podszedł do furtki oznaczonej numerem posesji. Przed domem nie parkował żaden samochód.

Kurek nacisnął domofon i czekał.

Rozejrzał się.

Kilka posesji dalej młody mężczyzna uczył kilkuletniego chłopca jeździć na rowerze. Biegł za nim, trzymając uchwyt przymocowany do ramy pod siodełkiem, po czym puszczał go i mały pokonywał kolejne metry sam.

Kurek odwrócił głowę, żeby spojrzeć w okna domu, i wtedy ktoś odezwał się w głośniku.

– Tak? – usłyszał męski głos.

– To ty, Krzysiu?

– A kto mówi?

– Maryś Kurek.

– A co ty tu robisz?

– Pogadać chciałem.

– Ze mną? O czym?

– No wiesz, dawno się nie widzieliśmy – zaśmiał się Marian.

– I co z tego?

– No nic, ale wiesz, piszę reportaż o porwaniu dziecka Witbergów, zachciało mi się zostać literatem na stare lata, he, he, i odnawiam kontakty z kryminalnymi, których nazwiska odnalazłem w aktach. Możemy pogadać? Krótko, bo wiem, że jesteś zajęty – obiecał i rzucił okiem na taksówkarza. Silnik diesla cały czas terkotał na jałowym biegu.

– Posłuchaj, Kurek. W dupie mam twoje literackie zapędy. Nie mam czasu na pierdoły – warknął Łysy. – A poza tym, skąd masz mój adres?

– Och, to zaledwie kilka minut rozmowy, i już mnie nie ma – emerytowany policjant znowu się zaśmiał.

– Nie przyjeżdżaj tu więcej bez uzgodnienia.

– W takim razie powiedz, kiedy znajdziesz dla mnie czas. Chodzi mi tylko o jeden drobiazg. O twoje kontakty z Bickiewiczową – Kurek zarzucił wędkę i Łysy przez chwilę się nie odzywał. Stary gliniarz miał nadzieję, że Glacowski połknął haczyk. – Naprawdę, nie zajmę ci dużo czasu.

– Wszystko jest w aktach.

Trzask słuchawki zakończył rozmowę.

Kurek stłumił przekleństwo i zacisnął usta. Wpatrywał się w metalowe urządzenie, w którym ukryty był głośnik.

Łysy go spławił.

Szybko i bez sentymentów.

Pytanie: dlaczego? Czy ktoś go ostrzegł? Kurek wątpił, by była to robota Kąkola. W takim razie kto mógł to zrobić? A może po prostu trafił na zły dzień? Wiedział, że będzie musiał

spróbować raz jeszcze, ale obawiał się, że to nic nie da. Łysy był zdecydowany. Gdyby Kurek wyczuł w jego głosie jakiegokolwiek wahanie, wtedy jego szanse by wzrosły. Tymczasem Glacowski ewidentnie nie zamierzał wracać pamięcią do sprawy Witbergów.

– Gdzie teraz? – spytał kierowca, gdy emeryt wrócił do taksówki i rozsiadł się na tylnej kanapie.

– Nie wiem – odparł Kurek, odwracając oczy od domu Glacowskiego, i napotkał w lusterku wstecznym zdziwiony wzrok taksówkarza.

– To znaczy, że co? – Zdezorientowany mężczyzna o okrągłej twarzy spojrzał na niego znad prostokątnych okularów.

Stary gliniarz myślał gorączkowo.

– Jeszcze chwila – odparł i odszukał w telefonie numer do policjantki Marii Herman.

– Halo? – spytała kobieta.

– Kurek mówi – rzucił, bacznie obserwując kierowcę. – Chodzi o Alfreda.

– O Tobołą?

– Tak.

– Co z nim?

– Kiedy będzie się pani z nim widziała?

– Tak się składa, że wkrótce, a co?

– Może go pani zapytać o coś w moim imieniu?

– Zależy o co.

– Wyślę esemesa, dobrze?

– Nie może pan mówić? – zgadła.

– No właśnie – stwierdził i uznał, że Herman jest bystra.

– Dobrze. W takim razie czekam – rzekła i po chwili dodała: – Ale niczego nie obiecuję, czy to jasne?

– Oczywiście, będziemy w kontakcie.

– Do usłyszenia – pożegnała się i słuchawkę wypełniła cisza.

Komisarz Herman przeszła w kierunku drogi zniszczenia, jaką wytyczyło niedawne tornado, i zawiesiła wzrok na hektarach wiatrołomów ciągnących się łukiem po horyzont. Jazgot pił trwał nieprzerwanie, dźwięki wydawane przez łańcuchy tnące, napędzane silnikami spalinowymi, nakładały się na siebie. Wiatr niósł charakterystyczny zapach świeżo ciętego drewna. Patrzyła to na ekipy pilarzy ręcznych, którzy uwijali się w robocie, to na harwestery, maszyny wyglądające z daleka jak owady ze sporym odwłokiem i długim pojedynczym czułkiem. Ramię maszyny chwyciło powalone drzewa, a głowica wyposażona w piłę cięła pnie na bale i pozbawiała je gałęzi.

Za jej plecami po krajowej piątce gnały samochody. Szum kół i silników narastał i cichł naprzemiennie. Podmuchy wiatru pchały ją w kierunku zniszczeń dokonanych przez siły przyrody.

Kilka minut wcześniej policjantka pożegnała Olgierda, odprowadziła wzrokiem toyotę aż do odległego wzniesienia, a gdy wóz zniknął jej z oczu, zadzwonił Marian Kurek. Teraz, czekając na przyjazd Jaronia, obserwowała niewielki ekran starej nokia w pełnym napięcia oczekiwaniu.

Zdążyła zapalić drugiego papierosa i wziąć kilka głębszych machów, gdy w końcu krótki dźwięk oznajmił nadejście wiadomości tekstowej.

Herman wypuściła dym i odebrała wiadomość.

Czy Magdalena Bickiewicz zdradzała męża z policjantem Krzysztofem Glacowskim?

Dwie krople deszczu spadły na niewielki ekran telefonu i Herman spojrzała w skłębione ciemne chmury, szczelnie okrywające niebo.

Wytarła ekran kciukiem i się zaciągnęła. Ponownie odczytała treść esemesa. Nie bardzo wiedziała, do czego Kurek zmierzał. I co miałyby mu dać odpowiedź na to pytanie. Herman uznała, że nie zada go Tobole, nie znając kontekstu. Miała dwa wyjścia. Oddzwonić do Kurka – ale skoro stary policjant nie mógł rozmawiać, nie miało to większego sensu – albo przegadać to z Olgierdem.

Rzuciła peta pod nogi i zdeptała go.

Połączyła się z Borewiczem, gdy deszcz zaczął siec asfalt. Zmrużywszy oczy, ruszyła szybkim krokiem w kierunku lasu, żeby się skryć między drzewami.

– Co jest? – spytał Olgierd.

Herman przedstawiła mu, w jakiej sprawie dzwoni.

– Bickiewiczowa i Glacowski? – powtórzył, jakby nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

– Znasz go? – Herman aż przystanąła.

– Nie, no skąd! – zaprzeczył i powiedział coś jeszcze, ale drogą przejechały dwie ciężarówki i Herman nic nie usłyszała. Poprawiła kurtkę, postawiła kołnierz, bo krople deszczu spadały jej na kark, i przyspieszyła.

– Możesz powtórzyć? – spytała, gdy pojazdy odjechały w kierunku Grudziądza.

– Mówiłem, że mignęło mi gdzieś w aktach jego nazwisko.

– Serio? – zaskoczył ją, bo sama nie trafiła na nie w materiałach policji. Widocznie wpływ Glacowskiego na śledztwo był marginalny i być może dotyczył późniejszych lat. – Pamiętasz, czym się zajmował?

– Nie, cholera, nie kojarzę. Ale nazwisko, takie charakterystyczne, zapisało mi się w pamięci – wyjaśnił Olgierd, gdy Maria Herman z przemoczonymi włosami skręciła w leśny dukt i przystanąła pod drzewem. Schowała głowę w ramionach i przyciągnęła łokcie do ciała.

Chłód, który nacierał wraz z deszczem, przebijał się przez warstwy ubrań i sprawił, że Herman zadrżała.

– Jak sądzisz, co Kurek zamierza ustalić?

– Przeczytaj jeszcze raz to pytanie – poprosił Borewicz.

Zrobiła to i wtedy granatowy van zjechał na pobocze. Przez szybę na fotelu kierowcy zobaczyła Jaronia. Podjechał do niej, wychylił się, żeby otworzyć jej drzwi, i Herman usiadła w ciepłym wnętrzu dużego samochodu.

Pokazała mu, by jechał prosto, po czym zapięła pas. Reflektory omiotły drzewa i potoczyli się po nierównej drodze.

– No i? Jak to widzisz? – ponagliła Zero Siedem.

Gdy sama zaczęła łączyć kropki, uznała, że Bickiewiczowa mogła nieopatrznie powiedzieć coś Glacowskiemu o porwaniu dziecka. Być może wyciągnęła jakieś ważne informacje od męża gangstera, a później przekazała je policjantowi. Tyle tylko, że Herman nie bardzo wiedziała, co kobieta chciała w ten sposób uzyskać. Policjantka wciąż miała w pamięci, że nazwisko Glacowskiego nie przewijało się na wstępnym etapie śledztwa. Nawet jeśli dołączył do sprawy po latach, nic do niej nie wniósł. Ale jednego nie mogła wykluczyć: że Glacowski kontaktował się z Magdaleną Bickiewicz, a nawet że – jak sugerował Kurek – byli parą. Być może ich romans przyczynił się do samobójczej śmierci Jarosława „Bicu” Bickiewicza w Zakładzie Karnym w Rawiczu. Jeśli więc policjant czegokolwiek się od niej dowiedział, a później chronił zdobyte informacje, mógł to zrobić z najprostszego powodu.

Z miłości.

– Cholera wie – odezwał się w końcu Borewicz. – Może rzeczywiście coś ich łączyło?

– A jeśli chodziło o dzieci?

– O trojaczki? W jakim sensie?

– No nie wiem. Ale zastanawiam się, czy Kurek właśnie to mógł mieć na myśli – odparła Herman i napotkała spojrzenie Jaronia. – Tomasz Bickiewicz nie jest podobny do pozostałej dwójki.

– Bez jaj. To żadna nowość.

– Niby tak. Ale wiesz, może coś się za tym kryje. Może to nam powinno coś powiedzieć?

Gdy wyjechali z lasu, deszcz załomotał w dach i spływał strugami po przedniej szybie. Jaroń włączył wycieraczki na najszybszy tryb.

Ponownie pokazała mu, gdzie ma się kierować.

– Najprościej byłoby do niego zadzwonić, nie? – dodał Olgierd.

W słuchawce słyszała szum charakterystyczny dla rozmowy z kimś, kto jedzie samochodem.

– Kurek zadzwonił do mnie, ale dał mi znać, że nie może swobodnie rozmawiać. Dlatego dzwonię do ciebie. A tak swoją drogą, gdzie jesteś?

– Przed Grucznem.

– Daj znać, co w domu – poprosiła.

– A ty daj znać, co z matką.

Olgierd wypowiedział to naturalnie, bez żadnych emocji, ale odebrała to jak cios, uderzenie, które miało ją zranić. Pokazać, jaką jest złą córką w obliczu tragedii matki. W ten sam sposób, gdy uprawiała hazard, wszystkie niewinne pytania i prośby bliskich jej osób odbierała jako atak personalny. Siarczysty policzek, na który nie zasłużyła. Buntowała się więc, najeżała i stawiała się opryskliwa.

Teraz już umiała odróżnić troskę od ataku, lecz prośba Borewicza mimo wszystko ją zabolala. Nie wiedziała, jak temu zaradzić, więc zdecydowała się na ostateczne rozwiązanie.

– Będziemy w kontakcie – zakończyła rozmowę, ale wciąż trzymała telefon w dłoni, którą oparła o udo.

Poinstruowała Jaronia, którą drogę wybrać na rozwidleniu.

– Dobrze słyszałem? Mówiliście o Kurku? – zainteresował się policjant.

– Tak. Znaie się, prawda?

– Przyjmował mnie do pracy. Cenię go.

Herman przyjrzała się Jaroniowi. Głową niemal dotykał podsufitki. Kolana sterczały wysoko na boki, jakby chciał nimi trzymać kierownicę. Odwrócił się do niej.

– Co jest?

Herman nie odpowiedziała. Rozważała, czy powinna dzielić się wszystkim z Jaroniem.

– Mówiłeś mu o Witbergu? – zagadnęła.

Poprawił okulary i spojrzał na drogę.

– Tak. Poza protokołem. Wiem, że mogę mu ufać. Nigdy się na nim nie zawiodłem.

– A ja nie chciałam się zawieść na tobie – odparła policjantka.

Sławomir Jaroń pokiwał głową.

– Nie dowiesz się, dopóki mnie nie sprawdzisz – stwierdził.

To on pierwszy wyciągnął do nich dłoń i sprzedał im ważną informację. Co miała do stracenia? Niewiele. Dlatego opowiedziała mu o rozmowie z Kurkiem i przeczytała pytanie, które emeryt za jej pośrednictwem chciał zadać Tobole.

– Ciekawe, co Maryś wymyślił – podsumował Jaroń, gdy przed maską samochodu pojawiła się drewniana brama, a za nią – stara leśniczówka z dachem lśniącym od deszczu.

Kiedy podjechali bliżej, Herman spostrzegła, że jedno ze skrzydeł bramy jest uchylone.

Spojrzeli na siebie, po czym podkomisarz zgasił silnik.

Wycieraczki się zatrzymały, a krople deszczu wciąż bębniły w dach.

Szarpnęli klamki i wysiedli.

Herman pierwsza podeszła do uchylonej bramy i weszła na teren ogrodu.

Szczapy drewna były posprzątane, a wokół pniaka, na którym Toboła rąbał pieńki, walały się kora i drewniane ścinki.

Zapukała do drzwi pod okapem dachu. Przynajmniej było tam sucho.

– Panie Tobońkowski! Policja! – krzyknęła i odczekała chwilę.

Nic się nie wydarzyło.

Deszcz szumiał miarowo.

Odwróciła się do Jaronia, który miał na sobie kurtkę przeciwdeszczową. Nasunął kaptur na głowę i patrzył na nią zaintrygowany.

Herman wsunęła dłoń do rękawa kurtki i przez mankiet chwyciła za klamkę.

– Stój, Maria – syknął, ale nie ruszył się z miejsca. – Nie rób tego.

Odwróciła się do grudziądzkiego śledczego i położyła palec na ustach.

Wskazówka prędkościomierza wskazywała ponad sto trzydzieści kilometrów na godzinę.

Borewicz doskonale zdawał sobie sprawę, że gdyby trafił na suszarkę patrolu drogówki albo ciągnął za zderzakiem nieoznakowany radiowóz z wideoradarem, wpadłby w cholerne kłopoty.

Problem polegał na tym, że i tak tkwił w gównie po uszy i nie wiedział, jak z niego wyjść.

Do tego lało niemiłosiernie, a on zamierzał zatrzymać się gdzieś po drodze i wsunąć pod podwozie, żeby sprawdzić, czy Łysy nie zainstalował mu nadajnika GPS. W zasadzie chciał się tylko upewnić, gdzie ten nadajnik się znajduje. Bo gdyby nie to urządzenie, Glacowski nie miałby pojęcia, że oboje z Herman wciąż są w Grudziądzu.

– O, kurwa! – Nowa myśl pojawiła się znienacka i Olgierd klepnął się w udo.

Kiedy odebrał telefon od Łysego, toyota stała przecież pod domem Bickiewiczów.

Dlaczego od razu nie skojarzył? To zmieniało postać rzeczy. Łysy przecież wyraźnie go ostrzegł, by nie próbował dobierać się do damskiego boksera, a tymczasem Olgierd wraz z Herman pojawili się u Bickiewicza pod domem. W rozmowie telefonicznej, co prawda, Łysy się do tego nie odniósł, ale tylko dlatego, że tym samym potwierdziłby, że ma Olgierda na celowniku.

Borewicz zmarszczył czoło, myśląc intensywnie. Analizował, co powinien zrobić. Jedno było pewne. Żadnych pochopnych ruchów. Powinien dojechać do Bydgoszczy. Na wszelki wypadek, uznał, zatrzyma się na chwilę pod blokiem, w którym Herman wynajmuje kawalerkę. Potem przemieści się do siebie nad Balaton i wtedy zdecyduje, czy wejdzie do domu, czy po prostu wróci do Grudziądza, żeby zabezpieczyć kolejną zabawę. Żałował, że odbędzie się bez jego aktywnego udziału, ale przy tym poziomie stresu nie miałby z tego żadnej frajdy. Poza tym musiał uważać na Łysego. Przede wszystkim powinien wyprostować relacje z nim i upewnić się, że film, który eksplinierz nagrał, zniknie z pamięci jego telefonu.

Zbliżył się do wolno jadącego tira, ale nie mógł go wyprzedzić, bo z naprzeciwka sunął długi sznur aut. Z asfaltu i spod kół naczepy unosiła się gęsta wodna mgła, która osiadała na szybie. Świat był rozmazany, mimo że wycieraczki działały na najwyższym biegu.

Do Bydgoszczy dojechał czterdzieści minut później, zadzwoniwszy po drodze do Kingi. Wolał uprzedzić ją telefonicznie, że nie zatrzyma się na noc, ale jednocześnie powiedział jej, próbując uniknąć kolejnej scysji o Herman, że jest na dobrej drodze do zmiany wydziału.

– Naprawdę? – rozchmurzyła się.

– Tak. Gadałem z szefem. Podobno w czerwcu ktoś ze sztabu odchodzi na emeryturę i wtedy miałbym szansę przejąć jego obowiązki. Wiesz, sprawa nie jest jeszcze klepnięta, będziemy o tym jeszcze rozmawiali. Wódz zaprosił mnie w przyszłym tygodniu do siebie. Chodzi o to, że musi kogoś znaleźć na moje miejsce.

– Dopiero w czerwcu? – zmartwiła się.

Olgierd nakazał sobie spokój. Nie wiedział, co się stało z tą kobietą. Nie potrafił jej zadowolić na szybko wymyślanymi kłamstwami.

– Czas szybko leci, zobaczysz, zanim się obejrzysz, będziemy razem chodzić z małą na spacer. – Zdobył się na pogodny ton. – Jak ona się czuje?

– Dobrze, śpi.

– Wreszcie ją zobaczę. Chociaż na chwilę.

– Na chwilę? To jak długo zostaniesz?

– Muszę dokończyć śledztwo, mam tam ważnego świadka.

– A Herman?

– Już wróciła do siebie.

– To ona nie mogła zostać, tylko ty znowu musisz tam jechać?

– Ona jest moją szefową – przypomniał.

– Pizda! – sarknęła. – Przecież wie, że masz małe dziecko! Że córka potrzebuje ojca, że powinieneś być częściej w domu.

Olgierd pokręcił z niedowierzaniem głową.

– To mój świadek i wołałbym, żeby to był mój sukces. Chciałbym przypodobać się szefowi, skoro ma mi pomóc w zmianie pracy.

– Jak będziesz taki zdolny, to nigdy nie da ci odejść z tego głupiego archiwum – niemal się rozpląkała.

– Przecież już się zgodził. Ale w przypadku śledztwa w Grudziądzu nie mogę go zawieść, rozumiesz? Robię to dla nas. Dla ciebie i dla Amelki. – Starał się, żeby nie wyczuła budzącego się w nim gniewu. Pęczniejącej niechęci do własnej żony, do kobiety, którą jeszcze niedawno kochał jak ślepo zauroczony głupi uczeń. Nigdy nie był stały w uczuciach.

– Mama jest ze mną – zmieniła temat.

– To dobrze, przynajmniej nie jesteś sama.

– Trochę mi pomaga przy małej.

– Świetnie, więc odpoczywaj. A ja niedługo przyjadę – zapewnił i się rozłączył.

– Kurwa mać... – wyszeptał i otarł twarz. – Kurwa jebana mać...

Jechał na pamięć drogą, którą dobrze znał. Wozem kołysało, gdy wpadał w wypełnione deszczem koleiny. Pióropusze wody bryzgały na boki.

Kiedy zatrzymał się w pobliżu trzyklatkowego bloku przy Głowackiego, w którym Herman wynajmowała kawalerkę, odczekał kilka minut. Nie wysiadł, przymknął oczy i chwilę odpoczywał. Poczuł narastającą, obezwładniającą falę zmęczenia. Zapadł się głębiej w fotelu, napięcie mięśni przyjemnie zelżało. Obawiał się, że zaśnie, ale nie miał siły unieść powiek.

Ocknął się, gdy ktoś przeszedł obok i potrącił boczne lusterko. Zakapturzony młodzian oddalał się szybko.

Borewicz się przeciągnął, a następnie uruchomił silnik i przejechał kilka ulic dalej, pod nowoczesny apartamentowiec przy Balatonie. Deszcz wciąż padał, choć już nie tak intensywnie. Gdzieś tam przez cienką warstwę chmur widać było wypłowiwały fragment nieba.

Olgiard uznał więc, że w takich warunkach nie będzie się wciskał pod podwozie, żeby odnaleźć transponder sygnału GPS. Zresztą to była tylko formalność.

Wysiadł z samochodu, zabrał plecak, ale zostawił karimatę i śpiwór, i podbiegł do klatki, mijając kałuże. Wbił kod i elektromagnes w drzwiach zwolnił blokadę.

Nie zamierzał czekać na windę, wybrał schody i w końcu stanął przed drzwiami swojego mieszkania, obok których stał czerwony wózek Amelki.

Zastukał, bo nie chciało mu się szukać kluczy.

Otworzyła mu matka Kingi, która przywitała go wymuszonym uśmiechem, po czym podała mu chłodną dłoń.

Olgiard umył ręce i przywitał się z córką, która leżała na łóżku obok Kingi w sypialni. Śledził ruchy rozbieganych oczu dziecka i czekał, aż mała skupi na nim wzrok i odwzajemni uśmiech. A kiedy to nastąpiło, pocałował ją w czoło i chwycił wiotką, ciepłą rączkę. Paluszki natychmiast zacisnęły się na jego kciuku.

Potem pocałował Kingę, która odgarnęła z czoła przetłuszczoną grzywkę.

Zmęczenie odcisnęło piętno na jej twarzy i pogłębiło niezauważalne wcześniej drobne zmarszczki w kącikach ust i przy nozdrzach, a także na czole. Patrzyła na niego spod lekko rozwartych powiek, a sine półksiężycy ciążyły jej pod oczami i wydawały mu się dużo wyrazistsze niż ostatnio. Brak dobrego makijażu, drogiego pudru, którym zazwyczaj pacykowała cerę, ujawnił niedoskonałości i kilka pękniętych naczynek wokół nosa i na policzkach.

Spojrzał jej w oczy i pogłaskał ją po udzie.

– Jesteś śliczna – wyszeptał.

– Kłamca – pogroziła mu palcem i wygięła usta w podkowę.

– Jak się czujesz?

Uniosła brwi.

– Wszystko okej? – Olgierd wzbił się na wyżyny aktorstwa i próbował udawać zafrasowanego.

– Potrzebuję cię w domu. Powinieneś wziąć urlop tacierzyński.

Odczekał chwilę i wziął Amelkę na rękę. Córka nie protestowała; wsunęła sobie piąstkę do ust, którą Olgierd od razu wyjął i prychnął, żeby odwrócić jej uwagę. Zaśmiała się, więc to powtórzył, nadymając policzki.

– Jaki urlop? – udał, że nie dosłyszał.

– Tacierzyński.

– To są takie?

– Tak. Już od dawna. Mógłbyś iść na taki urlop.

– Ale wtedy chyba ty musiałabyś wrócić do pracy – odparł, podchodząc z córką do okna. Ciemne wody Balatonu odbijały obraz przeredzonych chmur i drzew rosnących wzdłuż linii brzegowej. Ścieżką wokół stawu szły trzy korpulentne kobiety z kijkami do nordic walking, a po drugiej stronie Olgierd zauważył rowerzystę w kasku.

– Tylko formalnie. Rodzice przecież i tak daliby mi wolne. Więc moglibyśmy wreszcie pobyć razem.

Przez chwilę nic nie mówił, tylko czekał, a ponieważ Kinga nie kontynuowała, zapytał:

– Kiedy mama przyjechała?

– Wczoraj, ale jutro musi jechać z ojcem na ważne spotkanie do Poznania.

– Okej. Poradzisz sobie? – zatroszczył się.

– Nie zapytasz, po co tam jadą?

– Nie zamierzał.

– Pewnie kręcą jakiś biznes, nie? – Amelka chciała chwycić go za nos, ale jej drobna dłoń nie trafiała do celu, bo Olgierd dla zabawy kręcił głową.

– Finalizują otwarcie oddziału i potrzebują ludzi do pracy. Chcą wystartować tam z początkiem grudnia.

Przygryzł wargę, wiedział, co to oznacza. Znowu będzie próbowała go namówić do zmiany pracy.

– Nie brnij w to, nakazał sobie.

Zerknął ukradkiem na zegarek stojący na stoliku nocnym. Wiedział, że powinien zbierać się do drogi. Miał jeszcze niewiele ponad kwadrans, jeśli zamierzał być wcześniej w Grudziądzu. Liczył na to, że zdąży zjeść coś ciepłego w domu, ale uznał, że zaspokoi narastający głód dużym hot dogiem na stacji benzynowej.

W domu panowała cisza. Nie dobiegały go dźwięki z telewizora. Matka Kingi musiała być pogrążona w lekturze.

– Dominika śpi w salonie?

– Nie, w twoim pokoju komputerowym – odparła żona.

Borewicz pocałował córkę w czoło i pogłaskał kciukiem pulchne policzki. Poruszała ustami, gotowa do obdarowania go kolejnym uśmiechem.

Podszedł z nią do Kingi i położył córkę obok matki.

– Muszę jechać. – Nachylił się, żeby pocałować żonę, ale zrobiła unik.

– Myślałam, że jesteś gotowy zmienić pracę? – stwierdziła, wpatrując się w okna.

– Jestem, ale wolę zostać w policji.

– Mógłbyś pracować u rodziców.

– Gdzie, w Poznaniu?

– Nie, tam akurat wysyłają szefa tutejszego oddziału. Mógłbyś zająć jego miejsce.

– Muszę jechać – powtórzył z niepotrzebnym naciskiem.

– No jasne! Pan podkomisarz musi jechać, bo ma śledztwo! – Nakręcała się. – Musi łapać przestępców, złych ludzi, którzy zagrażają światu. Ma misję. Ma jakąś pierdoloną misję. – Klepnęła ręką w kódrę obok dziecka, aż Zero Siedem się zdrygnął. – Będzie jeździł z tą pizdą i spał nie wiadomo gdzie, bo musi łapać złych ludzi.

Przełknął ślinę, czując, że serce zaczyna mu mocniej bić. Starał się oddychać równomiernie, chociaż oddech wyraźnie mu się spłycił.

Widział, jak dłoń żony zaciska się na poszewce, a rysy twarzy tężeją w złości.

Uniósł dłonie w geście poddania i wyszedł z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

Kiedy się odwrócił, trafił na matkę Kingi. Stała w korytarzu z założonymi rękoma.

– Naprawdę nie możesz być dla niej miły? Teraz gdy jest jej tak trudno? – wyszeptała z wyrzutem.

Minął ją bez słowa, podniósł plecak, który zostawił przy drzwiach wyjściowych, i poszedł do pokoju komputerowego. Było to małe biuro Olgierda, w którym znajdował się jego komputer z dwoma dużymi ekranami.

Posłane łóżko okrywał koc, który marszczył się na panelach. Obok znajdowała się otwarta walizka z rzeczami Dominiki.

Olgierd postawił plecak na biurku i odwrócił się do szafy. W jej górnej części znajdował się sejf elektroniczny. Wbił sześciocyfrowy kod i niewielkie drzwiczki odchyliły się ze szmerem. Wtedy usłyszał, że teściowa wchodzi do pokoju.

– Ciągłe nie ma cię w domu. Kinga odchodzi od zmysłów – rozpoczęła tyradę. – Powinieneś się zastanowić, czy słusznie postępujesz.

– I kto to mówi? – zerknął najpierw na nią, a potem na otwarty sejf i jego zawartość. – Ty, której nie było w domu, bo ciężko pracowałaś, by mieć sześciocyfrową kwotę na koncie. Ty, która zatrudniałaś opiekunki do Kingi, bo nie miałaś czasu albo ochoty na siedzenie

w domu z dzieckiem. Serio, ty mnie chcesz pouczyć? – zdenerwował się, po czym trzasnął teatralnie drzwiami od szafy, tak żeby się zamknęły. Oparł dłonie na biodrach i stanął z nią twarzą w twarz.

– Nie rozmawiamy o mnie – syknęła, marszcząc brwi.

– Owszem, rozmawiamy. Od początku mojego małżeństwa wkładacie nam kij w szprychy, skłóćcie nas ze sobą z powodu tego, kim jestem i czym się zajmuję.

Matka nabrała powietrza i chciała odeprzeć słowny atak, ale Borewicz jej nie pozwolił.

– Jeśli rozpierdolicie mi małżeństwo, gorzko tego pożałujecie. To będzie wasza wina. Tylko i wyłącznie wasza wina – skwitował.

W szeroko otwartych oczach Dominiki po raz pierwszy dojrzał strach.

Zadrżała jej zuchwa, jakby chciała coś powiedzieć. W końcu skierowała się do wyjścia, ale w drzwiach przystanąła i odwróciła się do Borewicza.

– Skrzywdź moją córkę, a nigdy więcej nie zobaczysz naszych pieniędzy – powiedziała, unosząc wysoko brodę i mierzając go chłodnym wzrokiem.

Borewicz wytrzymał jej spojrzenie.

– Wiesz, dlaczego nie chcę przyjąć waszej oferty? – odezwał się, gdy kobieta już przekraczała próg.

– Bo jesteś uparty jak osioł.

Uśmiechnął się.

– Raczej dlatego, że moi koledzy z przestępczości gospodarczej od ponad roku przyglądają się temu, co dzieje się w waszej firmie z podatkiem VAT – skłamał, bo nic takiego nie miało miejsca. Ale ponieważ drgnęła, domyślił się, że trafił idealnie. – Dobrze ci radzę, zrób z tym porządek, zanim sami zaczniecie zapierdalać w skarpetach po Bydgoszczy, a waszą firmę będzie wyprzedawał syndyk.

Próbował wyczytać coś w jej twarzy, ale nie doczekał się żadnej reakcji. Po prostu wyszła z pokoju.

Olgiert przetarł twarz i gapił się w szafę. Miał ochotę kopnąć ją tak mocno, żeby się rozpadła.

Spojrzał na zegarek i zamarł.

Już dawno powinien siedzieć w samochodzie.

Otworzył drzwi szafy, a następnie wsunął dłoń do sejfu.

Jego palce zacisnęły się na ciężkiej, zimnej stalowej rękojeści.

Taksówka zatrzymała się pod domem, który przysłaniały rosłe świerki. Przez gęste gałęzie dostrzegł światło w jednym z okien.

– Zaczekać? – Kierowca zerknął przez ramię na tylną kanapę.

– Ile mamy na liczniku? – zainteresował się Kurek.

– Sto dwadzieścia złotych.

– Kartą można zapłacić?

– Można.

– W takim razie bądźmy cierpliwi – poprosił emerytowany gliniarz i rozwinął kartkę, na której zapisał numer telefonu Magdaleny Bickiewicz. Zdobył go w jednym z sąsiednich gospodarstw u starszej kobiety, która wyraźnie kuśtykała na lewą nogę i chwyciła się za biodro.

Zapytał ją o drogę do posesji Bickiewiczów, a ona się zdziwiła, bo widziała przez okno, że przyjechał taksówką.

– Złotowa powinien znać drogę, w końcu za coś bierze kasę, nie? – zaskoczyła go.

Machnął ręką.

– Tacy to dzisiaj są taksówkarze, droga pani. Nie to, co kiedyś – uznał i powiedział, że jest policjantem i musi uprzedzić domowników o swoim przyjeździe. – Takie są procedury wobec osób, które mogą pomóc w śledztwie.

– A w czym Bickiewiczowa może wam pomóc? Ciągnie się za nią jakiś smród z dawnych lat? Albo za tym jej gangsterem, co? – Kobieta skrzywiła się z bólu i rozmasowała biodro.

– Nie, to nie ma nic wspólnego z przeszłością. Chodzi o świeżą sprawę, ale proszę mi wybaczyć – Kurek uśmiechnął się serdecznie – nie mogę mówić o szczegółach. Tajemnica śledztwa. – Potarł dłonie.

– A od kiedy to policja taksówkami jeździ? Poza tym pan mi coś jest za stary na gliniarza. – Odsunęła palcem firankę i spojrzała przez okno.

– Gdybym przyjechał radiowozem, cała wieś by o tym plotkowała. A tak o mojej wizycie będziemy wiedzieli tylko Magdalena Bickiewicz i ja – stwierdził, po czym się zreflektował i wskazał na kobietę palcem. – No i oczywiście pani, ale zgodnie z postanowieniami Kodeksu karnego muszę zobowiązać panią do dyskrecji. Mam nadzieję, że pani to rozumie.

– A niby komu ja bym miała paplać jęzorem? I po jaką cholere? Czy ja swojego życia nie mam? – Oburzyła się i pokuśtykała do komody, na której leżał telefon. – Ma coś do pisania?

Kurek wyciągnął notes i długopis, a następnie zanotował numer i poprosił o wskazanie drogi. Kiedy wychodził, odwrócił się do kobiety.

– Piękna okolica. – Rozejrzał się rozmarzonym wzrokiem po polach i zawiesił wzrok na pobliskim lesie, który otaczał gospodarstwo od północy.

– Wieś jak wieś – wzruszyła ramionami.

– Cicho tu i spokojnie – zauważył.

– Nie narzekamy.

– To jedyna droga prowadząca do Bickiewiczów? – wskazał palcem na trakt.

– Jedyna i ślepa. Dalej, tam gdzie oni mieszkają, są już tylko pola. A co?

– Czyli jeśli ktoś jedzie do nich, to musi przejechać tą drogą.

– No skoro nie ma innej, to niby jak ma jechać?

– Ma pani rację – zaśmiał się. – A ostatnio sporo samochodów tu jeździ?

– Sporo. Policyjnych głównie.

Kurek pokiwał głową. Zaskoczyła go.

– Skąd pani wie?

– Bo tak jak pan pytali mnie o drogę. Tylko że nie straszili mnie żadnym kodeksem.

– Pamięta pani, jak wyglądali? – Kurek zignorował ten wyrzut.

– Wóz prowadził facet, łysy, grubawy. A kobieta kurzyła jak smok. Chuda taka, z włosami spiętymi w kitkę.

– I to wszystko?

– Wszystko.

Podziękował za informację i wyszedł.

Kurek zatrzasnął drzwi taksówki, po czym podciągnął spodnie. Rozejrzał się po gospodarstwie Bickiewiczów i zanotował w pamięci, że na sporej ogrodzonej przestrzeni z jedną bramą wjazdową znajduje się kilka podobnych domów.

Nieco dalej blask wysokich lamp oświetlał wybrukowany plac przed dużą halą, wykończoną niebieską blachą. Przy ogrodzeniu stała pusta naczepa.

Taksówkarz zgasił silnik i nastąpiła cisza, którą po chwili wypełniły odgłosy ptaków i szum sosen kołysanych przez wiatr. Wierzchołki drzew odcinały się postrzępioną czarną linią od jaśniejszego nieba.

Kurek wyjął telefon i zadzwonił pod zdobyty numer.

– Halo? – usłyszał kobiecy głos.

Przedstawił się i spytał:

– Pani Magdalena Bickiewicz?

– A o co chodzi?

Kurek zauważył ruch w oknie.

– Stoję przed pani domem i chciałbym zamienić z panią kilka słów o starych czasach, ale zapewniam, że nie ma to nic wspólnego z działalnością pani męża.

– Skąd pan ma mój numer?

– To chyba nie jest tak istotne jak to, kto mnie tu przysłał.

Kobieca sylwetka w oknie się poruszyła i nagle wewnątrz przysłoniły żaluzje.

– Powie mi pan?

Kurek rozejrzał się ponownie.

– Powiem, jak wpuści mnie pani do domu.

Połączenie zostało zerwane.

Kurek wsunął rękę w kieszenie.

– No dalej – mruknął pod nosem, wpatrując się w drzwi, ale nic się nie wydarzyło.

Zastanowił się, czy powinien jeszcze raz do niej zadzwonić, ale odpuścił. Uznał, że niczego w ten sposób nie zwojuje. Musiał znaleźć inny sposób, żeby poznać odpowiedzi na nurtujące go pytania.

Szarpnął drzwi i usiadł na kanapie mercedesa.

– Wracamy? – zagadnął go kierowca, który natychmiast uruchomił silnik.

– Tak. Niech pan jedzie na Kalinkową. – Kurek zapiął pas.

Światło w kabinie zgasło i reflektory oświetliły drogę, która kończyła się równo z ogrodzeniem hali. Kierowca pojechał do przodu i nawrócił przy wjeździe na teren posesji Bickiewiczów.

Kurek zamknął oczy i oparł głowę na zagłówku.

Wóz ruszył wolno i zakołysał się na nierównościach.

– O! I co teraz? – spytał taksówkarz.

Emerytowany policjant uniósł powieki i zobaczył, że kilkanaście metrów przed nimi Magdalena Bickiewicz w pikowanej kurtce narzuconej na ramiona macha ręką, żeby się zatrzymali.

– Zmiana planów. Niech pan zaczeka – poprosił Kurek, a gdy wóz się zatrzymał, wysiadł.

– Kto pana przysłał? – odezwała się głośno kobieta.

Kurek pokazał na dom.

– Tam.

– Co: tam? – zapytała buńczucznie.

– Tam wszystko pani powiem – obiecał.

Drzwi starej leśniczówki nawet nie drgnęły.

Herman pociągnęła mocniej, ale nic to nie dało.

Zerknęła w kierunku Jaronia, który odetchnął z ulgą.

– Wyluzuj – odezwał się.

Komisarz zeszła z ganku i stanęła przed policjantem. Musiała unieść głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Obejdę teren, a ty w tym czasie odstaw wóz. – Wskazała głową w kierunku bramy. – Lepiej, żeby Toboła cię tu nie widział.

– Maria, poczekaj. – Jaroń uniósł otwartą dłoń. – Zdajesz sobie sprawę z konsekwencji?

– Tylko się rozejrzę.

– I co dalej?

– Jeśli na coś trafię, załatwimy formalne przeszukanie.

– Ale na jakiej podstawie? – Rozłożył ręce.

Maria nie знаła odpowiedzi na to pytanie.

– Masz rękawiczki? I latarkę? – zwróciła się do niego.

Deszcz spływał jej po włosach i po czole.

– W mokrych butach zostawisz na podłodze od cholery śladów.

– Odstaw samochód – przypomniała i ruszyła do bramy.

Usłyszała, że Jaroń idzie jej śladem. Herman skierowała się na tył wozu. Krople deszczu bębniły w dach forda i rozбивały się na mniejsze.

– Potrzebuję latarki i rękawiczek – powtórzyła.

Policjant pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Nie spotkałeś się ze mną, nie podwoziłeś mnie. Pojechałeś po prostu przepytac sąsiadów Toboły w związku z odnalezieniem zwłok Witberga. To od nich wiesz, że Toboła tu mieszka – stwierdziła, gdy Jaroń uniósł klapę i zajrzał do bagażnika.

Podał jej parę lateksowych rękawiczek, które wyciągnął z kartonowego pudełka, i latarkę ledową. Wcześniej ją przetestował, oświetlając wysprzątaną kufer z koszykiem na samochodowe graty.

– Dzwoniłem do ciebie – przypomniał.

– Z numeru żony. Nikt tego nie sprawdzi. Zresztą nie będzie powodu, jeśli się pospieszysz.

Jaroń zamknął bagażnik i przeszedł do drzwi kierowcy. Usiadł w samochodzie.

Warkot silnika rozszedł się po lesie.

Maria nie czekała, aż kolega wycofa się spod bramy. Ruszyła w kierunku domu, ale minęła ganek i podeszła do drewnutni. Drzwi były zamknięte na pordzewiały skobel. Zdjęła go i wślizgnęła się do środka. Intensywny zapach drewna podrażnił jej nozdrza.

Włączyła latarkę i przesunęła owal światła po ubitej ziemi, a następnie po drwach ułożonych w dwóch rzędach po lewej. Leżało ich więcej niż ostatnio. Oparte o ścianę domu narzędzia i niechlujnie pozwijane węże ogrodowe były w tym samym miejscu.

Drugie drzwi do domu, których wcześniej nie zauważyła, bo przysłaniał je regał zbity ze zmurszałych powykrzywianych desek, znajdowały się na końcu pomieszczenia. Herman poszła w tamtą stronę i przyjrzała się zawartości prowizorycznego mebla, na którym stały kanistry, olej maszynowy, stare puszki z farbami, rozpuszczalniki, a także zerwany pordzewiały łańcuch od piły mechanicznej. Kilka ogniw leżało obok w nieładzie.

Dopiero gdy stanęła bliżej regału, wyczuła słodkawy smród paliwa i przeszedł ją dreszcz.

Zdała sobie sprawę, że jeśli to jest miejsce, w którym Tobała zabił Witberga, być może właśnie utrudniła robotę technikom kryminalistyki.

Mimo to pociągnęła za klamkę.

Lecz te drzwi także były zamknięte.

Znieruchomiała, gdy z cichnącego szumu deszczu wyłowiła wyraźny trzask łamanej gałęzi.

Dźwięk dobiegł od strony lasu.

Komisarz natychmiast zgasila latarkę i przez prześwity między deskami, z których zbito drewnutnię, spoglądała na zewnątrz. W pewnej chwili, gdzieś na granicy polany, między krzewami dostrzegła ruch i bezwiednie wstrzymała oddech. Serce biło jej w szaleńczym rytmie, krew szumiała w uszach. Przez chwilę nic innego nie słyszała, a intensywne ciepło rozlało się jej po policzkach.

Wtedy z lasu wyłoniła się sarna.

Potruchtała przez polanę, ominęła ogrodzenie i zwinnie wskoczyła między następne krzaki, których gałęzie zafalowały.

Herman przymknęła oczy i wypuściła powietrze.

Drżały jej nogi, gdy opuszczała drewnutnię.

Przeszedłszy na tył domu, zobaczyła niewielki dwuspadowy dach nad studnią.

Borewicz miał rację. Pokrywa zbita z desek leżała na wierzchu studni i ważyła chyba tonę. Herman spróbowała ją podnieść.

Zebrała siły i napięła mięśnie, zaciskając szczęki.

W końcu pokrywa drgnęła, a spod niej zwiesił się metalowy wspornik. Maria oparła go o wyżłobienie w rancie betonowego kręgu i odsapnęła. Uruchomiła latarkę i wsunęła głowę, żeby zajrzeć do środka. W jej nozdrza uderzył zapach zgniłych jaj i Herman, próbując się wycofać, uderzyła potylicą o spód włazu.

Jęknęła.

Nabrała powietrza i zasłoniła sobie nos mankietem kurtki. W drugiej ręce trzymała latarkę. Ponownie się nachyliła nad wnętrzem studni, w której każdy, nawet najmniejszy dźwięk, niósł się głuchym echem.

Światło odbiło się od gładkiego lustra wody, które znajdowało się głęboko pod ziemią. Tuż przy betonowej ścianie zauważyła coś, jakby czarną taśmę. Przyjrzała się jej uważnie, zwróciła uwagę na plastikowe zaczepy i metalowe kółka. Nie byłaby w stanie wyłowić tej taśmy.

Wysunęła się spod włazu i ponownie przyjrzała się studni. Legary utrzymujące dach były przewiercone i tkwiły w nich metalowe przerdzewiałe tuleje. Uznała, że kiedyś między nimi musiał się znajdować kołowrotek z zamocowanym wiadrem na łańcuchu.

Opuściła wąż i się rozejrzała.

Mrok zapadał szybko. W obu podwójnych oknach, które wychodziły na tę część polany, odbijało się ciemniejące niebo i poszarpana niczym przedarta kartka linia wierzchołków drzew, którą miała za plecami.

Herman zajrzała przez oba okna. W pierwszym pomieszczeniu natrafiła na byle jak poustawiane stare regały i stoły, zniszczone fotele i nieprzydatne niekompletne krzesła, częściowo przykryte dziurawym pledem. Na przeciwległej ścianie wisiały myśliwskie trofea, poroża zwierząt wyrastające z wypreparowanych i wygotowanych białych czaszek. Było ich kilkanaście, różnej wielkości, i zajmowały niemal całą powierzchnię ściany z drewnianych bali.

Za drugim oknem znajdowała się kuchnia. Wysłuzony drewniany kredens z nadstawką musiał pamiętać wczesne lata powojenne. Żeliwny dwukomorowy zlew poszarzał ze starości.

Okna były zamknięte. Uchylony pozostał jedynie niewielki kwadratowy lufcik, prawdopodobnie w łazience. Herman nie była w stanie go dosięgnąć. Obeszła więc dom z drugiej strony i dotarła na ganek. Tam zajrzała pod ciężką, brudną wycieraczkę, przyjrzała się drewnianej framudze i próbowała wymacać, czy Tobała nie ukrył klucza nad drzwiami. Nigdzie go jednak nie znalazła.

Karmiła się nadzieją, że uda jej się dostać do środka, ale okazało się to niemożliwe. Jediną szansą byłoby więc włamanie lub próba użycia wytrycha. Herman jednak nie znała

takich sztuczek. Z zażenowaniem oglądała kryminały, w których śledczy umieli otworzyć każdy zamek spinaczem do papieru.

Absurd.

Sięgnęła po telefon, żeby zadzwonić do Jaronia, gdy nagle usłyszała pochrząkiwanie, jakby ktoś próbował odkrztusić flegmę. Potem ktoś splunął.

Herman zeszła po cichu z ganku i schowała się za rogiem domu. Wyjrzała dyskretnie. Mrok, który wyganiał szarość z polany, działał na jej korzyść.

W pobliżu bramy dostrzegła Tobołę.

Szedł pewnym krokiem, paląc papierosa. Maria spostrzegła niewielki, żarzący się okrąg i smugę dymu, którą wypuszczał z ust. Minął wrota i zamknął je ze zgrzytem zawiasów. Herman wycofała się i zamarła. Nasłuchiwała odgłosu ciężkich kroków na betonowym ganku, zgrzytu klucza w drzwiach. Zamiast tego usłyszała westchnienie. Dopiero po chwili buty zaszurały na betonie.

Herman podeszła bliżej i uważnie nasłuchiwała.

Toboła ponownie splunął. Coś zabrzęczało na betonie.

– Kurwa – stęknął mężczyzna.

Herman założyła, że Toboła przypadkowo upuścił klucze, po które się schylił, belkocząc coś pod nosem. Wreszcie zazgrzytały zamki i drzwi jęknęły. Kiedy trzasnęły o framugę, ponownie nastała cisza, wypełniona poszumem wiatru głąskającego krzewy i korony drzew.

Maria odsunęła się od narożnika domu i czekała, aż wewnątrz zapali się światło.

Rozbłysło w pierwszym pokoju. Herman ostrożnie się zbliżyła i zajrzała do wnętrza.

Toboła, odwrócony do niej plecami, zdjął brudny ocieplacz i rzucił go na łóżko, po czym wyszedł i skręcił w prawo, jakby z powrotem chciał przejść w kierunku ganku. Maria się wzdrygnęła i oczekiwała na ponowny odgłos otwieranych drzwi. Wtedy wpadłaby na całego. Na szczęście Toboła nie wyszedł z domu.

Na przeciwległej ścianie znajdowała się duża szafa z uchylonym skrzydłem drzwi. Z tej pozycji Herman nie miała szans dostrzec, co znajduje się w środku. Bezpośrednio pod oknem ustawiono tapczan, na którym leżała skotłowana pościel z pożółkłymi wykwitami i smugami brudu na prześcieradle. O wezglowie łóżka opierał się bok biurka, zagraconego papierzyskami.

Herman spojrzeła w kierunku drzwi do pokoju i na fragment korytarza, który znajdował się w zasięgu jej wzroku. Zauważyła cień na podłodze, a zaraz potem brudne buty Toboły, więc kucnęła pod oknem, a wtedy ciszę rozdarł głośny dźwięk telefonu.

Wcisnęła dłoń do kieszeni kurtki i próbowała wyciszyć aparat, zakryć go ręką, żeby przestał wyć, i jednocześnie zerwała się do biegu w kierunku bramy. Kiedy pchnęła skrzydło i przekroczyła granicę działki, poczuła nagle szarpnięcie. Kurtka zaczepiła się o wystający

gwóźdź. W panice próbowała wyszarpnąć materiał z zaczepu, gdy drzwi domu jęknęły i na ganek wylało się żółte światło, a zaraz potem przesłonił je wielki cień Toboły.

Herman pociągnęła mocniej materiał, a kiedy rozdarł się jeszcze bardziej, wreszcie się uwolniła i pobiegła w kierunku drogi, starając się chować za pobliskimi drzewami.

– Ej! – usłyszała ryk byłego gangstera. – Stój, kurwa!

Nie odwracała się, biegła przed siebie do rozwidlenia dróg. Nieco dalej zauważyła wóz Jaronia i rozświetlone okna na parterze starego domu. Zatrzymała się i dysząc ciężko, zerknęła przez ramię na drogę prowadzącą do leśniczówki. Uznała, że nie może pobiec wprost do domu sąsiadów, bo Toboła mógłby ją zobaczyć, więc skręciła w stronę wyjazdu z Czapelek do drogi krajowej i mimo ciężących mięśni ud zmusiła się do dalszego biegu.

W końcu, zdyszana, ukryła się na leśnej ścieżce.

Oparła dłonie o kolana, próbując złapać oddech. Papierosowy nałóg odebrał jej resztki kondycji. Dopiero teraz poczuła ból małych palców u stóp, które – zapewne odarte ze skóry w trakcie biegu w nieprzystosowanych do tego botkach – szczypały nieznośnie.

Zerknęła przez gałęzie i próbowała wychwycić jakikolwiek ruch na drodze. Być może Toboła nie rzucił się w pogoń za nią. Po prostu próbował odstraszyć kogoś, kto wszedł na jego teren. A czy ją rozpoznał? Herman w to wątpiła.

Kiedy już mogła spokojniej oddychać, sięgnęła po papierosa i zapaliła, żeby opanować nerwy. Zaciągnęła się i zakasłała, a następnie wyjęła aparat i przeklęła się w duchu, że nie wyciszyła go, zanim weszła na teren działki Toboły. Ten błąd mógł ją drogo kosztować.

Na wyświetlaczu pojawiła się informacja o nieodebranym połączeniu.

Sprawdziła, kto dzwonił.

Porajski.

Wybrała numer młodego hazardzisty.

– Halo, Maria? – rzucił energicznie do słuchawki.

– Co tam? – odezwała się szeptem.

– Przeszkadzam ci? Mogę zadzwonić później – zaoferował się.

– Mów. Byle szybko.

– Nie uwierzysz. Dzwonił do mnie Bickiewicz. Chce się dogadać w sprawie spłaty.

– A widzisz, czyli jednak moje rady na coś się przydały.

– Twierdził, że mam tobie podziękować, dlatego dzwoniłem. Nie wiem, jak to zrobiłaś, ale...

– Daj spokój – weszła mu w słowo. – Lepiej byś zrobił, gdybyś poszedł na terapię – poradziła, ale natychmiast zganiła się za to w duchu i dodała: – Oczywiście, jeśli naprawdę chcesz wygrać z uzależnieniem.

Usłyszała, że Porajski się zaśmiał.

Nie wyczuła w tym śmiechu żadnego nerwowego napięcia, nieznośnej sztuczności, charakterystycznej dla kogoś, kto próbuje maskować prawdziwe emocje. Wręcz odwrotnie. Pierwszy raz doświadczyła jego szczerej radości i żałowała, że nie widzi teraz twarzy Jakuba.

– Dzwonię, bo właśnie mamy przerwę w terapii – wyjaśnił Porajski. – Ale muszę już wracać. Odezwę się później.

Herman nabrała powietrza i zgasiła peta o jasną korę brzozy.

Wyciszyła aparat i właśnie chowała go do kieszeni, gdy światła reflektorów zatańczyły na liściach pobliskiej akacji.

Od strony drogi krajowej jechał jakiś samochód.

Kiedy wyłonił się zza drzew, Herman skupiła uwagę na taksówkarskiej gapie rozświetlonej na dachu. Cofnęła się w głąb lasu, a gdy wóz przejechał obok, zauważyła ciemną sylwetkę na tylnej kanapie. Przyglądała się pojazdowi, który zatrzymał się przed rozwidleniem dróg. Czerwone światła stopu rozbłysły w ciemności, a ich refleksy układały się na mokrej trawie i liściach młodego dębu.

Herman przelknęła ślinę i czekała, co zrobi kierowca.

Po chwili intensywna czerwień przestała kłuć ją w oczy. Kierowca dodał gazu i wrzucił kierunkowskaz.

Pomarańczowe światło mrugało i Herman poczuła, że serce znowu podchodzi jej do gardła.

Taksówka skręciła w prawo, prosto do domu Toboły.

Herman uznała więc, że musi tam jak najszybciej wrócić.

Ciemność zapadła nagle.

Stare reflektory toyoty rzucały liche snopy światła, które ledwie rozpraszały mrok.

Borewicz trzymał pewnie kierownicę, a chłodny wiatr uderzał w szyby i świstał przeraźliwie. Boczne podmuchy szarpały toyotą i musiał uważać, by utrzymać wóz w ryzach.

W Dolnej Grupie skręcił na rondzie na Grudziądz i pomasował spięty kark. Rozdzwoniła się jego komórka i chociaż nie rozpoznał numeru, postanowił odebrać.

– Dobry wieczór, panie władzo, Borsik mówi. Był pan u mnie dzisiaj.

– Tak, pamiętam. W czym mogę pomóc?

– Będę wdzięczny, jeśli powie mi pan, dlaczego pan skłamał, panie władzo – zganił go mężczyzna.

– Słucham? – zdziwił się Olgierd, mrużąc oczy przed natarczywym światłem reflektorów samochodów jadących z przeciwka.

– Okłamał pan Wacka Kowalskiego.

– Może pan mówić jaśniej?

– Ależ oczywiście, że mogę, bo nie zamierzam tego tak zostawić. Złożę na pana skargę na komendzie – zagroził Borsik.

– Ale o co chodzi? – Olgierd podniósł głos.

– Podobno powiedział mu pan, że zeznałem, że to Wacek rozpoznał Witberga.

Borewicz drgnął.

– Musiało mu się coś pomylić – skłamał. – Źle mnie zrozumiał.

– Obawiam się, że zrozumiał pana doskonale. Przyjechał do mnie z awanturą, że bezczelnie okłamałem policję – uniósł się mężczyzna.

– Zapewniam pana, że to jakieś idiotyczne nieporozumienie. Dokładnie pamiętam, co mi pan powiedział – zapewnił Zero Siedem. – Mam to nawet zapisane.

– Zapisane? Co pan kombinuje? Przecież nie miał pan przy sobie żadnego notesu.

– Spisałem notatkę po spotkaniu, to standardowa procedura. Niech pan poczeka, zaraz to odnajdę... – Olgierd zrobił pauzę, jakby rzeczywiście szukał czegoś w notesie i przewracał w nim kartki. – O, jest, proszę bardzo. „Świadek, Borsik Janusz, lat siedemdziesiąt dwa, zeznał, że rozpoznał ofiarę postrzału i poinformował pozostałych członków ekipy

ratowniczej, w tym świadka Kowalskiego Waclawa, lat sześćdziesiąt siedem, że mają do czynienia z Andrzejem Witbergiem, ojcem zaginionego małoletniego Filipa Witberga”.

Borsik nie odzywał się przez chwilę.

– Cholera jasna! – zmartwił się starszy mężczyzna. – W takim razie nic z tego nie rozumiem.

– Ja tym bardziej – Olgierd starał się udobruchać rozmówcę. – Wygląda jednak na to, że obaj padliśmy ofiarą nieporozumienia. Mnie też to stawia w złym świetle. Będę musiał to wyjaśnić.

– No tak, ma pan rację – zreflektował się Borsik. – Więc w co on gra?

Samochody przed Olgierdem zaczęły ostro hamować i błysk czerwonych świateł go oślepił. Z całej siły nadepnął hamulec. Tył dostawczaka, który jechał przed nim, rósł w oczach i Olgierd był przekonany, że toyota rozbije się o furgonetkę. Zatrzymał się kilka centymetrów przed nią i serce podeszło mu do gardła.

– Kiedy Kowalski pana odwiedził? – wydusił z siebie, gdy samochód przed nim ruszył. Sam też wrzucił jedynekę.

– Kilka godzin temu. Wpadł niezapowiedziany.

– Mówił pan, że nie utrzymujecie kontaktów. Skąd wiedział, gdzie pan mieszka?

– To moje stare mieszkanie, jeszcze po rodzicach. Możliwe, że Kowalski był tu kiedyś.

– Czy Kowalski mówił panu coś jeszcze? Rozmawialiście dłużej o tamtej sprawie? – spytał Borewicz.

– Nie. Po prostu był zły, że po tylu latach zacząłem kłamać.

Olgierd uniósł brwi.

– Aż tak go to zdenerwowało?

– Szczerze mówiąc, mnie też zdziwiła jego reakcja. Bo w sumie jakie to ma znaczenie, prawda? Witberga każdy z nas mógł rozpoznać, bo jego twarz stale przewijała się w telewizji i gazetach.

– A ten Kowalski zawsze był taki nerwowy? – Olgierd wjechał na most przez Wisłę.

– Czy ja wiem? – zastanowił się Borsik. – Chyba nie.

– Nigdy nie reagował tak emocjonalnie?

– Poza tamtą nocą raczej nie.

– Tamtą nocą?

– Chodzi mi o noc, kiedy udzielaliśmy pomocy Witbergowi.

– A co się wtedy stało? – Zero Siedem nie pamiętał zapisków z akt.

– No przecież Kowalski się pochorował i znowu poszedł na zwolnienie.

– Oj, tym razem to pan coś miesza. – Wzrok Borewicza ściągnęły wysokie spichrze w pomarańczowym świetle.

– Jak to mieszam? – Borsik się oburzył. – Po tym, jak już uratowaliśmy Witberga, Kowalski rzygał jak kot. Podobno się struł jakimś kebabem. Strasznie go brzuch bolał i poszedł na zwolnienie.

– Nie na zwolnienie, tylko na urlop. Na zwolnieniu był kilka tygodni wcześniej, kiedy złamał rękę. Zresztą krótko przed waszym wyjazdem do postrzału wrócił do pracy właśnie ze zwolnienia lekarskiego – przypomniał Olgierd.

– Może i tak, już mi się wszystko miesza. Ale z tą ręką to teraz pan się raczy wygłupiać – prychnął.

Olgierd nie zdążył się odezwać.

– To są bzdury, proszę pana. Kowalski nie złamał żadnej ręki – kontynuował Borsik.

– No jak to? Przecież mamy w aktach jego zwolnienie lekarskie.

– Mówię panu: żadnej ręki nie złamał – zarzekał się emeryt.

– A skąd pan to wie? – Olgierd wjechał do miasta i skręcił w lewo, gdy rozbłysło żółte światło sygnalizacji drogowej.

– No bo kilka dni później stałem w kolejce do rzeźnika na Kartoflaku, wtedy mięso kupowało się prosto z dostawczaka, takie to były czasy, i widziałem, jak Kowalski pcha się do taksówki. Nawet chciałem do niego podejść, ale wypadłbym z kolejki, więc odpuściłem.

– A kiedy to było?

– Oj, nie pamiętam, ale jakoś krótko po tym, jak poszedł na zwolnienie.

– I co? Naprawdę nie miał gipsu na rękę? – dopytywał Borewicz.

– Ani na rękę, ani na nodze.

– Jest pan pewny?

– No, panie kochany, a pan dałby radę ze złamaną ręką wózek dziecięcy pakować do bagażnika?

Magdalena Bickiewicz mieszkała sama w dużym domu.

Kiedy Kurek wszedł tam za nią, odebrała telefon komórkowy i zanim się odezwała, słuchała przez chwilę rozmówcy.

– Nie, nie trzeba – uznała i spojrzała przez okno w kierunku jednego z pobliskich domów.

Kurek patrzył nad jej ramieniem i w oddali dostrzegł ciemną postać na tle rozświetlonego okna.

– To nic ważnego, mówię ci. Dam sobie radę. – Zerknęła przez ramię na emerytowanego policjanta. – Zresztą to nie potrwa długo.

Kurek zapewnił ją o tym skinieniem głowy.

– Dobrze. Pa! – dodała i się rozłączyła.

– Kochający syn – rzucił Kurek.

Kobieta nie skomentowała. Wyglądała na zmęczoną, miała w półprzymknięte oczy. Wskazała byłemu policjantowi krzesło przy stole oddzielającym aneks kuchenny od niewielkiego, ale elegancko urządzonego salonu, wypełnionego kwiatami doniczkowymi. Lśniące liście figusa odbijały światło rozlewające się z lampy z witrażowym kloszem. Kolorowe plamy sięgały stołu, przy którym usiadł Kurek.

Kobieta zrobiła to samo chwilę później. Kurtka wciąż wisiała na jej ramionach, jakby było jej zimno.

– No to słucham – rzuciła oschle i skrzyżowała ramiona.

Kurek rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu rodzinnych zdjęć na komodach, przy telewizorze albo na ścianach. Nie znalazł ich, ale za to na podłodze leżało kilka zabawek, a wśród nich duży policyjny radiowóz.

Uśmiechnął się w duchu.

– Kto pana przysłał? – spytała, ewidentnie zła, że tak ostentacyjnie się rozglądał.

Przeniósł na nią wzrok.

– Pamięta mnie pani? – spytał, a kobieta lekko zmrużyła oczy i zmarszczyła czoło. – Zajmowałem się sprawą porwania Filipa Witberga. Byłem już kiedyś u pani – przypomniał. – Krótco po tym, jak się pani rozwiodła.

Zauważył, że rozszerzyły jej się źrenice. Wbiła paznokcie w przedramię i przeciągnęła nimi po skórze, zostawiając białe kreski, które po chwili zniknęły.

– Czego pan chce?

– Piszę książkę o tamtych zdarzeniach, o śledztwie i jego efektach. Dlatego pomyślałem, że powinienem się z panią spotkać.

– Nie zamierzam z panem rozmawiać – uniosła brodę. – Przez takich jak pan mój mąż trafił do więzienia i się powiesił.

– Ma pani krótką pamięć. Pani mąż odpowiadał za próbę wymuszenia okupu na Witbergach – przypomniał.

– Niczego mu nie udowodniliście – syknęła, a kiedy cisza stężała Kurkowi w uszach, dodała: – Jeśli tak ma wyglądać nasza rozmowa, to lepiej, żeby pan już sobie poszedł.

– Na pewno nie chce pani wiedzieć, kto mnie przysłał? – Emeryt czekał na jej reakcję. Nie odpowiedziała, patrzyła na niego w milczeniu i w końcu wbiła wzrok w blat drewnianego stołu. Paznokciem wodziła po czarnym niewielkim słoju.

– Domyślam się – odparła.

– Sprawą zaginięcia dziecka Witbergów na nowo zajęła się policja. Na pewno słyszała pani o jednostkach specjalnych nazywanych Archiwum X, które powołane są do zbadania niewyjaśnionych przestępstw. Dzięki nowoczesnym technologiom wykorzystywanym w śledztwach odnoszą niebywałe sukcesy w całej Polsce – Kurek celowo koloryzował obraz sytuacji. – Pamięta pani oskórowaną dziewczynę, młodziutką studentkę z Krakowa? Wie pani, że kilka lat temu policjanci schwytali wreszcie zabójcę?

Milczała, zwiesiwszy głowę.

– Nic nie dzieje się przez przypadek. Nie było w tym grama szczęścia, jedynie tytaniczna praca operacyjna, bo w Archiwum X pracują najlepsi gliniarze – kontynuował, a ona nadal wpatrywała się w blat stołu. – A tak się składa, że powrót do sprawy Witbergów zbiegł się ze śmiercią Andrzeja Witberga, którego znaleziono po sąsiedzku. Ale o tym na pewno już pani wie, prawda?

Nawet nie drgnęła.

– Czego pan ode mnie chce?

– Uczciwości i prawdy. – Kurek założył nogę na nogę i oparł się wygodnie. – Zaczniemy od tego, że na przestrzeni lat była pani kilkukrotnie przesłuchiwana w sprawach dotyczących przestępstw pani męża jako członka grupy Toboły, ale tylko dwa razy odpowiadała pani na pytania o porwanie dziecka.

– Mój mąż nie porwał żadnego dziecka! – zastrzegła.

– Do tego jeszcze wrócimy. Niemniej Jarosław Bickiewicz zdecydował się wymusić okup, bo chciał sięgnąć, jak zawsze zresztą, po łatwe pieniądze. Wykorzystał do tego celu jedno z pani dzieci, które zabrał do samochodu, nie myśląc o tym, że naraża jego życie. Powinien przewidzieć, że na miejscu pojawi się policja, że może dojść do użycia broni palnej i nieszczęśliwego wypadku...

– Niech pan już przestanie. – Zamknęła oczy. – Kto pana przysłał?

Kurek musiał wykorzystać jej emocje.

– Mój serdeczny kolega, były policjant służby kryminalnej Krzysztof Glacowski – odparł.

– W jakiej sprawie?

– Rozmawiałem z nim dziś po południu – rzucił Kurek lekkim tonem. – Prosił, żeby panią pozdrowić.

– To od niego miał pan mój numer i adres?

Kurek tylko się uśmiechnął.

– W jakiej sprawie pana tu przysłał?

– Już wyjaśniam. Ale żeby to pani ładniej zobrazować, muszę się cofnąć do końcówki lat dziewięćdziesiątych. I do tego, co już zdążyłem powiedzieć. Że tylko dwukrotnie była pani przesłuchiwana w sprawie porwania dziecka.

– I co z tego?

– Odwiedził panią ówczesny aspirant Bogdan Kąkol, wysoki, z nogami prostowanymi na beczce i pociągłą, trochę końską twarzą. Pamięta go pani?

– A nawet jeśli, to co?

– Niedługo potem Kąkol wyleciał ze służby z powodu sfingowanej współpracy z gangiem Toboły – przypomniał Kurek. – Ktoś sfabrykował informacje na jego temat, a moi szefowie dali się wykiwać.

– Nadal nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną?

– Oczywiście, że pani rozumie. Pytanie tylko, czy zechce mi pani powiedzieć prawdę – odparł uprzejmie Kurek i zawiesił na chwilę głos. – Chciałbym jednak zastrzec, że przychodzę do pani nie jako policjant, lecz jako dziennikarz. A to zmienia postać rzeczy. Piszę reportaż. I moim jedynym i nadrzędnym obowiązkiem jest ochrona źródeł informacji. Z tego obowiązku może mnie zwolnić jedynie sąd.

Skinęła głową i Kurek uznał to za dobry znak.

– Więc powiem pani, jak to wtedy wyglądało, dobrze?

Splotła dłonie i ścisnęła je mocno, a stary gliniarz kontynuował:

– Krzysztof Glacowski był jednym z odwróconych.

– Słucham?

– Był policjantem, który pracował dla Toboły i jego zadaniem była ochrona członków gangu. Nawet tych, którzy postąpili nierozsądnie, tak jak pani mąż, który postanowił wymusić okup od Witbergów. Po co to zrobił? Nie mam pojęcia. Może chciał przejąć stery w gangu? Może uznał, że Toboła już się do tego nie nadaje i zamierzał odebrać mu władzę?

Prychnęła.

– W każdym razie to mu nie wyszło, a Toboła nie tylko nie zabił pani męża, lecz nawet go ochronił. Tylko, co oczywiście, nie zrobił tego z altruistycznych pobudek. Zależało mu, by

żaden z żołnierzy nie trafił do aresztu i nie został świadkiem koronnym, co umożliwiły nowe przepisy – uznał. – Skąd o tym wiedział? Bo był taki bystry? Nie, proszę pani. Wiedział o tym od Glacowskiego. Więc Toboła go posłuchał i zagrał va banque. Glacowski podsunął mu pomysł, by utracić Kąkola przez umoczenie go we współpracę z gangiem. Szybko sfabrykował dowody, a policja dała się podejść i koniec końców Kąkol odszedł ze służby.

– I co z tego?

– Glacowski wciąż był policjantem i miał wiedzę na temat śledztwa. Musiał zdawać sobie sprawę, że aresztowania, szczególnie po sfingowanej wpadce z Kąkolem, ruszą z kopyta. – Kurek kręcił kółka butem. – Oboje, pani i Glacowski, byliście wtedy na zakręcie. Pani musiała jakoś ułożyć sobie życie, a przede wszystkim zadbać o dzieci, on musiał sprytnie wyzwolić się ze współpracy z Tobołą i stanąć po właściwej stronie. Tylko w ten sposób mógł rozłożyć nad panią parasol ochronny.

Pogłaskała się bezwiednie po ramionach i zamrugła.

– Co zrobił Glacowski? – spytał Kurek. – Wystawił pani męża, który jako pierwszy został aresztowany. I to nocą. Bo tak było, prawda? I to on namówił panią, żeby pani powiedziała ludziom Toboły, że Bicu wyjechał, ale nie wiadomo dokąd. – Kobieta spuściła głowę, a Kurek kontynuował. – Kolejne aresztowania nastąpiły kilka dni później. Wie pani dlaczego? – Tym razem ewidentnie drgnęła. – Żeby wyszło na to, że pani mąż zaczął sypać. Chociaż on nie pisał ani słowa. W ten prosty sposób Glacowski usunął sobie z drogi pani męża. Problem w tym, że nawet wtedy nie mogła się pani od Bickiewicza uwolnić, bo mieszkała pani z dziećmi na jego ziemi. Na ziemi teściów, prawda?

Nabrała powietrza.

– Więc żeby plan Glacowskiego się powiódł, trzeba było czegoś więcej.

– Czego? – zdziwiła się.

– Śmierci pani męża.

– On się powiesił przez Tobołą – zaprotestowała i wierzchem dłoni starła z policzków kilka łez.

– On się powiesił przez panią. – Kurek spojrzał na nią uważnie i dostrzegł, że wyostrzyły się jej rysy twarzy. – Pewnie mieliście uzgodnione z Bickiewiczem, że kiedy trafi do aresztu, pani natychmiast wystąpi o rozwód, żeby mieć dodatkowe zabezpieczenie finansowe dla siebie i dzieci. – Emerytowany policjant snuł dalej swoją opowieść. – Ale Bicu był przekonany, że ten rozwód jest papierowy. Dlatego wierzył, że pani na niego czeka, że będzie miał dokąd wrócić, jak już wyjdzie z więzienia.

– Pan bredzi... – jęknęła.

– On na panią liczył, ale wydaje mi się, że wtedy w areszcie pojawił się Glacowski i opowiedział mu o waszym romansie. Bickiewicz wpadł w furję.

– Dość – wyszeptała.

– Zastanawiałem się, co tak naprawdę wywołało w nim gniew – mrugnął do niej. – I w końcu się dowiedziałem. Okazało się, że Glacowski powiedział pani mężowi, że to on jest ojcem pani dzieci. – Kurek zwrócił uwagę na mocno zaciśnięte usta kobiety. – I tu wracamy do sedna. Nadal nie mogłem zrozumieć, dlaczego we współpracę z Tobiłą wrobiono Bogdana Kąkola. Ale teraz już wiem. Glacowski go zniszczył, bo Kąkol trafił w dziesiątkę, prawda? Zależało mu na badaniu DNA pani dzieci, żeby ustalić ojcostwo. Mój kolega uznał, że dawno temu doszło u was do tragedii i zginął jeden z waszych synów. Dziecko Witbergów miało go niejako zastąpić.

Magdalena Bickiewicz wstała gwałtownie od stołu, aż krzesło się zachwiało i po chwili z głuchym łoskotem upadło na podłogę.

Zadrżała jej broda.

– Wynoś się stąd! – krzyknęła, wskazując ręką na drzwi.

Maria Herman zatrzymała się metr od ogrodzenia leśniczówki, kiedy drzwi ganku się otworzyły.

Światło z wnętrza wypełzło na splekane schody, a następnie ułożyło się miękko na trawie, oświetlając pniak i zalegające wokół niego fragmenty kory oraz resztki drew. Tobołą przysłaniały otwarte drzwi, ale Herman wiedziała, że mężczyzna stoi w progu. Zdradzał go cień.

Po lewej stronie, pomiędzy drzewami, dostrzegła taksówkę. Światła zgasły i usłyszała trzaśnięcie drzwi. Jedno. Była przekonana, że kierowca został w samochodzie, podczas gdy ciemna postać zbliżyła się do bramy i pociągnęła do siebie skrzydło bramy. To musiał być mężczyzna, nie miała co do tego wątpliwości, zdradzały go postura i sposób poruszania się. Ale ponieważ było ciemno, a facet miał na głowie kaptur, Herman nie widziała jego twarzy.

Podbiegł w kierunku drzwi i schował się we wnętrzu domu.

Jęknięty zawiasy i poświata zniknęła. Mrok z powrotem objął dom pośrodku lasu.

Herman tym razem nie zdecydowała się na zaglądnienie do okien. Mógłby ją zauważyć kierowca taksówki i narobić rabanu.

Zerknęła w stronę pojazdu i zobaczyła, że wewnątrz kabiny zrobiło się jasno.

Sięgnęła po telefon i zadzwoniła do Jaronia. Odebrał po kilku sygnałach.

– Co jest? – spytał.

– Możesz rozmawiać?

– Za chwilę.

– Dobra, to oddzwoń, jak wyjdiesz. Ktoś podjechał do Toboły – poinformowała go i przerwała połączenie, ale nie schowała telefonu. Liczyła, że Jaroń, jeśli nadal jest u sąsiadów, szybko zakończy rozmowę i oddzwoni.

Deszcz zaczął znowu zacinać z ukosa i jednostajny szum wypełnił niewielką polanę. Herman przykucnęła pod drzewem i nasunęła kurtkę na głowę. Było jej niewygodnie i chłodne powiewy smagały ją po odsłoniętych plecach, więc wkrótce zrobiło jej się zimno. Wciąż piekły ją palce stóp, pozdzierane zapewne do krwi.

Zadygotała.

Nic się nie działo. Mężczyźni siedzieli w domu, taksówkarz zgasił światło we wnętrzu wozu.

Herman musiała się ruszyć. Przepięła się przez gęsty las w kierunku samochodu, a kiedy z bezpiecznej odległości spisała numer boczny oraz tablicę rejestracyjną, markę pojazdu i nazwę korporacji taksówkarskiej, wysłała esemesa z kompletem danych do Olgierda. Zrobiła to tylko po to, by zachować je w pamięci telefonu. Często tak robiła i wiedziała, że Zero Siedem zdążył się już do tego przyzwyczaić. Była przekonana, że nie będzie na tę wiadomość odpowiadał.

Ale krótko potem aparat zawibrował jej w dłoni.

– Tak? – wyszeptała.

– Mów, co się dzieje – poprosił Jaroń. – W słuchawce wybrzmiewała względna cisza, więc Maria się domyśliła, że policjant siedzi w swoim vanie.

– Po pierwsze, odjedź gdzieś dalej, a najlepiej schowaj się z samochodem w jakiejś leśnej przecince.

– A co się stało?

– Do Toboły podjechała taksówka. Wysiadł z niej jakiś facet, ale nie widziałam jego twarzy.

– Masz dane tej taksówki?

– Zapisałam.

– Podeślij, mamy dobre układy z dyspozytorami. Postaram się dyskretnie ustalić, skąd był kurs. Może to nam rozjaśni w głowach.

– Okej, zaraz to zrobię, ale na razie mów, co masz.

Jaroń westchnął.

– Kobieta, z którą rozmawiałem, jest alkoholiczką. Sporo pije. Chciała mnie nawet poczęstować – zaśmiał się.

– Co mówiła? – naciskała Herman, nie odrywając wzroku od starej leśniczówki. Z tego miejsca w lesie miała widok na ścianę, której okna wychodziły na osamotnioną studnię. Światła w pokojach były pogaszone. Mężczyźni musieli siedzieć gdzieś indziej.

Deszcz siekł bujny trawnik; od czasu do czasu duże i zimne krople spadały z liści brzozy wprost na Herman. Wzdrygała się za każdym razem.

– Próbowałem ją wypytać o Witberga, ale zarzekała się, że żadnego obcego chłopca tu nie widziała. Owszem, czasami przejeżdżał samochód. Biała furgonetka z jakimiś napisami. Przynajmniej tak twierdzi.

– Firma kurierska?

– Podobno nie żaden kurier, bo ich samochody dobrze zna. Tamten wóz miał niemieckie napisy.

– A numery rejestracyjne? – zapytała Herman, chociaż nie miała nadziei, że sąsiadka je zapamiętała.

– Pytałem. Zarzekała się, że to wóz na grudziądzkich blachach, ale oczywiście nie zapisała danych.

– Znamy markę?

– Nie. Chociaż podobno to dwuosobowa zgrabna furgonetka, jak to ujęła. Więc obstawiałbym coś w stylu citroëna berlingo, a nie forda transita. Raczej stary. Ale jest coś jeszcze ciekawszego.

Herman przytrzymała aparat między głową a ramieniem i wyciągnęła papierosy.

– Jesteś tam? – zainteresował się Jaroń.

– Jestem, jestem – rzekła półgębkiem, odpalając fajkę. Trzęsła się z zimna.

– Jej zdaniem wóz podjeżdżał tu na krótko.

– Więc jednak możliwe, że to kurier, tylko że na przykład w jakimś zastępczym samochodzie, nie? – Wypuściła dym w kierunku runa. Jasne smugi wiły się w nim jak węże.

– Tym samochodem przyjeżdżała kobieta.

– No to może poczta? Na wsiach listonosze wykorzystują prywatne samochody.

– Odpada. Przecież skoro zna kurierów, to tym bardziej listonosza.

– A kiedy widziała ją ostatnio?

– Równy tydzień temu. I dziś rano.

– Dziś rano? – Herman dłużyła obcasem w mokrym mchu.

– Tak. Widziała, jak samochód odjeżdżał.

– O której?

– Po dwunastej.

Deszcz przelewał się z przechylonej rynny i chlustał strumieniem na betonowy chodnik wokół domu.

– Dwuosobowa furgonetka? – Do Herman dopiero teraz dotarła waga słów wypowiedzianych wcześniej przez Jaronia. Chciała przystawić papierosa do ust, ale jej ręka zamarła w połowie drogi.

– Tak mówiła. – Jaroń odchrząknął. – Myślisz o tym samym co ja?

– Myślę o tym, co powiedziałaś, że miejsce odnalezienia ciała nie jest miejscem zabójstwa, a zwłoki jakoś musiały tam trafić. Furgonetka idealnie nadaje się do tego celu. Tym bardziej że kierowca, kimkolwiek jest, kobietą czy mężczyzną, jak wynika ze słów sąsiadki, prawdopodobnie dobrze zna te tereny.

– Też wziąłem to pod uwagę, ale jednak mówimy o kobiecie, która miałaby marne szanse, żeby po pierwsze, udusić dorosłego mężczyznę, a po drugie, przenieść jego ciało.

– A może nie chodzi o kobietę?

– Sąsiadka wyraźnie mówiła o babie.

– A jeśli to facet z długimi włosami?

Jaroń trawił tę informację, a Herman kontynuowała:

– Kiedy odwiedziliśmy Tobołę w poniedziałek, zarzekał się, że nikt go nie odwiedza. Nie licząc Witberga. Tymczasem pod bramę starej leśniczówki regularnie podjeżdżała furgonetka. Musiał być ktoś jeszcze.

– Regularnie to może drobna przesada. Wiemy zaledwie o kilku przypadkach – zaprotestował Jaroń.

– Możesz sprawdzić, jakim wozem jeździł Andrzej Witberg?

– Nie muszę. Widziałem w garażu, kiedy jego żona zgłosiła zaginięcie. Srebrny renault laguna z dwa tysiące siedemnastego.

– Mieli tylko jeden wóz?

– Tak, jeden.

– No to jesteśmy w dupie – odparła. – Ale mam prośbę. Chodzi o teczkę operacyjną w sprawie porwania dziecka, a w zasadzie o to, czy są tam jakieś adnotacje o Lucynie Witberg.

– Szukasz czegoś konkretnego?

– Trudno powiedzieć. – Herman podzieliła się z Jaroniem wątpliwościami, które wcześniej przedstawiła Borewiczowi.

– Dobra, zajmę się tym, jak wrócimy na komendę – obiecał.

– Dzięki. A na razie zostań na miejscu, dam ci znać, jak taksówka stąd odjedzie.

Rozłączyła się i przesłała Jaroniowi dane wozu, który – pogrążony w mroku – wciąż stał przed bramą ogrodu. Herman rozprostowała kości. Zdrętwiała jej noga, mięsień łydki stwardniał i klucie wraz z nieznośnym mrowieniem rozeszły się od stopy do kolana.

Komisarz syknęła z bólu i oparła się o drzewo.

Kiedy nieprzyjemne uczucie po chwili minęło, drzwi domu się otworzyły i w żółtym świetle lampy Maria Herman dostrzegła ukośnie siekący deszcz.

Z domu wyszedł mężczyzna, który podbiegł do taksówki.

Trzasnęły drzwiczki, warkot silnika rozszedł się po lesie. Reflektory samochodu omiotły dojazd do drewnianego domu, po czym przesunęły się w kierunku Herman, która zrobiła krok do przodu i nadepnęła na gałąź. Ta pękła z głuchym trzaskiem, ale policjantka miała nadzieję, że ów dźwięk został stłumiony przez rzęsisty deszcz. Kucnęła w chwili, gdy światła przecięły gęsty las niczym lasery i smagnęły ją po twarzy.

Odczekała kilka chwil. Zamierzała przejść ścieżką do drogi, gdzie zaczekałaby na Jaronia, ale wtedy na ganku, pod dachem, dostrzegła sylwetkę Toboły.

Błysnął mały płomień, kiedy gangster odpalił papierosa. Jasny dym uniósł się pod dach i rozwiął.

Mężczyzna stał i palił.

A kiedy wolno obrócił się w stronę Herman, jej serce przyspieszyło.

Policjantka wstrzymała oddech i znieruchomiała.

Olgierd Borewicz zjechał z mostu i skręcił w prawo, w kierunku drogi wyjazdowej na Toruń.

Wciąż miał na linii starego sanitariusza i trawił informację, którą mężczyzna mu przekazał.

- Może pan powtórzyć? – Zero Siedem chciał zyskać na czasie.
- Ale co konkretnie? – spytał zaskoczony Borsik.
- Jest pan absolutnie przekonany, że Waław Kowalski nie miał złamanej ręki?
- Ależ oczywiście.
- I że pakował wózek dziecięcy do taksówki?
- Widziałem to na własne oczy.

Borewicz patrzył na drogę, lecz mimo że raziły go światła samochodów nadjeżdżających z przeciwka i blask lamp odbity w mokrym asfalcie, oczami wyobraźni widział policyjne zdjęcie. To samo, na którym w oknie domu Witbergów dostrzegł kształt, plamę, która okazała się odbiciem obrazu mężczyzny z wózkiem. Zastanawiał się, czy istnieje jakiś związek między tą fotografią a informacją uzyskaną od Borsika.

- Niech mi pan jeszcze powie – poprosił – czy Kowalski był wtedy z rodziną?
- Nie, skąd. Sam był.
- Jest pan pewien?
- No ba! A czemu pan pyta?
- Bo to dziwne.
- Niby co?
- Że Kowalski nie miał ze sobą dziecka.
- Nie bardzo wiem, do czego pan zmierza. – Borsik wydawał się zaniepokojony.
- Do tego, że Kowalski miał w tamtym czasie małe dziecko. Dokąd miałby się wybierać z samym wózkiem?

Cisza wypełniła słuchawkę.

– Szczerze mówiąc, nie wiem – przyznał Borsik po chwili. – Szczególnie że, jeśli dobrze pamiętam, Wacek dostał wózek od doktora Biernawskiego. Doktorowa mu przekazała. Pieniędzy żadnych nie wzięła, nawet jakąś reklamówkę pełną ciuszków do niego wsadziła. Pamiętam, bo mu ten wózek karetką do domu podrzuciłem. Takie to były czasy, nie to, co dziś, że te wszystkie dżipiesy, kilometrówki i tak dalej – narzekał Borsik. – No i teraz sobie

przypominam, że tamten wózek od Biernawskich był granatowy w białą kratkę, a ten, co go Kowalski do taksówki pakował, był zielony.

– Jest pan tego pewien?

Olgierd minął komendę policji z rozświetlonym wejściem i kilkoma jasnymi oknami na parterze. Światło paliło się też na drugim piętrze, w dwóch oddalonych od siebie gabinetach.

– Tak, tak, jestem pewien, tylko, cholera, nie mam pojęcia, co to znaczy. Może im się tamten wózek zepsuł? Ten od doktorostwa? Przecież tak też mogło być, prawda?

– Niewykluczone. Ale to nie jest teraz tak istotne jak to, kto prowadził tamtą taksówkę. Pamięta pan?

– No jasne. To był mercedes becзка. Należał do Stacha Szewskiego.

– Jest jakaś szansa, żeby się z nim skontaktować?

– Jest. Tylko trzeba umrzeć i mieć szczęście, żeby trafić do nieba. Bo Stachu to był złoty chłopak, jak jeszcze żył – wysoki śmiech Borsika rozbrzmiał w słuchawce.

– A w jakim kierunku pojechali? Pamięta pan?

– Na Tarpno. Staszek zawrócił na końcu Kartoflaka.

Borewicz podziękował mężczyźnie za pomoc.

Nie miał wątpliwości, że powinien podzielić się tymi wiadomościami z Herman.

Zerknął na ekran telefonu, bo właśnie otrzymał od niej esemesa z danymi jakiegoś pojazdu. Robiła tak często, żeby zachować na swoim aparacie ważne informacje. Uderzyło go jednak, że chodziło o taksówkę. Miał świadomość, że to przypadkowa zbieżność. Niemniej był ciekawy, co zdążyła w tym czasie ustalić, dlatego spróbował się z nią połączyć, lecz nie odebrała.

Wycieraczki odgarniały szybko wodę z przedniej szyby.

Borewicz myślał intensywnie, czym powinni zająć się z Herman w pierwszej kolejności. Uznał, że należy zweryfikować policyjną kronikę kryminalną z krótkiego okresu po postrzeleniu Witberga. Po tym, co usłyszał od Borsika, postanowił sprawdzić, czy Kowalski – skoro kłamał w kwestii złamania ręki i skoro udało mu się w to kłamstwo wciągnąć kogoś z lekarzy, bo informacja o zwolnieniu L4 znajdowała się w aktach – nie miał nic wspólnego z porwaniem dziecka. Powinni przyjrzeć się okresowi, na jaki przypadało jego L4.

Nie można było wykluczyć, że Kowalski skusił się na brudną robotę dla Bickiewicza. Tylko w jakim celu gangster miałby porywać dziecko Witbergów obcymi rękoma? I dlaczego do tej pory nazwisko Kowalskiego nie wypłynęło w śledztwie?

Borewiczowi wciąż trudno było uwierzyć, że zbliżają się z Herman do prawdy. Nic na to nie wskazywało. Równie dobrze mogli się od niej oddalać, jeśli strzępki nici, za które chwycili, prowadziły ich w różne strony, a nie do tego jednego jedyne go kłębka.

Ale nie to było najgorsze.

Borewicz wiedział, że w tej sprawie zupełnie stracił czujność.

W zasadzie zdjął akta Witbergów z zakurzonej półki tylko dlatego, że rzecz dotyczyła Grudziądza, a czas, jaki upłynął od porwania dzieciaka, zdawał się wskazywać, że nie mają z Herman szans na sukces w śledztwie. Pytanie więc, dlaczego partnerka nie zaprotestowała? Czy tylko dlatego, że Witberg chciał się spotkać i w tajemnicy zaoferował im nowe informacje, cokolwiek, o czym nie mieli do tej pory pojęcia? Dlaczego nie powiedział jej tego przez telefon? Czyżby się bał, że zostanie podsłuchany?

Jak dotąd, jedyny trop prowadził do Toboły, lecz gangster nie byłby na tyle głupi, żeby zabijać Witberga i zostawiać go w pobliżu swojego miejsca zamieszkania.

To zakrawało na absurd.

Olgierd zorientował się, że zbyt szybko jechał przez miasto, więc zwolnił.

Jakie inne rozwiązania wchodziły w grę?

Łysy.

To on kazał mu zakończyć śledztwo i wywieźć Herman z Grudziądza.

Gdyby stał za śmiercią Witberga i zostawił jego ciało niedaleko leśniczówki zamieszkaanej przez Tobełę, mógłby chcieć wskazać w ten sposób na byłego gangstera jako na sprawcę zabójstwa. Ale to byłoby grubymi nićmi szyte. Łysy, jako stary gliniarz, wymyśliłby coś mądrzejszego. Coś, co konkretnie naprowadziłoby policję na trop leśniczówki. A przecież ani policja, ani medyk sądowy niczego takiego nie mieli.

Borewicz dopuszczał jednak możliwość, że Łysy celowo nie rozegrał wszystkiego w idealny sposób, bo to wzbudzałoby podejrzenia.

Zjechał na stację Orlenu, znajdującą się na wyspie między dwupasmową drogą, i zatankował wóz. Spytał sympatycznego korpulentnego sprzedawcę o myjnię bezdotykową, a ten polecił mu najbliższy adres.

Olgierd podjechał tam, ale nie zamierzał czyścić karoserii. Schowany przed deszczem pod dachem, przy dobrym oświetleniu, kucnął i nachylił się mocno, żeby obejrzeć nadkola. To samo zrobił z tyłu pojazdu, ale nigdzie nie znalazł transmitera. Dopiero kiedy uniósł maskę i poświecił latarką z telefonu na boki, zauważył niewielką plastikową kostkę w pobliżu mocowania akumulatora. Nie była do niego podpięta, ale żeby ją zainstalować, Łysy musiał mieć dostęp do jego kluczyków. Bądź też skorzystał z tego, że Olgierd zostawił otwarty samochód. Uniesienie maski i instalacja transmitera były przecież dziecinnie łatwe.

Zatrzasnął pokrywę silnika i usiadł za kierownicą.

Chwycił telefon i połączył się z Łysym.

– No, jak tam wycieczka? – spytał wesoło kolega.

– Wszystko w najlepszym porządku. Odwiozłem Herman do Bydgoszczy. Gadała całą drogę o sprawie, ale brak nam punktu zaczepienia. Parę drobiazgów, na które trafiliśmy, to

nic interesującego – Zero Siedem próbował zarzucić wędkę. – A co u ciebie?

– Przesunąłem imprezę na północ, więc masz sporo czasu, żeby wszystko dograć.

– Dograć?

– Posprawdzać i tak dalej. Zależało ci na tym chyba?

– Tak, ale obaj dobrze wiemy, że moje zabezpieczenia działają poprawnie. Nagranie pochodzi z twojego telefonu.

Łysy westchnął.

– Musimy pogadać – odezwał się.

– Wiem – zapewnił Olgierd, ale się nie rozłączył.

– Coś jeszcze?

– Zazwyczaj pytałeś, o której będę. – Olgierd popatrzył na plecak, który postawił na dywaniku przy fotelu pasażera, i pocieszył się, że ma przy sobie niezarejestrowaną broń. Naładowaną i gotową do strzału.

Wciąż jednak nie wiedział, czy nawet w obliczu zagrożenia życia będzie w stanie wycelować ją w innego człowieka, nie mówiąc już o pociągnięciu za spust. Zabrał ją tylko po to, by poczuć się pewniej.

– Jeśli mapa nie kłamie, to powinieneś być tu za chwilę – uznał Łysy i dreszcz przebiegł między łopatkami Olgierda.

– Mam nadzieję, że się dogadamy – stwierdził policjant, starając się nie zdradzać zdenerwowania, chociaż pot zrosił mu czoło.

– Nie ma innego wyjścia – oznajmił Glacowski i przerwał połączenie.

Zero Siedem wyczuł chłód w jego głosie.

Uruchomił silnik i wyjechał spod dachu myjni.

Deszcz przybrał na sile.

– Czy tak to właśnie wyglądało? – spytał Kurek, kiedy Magdalena Bickiewicz zaczęła się trząść. Zwiesiła głowę i oparła dłonie o blat stołu, aż pobielaly jej knykcie.

Emerytowany gliniarz cały czas siedział wygodnie na krześle z plecami przylegającymi do oparcia.

– Straciliście dziecko, prawda? I wtedy pani mąż wpadł na pomysł porwania Filipa Witberga!

Kiedy kobieta wolno podniosła głowę, na jej twarzy malował się gniew. Zmarszczyła czoło – brwi zbiegły się ku sobie – i wykrzywiła usta.

– Nie ma pan o niczym pojęcia – warknęła. – Niech pan stąd wyjdzie, bo zadzwonię po synów.

– Policjanci z Archiwum X nie będą się pani pytali o zgodę, pani synowie zostaną wezwani na badanie DNA, a jeśli się nie stawiają, tylko potwierdzą w ten sposób to, o czym mówiłem. Wówczas nakaz wyda sąd. Owszem, odsunie pani dojdzie do prawdy o kilka miesięcy, ale nic poza tym. Od tego nie uda wam się uciec – Kurek brnął w kłamstwo, ale czuł, że nakreślił wizję, której kobieta zwyczajnie się boi.

Magdalena Bickiewicz uniosła dłoń, jakby nakazała mu w ten sposób zostać na miejscu. Posłuchał, chociaż nieco się obawiał, co ta kobieta jest w stanie zrobić, żeby nie wyszły na jaw rodzinne tajemnice. Nie wątpił, że prawda ją rozsierdziła. Tylko dlatego postanowił poczekać na rozwój wypadków.

Wdowa przeszła szybkim krokiem w kierunku korytarza i zniknęła za ścianą. Usłyszał, jak gwałtownie otwiera drzwi, które uderzają głucho klamką o ścianę. Potem dobiegły go odgłosy otwierania szuflad, tak samo intensywne i głośne. Następnie znowu usłyszał jej kroki. Gdy wróciła do salonu, trzymała niebieską teczkę.

Rzuciła ją na blat.

Dokumentacja prześlizgnęła się szybko w kierunku Kurka, kilkakrotnie okręcając się wokół własnej osi. Złapał ją w ostatniej chwili.

– Niech pan czyta! – poleciła.

Odciągnął gumkę na bok i zajął do środka.

– Owszem, nie zgodziłam się na test na ojcostwo, ale nie dlatego, że to nie są dzieci mojego męża – oświadczyła. – Odegrałam się na nim za to, co przeszłam, kiedy Tobią wciągnął go do grupy przestępczej, za to, jak nocami drżałam ze strachu, że ktoś zabije mi męża, że wpadnie do nas policja, że dzieci stracą rodziców. To mnie zrujnowało

psychicznie. Dziś jestem wrakiem człowieka, rozumie pan? A do tego gnębi mnie poczucie winy, że mój mąż umarł przeze mnie.

Kurek spojrzał na nią znad papierów.

– Doprawdy nie wiem, po jaką cholere pan kłamał, opowiadając głupoty o Glacowskim. Mój mąż odebrał sobie życie kilka dni po tym, jak odwiedziłam go w Białoleścu. Jeszcze wtedy straszyl mnie kolegami, że jestem obserwowana, że mam być mu wierna, bo wszystkiego się dowie. W złości powiedziałam mu, że to nie są jego dzieci, że zrobiłam badania.

– I tak po prostu pani uwierzył?

– Nie. Ale wtedy, kiedy znikal na całe dni, rzeczywiście romansowałam z Glacowskim. Miałam dużo pieniędzy i sporo czasu, bo nie pracowałam. W ten sposób próbowałam tłumić strach. Kiedy poznałam Glacowskiego, nie miałam pojęcia, że jest gliniarzem. Ale w ciężę zaszłam z mężem. Takie rzeczy kobieta wie. Później nasz romans wyszedł na jaw i Jarek chciał zabić Glacowskiego.

– Co go powstrzymało?

– Toboła miał inny pomysł – wyznała. – Glacowski został jego wtyką. Miał zakaz kontaktowania się ze mną i musiał informować gang o planowanych akcjach policji.

– Mieli teczki na każdego z nas, prawda? – spytał Kurek.

Kobieta usiadła, jakby nagle cała ta sprawa pozbawiła ją energii i sił. Zwiesiła ramiona.

– Nie. W każdym razie o panu nic nie słyzałam – powiedziała, a Kurek nie bardzo wiedział, jak ma to rozumieć, tym bardziej że pamiętał słowa Lucyny Witberg. – Pan był pionkiem – stwierdziła Bickiewicz. – Panu chodziło tylko o zaginione dziecko. Rozpracowywaniem gangu zajmowali się inni policjanci. Między innymi Kąkol. Powinien pan pamiętać, że istniała tajna grupa, która śledziła każdy krok ludzi Toboły.

Kurek to wiedział. I rzeczywiście, jego działania i czynności zespołu dotyczyły wyłącznie sprawy porwania. Nie miał jednak pojęcia, że w swoich szeregach ma funkcjonariusza, który działa w obu grupach śledczych. To dlatego Bogdan Kąkol, kiedy sfingowana teczka znalazła się na biurku komendanta, musiał odejść i nie dotknęły go żadne inne konsekwencje służbowe ani karne. Przynajmniej w firmie poszli mu na rękę.

Kurek przyjrzał się w końcu wynikom testów na ojcostwo. Liczby spisano w tabeli w czterech kolumnach dla dwóch alleli, zarówno dla dziecka, jak i dla domniemanego ojca. Z lewej widniały nazwy markerów. Kiedy spojrzał na wyniki i porównywał allele pierwsze i drugie dla dziecka i ojca, przekonał się, że liczby są takie same lub nieznacznie się różnią. Nie więcej niż o jeden lub dwa punkty.

– Zrobiłam to dla synów, żeby nie mieli wątpliwości i nie wierzyli w to, co ludzie gadają – powiedziała. – Ich ojcem jest Jarosław Bickiewicz.

Emerytowany gliniarz przełożył kartkę i przyjrzał się dwóm następnym tabelom. Każdy z trzech dokumentów był podpisany i opieczetowany.

Kurek pod koniec kariery w policji spotykał się z podobnymi dokumentami i pamiętał, że wykluczenie ojcostwa daje stuprocentową pewność, a w przypadku jego potwierdzenia wyniki są tylko wysoce prawdopodobne. Ale to wystarczało do sądowego uznania ojcostwa.

Odłożył kartki na otwartą teczkę i wstał, po czym przeniósł ciężar ciała na lewą nogę, bo ból w kolanie znowu dał o sobie znać.

Wszystko, czego dowiedział się od Magdaleny Bickiewicz, sprawiło, że sprawa porwania Filipa Witberga jeszcze bardziej się zagmatwała. Ale na co w zasadzie liczył? Że teraz, po tylu latach, uda mu się ją rozwiązać, że oto przyjedzie do Bickiewiczowej, a ta otworzy się przed nim i powie prawdę?

– W takim razie kto porwał to dziecko? – spytał, kompletnie zrezygnowany.

Jej rysy złagodniały, tylko kąciki ust ciążyły ku dołowi. Wzruszyła ramionami.

– Wielokrotnie rozmawiałam o tym z mężem – wpatrywała się w gołą ścianę. – Czasami byłam pewna, że to jego robota, tylko boi się do tego przyznać. Po prostu wiedział, że go znienawidzę. Przecież byłam wtedy, tak jak Lucyna Witberg, młodą matką. Dobrze wiedziałam, przez jaki koszmar przechodzi ta kobieta. – Łzy dotknęły jej warg, a potem wdowa wzruszyła ramionami, jakby ten gest miał być odpowiedzią na pytanie, które wybrzmiało wyłącznie w jej głowie, i znowu się odezwała: – Urodziłam mu trójkę dzieci. Potrafił się z nimi bawić i kochać je na swój sposób. Dbał o nie i nigdy nie zrobił żadnemu krzywdy. Ale ilekroć pytałam go o dziecko Witbergów, zawsze ucinął temat. Dlatego stale nawiedzały mnie czarne myśli, że to jednak on stoi za tym porwaniem. Bałam się, że mój mąż, brutalny przestępca, a jednocześnie troskliwy, dobry ojciec, naprawdę był do tego zdolny. – Westchnęła. – Trudno mi z tym żyć.

– Czy w tamtym okresie znikwały ciuszki pani dzieci? Albo kosmetyki? Pieluchy tetrowe?

Pokręciła głową.

– Nie, no skąd, przecież to byłoby zbyt oczywiste i natychmiast bym to zauważyła.

Kurek pokiwał głową i wsadził dłoń w kieszenie.

– Gdyby wtedy porwał to dziecko, gdzie mógłby je trzymać? – zastanowił się na głos.

– Nie wiem. Na pewno nie u nas w domu. To byłoby czyste szaleństwo. Słyszałabym płacz. Więc jeśli to zrobił, musiał to dziecko gdzieś wywieźć.

– A teściowie?

– Co: teściowie? – zdziwiła się.

– Może oni byli w to wciągnięci?

– Ależ skąd. Matka zrugowała go za to, co się stało. A on się matki bał i zawsze liczył się z jej zdaniem.

– W takim razie może porwał to dziecko i od razu je sprzedał? Może ktoś przyjechał do was z zagranicy? Jakaś para, może starsze małżeństwo, czterdziesto- lub pięćdziesięciolatek? W tamtych czasach zdarzały się takie rzeczy – uznał Kurek.

– A niby jak ten mój mąż, prosty chłop, miałby się z obcymi dogadać? Przecież on był zwykłym, prymitywnym bandytą. Umiał bić i rabować, potrafił zastraszać niewinnych ludzi i łamać im kości, ale nie znał ani słowa w obcym języku. Poza tym szczerze wątpię, żeby próbował skrócić jakikolwiek biznes bez wiedzy Tobały. Mój mąż zwyczajnie się go bał.

– A jednak nic złego mu się nie stało. I pieniądze z okupu trafiły na jego konto.

– Nie, to nieprawda. Trafiły do kasy Tobały. To była kara dla mojego męża. Gdyby nie oddał tej torby wypchanej pieniędzmi, zabiliby go.

– Ale po co w ogóle to zrobił? Dlaczego wymusił ten okup? Myślała pani o tym?

– W zasadzie stale o tym myślę i jedyne, co mi przychodzi do głowy, to dom moich teściów – wskazała brodą w kierunku ściany z oknem. – To ta chałupa tuż obok. Zaczęli budowę w dziewięćdziesiątym pierwszym. Ceny materiałów budowlanych szalały, inflacja zjadała oszczędności. W pewnej chwili, latem dziewięćdziesiątego drugiego, robota na budowie stanęła, bo murarzom nikt nie płacił za robotę, no to wrzucili betoniarkę na pakę starego żuka i odjechali. Jarek chciał pożyczyć kasę od Tobały, ale Tobała odmówił. To on rządził pieniędzmi. I na pewno zdawał sobie sprawę, że jeśli raz się złamie, to jego żołnierze co chwilę będą przychodzić do niego z wyciągniętą ręką. Tobała nie był głupi.

– Co pani sugeruje? Że mąż chciał zdobyć pieniądze dla rodziców? Na dokończenie budowy?

– Tak mi się wydaje. Po prostu wolałabym, żeby tak było. Łatwiej mi się zasypia, gdy myślę, że nie był winny porwania, a jedynie wymuszenia okupu.

Kurek pokiwał głową, ale jedna myśl wciąż nie dawała mu spokoju.

– Gdyby było tak, jak pani mówi, to dlaczego Bickiewicz ucinał rozmowy na temat porwania dziecka?

Kobieta przeniosła na niego wzrok.

– To proste – uznała, a Kurek czekał, aż Bickiewiczowa dokończy myśl, ale zamiast tego zadała pytanie: – Komu najbardziej zależało na tym, żeby zamieść sprawę pod dywan?

Kurek nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

– Tobole – rzekł z pełnym przekonaniem.

– No właśnie. Sądzę, że to on kazał trzymać mojemu mężowi mordę na kłódkę.

Herman czuła, że drętwieją jej nogi.

Od dobrych kilku minut tkwiła w bezruchu w zaroślach i zastanawiała się, jak długo jeszcze wytrzyma w tej pozycji. Bolały ją podeszwy zziębniętych stóp w doszczętnie przemoczonych butach i mięśnie łydek, spięte i twarde jak kamień. Nieznośne klucie w nogach narastało i na jakiś czas, żeby przetrwać, komisarz Herman zacisnęła powieki. Starła się oddychać równomiernie przez nos. Jedną ręką przytrzymała się szorstkiej, mokrej kory brzozy. Wiedziała, że jest w potrzasku. Musiała szybko zmienić pozycję, wyprostować nogi w kolanach, ale wiedziała, że wtedy zdradzi się przed Tobołą. Nie widział jej, uznała to za pewnik, w przeciwnym razie podszedłby do płotu lub odezwał się do niej. Niemniej lustrował ścianę lasu, jakby tylko czekał, kiedy Herman się z niego wyłoni. Niewykluczone, że stary gangster rozpoznał fragment materiału z rozdartej kurtki, który być może pozostał na gwoździu w bramie, i czekał na konfrontację.

Na razie spokojnie palił papierosa.

Ręka raz po raz wędrowała do ust, mały punkcik żarzył się w mroku, po czym siwy kłęb dymu rozpływał się w wilgotnym powietrzu, przesyconym ciężkim zapachem leśnego runa.

Herman zacisnęła zęby i uchyliła powieki.

Toboła w końcu zgasił peta, odchrząknął głośno i strzyknął śliną w trawę.

W tej samej chwili w pobliżu rozległ się głośny ryk i gdzieś po lewej stronie zaszeleściły krzaki. Herman usłyszała tętent kopyt i wyraźne prychnięcie.

Zadrżała.

W jej głowie rozbłysła nagła chęć zerwania się do ucieczki.

Ten sam godowy okrzyk, ale z oddali, usłyszała poprzedniego dnia. Tym razem jednak zwierzę znajdowało się w pobliżu. Nie wiedziała, czy byk jelenia jest groźny, ale wołała nie przekonywać się o tym na własnej skórze.

Zerknęła w bok i nasłuchiwała.

Miała wrażenie, że gdzieś obok słyszy wyraźny oddech zwierzęcia. Szum powietrza przeciskającego się przez nozdrza.

Spojrzała na ganek, na którym nie było już Toboły, chociaż drzwi do domu pozostały otwarte i światło z korytarza ponownie oświetliło potężny pniak.

Herman wstała, ale zdrętwiałe nogi odmówiły jej posłuszeństwa i nie była w stanie zrobić kroku. Objęła brzozę, żeby nie upaść, i wtedy zobaczyła, że Toboła ponownie pojawił się przed wejściem do domu.

Serce podeszło jej do gardła.

Krzaki ponownie zaszeleściły, tym razem ciszej. Kolejny ryk poniósł się echem przez las i wtedy Toboła uniósł rękę w jej kierunku. Machinalnie zrobiła krok do tyłu, przerażona, że gangster celuje do niej z broni.

Zamiast strzału las przecięło białe światło potężnego szperacza.

– No, pokaż się, gdzie jesteś? – rzucił Toboła.

Snop światła przesunął się w prawo i mężczyzna ruszył w kierunku bramy.

Herman skorzystała z okazji i wycofała się na ścieżkę.

Z początku szła ostrożnie, osłepiona latarką, a gdy tylko jej oczy ponownie przyzwyczyły się do mroku, przyspieszyła.

Kilkadziesiąt metrów dalej, tam gdzie droga wyginała się w łuk i prowadziła w kierunku szerokiego leśnego duktu, usłyszała męski głos i stanęła jak wryta.

– Hej.

Na końcu ścieżki stał wysoki facet, którego rozpoznała po posturze.

Jaroń.

Odetchnęła, chociaż serce wciąż wybijało szybki rytm.

Obejrzała się za siebie, ale nie dostrzegła już światła latarki Toboły.

– No jesteś wreszcie, dzwoniłem i dzwoniłem – rzekł Jaroń.

– Gdzie masz samochód? – wyszeptała, gdy znalazła się blisko niego.

Wskazał ręką kierunek i oboje ruszyli w tamtą stronę.

– Wszystko okej? – Jaroń musiał zauważyć jej nienaturalnie szybki, sztywny chód.

Policjantka skinęła głową, bo nie zdołała wydusić z siebie odpowiedzi. Wciąż miała ściśnięte gardło. Dopiero gdy usiadła w samochodzie i zapięła pas, a Jaroń wrzucił jedynkę i zwolnił sprzęgło, odetchnęła.

– I co? Wiesz, kto to był? – spytał kierowca, obserwując leśny dukt przed maską.

– Nie – odparła. – Możesz podkręcić ogrzewanie?

Spełnił jej prośbę.

– To co robimy?

– Mam pewien plan, ale nie wiem, co ty na to. – Przyjrzała mu się uważnie.

– Jak nie powiesz, to się nie przekonasz.

Herman zdążyła wypić kawę na stacji i zjeść hot doga, zanim stanęła na gruntowej drodze z dala od miejskich zabudowań.

– To na pewno tutaj? – taksówkarz wyglądał przez przednią szybę na oświetlony reflektorami fragment asfaltu, który kończył się kilka metrów przed maską. Wokół nie było

żadnych zabudowań.

– Rozejrzę się – stwierdziła i zabrała z samochodu latarkę, którą dał jej Jaroń, kiedy podjechali na komendę.

Podkomisarz przedzwonił wtedy na prywatny numer do szefa GruTaxi i powiedział mu, czego oczekuje. Ten oddzwonił po kilkunastu minutach i stwierdził, że kurs do Czapelek zamówiła kobieta, Barbara Mokrzyńska, która potwierdziła numer telefonu wyświetlający się dyspozytorce na komputerze. Młody, dobrze zbudowany kierowca, bo tylko tacy chętnie brali wieczorne zamiejskie kursy, podjechał po nią na Rataja, w pobliżu węzła trasy wyprowadzającej miejski ruch na autostradę A1. Jednak zamiast kobiety do seata toledo wsiadł mężczyzna i poprosił o kurs do Czapelek. Za trasę zapłacił gotówką z góry, po czym siedział na tylnej kanapie bez słowa, ze zwieszoną głową i wzrokiem wbitym w ekran telefonu. Kierowca próbował go zagadywać, ale ostatecznie po kilku próbach odpuścił. Dojechał na miejsce, poczekał na klienta pod bramą leśniczówki ponad dwadzieścia minut, po czym odwiózł mężczyznę, zgodnie z jego życzeniem, w to samo odludne miejsce. Kiedy taksówkarz odjeżdżał, widział mężczyznę w lusterku wstecznym i zapamiętał, że ten nie ruszył się na krok, tylko stał z telefonem przy uchu.

Tyle informacji uzyskał Jaroń.

Herman czuła, że są o krok od rozwiązania przynajmniej tej jednej zagadki, ale nie wiedziała, czy zdobyta wiedza zaprowadzi ich dokądkolwiek w sprawie Witbergów.

Próbowali dodzwonić się do kobiety, która wezwała taksówkę, ale abonent był niedostępny.

Maria Herman uznała, że skorzysta z pomocy innego taksówkarza tej korporacji, by dotrzeć tam, skąd został odebrany mężczyzna, który wybrał się do Toboły. Z kolei Jaroń miał zostać na miejscu w komendzie i przejrzeć nagrania wideo z bankomatu, które nadeszły późnym popołudniem. Herman poprosiła go również, by raz jeszcze przeszedł zapis monitoringu z kamer parkingowych w pobliżu biedronki. Oboje uznali, że powinien poszukać na nagraniach furgonetki z niemieckimi napisami.

Herman poprosiła taksówkarza, żeby najpierw zabrał ją do galerii Alfa, gdzie jako jedna z ostatnich klientek przed zamknięciem kupiła puchową kurtkę na wyprzedazy, parę grubych skarpet i buty sportowe – najtańsze, ale w porównaniu z botkami niezwykle wygodne. Dokupiła jeszcze zestaw plastrów i w ten sposób pozbyła się trzystu złotych, które miała na koncie z przeznaczeniem na spłatę długów.

W samochodzie nakleiła plastry na zdartą skórę palców obu stóp i zmieniła buty. Te stare, przemoczone, wraz ze skarpetami włożyła do kartonu po adidasach i wyrzuciła do dużego kosza na parkingu. Upchnęła w nim także rozdartą kurtkę.

A teraz wysiadła z taksówki na drogę, przy której nie było żadnych zabudowań. Zatrzymali się przy hektarach nieużytków na zapleczu odległej miejskiej sypialni – osiedla Rządź. Z drugiej strony, niemal na wyciągnięcie ręki, znajdował się porośnięty trawą

wysoki nasyp drogowy. Górą samochody śmigały w kierunku autostrady lub do centrum. Szum silników na przemian narastał i cichł, a reflektory mknących pojazdów rozświetlały szczyty koron nielicznych drzew rosnących przy Rataja.

Herman rozglądała się bezradnie.

Z dala dobiegało szczekanie psów. Nieustające ujadanie unoszące się z wielu gardeł.

Nachyliła się do kierowcy taksówki.

– To odgłosy ze schroniska dla zwierząt? Jest tu gdzieś w pobliżu?

Kierowca, ciemny blondyn z hiszpańską bródką, zerknął na nią i wskazał na nasyp.

– Dokładnie tam. Po drugiej stronie – stwierdził. – Możemy podjechać.

Pokiwała głową, ale uznała, że dziś niczego tam nie załatwi.

Zastanowiła się jednak, czy to wszystko może mieć ze sobą jakiś związek. Furgon z niemieckimi napisami na blaszanej burcie, zaginięcie Witberga i jego psa, smycz zawieszona na klamce. Witberg w domu Toboły i tajemniczy mężczyzna, który wybrał się do Toboły taksówką.

– Czy oprócz schroniska są tam jakieś domy albo bloki? Może działki?

– Nie, skądże znowu. Tutaj to tylko zakłady pracy, hale produkcyjne. W sumie nic ciekawego.

Poleciała taksówkarzowi, by na nią zaczekał, i ruszyła wolno asfaltową drogą oświetloną reflektorami. Jej długi cień wyprzedzał ją o kilka metrów.

Sięgnęła po telefon i zauważyła, że ma nieodebrane połączenia od Olgierda. Oddzwoniła. Po szumie w słuchawce zorientowała się, że jedzie samochodem.

– A ty nie w domu? – zdziwiła się.

– Byłem, ugasilem pożar i wracam, ale dopiero co wyjechałem z Bydźi – próbował się śmiać, Herman jednak rozpoznała, że jest spięty. – No mów, z czym dzwonicz?

Opowiedziała mu o tym, co wydarzyło się od chwili, kiedy Olgierd zostawił ją przy krajowej piątce w pobliżu wiatrołomów.

– I co o tym myślisz? – spytała, odwracając się przez ramię do taksówki. Wóz czekał w tym samym miejscu, więc Herman szła dalej w stronę oddalonych bloków.

– Cholera, sam nie wiem. Ale dołożę do tego pięć groszy. – I opowiedział jej o rozmowie z Borsikiem oraz o zachowaniu Kowalskiego, pielęgniarza z karetki.

– Czyli że ta złamana ręka to kit?

– Na to wygląda.

– A niby kiedy ją złamał?

– Tego nie pamiętam, ale ze zwolnienia wrócił jakoś krótko przed tym, gdy postrzelono Witberga.

– Czyli że kiedy porwano dzieciaka, to Kowalski był na L4, tak?

– To bardzo prawdopodobne.

– A kiedy pakował się z wózkiem do taksówki? Przed porwaniem czy po? – dociekała Herman.

– Trzeba to sprawdzić. To i kradzieże wózków dziecięcych z tamtego okresu. – Borewicz odchrząknął. – Skoro Jaroń jest na komendzie, może mógłby przejrzeć stare zgłoszenia?

– To będzie mozolna dłubanina. Poza tym na pewno stare kroniki już dawno poszły na przemiał. To były czasy, kiedy pisali je na maszynie i wysyłali faksem do redakcji. Zresztą co nam to da? Kowalski mógł ukraść ten wózek z tysiąca powodów. Kiedy byliśmy u niego, stale narzekał na tamte lata i chroniczny brak pieniędzy.

– Może i tak. Tym bardziej że podobno wcześniej jakiś lekarz sprezentował mu wózek. Może go spieniżył? – rzucił Olgierd. – Ale chciałbym domknąć ten wątek, więc dobrze byłoby sprawdzić gazety z tamtego okresu.

– Obawiam się, że Jaroń na to nie pójdzie. Wyszłoby na jaw, że z nami współpracuje – zauważyła.

– Fakt, nie pomyślałem o tym.

– Ale możemy poprosić tego emerytowanego gliniarza.

– Kurka?

– Mielibyśmy kolejną osobę do pomocy. Jak myślisz?

– Czemu nie? Chłop jest bystry, a poza tym, jak każdemu gliniarzowi, na pewno zależy mu na wyjaśnieniu sprawy, którą prowadził.

– Pogadam o tym z Jaroniem, wolałabym, żeby wziął Kurka na siebie – uznała Herman i oboje zamilkli, ale żadne z nich nie zdecydowało się na zakończenie połączenia. W tej pozornej ciszy dobiegło ją ponownie szczekanie psów. – Olgierd? – odezwała się Herman po chwili.

– No?

– Chyba będę miała do ciebie prośbę.

– Mów – zachęcił, wyraźnie zainteresowany.

– Myślałam o tym, co mówiłeś o mojej matce. – Oczyma wyobraźni Herman ujrzała trójkątną twarz cierpiącej rodzicielki z pionowymi zmarszczkami biegnącymi przez czoło od nasady nosa w górę, z zamglonym wzrokiem i lekko rozwartymi ustami. Cierpienie wyryło się w tej kobiecie i zastygło w chwili śmierci ojca Marii. – Chyba powinnam ją zobaczyć.

– Chcesz pojechać do Torunia?

– Jeśli to nie byłby dla ciebie kłopot.

– Jaki kłopot? Zwariowałaś? Zjemy śniadanie i wyjazd!

– Oczywiście oddam ci za benzynę, tylko...

– Daj spokój – uciał. – Tak się składa, że mam w Toruniu sprawę do załatwienia. Może w końcu uda mi się ją odhaczyć.

Przypuszczała, że kłamał, ale było jej to na rękę, więc się nie upierała. Po prostu odwdzieczy mu się w ten sposób, że kupi zabawkę dla Amelki.

Znowu oboje milczeli przez chwilę.

– Zero Siedem?

– Jestem, jestem – odparł, a Maria miała wrażenie, że kolega chce jej coś powiedzieć, ale zbiera się do tego okrężną drogą.

– No, dajesz – zachęciła go żartobliwie, a Olgierd prychnął.

– Okej – odezwał się przeciągle. – Jesteś czujna jak gajowy.

Zaśmiali się oboje.

– No więc? – Herman się zatrzymała i rozejrzała po ciemnych nieużytkach, a potem ponownie rzuciła okiem na odległe bloki. W końcu uznała, że nie ma sensu iść dalej. Mężczyzna, który wsiadł do taksówki i pojechał do Toboły, na pewno nie chciał zdradzić miejsca zamieszkania i dlatego kobieta, która podała zapewne fałszywe imię i nazwisko, zamówiła taksówkę w pobliżu węzła trasy prowadzącej w kierunku autostrady. Być może ta sama kobieta podwiozła mężczyznę i ukryła samochód gdzieś niedaleko. Niewykluczone, że po drugiej stronie nasypu drogowego. Być może czekała tam też na jego powrót.

Herman wpadła na pewien pomysł i zawróciła w stronę taksówki.

Raziły ją światła, które kierowca pozostawił włączone.

– Droga Jeziorna – odezwał się Olgierd. – Pamiętasz?

Skupiła się na jego słowach i natychmiast przypomniała sobie spotkanie w grudziądzkim garnizonie, kiedy to dowiedziała się od komendanta o nocnej kontroli drogowej, której poddano Olgierda.

– Tak, pamiętam.

– Ośrodek Biały Żagiel.

– Co?

– Zapamiętaj tę nazwę – poprosił.

– I co dalej?

– Nic.

– Ej, poczekaj. Mam się bać? – zaniepokoiła się.

– Nie – odparł zbyt szybko. – Widzimy się wkrótce w apartamencie.

Herman chciała jeszcze coś powiedzieć, ale zdała sobie sprawę, że połączenie dobiegło końca.

Wybrała numer Zero Siedem, lecz – tak jak się spodziewała – nie odebrał.

Policjantka pociągnęła nosem. Przeszedł ją dreszcz i jednocześnie poczuła drapanie w gardle. Miała nadzieję, że się nie rozchoruje. Po kupnie kurtki i butów – a ten wydatek nie był przewidziany w bieżącym miesiącu – nie miała już kasy na żadne lekarstwa.

Kiedy przystanęła przy taksówce, wybrała numer Jaronia.

– O, właśnie miałem do ciebie dzwonić – rzekł. – Ale skoro jesteś pierwsza, to zaczynaj.

– Droga Jeziorna, tam gdzie był wczoraj Borewicz. Macie tam jakieś działania?

– Mój wydział na pewno nie, ale co robią inni, tego ci nie powiem.

– Mógłbyś wy badać?

– Nie ma szans – nawet nie owijał w bawełnę. – A co się dzieje?

– Właśnie nie wiem.

– Borewicz nic ci nie powiedział?

– Nie.

– No to trudno, nie pomogę. Nie dlatego, że nie chcę, ale sama wiesz, jak jest.

– Jasne, wiem – Herman znała te zależności i układy od podszewki. Poza tym tajemnica służbowa to świętość.

– A czy to ma związek z naszą sprawą? – drażył podkomisarz.

– Nie sądzę – odparła. – Teraz twoja kolej.

Nabrał powietrza i wypuścił. W słuchawce rozległ się szum.

– Przejrzałem raz jeszcze monitoring z parkingu przy biedronce i trafiłem na furgon z niemieckimi napisami.

– Kiedy? – Maria Herman usiadła na tylnej kanapie taksówki i zatrzasnęła drzwi. Dreszcz, charakterystyczny dla przeziębienia, znowu przeszył jej ciało. Dotknęła rozpalonego czoła i dała kierowcy znak, by się na razie nie ruszali.

– W piątek po południu, przed osiemnastą. Było jeszcze jasno.

– Widać, kto prowadzi?

– Niestety nie, kamera złapała samochód od tyłu.

– W takim razie od przodu musiała go złapać wtedy, gdy przyjechał na osiedle.

– Też tak myślałem, ale trafień brak. Wóz musiał dostać się na osiedle z dala od biedronki i dojechać na Irysową osiedlowymi drogami.

To też ma sens, pomyślała Herman.

– Masz numery rejestracyjne? – spytała.

– Mam. Samochód należy do Barbary Mokrzyńskiej. Zarejestrowała go w kwietniu zeszłego roku. Mieszka przy wylotówce na Toruń, dosłownie przy skrócie na Biały Bór. Jest właścicielką firmy ogrodniczej.

Herman przełknęła ślinę, ale drapanie w gardle nie ustało.

Wróciła pamięcią do poniedziałkowego poranka, kiedy pojawili się przed domem Lucyny Witberg. Widziała kobietę i mężczyznę, którzy pracowali w ogrodzie. On przycinał tuje rosnące wzdłuż płotu, ona obrywała liście różanecznika.

– Serwis Ogrodniczy. Tak nazywa się firma Mokrzyńskiej? – spytała.

– Tak. Skąd wiesz? – nie ukrywał zaskoczenia.

– W poniedziałek przed południem, kiedy odwiedziliśmy Lucynę Witberg, widziałam kobietę i mężczyznę w zielonych ogrodniczkach i polarach z takim napisem wyhaftowanym na plecach.

Herman wciąż miała przed oczami ten obraz. Przypomniała sobie faceta ładującego do czarnego worka ścięte gałęzie żywopłotu. Stał do niej tyłem, a granatowy dostawczak, którym zapewne przyjechali, znajdował się na podjeździe przed bramą garażową.

– Mówiłeś, że Witbergowie mają długi garaż. Na dwa samochody – odezwała się po chwili.

– Tak, to prawda.

– A jak przyjechałeś do nich, to gdzie stało renault? Tuż za bramą, pośrodku czy na samym końcu pod ścianą?

– Pod ścianą – odparł.

– Czyli furgon mógł wjechać do garażu – powiedziała w zasadzie bardziej do siebie niż do Jaronia.

– O czym ty mówisz?

Komisarz podzieliła się z nim wszystkim, co niedawno widziała.

Jaroń cmoknął.

– No dobra, mamy jakiś punkt zaczepienia. Ale nie bardzo rozumiem, po co mieliby chować wóz do garażu klienta?

– Też się nad tym zastanawiam.

– A może jednak to nie był furgon, co? – powątpiewał Jaroń. – Jesteś pewna, że chodzi o dostawczaka?

Nie skomentowała. Poprosiła kierowcę, by podkręcił ogrzewanie.

– Gdzie ta Mokrzyńska mieszka? – Herman zapytała Jaronia, który podał jej dokładny adres, a ona przedyktowała kierowcy nazwę ulicy i poprosiła, żeby ją tam zawiózł.

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł – zawyrokował Jaroń.

– Zerknę tylko przez okna taksówki i zaraz wracam do apartamentu. Resztę odłożymy na jutro.

Samochód ruszył, a Herman na prośbę kierowcy zapięła pas, bo w kabinie rozległ się natarczywy dźwięk alarmu.

– Witberg musiał ich znać – orzekła, kiedy w samochodzie zrobiło się ciszej. W tle słyszała radiową rozmowę, z której nie była w stanie wyłowić ani słowa.

– Tak, to akurat jest pewne. Niewykluczone, że korzystał nie tylko z ich ogrodniczych usług. Może płacił tej kobiecie za transport do Toboły.

– No, to by miało sens. Koszty mogli ukrywać przed Lucyną w wycenach prac ogrodniczych. Musimy sprawdzić, jak często tam bywali.

– Próbowałem zlokalizować ten samochód na pozostałych nagraniach, ale bez skutku. Zobaczą jeszcze, czy jest na nich granatowy dostawczak. Kto wie, może teraz będziemy mieli więcej szczęścia – oznajmił. – A, jeszcze jedno, przejrzałem zapisy monitoringu z bankomatu. Witberg wypłacał pieniądze też w piątek.

– Ile?

– Nie mamy jeszcze informacji z banku. To na pewno długo potrwa. W tej kwestii powinniśmy raczej liczyć na żonę Witberga. Mogłaby nam wydrukować listę operacji na rachunku.

– Pojadę do niej jutro rano z Olgierdem i ją o to poproszę.

– Dobra, a ja zajmę się rozpracowaniem Serwisu Ogrodniczego. Trzeba im się bliżej przyjrzeć.

– To jest dobry plan. Ale mam do ciebie jeszcze jedną prośbę. – Herman opowiedziała Jaroniowi o tym, czego Zero Siedem dowiedział się od sanitariusza Borsika.

Jaroń zagwizdał.

– Robi się coraz ciekawiej – ocenił.

– I dlatego właśnie potrzebujemy kogoś, kto przejrzałby kroniki kryminalne w tutejszych gazetach i sprawdził, czy nie wypłynął nigdzie ten skradziony wózek.

– To straszna dłubanina – jęknął policjant.

– Niekoniecznie. Chodzi o przejrzenie dosłownie kilku numerów gazet, które ukazały się krótko przed porwaniem i po nim. Jakie tytuły były tu wydawane w tamtych latach?

– Cholera, nie pamiętam. „Gazeta Pomorska”, to na pewno. Być może „Nowości” i jeszcze „Ilustrowany Kurier Polski”. O ile czegoś nie pomyliłem.

– Zastanawiam się, czy w tej sytuacji nie pomógłby nam Marian Kurek – zaproponowała Herman.

– A, widzisz. To zmienia postać rzeczy. Świetny pomysł – pochwalił. – Odezwę się do niego i dam znać.

– A co z tą teczką operacyjną z porwania dzieciaka? Miałeś czas, żeby przyjrzeć się Witbergowej?

– Jeszcze nie. Nie dałem rady.

– Jasne, rozumiem. Po prostu zerknij tam w wolnej chwili – poprosiła Herman i się pożegnała.

Kierowca wiozł ją przez przemysłową część miasta. Minęli zajezdnię MZK, gdzie na placu za płotem parkowały w równych rzędach autobusy. Dalej wyrastały mniejsze i większe hale produkcyjne, pogrążone w mroku, oświetlane jedynie światłem ulicznych lamp.

– Mógłbym zatankować? – spytał kierowca, zerknąwszy na nią przez ramię. Zbliżyli się do rozświetlonej stacji BP.

– Jasne – odparła Herman.

Podjechali pod dystrybutor i kierowca wysiadł, wpuszczając do kabiny chłodne wrześnie powietrze. Herman miała ochotę przykryć się czymkolwiek i zasnąć. Jej powieki stawały się coraz cięższe, dlatego oparła głowę na zagłówek. Wsunęła dłoń w kieszenie i przymknęła oczy.

Równomierne gulgocie nalewanej benzyny miałyby usypiającą moc, gdyby nie słodkawy zapach paliwa, który uderzał w nozdrza.

Herman skrzywiła się i oddychała spokojnie. Ocknęła się, gdy rozdzwoniła się jej komórka.

Kierowca skończył tankować i poszedł zapłacić, a policjantka odebrała telefon. Na ekranie wyświetlał się toruński numer.

– Halo? – odezwała się.

– Dobry wieczór, pani Mario, rozmawialiśmy niedawno. Z tej strony Lech Kołecki. Jestem lekarzem, kolegą Arka Grocha.

– Tak, pamiętam – rzuciła i ciarki rozpełzły jej się od krzyża po całym ciele. Maria przyciągnęła do siebie łokcie i czekała.

– Niestety, nie mam dla pani dobrych wieści – z jego głębokiego, basowego głosu wydobyły się smutne nuty.

Herman mocniej zacisnęła dłoń na telefonie.

– Pani matka zmarła kwadrans temu – dokończył. – Jest mi bardzo przykro.

Maria tylko pokiwała głową. Nie była w stanie wydobyć z siebie głosu.

Lekarz mówił coś jeszcze, ale w pewnym momencie Herman nacisnęła czerwoną słuchawkę, jakby w ten sposób mogła usunąć ze świadomości wszystko, czego się dowiedziała.

Oparła głowę na zagłówek i zamiast smutku poczuła pustkę.

Niewyobrażalną pustkę, która pęczniała w jej wnętrzu, odbierając dech. Pustkę, w której krążyła tylko jedna myśl. Myśl o tym, że Maria Herman już nigdy się nie dowie, dlaczego matka jej nie kochała. Odeszła, zabierając ze sobą tę największą tajemnicę, balast, który Maria od dzieciństwa musiała dźwigać na swoich barkach i którego nie umiała się pozbyć.

Herman odwróciła głowę do bocznej szyby.

Łzy nie napływały, za to deszcz uderzył w asfalt – duże krople podskakiwały na drodze i dzieliły się na mniejsze.

Herman spojrzała w ciemne niebo.

Przypomniała jej się ciągle niezadowolona twarz starszej kobiety.

Jej matki.

Nagle uderzyła w nią niesamowita fala gniewu i złości, która wykiełkowała w jej trzewiach.

Zacisnęła pięść i uderzyła nią o udo.

Nie poczuła bólu, więc ponowiła cios.

Uderzyła się raz jeszcze, a potem w ruch poszły obie pięści, które jak kamienie spadały na mięśnie nóg. Grad twardych ciosów sypał się na ciało, aż w końcu Maria zawyła z bezsilności.

Sapała, oszołomiona, nie wiedząc, dlaczego wyrządzała sobie krzywdę.

Dotknęła nóg i dopiero wtedy, jakby z oddali, ból zaczął powoli przesączać się do krwiobiegu.

Ale najważniejsze było to, że przyniósł jej chwilowe ukojenie.

Olgierd zaparkował toyotę przed nowoczesnym przeszklonym domem, w którym panowały ciemności, i wyszedł na opustoszały parking.

Budynek wkomponował się w las, smukłe sosny wyrastały zza dwóch połączonych ze sobą prostopadłościanów. Poszum drzew nagle wydał mu się złowrogi.

– Łysy? – rzucił Borewicz niezbyt głośno.

Nigdzie nie zauważył samochodu kolegi, który zazwyczaj stał zaparkowany przed wjazdem do garażu, wolnostojącym budynkiem po prawej stronie ekskluzywnego domu. Drogę do niego wyścielała warstwa białych kamieni.

Borewicz podszedł do drzwi, czym wzbudził czujność lampy halogenowej, która rozbłysła natychmiast i zaala światłem trawę wraz z wejściem do domu. Pociągnął za klamkę, ale skrzydło nie ustąpiło.

Sięgnął do kieszeni po telefon, ten przeznaczony do kontaktów z Łysym, i wybrał jego numer. Sygnał był ciągły. Olgierd czekał, ale w końcu uznał, że to bezcelowe.

Oparł zaciśnięte pięści na biodrach i przyjrzał się domowi. W pokoju znajdującym się na piętrze po lewej stronie zobaczył zaciągnięte ciężkie kotary. Wydawało mu się, że jedna z nich się poruszyła, i wtedy w szczelinie dostrzegł światło.

Uważnie obserwował to miejsce, ale materiał ani drgnął.

Chwilę później światło rozbłysło na otwartej klatce schodowej, na wprost drzwi, i Borewicz ujrzał Krzysztofa Glacowskiego schodzącego po drewnianych schodach. Tym razem był w niebieskich džinsach i białym T-shircie.

Czyżby zamierzał się dopiero przebrać? Nigdy w ten sposób się nie prezentował na imprezach.

Zero Siedem zrobił krok w kierunku wejścia, tak by czujka ponownie go wykryła i oświetliła teren przed domem. Kiedy to się stało, Łysy zdążył stanąć na parterze, ale nagła jasność za oknem sprawiła, że zatrzymał się w pół kroku i wyjrzał na zewnątrz.

Cofnął się do holu i ruszył do drzwi, żeby je otworzyć.

– No wreszcie – rzucił od progu.

Olgierd nie odpowiedział i nie ruszył się z miejsca.

– Ej! Zaproszenie ci wystawić?

– Catering jeszcze nie przyjechał. – Olgierd wskazał ręką na kuchnię, do której docierało światło z klatki schodowej.

– Byli tu, ale jeszcze przyjadą. Coś gadali, że im się samochód zepsuł, i na razie tylko pierwszą partię żarcia upchali w lodówce. – Glacowski założył długie czarne włosy za ucho i spojrzął na zegarek. – Powinni zaraz być – dodał, po czym przeniósł wzrok w kierunku wjazdu na posesję. – No włącz, do cholery, bo komary nalecą.

Olgierd minął go w progu i ruszył w kierunku schodów, u których podnóża zauważył zamknięty, oklejony karton.

– Ej! – rzucił Łysy. – Kurtka!

Borewicz odwrócił się do niego i zsunął okrycie z grzbietu, po czym zwinnym ruchem nałożył je na drewniany wieszak.

– I co teraz? – spytał policjant.

– Pogadamy – Łysy wskazał ręką na kuchnię.

Olgierd nie zamierzał iść przed nim, zdradziłby się, że ma pistolet wsunięty za pasek spodni. Zastanawiał się, co powinien zrobić, ale na szczęście Glacowski ruszył pierwszy w kierunku aneksu.

– Czego się napijesz? – spytał Łysy.

– Niczego, dziękuję – Borewicz podszedł do sporej wyspy na kółkach i usiadłszy na wysokim hokerze, oparł na niej łokcie. Czuł, że konstrukcja lekko się poruszyła.

Łysy podstawił szklanekę pod kostkarkę lodu, który zagrzechotał o dno, a następnie sięgnął po stojącą obok whisky i zalał nią bryłki zmrożonej wody. W końcu uniósł szklanekę do ust. Przełknął alkohol bez żadnego grymasu i odstawił naczynie.

– Okej – zaczął spokojnie, ale Olgierd miał wrażenie, że Łysy jest spięty. Zdradzały go nerwowe, sztywne ruchy. – Nie będzie dziś żadnej imprezy.

– A co będzie?

– Pożegnanie.

– Nie rozumiem. – Olgierd poczuł, jak żelazna taśma wokół głowy zaczyna się zaciskać. Skronie pulsowały intensywnie.

Łysy ponownie się napił.

– Nie miej do mnie żalu – powiedział, nie patrząc Olgierdowi w oczy. – Zrobiłem, co w mojej mocy. Niestety, inni uznali, że musimy się z tobą rozstać.

– Co? – nie dowierzał. – Z jakiego powodu? – Borewicz zupełnie nieświadomie wbił paznokcie w przedramię. Wszystkiego mógł się spodziewać, ale nie tego, że straci tę robotę, że ktoś odetnie go od dodatkowych, niemałych pieniędzy i erotycznego spełnienia, które były jak narkotyk i nadawały jego życiu sens. Tej cielesnej wolności, której zakosztował, nie był w stanie porównać do żadnej innej przyjemności. A teraz ktoś, nie wiedział nawet kto, uznał, że Borewicz przestał być potrzebny.

Łysy zakołysał lodem i whisky.

– Czy zawsze musi być jakiś powód?

– Zbyt długo zwlekałem z porzuceniem śledztwa w sprawie Witbergów? – spytał, ale nie uzyskał odpowiedzi, więc kontynuował. – Nie mamy nic. Żadnego przełomowego odkrycia. Ale nie mogłem tak po prostu wyjechać z Grudziądza i zakończyć tej roboty. Ważne, że w końcu udało mi się odciągnąć od niej Herman – zapewnił.

– Nawet nie o to chodzi – Łysy założył kosmyk czarnych włosów za ucho.

– A o co?

– Odwiozłeś policjantkę do jej mieszkania?

Olgierd milczał być może odrobinę za długo. Trzymał nerwy na wodzy, ale złość kielkowała w nim podskórnie i przesączała się do żył i tętnic. Płynęła w nich bezszelestnie niczym rekin sunący pod powierzchnią oceanu.

– Dowiesz się, kiedy sprawdzisz trasę mojego przejazdu. GPS nie kłamie. – Borewicz próbował się lekko uśmiechnąć.

– Nie pytam o zapisy GPS-u, bo dobrze je znam.

– Wywiązałem się ze swojej roboty – odparł Borewicz, przeciągając paznokciami po udach.

Mężczyzna z długimi włosami wodził opuszką palca po kształcie słoików w drewnie, z którego zrobiony był czarny blat wyspy.

– Kiedy rozpoczęliśmy współpracę, powiedziałem ci, że w tej robocie nie ma miejsca nawet na jedno kłamstwo.

– Odwiozłem Marię do domu – stwierdził Zero Siedem, ale Łysy pokręcił głową i końcówki czarnych włosów przesunęły się po jego barkach.

– Owszem, podjechałeś pod jej blok. I tyle. Herman w samochodzie nie było.

Olgierd stężał.

Przypomniał sobie, jak obok toyoty zaparkowanej pod wieżowcem, w którym mieszkała policjantka, przeszedł facet w bluzie z kapturem.

Przeraziło go to, że Łysy działał metodą podwójnych zabezpieczeń. Nie wystarczył mu sygnał z GPS-u zainstalowanego w samochodzie.

Zacisnął zęby.

Czuł, że przegrał.

Wpatrywał się w Łysego, który ponownie sięgnął po szklankę whisky.

Złość tężała w krwiobiegu Olgierda i uderzała do głowy. Przymknął oczy, nabierając głęboko powietrza. Nie mógł przegrać, a jednocześnie wiedział, że negocjacje nie wchodzi w grę. Klamka zapadła. Musiał wykorzystać jedynego asa, którego miał w rękawie.

– Nie odpowiadam za moją szefową – odparł. – Dobrze mi szło, zgodziła się już na wyjazd do Bydgoszczy. I wywiózłbym ją w cholerę, gdyby nie to, że obiecałeś zająć się lokalsami.

Tymczasem to przez Jaronia Maria Herman została na miejscu. – Borewicz wycelował palec w Łysego. – Więc kto tu ma więcej grzechów na sumieniu?

Krzysztof Glacowski prychnął i zakręcił bursztynowym płynem w szklance. Kostki lodu, częściowo już roztopione, nie zagrzechotały tak głośno jak poprzednio.

– Wiesz, na czym polega twój problem? – spytał, a ponieważ Olgierd tylko uniósł brwi, Łysy kontynuował: – Na tym, że wpierdoliłeś się w gówno, którego przez lata nikt nie ruszał, bo dobrze wiedział, czym to grozi.

– Mogłeś mi powiedzieć... – Borewicz spuścił z tonu.

– Nie, kurwa. Nie mogłem ci powiedzieć, bo w ogóle mnie o to nie zapytałeś! – krzyknął Łysy. – Przyjechałeś do Grudziądza z aktami sprawy tylko po to, żeby udowodnić swojej żonie, że jesteś w robocie, a nie na grupowym ruchaniu.

Olgierda swędziało między łopatkami.

Pot perlił się na górnej wardze i nagle zrobiło mu się gorąco.

Zwilżył językiem usta.

– Dobra. Okej. Spierdoliłem to. – Nabrał powietrza. – Ale swoją robotę wykonywałem rzetelnie. Zabezpieczenie sesji pozostawało na najwyższym poziomie. Dobrze o tym wiesz. Jestem najlepszy w tym, co robię. Dlatego zamiast pierdolić głupoty, weźmy się za konstruktywne ustalenia.

Łysy dołał sobie whisky.

– Konstruktywne ustalenia są takie, że zostawiasz mi telefon, który ode mnie dostałeś, milczysz o wszystkim, co tu się działo, zapominasz o mnie, a my nie narobimy ci syfu i pozwolimy odejść. I nie, nie jesteśmy tacy dobrzy, tylko mamy nagranie, którego ani twoja żona, ani twoi teściowie nigdy nie chcieliby zobaczyć. Bo wtedy, Olo, skończysz na ulicy, rozumiesz?

Olgierd położył drżącą dłoń na udzie.

Nie mógł przełknąć śliny; miał wrażenie, że świat wokół niego zaczął wirować.

– O co chodzi z tą sprawą Witbergów? – spytał.

– Skończyliśmy na dziś. – Łysy dotknął blatu palcem wskazującym. – Oddaj telefon.

Borewicz pokiwał głową i wstał.

– Nalałbyś mi wody? Zaszło mi w ustach.

– Sam sobie nalej. Ale najpierw telefon – wyciągnął rękę.

Olgierd wskazał kciukiem za plecy, tam gdzie znajdowała się ściana z wielkiej szyby, a za nią zielony teren, na którym parkowała toyota.

– Wszystko mam w plecaku.

Łysy skupił na nim wzrok i analizował sytuację.

– Okej, sam po to pójde – stwierdził, uznając, że w ten sposób zminimalizuje ryzyko ucieczki Borewicza.

Olgierd sięgnął do kieszeni i wyłowił brelok samochodowy z kluczem. Rzucił go na wyspę, a ten siłą rozpędu prześlizgnął się w stronę Łysego.

Glacowski dopił whisky, po czym poszedł w stronę drzwi.

Olgierd wstał, żeby nalać sobie wody. Odkręcił kran i podstawił szklanę. Potem kilkoma haustami wypił zawartość. Wreszcie otarł usta.

Odwrócił się, żeby zlokalizować Łysego.

Mężczyzna nachylał się do toyoty od strony drzwi pasażera.

Borewicz czuł, że drżą mu ręce. Nie wiedział, co powinien teraz zrobić. Przeklinał to, że światło w domu uruchamiały czujniki ruchu. Nie zdążyłby ich wszystkich powyłaczać. Nie mógł też schować się w salonie, bo i tam lampy od razu wyczułyby jego obecność. Dlatego pozostał w kuchni i czekał.

Obserwował Łysego, który zatrzasnął drzwi toyoty i ruszył z powrotem do domu.

Gdy tylko szef na moment zniknął Olgierdowi z oczu, ten wyciągnął broń, odbezpieczył i z powrotem usiadł na hokerze.

Miał spocone dłonie.

Zdążył wytrzeć je w nogawkę spodni, a chwilę później w korytarzu rozległy się kroki.

Zanim taksówkarz wrócił do wozu, Herman uspokoiła się po niespodziewanej fali złości.

– Przepraszam, że musiała pani tyle czekać, ale gość przede mną kupował hot dogi, a kasjerka była przez chwilę sama – wyjaśnił.

– Nic się nie stało. – Herman spojrzała na rozświetloną witrynę stacji. Do stanowiska obok podjechał biały furgon i puls Marii nagle przyspieszył. – Niech pan jeszcze nie rusza – poleciła, a mężczyzna, który zdążył uruchomić silnik, oderwał ręce od kierownicy.

– Nie ma sprawy – odrzekł spokojnie.

Herman przyjrzała się citroënowi, ale na części bagażowej nie znalazła żadnych niemieckich napisów.

Odetchnęła.

– Okej, możemy jechać – zakomenderowała.

Taksówka potoczyła się w stronę ulicy. Kawalek dalej na rondzie kierowca wybrał zjazd w prawo.

Herman zdążyła przymknąć oczy, gdy rozdzwonił się jej telefon.

– Cześć, mała – usłyszała przyciszony, basowy głos Arka Grocha. Zważywszy na porę, musiał schować się gdzieś z aparatem przed żoną, ale nie miała mu tego za złe. Doceniała, że zadzwonił. – Wyrazy współczucia.

Herman westchnęła.

– Dzięki, Grochu.

– Jesteś już w Toruniu?

– Nie.

– No chyba mi nie powiesz, że nadal zapierdasz z robotą w Grudziądzu?

Nie odpowiedziała i tym razem on westchnął.

– Przyjechać po ciebie? – zaproponował.

– Nie, dzięki. Jestem tu z Olgierdem. Jutro rano miałam jechać do matki do szpitala, żeby się z nią pożegnać, ale chyba tego nie potrzebowała.

Groch milczał.

– No cóż, tak bywa – dodała, żeby przerwać ciszę.

– Czyli że będziesz w Toruniu?

– Chyba powinnam ogarnąć parę spraw związanych z pogrzebem.

- Mogę ci pomóc.
- Dzięki, Grochu, ale obędzie się.
- A co z kasą?

Herman zacisnęła zęby. Nie miała nic na koncie.

– Może najpierw dowiem się, ile co kosztuje, a potem, gdyby mi nie wystarczyło, to dałabym ci znać, co?

– Ale nie jeb się z tym za długo, bo nie warto. Po prostu wal jak w dym, mała. Stypę pewnie też będziesz musiała wyprawić, nie?

– Nawet nie chce mi się o tym myśleć.

– Wiem, jak jest – jego głos niósł pocieszenie. – No nic, zrobisz, jak zechcesz, ale pamiętaj, że kiedy świat próbuje ci wpierdolić, na Grocha możesz liczyć. Tylko daj znać, okej?

Pokiwała głową.

– Okej? – domagał się głośnego potwierdzenia.

– Jasne. Okej – odparła.

– No, zuch dziewczyna – ucieszył się. – Ale musisz mi jeszcze coś obiecać.

Nie zdążyła go zapytać, co ma na myśli, bo sam się odezwał.

– Nie graj, mała. Wytrzymałaś tyle, że nie możesz teraz tego wszystkiego spierdolić. Rozumiesz? Nie możesz zagrać. Koniec kropka. Nie ma, kurwa, takiej opcji. – Nabrał powietrza. – No. To tyle. Wierzę w ciebie. – I się rozłączył.

Herman jeszcze przez chwilę trzymała aparat przy uchu. Czekala, aż uczucia kłębiące się w rozedrganym wnętrzu ponownie wybuchną.

Pomyślała, że pierwszy raz od dawna, w sytuacji gdy targały nią tak skrajne emocje, nie pomyślała o graniu. To Groch przypomniał jej o hazardzie. Ale sam z siebie ten automatyzm, który pojawiał się, ilekroć wkraczała w strefę mroku, tym razem się nie uruchomił. A potem pomyślała, że być może wiadomość o śmierci matki tylko chwilowo zagłuszyła w niej potrzebę odreagowania stresu.

I tego się przelękała.

Wcisnęła się w tylną kanapę, jakby to miało pomóc jej uchronić się przed złem, i trwała tak przez jakiś czas.

Samochodem kołysało.

Myślała tylko o matce.

W końcu odważyła się spojrzeć przez boczną szybę.

Światło ulicznych latarni co chwila zaglądało do kabiny i oświetlało nową kurtkę i wciąż jeszcze drżące ręce policjantki. Świat przesuwiał się szybko, tracił kontury i się rozmywał. Przeobrażał się i zmieniał. Wszystko zlewało się w ciąg ciemnych, nieregularnych plam,

a krople deszczu, przyklejone do szyby i drżące od podmuchów wiatru, dodatkowo ten obraz zniekształcały.

Herman wróciła pamięcią do dzieciństwa. Patrzyła w młodą twarz ojca, który przeciągnął dłonią po bujnej czuprynie ciemnych włosów. Uśmiechnął się do niej, ale wyczuła, bo dziecko zawsze takie rzeczy wyczuwa, że ten uśmiech nie jest naturalny. Świadczyły o tym jego błyszczące oczy. Zrozumiała, że ukrywa prawdziwe emocje, które trawia go od środka.

Znajdowali się na piętrze, w jej pokoju, w którym kilka lalek opierało się plecami o ścianę. Ich nogi spoczywały na łóżku. Maria siedziała między nimi. Mogła mieć wtedy nie więcej niż dziesięć lat i doskonale zapamiętała tę rozmowę.

– Mama bardzo cię kocha. – Ojciec przetarł dłońmi twarz i zamrugał szybko powiekami, po czym na chwilę odwrócił głowę w kierunku drzwi. Były zamknięte.

Jego ciepłe dłonie wylądowały na jej kolanach, które pogładził delikatnie kciukami.

Maria zapłakała.

W strzępkach pamięci pozostały jej obrazy, kiedy chciała usiąść mamie na kolanach, ale mama czytała książkę i kazała córce iść się pobawić do pokoju. Dziewczynka jednak tego nie zrobiła i ponownie próbowała wcisnąć się w ramiona matki, przytulić i objąć ją za szyję.

– Kocham cię, mamusiu – powiedziała, ale matka ze skwaszoną miną, udręczona namolnością córki, odchyliła się i wtedy przez przypadek paznokcie dziewczynki zahaczyły o skórę kobiety. Na jej szyi wykwitły trzy długie czerwone pręgi.

Nie pamiętała, co było dalej, ale kiedy tak siedziała na tapczanie i płakała, czuła, że skóra pośladków piecze ją niemiłosiernie.

– Mama naprawdę bardzo cię kocha – powtórzył ojciec i znowu rozciągnął usta w uśmiechu. Ale jego oczy pozostały smutne.

On też ją okłamywał.

Znał prawdę, lecz ją ukrywał.

To rozsierdziło dziewczynkę.

Zawiódł ją nawet jej kochany tatuś.

Napuchła od emocji i rzuciła się na niego.

W napadzie nieokiełznanej furii zamierzała wydrapać tę prawdę z jego smutnych oczu i zmusić go w ten sposób do wyznania tego, co czuła, o czym doskonale wiedziała: że chłód matki jest równoznaczny z brakiem miłości.

Ale zanim zdążyła uderzyć ojca, ten przytulił ją mocno, tak mocno, że Maria nie była w stanie wykonać żadnego ruchu. Dopiero wtedy poczuła, jak tata drży, próbując stłumić szloch.

Tylko dlatego coś w niej złagodniało.

Bo prawda wreszcie się objawiła.

Mięśnie małej Marii zwiotczały, po pulchnych policzkach spłynęły łzy.

Zetknęli się rozgrzаныmi czołami i łkali w ciszy, jakby groziło im niebezpieczeństwo. Jakby robili niedozwolone rzeczy. Samotni i zupełnie bezbronni. Otoczeni ciszą mieszkania, w którym nie wolno przeszkadzać matce.

Komisarz Maria Herman, wspominając to zdarzenie, po raz pierwszy pomyślała, że tamtego dnia wcale nie była lepsza od swojego ojca. Wówczas to on próbował ją okłamać, ale przecież ona zrobiła dokładnie to samo.

Powiedziała matce, że ją kocha.

– Do jasnej cholery, idź już na górę! – krzyknęła matka.

– To na pewno tu?

Taksówka zajechała pod bramę niewielkiej posesji ze starym domem z rozświetlonymi oknami na parterze i opuszczonymi żaluzjami.

Kierowca pokiwał głową.

– Tak jak pani sobie życzyła – stwierdził i powtórzył adres, który wcześniej mu poddyktowała.

– Dobrze. Niech pan odjedzie dwa domy dalej – poleciła Herman, a kiedy to zrobił, wysiadła z samochodu.

Deszcz zelżał, ale mimo to narzuciła na głowę kaptur i wróciła do ogrodzenia, przy którym niedawno się zatrzymali. Obok domu znajdował się blaszany garaż. Wiodły do niego dwie koleiny, zalane gdzieś deszczem. Podłużne, wąskie kałuże odbijały niepełny obraz frontowej elewacji domu.

Herman przyjrzała się przerośniętej trawie, której długie źdźbła zwieszały się do ziemi. Krzewy, niskopiennie i okrywowe, nie tworzyły żadnej kompozycji. Policjantka uznała, że ogród od frontu odstraszyłby potencjalnych klientów, ale zapewne żaden z nich nie pofatygował się do siedziby firmy. Internet i fachowe zdjęcia z serwisów fotograficznych załatwiały wszystko.

Rozejrzała się za jakimkolwiek szyldem lub banerem reklamowym – nigdzie takiego nie znalazła.

Postanowiła obejść narożną działkę z drugiej strony, lecz zatrzymała się przy furtce. Na domofonie nie było żadnego nazwiska.

W momencie gdy przeszła do narożnika ogrodzenia, trasą na Toruń przejechało kilka samochodów. Zerwały z asfaltu wodną mgiełkę, a silny podmuch pędzących aut cisnął nią w Herman. Odwróciła się plecami do drogi i automatycznie zamknęła oczy. Przeczekała, aż pęd powietrza osłabnie, i dopiero wtedy uniosła powieki.

Za domem, przy drugiej bramie, wychodzącej na ulicę prostopadłą do głównej szosy, zobaczyła przód białego samochodu. Poszła w tamtym kierunku i przyjrzała się furgonowi.

Na blaszanej burcie znajdowały się wytarte niemieckie napisy i symbole kilku drzew zebranych w elegancki logotyp. Hans Volker. Haus und Garten Service. Bad Oeynhausen. O ile dobrze odczytała treść, bo część naklejek się zerwała.

Herman zadzwoniła do Jaronia.

– Jestem na miejscu – odparła.

– No i?

– Wóz jest na posesji.

– Widać napisy? – spytał zaintrygowany.

– Widać. Niemieckie, mocno już wytarte. Zrobiłabym zdjęcie, ale moja komórka nie wie, co to aparat.

– Dobra, olej zdjęcie. A granatowy transit? Jest tam gdzieś?

– Nie widzę. Może schowali go do garażu.

– Okej. Zobaczyłaś, co miałaś do zobaczenia, a teraz lepiej stamtąd znikaj. Powinniśmy zachować ostrożność. Nie możemy ich spłoszyć.

– Przecież mnie tu w ogóle nie ma – stwierdziła Herman i zakończyła połączenie.

Spojrzała na samochód i dopiero po chwili zauważyła, że w cieniu za domem, pod okapem dachu, tam gdzie nie zaglądało światło ulicznej latarni, ktoś pali papierosa i jej się przygląda.

– O co chodzi? – odezwał się mężczyzna w bluzie z kapturem.

Herman nie wiedziała, czy rozmowa z Jaroniem mogła dotrzeć do uszu faceta.

– O nic. Drogi szukam.

– Jakiej drogi? – zaciągnął się.

– Jeziornej. Droga Jeziorna. Wie pan, jak tam dojechać?

– To pani przyjechała tą taksówką? – spytał, kiwając głową w kierunku domu, a Herman struchlała, chociaż za wszelką cenę próbowała nie dać tego po sobie poznać.

– Skasował mnie na trzy dychy i chyba zrobił mnie w jajo, skurwiel – krzyknęła. – Zadzwońłam na centralę, mają kogoś podesłać, ale może ta Jeziorna to gdzieś tutaj?

– A nawigacji pani nie ma?

Uniosła w jego kierunku swój telefon.

– Stara pocziwa nokia nie zna takich cudów.

Zdawało jej się, że pokiwał głową.

– Jeziorna jest kawałek stąd – odparł. – Musi pani iść w kierunku miasta.

Herman odwróciła się do głównej drogi.

– Jak daleko?

– Dwa, może trzy kilometry. Lepiej zaczekać na taksówkę.

– Zabiłabym gnoja, no! – krzyknęła. – Ale już za późno.

Mężczyzna się zaciągnął i wypuścił kłąb dymu.

– No nic, nie przeszkadzam – powiedziała Herman. – Ale mam prośbę.

Facet uniósł brodę.

– Poczęstowałby mnie pan fajką?

Przez moment wydawał się zaskoczony, ale w końcu wyszedł z cienia, nasuwając kaptur bluzy na głowę.

Miał na sobie niskie gumki, w które wsunął nogawki czarnych dresów.

Kiedy podszedł do Marii, wyciągnął z kieszeni spodni paczkę cameli i skierował w jej stronę.

Spojrzała w trójkątną twarz oświetloną pomarańczowym blaskiem ulicznej latarni.

– Dwa mogę? – uśmiechnęła się.

– Pani weźmie.

– Dobry z pana człowiek. Nie to co ten gnój z taksówki – warknęła.

Podsunał jej zapalniczkę i zgrzytnął kółkiem. Niebieskawy płomień zatańczył na wietrze; kiedy Herman się do niego pochylała, zwróciła uwagę na czarny brud pod mocno przyciętym paznokciem kciuka mężczyzny.

Zaciągnęła się i od razu poczuła się pewniej.

Przyciągnęła łokcie do siebie i skrzyżowała ramiona, próbując się ogrzać.

– Zajmujecie się pracami ogrodniczymi? – spytała, skinąwszy głową w stronę samochodu.
– Mój brat ma dużą działkę i szuka ekipy.

– A gdzie ta działka?

– Niedaleko biedronki na Owczarkach.

Mężczyzna też zapalił papierosa.

– Mamy już komplet klientów, obawiam się, że nie damy rady – skrzywił się.

– Szkoda – policjantka wypuściła kłąb dymu. – Ale może chociaż się spotkacie? Nie ma pan jakiejś wizytówki?

– Wszystkie dane są na Facebooku.

– A jak się nazywa ta firma?

– Serwis Ogrodniczy. Po prostu.

– Łatwa. Wpada w ucho – pochwaliła, a mężczyzna się uśmiechnął.

– Czego pani szuka na tej Jeziornej? – zainteresował się.

– Umówiłam się ze znajomym, że mnie stamtąd odbierze.

– Przecież tam same ośrodki wczasowe. Nieczynne o tej porze roku.

Herman wzruszyła ramionami.

– Mówił, że tam będzie. Nie wnikam.

– To pani do niego zadzwoni, żeby tu podjechał. Będzie łatwiej.

Zaskoczył ją.

– To nie takie proste. Ale dzięki, poradzę sobie. Dobranoc. – Ruszyła w stronę taksówki, zaparkowanej kilka domów dalej.

Wciąż czuła na sobie wzrok młodego mężczyzny.

– Halo! Proszę pani! – usłyszała jego głos.

– Tak? – zatrzymała się.

– Centrum jest w przeciwną stronę. – Facet wyciągnął palec i wskazał za jej plecy.

Odwróciła się.

– No przecież! Dzięki! – Machnęła ręką i ruszyła szybkim krokiem przed siebie.

Łysy postawił plecak na stole w kuchni.

Kazał Olgierdowi wyjąć komórkę i odłożyć na blat.

Ten zrobił, co należało, a Glacowski w tym czasie grzebał w swoim telefonie. Po chwili aparat leżący na wyspie rozdzwonił się, Łysy pokiwał głową i przerwał połączenie.

Gitarowy riff ucichł.

– Kto za tym wszystkim stoi, co? – Olgierd wciąż odczuwał gniew, który palił go wewnątrz. Machinalnie raz jeszcze przeciągnął otwartą dłońią po spodniach. Pistolet leżał między udami i Zero Siedem korciło, żeby po niego sięgnąć.

Łysy się zaśmiał.

– Do tej pory się tym nie interesowałeś, a teraz, kiedy się rozstajemy, mam ci wszystko zdradzić?

Olgierd potarł kciukami opuszki pozostałych palców. Świerzbiły go, żeby chwycić za rękojeść broni.

– Tobała, tak? – spytał Olgierd. – To jego robota? To on rozkręcił nowy biznes? Siedzisz u niego w kieszeni. U niego albo u tego młodego Bickiewicza, co?

Łysy spoważniał, brwi zbiegły się ku sobie.

– To kolejny argument, który każe mi się z tobą rozstać. Nasi klienci mieli pozostać anonimowi. Łamiesz reguły gry.

– Kto za tym stoi? – spytał raz jeszcze, siląc się na spokój. Palce prawej ręki dotknęły pistoletu. – No więc?

– Umowa była taka, że ta sprawa cię nie interesuje.

– Kto? Tobała czy Bickiewicz? A może obaj, co?

Łysy popchnął plecak w kierunku Borewicza.

– Zabieraj się stąd i nie próbuj się ze mną kontaktować. Nie będzie żadnych ostrzeżeń. Jeden głupi ruch i twoja żona obejrzy film. Pamiętaj o tym.

– Jaką mam gwarancję, że i tak go nie dostanie?

– Nie masz żadnej. Po prostu musisz nam zaufać.

Olgierd prychnął.

– To teraz ja ci coś powiem. Znam więcej nazwisk uczestników tych zabaw – zablefował. – Prawie wszystkich. Do niedzieli będę miał pełną listę. Z łatwością mogę wam zamknąć ten biznes. Wystarczy odezwać się do kilku osób i zasiać ziarno niepewności – stwierdził,

ściągnął łopatki. Wypełnił klatkę piersiową sporym haustem powietrza. – Pytanie, kto więcej straci. Wy czy ja? Dlatego lepiej będzie, jeśli zostanę na pokładzie. – Przyglądał się Łysemu, który drgnął, a następnie znieruchomiał. Olgierd zrozumiał, że trafił w czuły punkt, i na chwilę się rozluźnił. Do momentu, gdy napięcie zniknęło z twarzy kolegi i zastąpił je szeroki uśmiech.

– Tak się pięknie składa – odezwał się Glacowski – że uprzedziliśmy wszystkich klientów, że być może będziesz próbował się z nimi kontaktować. Nic im nie zrobisz. Nie masz żadnych nagrań. W żaden sposób im nie zagrażasz.

– Jesteś tego pewien? – Zero Siedem jeszcze próbował się ratować.

– Jesteś w dupie, Oluś. W czarnej dupie.

Borewicz czuł, jak gorąca krew rozsadza mu czaszkę.

– I już srasz pod siebie, brachu – kontynuował były gliniarz. – Więc spierdalaj, zanim mi zafajdasz podłogi.

Olgierd liczył uderzenia swojego serca. Głośne i wyraźne. Spłynął mu się oddech, dreszcze targaly jego wnętrznościami. Czuł puls pod czaszką wybijany młotem.

Musiał się od tego wszystkiego uwolnić.

Łup, łup.

Teraz.

Natychmiast.

Palce objęły rękojeść pistoletu.

Łup, łup.

Obawiał się, że jeśli tego nie zrobi, eksploduje mu głowa.

Łup, łup.

Otworzył oczy.

Wstał i skierował broń prosto w klatkę piersiową Łysego.

Ten z wrażenia upuścił komórkę. Telefon z głuchym stukotem odbił się od kafli i znieruchomiał obok jego butów.

Glacowski uniósł rękę w geście poddania i znieruchomiał.

– Spokojnie, Zero Siedem. Odłóż to – poprosił. – Nie pogarszaj swojej sytuacji.

Popatrzył w szybę ponad głową Olgierda i szeroko otworzył oczy. Borewicz odruchowo zerknął przez ramię.

Świat za szybą tonął w mroku.

Nieprzystępnym i złowrogim.

Olgierd zrozumiał, że dał się złapać na prosty chwyt.

Zanim zdążył zareagować, Łysy pochylił się gwałtownie i pchnął wyspę, która z łoskotem przesunęła się po podłodze i trafiła Borewicza blatem w biodro.

Nagły huk wystrzału rozniósł się po domu.

Herman zadzwoniła po taksówkarza i przeszła kilkaset metrów w stronę centrum. Co jakiś czas patrzyła na przemysłową dzielnicę miasta, śpiące zakłady, ciche warsztaty, hale i rozdzielone płotami wielkie działki z morzem kostki brukowej. Gdzieś dalej na północ znajdowały się bloki mieszkalne.

Mijały ją samochody, ostre światła reflektorów raziły w oczy.

Kierowca odebrał ją z zatoki autobusowej.

– Dokąd teraz? – wrzucił kierunkowskaz, który tykał cicho, i wóz zjechał na mokry asfalt.

– Czas się wyspać.

– Czyli do Łózkowic pod Pierzynowice – zaśmiał się, ale Herman nie odpowiedziała, tylko uśmiechnęła się smutno. – Chyba miała pani ciężki dzień.

– Zmarła moja matka – komisarz usłyszała, jak te słowa wydobywają się z jej ust.

– Jak to? Dzisiaj? – kierowca natychmiast spowaźniał, a ją było stać jedynie na skinienie głowy, które dostrzegł, zerkając we wsteczne lusterko. – Boże, bardzo mi przykro, nie wiedziałem. Najmocniej panią przepraszam.

– Niepotrzebnie – zatrzymała potok uprzejmości, których nawet nie oczekiwała. – Nie kochałam matki ani ona nie kochała mnie. Czasami mam wrażenie, że traktowała mnie jak obce dziecko – dodała i nagle poczuła ulgę, jakby wypowiedzenie na głos tej myśli uwolniło ją od traumy z dzieciństwa. Ale przecież tak nie było.

Nie mogło tak być.

Wiedziała, że nigdy nie pozbędzie się bólu związanego z poczuciem odrzucenia przez matkę. Być może dlatego sama nie chciała mieć dzieci. Bała się, że mogła odziedziczyć ten cholerny gen niemiłości, że mogłaby odtrącić swoje dziecko i narazić je na przeżywanie tego wszystkiego, czego sama doświadczyła jako dziewczynka. Pamiętała z terapii, że takie rzeczy przenoszą się z pokolenia na pokolenie. Matka Marii też mogła zostać odrzucona przez swoją matkę. Herman nie mieściło się to w głowie.

– Najpierw powinna pani zaakceptować przeszłość. Czasu nie cofniemy. To najtrudniejszy z trzech kroków do wyleczenia traumy – wyjaśniła jej psycholożka, młoda, niezwykle urodziwa kobieta, przy której Maria czuła się stara i brzydka. Lecz ufała w mądrość tej zdolnej terapeutki, cieszącej się niezwykłą popularnością.

– A kolejne kroki? – spytała, chcąc uciec od pierwszego z nich.

– Zrozumienie tego, co się stało. A następnie pokochanie siebie.

– A czy w ogóle można zrozumieć jej zachowanie? – burknęła Maria.

– Nie chodzi o pani matkę – zauważyła terapeutka, która siedziała ze złączonymi kolanami w letniej sukience, tylko nieznacznie odsłaniającej jej łydki, i w dobranych pod kolor czerwonych mokasynach na bosych stopach. Herman zauważyła w pobliżu kostki delikatny tatuaż. Dwie niezapominajki. – Chciałabym, żeby próbowała pani zrozumieć to, co się stało, zamiast zastanawiać się, dlaczego się stało. Takie podejście może być ważnym krokiem do celu na pani drodze.

Maria Herman pamiętała, że wtedy, w gabinecie psycholożki, nawiedził ją obraz matki, która odwraca od niej wzrok i nie reaguje na wyciągniętą w jej stronę drobną dziecięcą dłoń.

– Jak mam to zrobić? – czuła się zupełnie bezsilna wobec tego, czego wymaga od niej terapia.

– To jest proces długotrwały. Powiązany z akceptacją. Z tym, o czym mówiłam przed chwilą. Najpierw musi pani zaakceptować to, że nie miała wpływu na zachowanie swojej matki. Dopiero wtedy można myśleć o zrozumieniu tej sytuacji.

Herman poczuła szybsze bicie serca i przymknęła oczy. Pod powiekami przewijały się oblicza matki na różnych etapach życia. Zmieniały się niczym ujęcia w filmie poklatkowym. Najpierw była to młoda twarz o klasycznych rysach, jeszcze pozbawiona zmarszczek, którą okalały ciemne loki. Ta twarz się przeobrażała, starzała, zmarszczki stawały się coraz wyraźniejsze i głębsze, górne powieki zaczęły opadać, a oczy z kolei wydawały się z wiekiem coraz mniejsze. Ale bez względu na to, czy były młode, czy stare, Maria nigdy nie widziała w nich uśmiechu. Matka uśmiechała się do męża, do znajomych, do członków bliższej i dalszej rodziny, nawet do koleżanek Marii. Nigdy do swojej córki.

– Jak mam ją, kurwa mać, zrozumieć! – wrzasnęła i chwyciła torebkę. Wyszła, zostawiając za sobą otwarte drzwi do gabinetu.

Wróciła po tygodniu.

I z pomocą pięknej terapeutki z niezapominajkami na kostce próbowała układać sobie życie na nowo.

Skoro nie dało się wybudować nowego domu, musiała wyremontować stary.

Nie było dróg na skróty.

Żeby pokonać to, co wyrosło na żyznej glebie jej traumy, musiała się z nią zmierzyć.

Inaczej nie umiałyby stawić czoła nałogowi.

– To chyba tu, prawda? – głos taksówkarza wyrwał ją z zamyślenia.

Ocknęła się i przez moment nie umiała rozpoznać miejsca, w którym się znaleźli. Dopiero gdy spojrzała na drzwi kamienicy, zrozumiała, że przyjechali pod apartament.

Odetchnęła, a taksówkarz sięgnął dłonią do podsufitki i po chwili w kabinie zrobiło się jasno.

– Na pewno nic nie jestem panu winna? – wołała zapytać, nie było jej stać na kolejne długi.

– Niech się pani o to nie martwi – zapewnił ją. – To są rozliczenia między naszymi szefami.

Herman podziękowała i otworzyła drzwi.

– Gdyby czegokolwiek pani potrzebowała, proszę dzwonić, mam dziś nockę.

– Marzę tylko o tym, żeby się wyspać.

– W takim razie dobranoc, pani Mario.

– Dobranoc.

Weszła mozolnie na trzecie piętro i na klawisze cyfrowej wybrała sześciocyfrowy pin. Musiała się pomylić, bo system odrzucił kod. Wpisała go raz jeszcze, z większą uwagą, ale efekt był ten sam.

Westchnęła poirytowana, bo światło na klatce schodowej, na której unosił się smród kociego moczu, zgasło i zalała ją ciemność. Zrobiła dwa kroki w bok i wymacała włącznik.

Sięgnęła po starą nokię i przejrzała esemesy od Olgierda. Trafiła na ten właściwy z kodem do apartamentu i ponownie wybrała na klawiaturze cyfry w określonej kolejności, po czym chciała nacisnąć kławkę, ale ta nawet nie drgnęła.

Wybrała numer Olgierda i odczekała kilka sygnałów.

Światło ponownie zgasło, a Borewicz nie odbierał. Była przekonana, że przedłużył pobyt w apartamencie, przecież powiedział jej, że to zrobi. Ale być może powinna była otrzymać nowy szyfr. Wysłała do Olgierda esemesa i zastanowiła się, co robić. Nie miała kontaktu z właścicielem apartamentu, bo jej telefon nie łączył się z internetem. Była skazana na Olgierda.

Zerknęła na ekran telefonu z nadzieją, że Zero Siedem oddzwoni, ale nic takiego się nie wydarzyło.

Odczekała kilka minut, raz po raz rozświetlając przestrzeń na korytarzu z trojgiem drzwi. Czasami podchodziła do barierek, żeby spojrzeć w dół z tego najwyższego piętra na spiralę schodów prowadzących na parter.

Złudzenie optyczne wywołane perspektywą.

Co było złudzeniem w sprawie Witbergów?

Herman wróciła myślami do psów szczekających w schronisku, które domagały się uwagi, do odgłosów wydobywających się z wielu gardeł. Pomyślała, że pies, a raczej jego zniknięcie, może być kluczem do zabójstwa Andrzeja Witberga.

Zastanawiała się, czy Jaroń i jego ekipa poszli tym tropem. Być może, gdyby tak się stało, dziś znajdowałiby się dalej na drodze do rozwiązania obu spraw.

Chcąc pchnąć śledztwo, musiała z innej perspektywy spojrzeć na te wszystkie elementy, które uzbierali razem z Zero Siedem i ułożyli na stole. Wiedziała przecież, że wystarczy zmienić kąt patrzenia, by obraz zyskał głębię, a złudzenie optyczne przestało okłamywać zmysły, które w końcu mogły odkryć prawdę.

Pomyślała o furgonie, który pojawiał się u Toboły. A także o młodych ludziach, kobiecie i mężczyźnie, których widziała w ogrodzie Lucyny Witberg, ubranych w robocze stroje z żółtym napisem „Serwis Ogrodniczy”. Nie dostrzegła wtedy twarzy mężczyzny i nie wiedziała, czy był nim ten sam facet, który palił camela w pobliżu białego furgonu z wytartymi niemieckimi napisami.

Potem nagle pomyślała o tym, co przemknęło jej przez głowę, gdy czekała na taksówkarza na stacji benzynowej. Ulotna myśl, której nie mogła w żaden sposób uchwycić.

Było coś jeszcze. Coś, co powiedziała taksówkarzowi o sobie i swojej matce.

Matka traktowała mnie jak obce dziecko, wspomniała swoje słowa, ale tym razem nie odniosła ich do własnego życia.

Zastanowiła się, która matka z kobiet pojawiających się w sprawie porwania dziecka Toboły wychowywała nie swoje dziecko. Być może Andrzej Witberg miał rację, kiedy mówił swojej żonie, że ich dziecko żyje.

Ale kim było i gdzie się uchowało przez te wszystkie lata?

Ocknęła się z zamyślenia, gdy gdzieś niżej usłyszała odgłos otwieranych drzwi i usłyszała kroki rozchodzące się echem po całej klatce. Zerknęła w dół; widziała, jak ktoś schodzi po schodach. Jęknęły drzwi wyjściowe, uliczne światło na chwilę ułożyło się trapezem na podłodze, a potem, w miarę jak drzwi się zamykały, jasny klin się zwęzał.

Z powrotem zapadła ciemność.

Maria Herman nasłuchiwała innych dźwięków, ale znowu zrobiło się względnie cicho. Gdzieś grał telewizor lub radio, dochodziły przytłumione głosy i słowa, których nie była w stanie zrozumieć.

Bełkot, z którego nie da się nic wyłowić.

Tylko tyle.

W końcu ponownie zadzwoniła do Olgierda.

– No odbierz – jęknęła.

Ostry smród prochu uderzył w jego nozdrza.

Olgiert się zachwiał i upadł, omal nie wypuszczając broni z ręki.

Kość biodrowa nieznośnie pulsowała pod skórą, aż się skrzywił. Zerknął nad przesuniętą wyspą, ale po Łysym nie było śladu. W korytarzu też go nie było. Dopiero gdy światło na schodach automatycznie zgasło, zrozumiał, że Glacowski uciekł na górę.

Zerknął na dziurę we froncie szafki zawieszanej na ścianie, która wyglądała tak, jakby ktoś przewiercił ją dziewięciomilimetrowym wiertłem ustawionym pod kątem.

Jasna cholera, stęknął w duchu.

Adrenalina wciąż buzowała mu w żyłach. Olgiert podniósł się i kuśtykając, skierował się do podnóża schodów. Wyłączył przyciskiem automatyczne oświetlenie i wolno ruszył w ciemnościach na górę, dając sobie czas, by oczy przyzwyczyły się do mroku. Broń trzymał oburącz przed sobą, gotowy do strzału. Kiedy wszedł na półpiętro, oczy wyłowiły z ciemności znajome kształty. Dostrzegł klosz lampy i zarys kilku obrazków na ścianie.

Wiedział, że ten jeden przypadkowo wystrzelony pocisk wszystko zmienił. Nie było już odwrotu.

Musiał przemówić Glacowskiemu do rozsądku.

– Łysy! – warknął. – Wyłaż, kurwa.

Nasłuchiwał jakiegokolwiek szmeru, ale miał wrażenie, że nie słyszy nic poza szalejącym rytmem swojego serca. Stres sprawił, że oddychał krótko i w konsekwencji zaczął sapać, jakby zrobił szybką przebieżkę.

– Łysy! – odezwał się jeszcze głośniejsze.

Miał wrażenie, że na korytarzu coś się przesunęło.

Skierował tam lufę pistoletu.

Nic się nie wydarzyło.

Kiedy pozostał mu jeden stopień, przylgnął do ściany.

A co, jeśli Łysy uciekł? Olgiert nie mógł wykluczyć, że stary gliniarz wyszedł na taras, zeskoczył do ogrodu, a stamtąd miałby krok do garażu.

Otarł przedramieniem spocone czoło.

Wychylił się i spojrział w lewo.

Zero ruchu.

Po prawej to samo.

– Łysy, wylaż, kurwa. Pogadajmy, tak jak dawniej. Jeszcze wszystko da się naprawić.

Cisza świdrowała mu w uszach.

Po lewej stronie był pokój, w którym odbywały się orgie. Po prawej z kolei korytarz ciągnął się pomiędzy przeszkleniem z obszernym, długim tarasem – który opierał się na dolnej kondygnacji – a ścianą, wyłożoną jasnym drewnem, z trzema wnękami. Za każdą z nich znajdował się pokój.

Borewicz dostrzegł, że przeszklone drzwi tarasowe są zamknięte, a na zewnątrz nikogo nie ma.

Uznał, że w pierwszej kolejności sprawdzi trzy najbliższe pomieszczenia, a potem przejdzie do pokoju na przeciwległym końcu korytarza, bo stamtąd nie było żadnego innego wyjścia. Można było się schować jedynie w obszernym salonie łazienkowym bez okien. Jeśli Łysy był na górze i chciał dać sobie szansę ucieczki, ukrył się zapewne w jednym z pokoiów.

Olgiard dotarł do pierwszych drzwi i pchnął je mocno, aż uderzyły o odbojnik, i niemal w tej samej chwili usłyszał huk strzału. Pocisk utkwiał we framudze, a policjant poczuł, jak w jego policzek uderza fontanna drzazg. Pokój był pogrążony w ciemnościach.

Odskoczył na bok i przywarł plecami do ściany.

Drżały mu nogi i brakowało tchu, zupełnie jakby oduczył się oddychać, jakby ośrodek w mózgu odpowiadający za pracę płuc przestał działać.

– Rzuć broń! – krzyknął Łysy. – Pokaż się w drzwiach i oddaj broń.

Borewicz czuł, że jego tchawica się zwęża, a nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Bał się tego momentu, w którym padnie na wykładzinę i zadusi go stres. Broń ciążyła mu w spoconych dłoniach, mięśnie rąk były napięte do granic wytrzymałości.

Powinien się rozluźnić.

– Ja nie żartuję, Zero Siedem. To twoja ostatnia szansa. Jeśli chcesz wyjść stąd żywy i wrócić do żony i dziecka, rzuć, kurwa, broń!

Olgiard przymknął oczy i próbował spokojnie oddychać.

– Wezwałem wsparcie. Poddaj się i rzuć broń, do chuja! – krzyknął Łysy.

Strach odbierał Borewiczowi władzę w mięśniach.

Wiedział, że powinien się poddać i przeprosić Łysego. A potem zniknąłby stąd i się zmienił. Zmieniłby całe swoje życie. Skupiłby się na rodzinie, cieszyłby się uśmiechem córki. Nad brzegiem Balatonu nauczyłby ją jeździć na rowerze. Chodziłby z Amelką na bajki do kina. Jedliby popcorn, pili colę, śmialiby się, a czasem wzruszali, jak to na filmie. Poczuł, że pragnie tego najbardziej na świecie. Przy niej, przy swojej córce, nie bałby się łez.

Pot z czoła spłynął mu pod powiekę i szczypał nieznośnie.

Zamrugął raz i drugi, ale to niewiele pomogło.

Korytarz zaczął mu się rozmazywać i tracić kontury.

– Borewicz, kurwa! Liczę do trzech!

A co, jeśli Łysy nie da się przeprosić i po prostu go zabije?

Nagle wydało mu się to całkiem pewne i uświadomił sobie, że Amelka będzie się wychowywała bez ojca.

Przymknął oczy i omal się nie rozplakał.

– Raz!

Zerknął na drzwi tarasowe. Miał je po lewej. Znajdowały się po skosie, jakieś trzy metry od drzwi pokoju, w którym zabunkrował się Łysy. Szyby mogły być wzmocnione, ale na pewno nie były kuloodporne.

Z trudem oderwał nogę od wykładziny i zrobił krok w ich stronę.

– Poczekaj, pogadajmy – rzucił, próbując ukryć drżenie głosu. – Pozwól mi odejść.

– Dwa! – ryknął Łysy.

– Posłuchaj, co do ciebie mówię, kurwa! – Olgierd chwycił za klamkę i z łatwością ją przekreślił, ale nie szarpnął drzwi. Glacowski mógłby wyczuć chłodny powiew. – Odjadę stąd i wszyscy będą szczęśliwi. Ja będę milczał, wy będziecie robić swoje, okej? Nikt nikomu w niczym nie będzie przeszkadzał.

– Oddaj, kurwa, broń! – głos byłego policjanta stał się wyraźniejszy. Olgierd obawiał się, że Łysy stoi już przy drzwiach, chociaż go nie widział.

Pociągnął lekko drzwi do siebie i zimne powietrze owiało mu twarz.

Teraz albo nigdy, pomyślał i już miał wbiec na taras, przeskoczyć barierkę i uciekać wzdłuż domu, żeby schować się gdzieś w ciemnym lesie, kiedy nagle zdał sobie sprawę, że byłby wówczas łatwym celem.

Strach go sparaliżował.

Zrozumiał, że to koniec.

– Okej, poddaję się, słyszysz? – rzucił. – Poddaję się!

Kucnął, położył broń na wykładzinie i kopnął ją w kierunku drzwi pokoju, w którym ukrywał się Łysy. Następnie szarpnął za klamkę, lecz zamiast wyskoczyć na zewnątrz, dopadł uchylonych drzwi sąsiedniego pokoju i wśliznął się do środka.

Cały się trząsał. Pot rosił mu czoło i spływał po skroniach. Plecy miał mokre.

Przez szczelinę w drzwiach lustrował korytarz.

– Stój! – ryknął Łysy i po chwili dobiegł do drzwi tarasowych. Wyskoczył na lśniący od deszczu kamień i chwycił się barierki okalającej taras, żeby spojrzeć w dół.

Olgierd bał się, że Glacowski rozpozna jego fortel, że zaraz wróci do domu, pchnie drzwi do pokoju, w którym Borewicz się ukrywał, włączy światło i zobaczy faceta ze łzami w oczach błagającego o litość.

Bezskutecznie.

Bo wtedy przyjdzie po niego śmierć.

Jedyna rzecz, na jaką Borewicz sobie w pełni zasłużył.

Herman wyszła przed kamienicę i zapaliła ostatniego papierosa z paczki. Zmięta kartonik i z wściekłością cisnęła go w krzaki.

Wiedziała, że nie ma sensu tkwić pod drzwiami apartamentu i czekać nie wiadomo na co. Dlatego, schodząc na parter, połączyła się z kierowcą taksówki.

- Słucham uprzejmie, pani Mario – rzekł radośnie mężczyzna.
- Zrobimy jeszcze jeden kurs?
- Do Torunia?
- Na szczęście tak daleko nie musimy jechać.
- Rozumiem. Będę za kilka minut.
- Spotkajmy się na Circle K. Muszę kupić papierosy.
- Przywiozę, niech pani nie chodzi sama po nocy. Niebieskie chesterfieldy, prawda?
- Będę wdzięczna – odparła.

Kiedy przyjechał, podała mu nazwę ulicy i próbowała chwilę odpocząć.

Mężczyzna o nic nie pytał, muzyka z radia grała cicho, a miasto kładło się do snu.

Ocknęła się, kiedy wóz stanął.

- Na miejscu – zakomenderował kierowca.

Herman wysiadła z taksówki i podeszła do uchylonego skrzydła bramy ośrodka Biały Żagiel. Wisiała na nim linka z szyfrem.

- Czekać na panią? – spytał kierowca przez opuszczoną szybę.

W dole rozciągała się czarna tafla dużego jeziora. W oddali pohukiwała sowa.

- Jeśli znajdę samochód kolegi, to dam znać i wtedy będzie pan wolny.
- Dobrze, w takim razie czekam na sygnał. – Odjechał kawałek, żeby nawrócić, a kiedy to zrobił, nie zgasił silnika. Światła omiotły stare budynki ośrodka i Herman miała poczucie, jakby cofnęła się do czasów szkolnych kolonii.

Przekroczyła bramę i szła główną drogą, rozglądając się po pogrążonych w mroku budynkach. Pod jej podeszwami zgrzytał piasek. Nie miała pojęcia, czego mógł tu szukać Olgierd, który wciąż się do niej nie odezwał, mimo że ona wiele razy starała się z nim połączyć i wysłała mu kilka esemesów. Do czego był mu potrzebny Biały Żagiel? Próbowała sobie przypomnieć, czy nie zajmowali się kiedyś jakąś inną sprawą kryminalną z Grudziądza, ale jedyne, co pamiętała, to zaginięcie Aleksandry Walczak, znanej

dziennikarki toruńskich, a potem grudziądzkich „Nowości”. Czyżby Olgierd wpadł na jakiś trop owej sprawy i nie podzielił się z nią tą informacją?

Wydawało jej się to mało prawdopodobne.

Dojmująca leśna cisza, z której dopiero zaczęła wyławiać różne dźwięki, wzbudziła jej niepokój. Poczula dreszcz na plecach i zaniepokojona zerknęła za siebie. Nie było tam nikogo. W czarnych oknach budynków administracyjnych i świetlicy lub jadalni, które mijala po obu stronach, widziała tylko samą siebie.

Wzdrygnęła się.

Miała żal do Olgierda, że jest tajemniczy, czasami zupełnie nieobecny. Przestał skupiać się na pracy, wyglądał, jakby był oderwany od rzeczywistości. Działo się z nim coś niedobrego i Herman zastanawiała się nad przyczyną. Czasami myślała, że Zero Siedem może zmagać się z depresją. Ale potem, kiedy nagle wnikał w prowadzone śledztwa, oddawał się im, miała wrażenie, że wszystko wraca do normy. Może to były jedynie pozory. A co, jeśli Olgierd – pomyślała o tym z trwogą – właśnie krzyczał o pomoc?

Betonowa trylinka ustąpiła miejsca wysokiej, mokrej trawie. Herman weszła na rozłożysty, pofałdowany teren, porośnięty wysokimi sosnami, który wypełniały swobodnie rozstawione domki wypoczynkowe. Każdy z nich nosił nazwę innego grzyba. W żadnym z okien tych drewnianych budynków nie świeciło się światło. Nigdzie też, jak okiem sięgnąć, nie było samochodu Olgierda, aczkolwiek trawa w miejscu, w którym przebiegała gruntowa droga, wydawała się świeżo przydeptana. Jakby przejechało tędy kilka samochodów.

Nieco dalej, za jednym z domków, droga skręcała i wiodła pod górę, tam gdzie las wyraźnie się zagęszczał.

Herman przyspieszyła kroku, chociaż nadal się zastanawiała, czy dobrze robi, wybierając się w nieznanne miejsce zupełnie bezbronna, jedynie z telefonem w dłoni.

Minęła niewielki budynek i wspięła się na kilkumetrowe wzniesienie.

Z jego szczytu dostrzegła znajdującą się nieopodal nowoczesną architekturę – dwa prostopadłościowy z przeszklonymi elewacjami, jeden na drugim, ułożone prostopadle do siebie.

Niesamowity dom znajdował się na wygradzonym terenie, który odcinał od lasu wysoki, gęsty żywopłot z tuj.

Brama wjazdowa była otwarta, a kawałek dalej, pod samym domem, Maria dostrzegła ich służbową toyotę.

Odetchnęła.

Połączyła się z kierowcą taksówki.

– Na posterunku – odezwał się żartobliwie mężczyzna.

– Świetnie, dziękuję, właśnie namierzyłam kolegę. Może się pan odmeldować. Bez odbioru.

– Na pewno?

– Na pewno. Widzę jego wóz.

– Dobrze. Ale gdyby trzeba było...

– Wiem, jest pan nieoceniony. Jeszcze raz bardzo panu dziękuję – rozłączyła się.

Ponownie wróciła myślami do Olgierda i jego nieprzewidywalnych zachowań.

W jakimś sensie zaczęła się o niego martwić.

I wtedy usłyszała coś, jakby głuche stuknięcie.

Odgłos, który dobrze znała i nie pomyliłaby go z żadnym innym dźwiękiem.

Jej ciało pokryła gęsia skórka.

Herman nadstawiła uszu i przyspieszyła kroku, aż w końcu zaczęła biec.

Przez głowę przelatywały jej czarne myśli.

Znała co najmniej kilku policjantów, którzy pożegnali się z życiem w podobny sposób. Jednym strzałem. Czasami ich zwłoki znajdowano na komendzie, ale bywało i tak, że zaszywali się w odludnych miejscach, zostawiając koleżankom i kolegom jakieś strzępki informacji o adresie, jakby zależało im, żeby – kiedy będzie już po wszystkim – ktoś ich odnalazł. Herman zmroziło to, że podobnie mógł z nią postąpić Olgierd. Kiedy mówił o ośrodku Biały Żagiel, dał jej jedynie wskazówkę.

Biegła więc ile sił.

Wtedy padł drugi strzał.

Doskonale wiedziała, co powinna w tej sytuacji zrobić.

Powinna wezwać posiłki.

Procedury, Herman! – wykrzyczała w myślach. Ale procedury zakładały również konieczność właściwego rozpoznania. A jeśli dźwięki, które rozległy się w tym domu, były tylko do złudzenia podobne do wystrzału z broni palnej?

Oszukiwała samą siebie.

W domu było cicho albo to stres stępił jej zmysły.

Zastygła i rozejrzała się na boki.

– Borewicz! Stój! – usłyszała z góry czyjś ryk i natychmiast wbiegła po ciemnych schodach na piętro.

Na górze przyłgnęła do ściany i spojrzała w lewo, w szeroki korytarz, z drzwiami na końcu. Potem zerknęła w prawo.

Pierwszą rzeczą, którą zauważyła, była leżąca na podłodze broń. Pistolet znajdował się trzy metry od niej. Nieco dalej wiatr kołysał drzwiami tarasowymi. Cała ściana domu była przeszklona od góry do dołu i Herman zobaczyła na tarasie mężczyznę z włosami do ramion, który podbiegł do barierki i spojrzał w dół.

W jego ręce tkwił pistolet.

Maria wykorzystała okazję i bezszelestnie dopadła do broni leżącej na miękkiej wykładzinie. Schyliła się, złapała za ciepłą lufę i ostrożnie, kontrolując zachowanie nieznajomego, wycofała się na schody. Tam oczekiwała na dalszy rozwój wypadków.

Zbliżyła nos do wylotu lufy i poczuła wyrazisty, drażniący smród prochu.

Potrząsnęła głową.

Wydobyła magazynek, a kiedy zweryfikowała, że tkwi tam kilka nabojów, wsunęła go z powrotem na miejsce. Kliknął cicho.

Przełknęła ślinę i dopiero teraz poczuła w żyłach rzut adrenaliny. Ścisnęło ją w nerkach, jej oddech przyspieszył.

Krótki wdech, krótki wydech.

Panowała nad nim, a to było najważniejsze.

– Borewicz, kurwa, zabiję cię! – głos stał się wyraźniejszy i Herman usłyszała głucho trzaśnięcie drzwi tarasowych. Wychyliła się, żeby zerknąć na korytarz.

Mężczyzna wszedł do domu i zrobił dwa kroki, po czym przy drugiej wnęce w ścianie nagle się zatrzymał. Złączył dłonie, w których wciąż trzymał broń, i lekko ugiął kolana.

Wyprostował ramię, a wtedy Herman rozpoznała zarys glocka.

Struchlała.

Policyjne wyposażenie.

Nieznajomy zbliżył się do drzwi, pchnął je gwałtownie, a następnie się rozluźnił i wyprostował.

– Tu się skryłeś, mały gnoju – zarechotał, po czym uniósł broń.

Herman usłyszała cichy jęk, coś jakby krótki szloch, i to jej wystarczyło.

Wysunęła się zza ściany i stając stabilnie na przygiętych nogach, wycelowała do mężczyzny.

– Policja! Rzuć broń! – ryknęła niskim głosem.

Czas jakby zwolnił.

Policjantka patrzyła, jak nieznajomy odwraca się do niej, a za ruchem jego głowy podąża skręt ramion i bioder, i wiedziała już, że mężczyzna złoży się do strzału, pochylił się i pociągnie za język spustowy.

Komisarz Herman raz jeszcze otworzyła usta i z jej gardła wydobyła się ta sama krótka komenda, ale miała wrażenie, jakby jej uszy były zalane wodą. Dotarł do niej niezrozumiały

bełkot.

W końcu mężczyzna znieruchomiał i wycelował.

Nagły huk wystrzału sprawił, że policjantka drgnęła, a może zrobiła to wcześniej. Nie pamiętała tego. W ciemności dostrzegła błysk, a zaraz potem usłyszała krótkotrwały, ale gwałtownie narastający i przerażająco głośny świst, który przeciął powietrze tuż obok jej ucha.

Drugiego strzału nie usłyszała, ale poczuła za to szarpnięcie dłoni.

Mężczyzna po drugiej stronie zamarł i Herman raz jeszcze pociągnęła za spust, tym razem jednak była pewna, że spudłowała.

Napastnik wypuścił glocka z rąk. Broń upadła głucho na wykładzinę, a pod mężczyzną ugięły się nogi i runął na podłogę.

Kolana Marii Herman także odmówiły posłuszeństwa. Upadając, zdążyła jeszcze tylko zobaczyć wychodzącego z pokoju Olgierda Borewicza. Krzyczał coś do niej i ruszył biegiem w jej stronę, ale wtedy komisarz poczuła, że świat wokół gaśnie.

Nie czuła bólu, nie docierały do niej żadne dźwięki.

Obraz rozmywał się i zaczerniał, jakby opuszczano rolety w oknach.

Aż w końcu wszystko zgasło.

Trzy dni później Marian Kurek pokuśtykał w kierunku przedwojennego gmachu, w którym mieściła się w czytelnia czasopism Biblioteki Miejskiej w Grudziądzu, i pochylił nad starymi egzemplarzami lokalnych gazet.

Pożółkłe płachty papieru, podobnie jak stare policyjne akta, śmierdziały kurzem, lecz emerytowany gliniarz zdążył się już do tego przyzwyczaić. Jako pierwszą otworzył zszywkę „Gazety Pomorskiej”, która zawierała wydania z lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku. Uznał, że skoro do porwania Filipa Witberga doszło w piątek, powinien przejrzeć materiały prasowe obejmujące kilka wcześniejszych dni.

Przekładał gazetę strona za stroną, spokojnie, bez pośpiechu lustrował tytuły artykułów, czasami jego wzrok zatrzymało jakieś czarno-białe zdjęcie i Kurek uciekał wtedy we wspomnienia z lat dziewięćdziesiątych. Zastanawiał się, jak to jest, że trudne doświadczenia tamtych dni, głównie te zawodowe, które nieraz spędzały mu sen z powiek, obecnie, z perspektywy czasu, wydawały mu się zwyczajnie śmieszne. Dlatego ilekroć trafiał na rubrykę kroniki kryminalnej w gazecie, tylekroć z trudem wracał do rzeczywistości, żeby przeanalizować krótkie, kilkuzdaniowe informacje prasowe o kradzieżach weków z piwnic, rowerów, samochodów albo kół i o drobnych rozbojach, okradaniu kiosków Ruchu czy sklepów monopolowych.

Ale co miał lepszego do roboty?

Kiedy kilka dni temu zadzwonił do niego Sławek Jaroń, Kurek próbował się wymigać od dalszego zgłębiania sprawy Witbergów. Niemniej tego samego dnia wieczorem oddzwonił do szefa kryminalnych.

– Sprawdzę te gazety – poinformował Jaronia.

– Kamień z serca, bo tak jak ci mówiłem, wolałbym nie angażować żadnego z moich chłopaków.

– Sprawdzę i dam znać.

– Świetnie. Nie ma pośpiechu.

Kurek się zdziwił.

– Jak to: nie ma pośpiechu? Kiedy rozmawialiśmy ostatnio, miałem wrażenie, że bardzo ci zależy na tej informacji.

– No tak, ale nie mogę się połączyć z Herman, nie mam z nią kontaktu od wczoraj. Dzwonię i dzwonię, ale ani nie odbiera, ani nie oddzwania. Na esemesa też nie odpowiedziała.

– Dziwne. A ten cały Borewicz?

– Nie mam jego numeru. A ty?

– Chyba też nie mam. Nie pamiętam. Ale poszukam, bo może zostawił mi wizytówkę. – Kurek rozejrzał się wtedy po wnętrzu kawalerki. Przełożył gazety ze stołu na kanapę i zajrzał pod leżącą obok książkę Ostatni trop. Tajemnica zaginięcia sióstr Lyon, pasjonujący reportaż Marka Bowdena o powrocie amerykańskich śledczych do sprawy sprzed niemal czterdziestu lat. Kurek właśnie ten tekst stawiał sobie za literacki wzór. – No chyba nie rzucili tego śledztwa w cholerę, co?

– Sam już nie wiem. Dlatego mówię: pośpiechu nie ma.

Zadanie było żmudne, ale mogło wiele wnieść do sprawy, o której Kurek myślał w zasadzie nieustannie.

Również o swojej roli w śledztwie i wszystkim tym, czego przez lata zdążył się dowiedzieć. A także o niedawnej rozmowie z Magdaleną Bickiewicz, o tym, że ojcem jej dzieci był jednak mąż. Kurkowi zrobiło się wstyd na samo wspomnienie rozmowy z tą kobietą. Nakłamał jej o Krzysztofie Glacowskim w zasadzie tylko po to, by ją złamać, by – jeśli cokolwiek łączyło ją z gliniarzem – w końcu zaprzeczyła wszystkim zmyślanym przez lata historiom.

Przynajmniej to się Kurkowi udało. Metodę wybrał niezbyt chlubną, ale w śledztwie zawsze najważniejsze było ustalenie prawdy. Kawalek po kawałku.

Emerytowany policjant zrozumiał też, dlaczego Glacowski nie chciał z nim rozmawiać. Mógł pomyśleć, że próba nawiązania kontaktu po latach ma związek z tym, że Kurek wpadł na trop odwrócenia Łysego i będzie chciał ten wątek poruszyć w książce.

Marian uznał jednak, że nie zostawi ekspolicjanta w spokoju, że należy mu się jakaś nauczka.

Postanowił zrobić sobie przerwę w przeglądzie prasy i wyszedł na zewnątrz, żeby zadzwonić.

Ciężkie drewniane drzwi zamknęły się z łoskotem, a Kurek oparł się o ścianę i z wysokich schodów patrzył na ulicę Legionów.

Kąkol odebrał po kilku sygnałach.

– Nigdy nie powiedziałeś mi, że rozpracowywałeś gang Toboły – rzucił Kurek, odprowadzając wzrokiem tramwaj, który jechał w kierunku Tarpna.

– Dobrze wiesz dlaczego. Po prostu nie mogłem.

– No, wtedy nie mogłeś. Mogłeś później.

– Później znienawidziłeś mnie za to, co rzekomo zrobiłem.

– Mogłeś chociaż spróbować.

– A gdyby ciebie coś takiego spotkało, próbowałbyś się przede mną wybielać? – Kąkol go zaskoczył.

Kurek westchnął.

– Może masz rację – przyznał.

– Nie. Ja na pewno mam rację – odburknął kolega. – Tylko nie wiem, po cholere znowu mnie w to wciągasz, przypominasz o czymś, o czym już dawno chciałem zapomnieć.

– Bo muszę zapytać o Glacowskiego.

Kąkol stęknął.

– Co o nim wiesz, Bogdan?

– A co ja tam mogę wiedzieć?

– Na pewno sporo – powiedział Kurek, mrużąc oczy, bo raziły go promienie słoneczne odbite od bocznych szyb samochodów zmierzających do centrum. – Czym on się teraz zajmuje?

– Nie mam pojęcia, ale z tego, co wiem, nie narzeka na brak pieniędzy. Zresztą nigdy nie narzekał. Cwaniak całe życie umiał się ustawić ryjem do koryta.

– Gdybyś cokolwiek sobie przypomniał, daj mi znać, co?

– Coś ci powiem, Kurku. Odpierdol się wreszcie ode mnie, bo chciałbym w spokoju powędkować z wnukiem. I przestań zgrywać detektywa. Jesteś już na to za stary. – Kąkol przerwał połączenie.

Elegancka kobieta pod sześćdziesiątkę w brązowym płaszczu za kolano wyszła z biblioteki. Jej wysokie szpilki zastukały, gdy schodziła po schodach.

Kurek wrócił do czytelnicy czasopism; kiedy pojawił się w drzwiach, bibliotekarka podniosła na niego wzrok znad monitora. Uśmiechnął się do niej, a ona do niego, po czym dokuśtykała do swojego stołu, na którym leżały rozłożone gazety.

Kilka dni po porwaniu w zasadzie każda z nich rozpoczynała się wielkim tekstem na ten temat, ale nie czytał tych artykułów. Znał je niemal na pamięć. Większość miał skopiowaną na komputerze albo skserowaną i pochowaną w teczkach.

Zamknął zszywkę „Pomorskiej”, bo zdążył już przeanalizować treść kronik kryminalnych sięgających dziesięciu dni po porwaniu, i zabrał się do „Ilustrowanego Kuriera Polskiego”. Przekładał strony i odszukiwał nieliczne informacje, które przefaksował do redakcji rzecznik prasowy. Potem sięgnął po „Nowości”, chociaż był już pewien, że marnuje czas. Ale uważał, że każdą pracę należy dokończyć.

Przejrzał wydania do połowy lipca, po czym uznał, że musi pójść do toalety.

Właśnie się wysikał i umył ręce, gdy rozdzwonił się jego telefon. Otarł dłonie ręcznikiem papierowym i popatrzył w lustro – na swoją okrągłą twarz i głębokie zakola. Kąkol miał

rację. Powinien zostawić to wszystko, przestać udawać przed sobą i innymi, że jeszcze się do czegoś nadaje. Starość przyjmowała go z otwartymi ramionami.

– Odpuść sobie, Kurku – wyszeptał.

Kiedy wyszedł na korytarz, wyjął telefon, żeby sprawdzić, kto do niego dzwoni.

Jaroń.

Odebrał.

– Siedzę w bibliotece i przeglądam gazety – oznajmił, gdy tylko usłyszał głos młodego policjanta.

– To dobrze, że się do tego zabrałeś. Możesz gadać?

– Mogę. Ale na razie nic nie znalazłem. Żadnej wzmianki o wózku dziecięcym.

– Trudno. Przynajmniej próbowaliśmy – westchnął Jaroń.

Kurek ruszył w stronę czytelní.

– Mów, z czym dzwonicz.

– Znałeś Glacowskiego, policjanta z naszej jednostki? – spytał Jaroń.

Kurek zatrzymał się przed drzwiami, ale nie złapał za klamkę. Podszedł do gablot i wpatrywał się w pootwierane stare księgi z zamieszczonymi obok opisami w języku polskim. Nawet nie zarejestrował, na co patrzy.

– Znałem, a co?

– Słyszałeś, że chłop zaginął?

– Nie. Kiedy to się stało?

– Trzy dni temu.

– Byłem u niego – odezwał się Kurek.

– Kiedy? – zaniepokoił się Jaroń.

– No trzy dni temu. Podjechałem taksówką, chciałem z nim pogadać, ale odbiłem się od domofonu. Nie wpuścił mnie, nie chciał gadać.

– Serio? Czego od niego chciałeś?

Kurek zrelacjonował podkomisarzowi rozmowę, a także opowiedział mu o wizycie u Magdaleny Bickiewicz.

– Ciekawe – podsumował Jaroń.

– Wiesz, kto zgłosił zaginięcie? – Kurek przeniósł wzrok na drzwi czytelní czasopism, z której wyszedł młody mężczyzna w dżinsowej kurtce podszytej jasnym futerkiem.

– Jego syn. Nie ma kontaktu z ojcem od trzech dni.

– Może gdzieś wyjechał?

– Nie wiem, w każdym razie gdybyś coś wiedział, daj znać. No i w takim razie wyślę do ciebie któregoś z chłopaków, żeby spisał zeznania.

– Jasne, za godzinę będę w domu. Zresztą, jak chcesz, mogę podjechać na komendę.

– Dobra, jeśli możesz, to wpadnij. Tak będzie łatwiej.

Kurek schował aparat do kieszeni i z powrotem zanurzył się w ciszę panującą w czytelni.

Myślał o Glacowskim i jego zaginięciu, o zabójstwie Witberga i o tym, że ducha porwanego dziecka, które zapewne zmarło krótko po tamtych zdarzeniach, obudziło pragnienie zemsty.

Coś wisiało w powietrzu.

Pomyślał, że poprzednią myśl, tę o zemście, mógłby odnotować na potrzeby reportażu.

Sięgnął więc do notesu leżącego obok zszywki wydań „Nowości” i zrobił notatkę. Potem chciał przełożyć stronę w gazecie, ale jego uwagę przyciągnęło zdjęcie uśmiechniętej kobiety z włosami spiętymi w kucyk, w jasnej sukience odsłaniającej ramiona i uda. Kobieta zaciskała dłonie na rękojeści wózka dziecięcego.

Kurek przyciągnął do siebie segregator i przeczytał artykuł.

Skradziony wózek wrócił do Oleńki

Do niecodziennej sytuacji doszło w miniony czwartek w kamienicy przy ulicy Legionów. Młoda matka, Janina Świtajska, wróciła z córką Olą z popołudniowego spaceru i jak zawsze zostawiła wózek dziecięcy przed drzwiami mieszkania, na ogólnodostępnym korytarzu. Kiedy następnego dnia rano wyszła po zakupy, okazało się, że piękna zielona gondola zniknęła. Kobieta przeszła się po piętach kamienicy, a następnie rozmawiała z każdym z sąsiadów. Ci jednak bezradnie rozkładali ręce. Wózek przepadł, ale Ola nadal mogła wychodzić na spacer, bo sąsiedzi z klatki obok pożyczyli Janinie Świtajskiej nieużywany już przez nich wózek. Tylko dlatego kobieta nie zgłosiła kradzieży. Jakież było jej zdziwienie, gdy w piątkowy wieczór gondola Oli się odnalazła. Wniósł ją na piętro sąsiad z parteru, który dostrzegł wózek na podwórku kilka kamienic dalej. Był sprawny i czysty. Zniknęła z niego jedynie ulubiona lalka Oli, ale tę już udało się szczęśliwej mamie odkupić.

Czasami złe chwile w naszym życiu dobrze się kończą, gdy otaczają nas wartościowi ludzie.

Kurek przeczytał artykuł raz jeszcze, po czym zrobił zdjęcie tekstu. Sfotografował komórką również winietę gazety z datą wydania i oba pliki wysłał Jaroniowi.

Następnie poprosił o zrobienie kserokopii i ze skserowaną kartką w kieszeni opuścił bibliotekę.

Kamienicę przy Legionów odnalazł bez trudu, bo jej obraz widniał w tle na zdjęciu ze Świtajską. Charakterystyczny czterokondygnacyjny budynek z cegły z otynkowanym parterem i z balkonami, których balustrady wykonano z kutego żelaza. Kamienica nie znajdowała się w linii zabudowy, tylko była cofnięta o kilka metrów w stosunku do

pozostałych budynków. Przed nią znajdowały się dwa obszerne trawniki otoczone niskim murkiem, na którym siedziało kilkoro nastoletnich uczniów.

Kurek zapytał ich o Świtajskich. Obawiał się, że ci dawno już się wyprowadzili, ale dziewczyna z długim blond warkoczem zmarszczyła brwi.

– A o co chodzi? – spytała, poprawiając plecak.

Kurek przyjrzał się jej i miał wrażenie, że odnajduje w jej twarzy wyraźne podobieństwo do kobiety ze zdjęcia.

– Odnalazłem artykuł w gazecie, chyba o twojej babci, i chciałbym jej go pokazać.

– Mojej babci?

– Mówię o Janinie Świtajskiej. To twoja babcia, prawda?

– Nie! – oburzyła się, a reszta jej znajomych się zaśmiała. – Świtajscy mieszkają w pierwszej klatce. Pan się tam zapyta.

Kurek podziękował i poszedł w kierunku bramy.

Przed wejściem znajdowała się krata z furtką i domofonem. Ale na liście lokatorów nie odnalazł nazwiska Świtajskich. W większości widniały na niej jedynie numery mieszkań.

Wybrał czwórkę.

– Halo? – zaskrzeczał głos, którego Kurek nie był w stanie przypisać do żadnej płci.

– Ja do pani Świtajskiej – odezwał się uprzejmym tonem.

– To pod piątkę niech dzwoni.

Kurek wybrał właściwy numer mieszkania i czekał w przeciągu, bo wiatr hulał w tunelu łączącym podwórze z wyjazdem na ulicę Legionów. Ponownie nacisnął przycisk, ale i tym razem nikt nie odebrał połączenia.

Gdy odchodził, otrzymał esemesa od Jaronia.

Brawo. To może być to. Będziesz to dalej ciągnął czy mam przejąć?

Kurek z trudem doszedł do przystanku. Ból w stawie kolanowym promieniował do biodra i robił się nieznośny.

Opadł na ławkę, a kiedy uspokoił oddech i wytarł mokre czoło, odpisał:

Przejmij. Ja wysiadam.

Policjantka minęła biedronkę i przeszła przez duże skrzyżowanie Powstańców Wielkopolskich z aleją Kardynała Wyszyńskiego, arterią, która wyprowadzała miejski ruch w kierunku Myślęcinka.

Huk, rozlegający się głównie spod podwozi ciężarówek, był okropny i zagłuszał myśli.

Komisarz Maria Herman szła pewnym krokiem w stronę Komendy Wojewódzkiej Policji, oddalonej od jej wieżowca o półtora kilometra. Słońce przebijało się przez chmury, a suchy, dość ciepły wiatr dał jej w twarz, więc czasami musiała mrużyć oczy.

Dziesięć minut drogi.

Dziesięć minut, po których jej życie miało się diametralnie zmienić.

W plecaku przewieszonym przez ramię znajdowała się teczka, w której tkwił raport o zwolnienie ze służby.

Trzy dni temu popełniła wielki błąd, ale każdy błąd, jak mawiał jej ojciec, można było naprawić. Każdy. I lepiej to zrobić później niż wcale.

W powidokach tamtej nocy, które wracały do niej uparcie, widziała zarys sylwetki mężczyzny z bronią w ręku i głębię korytarza za nim. Słyszała, jak krzyczy, że zabije Borewicza, więc pełna strachu, ze spiętymi mięśniami i ściśniętym gardłem, wyrzuciła z siebie okrzyk, który cały czas brzmiał jej w uszach i nie dawał spać. A mężczyzna, zamiast rzucić broń, zaskoczony odwrócił się do niej i strzelił. Kula świsnęła Herman koło twarzy. Przenikliwy gwizd niemal rozdarł jej bębenek. Mniej więcej w tej samej chwili nacisnęła język spustowy pistoletu.

Te obrazy wracały do niej, szarpały jej ciałem, gdy tylko zdążyła zasnąć. We śnie musiała wstrzymywać oddech, bo gdy tylko gwizd pocisku podrywał ją do siadu, łapczywie nabierała powietrza, jakby wynurzyła się w ostatniej chwili z morskich głębin.

Wróciła pamięcią do tamtej nocy, w trakcie której rozegrał się dramat. Pamiętała, że ocknęła się na wykładzinie i wpatrywała nieruchomo w czarny deskowany sufit. W lewym uchu odgłos odległego gwizdu narastał, jakby z oddali zbliżał się pociąg. Nie umiała nic z tym zrobić. Czekala, aż dźwięk eksploduje, a ona wykrzywi spierzchnięte usta i zaciśnie powieki.

Gardło miała wyschnięte na wiór.

Im dłużej miała zamknięte powieki, tym częściej napływały kolejne obrazy. Liczyła na to, że obudzi się w szpitalu. Nie czuła własnego ciała, nie docierały do niej żadne dźwięki

z zewnątrz. Tylko ten gwizd powracał natrętnie i eksplodował w jej głowie, wprawiając ciało w dygot.

Gdy w końcu mogła unieść głowę, rozejrzała się. Broni, z której oddała strzał, nigdzie nie było. Co więcej, kawałek dalej, tam gdzie powinno leżeć ciało mężczyzny, też nie było nikogo.

Pomyślała więc, że to był tylko zły sen, że śniła najgorszy z koszmarów.

Ale to nie mógł być sen.

Pamiętała, że w tamtym miejscu znajdowała się wcześniej wykładzina, a teraz straszyl goły beton.

Chwilę później lęk spiął jej ciało, gdy dostrzegła ciemną sylwetkę na tarasie. Rozpoznała łysą głowę Borewicza. Wokół jego twarzy kłębił się dym papierosowy. Partner palił łapczywie, nerwowo, machinalnie, jakby chciał pobić jakiś rekord.

– Olgierd – powiedziała, ale zdała sobie sprawę, że z jej ust wydobył się ledwie słyszalny szept. Próbowwała odezwać się głośniejszym głosem, ale suche gardło sprawiło, że natychmiast się rozkaszała, i dopiero wtedy Borewicz drgnął.

Rzucił peta pod nogi, rozdeptał, ale natychmiast się schylił i schował go do kieszeni. Szybkim krokiem podszedł do Hermana.

Kucnął przy niej.

– Gdzie on jest? – spytała, charcząc. – W szpitalu?

– Spokojnie – poprosił.

– Gdzie...? – zamierzała powtórzyć, ale ponownie zaniosła się kaszlem.

– Ciii...

Zamknęła oczy i oddychała spokojnie.

– Jest ranny? Żyje? – spytała, ale wiedziała, że gdyby tak było, gdyby przyjechała tu erka, Herman też trafiłaby do szpitala. Poza tym w domu było ciemno i cicho. – Gdzie policja?

Poczuła, jak Olgierd wsuwa ręce pod jej plecy i uda.

– Zabiorę cię stąd – jęknął, próbując ją podnieść.

Herman niewiele więcej zapamiętała. Tylko to, że widziała świat do góry nogami, trawę wysoko w górze zamiast nieba, a niebo w miejscu, gdzie rosła trawa. Jasnoszare, zapowiadające nadejście świtu.

Obraz się trząsł, a jej się wydawało, że unosi się między niebem a ziemią. Umiała latać.

Gdy wszystko znieruchomiało, usłyszała głuchy odgłos otwieranych drzwi samochodowych i ze zmęczenia przymknęła oczy. Potem znowu coś trzasnęło, tym razem głośniejszym głosem, a kiedy z powrotem je otworzyła, wszędzie było ciemno. Usłyszała szum zapuszczanego silnika i wozem zakołysało.

Leżała na śmierzącym, zakurzonym, zatęchłym kocu. Zrozumiała, że Borewicz zamknął ją w bagażniku, w którym rozchodził się słodkawy, drażniący zapach benzyny.

Czy to możliwe, by ratując Zero Siedem, wpakowała się w kłopoty?

Obawiała się, że niewiele wie o swoim partnerze. Że są rzeczy, które dotyczyły Zero Siedem, a których być może nigdy się już nie dowie.

Być może właśnie jechała w swoją ostatnią podróż.

Ocknęła się, gdy samochód zaczął wyraźnie zwalniać, a potem zatrzęsło nim na nierównościach. Wreszcie poczuła delikatne szarpnięcie, kiedy wóz stanął. Herman natychmiast się spięła. Nie wiedziała, co ją czeka, lecz nie miała związanych nóg ani nadgarstków, żadna szmata nie kneblowała jej ust.

Trzasnęły drzwi, usłyszała chrzęst nawierzchni towarzyszący krokom. A gdy tylko kłapa bagażnika się uchyliła, oślepiło ją światło dzienne, lecz przynajmniej poczuła gęsty, intensywny zapach lasu.

– Pomogę ci – Olgierd nachylił się do wnętrza bagażnika i pomógł Herman przesiąść się do przodu. Gdyby nie to, że ją podtrzymawał, upadłaby bez sił na leśny dukt.

– Co się stało? – spytała.

– Przepraszam. Środki ostrożności.

– To znaczy? – wciąż kręciło jej się w głowie.

Podał jej butelkę wody mineralnej i papierosy.

– Zależało mi, żeby nikt cię nie zobaczył w moim samochodzie, żeby nie złapała cię żadna kamera miejskiego monitoringu.

W Bydgoszczy Olgierd kupił jej kawę i hot doga, a kiedy się posiliła, podjechał pod komendę wojewódzką i zaparkował na placu sąsiadującym ze stadionem żużlowym Polonii.

Przez trzy godziny opowiadał jej o swoim życiu, o sobie, o tym, jakim jest mężem i ojcem i dlaczego zdecydował się pracować dla ekspolicjanta Łysego. Potem nawiązał do strzelaniny w wynajmowanym domu.

– Uratowałaś mi życie – dokończył.

Herman trudno było w to wszystko uwierzyć. Miała wrażenie, że nadal śni zły sen, tyle tylko, że sny miały to do siebie, że kończyły się nad ranem. Tymczasem poranek był dla Herman koszmarem, największym od lat.

– Zabiłam człowieka. – Walczyła ze wspomnieniami, które wciąż napływały do niej z taką samą mocą. Kiedy usłyszała nadchodzący fantomowy gwizd pocisku, skuliła się i zacisnęła powieki, a w chwili gdy wybrzmiał, doznała krótkotrwałego porażenia, jakby przez ułamek sekundy ciałem wstrząsnął prąd. – Gdzie on jest?

Olgierd pokręcił głową.

Cisza w samochodzie się przedłużała.

– Nie ma go – zapewnił.

– Gdzie jest trup?

Westchnął.

– Powiem ci, jeśli będziesz chciała to zgłosić. Dlatego tu przyjechałem. – Wskazał na komendę.

– Nie rozumiem.

– Możesz tam wejść i opowiedzieć wszystko, jak było. Jeśli to zrobisz, powiem im, co się stało z ciałem Łysego. Wyśpiewam wszystko i, tak jak ty, poniosę konsekwencje.

W zasadzie nie rozumiała tego, co mówił Borewicz.

– A jeśli tego nie zrobię? – spytała, chociaż nie brała takiej opcji pod uwagę.

– Nigdy się nie dowiesz. Dla twojego dobra. To na zawsze będzie tylko moja tajemnica.

– Bredzisz – pokręciła głową, a on milczał. – Czyj to jest dom?

Zero Siedem wzruszył ramionami.

– Nie wiem, ale spróbuję się dowiedzieć. – Oparł głowę na zagłówku. – Dlatego mam do ciebie prośbę. Daj mi trzy dni. Wszystko wyjaśnię, dotrę do tych skurwieli. Trzy dni. Tylko o tyle proszę.

– Zatarłeś ślady – powiedziała.

Pokiwał głową nerwowo. Patrzył przez szybę na wejście do komendy. Ludzie wchodzili i wychodzili z budynku.

Dzień jak co dzień.

– Nawet gdyby go znaleźli, co, jak powiedziałem, nigdy nie nastąpi, i gdyby wyjęli z jego ciała pocisk, nikt nigdy nie powiąże broni z żadnym innym zabójstwem. Tego pistoletu, z którego strzelałaś, nie ma i nie było, rozumiesz? A już na pewno nie ma na nim twoich linii papilarnych. Balistyka nic nie wykaże. Bo nie będzie żadnej balistyki. Nikt nie odnajdzie jego ciała – gadał jak nakręcony.

– Dlaczego to zrobisz? – weszła mu w słowo.

– Co takiego?

Wiatr kołysał drzewami, które mieli za sobą – Herman obserwowała, jak przed maską poruszają się wielkie cienie koron.

– To ja go zabiłam i powinnam ponieść konsekwencje. Nawet jeśli zrobiłam to w obronie własnej – mówiąc to, przymknęła oczy i raz jeszcze zobaczyła czarną postać mierzącą do niej z pistoletu. Potem sekwencja zdarzeń się powtórzyła. Nastąpił huk wystrzału, w zwolnionym tempie widziała nagły rozbłysk w lufie, a potem coś gwizdnęło głośno tuż przy jej uchu i świat pogrążył się w ciemnościach.

– Nie zabiłaś go, tylko uratowałaś mi życie. A teraz ja ratuję twoje. Zadbalem o to, żebyś w tej sprawie była czysta – przekonywał Zero Siedem. – A gdybyśmy zgłosili to na policję, to...

– Nie spytałeś mnie o zdanie – warknęła.

– Byłaś nieprzytomna. Musiałem działać.

– Gównu musiałeś!

– Okej! – uniósł ręce i dał sobie chwilę na uspokojenie. Przetarł twarz i położył dłonie na kierownicy. – Zastrzelenie człowieka, nawet w obronie własnej, pociąga za sobą karę. Tym bardziej jeśli chodzi o doświadczoną policjantkę, która posłużyła się w tym celu nielegalną bronią. – Westchnął. – Zrozum, Maria, nie miałem innego wyjścia.

Herman nabrała powietrza i przypomniała sobie siebie sprzed wielu lat, kiedy pierwszy raz włożyła galowy mundur i wygłosiła w obecności ówczesnego komendanta miejskiego policji w Toruniu słowa, które od tamtej pory pozostały z nią na zawsze.

Powtórzyła je Olgierdowi.

– Wykonując powierzone mi zadania, ślubuję pilnie przestrzegać prawa, dochować wierności konstytucyjnym organom Rzeczypospolitej Polskiej, przestrzegać dyscypliny służbowej oraz wykonywać rozkazy i polecenia przełożonych. – Komisarz zamilkła.

Otarła wilgotne policzki.

– Proszę cię o trzy dni, Maria. Potem zrobisz, co będziesz chciała, a ja się temu podporządkuję – obiecał. – Tylko trzy dni.

Te trzy dni Herman spędziła w łóżku. Telefon miała wyłączony. Poprosiła jednak przyjaciółkę, Joannę Mitras, by wprowadziła się do niej na jakiś czas. Maria wciąż się bała, że zły stan psychiczny może ją na nowo skłonić do hazardu.

Czwartego dnia wstała, wzięła prysznic, zjadła zeschnięty chleb z żółtym serem i popiła go kawą. Potem usiadła do komputera i wystukała na nim raport o zwolnienie ze służby. Wydrukowała go i podpisała.

Nie obchodziło jej, co ustalił Zero Siedem.

W swoim życiu złamała zbyt wiele zakazów i wartości. Przez nią umarł jej ojciec, zbyt wielu ludzi cierpiało z powodu jej hazardu. Wyrządziła wiele krzywd. A teraz sprzeniewierzyła się temu, co było w zasadzie jej jedyną ostoją: złożonej przysiędze. Honorowi policjanta.

Nie była godna pełnić tej funkcji ani dnia, ani godziny dłużej.

Ale mimo gniewu, który szarpał ją od wewnątrz, nie umiała też wyznać prawdy kolegom na komendzie.

Nie chodziło o nią. Poradziłaby sobie. O dziwo, czuła się pewniej w związku z tym, że znała swoje koszmary i umiała je okiełznać.

Ale nie umiała skazać na potępienie Olgierda.

Kiedy sama dotknęła dna, otrzymała pomocną dłoń od Joanny Mitras. Dlatego Maria uznała, że ona także musi wyciągnąć rękę do człowieka, który być może zrobił wiele złego, ale równocześnie starał się ochronić ją przed konsekwencjami wyłącznie jej błędnych decyzji. Bo to ona chwyciła broń i pociągnęła za spust. Nie mierzyła w nogi ani w ramiona. Wycelowała broń w klatkę piersiową obcego człowieka i oddała strzał.

Dlaczego miałyby dać sobie prawo do oceniania partnera z pracy, człowieka być może uzależnionego od seksu tak samo, jak ona była uzależniona od hazardu? Czy to czyniło z niego gorszego człowieka?

Nie.

Maria uznała, że jedynym wyjściem z tej sytuacji jest odwieszenie munduru. Będzie musiała znaleźć inną pracę, ale powinna sobie z tym poradzić. Rozpuści wici, poszuka, porozgląda się. Zanim raport zostanie przyjęty, będzie miała sporo czasu na przyjrzenie się ofertom pracy. Nie tylko w kujawsko-pomorskim, bo razem z etatem w wydziale kryminalnym straci także prawo do wynajmowanej służbowej kawalerki.

A Herman musiała zamienić jeden etat na drugi w miarę gładko, ponieważ nie miała żadnych oszczędności. Żyła z dnia na dzień, miesiąc w miesiąc spłacała swoje zobowiązania. I chciała je spłacać nadal.

To było konieczne, aby proces trzeźwienia nie został przerwany.

Kiedy szła wzdłuż płotu komendy, z daleka zauważyła samochód Olgierda. Stał tam, gdzie zawsze, po drugiej stronie ulicy.

Zatrzymała się przed otwartą furtką i próbowała dostrzec kolegę we wnętrzu. Utrudniały to refleksy światła na przedniej szybie auta, ale po dłuższej chwili zauważyła zarys jego postaci. Siedział za kierownicą z pochyloną głową.

Ani ona, ani on nie zrobili żadnego gestu.

Może jej nie widział?

Uznała, że nie podejdzie do niego i nie wyjaśni mu sytuacji, nie powie, co zamierza, żeby nie próbował jej przekonać do pozostania w firmie.

Musiała złożyć raport.

Musiała odejść z policji.

Musiała pochować matkę.

Trzy sprawy, które zamkną kolejny etap jej życia i otworzą następny.

Czasami tak trzeba, pomyślała, po czym odwróciła głowę i spojrzała na oszklone wejście do komendy, znajdujące się pod obszernym dachem, i wyżej, na niebieskie szyby, które zajmowały znaczną część elewacji i sięgały do ostatniej, piątej kondygnacji.

Coś w niej zadrżało i przyspieszyło tętno.

Nie odkładaj tego, pomyślała.

Miała ochotę zapalić, ale chwila z papierosem skłaniała do refleksji.

A ona powinna działać.

Dlatego weszła na pierwszy stopień i zaczęła wspinać się po schodach.

Olgierd widział, jak Herman idzie od strony swojego osiedla.

Kiedy odwróciła głowę w jego kierunku i odnalazła toyotę na parkingu, poczuł nagły ciężar w żołądku i chłód wypełniający trzewia. Trząśnięcie z nerwów, które sprawiły, że od tamtych zdarzeń w zasadzie nie był w stanie zmrużyć oka.

Jego zarost stał się szorstki i sztywny, pod paznokciami tkwił brud.

Zdał sobie sprawę, że nie tylko się nie ogolił, ale nawet nie zdążył się umyć ani przebrać w czyste ciuchy.

Nie odbierał telefonów, Kindze wysłał tylko esemesa, że w związku ze śledztwem nie wróci do domu. Czas, który w ten sposób zyskał, wykorzystał na węszenie po Grudziądzu. Chciał się dowiedzieć, do kogo należy Biały Żagiel, bo tych informacji, o dziwo, nie znalazł w internecie. Próbował zagadywać spacerowiczów i działkowców, którzy opodal nowoczesnego domu w lesie przygotowywali swoje altanki i ogrody do zimy, ale nie mieli pojęcia, kto był właścicielem dawnego ośrodka wypoczynkowego.

Nie naciskał, żeby go nie zapamiętali, bo się bał, że policja prędzej czy później tu trafi. Nie mógł wykluczyć, że patrol, który ostatnio go skontrolował po imprezie u Łysego, pojawił się w tym rejonie ze względu na to, co działo się w ekskluzywnej willi. I nie chodziło wcale o party dla swingersów, bo to samo w sobie karalne nie było, nikt nikogo do niczego nie zmuszał. Mogło za to chodzić o handel prochami. Wreszcie – niewykluczone, że policjanci namierzali jednego z gości, na przykład Tomasza Bickiewicza, w związku z nielegalną działalnością hazardową, którą prowadził w mieście.

Cokolwiek to było, zniknięcie Łysego powinno wywołać reakcję ze strony jego mocodawców. Tymczasem druga komórka Olgierda milczała. Milczała też komórka Glacowskiego, w której policjant odnalazł jedynie kompromitujące go nagranie. Skasował je czym prędzej, ale to nie załatwiało problemu. Wiedział, że będzie musiał pozbyć się telefonu i zniszczyć jego pamięć. Kiedy zaczął mu się bliżej przyglądać, zaskoczyło go, że Łysy usunął spis wszystkich połączeń. W kontaktach nie było zapisanych żadnych numerów telefonów. Nawet Olgierda. A skrzynka wiadomości esemesowych była pusta.

To oznaczało, że Łysy wykasował dane w telefonie przed przyjazdem podkomisarza, bo brał pod uwagę różne scenariusze. Tym bardziej że, jak się okazało, miał ukrytą w domu broń.

Kolejnej nocy po tamtych dramatycznych zdarzeniach Olgierd zakradł się na teren posesji. Brama wciąż była otwarta. Drzwi także. Wewnątrz panował mrok. Przebrał się

w strój technika kryminalistyki i spenetrował budynek, a następnie pusty garaż. Nigdzie nie znalazł nic, co poświadczałoby, że dom jest zamieszkały. Nie znalazł żadnych rzeczy osobistych, dokumentów, książek, papierów, korespondencji ani ciuchów. Nic. Z zaskoczeniem zaglądał do pustych szafek i szuflad. Chciał zajrzeć też do śmieci, ale pojemniki w łazienkach i kuchni były puste, a na zewnątrz nie znalazł żadnego kubła na odpady.

Wcześniej zupełnie nie zwrócił na to uwagi.

Tamtej nocy, kiedy doszło do dramatu, skupił się jedynie na metodycznych porządkach, bo z ciałem Łysego poradził sobie wcześniej. Przynajmniej na tyle, by na razie zająć się ważniejszymi sprawami.

Kiedy odwiózł Herman do jej mieszkania, od razu wrócił do Grudziądza i wszystkie rzeczy mające związek z porządkami po zastrzeleniu Łysego wywiózł na drugi brzeg Wisły. Tam polał je benzyną i spalił. Także fragment wykładziny dywanowej z korytarza, która kopciła i śmierdziała nieznośnie. Czarny dym na szczęście pochłaniała noc, a smród nikogo nie powinien dziwić. W zimne wieczory Polacy puszczali przez kominy tony śmieci.

Potem wrócił do nowoczesnego domu i przy spuszczonej roletach, żeby nie zobaczył go żaden zabłąkany spacerowicz ani grzybiarz, wyszorował posadzkę. W miejscu, w którym była plama zaschniętej krwi, pozostał ciemniejszy, nieregularny obrys. Borewicz odczekał, aż podłoga wyschnie, a następnie dociął i rozłożył nową wykładzinę. Udało mu się ją namierzyć w salonie we Włocławku dzięki temu, że na zerwanym kawałku poprzedniego dywanu, na spodniej stronie, trafił na metkę z nazwą producenta i wzoru.

Poprzedni chodnik trzymał się na taśmie obustronnie klejonej wzdłuż korytarza po obu jego stronach i Borewicz uznał, że nowy fragment przymocuje w ten sam sposób.

Z czoła kapał mu pot, ale był zadowolony z efektów. Wszystko wyglądało tak jak poprzednio.

Nie potrafił jedynie naprawić frontu szafki na parterze przebitego przez pocisk. Na razie ustawił na meblu sztuczny kwiat, którego zwisające liście przykryły uszkodzenie. To musiało wystarczyć.

Potem zabrał się do likwidowania dziury w ścianie po naboju wystrzelonym z glocka. Wyrównał brzegi otworu, zmoczył je lekko, zaszpachlował i przykrył białą grafiką wektorową na czarnym tle, przedstawiającą łeb jelenia z porożem. Obraz kupił w Ikei, uznał, że motyw zwierzęcy idealnie będzie pasował do domu w lesie i znajdujących się w nim fotosów.

Na koniec zadbał o to, by zatrzeć ewentualne odbitki linii papilarnych na klamkach i włącznikach świateł.

Kiedy skończył pracę, poczuł, że koszula lepi mu się do pleców.

Chciał wyjść z tego domu, ale wciąż myślał o tym, czego zapomniał i nie dopilnował.

– Nie ma zbrodni doskonałych – mawiał kiedyś jego szef i dodawał: – Są jedynie źle zabezpieczone ślady i nieprawidłowe wnioski z oględzin miejsca zdarzenia.

Borewicz słyszał te słowa. Odbijały się echem w jego głowie.

Krew pulsowała mu w skroniach, serce łupało pod żebrami.

Nie ma zbrodni doskonałych.

Wiedział o tym lepiej niż inni. Przekonywał się o tym wspólnie z Herman niemal każdego dnia pracy w zespole do spraw przestępstw niewykrytych, kiedy sięgali po zakurzone poźółkłe teczki pełne ludzkich tragedii, niezabliźnionych ran i bólu rodzin ofiar, którym nie było dane zaznać prawdy i sprawiedliwości.

Zapisy w aktach potwierdzały, że zespoły śledczych kręciły się w kółko niczym w gęstej mgle. A przyczyn tej sytuacji należało upatrywać na samym początku drogi, a więc w źle przeprowadzonych oględzinach miejsca zdarzenia i błędnie zabezpieczonych dowodach.

Dlatego Olgierd wiedział, że nie pozbędzie się lęku.

Ale było w tym wszystkim coś jeszcze gorszego niż pasmo niekończących się koszmarów, w którym przyjdzie mu żyć.

Obawiał się, że ten lęk go wyniszczy.

Że krok po kroku doprowadzi nieuchronnie do tragedii.

Zanim opuścił willę, popatrzył raz jeszcze na schody i, chociaż tego nie chciał, bezwiednie przeniósł się myślami w czasie.

Usłyszał krzyk Herman i zdębiał.

Sądził, że strach przejął kontrolę nad zmysłami, że dopadły go przedśmiertne omamy słuchowe, bo był przekonany, że Łysy strzelił do niego, chociaż Borewicz ani nie zarejestrował wystrzału, ani nie poczuł rozrywającego bólu w klatce piersiowej. Zaskoczony otworzył załzawione oczy, a wtedy zobaczył tuż przed sobą mężczyznę z bronią w dłoni, który się odwrócił w stronę korytarza i złożył do oddania strzału. Tym razem potężny huk zawibrował Borewiczowi w uszach, a zaraz po nim, niczym echo, domem wstrząsnął drugi wystrzał. Do Zero Siedem nie docierało to, co się wydarzyło. Patrzył tępo przed siebie i zanotował jedynie, że pod byłym gliniarzem Krzysztofem Glacowskim ugięły się kolana i sekundę później mężczyzna leżał już na podłodze. Obcasy jego butów rytmicznie uderzały o wykładzinę, a na wielkim oknie wykwitła drobna czarna plama – krew wyrzucona pod ciśnieniem z rany wlotowej.

Zanim Borewicz się ocknął, kropla zaczęła ściekać po szybie, zostawiając za sobą długi ślad.

Zero Siedem zrobił krok do przodu na drżących nogach i oparł się rękoma o framugę.

Łysy wciąż trzymał broń w prawej ręce, jego usta starały się wypowiedzieć jakieś słowa, ale zamiast nich pojawiła się krwawa piana, w której pęcherzyki powietrza pękały jeden po

drugim, aż w końcu konwulsje ustały i martwy człowiek znieruchomiał z pustym wzrokiem utkwionym w szybie.

Herman leżała – też nieruchomo – kawałek dalej.

Borewicz otrząsnął się, odganiając złe obrazy. Otarł pot z czoła i wyszedł na zewnątrz, w momencie gdy przez las przetoczył się ryk jelenia.

Olgierd zamarł na krótko, a następnie przetarł szmatką klamkę przy drzwiach i ruszył w stronę bramy.

Budził się nowy dzień.

A teraz patrzył na Herman, która jakby zamarła przed ogrodzeniem komendy.

Czekała, tak jak się umówili.

Trzy dni.

Liczył, że Maria nie wejdzie po schodach, bo to oznaczałoby koniec wszystkiego. Olgierd nie mógłby tego znieść, chociaż liczył się z takim rozwiązaniem. W końcu sam je zaproponował. Niemniej cały czas wierzył, że Herman go uratuje, tak jak uratowała go tamtej nocy.

W zasadzie nawet nie rozumiał, dlaczego zamarła po drugiej stronie jezdni z plecakiem przewieszonym przez ramię.

Chciał wysiąść z wozu i ją zawołać. Porozmawiałby z nią jeszcze raz, zapewniłby, że nic złego jej się nie stanie.

Ale stchórzył.

A ona w końcu drgnęła i skierowała się na schody. Pokonała je szybko i zniknęła w wejściu do budynku.

Borewicz z trudem przełknął ślinę i otarł twarz.

Oblał go zimny pot i natychmiast zaschło mu w ustach. Ale to nie miało już żadnego znaczenia.

Właśnie wszystko dobiegło końca.

Herman podjęła decyzję i musiał się z tym pogodzić.

Nachylił się do schowka i otworzył go.

Drżącą ręką wyjął pistolet, którym Herman zabiła Łysego. Zważył go w dłoni, a potem przeniósł na uda. Palec wskazujący trzymał wzdłuż lufy.

Nabrał powietrza i przymknął oczy.

Pod powiekami widział Amelkę. Swoją uśmiechniętą córeczkę, jej drobne usta rozciągnięte w bezzębny uśmiechu, dołeczki w policzkach.

Czuł, że po twarzy płyną mu łzy.

Wziął jeszcze jeden wdech. Ostatni haust.

Chłód wylotu lufy pod brodą sprawił, że przeszedł go dreszcz.

Znieruchomiał.

Uchylił powieki, ale świat był zamazany.

Palec ciążył na języku spustowym.

Olgięrd cicho jęknął.

Maria Herman zatrzymała się w holu i odwróciła do okien wychodzących na parking.

Gwar panujący wewnątrz budynku miał kojącą moc. Zagłuszał jej myśli, rozwiewał wątpliwości.

– Ej, Maria, a czemu ty, do cholery, telefonów nie odbierasz, co? – usłyszała głos szefa wydziału kryminalnego komisarza Bartosza Warzechy i obejrzała się przez ramię. – Olgierda też złapać nie można. Czy wyście się tam w tym Grudziądzu zakopali, czy co? – zażartował.

Warzecha był od niej wyższy o głowę. Podszedł i położył jej rękę na ramieniu. Maria uśmiechnęła się do niego smutno. Obok na krzesłach w poczekalni siedziało kilka osób, w tym kilkulatek, który wiercił się na kolanach łysego mężczyzny z długą brodą i tatuażami wystającymi spod kołnierzyka bluzy. W dłoniach miał pustą papierową torebkę po pieczywie.

– Słuchaj – Warzecha ściszył głos. – Znasz podkomisarza Jaronia z Grudziądza, nie?

Zaciekawiona skinęła głową.

– Podobno nie mógł się do ciebie dodzwonić.

– No i?

Bartek poprawił sztruksową marynarkę, jakby uwierała go w kark.

– Prosił mnie, żebym ci przekazał, że wysłał ci zdjęcia z gazety.

– Jakie zdjęcia? Na telefon? Przecież wiedział, że mam starą nokię, mógł się domyślić, że nie odbieram ememesów.

– A widzisz! To mogłabyś chociaż odbierać telefony. – Warzecha się zaśmiał. – Poczekaj chwilę.

Podszedł do kontuaru i zwrócił się do siedzącej tam szczupłej dziewczyny w białej bluzce:

– Niech mi pani poda te materiały, co tam leżą. – Wskazał palcem na komodę za jej plecami.

– Te dla komisarz Herman.

Gdy dziewczyna podała mu kopertę, Maria podeszła do Warzechy. W tej samej chwili rozległ się stłumiony huk. Wszyscy drgnęli i zapadła cisza.

– Przepraszam! – krzyknął mężczyzna, który trzymał dziecko na kolanach. – Nadmuchałem papierową torebkę, a syn ją zbyt mocno ścisnął.

Chłopiec uśmiechał się szeroko, zadowolony z siebie.

Herman odetchnęła i z powrotem odwróciła się do Warzechy.

Rozerwała kopertę i wyciągnęła zdjęcia przedstawiające artykuł w gazecie.

Jej wzrok padł najpierw na tytuł, a dopiero potem na zdjęcie.

Serce podeszło jej do gardła.

– I co? – spytał Warzecha, gdy skanowała wzrokiem tekst.

Policjantka zerknęła na drugą fotografię, przedstawiającą kamienicę przy Legionów trzynaście, jak informował odręczny dopisek. Rozpoznała pismo Warzechy.

– Kiedy to dostałeś?

– W poniedziałek.

Herman zabrała zdjęcia i rzuciła się do wyjścia.

– Maria? – zawołał za nią Warzecha, ale była już przy drzwiach.

Zbiegła po schodach i dotarła do krawędzi jezdni. Rozejrzała się, przepuściła taksówkę i przed furgonetką z reklamą fotowoltaiki przebiegła truchtem jezdnię. Kierowca zatrąbił, ale go zignorowała.

Zauważyła jakiś ruch w toyocie, jakby Olgierd gwałtownie przechylił się na fotel pasażera, jakby chciał sięgnąć do schowka. A może coś tam odkładał.

Kiedy była bliżej, zorientowała się, że Zero Siedem odwrócił głowę do bocznej szyby i być może w ogóle Marii nie widział.

Podeszła do drzwi pasażera i zapukała w szybę.

Usłyszała zgrzyt zwalnianej blokady zamka centralnego.

Usiadła na fotelu i bez słowa podała mu wydruki.

Był zaskoczony, ale przyjrzał się artykułowi. Skupił się na tekście.

– Czyli jednak – powiedział przyciszonym głosem.

Herman ciałniej związała frotką włosy.

– Musimy to sprawdzić – odparła, spoglądając w jego zaczerwienione oczy.

– A co potem? – uniósł brodę, wskazując na firmę.

Nabrała powietrza i wypuściła je ustami.

– A potem się ogolisz, wykąpiesz i przebierzesz – odparła.

Nie odpowiedział, ale nagle względną ciszę przerwało parsknięcie.

Po chwili rechotali już oboje.

Olgierd zostawił Marię Herman pod bramą grudziądzkiego schroniska dla zwierząt, a sam pojechał w stronę centrum, przebił się na Legionów i zatrzymał toyotę wzdłuż jezdni w pobliżu kamienicy z numerem trzynastym.

Zanim wysiadł, przetarł twarz i wrócił myślami do chwili, gdy na parkingu przed komendą w Bydgoszczy przystawił sobie broń pod brodę. Panicznie się bał. Nie umiał pociągnąć za spust. Po prostu stchórzył.

Wciąż drżał na samo wspomnienie, ale teraz musiał się uspokoić. Musiał być gliną i zabrać się do roboty.

Umówili się z Marią, że najdalej za godzinę spotkają się pod biedronką w pobliżu domu Lucyny Witberg. Borewicz zostawił partnerce pięćdziesiąt złotych na taksówkę. Wstydziła się przyjąć pieniądze, ale kolega uznał, że dzięki temu zaoszczędzą czas. To ją ostatecznie przekonało.

Kiedy pędzili do Grudziądza, Herman połączyła się ze Sławomirem Jaroniem z telefonu Olgierda i przełączyła na głośnik. Enigmatycznie wytłumaczyła się z milczenia problemami ze zdrowiem.

– Ale już wszystko dobrze. A co u ciebie? – spytała, kiedy zjeżdżali po stromych zakrętach w gęstym lesie porastającym Górę Klęczkowską.

– Też nie najgorzej – odparł oficjalnym tonem i Herman przypomniała sobie, że powinna zadzwonić pod numer jego żony.

– Rozumiem. W takim razie będziemy w kontakcie.

– Jeszcze jedno, zanim się rozłączysz – aparat zniekształcał głos szefa grudziądzkich kryminalnych.

– Mów – poleciła Herman, ale Borewicz widział, że odciągnęła od szyi kołnierz swetra. Miała zupełnie blade ręce. Olgierd dałby sobie głowę uciąć, że gdyby ich dotknął, okazałyby się zimne.

– Nie wiem, czy to się wam do czegoś przyda w śledztwie, czy nie, ale doszło do zaginięcia jednego z naszych.

– Policjanta? – spytała matowym głosem.

– Byłogo. W późniejszych latach zajmował się sprawą Witbergów. Raczej z doskoku, ale pomyślałem, że ta informacja może wam się przydać.

– Jak się nazywał?

– Krzysztof Glacowski.

Borewicz mocniej chwycił kierownicę; wiedział, że Herman to zauważyła.

– Czym się zajmował?

– Kiedy? W latach dziewięćdziesiątych?

– Nie, na emeryturze – zirytowała się, ale Borewicz dał jej znak, by stonowała emocje.

Maria przymknęła oczy i oddychała z trudem. Opuściła szybę, pęd zimnego powietrza wypełnił kabinę.

– Oficjalnie nic nie robi. Natomiast nieoficjalnie podobno świetnie sobie radzi. Dorabia gdzieś na boku, poza systemem. Jego syn studiował w Wielkiej Brytanii.

– Macie jakieś pomysły, co się z nim mogło stać? – Herman próbowała drażnić.

– No właśnie nie. Do domu Glacowskiego wpuściła nas jego siostra. Miała drugi komplet kluczy. Początkowo sądziliśmy, że może się chłopu zmarło, ale nie. Co ciekawe, nie znaleźliśmy u niego żadnego sprzętu komputerowego.

Borewicz wymienił spojrzenia z Herman i poczuł dreszcz.

– Może nie miał?

– To chyba byłoby dziwne, nie? W dzisiejszych czasach, z synem na zagranicznych studiach? Przecież musieli się jakoś komunikować.

– To akurat można ogarnąć przez telefon. Namierzyliście go?

– Ślad urywa się w okolicy Góry Klęczkowskiej.

– Urywa się? – spytała Herman, a Olgierd poczuł jej spojrzenie na sobie.

– Sygnał zniknął wieczorem poprzedniego dnia.

– Co ten Glacowski mógł tam robić?

– Nikt tego nie wie. Niewykluczone, że ktoś ukradł mu komórkę.

– No tak, to możliwe. W każdym razie dzięki, że nam powiedziałeś. Kto wie, może to się wszystko jakoś łączy. Będę wdzięczna, jeśli będziesz nas informował. My oczywiście też damy ci znać, jak posuniemy się do przodu.

– Co planujecie?

– Olgierd zajmie się wózkiem i kobietą ze zdjęcia, która dziś jest już babcią, a ja wpadnę do schroniska. Potem chcę się zobaczyć z Lucyną Witberg.

– Poczekaj, schronisko? Szukasz ich psa?

– Mam pewien pomysł – odparła tajemniczo.

– Rozumiem, że nie chcesz go zdradzić – rzekł Jaroń z nutą rozczarowania. – A pamiętasz, jak prosiłaś mnie, żebym sprawdził Lucynę Witberg?

Olgierd zmierzył ją wzrokiem.

– No i? Masz coś? – poprawiła się w fotelu.

– Nie, nic. Raz na kilka lat wyjeżdżała do sanatorium do Wałbrzycha. Poza tym siedziała w Grudziądzu.

– Wałbrzych?

– Tak, a co?

– Zawsze jeździła w tamtym kierunku? Nigdy nad morze?

– Nie, tylko do Wałbrzycha.

– Ile razy tam była?

– Chyba cztery.

– Kiedy ostatni raz?

– Trzy lata temu. Dlaczego pytasz?

– Jeśli to nie problem, sprawdź, proszę, kto odwiedzał Tobię w pierdlu w Rawiczu.

W słuchawce zapadła cisza.

– Myślisz, że Lucyna Witberg...

– Nic nie myślę. Po prostu wolę to sprawdzić – uznała. – Ile jest z Wałbrzycha do Rawicza?

– Poczekaj – usłyszeli, jak Jaroń klepie w klawiaturę, a kiedy dźwięki ustały, odezwał się: – Dwie godziny pociągiem.

– Dasz radę to sprawdzić?

– Postaram się, ale to potrwa.

– Nigdzie nam się nie spieszy – stwierdziła. – A co z tym granatowym dostawczakiem? Jest gdzieś na nagraniach z kamer w pobliżu domu Witbergów? – Herman przypomniała sobie, że Jaroń miał przejrzeć zapisy monitoringu.

– Niestety, nie ma. A jeśli dojeżdżał na Irysową, to pewnie drogami osiedlowymi.

– Okej, no to wszystko jasne. Dzięki.

Pożegnali się i w samochodzie słychać było jedynie szum silnika.

Herman walczyła ze stresem, podrygiwała jej noga i co chwilę przysuwała się do lekko opuszczonej szyby, żeby chłodny wiatr owiewał jej rozpaloną twarz.

Olgierd odczuwał mrowienie w trzewiach.

Musiał rzucić się w wir roboty.

Tylko praca mogła przynieść zapomnienie.

Zero Siedem wysiadł z wozu i przeszedł przez jezdnię w stronę kamienicy z czerwonej cegły. Minął trawnik, po czym skierował kroki do bramy po lewej.

Zgodnie z instrukcją zapisaną przez Warzechę na odwrocie zdjęcia wybrał na domofonie przycisk z numerem pięć i czekał.

Ostre porywy zimnego wiatru świstały w szerokiej bramie. Borewicz ustawił się do nich plecami i schował głowę w ramionach.

– Halo? – rozbrzmiał mocny kobiecy głos.

– Pani Janina Świtajska?

– A o co chodzi?

– Podkomisarz Olgierd Borewicz, Komenda Wojewódzka Policji w Bydgoszczy. Dzwoniłem do pani godzinę temu.

– A tak. Pan wejdzie na pierwsze piętro.

Olgierd usłyszał metaliczne brzęczenie zwalnianej blokady i pchnął furtę.

Kiedy wszedł na piętro, środkowe drzwi były już uchylone.

– Pan wchodzi, śmiało! Przecież otwarte! – dobiegł go ten sam kobiecy głos. Mniej więcej sześćdziesięcioletnia gospodyni wyszła z kuchni, wycierając dłonie w fartuch. Korytarz, wyłożony boazerią, z regałem po lewej stronie, wypełniał zawieszisty zapach rosółu.

Janina Świtajska przeszła do salonu i z westchnieniem usiadła na starej wersalce przykrytej kocem. Poprawiła krótkie kręcone włosy, układające się niczym jasna aureola wokół jej głowy. Borewicz zajął miejsce na pufie, z którego oblaził brązowy skaj i odsłaniał beżową podszewkę.

– Jak już wyjaśniłem pani przez telefon, interesuje mnie sprawa tego wózka.

– Czyżbyście w końcu złapali złodzieja? – zaśmiała się.

Olgierd potarł zarost i uśmiechnął się jedynie z uprzejmości.

– Będę wdzięczny, jeśli powie mi pani, czy po publikacji w „Nowościach” rozmawiał z panią ktoś z policji.

– Nie, a niby dlaczego?

Olgierd nie chciał jej zdradzić wszystkiego na początku rozmowy.

– Kto z sąsiadów odnalazł pani wózek?

– Panie złoty, ale on już tu nie mieszka. Wyprowadził się dawno temu – machnęła ręką.

– Kto taki? – Borewicz uniósł brwi.

– No Wacek! Wacek Kowalski. W pogotowiu robił. Sanitariuszem był.

– Mieszkał tu? – Policjant potarł opuszki palców o siebie.

– Dosłownie pode mną. Na parterze.

– Powiedział, gdzie go znalazł?

– Tak, dwie kamienice dalej.

– Miał tam kogoś znajomego?

Wzruszyła ramionami.

– Panie złoty, a skąd mam wiedzieć? Czemu pan w ogóle o to pyta?

– Bo zastanawiam się, jak Kowalski tam trafił. Jak to się stało, że odnalazł ten wózek?

Przechyliła lekko głowę, jakby się zamyśliła.

– Nie wiem, nie pamiętam już, pewnie mi opowiadał, ale tyle czasu minęło, że ho, ho. Kto by się tym teraz przejmował. Grunt, że się zguba odnalazła, bo co ja bym bez wózka zrobiła? Przecież bym tej mojej Oleńki na rękach nie nosiła, nie?

Borewicz nie zdążył zebrać myśli, gdy Świtajska odezwała się ponownie:

– Ale to pan go podejrzewa? Wacka? Że to niby on ten wózek zabrał?

– A pani? Co pani sądzi?

– No gdzież tam, panie złoty! Przecież, po pierwsze, to by się od razu wydało, a po drugie, Kowalscy mieli swój wózek dla syna.

– Czy Waław Kowalski wniósł wózek tu, na górę? – Olgierd wskazał kciukiem w stronę korytarza.

– A to takie dziwne? Przecież ja normalnie tę gondolę też targałam sama na piętro.

– Ale Kowalski miał wtedy złamaną rękę.

– Panie złoty! Pan na pewno jesteś z policji? Co pan za głupoty wygadujesz? Jaką rękę złamaną? Coś się panu pokiełbasiło.

– Jest pani pewna?

– Ano jestem, przecież jak następnego dnia zaniósłam mu ciasto, żeby podziękować, to tego swojego Wojtusia na rękach trzymał. I żadnego gipsu nie miał. Przecież bym pamiętała.

Zero Siedem przygryzł wargę.

Borsik też się zarzekał, że Kowalski nie mógł mieć złamanej ręki, kiedy próbował upchnąć wózek dziecięcy w bagażniku taksówki. Policjant uzmysłowił sobie, że ma dwie niezależne relacje świadków i powinien przyjąć je jako wiarygodne.

– Co pan taki zamyślony? – Świtajska przywołała go do rzeczywistości.

Spojrzał na nią bez słowa i wtedy przypomniał sobie coś jeszcze.

„Kowalski rzygał jak kot”, stwierdził stary sanitariusz. Miał na myśli tę noc, kiedy obaj udzielali pomocy Witbergowi po postrzale w udo. Policjant nagle zrozumiał, że przecież wcale nie musiało chodzić o zatrucie, tylko mogła to być reakcja na silny stres. W chwili gdy Kowalski, ratując Witberga, rozpoznał w nim ojca porwanego dziecka albo kiedy usłyszał, kim jest ofiara postrzału, organizm zareagował torsjami.

To się układało w całość.

Uciezka mężczyzny na urlop tuż po tym zdarzeniu zdawała się potwierdzać tę teorię.

Borewicz wrócił jeszcze na chwilę do słów Herman, która twierdziła, że porywacz musiał znać Witbergów. Że to był ktoś z kręgu ich znajomych. Ale żadne działania operacyjne tego

nie potwierdziły. Dlatego Olgierd pomyślał, że założenie należało zmodyfikować. To mogła być przelotna znajomość.

Postanowił pójść świeżym tropem.

– Czy syn Kowalskiego urodził się przed narodzinami pani córki, czy już po? – spytał.

– Zdecydowanie po. To chyba było w maju. Może w kwietniu.

A więc podobnie jak Filip Witberg.

Zatem było możliwe, że obie kobiety, Kowalska i Witberg, spotkały się na oddziale położniczym grudziądzkiego szpitala.

Ta myśl rozpałała go, ale musiał odłożyć ją na później.

– Zapytała mnie pani, dlaczego wracamy do tej sprawy – Olgierd przypomniał Świtajskiej początek rozmowy.

Pokiwała głową.

– Chodzi o porwanie dziecka Witbergów – wyjaśnił.

Zrobiła zdziwioną minę.

– Pamięta pani tamto zdarzenie?

– No a jak!? Przecież na nas, rodziców, padł wtedy blady strach, że nam wszystkim zaczną dzieci porywać.

– Doskonale panią rozumiem. Sam mam małą córkę – wyznał i przeszedł do kolejnego pytania. – Czy była pani wtedy blisko z Kowalskimi?

– Niespecjalnie, a czemu pan pyta?

– Zastanawiam się, czy Kowalscy mogli znać Witbergów.

– Nie mam bladego pojęcia – wzruszyła ramionami.

– A chodziłyście panie razem na spacer z dziećmi?

– Że niby ja z Kryską Kowalską?

– Tak.

– Zdarzało się, ale nigdy się jakoś specjalnie nie umawiałyśmy. Chyba częściej spotykałyśmy się po prostu gdzieś tu na zewnątrz i robiłyśmy sobie małą rundkę. Raz czy dwa przeszłyśmy się do ogrodu botanicznego.

– A ona miała jakieś inne koleżanki?

– Nie wiem, nie pamiętam. W sumie to na początku rzadko wychodziła na spacer, była jakaś taka osowiała. Smutna.

– Smutna? Dlaczego?

– Ten mały strasznie jej płakał. – Złożyła ręce na podolku i wbiła wzrok w blat ławy. – Wie pan, ciężko im było. Wacek ciągle na tych dyżurach, wracał sterany, ona sama z tym wiecznie płaczącym dzieckiem. No, nie ukrywam, że pohukiwali na siebie, ściany niosą

takie rzeczy, i jeszcze bardziej przykro się człowiekowi robiło. Oni nie mieli tu na kogo liczyć, tak to już w życiu bywa. Ale ten płacz był najgorszy. Pana córka też taka płaczliwa? – spojrzała mu w oczy.

– Nie. Amelka jest cicha jak anioł.

– Eee, to nawet pan nie wie, co to znaczy, jak dziecko płacze, a człowiek się zamartwia, bo nie wie, co mu jest. A przecież chce dla tego malucha jak najlepiej, nie?

Olgierd poczuł, jak wstyd wypełza mu na policzki.

Tak mało czasu spędzał z córką.

Struchlał, gdy uzmysłowił sobie, że resztę życia spędzi w więzieniu, jeśli sprawa Glacowskiego wyjdzie na jaw. I to będzie jego koniec.

– Czy pan mnie w ogóle słucha? – zirytowała się Świtajska.

Ocknął się, po czym poprosił ją, żeby powtórzyła ostatnie zdanie.

– Mówiłam, że potem na jakiś czas zapadła cisza, więc to chyba pomogło.

– Gdzie cisza?

– No, w domu u Kowalskich, przecież mówię – zirytowała się na niego. – Wreszcie się zrobiło cicho.

– A co pomogło? – zżymał się na swój brak skupienia.

Przewróciła oczami.

– Herbatka z włoskim koprem. No, na te kolki, co mówiłam. Dałam im, bo mi ją wtedy stara ciotka z Niemiec przywiozła, a moja Ola z kolek już wyrosła.

– Wyleczyła go? – niemal wszedł jej w słowo.

– Tak.

– Herbatka? – wołał się upewnić.

– No, przecież mówię. Od tego czasu jak ręką odjął – zapewniła. – Ani razu już nie zapłakał.

Zapach psów uderzył w nią wraz z wiatrem, który niósł także głośnie ujadanie. Nie tak chóralne, jak ostatnio, i o różnym natężeniu.

Gdzieś w oddali jakiś pies zaskomlał, ale większość po prostu szczekała.

Herman odprowadziła wzrokiem odjeżdżającą toyotę i przeszła przez bramę do nowoczesnego, parterowego, lecz obszernego budynku administracji schroniska. Gdy słońce wyszło zza chmur, promienie nadały głębi żółtemu odcieniowi tynku.

Wewnątrz panowały chłód i względna cisza. Na ścianach wisiały dwie duże tablice korkowe, wypełnione po brzegi plakatami z wizerunkami kotów i psów, zachęcającymi odwiedzających do adopcji, ale także finansowego wsparcia organizacji.

Zauważyła otwarte drzwi do gabinetu i zerknęła do wnętrza. Przy komputerze siedział mężczyzna w szarym polarze z rozwichrzonymi blond włosami i ciemniejszą, gęstą brodą.

Policjantka przywitała się i dopiero wtedy mężczyzna odwrócił do niej okrągłą twarz. Spojrzał na nią przez okulary w grubych granatowych oprawkach.

– Tak? – zainteresował się, ale nie ruszył się z miejsca.

Herman powiedziała mu, z czym przychodzi.

– Labrador? – powtórzył i się zamyślił. – A kiedy by to miało być?

– Podobno tutejsi policjanci już o niego pytali.

Pokręcił głową.

– Nie znam tematu, właśnie wróciłem z urlopu – wyjaśnił. – Niech pani siada. Mam tu urwanie głowy. – Wskazał na krzesła ustawione przed biurkiem, a sam zatopił wzrok w monitorze i zaczął stukać w klawiaturę. W szklach okularów odbijało się niebieskie światło, więc Herman nie widziała jego oczu. – Pies czy suka?

– Pies. – Herman usiadła i założyła nogę na nogę.

– Mamy tu trzy labradory lub takie, wie pani, labradoropodobne, bo to czasami ciężko wyczuć, z czego dwa biszkopty. Zaraz sprawdzimy, kiedy do nas dotarły – powiedział i znowu zastukał w klawisze.

Maria czekała z rękoma w kieszeniach.

Dłonie wciąż były zimne i za nic nie mogła ich rozgrzać. Wcześniej pocierała je o siebie, ale doskonale wiedziała, że problem nie leży w krążeniu krwi, które mogła pobudzić masażem, tylko w stresie.

W drodze do Grudziądza, kiedy w samochodzie Olgierda zgodnie milczeli, obiecała sobie, że i tak zrezygnuje z pracy w policji.

W jej przypadku, anonimowej hazardzistki, stała ekspozycja na stres jest wysoce niewskazana. Herman wiedziała, że nie podołałaby ciąglemu niepokojowi, który nie zniknie jak rana pod blizną, tylko będzie się w niej cicho rozwijał niczym nowotwór.

Zastanowiła się, czy to w ogóle możliwe, by udźwignęła tę tajemnicę. Czy przez ten cholerny stan rozedrgania emocjonalnego nie wróci do swoich przeklętych nawyków, które zawsze przynosiły ulgę i pozwalały zniwelować napięcie. Oczywiście tylko pozornie i na krótki czas, bo potem jednak stres wracał ze zdwojoną siłą i nokoutował ją bez ostrzeżenia.

Dlatego uważała, że powinna zakończyć sprawę Witbergów i odejść.

To najlepsze, co mogła zrobić dla siebie, by dalej żyć.

By przetrwać.

– No dobra. Spójrzmy na to – mężczyzna o posturze drwala kliknął enter.

Herman nachyliła się w stronę blatu, jakby chciała zerknąć na dane wyświetlone na ekranie.

– Pierwszy labuś przyjechał do nas na początku sierpnia. Ale to suczka, a pani chodzi o psa, prawda?

Potwierdziła.

– No tak – westchnął. – A pies trafił do nas nie w poniedziałek, tylko w sobotę. – Spojrzał na nią znad okularów i rozłożył ręce, jakby chciał przeprosić, że nie znalazł jej odpowiedniego psa.

– Ma czipa?

Popatrzył na ekran.

– Nie. A tamten miał?

– Tak twierdzi właścicielka – odparła Herman i odchyliła się na oparcie.

– To pierwsze, co robimy. Weryfikujemy czipa.

– A w jaki sposób ten pies z soboty tu trafił? – zapytała.

Mężczyzna ponownie zerknął w monitor.

– Przywieziony bez obroży i bez szelek.

– Bez szelek? – spytała i natychmiast pomyślała o taśmie, którą widziała zanurzoną w studni. To przecież mogły być szelki Kluski.

– Aha. Podobno latał luzem nad jeziorem.

– Gdzie?

– No, nad Rudnikiem.

– W którym miejscu?

– W okolicy przystani Bractwa Wodniaków.

– Gdzie to jest?

– Przy Plaży Dzikiej na Drodze Jeziornej.

Herman przygryzła wargę

– Kto go dostarczył?

– Janusz Chojnicki.

– Weryfikujecie to jakoś?

– Co niby?

– Imiona i nazwiska osób, które przywożą psy.

– Pani żartuje, tak? – zachnął się. – Po pierwsze, ludzie nieraz przywiązują je nocą lub nad ranem do naszego płotu i spieprzają ze wstydu. A jak już się ktoś pofatyguje i sam się przedstawi, to zaręczam pani, że mamy ważniejsze sprawy na głowie niż sprawdzanie nazwiska człowieka, który w gruncie rzeczy robi nam przysługę. Bo to się w sumie rzadko zdarza, żeby ktoś nam przywoził psy. Najczęściej po prostu reagujemy na zgłoszenia mieszkańców lub strażników miejskich o wałęsających się czworonogach i zapieprzamy, żeby je wyłapać.

– A macie tu monitoring?

– Mamy.

– Moglibyśmy sprawdzić nagrania?

Mężczyzna pokręcił przecząco głową.

– Nie, u nas retencja danych trwa tylko trzy dni. Potem nadpisujemy materiały na serwerze – wyjaśnił. – Ale kolega był wtedy na dyżurze, więc możemy go spytać, może coś zapamiętał. – Drwał zerknął na zegarek. – Jest jeszcze na obiekcie. Chce pani podejść?

– Dobry pomysł. – Herman wstała.

Mężczyzna zrobił to samo. Ściągnął skórzaną kurtkę z oparcia fotela obrotowego, narzucił ją na ramiona, po czym wyszli z gabinetu.

– Przejdziemy sobie skrótem na plac – oznajmił, przekręcając klucz w drzwiach.

Przeprosił, że będzie szedł pierwszy, ale Herman nie miała nic przeciwko temu. Poprowadził ją labiryntem wąskich korytarzy w kierunku przeszklonych drzwi.

Kiedy wyszli na plac, szczenie stało się głośniejsze. Herman powiodła wzrokiem po psich kojcach, w których część psów na ich widok podniosła się na cztery łapy i dołączyła do chóru pozostałych głośnych zwierząt.

– O, tam jest Janek – stwierdził mężczyzna. – Jasiu! – wydarł się, przekrzykując psy.

Mężczyzna, który pchał taczkę w stronę budynku gospodarczego, zatrzymał się i odwrócił. Zostawił jednokółkę i skierował się w ich stronę, ocierając czoło rękawem kurtki.

Wyszli mu naprzeciw.

Słońce ponownie wyjrzało zza chmur i oślepiło Janka, który musiał zmrużyć oczy. Zdaniem Herman pracownik schroniska mógł mieć około trzydziestu lat. Strój roboczy, szare, zbyt obszerne ogrodniczki, a także zbyt duża kurtka marszczyły się na nim nieco. Przedstawił się Marii. Dostrzegła w jego niebieskich oczach spokój i radość z pracy, która musiała przynosić mu satysfakcję. Na jego twarzy wciąż błędził nieśmiały uśmiech.

– Stało się coś? – spytał, a mężczyzna, który przyprowadził tu Herman, podciągnął spodnie, sięgnął po papierosa i poczęstował policjantkę.

Sięgnęła po pall malla. Odpalili oboje, młody podziękował.

– Chciałam zapytać, czy pamięta pan, kto tydzień temu przywiózł biskoptowego labradora?

– O właśnie! To może chodźmy do niego. – Szef schroniska, przynajmniej tak o nim myślała Herman, ruszył w stronę kojców.

– Wydaje mi się, że nazwisko wpisałem do formularza – wyjaśnił pracownik, który siedł obok policjantki.

Herman wypełniła płuca dymem.

– Nazwisko rzeczywiście jest w systemie. Ale mnie interesuje, czy pamięta pan, jak wyglądał ten człowiek i czym przywieźli tego psa.

– Jak wyglądał? No tak normalnie raczej. Żadnych znaków szczególnych. Miał kaptur na głowie.

– Jak był ubrany?

– W niebieskie dżinsy i czarną kurtkę. Pod spodem miał szarą bluzę, bo mu ten kaptur wystawał. Więcej nie pamiętam.

– A samochód?

– To był chyba peugeot partner albo coś takiego podobnego. W każdym razie biały blaszak.

– W sensie: furgon? – Herman się zatrzymała i mężczyzna zrobił to samo. Tylko kierownik obiektu siedł dalej, odprowadzany przez głośnie szczekanie.

– Tak, ze starą, zniszczoną reklamą.

– W jakim języku?

– Niemieckim. Chyba. Jakiś serwis, o ile dobrze pamiętam.

– Samochodowy?

– Nie. Raczej pielęgnacja ogrodów.

Herman znowu się zaciągnęła i poczuła przyływ energii. Uderzenie adrenaliny, które towarzyszyło jej zawsze wtedy, gdy poszczególne nitki prowadzące do różnych śladów zaczynały się skręcać w warkocz grubej liny.

– Chodźcie, chodźcie – kierownik wyprzedził ich o kilkanaście kroków i stał już przy zakratowanym boksie.

Herman dostrzegła tam kilka psów, ale jej uwagę zwrócił osowiały labrador, który siedział na wydeptanej trawie i położył uszy po sobie.

Rzuciła peta pod nogi, a następnie go przydeptała.

Podeszła do kojca, w którym kundelki ciemnej maści rzucały się na siatkę, żeby je pogłaskała.

Ale Herman nie zwracała na nie uwagi. Skupiła wzrok na labradorze.

– To on? – spytał zarządca schroniska.

Czekała, aż pies podniesie łeb i się nią zainteresuje. Kiedy w końcu to zrobił, policjantka zawołała:

– Kluska!

Labrador podniósł zad i zrobił kilka kroków w jej stronę.

– Kluska! – powtórzyła Herman radośnie. Pies zamachał ogonem i przecisnął się do niej. Wystawił brązowy nos przez kratę, a Maria pogładziła go po kufie.

Labrador polizał jej palce i z radości kręcił już nie tylko ogonem, ale całym zadem.

– Zaraz, kurka! To pani pies? – potężny mężczyzna nie krył zaskoczenia.

– Nie. Ale znam właścicielkę – odparła Herman.

Olgierd Borewicz podjechał pod ogromny kompleks grudziądzkiego szpitala, który znajdował się na rogatkach przy trasie wylotowej na Warszawę.

Gdy na rondzie w ciągu ulicy Warszawskiej skręcił w prawo zgodnie z drogowskazem, masywne biało-czerwone budynki wyłoniły się zza domów jednorodzinnych.

Po drodze do lecznicy połączył się z oficerem dyżurnym grudziądzkiej komendy i zostawił mu swój numer z pilną prośbą o wywołanie szefa kryminalnych Sławka Jaroń. Ten oddzwonił po pięciu minutach. Borewicz poprosił go o sprawdzenie w teczce operacyjnej sprawy Witbergów, tej, która nigdy nie była dołączana do akt sprawy i do której nie miał wglądu żaden prokurator, czy kiedykolwiek zweryfikowano, z kim na sali przed porodem lub tuż po nim leżała Lucyna Witberg.

– No dobra, sprawdzę, ale podpowiesz mi, kogo mam tam szukać? – spytał Jaroń.

– Krystyny Kowalskiej, żony Waclawa Kowalskiego, sanitariusza, który udzielał pomocy Witbergowi po tym, jak ten został postrzelony – wyjaśnił Borewicz, ale nie powiedział Jaroniowi, czego dowiedział się od Świtajskiej. Czuł, że to dobry trop, ale musiał najpierw potwierdzić swoje przypuszczenia.

– Dobra, dam znać – zapewnił policjant.

Borewicz rozłączył się i zjechał na parking, gdzie kręcił się przez jakiś czas w poszukiwaniu wolnego miejsca. Kiedy w końcu udało mu się takie znaleźć, zabrał z samochodu maseczkę i skierował się do głównego wejścia, a następnie po strzałkach trafił do działu administracji.

Przyjęła go tam młoda kobieta z prostymi, farbowanymi na rudo włosami, której pokazał legitymację służbową i wyjaśnił powód wizyty.

– Serio? Chodzi panu o dokumentację sprzed niemal trzydziestu lat? – nie kryła sceptycyzmu.

– Wiem, że upłynęło sporo czasu, ale to cholernie ważne. Prowadzę śledztwo w starej sprawie.

– O, czyli Archiwum X, tak? – zapytała z uśmiechem podszytym ekscytacją.

Skinął głową.

– Muszę ustalić, czy wasze dwie pacjentki, które rodziły w podobnym czasie, a więc na przełomie kwietnia i maja tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku, mogły się spotkać na sali poporodowej.

Westchnęła i rozłożyła ręce w geście bezradności.

– Niestety, dokumentację medyczną przechowujemy tylko przez dwadzieścia lat. Potem mamy obowiązek wszystko zniszczyć.

– Jest pani pewna, że w tutejszym archiwum niczego nie da się znaleźć?

– Nie ma takiej możliwości. W zeszłym roku pozbyliśmy się najstarszych dokumentów.

Borewicz przygryzł dolną wargę i spuścił głowę. Dłonie oparł na biodrach.

Przeliczył się.

Gorycz wypełniła mu usta.

Entuzjazm wyparował. Wszystko, na co liczył, trafił szlag.

Miał ochotę wyładować na czymś swoją złość, ale się opanował. Ta młoda kobieta nie była niczemu winna.

– No nic. Dziękuję – rzucił i odwrócił się do drzwi.

– Czy obie te panie żyją? – usłyszał głos rudowłosej administratorki.

Zatrzymał się w progu.

– A co to zmienia?

Odsłoniła białe zęby w uśmiechu.

– Wszystko. Bo dokumentacja medyczna pacjenta, który zmarł, przechowywana jest przez trzydzieści lat. O ile oczywiście śmierć nastąpiła w naszym szpitalu.

– Jedna z nich nie żyje – Zero Siedem wrócił do kontuaru. Czuł, jak dreszcz podniecenia wspina się po kręgosłupie.

– Poda mi pan jej nazwisko i chociaż przybliżoną datę śmierci?

– Krystyna Kowalska. Niech pani sprawdzi w dziewięćdziesiątym drugim lub trzecim.

– W komputerze tych danych nie mamy, wciąż nie zostały zarchiwizowane. Ale w archiwum zakładowym papiery powinny być. Kłopot w tym, że nie wiem, kiedy koleżanki znajdą czas, żeby zająć się tą sprawą.

– To sprawa priorytetowa – złożył dłonie jak do modlitwy.

– No tak, w końcu to Archiwum X – mrugnęła do niego i wyszła z za kontuaru. – Jeśli pan poczeka, to sama się tym zajmę.

Przeszli na korytarz i administratorka zamknęła za sobą biuro. Założyła maskę, którą trzymała w kieszeni spodni.

– Jak nie wrócę przed końcem pracy, stawia mi pan obiad z deserem – wycelowała w niego palec.

– Wykupię pani abonament – obiecał, a potem obserwował, jak w blasku promieni słonecznych, wpadających przez szerokie okna szpitalnego łącznika, rude włosy falują w rytm jej kroków. Gdy zniknęła za skrzyżowaniem na końcu korytarza, Borewicz sięgnął po komórkę, ale nie zdecydował się zadzwonić do Herman, chociaż świerzbiły go palce. Musiał zaczekać na ostateczne potwierdzenie zdobytych informacji.

Krążył więc przed biurzem administracji, aż w końcu po kilkunastu minutach, które poświęcił na przeczytanie szeregu informacji wywieszonych na tablicy korkowej, usiadł na krześle, oparł głowę o ścianę i zamknął oczy.

Nie zwracał uwagi na ludzi, którzy przemierzali szeroki korytarz, nie słyszał ani ich kroków, ani szmeru rozmów, trzaskania drzwi, pokasływań i pochrząkiwań.

Pod powiekami przesuwają mu się obrazy z domu w lesie i Olgierd początkowo uznał, że przerwie ten pokaz slajdów, zmuszając się do otwarcia oczu, ale po chwili, kiedy wyregulował oddech, zmienił zdanie.

Wiedział, że już nigdy nie wymaże ich z głowy. A im bardziej będzie próbował, tym częściej będą go nawiedzały. Dlatego siedział na krześle i wpatrywał się w sceny, które wyświetlały się na cienkiej skórze powiek. Oswajał się. Czuł, że serce rozpoczęło szybszą pracę. Krew pulsowała mu w skroniach, szum wypełniał uszy. Zapamiętał każdy swój ruch, wszystko, co zrobił, żeby pozbyć się ciała kolegi. Lecz potem nagle obraz zaczął się cofać, jak kiedyś w magnetowidzie na podglądzie, aż do momentu, w którym Borewicz stał przed domem w lesie i wyciągał rękę do klamki.

Jakby wciąż jeszcze miał wybór.

Jakby mógł zmienić bieg wydarzeń.

Ale wtedy obraz przyspieszył i Olgierd zobaczył Łysego.

Huk wystrzału sprawił, że Zero Siedem się ocknął – na szpitalnym krześle pod ścianą, z nerwobólem w karku.

Skrzywił się.

Zrozumiał, że gdzieś obok trzasnęły drzwi, a chwilę później dotarły do niego podniesione głosy. Jakiś czas potem mężczyzna około pięćdziesiątki przeszedł zważnym krokiem obok niego, zlorzcząc pod nosem.

– Skurwysyn nie lekarz. Gnój pierdolony – drobinki śliny pryskały mu z ust.

Borewicz rozmasował kark i się rozejrzał, a potem odruchowo spojrzął na zegarek; trudno było mu uwierzyć, że spał nieco ponad pół godziny.

Zaschło mu w gardle, więc przeszedł się korytarzami w poszukiwaniu automatu z napojami, ale znalazł go dopiero w pobliżu głównego wejścia do lecznicy.

Wyciągnął kilka monet z portfela i wrzucił do maszyny. Puszka coli z łoskotem sturlała się do podajnika.

Olgierd wypił długi łyk i poczuł przyjemne drapanie w gardle. Natychmiast zażawily mu oczy.

Nabrał powietrza i dopił resztę. Na koniec zgniótł puszkę nogą, wywołując krótki, ale nieprzyjemny hałas na korytarzu. Nikt się tym nie przejął. Schylił się po płaski krążek i wrzucił do oznaczonego na żółto pojemnika na śmieci.

Kiedy wrócił pod gabinet rudej, dostrzegł uchylone drzwi.

Zapukał i usłyszał jej głos:

– Proszę, proszę.

Przekroczył próg.

– Już myślałam, że pan uciekł – zazartowała, ale Borewicz nawet się nie uśmiechnął.

– I jak? – próbował wyczytać coś z jej miny.

Bez słowa położyła poźólką, zakurzoną teczkę na błyszczącej białym kontuarze.

Borewicz podszedł bliżej i dotknął szorstkiej tektury.

Na wierzchu ktoś dawno temu wykaligrafował czarnym flamastrem imię i nazwisko pacjentki.

Krystyna Kowalska.

Kiedy w lusterku wstecznym zostawił masywny kompleks szpitala, przedzwonił do Herman, ale nie odebrała. Nie przejął się, bo i tak mieli się spotkać pod biedronką w pobliżu Irysowej. Dojechał do trasy średnicowej i odbił w prawo.

Nie spieszyło mu się. Analizował wszystko, czego zdołał się dowiedzieć w szpitalu, gdy usłyszał dźwięk telefonu.

– Jaroń – rzucił policjant. – Słuchaj, przejrzałem teczkę. Nikt z naszych nie szedł tym tropem. Nie ma żadnej wzmianki o tym, by ktokolwiek weryfikował w tamtym czasie ani później, z kim Witbergowa leżała na porodówce.

– To już nieważne – spojrzał na fotel pasażera, na którym leżała koperta z logo szpitala wypełniona kilkoma kserówkami. – Ale dzięki za fatygę.

– A tobie co się udało ustalić?

– Tylko tyle, że obie kobiety w podobnym okresie leżały na porodówce.

– Brzmi nieźle, ale to wciąż za mało.

– Wiem, dlatego jadę pogadać z Kowalskim. Będziemy na łączach. Bez odbioru.

Olgierd z daleka widział już rondo, a obok charakterystyczną współczesną stodołę, w której mieściła się biedronka. Zredukował bieg i wybrał drogę w lewo, w kierunku centrum miasta. Po niespełna dwóch kilometrach skręcił w ulicę Karabinierów i dojechał do osiedla domów jednorodzinnych przy Ossowskiego.

Zaparkował pod domem Wacława Kowalskiego i gdy zaciągnął ręczny, ponownie zadzwonił do Herman. Po kilku sygnałach zaczął się niepokoić. Wreszcie usłyszał głos Marii:

– Przepraszam, nie słyszałam dzwonka – usprawiedliwiła się, chociaż Olgierd wcale tego nie oczekiwał.

Skubiąc nerwowo brodę, przekazał jej, czego dowiedział się od Świtajskiej i w szpitalu.

Herman milczała dłuższy czas. Przez słuchawkę docierał do niego specyficzny szum.

– Jesteś w taksówce? – zainteresował się.

– Tak jakby – odparła. Miał wrażenie, że wciąż jeszcze analizuje fakty, które zebrał Olgierd. – A ty?

– Stoję pod domem Kowalskiego i wpatruję się w okna.

– A my zbliżamy się do biedronki. Zaczekasz?

– Jasne. Jesteśmy partnerami, prawda?

Znowu milczenie.

– Po prostu zaczekaj – Herman uniknęła odpowiedzi na pytanie. – Powiedziałeś, że w domu zapadła cisza, tak? – nawiązała do tego, co w skrócie opowiedział jej Borewicz.

– Tak. I to było podobno przed porwaniem Witberga.

– Sądzisz, że mogło tam dojść do tragedii?

– Nie możemy tego wykluczyć.

– Ale w takim razie co się stało z ciałem?

– Nie uprzedzajmy faktów. Po prostu pogadajmy z Kowalskim. Zobaczmy, co nam powie.

– Okej. Ale na wszelki wypadek dam Jaroniowi znać, żeby miał w odwodzie ekipę techników. – Herman się rozłączyła.

Olgierd ponownie zawiesił wzrok na oknach domu. Po minucie lub dwóch poruszyła się firanka na piętrze, a niedługo potem w oknie na parterze Kowalski podniósł żaluzje i odsunięty od parapetu, przyglądał się uważnie toyocie.

Zero Siedem wysiadł, zatrzasnął drzwi i oparł się o bok auta. Skrzyżował ramiona i dopiero wtedy skinął głową gospodarzowi.

Ten najwyraźniej rozpoznał policjanta i zaskoczony wycofał się w głąb mieszkania. Olgierd był przekonany, że mężczyzna za moment pokaże się na ganku.

Przeniósł tam wzrok i zauważył, że drzwi się uchyliły.

– Co się stało? – spytał Kowalski.

Borewicz dostrzegł duży zielony pojazd, który właśnie wjechał na drogę osiedlową. Wydawało mu się, że to lublin.

– Musimy porozmawiać – odparł.

– Znowu?

Zero Siedem skinął głową.

– Znowu – powtórzył, nie odwracając wzroku od samochodu. Lublin był coraz bliżej i wtedy Borewicz odczytał napis na masce: „Schronisko dla zwierząt”. Kierunkowskaz w furgonie, który prowadził mężczyzna z rozwichrzonymi włosami, mrugnął i wóz zatrzymał się przed toyotą.

Herman siedziała na miejscu pasażera i rozmawiała przez komórkę.

– Mam mało czasu, zaraz wychodzę – oświadczył Kowalski.

– Obawiam się, że to niemożliwe. – Borewicz odkleił się od toyoty i szarpnął klamkę. Nachylił się do wnętrza wozu. Słyszał, że Kowalski coś mówi, ale nie zrozumiał ani słowa. Zabrał kopertę z fotela pasażera i dopiero wówczas podszedł do furtki.

– Halo? Słyszysz pan? Dlaczego pan nie odpowiada na moje pytania? – właściciel domu się zdenerwował.

– A o co pan pytał?

- Z jakiego powodu ta niezapowiedziana wizyta? Dlaczego mnie nachodzicie?
- Nachodzicie? Tak to pan odbiera? Sądziłem, że będzie pan chciał nam pomóc.
- A niby w czym?
- Możemy wejść? – Borewicz położył dłoń na klamce.
- Wolałbym jednak wiedzieć, w jakiej sprawie.
- W sprawie porwania Filipa Witberga.

Mężczyzna zaśmiał się nerwowo.

- Pan żartuje, tak?

Borewicz wydał wargi i zaprzeczył ruchem głowy.

– Chodzi dosłownie o kilka pytań. Pojawiły się w tej sprawie nowe dowody – skłamał, bo w gruncie rzeczy miał jedynie poszlaki; mimo to uniósł kopertę.

- Jakie dowody? – Mężczyzna zaciskał dłoń na balustradzie schodów.
- Mam je wykrzyzczeć na ulicy?

Były sanitariusz wszedł do domu, ale nie zamknął za sobą drzwi. Coś zgrzytnęło w głośniku domofonu i po chwili elektromagnes z brzękiem zwolnił blokadę. Borewicz popchnął furtkę i przytrzymał ją nogą.

Herman wciąż rozmawiała w samochodzie przez telefon. Obok niej siedział rozczochrany kierowca, którego włosy przypominały lwią grzywę.

Zero Siedem kiwnął na Marię, żeby wyszła.

Dała mu znak dłonią, by zaczekał, ale wkrótce się rozłączyła i schowała aparat. Odezwała się do kierowcy, który w odpowiedzi potrząsnął grzywą. Dopiero wtedy wysiadła i ruszyła w kierunku ogrodzenia.

Gospodarz z powrotem wyszedł na ganek, ale wyglądał blado.

- Cholera jasna! Ja naprawdę mam mało czasu! – powtórzył ze złością.

Maria Herman wyciągnęła paczkę chesterfieldów w stronę Wacława Kowalskiego, a ten poczęstował się papierosem.

Sama też poczuła nikotynowy głód.

Gospodarz podał jej zapalniczkę, a kiedy próbował skrzesać płomień, Olgierd zauważył, że trzęsie mu się ręka.

Zajęli te same miejsca co poprzednio. Herman wybrała sofę, a Kowalski zajął ulubiony, ewidentnie wysłużony fotel, na co wskazywały wygniecione podłokietniki i ślady brunatnych plam na tapicerce.

Olgierd usiadł na pufie. Na kolanach ułożył sobie kopertę w taki sposób, żeby były sanitariusz bez problemu zauważył logotyp grudziądzkiej lecznicy. Zadziałało. Kowalski łypał nerwowo w tę stronę.

– Mówiłem, że się spieszę. – Poprawił włosy wolną dłonią. Policjanci wciąż nie odezwali się ani słowem. Stara psychologiczna zagrywka. Milcz, by mówili inni.

– Zna pan Janinę Świtajską? – Borewicz w końcu postanowił przerwać milczenie i wziąć ciężar rozmowy na siebie.

– No. Znam. To moja dawna sąsiadka.

– Odnalazł pan jej wózek dziecięcy, prawda? Pamięta pan? – Borewicz sięgnął do koperty, nie odrywając wzroku od gospodarza, który wydawał się wyraźnie zaskoczony. Szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w dokumentację, którą Olgierd trzymał w ręce.

Borewicz wyciągnął kserokopię artykułu w „Nowościach” i podał go mężczyźnie.

Kartka zaszeleściła w drżącej dłoni, więc Kowalski przytrzymał ją drugą i obie oparł na kolanach. W ustach tkwił żarzący się papieros.

– Niech pan to przeczyta – poprosił Olgierd i wymienił krótkie spojrzenie z Herman, po czym ponownie skupił się na Kowalskim. Mężczyzna pożerał wzrokiem tekst. Kiedy skończył, uniósł głowę.

– No i? – strzepnął popiół do popielniczki.

– To pan?

– Tak – przyznał. – To ja odnalazłem ten wózek.

– Gdzie był?

– Kilka kamienic dalej.

– W stronę centrum czy Tarpna?

- W stronę Tarpna.
- A gdzie konkretnie stał?
- Przy wejściu do kamienic od strony oficyny.
- Trzeba było wejść w bramę?

Mężczyzna pokiwał głową i przystawił papierosa do ust. Jego policzki zapadły się, gdy wciągnął dym do płuc.

- Czyli nie był widoczny z ulicy?
- Słucham?

Olgierd powtórzył.

- Był. Chyba. Zresztą nie pamiętam. Pewnie musiał być, bo inaczej bym go nie zauważył.
- A co pan tam robił?
- Gdzie?
- No w tej kamienicy.
- Nic nie robiłem. Przechodziłem tylko i zauważyłem wózek Świtajskiej. To wszystko. – Słupek spopielonego tytoniu wygiął się ku dołowi.

– I odstawił go pan na miejsce – przypomniał Borewicz.

– Tak. Wniosłem na piętro.

– Kiedy go pan odnalazł?

– O Jezu, nie pamiętam, to lata temu było.

– To akurat jest napisane w tekście. Wózek zniknął w czwartek, a pojawił się pod jej drzwiami w piątek wieczorem.

– No i co z tego?

– W piątek porwano Filipa Witberga.

Kowalski drgnął, spopielony tytoń spadł na kartkę. Przeniósł wydruk nad stół i przechylił tak, by strącić popiół do ceramicznego naczynia, ale pył wylądował obok, na zmatowiałym blacie stołu.

– Może oświecicie mnie, jaki to ma związek? – zainteresował się Kowalski, unikając kontaktu wzrokowego z policjantami.

Borewicz westchnął.

– Spacerował pan ze swoim synem w kierunku Owczarek?

– Zdarzało się.

– Jak często?

– Rzadko, niestety. Mówiłem już, dużo pracowałem.

– A był pan pod domem Lucyny Witberg już po porwaniu dziecka?

– A co?

– Był pan?

– Nie wiem. Może? Nie pamiętam każdego spaceru.

– To był pan czy nie? – wtrąciła się Herman, a mężczyzna kiwnął głową i się zaciągnął. – Skąd znał pan jej adres?

– No... W zasadzie to nie wiem. To znaczy gdzieś w telewizji lub gazecie mignął mi dom Witbergów. Łatwo tam było trafić, bo jeszcze wtedy nie chował się za innymi budynkami – odparł i podrapał się po przedramieniu. – Miałem prawo tam być, tak jak inni spacerowicze, którzy przychodzili i obserwowali pracę policji. To chyba nie jest zakazane, co nie? Po prostu ludzie się interesują takimi sprawami.

– Interesują? Czyli? – Herman zgasiła peta w popielniczkę.

Mężczyzna, wypuściwszy dym, poszedł w jej ślady.

– No normalnie, to po prostu budzi emocje. Każdy jest ciekawy. – Sięgnął po kolejnego papierosa, ale tym razem wyjął go ze swojej paczki cameli, która leżała na stole. Nie poczęstował policjantki.

– To jednak czytał pan artykuły i oglądał telewizję, tak? – zainteresowała się Herman, ale Kowalski zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie, to raczej był przypadek. Wtedy dużo pracowałem, wracałem późno i stale byłem zmęczony.

– No tak, to zrozumiałe – komisarz zrobiła krótką pauzę. – Chciałabym na chwilę wrócić do tej nocy, kiedy w deszczu, w arcytrudnych warunkach, udzielał pan pierwszej pomocy Andrzejowi Witbergowi.

Skinął głową, jakby dał jej przyzwolenie.

– Zeznał pan, że źle się wtedy poczuł.

– Strułem się – wyjaśnił. – Tego dnia zjadłem coś parszywego na mieście.

– Wymiotował pan w karetce?

– Nie, no skąd.

– W bazie, już po powrocie?

– Nie – odparł, wyraźnie zdziwiony pytaniami. – Ale co to ma do rzeczy?

– Sporo – zapewnił Borewicz. – Świadcowie mówią, że do torsji doszło wtedy, gdy rozpoznał pan Andrzeja Witberga.

Kowalski prychnął i otworzył usta, ale policjant powstrzymał go gestem.

– Jest w tej sprawie coś jeszcze, co bardzo nas interesuje. – Zero Siedem dotknął palcem wierzchu koperty. – Mam tu zeznania dwóch osób, które kilka dni po tym, jak według dokumentacji medycznej złamał pan rękę, widziały pana wsiadającego do taksówki na Rynku Kartoflanym.

– I co z tego? Może jechałem do przychodni albo na kontrolę. To chyba nie jest przestępstwo?

– Oczywiście, że nie. To żadne przestępstwo. – Borewicz się uśmiechnął. – Ze złamaną ręką można bezkarnie wozić się taksówką.

– No to w czym rzecz?

– Miał pan rękę w gipsie? – dopytała Herman.

– Jezu, a w czym miałem mieć? No jasne, że w gipsie, skoro była złamana.

– Prawa czy lewa ręka?

– Prawa.

– I w tym właśnie problem, że obaj świadkowie widzieli pana bez gipsu. Za to miał pan ze sobą wózek dziecięcy, który po złożeniu chciał pan zapakować do mercedesa.

– Z wózkiem byłem? – uniósł brwi. – To może w takim razie jechałem z synem na jakieś badania?

– Też tak myśleliśmy, ale taksówkarze wyprowadzili nas z błędu. Nie był pan z dzieckiem, to po pierwsze, a po drugie, wózek, który próbował pan upchnąć w bagażniku mercedesa beczki, należał do Janiny Świtajskiej. Po trzecie, to był piątek dziesiątego lipca.

Mężczyzna oparł łokcie o uda i wygiął plecy w łuk. Zaciągnął się, po czym wpadł w krótkotrwały stupor.

– Ej, kurwa. O co wam chodzi, co? – wbił wzrok w podłogę.

Telefon Herman ożył.

– Tak? – rzuciła do słuchawki. – Rozumiem. Dziękuję. Poczekajcie na zewnątrz.

Policjantka skinęła Borewiczowi głową, by kontynuował.

– Pana żona leżała na porodówce razem z Lucyną Witberg – stwierdził Olgierd i obserwował reakcję mężczyzny. – W jednej sali. W archiwum szpitala są na to dowody. Mam je przy sobie – wskazał na kopertę, ale gospodarz nawet na nią nie spojrział. Potarł wąż i zaczął się przyglądać swoim dłoniom. Nitka dymu uwalniała się z papierosa, którego trzymał między palcami.

Borewicz nie do końca mówił prawdę, ale musiał iść za ciosem.

– Musiał pan o tym wiedzieć od żony. Musiała panu opowiedzieć o Lucynie Witberg, której też urodził się chłopiec. Może nawiązały znajomość, może chciały się spotykać na spacerach. Być może nawet to robiły.

Mężczyzna potarł palcem wskazującym miejsce przy żuchwie w okolicy ucha.

– Pana syn cierpiał na potworne kolki – ciągnął podkomisarz.

Mężczyzna przygryzł wargę i zmarszczył nos. Nie przestawał drapać palcem skóry w okolicy stawu żuchwowo-skroniowego. Robił to coraz bardziej zapalczywie.

– Strasznie płakał. Dzień i noc. Podobno wtedy kłóciliście się z żoną. Wszyscy sąsiedzi to potwierdzili. Ale przede wszystkim słyszeli ciągły, rozpaczliwy płacz dziecka – dodał Borewicz.

Herman westchnęła.

– Jesteśmy tu po to, by panu pomóc. Po tylu latach wreszcie ma pan szansę zaznać spokoju – mówiła nieco przyciszonym głosem. – Może się pan uwolnić od tych wyniszczających, natrętnych koszmarów.

Mężczyzna znieruchomiał i cisza aż świdrowała w uszach. Borewicz wymienił spojrzenia z Herman. Maria pokiwała głową, co odebrał jako prośbę, by się nie odzywać. Milczał więc i czekał. Cisza ciążyła.

W końcu Kowalski zaciągnął się papierosem i przeniósł drżącą rękę nad popielniczkę, by strącić popiół.

Zamrugął, kilka łez spłynęło po pliczkach w kierunku wąsów.

– Prawda przynosi ulgę – zapewniła komisarz Herman.

Pokiwał głową.

– To moja wina – wyszeptał. – To wszystko moja wina.

Schował twarz w dłoniach.

Papieros spadł na podłogę, a ciałem mężczyzny wstrząsnął szloch.

Godzinę później, od momentu, w którym Waclaw Kowalski został zabrany na komendę, dwóch techników kryminalistyki zniknęło we wnętrzu jego domu, wnosząc tam po dwie ciężkie aluminiowe walizki wypełnione sprzętem do oględzin.

Sławek Jaroń stał na ganku i rozmawiał przez komórkę. W pewnej chwili drzwi się uchylily i obok niego pojawił się funkcjonariusz w fizelinowym stroju z kapturem na głowie. Wyszedł właśnie z domu i żywo gestykulował dłońmi pozbawionymi lateksowych rękawiczek. Szef kryminalnych przerwał połączenie i wysłuchał kolegi w pełnym skupieniu, a następnie odwrócił się do Herman i Borewicza, którzy znudzeni wpatrywali się tępo w przestrzeń przed przednią szybą toyoty. Lecz kiedy Jaroń uniósł w ich kierunku kciuk i wszedł do domu Kowalskiego, Zero Siedem natychmiast poderwał się z fotela i wysiadł z wozu. Poczul w krwiobiegu nagły rzut adrenaliny, która przepędziła dotychczasowe znużenie.

Nie wiedział nawet, kiedy Herman zrobiła to samo. Oboje podbiegli po schodach do drzwi wejściowych.

Olgiert zerknął do wnętrza i dostrzegł światło sączące się z piwnicy przez uchylone drzwi.

Technicy musieli coś odkryć. Borewicz był tego pewien.

Zwilgotniały mu dłonie. Do tej pory szukali przecież po omacku, nawet Kowalskiego naprowadzali na wyznania, znając zaledwie ułamek prawdy, widząc jedynie zarys sytuacji. Pełnego obrazu dopełniły dopiero jego słowa.

Oboje czekali więc w napięciu.

– Halo! Można już do was zejść? – krzyknął Borewicz, ale nikt mu nie odpowiedział.

Znali zasady i musieli ich przestrzegać. Wszelkie miejsca zdarzeń kryminalnych najpierw należały do techników. Nigdy ich nie ponaglali, bo zbyt wiele od tego zależało.

Herman przestępowała z nogi na nogę i nerwowo wypalała papierosa, a Olgiert wrócił myślami do rozmowy z byłym sanitariuszem.

– Więc jak to było, co? – spytał Borewicz, podczas gdy Kowalski płakał i kulil się na krześle, jakby chciał zwinąć się w kłębek.

– To moja wina – powtórzył.

– To pewnie był wypadek, prawda? – naprowadziła go Herman, a mężczyzna ochoczo pokiwał głową.

– Moja żona nie chciała tego dziecka. Mówiła, że to za wcześnie – popłakiwał dalej. – Bo to była wpadka. Byliśmy, co prawda, po ślubie, ale ona się pilnowała. Chciała zaznać jeszcze trochę swobody. Pomyślała, że je usunie. – Podniósł na nich zapłakane oczy i przeniósł wzrok z Herman na Borewicza.

– I co się wydarzyło?

– Ona... Miała depresję. Po prostu nie mogła znieść jego płaczu. – Nabierał powietrza na raty, jakby się nim zachłystywał. – Ciągle nim szarpała, potrząsała, ale wtedy on płakał jeszcze głośniej.

– No i?

Mężczyzna jęknął i trząśnięty od płaczu.

Wyczekiwali, dając mu czas. Tama już puściła, teraz musieli tylko obserwować, kiedy spomiędzy wirów prawda wypłynie na wierzch.

W domu zapadła cisza przerywana rwącym się szlochem.

Olgierd odniósł wrażenie, że oboje z Herman boją się ruszyć, żeby żaden dźwięk nie odwrócił uwagi Kowalskiego.

– Któregoś dnia... To było po dyżurze... Wróciłem do domu i... – Zawiesił się. – No i ona... Siedziała... To znaczy... Miała go w ramionach, tuliła go w osłupieniu, jakby nie była sobą, tylko jakimś pieprzonym manekinem, i śpiewała mu kołysankę, tę starą o popielniku i iskiereczce, ale... – Zamknął oczy, zacisnął powieki, spod których spłynęły łzy. – Ale on już nie żył. Był nagi, bezwładny. I zupełnie zimny. Miał siniaki na klatce piersiowej i złamaną nóżkę, która wykręcała się na zewnątrz.

Olgierd z trudem wytrzymał tę opowieść, bo przed oczami miał stale swoją córkę. Odczuwał pierwsze objawy nadchodzącej migreny: ból głowy, a także światłowstręt i nudności. Mimo to zmrużył oczy i próbował słuchać dalej.

– W końcu odebrałem jej dziecko. – Wyciągnął ręce przed siebie, jakby cofnął się do tamtego dramatycznego momentu. – Wtedy ona wpadła w szał, zaczęła mnie bić i drzeć się jak opętana.

– Co zrobiłeś z ciałem? – spytała Herman.

Wyglądał jak obudzony z letargu. Otworzył szeroko oczy i usta, ale nie wydobył z siebie słowa.

Herman i Borewicz zdawali sobie sprawę, że jeśli gdzieś wywiózł i zakopał zwłoki niemowlęcia, to po tylu latach mogły one ulec rozkładowi. Razem z kośćmi, zbudowanymi w głównej mierze z delikatnej chrząstki i z dopiero tworzącymi się jądrami kostnienia. Więc nawet jeśli odnaleźliby dokładne miejsce pochówku, nie natrafiliby w nim na żadne szczątki.

Dlatego Olgierd dał jej znać, żeby odpuściła.

– Z tym porwaniem noworodka Witbergów to był jej czy twój pomysł? – przeszedł do konkretów.

– Mój. – Kowalski nie miał odwagi spojrzeć im w oczy. Wbijał wzrok w podłogę i trzął się z nerwów. – Ona była wtedy jakby w innym wymiarze, zupełnie nieobecna, nieświadoma tego, co zrobiła – załkał. – Co jakiś czas wybudzała się z tego cholernego letargu i żądała, bym oddał jej Wojtusia. – Wykrzywił usta ze złością. – Chciała dziecka! Potrzebowała go!

Mężczyzna dyszał.

– Chciała swojego syna! – ryknął tak, że Olgierdowi włosy stanęły dęba. – A ja kompletnie nie wiedziałem, co robić. Bałem się! Ale nie mogłem czekać bezczynnie. Wszystko wyszłoby na jaw i moja żona trafiłaby za kraty.

– Chodźcie – rzucił Jaroń, wyrывая Olgierda z zamyślenia.

Policjant podał obojgu kombinezony, ochraniacze na buty i pudełko z rękawiczkami lateksowymi. Kiedy byli gotowi, poprowadził ich po gołych betonowych schodach do piwnicy. Chwilę kluczyli po ciasnych pomieszczeniach wypełnionych starymi sprzętami, dywanami i meblami, aż w końcu Olgierd, który puścił Herman przed sobą, dostrzegł plecy dwóch techników kryminalistyki stykających się ramionami. Jeden z nich przyłożył aparat fotograficzny do oka i nacisnął migawkę. Flesz błysnął, a odbite od ściany światło sprawiło, że Borewicz walczył przez chwilę z ciemnymi plamami, które utrudniały mu wyostrenie wzroku.

I nawet wtedy, kiedy policjanci się rozstąpili, nie wiedział jeszcze dokładnie, na co patrzy.

– O Boże – wyszeptała Herman w sposób, który przyprawił go o gęsią skórę.

Partnerka zasłoniła usta, a Zero Siedem zamrugał.

Najpierw zauważył duży słoń z przezroczystego szkła, w którym układały się pionowe białe refleksy od lampy podsufitowej, a dopiero potem, kiedy zmienił pozycję i się nachylił, jego mózg zarejestrował zawieszony w mętnej białawej cieczy drobne ciało chłopca. Błądą skórę zamkniętych powiek i nieliczne białe włoski pokrywające główkę.

Dostrzegł też naderwany naskórek w pobliżu ucha, w okolicach stawu żuchwowo-skroniowego, nieco odstający od ciała, i powstała w tym miejscu niewielką ciemnobrązową skazę.

Borewicz przez ułamek sekundy widział przed sobą Kowalskiego, który drapał się nerwowo po twarzy. Dokładnie w tym miejscu.

Lecz ten obraz szybko zniknął.

Obok naczynia, we wnęce w ścianie, którą zasłaniał wcześniej odstawiony przez techników stary regał, znajdowały się dwa znicze.

Olgierd poczuł napływającą do ust gorycz kwasu żołądkowego, której nie pozbył się nawet po przelknięciu śliny.

Cisza w piwnicy była dojmująca, jakby wszyscy obecni bali się obudzić chłopca śpiącego w formalinie.

Olgierd zerknął na niego, ale zamiast jego twarzy zaczął widzieć twarz swojej córki Amelki śpiącej z lekko rozchylonymi ustami.

Pociągnął nosem i zmusił się, żeby ponownie spojrzeć na zwłoki.

Wtedy poczuł nadchodzącą falę torsji.

Odwrócił się i pobiegł w stronę schodów.

Komisarz Maria Herman obserwowała Jaronia, który jakiś czas temu odebrał telefon, ale częściej słuchał, niż mówił.

Przyłożył dłoń do czoła i pocierał je palcami.

Znajdowali się przed domem Kowalskiego. Szare chmury zaczęły kłębić się nad osiedlem, a kilka kilometrów dalej, nad centrum, pociemniały zupełnie.

– No dobra, czyli jesteśmy w dupie. W razie czego informuj mnie, proszę. Bez odbioru – rzucił grudziądzki funkcjonariusz.

– Co jest? – zmarszczyła brwi.

Jaroń oparł dłonie na biodrach.

– Kowalski stracił przytomność na dołku i właśnie zabrano go do szpitala – stwierdził.

– Jak to: stracił przytomność? – Herman przestąpiła z nogi na nogę, a Jaroń wzruszył ramionami. Chciała go zapytać, czy zweryfikował odwiedziny u Toboły i czy wśród odwiedzających była Lucyna Witberg, ale odpuściła. Jaroń ziewał co chwilę i ledwo stał na nogach.

Olgierd siedział na tylnej kanapie radiowozu, stopy oparł na chodniku i popijał wodę z plastikowej butelki. Doszedł do siebie, ale mało mówił.

– A co wiemy o jego synu, a raczej o porwanym dziecku, które wychował? – spytała Herman, krzyżując ramiona.

– Wciąż nic. Przeszperali nasze systemy, ale po pierwsze, nie wiemy, czy Wojciech Kowalski w ogóle jest w naszych kartotekach. Jeśli nic nie przeszkrobał, to mamy przechlapane. Po drugie, Wojciechów Kowalskich jest od cholery. – Znów oparł dłonie na biodrach. – Operacyjni nawiązali kontakt z szefem Urzędu Stanu Cywilnego; pechowo chłop jest po robocie i wyjechał do Bydgoszczy. Wróci, ale to potrwa.

Herman machnęła ręką z rezygnacją.

– Co teraz? – spytał Olgierd, bujając butelką mineralnej, którą trzymał za plastikową nakrętkę.

– Pojadę do Lucyny Witberg – odparła.

– I co jej powiesz? Że jej syn prawdopodobnie żyje, tylko nie wiemy, gdzie jest? – odezwał się Jaroń.

– Przecież trzeba ją do tego jakoś przygotować, nie? – Rozłożyła ręce, ale żaden z nich nie odpowiedział. – Okazuje się, że jej mąż miał rację, kiedy jej o tym mówił – przypomniała.

– I właśnie dlatego nie wiem, czy to dobry pomysł. – Olgierd wstał i podciągnął spodnie. – A co, jeśli ta wiedza sprowadza kłopoty?

Nie rozpatrywała tego w ten sposób, ale być może Zero Siedem miał rację.

– Możesz w razie czego mieć ją na oku? – zwróciła się do Jaronia, a ten po krótkim zastanowieniu skinął głową.

– Okej, wieczorem postawię swoich ludzi i będziemy się przyglądać, czy nikt się nie kręci w pobliżu jej chałupy – obiecał i poprawił okulary, które lekko zsunęły mu się z nasady nosa.

– Świetnie. A co z Serwisem Ogrodniczym i Beatą Mokrzyńską? Wiemy już coś więcej? – zainteresowała się Herman.

– Barbarą – poprawił ją policjant. – Firma jest jej, ale pracują tam oboje z mężem, Sebastianem Mokrzyńskim. W sezonie pielęgnują ogrody, zimą oferują sprzątanie, drobne remonty, rąbią drwa, przerzucają węgiel. Oboje czyści, nienotowani. Na razie tyle, ale kontynuujemy rozpoznanie w terenie. Klienci mają o nich dobre zdanie. Cenią ich za terminowość, fachowość i niewygórowane ceny. Dlatego ciągle nie ma ich w domu, bo póki sezon trwa, są rozchwytywani.

Herman przypomniała sobie krótkie wieczorne spotkanie z Mokrzyńskim, kiedy wyludziła od niego dwa papierosy, żeby mieć pretekst do rozmowy. Pamiętała też, że wtedy młody mężczyzna wydał jej się znajomy, jednak nie umiała określić, skąd go zna. Szukała długo w pamięci, ale nic nie znalazła.

– Jest jakiś, jakikolwiek, punkt styczny z Andrzejem Witbergiem? Nie licząc tego, że Witbergowie są ich klientami i że zawieźli ich psa do schroniska, a nie do domu?

– Nie. Żadnego. Przynajmniej na razie do niczego takiego się nie dokopaliśmy.

– No dobra – podkomisarz klasnęła w dłonie. – Nic tu po nas. Zbierajmy się do roboty. Zero Siedem, podrzucisz mnie do niej?

Borewicz niechętnie skinął głową.

– I tak po prostu powiemy, że jej syn żyje? – spytał.

– Biorę to na siebie, a ty podskocz po Kluskę.

– A to nie lepiej zabrać Witbergową do schroniska, co? – zaproponował Olgierd.

– Szkoda psa – zdecydowała Herman. – Już i tak za długo tam siedzi.

Komisarz Maria Herman połączyła się z Lucyną Witberg i przeprosiła za spóźnienie. Obiecała, że pojawi się na Irysowej w ciągu kilku minut. Kobieta przyjęła tę informację zupełnie obojętnie.

– Jestem w domu i czekam. Nigdzie się nie ruszam – zakończyła rozmowę.

Potem Herman zadzwoniła do szefa schroniska i poprosiła go o kolejną przysługę. W imieniu Olgierda obiecała wpłatę na schronisko. Pięćset złotych. Zero Siedem zrobił wielkie oczy, ale to ostatecznie przekonało kierownika zwierzęcego bidula, żeby zrobił wyjątek i przekazał Kluskę w ręce policjanta.

Komisarz Herman odetchnęła.

– Kupić ci coś? – Borewicz zajechał na parking pod biedronką.

– Chesterfieldy – poprosiła. – Poczekaj, dam ci kasę.

– Dobra, potem mi oddasz – odparł, wysiadając.

– Tylko błagam, Olgierd, szybko. Obiecałam Witbergowej, że zaraz będę.

– Pięć minut nikogo nie zbawi – warknął.

Maria zdawała sobie sprawę, że Borewicz tak bardzo przeżył odnalezienie zwłok chłopca zatopionych w formalinie, bo skojarzyły mu się z córką, więc miała dla niego sporo wyrozumiałości. I jeszcze te torsje na oczach kolegów... Taka mieszanka emocji musiała go wiele kosztować.

Została w toyocie ustawionej maską w stronę wejścia do biedronki i czekała, aż Zero Siedem wróci. Była przekonana, że będzie niósł w ręku energetyka. I że tym razem obędzie się bez ciastek i batoników. Apetyt pewnie mu jeszcze nie wrócił.

Zamiast Olgierda zobaczyła w przejściu chłopaka w bluzie z kapturem. Początkowo sądziła, że to Porajski, ale się pomyliła.

Przypomniała sobie spotkania z hazardzistą. Znowu poczuła radość z tego, że Bickiewicz poszedł mu na rękę. A potem przypomniała sobie, jak śledziła chłopaka od rynku w kierunku Murowej, jak się ukrywała, żeby jej nie zobaczył.

Drgnęła.

Cofnęła się pamięcią do tej chwili, gdy dostrzegła Kubę z balkonu Borsika. Widziała, jak nieznajomy mężczyzna wyciągnął z portfela pieniądze i podał je Porajskiemu.

Wtedy nie zwróciła na to uwagi, teraz jednak była pewna, że kuzyni rozmawiali w pobliżu białego samochodu.

Niewielkiego dostawczaka z niemieckimi, mocno startymi napisami.

Więc to musiał być Mokrzyński.

Sięgnęła po aparat i wybrała numer Porajskiego, ale sygnał był zajęty.

Zastanowiła się, czego w zasadzie chce od tego chłopaka. Po co do niego dzwoni? Jaroń sporo już ustalił o Mokrzyńskich. Sam Porajski, mimo że był kuzynem Sebastiana, też nie bardzo mógł się przydać Herman w tej kwestii. Na pewno nie znał wszystkich klientów Serwisu Ogrodniczego. Uznała jednak, że nie zaszkodzi tego zweryfikować.

Gdy jej telefon odezwał się prostą melodyjką, była przekonana, że oddzwania hazardzista, ale się pomyliła.

– Co jest? – spytała Jaronia.

– Z Kowalskim wciąż nie ma kontaktu. Obawiam się, że mogło dojść do niedotlenienia mózgu. Na razie walczą z nim na oddziale, tylko że...

– Co to, kurwa, znaczy, że doszło do niedotlenienia? Łomot dostał na dołku czy co, do cholery?

– Na to wygląda – rzekł ciszej. – Rozpętało się u nas piekło. Czekamy na prokuratora z Torunia, a stary szaleje. Podobno komendant wojewódzki już do nas zapierdala. Dlatego dzwonię, bo obawiam się, że na jakiś czas wypadnę z gry.

Herman ugryzła się w język. To, co się stało, nie było winą Jaronia. I tak powinna się cieszyć, że bardzo im pomógł.

– Ale w sumie dzwonię w innej sprawie – dodał policjant.

– Mów.

– Potwierdziliśmy, że Serwis Ogrodniczy, to znaczy ta cała Mokrzyńska, ma dwa zarejestrowane samochody. Oprócz białego peugeota z niemiecką reklamą mają jeszcze granatowego forda transita, którego nie mogliśmy namierzyć w systemie, bo auto jest w leasingu. Więc formalnie nie należy do Mokrzyńskiej.

– To właśnie nim wożą sprzęt spalinowy – Herman przypomniała sobie to, co zwróciło jej uwagę, gdy pierwszy raz odwiedzili Lucynę Witberg.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Jaroń odchrząknął.

– Że pewnie cały śmierdzi benzyną – stwierdziła.

Kilka minut później Olgierd wyszedł ze sklepu i podrapał się po szyi. Herman czekała już na niego na zewnątrz. Odebrała papierosy, a Zero Siedem wypił spory łyk energetyka z czarnej butelki.

– Po cholereę wysiadłaś?

– Muszę zapalić. Zresztą przejdę się do niej, to przecież blisko, a ty już jedź po Kluskę. – Zrobiło się chłodno, więc zapięła kurtkę pod szyję i zdjęła folię z paczki chesterfieldów. –

Jaroń dzwonił. Potwierdziło się, że Serwis Ogrodniczy ma dwa samochody. Drugi to ten granatowy dostawczak. Stał na podjeździe, gdy pierwszy raz odwiedziliśmy Witbergową. Pamiętasz?

Pokiwał głową.

– Wożą nim sprzęt spalinowy. Wiesz, co to oznacza? – Zapaliła papierosa, a kiedy dym dotarł do płuc, przytrzymała go tam dłużej, żeby pozbyć się napięcia.

– Cholera! Że ostro w nim capi – odparł i przygryzł wargę. – Dlaczego wcześniej na to nie wpadliśmy? – jęknął, zacisnąwszy pięść. – Myślisz, że to oni zabili Witberga?

Herman zmrużyła oczy i zawiesiła wzrok na horyzoncie. Ciemne chmury uciekały na północ.

– W takim razie powinniśmy złożyć im wizytę – zasugerował.

– Na razie są gdzieś u klientów, nie wiemy nawet gdzie. Ale odwiedzimy ich wieczorem w domu, jak już będą po robocie.

– Okej. – Pociągnął kolejny łyk z butelki.

– Dobra, idę do Witbergowej, a ty jedź po psa.

Olgięrd wszedł do samochodu i uruchomił silnik.

Zastanawiała się, czy dobrze to rozgrywają, ale uznała, że przynajmniej sprawią kobiecie miłą niespodziankę.

Herman minęła boks na kosze na śmieci, w którym stało kilka brązowych worków wypełnionych gałęziami, po czym weszła przez uchyloną furtkę na teren ogrodu.

Zapukała do drzwi i nadstawiła uszu, ale z wnętrza domu nie dobiegał żaden dźwięk. Słyszała natomiast poszum silników samochodów mknących po pobliskiej miejskiej arterii.

Serce zabiło jej mocniej, gdy w końcu zgrzytnął zamek i mosiężna klamka opadła.

– Już myślałam, że pani nie przyjedzie – bąknęła niezadowolona Lucyna Witberg.

– Informowałam panią, że zatrzymały mnie sprawy służbowe. – Maria Herman nie patrzyła w jej stronę. Przyglądała się roślinom w ogrodzie. Jałowcom płożącym, wpadającym w srebrzyste odcienie, i gęstym, bujnym świerkom z odmiany conica w kolorze soczystej zieleni. Miały drobne, gęsto ułożone igły. Tuż obok rósł spory, równo przycięty rododendron o pięknych, lśniących liściach. Wszystkie te rośliny znajdowały się w pobliżu ganku na wytyczonym miejscu wysypanym ozdobnym grysem, pomiędzy którego wystawały też mniejsze rośliny okrywowe i dzikie trawy.

– No to niech pani wchodzi, śmiało, przecież nie będziemy rozmawiać w ogrodzie. – Witberg wyciągnęła szyję, by zerknąć za plecy Herman. – Pani sama?

– Sama.

– A ten policjant gdzie?

– Zajęty. Wpadnie, ale nie wcześniej niż za kwadrans.

– Szczerze mówiąc, myślałam, że już jesteście po pracy i się nie zobaczymy – dodała gospodyni, ubrana w dresowe spodnie, odsuwając się na bok, żeby zrobić miejsce dla policjantki.

Komisarz przekroczyła próg i zatrzymała się tuż za nim. Chciała, żeby Lucyna Witberg poprowadziła ją do pokoju, a jednocześnie zapomniała o konieczności przekręcenia zamka w drzwiach. Wtedy wejście Kluski byłoby bardziej efektowne.

Kobieta przeszła do salonu i zaproponowała coś do picia, lecz Herman odmówiła.

– Ma pani dla mnie jakieś wieści? – zainteresowała się gospodyni, gdy tylko zdążyły usiąść naprzeciwko siebie.

Maria Herman pokiwała głową, ale nie wiedziała, jak powinna się do tego zabrać. Postanowiła zagrać na czas.

– Jak poszukiwania psa?

Witbergowa posmutniała, a potem machnęła ręką.

– On już się nie znajdzie.

– Dlaczego tak pani sądzi?

– Tyle czasu minęło, nie ma szans.

– Od piątku to zaledwie tydzień.

– Och, wie pani, to był wspaniały, czuły, kochający pies. I bardzo mądry. – Westchnęła i uroniła łzę. – Najbardziej się boję, że potrafił go samochód.

– A w schronisku pani pytała?

– Przecież wydzwaniam tam codziennie, pewnie już mają mnie za starą wariatkę. Obiecali się odezwać, jeśli ktoś dostarczyłby tam Kluskę. – uśmiechnęła się i pociągnęła nosem.

Żołądek Herman skurczył się boleśnie, ale nie dała tego po sobie poznać.

Coś tu nie grało.

– Dzwoniła pani do schroniska? – upewniła się.

– Wielokrotnie – zapewniła Witbergowa. – Psu na budę. Chodźmy do kuchni. Zrobię nam herbaty.

Herman zastanawiała się, o co chodzi. Jak to się stało, że w schronisku nikt nie poinformował kobiety, że znajdują się tam trzy labradory. Policjantka uzyskała tę informację niemal od razu. Niewykluczone jednak, że stało się tak, bo ujawniła, kim jest, i zarządca placówki po prostu wolał się nie narażać. Tyle tylko, że przecież komu jak komu, ale właśnie pracownikom schroniska najbardziej powinno zależeć na tym, żeby wszystkie zagubione psy wróciły jak najszybciej do swoich domów. Dlatego Herman nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała od Witbergowej. Musiało być jakieś inne wytłumaczenie.

Zadzwoił telefon Herman i gospodyni drgnęła nerwowo.

– Niech pani odbierze, ja nastawię wodę – podniosła się z fotela i poszła do przedpokoju. Policjantka zerknęła na ekran.

Porajski.

– Jak nazywa się twój kuzyn, ten, który pożyczył ci pieniądze? Wtedy na rynku – od razu przeszła do sedna.

– A czemu pytasz? Stało się coś?

– Zajmuje się ogrodami, prawda? – uniknęła odpowiedzi.

– Tak, ma serwis ogrodniczy. Prowadzi go z żoną.

– Sebastian Mokrzyński?

– He, he. No tak, Mokrzyński – Porajski się zaśmiał.

– Co w tym zabawnego?

– W sumie nic. Ale zawsze, jak słyszę to nazwisko, trudno mi się powstrzymać – dodał rozbawiony.

– Dlaczego?

– Bo rzadko się zdarza, żeby chłop przyjął po ślubie nazwisko żony, nie?

– Żartujesz, tak? – Herman spoważniała.

– Nie, skąd. On serio zmienił nazwisko.

– A jak się wcześniej nazywał?

– Kowalski.

– Sebastian Kowalski?

– No prawie. Tak dokładnie to Wojciech Sebastian Kowalski, tylko stare imię też mu się przestało podobać. Dziwny ten mój kuzyn, ale dobry chłop.

Herman podziękowała Porajskiemu i zakończyła połączenie.

Zdrętwiały jej nogi i mrowienie rozeszło się po stopach i łydkach, a jednocześnie coś gniotło ją w klatce piersiowej.

Musiała zapalić.

– Pani przyjdzie tutaj, herbatki nam zrobiłam – głos Lucyny Witberg dobiegał z głębi domu.

– Już idę – Herman podniosła się z trudem.

Powinna zadzwonić do Jaronia, bo wypisywanie esemesa na starej nokii drżącymi palcami mogło trwać dłużej.

Wybrała numer i przyłożyła aparat do ucha.

Coś zgrzytnęło cicho w słuchawce i Herman już się chciała odezwać, gdy usłyszała głos policjanta:

– Nie mogę odebrać telefonu, zostaw wiadomość.

Po długim piknięciu nagrała się przyciszonym głosem z prośbą o pilny kontakt:

– Chodzi o Mokrzyńskich. To cholernie ważne. Zadzwoń. Lucynie Witberg może grozić niebezpieczeństwo. Jej syn nazywa się obecnie Sebastian Mokrzyński. Przyjął nazwisko żony i stosuje swoje drugie imię jako pierwsze. Naprawdę nazywał się Wojciech Kowalski. Sprawdź to koniecznie, ale też ustal, gdzie oni teraz są. Może ten syn się mści, najpierw dobrał się do ojca, a teraz zajmie się również matką. – Zakończyła połączenie.

– No idzie pani?

– Idę, idę. – Herman poczuła uderzenia własnego serca. Chciała się jeszcze połączyć z Olgierdem, ale musiał mieć wyciszony telefon. Sygnał był ciągły, partner jednak się nie zgłaszał.

Wyszła z pokoju dziennego; mijając drzwi, za którymi prawdopodobnie był garaż, usłyszała rumor.

– O, słyszy pani? Znowu mi te cholerne kuny szaleją! Skaranie boskie z tymi szkodnikami, no nijak się ich pozbyć, mówię pani – narzekała Witbergowa. – Zna pani jakiś skuteczny sposób na te cholery?

Kiedy policjantka znalazła się w nowoczesnej kuchni z meblami wyposażonymi w lśniące białe fronty i brązowe blaty, gospodyni wskazała na ścianę z ozdobnym szarym tynkiem. Przy niej znajdował się stół z czterema krzesłami i brązowymi podkładkami.

– No więc? Ma pani jakiś pomysł? – Witbergowa wskazała palcem na sufit.

– Nie, nigdy nie mieliśmy kłopotów z kunami. – Herman usiadła przy stole.

Z dwóch kubków zalanych wrzątkiem zwieszały się nitki z jednakowymi metkami herbaty ekspresowej.

Lucyna Witberg usiadła naprzeciwko.

– Wszystko dobrze? Błado pani wygląda. Stało się coś? – Gospodyni wyglądała na zatroskaną. Herman zaprzeczyła ruchem głowy. – Na pewno?

– Tak, dziękuję.

Policjantka zerknęła na zegarek i w myślach złorzeczyła Olgierdowi, że tak długo nie przyjeżdża.

Rozejrzała się po eleganckim wnętrzu i omiotła wzrokiem ścianę, przy której siedziały. Wisiał na niej spory kalendarz z panoramiczną fotografią przedstawiającą park. Przez drzewa pełne żółtych i czerwonych liści przeświecały promienie jesiennego słońca i rozświetlały drewnianą ławkę znajdującą się na pierwszym planie.

– Mogę? – spytała, wskazując na kalendarz.

– Chce go pani zdjąć?

– Przejrzeć – wyjaśniła, wstając.

Gospodyni wzruszyła ramionami, ale też podniosła się z krzesła.

Herman przełożyła kilka grubych kart ze zdjęciami polskich krajobrazów zrobionymi latem i wiosną. Gdzieniegdzie odnalazła zapiski wykonane czarnym flamastrem przy dacie, która była wzięta w kółko. Wizyta u weterynarza, diabetolog, weterynarz, lek na kleszcze – Kluska, odrobaczanie. Niektóre notatki, głównie te dotyczące psa, się powtarzały.

Policjantka raz jeszcze spojrzała na wrzesień. Tylko jedna data oznaczona była kółkiem. Poniedziałek. Ten, w którym byli umówieni z Andrzejem Witbergiem.

– To pismo pani męża? – Herman ściągnęła brwi, bo zapis był elegancki, litery dociągnięte i wyraźne.

– Moje. Ale notatki jego. Dyktował mi, co zapisać.

Komisarz dałaby sobie głowę uciąć, że gdy Lucyna Witberg wspominała po raz pierwszy o zapiskach w kalendarzu, mówiła, że zrobił je mąż. Maria zdjęła kalendarz z zawieszki i przełożyła kartkę. Zerknęła na październik.

Pusto.

Następne miesiące także były pozbawione jakichkolwiek adnotacji.

Nagle na ostatniej kartce Herman wyczuła pod palcami naklejkę. Odwróciła kalendarz i spojrzała na dwanaście małych fotografii, z których każde zdjęcie patronowało jednemu miesiącowi. A potem przeniosła wzrok na metkę z ręcznie wypisaną ceną.

Pięć złotych.

Naklejka znajdowała się obok danych wydawcy. Tam też dostrzegła cenę okładkową, znacznie wyższą od tej zapisanej długopisem.

– Co tam pani znalazła? – zainteresowała się Lucyna Witberg, która tymczasem wstała i teraz opierała się biodrami o meble kuchenne.

Herman zerknęła w jej stronę.

– Nic – zmusiła się do uśmiechu. – Piękne te zdjęcia.

Już chciała odwieść kalendarz, gdy nagle coś ją tknęło i przekartkowała go raz jeszcze. Wszystkie wpisy zrobione były tym samym czarnym markerem. Rozejrzała się, ale nie zauważyła go w pobliżu stołu. Nie było tu nic do pisania.

Nagle zrozumiała, że Lucyna Witberg prawdopodobnie podmieniła kalendarze. Tylko po co?

Usłyszały głośne pukanie do drzwi i Herman odetchnęła, że Olgierd wreszcie przywiózł psa.

– Pójdę otworzyć – odezwała się Witberg i wyszła z kuchni.

Policjantka odwieściła kalendarz na miejsce, ale nie mogła oderwać od niego wzroku. Sięgnęła po kubek, chociaż herbata wciąż była zdecydowanie za gorąca.

Dotarł do niej jęk zawiasów i dudnienie kroków.

Nie usłyszała odgłosu psich pazurów na kaflach.

Ani głosu Olgierda.

Chwilę później zdała sobie sprawę, że przecież drzwi wejściowe u Witbergów w ogóle nie skrzypią.

Kluska siedział na tylnej kanapie, wsunął łeb między fotele i dyszał.

Psi oddech niósł smród zgniłych jaj, dlatego Borewicz się skrzywił.

– Leżeć, Kluska! Leżeć, do jasnej cholery! – komenderował, lecz pies go nie słuchał.

Policjant opuścił szybę i uznał, że tylko w ten sposób będzie w stanie wytrzymać drogę do domu Lucyny Witberg.

Pojawiłby się tam wcześniej, ale akurat trafił w schronisku na porę karmienia i nie miał wyjścia, musiał zaczekać. Nudził się niemiłosiernie, bo telefon zostawił w samochodzie i nie bardzo miał jak wrócić po aparat. Kiedy wszedł do budynku, pracownik schroniska zapewne z przyzwyczajenia zamknął za nim drzwi i zabrał klucz. Borewicz machnął ręką i zajął się studiowaniem treści plakatów, a potem także ulotek, które zachwalały skład suchych karm dla sterylizowanych kotek. W holu przyjrzał się również zdjęciom czworonogów, przedstawiającym różne rasy, a następnie w jednym z bocznych korytarzy zauważył relację fotograficzną z budowy azylu dla zwierząt i spędził przy niej kilka minut, obserwując postępy prac na przestrzeni dwóch lat.

Kiedy wreszcie udało mu się zabrać psa z kojca, musiał jeszcze podpisać kilka dokumentów.

Dopiero potem zaprowadził Kluskę do wozu i otworzył drzwi. Pies zaskomlał, po czym z trudem wgramolił się na kanapę. Olgierd musiał mu pomóc, podnosząc ciężki zad.

W końcu uruchomił silnik i ruszył do centrum. Wtedy też przypomniał sobie o komórce.

– Ja pierdole – jęknął, gdy zobaczył listę nieodebranych połączeń.

Oddzwonił do Herman natychmiast, ale bez skutku, a potem skupił się na drodze. Do celu miał dosłownie kilka minut.

Wybrał odpowiedni wjazd na średnicówkę i dodał gazu. Rozpędził się do dziewięćdziesiątki, wyprzedzając kilka ciężarówek.

Z daleka widział biedronkę.

– I jak, dzwońcu? Poznajesz okolicę? – zwrócił się do psa, ale ten tylko ponownie wystawił jęzor. – Jeszcze chwila i zobaczysz swoją pańnię.

Pies nadstawił uszu i przekrzywił łeb.

– No, tak, brachu. Jeszcze moment – zagadywał go Olgierd.

Kiedy minął rondo i dojechał do Irysowej, przyciął zakręt drogi osiedlowej, zza którego wyłonił się duży furgon. Olgierd odbił kierownicą w prawo i przeprosił za niebezpieczny

manewr, unosząc rękę. Jechał wolno, doszłoby co najwyżej do niegroźnej stłuczki, ale kierowca dostawczaka wykazał się ostrożnością. Zatrąbił na Zero Siedem, po czym przyspieszył i odjechał, wzbijając kłęby pyłu na drodze gruntowej.

Olgierd skręcił i znalazł się pod bramą domu Lucyny Witberg.

Zaciągnął ręczny i wysiadł, po czym otworzył drzwi Klusce. Pies wygramolił się z samochodu i zrobił kilka kroków w stronę uchylonej furtki.

Zaczął merdać ogonem.

– No, Kluska, szukaj pani, szukaj! – zawołał Olgierd i wszedł na ganek za wyraźnie ożywionym psem.

Kluska zaszczekał piskliwie, podbiegł do drzwi i podrapał je łapą.

Olgierd poklepał labradora po boku, po czym nacisnął dzwonek.

Przytłumiony gong wybrzmiał, a pies nadal unosił łapę i pazurami uderzał we framugę.

– Kluska, lumpie jeden! Nie wolno! – zganił go Borewicz, ale się zdziwił, że nikt im nie otwiera.

Zadzwoił raz jeszcze i wtedy zniecierpliwiony pies uniósł się na tylnych łapach, a przednimi trącił kłamek. Drzwi uchylły się lekko, więc wepchnął nos między skrzydło a framugę i napał pyskiem. Kiedy się rozwarły, wbiegł do wnętrza.

– O, ty cwaniaku! – Borewicz się zaśmiał i nadstawił uszu w oczekiwaniu na wybuch radości zaskoczonych gospodyni, ale usłyszał jedynie oddalający się stukot pazurów o podłogę.

Wszedł do korytarza i rozejrzał się z niepokojem.

– Halo! Pani Witberg? – zawołał, a pies spojrział na niego i zaskomlał zawiedziony.

Maria Herman ocknęła się, gdy smród paliwa, nieznośnie słodki i mdły jednocześnie, oblepił jej nozdrza.

W jej brzuchu rozpętało się tornado; miała wrażenie, że zaraz zwymiotuje.

Docierało do niej coraz więcej bodźców.

Trzęsła się.

A raczej trzęsło nią.

Uchyliła powieki i zdała sobie sprawę, że leży na brudnej podłodze samochodu dostawczego, którym telepało na nierównej gruntowej drodze. Kamienie podrywane spod kół uderzały głucho o podwozie, zawieszenie jęczało na wybojach.

Nagle hamowanie sprawiło, że ciało Herman przesunęło się do przodu, a jej głowa znalazła się blisko ostrzy glebogryzarki. Nokia wypadła z kieszeni kurtki i ze zgrzytem prześlizgnęła się do dziury w pobliżu odsuwanych drzwi bocznych, gdzie uderzyła o karoserię i zapewne znieruchomiła na stopniu poniżej poziomu podłogi.

Herman czuła się oszołomiona. Pulsowały jej skronie.

Z trudem była w stanie odtworzyć to, co wydarzyło się wcześniej w domu Lucyny Witberg.

Pamiętała, że odwróciła się przez ramię w kierunku wejścia do kuchni, ale było już za późno. Dostrzegła gwałtowny ruch i po chwili poczuła chłód kafli podłogowych na policzku, a przed oczami miała cokół meblowy. I tańczące ciemne refleksy na froncie szafki. Jakby ktoś kręcił się tuż przy niej. Parę sekund później tuż przed jej nosem wylądował olbrzymi czarny but roboczy z grubym protektorem, mocno zniszczony i brudny, z przyklepionymi żdźbłami skoszonej trawy.

Potem poczuła niezbyt bolesne ukłucie w łydkę i ktoś szarpnął jej ciałem. Miała wrażenie, że jest w stanie nieważkości. Wciąż była oszołomiona po mocnym uderzeniu, które ją znokautowało. Słyszała czyjeś głosy, ale nie rozumiała ani słowa.

Narzucono jej worek na głowę i wtedy zapadła ciemność.

Powracając do rzeczywistości, Herman zdała sobie sprawę, że napaść, której doświadczyła, wyglądała podobnie do napaści na Lucynę Witberg przed trzydziestoma laty.

To samo miejsce, podobny sposób pozbawienia przytomności.

Z tą tylko różnicą, że wtedy młoda matka ocknęła się i mogła wstać, a Herman, gdy próbowała wykonać jakiś ruch, natychmiast poczuła, że ma związane nogi i ręce.

Uniosła powieki i popatrzyła na brudne szmaty, narzędzia ogrodnicze i plastikowe kosze wypełnione kanistrami i pojemnikami, a także rolkę czarnych worków foliowych. Jeden z nich, ten, który miała wcześniej na głowie, leżał obok.

Z trwogą uniosła głowę.

Serce stanęło jej w gardle.

Zrozumiała, co zaszło, i była pewna, że to samo musiało niedawno spotkać Andrzeja Witberga.

Jego ciuchy śmierdziały benzyną i został uduszony. Tylko dlaczego nie walczył?

A potem przeraziła ją myśl, że nie wie, co się stało z Lucyną Witberg.

Znowu uniosła głowę i zerknęła na boki.

– Nie ruszaj się! – usłyszała głos, który dobrze знаła. Kobieta przekrzykiwała szum silnika, wiatru i opon trących o asfalt.

Herman nie posłuchała i zebrała siły, by przeturlać się na bok, a potem podciągnęła kolana do brzucha.

– Leż, do cholery! – głos przeszedł w krzyk.

Policjantka zerknęła na tył samochodu.

Lucyna Witberg opierała się plecami o skrzydła tylnych drzwi, nogi miała wysunięte do przodu. Trzymała coś w uniesionej dłoni. To wyglądało jak większy i grubszy długopis, na którego końcu majaczyła cienka, krótka igła.

– Żadnych głupich ruchów – ostrzegła kobieta. – Jedną dawkę już dostałaś.

Herman skupiła na niej wzrok.

– Więc tak to wyglądało?

– Zamknij się – syknęła Witberg.

– To ty zabiłaś swojego męża, tak?

Kobieta prychnęła.

– Zamknij się! Bo z tobą zrobię to samo.

– Wstrzyknęłaś mu insulinę, a potem, kiedy jeszcze żył, ale wpadł we wstrząs, założyłaś mu worek na głowę, okleiłaś taśmą i go udusiłaś.

Kobieta przyglądała się policjantce szeroko otwartymi oczami.

– A skąd wiesz? – syknęła.

– Ze mną ci się to nie uda. Już mnie szukają.

– Niby kto? – zaśmiała się.

– Odnalazłam twojego psa. Borewicz miał go przywieźć.

– Mój pies nie żyje, idiotko.

– Nie żyje? – Herman zerknęła na ścianę oddzielającą kabinę od przestrzeni ładunkowej.
– Więc to on miał go zabić, tak?

– Kluska i tak był już stary, więc zawiózł go do weterynarza pod Łasinem i uśpił. A potem zakopał w lesie.

Herman zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie zabił go. Byłam w schronisku. Sam go tam dostarczył. Nie ma mowy o pomyłce – Herman skinęła głową w kierunku drzwi bocznych. – Tam jest moja komórka. Weź ją i zadzwoń do Borewicza, potwierdzi moje słowa, bo właśnie miał przywieźć Kluskę do twojego domu.

– Nie gadaj bzdur – Witberg się wściekła.

– Widocznie twój syn nie był w stanie zabić Kluski – stwierdziła Herman. – Twój syn tego nie zrobił, rozumiesz!?

Lucyna Witberg napięła mięśnie.

Oderwała plecy od drzwi i na kolanach podeszła do Marii. Zanim policjantka zdążyła zareagować, poczuła lekkie ukłucie, podobne do ugryzienia komara, ale zamiast swędzenia lub ostrego bólu zrobiło jej się ciepło w tym miejscu. Zobaczyła, że kobieta trzyma w ręku pena z insuliną.

Nie zdążyła nawet zmienić pozycji ani szarpnąć ciałem.

Zmrużyła oczy, raz i drugi.

Wiedziała, że dzieje się z nią coś niedobrego, jakby nagle temperatura ciała podniosła się o kilka kresiek. Pot wystąpił na czoło, miała mroczki przed oczami.

– Dlaczego zabiłaś męża? – spytała, walcząc z drgawkami, które początkowo objęły jej rękę.

– Bo w końcu dowiedział się, co się stało. – Lucyna Witberg zbliżyła się na czworakach do plastikowego kosza i wyjęła z niego rolkę czarnych worków.

Samochodem bujnęło, jakby kierowca zmienił pas, i Lucyna Witberg zachwiała się, wypuszczając z rąk worki. Herman przesunęła się pod boczne drzwi.

Ciepło, które rodziło się w jej wnętrzu, było obojętne, a jednocześnie całkowicie opuściły ją siły. Zaschło jej w ustach, powieki zaczęły ciążyć. Z trudem je unosiła. Poza tym coś się działo z jej wzrokiem. Lucyna Witberg zrobiła się nagle znacznie szersza, jakby ktoś rozciągnął obraz. Przedmioty, które Herman miała w zasięgu wzroku, straciły pierwotne kształty, jakby odbijały się w zakrzywionych lustrach.

– Co wiedział? Że jego syn żyje?

– Też.

– Co jeszcze?

– Że to nie jest jego syn.

– To nie jest dziecko Witberga? Skąd twój mąż to wiedział? – Herman chciała otrzeć pot z czoła.

– Od Alfreda.

– Od Toboły? – Policjantka nie mogła uwierzyć w to, co słyszy.

– Bo to dzieciak tego skurwiela.

Folia zaszeleściła i samochodem znowu bujnęło, a jednak Witberg utrzymała równowagę.

Pośliniła palce, rozłożyła folię, machnęła nią tak, że aż trzasnęło, i worek napęczniał jak balon od wtłoczonego powietrza.

Herman dygotała, także ze strachu. Z trudem uniosła powieki, dostrzegła gwałtowny ruch Lucyny Witberg i nagle pociemniało jej przed oczami. Szelest folii rozległ się nad jej uchem i smród taniego plastiku wdarł się w nozdrza.

Chciała nabrać powietrza, ale wtedy do jej ust przyłgnęła zimna płachta.

Coś zacisnęło się na jej szyi.

Olgierd rozejrzał się na parterze, potem ostrożnie wszedł na piętro.

Dom był pusty.

Na koniec zajrzał do garażu.

Zapalił światło i wszedł do długiego pomieszczenia. Renault Witbergów stało tam, gdzie zawsze, na samym końcu, blisko ściany. Olgierd minął wóz i poszedł w kierunku bramy.

Leżało tam coś, co zwróciło jego uwagę.

Podszedł i schylił się po paczkę chesterfieldów.

– Kurwa mać! – wyszeptał.

Zostawił Kluskę w domu i pobiegł do samochodu.

Uruchomił wóz i nawrócił, po czym strzelił ze sprzęgła i wdepnął pedał przyspiesznika do podłogi.

Koła zabuksowały na luźnej nawierzchni i Borewicz zostawił za sobą tumany kurzu. Kierował się do wyjazdu z osiedla, jednocześnie wydzwaniając i do Herman, i do Jaronia. Żadne z nich nie odbierało.

Nie mógł dłużej czekać, więc połączył się z oficerem dyżurnym grudziądzkiej komendy.

– Podkomisarz Olgierd Borewicz, wydział kryminalny Komendy Wojewódzkiej Policji w Bydgoszczy, muszę pilnie porozmawiać ze Sławomirem Jaroniem.

– To będzie trudne. Sławek Jaroń...

– Gównu mnie to obchodzi – Zero Siedem mu przerwał. – Komisarz Maria Herman została porwana z domu Lucyny Witberg, być może tej kobiecie także grozi niebezpieczeństwo.

– Skąd pan to wie?

– Właściciele Serwisu Ogrodniczego mają dwa dostawczaki. A kilkanaście minut temu minąłem się pod domem Witbergów z granatowym fordem transitem. Herman tam była, jestem pewny.

– Granatowym? – zainteresował się dyżurny. – Sławek przekazywał informacje o tym samochodzie komisarz Herman, byłem przy tym.

– Kurwa mać! – krzyknął Borewicz. – Spróbujcie ustalić, gdzie teraz jest. Wjechałem na średniówkę od ronda przy biedronce w pobliżu Irysowej. Wydaje mi się, że będą kierowali się albo na most, albo do domu Mokrzyńskich przy wylotówce na Toruń, ale mogę się mylić.

– Niech pan się nie rozłącza, postaramy się to sprawdzić – odparł dyżurny.

Nisko zawieszona gęsta chmura, zebrana w gęstą, nieprzepuszczalną zasłonę, sprawiły, że wieczór zapadł szybciej niż zwykle.

Silnik był na wyższych obrotach, gdy toyota mknęła lewym pasem, wyprzedzając inne samochody. Arteria wiodła przez pola, tylko gdzieś Borewicz mijął hale i drobne warsztaty. Od osiedli dzieliły go setki metrów.

Trąbił co rusz, próbując w ten sposób ostrzec innych kierowców. Kłopot polegał na tym, że droga się zwężyła, i wtedy zaczął łamać wszystkie możliwe przepisy – jechał środkiem drogi i zmuszał innych kierowców do uciekania na skraj jezdni.

Pod maską zniknęły rozdzielające jezdnię ciągłe białe linie. Gnał przed siebie, mrugając światłami i niemal cały czas używał klaksonu. Spod maski dochodził drażniący, głośny ton.

Olgierd dostrzegł z trwogą, że zbliża się do skrzyżowania z sygnalizacją.

Wciąż świeciło się zielone, ale Olgierda dzieliło od tego miejsca kilkaset metrów. Mocniej docisnął pedał gazu i zjechał na lewo, żeby wyprzedzić białego duster. Wtedy na sygnalizatorze rozbłysło żółte światło.

Kurwa mać, zaklął w duchu i z całej siły wbił rękę w klakson.

– Panie komisarzu! – ledwo usłyszał głos dyżurnego, który dolatywał z telefonu. Wcześniej Olgierd zdążył wpiąć aparat w uchwyt i przełączyć na głośnik, ale na razie nie był w stanie odpowiedzieć.

Zapał się plecami o fotel i gnał w kierunku skrzyżowania, mając nadzieję, że dwa samochody stojące na prostopadłej drodze przed światłami nie ruszą z miejsca, a kierowca czarnego mercedesa, który zbliżał się z lewej, zorientuje się, co się dzieje, i się zatrzyma.

– Halo, panie komisarzu! – głos dyżurnego przebijał się przez dźwięk klaksonu.

Olgierd spostrzegł, że mercedes wcale nie zwalnia, tylko jedzie w kierunku przecięcia obu dróg i kierowca zamierza skrócić w średnicówkę w prawo, a więc na pas, którym gnał toyotą Borewicz. Chociaż trudno było w to uwierzyć, prawdopodobnie wciąż nie słyszał sygnału ostrzegawczego, mimo że Olgierd z trudem wytrzymywał hałas i z tym większą siłą naciskał klakson.

Wstrzymał oddech i był gotów zamknąć oczy, gdy w końcu kierowca czarnego samochodu zerknął w prawo i zatrzymał się gwałtownie przed skrzyżowaniem.

Olgierd przemknął obok jego zderzaka z dudniącym sercem.

Drżały mu nogi.

Zdjął rękę z klaksonu.

– Panie komisarzu?

– Jestem! – Nabrał tchu. – Niech pan mówi.

– Mamy kłopot. Nie możemy namierzyć tego dostawczaka, ale przekazałem sygnał do wszystkich patroli, żeby w razie czego zatrzymali samochód i przeprowadzili kontrolę.

– Niech mi pan poda jego numer rejestracyjny.

Oficer przedyktował zestaw liter i cyfr, po czym jego głos ponownie rozbrzmiał w głośniku.

– Zostańmy na łączach – poprosił, gdy o szybę uderzyły pierwsze krople deszczu.

Olgierd wjechał na wiadukt, który odbijał po łuku w prawo, a kiedy znalazł się na jego szczycie, kilkaset metrów dalej zauważył transita.

Włączył wycieraczki i zwolnił. Nie chciał swoim zachowaniem na drodze zwrócić uwagi kierowcy, który jechał zdecydowanie wolniej niż on. Zero Siedem minął dwa samochody i zredukował bieg. Dystans, jaki dzielił go od dostawczaka, wynosił nie więcej niż sto metrów.

– Halo? – krzyknął do telefonu.

– Zgłaszam się – odparł dyżurny.

– Namierzyłem wóz. Jedzie przede mną. Zbliżamy się do dużego ronda, tego z łódką rybacką pośrodku. – Olgierd rozpoznawał to miejsce, wiele razy przejeżdżał tą drogą.

– Zrozumiałem, rondo Andersa. Wysyłam wsparcie, ale proszę o informację, którą drogę wybierze kierowca.

Olgierd w skupieniu obserwował tył pojazdu. Patrzył w dwie szyby, które były oklejone folią siateczkową w kolorze karoserii, ale nie był w stanie nic dostrzec. Co gorsza, jeśli ktoś był wewnątrz tego auta, mógł rozpoznać Borewicza.

Wóz zwolnił przed skrzyżowaniem.

Czerwone światła stopu rozbłysły gwałtownie i dostawczak niemal stanął dęba, aż zarzuciło jego tyłem na mokrej nawierzchni.

Olgierd usłyszał zgrzyt blach i odbił lekko w prawo, po czym się zatrzymał. Dostrzegł, że z przodu doszło do kraksy. Clio wpakowało się w bagażnik czerwonego samochodu, którego nie rozpoznał. Fragmenty plastiku i szkła rozsypały się na asfalcie.

Deszcz zaczął mocno z ukosa.

Postanowił skorzystać z okazji i wyskoczył z wozu. Zrobił kilka kroków w kierunku tylnych drzwi forda, kiedy zobaczył, że kierowca wrzucił wsteczny. Białe światło smagnęło nogawki policjanta.

Usłyszał zgrzyt biegu i odskoczył, ale zanim wóz ruszył do przodu, Olgierd zdążył chwycić za klamkę. Szarpnął drzwi mocno do siebie.

Skrzydło się uchyliło i wtedy dostrzegł nieruchomą Herman, którą rozpoznał po kurtce i spodniach oraz nowych butach sportowych. Na głowie miała czarny worek. Tuż obok jęczała Lucyna Witberg, która w trakcie gwałtownego hamowania musiała polecieć do przodu i uderzyła się o sprzęt ogrodniczy. Trzymała się za bark.

Borewicz zastygł.

Herman się nie ruszała.

Dostawczak wystrzelił do przodu i to obudziło Olgierda. Dogonił samochód i wskoczył do środka, ale natychmiast stracił równowagę i coś trzasnęło mu w kostce. Próbował wstać, jednak pulsujący ból w stawie odcinał go od rzeczywistości. Poza tym dostawczak właśnie przejeżdżał przez rondo, więc kabinę przechyliło najpierw w jedną, a zaraz potem gwałtownie w drugą stronę. Witbergową rzuciło na burtę. Borewicz usłyszał przytłumiony huk, jakby uderzyła w coś głową. Bezwładnie osunęła się na podłogę. Policjant poczekał, aż kierowca ustabilizuje kurs, wtedy dopadł do Herman i ściągnął jej worek z głowy.

Miała zamknięte powieki i otwarte usta.

Przerażenie ścisnęło go w żołądku.

Dotknął policzka Herman, który okazał się ciepły, a potem przysunął twarz do jej ust i poczuł na skórze delikatny oddech.

Sięgnął do kieszeni po komórkę i uprzytomnił sobie, że przecież zostawił ją w swoim samochodzie.

Z bezsilności wbił paznokcie w skórę łysej głowy.

Wozem znowu zatrzęsło, ale nie aż tak, by nie mógł wstać i oprzeć się o ścianę dzielącą go od kabiny. Krzywiąc się z bólu, uderzył w nią pięścią.

– Policja! Zatrzymaj się!

Samochód nawet nie zwolnił.

– Stój! Policja! – powtórzył jeszcze głośniejszym głosem, ale ponownie nic się nie wydarzyło. Miał nawet wrażenie, że wóz przyspieszył.

Borewicz kucnął przy partnerce i obszukał jej kieszenie, lecz nigdzie nie znalazł starej nokii.

Witberg też nie miała przy sobie telefonu.

Odwrócił się do Marii Herman i ułożył ją na boku. Był przekonany, że wyczuł napięcie mięśni. Tak mu się przynajmniej wydawało. Rozejrzał się i wyjął kawał drutu wystającego z plastikowego kosza na sprzęt ogrodniczy. Próbował przebić nim szeroką taśmę klejącą, którą unieruchomiono Herman nadgarstki i stopy w kostkach. Walczył długo, ale się udało.

W końcu ręce opadły bezwładnie na podłogę.

Wóz przyspieszał, przez otwarte tylne drzwi, które co jakiś czas kiwały się na zawiasach, wpadał do wnętrza głośny szum. Asfalt uciekał spod kół. Ktoś, kto jechał za nimi, mrugał długimi światłami, które rozjaśniały wnętrze. Zaczął też przeraźliwie głośno trąbić.

Kiedy fala rażącego światła kolejny raz zalała wnętrze furgonu, Borewicz zauważył coś kolorowego tuż przy nadkolu.

Dotarło do niego, że patrzy na automatyczną strzykawkę do podawania insuliny, która drgała na podłodze i przesuwiała się w kierunku otwartych drzwi. Usiadł i przytrzymał ją

nogą, żeby nie zostawiać odcisków palców na obudowie.

Nie wiedział, co robić. Czuł się zupełnie bezradny. Herman powinna natychmiast otrzymać pomoc medyczną, a on nie miał pojęcia, dokąd jada.

Lucyna Witberg drgnęła, jej twarz wykrzywił grymas bólu.

I dopiero wtedy Olgierd usłyszał gdzieś w oddali dźwięk policyjnej syreny.

W końcu dostrzegł radiowóz przez otwarte drzwi. Niebieskie światło przebijało się przez strugi deszczu.

Szarość gęstniała i robiło się coraz ciemniej.

Przesunął się do tyłu i uważając na strzykawkę, chwycił się drugiego skrzydła, żeby się podnieść bez podpierania się skrzyconą nogą. W końcu wychylił się nieco i uniósł rękę, żeby dać znać tym w radiowozie, że jest w środku.

Fordem nagle szarpnęło; Borewicz siłą bezwładności runął na plecy i prześlizgnął się na nich po podłodze, aż uderzył głową o nogi Lucyny Witberg.

Pisk opon zdzieranych na asfalcie był głośniejszy niż policyjna syrena.

Potem szarpnęło nimi drugi raz i wóz stanął.

Trzasnęły drzwi.

Oszołomiony gliniarz uniósł obolałą głowę.

Dźwięk syreny urwał się nagle, lecz niebieskie światło wciąż smagało karoserię i wpadało co rusz do wnętrza transita.

Odpuścił. Nie miał siły. Jakby zupełnie nie czuł swojego ciała.

– Tutaj! – starał się krzyknąć. – Pomocy!

Przysunął się do Marii Herman i chwycił ją za rękę. Wciąż była ciepła.

Kątem oka zauważył ruch przy tylnych drzwiach. Sławek Jaroń uchylił drugie skrzydło. Deszcz moczył mu włosy i okulary.

– Wezwijcie karetkę! Natychmiast! – krzyknął do swoich podwładnych, odwracając głowę.

– Insulina! – Olgierd wskazał na kolorowego pena, który wciąż tkwił między wykładziną a nadkolem.

Jaroń skinął głową.

– Co z Marią? – spytał.

– Jest nieprzytomna. Musiała dostać sporą dawkę.

Zero Siedem potrząsnął partnerkę za ramię.

– Maria? Słyszysz mnie? Halo! – nachylił się nad nią.

Ale ciało komisarz Marii Herman pozostawało zupełnie bezwładne.

EPILOG

Marian Kurek obraził się na maść końską i zaczął brać tabletki.

Pierwszą połknął dokładnie tego dnia, gdy dotarli do niego wieści o policyjnej gonitwie po Grudziądzu i złapaniu kierowcy granatowego transita, który wspólnie z Lucyną Witberg ogłuszył, a następnie porwał komisarz Marię Herman z ewidentnym zamiarem pozbawienia jej życia.

Emerytowany gliniarz nie mógł uwierzyć w słowa Jaronia, który zrelacjonował mu całą akcję i opowiedział o tym, że kierowcą okazał się syn Lucyny Witberg. Jej oraz podejrzanego o porwanie dziecka Alfreda Toboły. Przynajmniej tak twierdziła kobieta.

Krótko po tym zdarzeniu Kurek udał się ze zdjęciem rentgenowskim zapisanym na płycie CD do prywatnego gabinetu ortopedycznego. Otyły mężczyzna w obcisłym białym kitlu z wieńcem siwych włosów nad uszami szybko wydał wyrok. I już od następnego dnia emerytowany policjant zaczął oczekiwać w wielomiesięcznej kolejce na zabieg wstawienia endoprotezy w ramach NFZ.

Spędzanie przy komputerze długich godzin nie było wskazane, ale Kurek uznał, że skoro formalnie sprawa Witbergów została zakończona, powinien przyspieszyć prace nad reportażem kryminalnym. Taki sam sygnał otrzymał od wydawcy wraz z dodatkową zachętą w formie kolejnej zaliczki.

Kilka dni po oficjalnym aresztowaniu Lucyny Witberg i jej odnalezionego po latach syna, gdy tylko kobieta wyszła ze szpitala, Kurek po starej znajomości uzyskał zgodę prokuratora na widzenie w areszcie, który znajdował się w Zakładzie Karnym nr 1 przy Wybickiego.

Zgodnie z poleceniem dyżurnego założył maskę na nos i usta, a potem przeszedł z funkcjonariuszem służby więziennej przez kilka zabezpieczeń. Kraty trzaskały, metaliczny dźwięk niósł się echem po korytarzu z wysoką lamperią. A potem Kurek trafił do pokoju widzeń i usiadł przy stole, na którym znajdowało się przepierzenie z pleksiglasu.

Lucyna Witberg miała rękę w niebieskiej ortezie, zawieszoną na temblaku.

Usiadła przed nim. Usta miała wygięte w podkowę, oczy podkrążone i przeraźliwie bladą cerę. Nie odezwała się pierwsza.

Musiał wziąć ciężar rozmowy na siebie, ale nie wiedział, od czego zacząć.

W zasadzie nie interesowały go powody tego, co zrobiła, znał je od kilku dni, media trąbiły o nich głośno.

Męczyła go natomiast inna sprawa, którą chciał raz na zawsze wyjaśnić.

– Co było w mojej teczce? – spytał.

Kobieta spojrzała na niego bacznie.

– Lepiej, żebyś nie wiedział – odparła matowym głosem pozbawionym emocji.

Nie odrywał od niej wzroku, a potem pochylił się i wyszeptał:

– Gównno.

– Co?

– Nie było na mnie żadnej teczki. – Rozciągnął usta w tryumfalnym uśmiechu. – Ale przynajmniej wiem, dlaczego próbowałaś zagrać tą kartą. Chodziło o nich. O policjantów z Archiwum X. Miałem im utrudniać śledztwo, żeby w ich ręce nie wpadły kompromitujące materiały, które rzekomo na mnie miałaś. Taki był twój plan.

Nie odpowiedziała.

– Owszem, święty nie byłem, swoje za uszami miałem, ale w sprawie porwania twojego dziecka nie można mi było nic zarzucić – dodał Kurek. – Więc twój plan się nie powiódł. – Wyciągnął z kieszeni kartkę złożoną na pół. Rozłożył ją i wyprostował, a potem odwrócił ją w jej stronę.

Lucyna Witberg długo się w nią wpatrywała, zanim dotarło do niej, że patrzy nie tyle na kolorowy obrazek, ile na okładkę książki.

Porwanie dziecka Witbergów – głosił czerwony tytuł, a pod nim mniejszą czcionką dopisano: Najbardziej tajemnicza sprawa sprzed trzydziestu lat rozwiązana. Reportaż byłego policjanta służby kryminalnej. Poniżej znajdowało się zdjęcie kobiety i jej męża, Andrzeja Witberga, płaczących nad pustym wózkiem odwróconym w stronę fotoreportera.

– Moja książka ukaze się za dwa miesiące. Wydawca twierdzi, że już teraz, po uruchomieniu przedsprzedaży, zainteresowanie jest ogromne. Więc jeśli teczka na mnie istnieje, musisz działać szybko.

Wstał z krzesła, schował wydruk do kieszeni i wyszedł.

Miał wrażenie, że kobieta pochyliła głowę i zapłakała, ale być może tak mu się tylko wydawało.

Kurek wyszedł z aresztu i za progiem, kiedy znalazł się na ulicy Wybickiego, zaczerpnął świeżego powietrza.

Miał rację, nie było żadnej teczki.

Uśmiechnął się i jak za dawnych lat ruszył szybkim krokiem przed siebie.

Dzień był chłodny, ale niemal bezwietrzny. Od czasu do czasu słońce chowało się za gęstymi białymi obłokami, które sunęły na zachód.

Oddychał pełną piersią i niósł na ustach lekki uśmiech, jakby właśnie pozbył się wszelkich trosk.

Dopiero w okolicy Rybnego Rynku, na przejściu dla pieszych, zwolnił nieco, odczuwając tępy ból spowodowany tarciem kości o kość.

Teraz musiał się już tylko zatroszczyć o swoje zdrowie.

Wiatr marszczył taflę bydgoskiego Balatonu, gdy Zero Siedem pchał wózek, w którym spała Amelka.

Staw skokowy był usztywniony i Borewicz zdawał sobie sprawę, że powinien leżeć, ale po kilku dniach w łóżku nie mógł już wytrzymać. Kupił na Allegro but marszowy z ortezą, a kiedy kurier go dostarczył, uznał, że musi wyjść na zewnątrz.

Kinga nie była zadowolona. Przestała marudzić dopiero wtedy, gdy obiecał, że zachowa ostrożność i będą kręcić się z córką pod domem.

Podziałało.

Żona ubrała Amelkę i przykryła dodatkowo grubszym kocem. Pocałowała Olgierda, zanim wyszli, i prosiła, żeby nie byli na dworze za długo, bo zbierało się na deszcz. Pokiwał spolegliwie głową, a teraz szedł wolnym tempem, próbując oddychać głęboko i dać odpór czarnym myślom, które przygniatały go i gnębiły, odkąd zakończyli z sukcesem pracę w Grudziądzu.

Wciąż miał kłopoty ze snem. Wyjaśnił Kindze, że źle się czuje, drapie go w gardle i zapewne się przeziębził. Tylko dzięki temu udało mu się namówić żonę, żeby pozwoliła mu spać w gabinecie. Bał się, że zlany potem obudzi się w nocy, będzie gadał przez sen albo krzyczał i się miotał. Mógłby się zdradzić z tajemnicą, którą miał chronić na zawsze.

Uznał, że jak już wyleczy nogę, wybierze się do lekarza, poprosi o wyciszające prochy i wszystko się jakoś ułoży.

Będzie lepiej.

Robił już drugą pętlę wokół stawu. Minął się z grupą seniorów, która szorowała kijkami o asfalt, i zdecydował, że czas wracać do domu. W zasadzie czuł w kościach, że Kinga zaraz do niego zadzwoni i spacer i tak dobiegnie końca.

Dotarło do niego, że teraz musi być gotowy na wszystko.

Na każdą ewentualność.

A przede wszystkim na długie życie z jątrzącą się wewnętrzną raną.

Taka była jego pokuta, taki niósł krzyż.

Jedno zdarzenie sprawiło, że stał się człowiekiem, jakim nigdy nie chciał się stać. Mężczyzną, który w zasadzie stanął przeciwko sobie. Który będzie musiał toczyć ze sobą nieustanną wewnętrzną wojnę.

Sięgnął po dzwoniący telefon. Sądził, że to Kinga, ale się pomylił. Nie znał numeru, który wyświetlił mu się na ekranie. Obawiał się, że dzwonią z kolejną ofertą instalacji fotowoltaicznej. Zerknął w stronę okien apartamentu. Dostrzegł w nich żonę. Pomachał jej, a ona mu odmachała. Albo i nie. Raczej dawała mu sygnał, żeby wracał już do domu.

Pokiwał głową i skierował wózek w stronę apartamentowca.

– Halo? – rzucił do słuchawki, mijając parę roześmianych młodych ludzi, którzy trzymali się za ręce.

– O, no proszę, udało się! Długo mi zajęło, żeby do pana dotrzeć – usłyszał męski głos.

– Kto mówi? – Olgierd się zatrzymał.

Jakiś rowerzysta wyskoczył z za jego pleców i minął go o centymetry.

Borewiczowi zadrżało serce.

– Zero Siedem, tak?

– Kto mówi? – powtórzył spokojnie policjant.

– Mój kolega, Krzysztof Glacowski, zresztą były policjant z Grudziądza, mówił mi kiedyś, że warto nawiązać z panem współpracę. Podobno jest pan dobry w sprawach, które realizowaliście razem z Krzyskiem. Notabene wiadomo, co policja robi w jego sprawie?

– Ma pan na myśli jego zaginięcie?

– Oczywiście.

– Zgodnie z procedurami czynności realizuje jednostka, na której terenie zaginiony był widziany ostatni raz, i nie dzieli się zebraniem materiałem z innymi komendami, jeśli nie jest to konieczne – odparł wymijająco.

– Rozumiem. W każdym razie jestem ciekaw efektów. Niemniej skoro Krzysiek pana polecał, to może...

– W jakim sensie mnie polecał? – przerwał mu Borewicz.

– O, jakiś czas temu, już dawno, zostawił mi pana numer. Chodzi o zabezpieczenie pewnego rodzaju zabaw – zawiesił głos. – Na pewno wie pan, co mam na myśli.

– To pana numer? Ten, który się wyświetlił? – zainteresował się Olgierd.

– Tak.

– Dobrze, oddzwonię. Nie mogę teraz rozmawiać.

– Byle szybko, bo wie pan, bez tego będzie mi ciężko... Zapłacę. Dobrze zapłacę – obiecał mężczyzna.

– Jak się pan nazywa?

– Wszystko w swoim czasie. Czekam na kontakt. Chociaż w sumie najlepiej byłoby się spotkać. Im szybciej, tym lepiej.

– Ale gdzie?

– Mam kilka interesujących miejsc. Obecnie mieszkam w Poznaniu, ale teraz, po zaginięciu Krzysztofa, przyjechałem do swojego domu nad Rudnikami.

– Nad Rudnikami? W którym miejscu?

– Na terenie ośrodka Biały Żagiel.

– To pana dom? Ten nowoczesny? – Olgierd struchlał.

– Tak, mój. Zauważyłem tu kilka interesujących drobiazgów, ale niech się pan nie martwi, zostały usunięte.

– Chce pan powiedzieć, że zacierał pan ślady, zamiast zgłosić je na policję? Przecież to mogłoby pomóc w odnalezieniu Glacowskiego! – policjant zezłościł się, być może nieco zbyt teatralnie.

– Ja po prostu lubię spokój, a policja zazwyczaj nie ma go w ofercie. Dlatego właśnie wolałbym mieć pana w swoich szeregach i jestem gotów ponieść spore koszty. Nie będzie pan żałował.

Borewicz zbliżał się do klatki schodowej. Córka otworzyła oczy i wpatrywała się w dach gondoli.

– Mówiąc krótko, byłoby dobrze, gdyby zajął pan miejsce Krzysztofa.

W wolno odtwarzanym w pamięci filmie widział, jak w ciemnym korytarzu pocisk trafia w ciało kolegi, szarpie nim, a po chwili obezwładnia, mężczyzna ląduje na podłodze i drga w agonii. Z szyby, na której wykwitła czarna plama, spływa długi zaciek.

Ocknął się.

Koła wózka toczyły się z terkotem po nierównej kostce.

– Odezwę się – zapewnił Olgierd.

– I to mnie cieszy. Dziękuję. Do usłyszenia.

– Do usłyszenia – pożegnał się, a chwilę później wszedł do zacienionej klatki schodowej.

Dopiero tam pozwolił sobie na szeroki uśmiech.

Maria Herman miała do siebie pretensje, że z pogrzebu ojca, którego bardzo kochała, nie zapamiętała wiele. Szok i stres gładko wycięły wspomnienia albo nie pozwoliły wielu obrazom zapisać się na taśmie pamięci.

Natomiast z pochówku matki zapamiętała niemal wszystko.

Widziała więc trumnę z ciałem, wystawioną niemal na wyciągnięcie ręki. Nieco dalej, przy ołtarzu, znajdował się portret matki, umieszczony na sztaludze i przewiązany kirem. Pod nim stał wieniec pogrzebowy.

Ale Herman zapamiętała głównie to, że na tym zdjęciu matka się uśmiechała. Pierwszy raz uśmiechnęła się do niej dopiero po śmierci.

Maria Herman przetrwała mszę, potem ceremoniał na starym toruńskim cmentarzu Świętego Jerzego i wreszcie stypę zorganizowaną w pobliskim Klubie Kameleon, należącym do Młodzieżowej Spółdzielni Mieszkaniowej. Na restaurację nie było jej stać. Zresztą, żeby zaprosić chętnych na poczęstunek, i tak musiała zadłużyć się u Grocha. Zachodziła w głowę, jak odda mu te sześć tysięcy złotych, skoro zamierzała rzucić policyjny etat. Część zwróci mu natychmiast po otrzymaniu zasiłku pogrzebowego, ale resztę?

Wolała o tym nie myśleć.

Niestety, jej zeszyt z odnotowanymi długami częściej wzbogacał się o nowe nazwiska i kwoty niż o wykreślenia świadczące o rozliczeniu z wierzycielem.

Komendant obiecał jej i Borewiczowi nagrodę roczną za rozwiązanie sprawy Witbergów. Mogła więc liczyć na równowartość jednej pensji, ale przepisy resortowe nie pozostawiały złudzeń. Na pieniądze musiała poczekać kilka miesięcy, do końca roku kalendarzowego, bo wtedy można było oficjalnie przyznać tę gratyfikację, a potem kadry miały cały kwartał na przekazanie księgowości zlecenia przelewu. Tyle mówiły przepisy. W praktyce mogło być jeszcze gorzej.

Groch machnął na to ręką. Wiedział, jak wyglądają w resorcie tego typu wypłaty, więc podkreślił, żeby się nie spieszyła. Niemniej Maria chciała pozbyć się długów jak najszybciej. Bała się, że zacznie zaciągać kolejne, wpadnie w spiralę zadłużenia i w ten sposób zbliży się do złych nawyków z okresu choroby. Nie czuła się z tym bezpiecznie.

Kiedy żegnała żałobników, którzy ze łzami w oczach wspominali jej matkę, Maria nie myślała już o nieboszczce. Starła się zająć myśli zagranicznym wyjazdem zarobkowym. Od ciotki Zuzy, jednej z najbliższych kuzynek matki, dowiedziała się, że jej córka Ada od kilku lat jest opiekunką medyczną seniorów i osób niepełnosprawnych w Norwegii, w pobliżu Oslo. Czuła się tam bardzo samotna. Dlatego przekazała przez matkę zaproszenie dla Marii, żeby odwiedziła ją latem, kiedy Norwegia stanie się bardziej przyjazna dla turystów z centralnej Europy.

Maria przypomniała sobie wtedy, jak w okresie, gdy chodziła do podstawówki, niemal w każde wakacje wyjeżdżały razem z Adą na kolonie w różne rejony Polski, najczęściej nad morze. Zawsze się dobrze dogadywały i były zgodne. Niestety, odkąd Maria zaczęła ukrywać swoje problemy, pograżając się w bagno hazardu, zerwała kontakt z rodziną i wciąż miała sobie za złe, że gdy przestała grać, nie odezwała się właśnie do Ady. A przecież niedawno obchodziła rok w trzeźwości.

Może się bała, że Ada nie będzie umiała jej zaufać. Jakby Herman już nigdy nie mogła pozbyć się skazy nałogu.

Ale to podpowiadał jej mózg. Miała nadzieję, że zdanie Ady będzie odmienne.

Policjantka pożegnała ciotkę, ostatniego gościa, i wtedy poczuła prawdziwą ulgę, jakby ktoś zdjął jej z barków wielki ciężar.

Rozliczyła się z organizatorką stypy i wyszła przed budynek, żeby zapalić.

Wypuściła dym, przyglądając się cmentarzowi porośniętemu przez bujny starodrzew, a także wielkim kasztanowcom znajdującym się przy wejściu od ulicy Gałczyńskiego. Gęste korony szumiały nad ułożoną w niecce nekropolią.

Ostatnie dni po wyjściu ze szpitala, w którym leczyła się po otrzymaniu dużej dawki insuliny, spędziła w Toruniu, wykorzystując zaległy i okolicznościowy urlop.

Zatrzymała się w domu rodzinnym, bo jak się okazało, matce udało się spłacić dług komorniczy. Klucze wraz z torebką należącą do matki odebrała z zakładu pogrzebowego.

Pierwszej nocy Herman obudziła się w swoim dawnym pokoju na piętrze i dygotała z zimna, bo nie umiała włączyć pieca. Obawiała się, że się rozchoruje. Następnego dnia wyjęła grube kołdry i koce, odszukała termofor.

Zrobiło się cieplej, ale praktycznie każdej nocy nie mogła zmrużyć oka.

W jej pokoju nic nie zostało zmienione.

Wciąż wszystko wyglądało tak samo jak wtedy, gdy matka wyrzuciła ją z domu. Meble i bibeloty, które zgromadziła przez lata, znajdowały się na swoich miejscach.

Zastanawiała się, co dalej będzie z tym domem. Jedną część odziedziczyła w spadku po ojcu, ale matka ją wydziedziczyła i Herman nie wiedziała do końca, z czym się to wiąże. Powiedziała o tym Grochowi, a ten skontaktował się z prawnikiem, który obiecał zająć się sprawą. I był dobrej myśli.

Cokolwiek to oznaczało.

Odsunęła na razie od siebie ten problem i czekała, co przyniesie czas.

Rano postawiła znicz u ojca, porozmawiała z nim chwilę, a następnie opłaciła grabarzy, którzy na szczęście nie uszkodzili jego pomnika, gdy kopali tuż obok grób dla matki.

Potem poszła na kawę i angielskie śniadanie, które zjadła w Bułce przy Szewskiej na Starym Mieście: smaczny chleb, jajka sadzone na boczku, grillowany pomidor i pieczarki oraz frankfurterki na ciepło, a do tego odrobina duszonej fasoli w sosie pomidorowym doprawionym ziołami.

Zanim pojechała do kościoła na mszę pogrzebową, pospacerowała po mieście, wypaliła kilka papierosów i przyglądała się szaremu niebu wiszącemu nisko nad dachami toruńskich kamienic.

Wróciła myślami do przesłuchania aresztowanej Lucyny Witberg, które odbyło się w Prokuraturze Rejonowej w Grudziądzu. Herman, jako osoba pokrzywdzona, mogła wziąć w nim udział, co gwarantowały jej przepisy Kodeksu postępowania karnego. Policjantka odczekała, aż prokurator zada ostatnie pytanie i przekaże jej głos. Obawiała się, że zatrzymana kobieta nie odważy się spojrzeć jej w twarz. A jednak Witberg nie miała z tym problemu.

Już po wyjściu ze szpitala komisarz Herman dowiedziała się od Jaronia, że kobieta, wyjeżdżając do sanatorium w Wałbrzychu, trzykrotnie udawała się do Rawicza. Zakład karny odnotował jej widzenia z Tobołą.

Policjantka zastanawiała się, od czego zacząć tę rozmowę. Pomyślała, że najpierw zapyta o porwanego chłopca, bo kiedy jechała do Grudziądza, zrozumiała, że coś ją łączy z dzieckiem Lucyny Witberg.

– Pani nie kochała swojego syna – stwierdziła Maria ze smutkiem, kiedy Lucyna Witberg podniosła na nią zażawione oczy. – Dlatego była pani przeciwna działaniom policji, prawda? Bo nie chciała pani odnaleźć Filipa.

Lucyna Witberg otarła wierzchem dłoni wilgotne policzki.

– To było dziecko z gwałtu, prawda? – dopytywała się policjantka. – Mówiła pani, że jego ojcem jest Alfred Tobołkowski.

Kobieta pokiwała głową i kąciki jej ust wygięły się ku dołowi.

– Jak do tego doszło? – Herman założyła nogę na nogę i złączyła dłonie na kolanie.

– Stare czasy – odparła osadzona, patrząc w ścianę. – Tobałem poznałam jeszcze w szkole podstawowej. Próbował mnie podrywać. Potem, kiedy poszłam do liceum, nadal kręcił się koło mnie, ale za każdym razem dostawał kosza. Nie lubiłam go. Miał w oczach coś, co mnie przerażało. Zwyczajnie się go bałam. – Pociągnęła nosem. – Trzydzieści lat temu zobaczyłam go znowu. Siedział w Ratuszowej ze swoimi żołnierzami, a ja spotkałam się tam z moją dawną koleżanką. Cały czas czułam na sobie oblepiające spojrzenie Alfreda. – Lucyna Witberg skubała skórki przy paznokciu. – Po spotkaniu wróciłam do domu taksówką, ale w pewnym momencie kierowca powiedział, że ktoś za nami jedzie. Odwróciłam się do tylnej szyby i rzeczywiście zobaczyłam światła innego samochodu. Odpuścił dopiero, gdy skręciliśmy w osiedle. Wtedy odetchnęłam. Zapłaciłam za kurs i wysiadłam przy furtce. Jakiś czas później, kiedy już kładłam się spać, usłyszałam dzwonek do drzwi.

– To był on?

Lucyna Witberg pokiwała głową.

– Miał ze sobą bukiet róż. Chciał porozmawiać, a ja zaczęłam krzyczeć, że wezwę policję.

– I co? Odpuścił?

– Tak. Ale nad ranem usłyszałam zgrzyt zamka w drzwiach. Myślałam, że to mąż wrócił wcześniej z Niemiec. Zeszłam na dół, a tam w drzwiach stał uśmiechnięty Tobała. Za nim zobaczyłam czarny samochód i kilku rosnących mężczyzn wokół. Wtedy zamknął drzwi i... – kobieta nie mogła powstrzymać płaczu.

Herman ciarki przebiegły po plecach. Odezwała się, dopiero gdy Witbergowa się uspokoiła.

– Była pani pewna, że to jego dziecko?

Rozmówczyni pokiwała głową.

– Kiedy byłam już w wyraźnej ciąży, a mąż znowu pojechał do Niemiec, Tobała ponownie mnie odwiedził – wyznała. – Chciał wiedzieć, czy to on jest ojcem.

– I co mu pani powiedziała?

– Że nie.

– Uwierzył?

Na parapecie usiadł gołąb i przez jakiś czas Lucyna Witberg przyglądała się jego sylwetce.

– A skąd – odparła w końcu. – Zabronił mi usunąć ciążę. Ale nawet o tym nie myślałam. Przecież mąż by się domyślił, że dokonałam aborcji, i co bym miała mu wtedy powiedzieć? On bardzo chciał, żebyśmy mieli dziecko, tylko chyba nie mógł. Długo się staraliśmy i jakoś nie wychodziło.

Cisza wydawała się Herman dojmująca.

– Więc ten napad na komis pani męża, a później pobieranie haraczu przez Tobołą to... – policjantka nie zdążyła dokończyć, bo kobieta jej przerwała.

– On mnie szantażował. Kiedy mąż wyjeżdżał do Niemiec, Toboła żądał spotkań z dzieckiem. Dwa razy się zgodziłam ze strachu, a potem powiedziałam, że nie chcę go więcej widzieć. Wściekł się i pokazał, że wie, jak walczyć o swoje. Ze strachu o życie męża zgodziłam się oddawać mu pieniądze.

– Ale przecież to pani nakłoniła męża do współpracy z policją, a więc wystąpiła przeciwko Tobole.

– A co innego miałam zrobić? Musiałam udawać.

– Jak on na to zareagował?

– Wściekał się, ale wciąż mówił, że to nie on porwał dziecko. Po prostu chciał mieć kontakt z synem, więc dla niego to też był cios. Mówił mi, że go szuka i nie spocznie, dopóki go nie znajdzie. – Lucyna Witberg otarła nos. – Ale ja nie chciałam tego dziecka. Nie umiałam go kochać. Niech mi pani wierzy, nie mogłam na nie patrzeć. Owszem, stworzyłam obraz idealnej matki, jednak kiedy doszło do porwania, w głębi serca poczułam niewymowną ulgę, jakby ktoś zdjął ze mnie największy ciężar.

Herman pomyślała o strasznym losie niekochanego dziecka, ale potem zdała sobie sprawę, że ostatecznie chłopiec wychował się w domu, w którym był kochany. Przynajmniej wszystko wskazywało na to, że Waław Kowalski wywiązał się z roli ojca.

– Kiedy dowiedziała się pani, że syn żyje?

Młody prokurator w okularach z ciemnymi oprawkami zerknął znacząco na zegarek.

– To było kilka miesięcy temu, kiedy mąż był w sanatorium w Kołobrzegu – odpowiedziała Lucyna Witberg. – Usłyszałam dzwonek domofonu i wyjrzałam przez okno. Zobaczyłam granatowy samochód i młodego mężczyznę w roboczym stroju. Miał nerwowe ruchy i rozbiegany wzrok. Powiedział, że jest moim synem. Dowiedział się tego dawno temu od Waława Kowalskiego i zerwał z nim wtedy kontakt. Chciał się od niego odciąć, dlatego po ślubie przybrał nazwisko żony. Twierdził, że często tu przyjeżdżał, gapił się w okna, widział mnie w ogrodzie, ale nigdy nie zdecydował się wysiąść z samochodu. Nie miał odwagi do nas przyjść.

– A jak już przyszedł, to uwierzyła mu pani? Tak po prostu?

– Pewnie wyda się to pani dziwne, ale nie musiałam mu wierzyć. – Kobieta po raz pierwszy się uśmiechnęła. – Ja go poznałam.

Herman poczuła chłód w dole pleców i przyciągnęła do siebie łokcie.

– Co było dalej?

Witbergowa nabrała powietrza i wypuściła je głośno.

– Chciał spotkać się z ojcem, sądził, że jest nim mój mąż. Wtedy powiedziałam mu prawdę o gwałcie i o gangsterskiej przeszłości Toboły. Znał to wszystko z gazet, bo kiedy Kowalski wyjawiał mu prawdę, przeczytał wszystkie artykuły i obejrzał kilka filmów dokumentalnych.

– Jak zareagował?

– Był skołowany, rozbity. Wierzył, że kiedy wreszcie odważy się zapukać do naszych drzwi, pozna prawdziwych rodziców. Ale tak się nie stało.

– I znowu musiał milczeć. Bo nie mógł się zdradzić przed pani mężem, prawda?

– Tak. Zatrudniliśmy go do prac w ogrodzie. Przyjeżdżał tu z żoną. Oswajaliśmy się ze sobą – Witbergowa się zamysliła. – Polubiłam tego chłopaka.

Herman zerknęła na prokuratora, który ponownie odchylił mankiet koszuli i spojrzał na tarczę zegarka. Wiedziała, że powinna się streszczać.

– W takim razie dlaczego zabiła pani męża?

Lucyna Witberg pokręciła głową i znowu spojrzała w okno. Gołębia już tam nie było, a słońce skryło się za chmurami.

– Nie chciałam tego – wzruszyła ramionami. – Ale on mi nie wierzył. Którejś nocy powiedziałam mu, że Toboła mnie zgwałcił, że Filip nie jest jego synem. Na szczęście ugryzłam się w język i nie wyjawiałam, że syn się odnalazł. Uznałam, że to może poczekać. Ale Andrzej wpadł w szal. Zwyzywał mnie od dziwek, krzyczał, że na pewno regularnie go zdradzałam z gangsterem, który czyhał na jego życie. Zamiast mnie wspierać, odwrócił się ode mnie. A potem umówił się z wami, chciał wam o wszystkim opowiedzieć. Nie mogłam do tego dopuścić. Za dużo było już tego cierpienia... Dlatego, kiedy zasnął, wstrzyknęłam mu dużą dawkę insuliny. Resztę pani zna.

Herman ściągnęła brwi. Coś się nie zgadzało w tej historii.

– Ale to by oznaczało, że pani mąż wcale nie był u Toboły, prawda? W takim razie to pani musiała pomagać mu finansowo.

– To nie tak – Witberg zmrużyła oczy. – Syn chciał poznać biologicznego ojca. Szukałam pretekstu, żeby od czasu do czasu mógł się wybrać do leśniczówki. Dlatego wysyłałam go tam z drobnymi kwotami, które mąż wypłacał na moją prośbę z bankomatu, niby na domowe wydatki.

– A kiedy zabiła pani męża, bez problemu zgodził się podrzucić zwłoki w okolicach domu Toboły. Żeby to na niego padły podejrzenia.

– To był pomysł syna. Uznał, że Tobole należy się kara. Po prostu nie miał szczęścia do ojców.

– Pani syn był u niego niedawno. Pojechał tam taksówką – przypomniała Maria.

– Wiem. Podobno w końcu zdecydował się zdradzić mu, kim jest.

Policjantka ocknęła się ze wspomnień.

Chmury, brzemienne w deszcz, sunęły na północ, ale tego dnia wciąż jeszcze nie spadła z nich ani jedna kropla.

Herman zgasła peta i zerknęła na zegarek. Miała jeszcze sporo czasu do odjazdu autobusu PKS, ale uznała, że woli czekać na dworcu niż na cmentarzu.

Cofnęła się do Kameleona po walizkę, a następnie pociągnęła ją za sobą w kierunku centrum.

Pod dworcem ktoś zawołał jej imię.

Odwróciła się, ale nikogo nie dostrzegła.

Być może tak jej się tylko zdawało. Może to zimny wiatr łkał pod dworcowym zadaszeniem.

– Maria! – tym razem wołanie było wyraźniejsze.

Olgierd Borewicz machał do niej z placu przy markecie Netto. Opierał się przedramionami o otwarte drzwi toyoty i przegryzał drożdżówkę.

Chwilę jej zajęło, zanim podeszła bliżej.

Kółka walizki terkotały o asfalt.

– Dlaczego nie przyszedłeś na stypę? – spytała, gdy znalazła się w pobliżu samochodu.

Pamiętała, że podczas pogrzebu Olgierd stał gdzieś w tyle za żałobnikami. Miał ze sobą intensywnie fioletowe róże. Nie znał jej matki, więc przyszedł tam ze względu na nią.

– Nie byłem głodny – odparł.

– Właśnie widzę – zmrużyła oczy i uniosła brodę w kierunku słodkiej bułki, którą trzymał w ręce. – Ciasto też było, i to lepsze od tego szajsu.

Zero Siedem przeżuł ostatni kęs i zmrużył oczy, patrząc na chmury.

– W Bydgoszczy już leje. – Zmiał torebkę papierową i schował ją do kieszeni kurtki.

– No i?

– Od dworca do domu masz kawał drogi. Zmokniesz.

– Nie pierwszy raz. Dałabym radę – stwierdziła i dodała: – Dlaczego nie zaczekałeś pod klubem?

– Bo tam nie ma netto? – odparł pytaniem na pytanie, czym zmusił ją do uśmiechu.

– No to rzeczywiście jest solidny powód – rzuciła.

Borewicz otarł usta wierzchem dłoni. Podszedł, wziął walizkę od Marii, wstawił ją do bagażnika i zatrzasnął klapę.

Herman usiadła w fotelu pasażera, wyciągnęła paczkę psich smaczków z torebki i podała je Zero Siedem.

– To dla Kluski – wyjaśniła.

– Szkoda, już myślałem, że to dla mnie – zażartował Zero Siedem i przyjrzał się zawartości przez przezroczystą folię. – Cholera, wyglądają smacznie.

– Jak się miewa psiak w nowym domu?

– Znakomicie. – Borewicz położył podarunek przy dźwigni hamulca ręcznego. – Miałaś dobry pomysł, żeby go zabrać ze schroniska. Co prawda Kinga na początku jójczyła, ale kiedy zobaczyła, że Amelka zakochała się w Klusce, to odpuściła. A wczoraj przebąkiwała coś o kolejnym labradorze. Tym razem o szczeniaku.

– Założysz hodowlę? – Herman się zaśmiała.

– Niewykluczone, pod warunkiem że pomożesz mi wykarmić te żarłoki.

Ruszyli.

Milczeli aż do rogatek Torunia i okazałych budowli ojca dyrektora, które minęli po lewej: ogromnej świątyni, muzeum papieża Polaka i parku pamięci o tych, którzy ratowali Żydów. A planów biznesmen w sutannie miał znacznie więcej, słyszała o tym nieraz od ojca, który relacjonował jej, ile pieniędzy płynie z różnych ministerstw na fanaberie człowieka, któremu nikt nie umie odmówić.

– Co będzie dalej? – Borewicz przerwał jej wspomnienia.

– Mówiłam już.

– Tak, ale to były rzeczy, których, szczerze mówiąc, wolałbym nigdy nie usłyszeć.

– Trudno. Nie mam innej odpowiedzi – zdecydowała.

– Nie masz? Jesteś tego pewna?

Olgierd trzymał się blisko srebrnego dostawczaka i wyczekiwał momentu, w którym będzie mógł go wyprzedzić. W końcu wrzucił kierunkowskaz i przyspieszył.

Toyotą szarpnęło.

– Odwieszysz mundur i co ze sobą zrobisz? Gdzie znajdziesz pracę? – dociekał.

– Pojadę do Norwegii – stwierdziła bez wahania.

– Do Norwegii? – zdziwił się.

– Mam tam kuzynkę. Pomoże mi się gdzieś zaczepić, a po roku będę zarabiała więcej niż na komendzie.

– W te zarobki to jeszcze bym uwierzył, ale nie w to, że się spakujesz i czmychniesz samolotem do Norwegii.

– A to niby dlaczego?

– Nie zostawisz grobu ojca i nie zerwiesz kontaktu z tą całą Mitras, bo pomogła ci się ogarnąć po całym tym hazardowym bagnie. Ale co ważniejsze, nie zostawisz grupy anonimowych hazardzistów, bo doskonale zdajesz sobie sprawę, że te spotkania i terapia ciągle są ci potrzebne.

– Mamy pandemię. Nie wiem, czy zauważyłeś, ale większość takich spotkań odbywa się online – przypomniała.

– I to się kiedyś skończy. A wtedy będziesz chciała czuć się bezpieczna. Wyjazd za granicę narazi cię na dodatkowy stres.

– Dodatkowy stres? – warknęła, mając na myśli niedawne zdarzenia, które zmieniły w jej życiu wszystko.

– Okej, wiem, o czym myślisz, ale sytuacja jest opanowana. – Uniósł jedną rękę. – Dobrze o tym wiesz.

– Gównu tam – prychnęła.

– Jest opanowana – powtórzył spokojnie.

– Ta sytuacja doprowadzi do tego, że nasi koledzy z zespołu dobiorą nam się kiedyś do dupy. Prędzej, niż ci się zdaje. Będziemy oboje taką samą sprawą jak teczka Witbergów, rozumiesz? – zezłościła się.

Jechali drogą, która wrzynała się w podtoruńskie lasy.

– Jeśli razem pozostaniemy na posterunku, będziemy wiedzieli, jak się ta sprawa rozwija. Zawsze zdążymy zareagować.

Pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Czy ty siebie słyszysz?

Olgierd pokiwał głową.

– Jest tylko jeden sposób, by pozbyć się plamy na honorze – stwierdził i sięgnął ręką za oparcie jej fotela.

Wyjął stamtąd tekturową teczkę.

Rozpoznała tę dokumentację.

Każda ze spraw pozostałych do wyjaśnienia w gestii zespołu do spraw przestępstw niewykrytych komendy wojewódzkiej wyglądała podobnie.

– Jezu, ty nic nie rozumiesz – jęknęła i odwróciła się do bocznej szyby. Las zamienił się w zieloną ścianę.

– Przeszłość zje nas oboje, jeśli się czymś nie zajmiemy. Jeśli nie rzucimy się w wir pracy – Olgierd gadał jak nakręcony.

– Przestań.

– Wiesz, że mam rację.

– Zatrzymaj się – poprosiła.

Kątem oka widziała, że Borewicz spojrzał na nią, ale w końcu wrzucił kierunkowskaz i zwolnił.

Toyota zjechała na pobocze, wozem zatrzęsło, opony wgrzyły się w żwir. Kiedy samochód stanął, Herman nie pociągnęła za klamkę.

Otarła dłońmi twarz i westchnęła.

Wiedziała, że Borewicz miał rację.

Odczuwała to każdego dnia na urlopie. Dręczyły ją obrazy, które nawiedzały ją co noc. Myślała tylko o tym, co zrobiła, pamiętała nagły, narastający świst kuli, który eksplodował w jej głowie, i wzdrygała się, ilekroć nawiedzał ją ten fantomowy dźwięk.

Tak się nie dało żyć.

Rany były świeże, ale nie miała pewności, czy kiedykolwiek się zagoją.

Spojrzała na teczkę, którą Olgierd trzymał w dłoniach.

Walczyła ze sobą.

Nikt nie zaręczy, że wir pracy usunie spod jej powiek najgorsze wspomnienia. Zlikwiduje przewiny i zmaże błędy.

Ale tylko tym umiała się w życiu zajmować. Tylko to tak naprawdę umiała robić.

Poza tym w perspektywie terapii praca miała dla niej kluczowe znaczenie. Ustawiała rytm jej dnia, nadawała sens wszelkim wysiłkom, zabierała czas na myślenie o hazardzie. Dawała pieniądze na spłatę długów.

Tak.

Tego właśnie potrzebowała.

Olgierd cały czas jej się przyglądał i czekał.

– Pokaż – powiedziała, wyciągając rękę po teczkę.

Zero Siedem podał jej obszerną dokumentację.

Ułożyła ją sobie na kolanach i wpatrywała się w litery i cyfry składające się na sygnaturę.

Zanim rozwiązała brudne sznurki, potarła palce.

Następnie otworzyła teczkę i zajrzała do środka.

Patrzyła na zgromadzone akta, ale jednocześnie wróciła myślami do początku grudniadzkiej historii, do momentu gdy wspólnie z Olgierdem zatrzymali się przy wiatrołomach.

Przypomniała sobie, że Zero Siedem powiedział wtedy coś, co ją zastanowiło. Spytała go o to.

– Ja coś mówiłem? – zdziwił się.

– No tak, coś w tym stylu, że żywioly są jak lustro.

– Naprawdę? – Wiedziała, że tym razem się z nią nie droczył. Po prostu tego nie pamiętał.

– Dobra, jedźmy już – poprosiła i Borewicz wrzucił jedynkę.

Kiedy ruszyli, niedawna myśl wróciła do niej natrętnie.

W żywiolach ludzie mogą się przeglądać jak w lustrze – tak to chyba brzmiało.

I Herman zrozumiała, że partner się nie mylił.

Bo kiedy teraz sięgnęła pamięcią do tamtej chwili, gdy patrzyła na połamane drzewa, w zasadzie rozumiała, że widziała w nich siebie, swój los, na który sobie zasłużyła.

Ale jednak nie była tam sama.

Połamanych drzew było więcej.

Obok niej stał Borewicz.

A dalej Lucyna Witberg, Waclaw Kowalski, Jakub Porajski i jeszcze wielu, wielu innych.

Przymknęła powieki, dając sobie czas, by te obrazy odpłynęły, a kiedy to się stało, skupiła wzrok na dokumentach.

Palcami przejechała po okładce, szorstkiej ze starości.

– Dobrze znasz tę sprawę? – spytała Olgierda.

– Spędziłem nad nią kilka dni – odparł, skupiając się na drodze. – Uważam, że powinniśmy spróbować. Małe miasto, młodzi ludzie i wieloletnia zmowa milczenia.

– No to opowiadaj.

– Zarys czy tropy?

– Wolałabym tropy.

Borewicz odkaszlnął.

– Czyli co? – wołał się upewnić. – Zostajesz?

Herman ponownie spojrzała przez boczną szybę na ścianę lasu, a potem przeniosła wzrok na akta niewyjaśnionej sprawy kryminalnej.

Pogodziła się z tym, że zawsze mogła zawieść siebie. Zresztą dała temu wyraz wielokrotnie. Nie miała jednak prawa zawodzić innych. Tych, którzy latami oczekiwali na prawdę, którzy chcieli wiedzieć, czy ich zaginieni bliscy wciąż żyją gdzieś w ukryciu, czy jednak zostali zabici albo sami odebrali sobie życie.

Owszem, złamała przysięgę. Ale czy nie zrobi tego ponownie, jeśli zaniecha pracy?

Egoizm pchał ją w kierunku podjętej wcześniej decyzji. Tyle tylko że egoistką była wtedy, gdy rządziło nią uzależnienie.

A przecież od pewnego czasu nauczyła się rozpoznawać swoje emocje i lepiej nimi zarządzać.

– No więc? – spytał Olgierd.

– Jeśli twoje tropy będzie można o kant dupy potłuc, to jadę do Norwegii – stwierdziła, wywołując uśmiech Borewicza.

– Jeżeli do Przysieka nie wciągniesz się w tę historię, to sam ci kupię ten cholerny bilet na samolot.

Herman spojrzała na Borewicza z uśmiechem i przypomniała sobie chwilę, gdy wybudziła się w szpitalu, a partner siedział zaspany przy jej łóżku. Była mu za to wdzięczna. Ale nie tylko za to.

– Zero Siedem?

– Tak?

– Uratowałeś mi życie – powiedziała, patrząc mu w oczy i wystawiła zaciśniętą pięść, żeby przybił z nią żółwia.

– Obawiam się, że mogę tego żałować.

Herman parsknęła i roześmiali się oboje, a potem, gdy spoważnieli, ich dłonie się zetknęły.

– Zawsze możesz na mnie liczyć – dodał Borewicz i zaszklify mu się oczy.

Potał nos, a następnie wrzucił kierunkowskaz.

Toyota wjechała na mokrą jezdnię. Rozpędzała się i oddalała od miejsca krótkiego postoju przy lesie, wzbijając spod kół mgielkę wody, która jak welon ciągnęła się za autem.

W końcu samochód zniknął za zakrętem i droga opustoszała.

A las jeszcze przez chwilę niósł cichy warkot silnika.

POSŁOWIE

Komenda Miejska Policji w Grudziądzu realizuje swoje działania na terenie miasta i powiatu grudziądzkiego, którego granice od zachodu wyznacza Wisła. Za rzeką, tam gdzie częściowo toczy się akcja Wiatrołomów, dowodzenie powinni przejąć policjanci z Komendy Powiatowej Policji w Świeciu. W powieści tak się jednak nie dzieje, bo uznałem, że dla czytelnika zasięg działania poszczególnych jednostek tej formacji nie ma większego znaczenia. Dzięki temu odstępstwu od prawdy uniknąłem niepotrzebnego mnożenia bohaterów i komplikowania fabuły.

Mam nadzieję, że zostanie mi to wybaczone.

Więcej grzechów nie pamiętam.

PODZIĘKOWANIA

To moja pierwsza powieść wydana w Wydawnictwie Literackim i dlatego najpierw chcę podziękować Jolancie Korkuć, redaktorze naczelnej, oraz Waldemarowi Popkowi, jej zastępcy, za zaproszenie do grona autorek i autorów tego znakomitego domu wydawniczego. To dla mnie wielka nobilitacja. Dziękuję Wam za każde spotkanie i każdą rozmowę.

Kłaniam się nisko redaktorze Ewelinie Korostyńskiej w podziękowaniu za niezwykle cenne uwagi dotyczące fabuły i konstrukcji bohaterów, ale także za stworzenie wspaniałej atmosfery do pracy nad tą powieścią. Ewelino, ściskam mocno!

Dziękuję Pani Annie Milewskiej za dbałość o język tej opowieści.

Serdecznie dziękuję Marcinowi Baniakowi, dyrektorowi ds. promocji Wydawnictwa Literackiego, oraz Ani Kędzierskiej i pozostałym pracownikom tego działu za niezwykle profesjonalną opiekę promocyjną i marketingową.

Proszę, żeby podziękowania przyjęli również moi znakomici eksperci:

– dr n. med. Bartosz Burchardt z Zakładu Medycyny Sądowej Uniwersytetu Medycznego im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu, za wszystkie niezwykle istotne dla fabuły powieści konsultacje dotyczące zagadnień medycznych;

– dr Paweł Leśniewski, adiunkt w Katedrze Kryminalistyki Akademii Nauk Stosowanych im. Stanisława Staszica w Pile, za usprawnienie działań operacyjnych policji opisanych w Wiatrołomach, a także za konsultacje w zakresie broni palnej;

– Tadeusz Zyman, prokurator w stanie spoczynku, za wspólne rozważania o przedawnieniu na gruncie prawa karnego i pomoc w rozumieniu wszystkich aspektów prawnych, które miały znaczenie dla przebiegu powieściowych zdarzeń.

Kłaniam się Wam, moi Drodzy, za to, że poświęcacie swój cenny czas na rozwiązywanie problemów, które w istocie są wyłącznie fikcyjnymi problemami fikcyjnych bohaterów w nieco mniej fikcyjnym świecie. Jesteście wspaniali!

Jeśli jednak znajdziecie Państwo błędy lub nieścisłości w Wiatrołomach, to pamiętajcie, proszę, że obciążają one wyłącznie mnie, bo tak to już bywa, że autor czasami musi pójść na skróty. Albo po prostu czegoś nie zrozumiał. Tak czy siak, eksperci nie mają z tym nic wspólnego!

Chciałbym również bardzo serdecznie podziękować Uli (przy okazji polecam jej profil na FB – Życie hazardzistki – www.facebook.com/zyciehardzistki/), bo dawno temu napisała w social mediach, że w polskiej literaturze kryminalnej brakuje bohaterki (bohatera zresztą

też) skutecznie walczącej z nałogiem i jednocześnie zmagającej się ze skutkami tej choroby. Napisałem Uli, że chętnie podejmę się tego zadania.

Ulu, dziękuję Ci, że mogłem skorzystać z Twojego pomysłu, ale przede wszystkim dziękuję za możliwość konsultacji zachowań Marii Herman i jej codziennych dylematów przedstawionych na tle niszczycielskiej siły nałogu. Bez Twojego wsparcia Maria Herman nie byłaby tą samą bohaterką.

Serdeczne podziękowania niech przyjmą również jedni z pierwszych czytelników Wiatrołomów, Joanna i Marcin Żyndowie (prowadzący profil – tak, tak, to nie jest fake news – Muzeum Roberta Małeckiego – www.facebook.com/MuzeumRobertaMaleckiego/), którzy pomogli wyłapać błędy w tekście, ale również zostali moimi grudziądzkimi konsultantami. Zadbali o stronę wizerunkową jednego z moich ulubionych polskich miast, w którym dawno temu miałem okazję żyć i pracować. Za każdym razem bardzo chętnie dzielili się ze mną wszelkimi informacjami dotyczącymi Grudziądza. Przepraszam, że najczęściej odzywałem się do Was w niedzielę! Ale sami chcieliście!

Dziękuję również Sylwii Janowicz i Rafałowi Żukowi za przekazanie trafnych uwag do powieści. Cieszę się, że ponownie mogłem na Was liczyć.

Dziękuję także mojej kochanej żonie Kasi, pierwszej czytelniczce Wiatrołomów, za wnikliwą pracę nad tekstem, ale też za codzienne wsparcie. Maksowi, mojemu wspaniałemu synowi, dziękuję za wspólne wymyślanie imion i nazwisk głównych bohaterów oraz ustalenie ich wyglądu. Dziękuję także za rozmowy o pisaniu i wieczorne inspirujące spacerzy z psem. Kontynuujmy to, Synu!

Tradycyjnie dziękuję moim najbliższym: kochanym rodzicom, teściom, bratu Jarkowi i jego żonie Sylwii, a także bratankowi Arturowi i Klaudii Zielińskiej.

Pozdrawiam moje wspaniałe koleżanki i wspaniałych kolegów po piórze: Annę Rozenberg, Martę Matyszczyk, Julię Łapińską, a także Maćka Siembiedę, Ryszarda Ćwirleja, Mariusza Czubaję, Bartka Szczygielskiego (dlaczego znowu się objasz?), Marka Stelara, Przemka Żarskiego, Marcela Woźniaka i Przemka Semczuka.

Kłaniam się wszystkim, w szczególności blogerkom i bloggerom książkowym, na których wsparcie zawsze mogę liczyć.

A na koniec dziękuję moim wspaniałym Czytelnikom – przede wszystkim za to, że wciąż czekacie na moje nowe powieści.

To oznacza, że mam dla kogo pisać.

Robert Małecki

www.robertmalecki.pl

www.facebook.com/robertmalecki.autor

www.instagram.com/robertmalecki.autor